



Kasia
Bulicz-Kasprzak

OD 1922
SAGA
WIEJSKA
TOM 2

Gościniec

DZIEWIĘĆ RZECZY POWINNO BYĆ TAJEMNICĄ: BOGACTWO,
KŁÓTNIE, RODZINA, RELIGIA, ZDROWIE, ROMANSE,
PREZENTY, HONOR I HAŃBA.

Prószyński i S-ka

Powieść pełna emocji i ludzkich dramatów. Tak w *Skrawku pola*, pierwszym tomie *Sagi wiejskiej*, jak i w *Gościńcu* widać solidną pracę pisarską Kasi Bulicz-Kasprzak. Język, postacie, barwne opisy, wydarzenia historyczne sprawiają, że przenosimy się do polskiej wsi XX wieku. Powieść doskonale przemyślana, inspirowana opowieściami i wspomnieniami rodzinnymi autorki. Polecam wszystkim ceniącym sagi rodzinne z historią w tle. A ja tymczasem z niecierpliwością czekam na tom trzeci!

Pozdrawiam
mgr Urszula Wójtowicz, starszy kustosz
Kierownik Działu Udostępniania Zbiorów
Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna
im. Marii Konopnickiej w Lubaniu

To wcale nie jest „Wsi spokojna, wsi wesoła” jak w pieśni Jana Kochanowskiego. To nie jest sielskie życie, a ciężka praca na roli, której czas, zamiast zegarka, odmierzają cztery pory roku. Gdzie niedaleka droga od miłości do nienawiści, gdzie dzieci wiedzą, co to bieda, gdzie wrodzy zaborcy, okrutna pierwsza wojna światowa, niepewny okres międzywojenny, gdzie epidemie chorób zbierają swoje żniwo. Historia przodków autorki to niesamowicie piękna opowieść, którą warto poznać. Zanim przejdziecie się *Gościńcem*, koniecznie poznajcie *Skrawek pola*. Pola, dzięki któremu wieś żyje...

Michał Machnacki – Biegający Bibliotekarz
Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Bemowo
miasta stołecznego Warszawy

Gościńiec Kasi Bulicz-Kasprzak to piękna i ciekawa powieść. Porusza autentycznością opisu życia polskiej wsi. Chwyta za serce zawłościami losów bohaterów, których traktujemy jak bliskich znajomych. Urzeka narracją. Autorka maluje słowem obrazy, pobudza wyobraźnię czytelnika. Zakończenie zaskakuje, wywołuje niepokój, ciekawość i żal, że to już koniec.

GORĄCO POLECAM!

Anna Pruska
Kierownik Filii nr 3 Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. Józefa A. i Andrzeja S. Załuskich w Radomiu

Kasia
Bulicz-Kasprzak



Gościniec



Prószyński i S-ka



Copyright © Katarzyna Bulicz-Kasprzak 2021

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© Megan Engeseth/[Arcangel Images](#);
Miloż Maslanka/[Stock.Adobe.com](#)

Redaktor prowadząca
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8234-693-0

Warszawa 2021

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Julita, zawsze chciałam Ci zadedykować książkę,
ale czekałam z tym na taką,
która będzie dla mnie niezmiernie ważna,
bo Ty jesteś niezmiernie ważna.
Dziękuję Ci za to, że zawsze wiesz,
kiedy zadzwonić, za to, co wniosłaś w moje życie,
za to, że jesteś.

*Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć za raz wszystkie?*

Jan Kochanowski, *Pieśń świętojańska o Sobótce*



Zmierzchało. Przez maleńkie okienko wpadały do izby ostatnie smugi szarości, wspomnienie dnia, który gasł powoli, tak jak dogasa ogień w palenisku. W izbie wciąż jeszcze nie zapalono świeczki. Po cóż to komu, gdy wieczerza skończona, miski w szafliku opłukane, a przecież szyć czy prząć nikt nie będzie. Prząć nie będzie się dlatego, że z wrzeciona inny zrobiono użytek. Razy nim zadawane spadają na ręce, którymi osłaniana jest głowa, na barki, na plecy. Razy są bolesne, tak bardzo bolesne, że chciałoby się wyć jak szlachtowane zwierzę. A jednak w izbie cicho, jeśli nie liczyć odgłosu razów, ale że spadają na ciało, nie są głośne. Nie wolno krzyknąć, w izbie śpi dziecko. Po co ma wiedzieć, co robią rodzice? To nie jego sprawa. Niech zachowa obraz rodziny takim, jaki widziało przy wieczerzy. Ojciec wierzchem dłoni ściera z wąsów omastę, matka odrywa kawałek chleba, by nim wytrzeć tłuszcz z dna miski, pytając z uśmiechem, czy syci, bo czas spać.

Kolejne razy, męska dłoń nie traci siły. Między nimi słowa, szeptane z namiętnością, o tym, jak on ją bardzo kocha, a ona jest kurwą, co do każdego się uśmiecha. On ciężko na nich pracuje, a ona tylko oczyma strzela, z kim by tu w krzaki iść. Jakiś ty głupi, myśli kobieta. Kto by chciał dotykać tego sinego ciała, którym sama się brzydzę? A nawet gdyby chciał, czy ty wiesz, że tam, gdzie odzież ściślej przylega do ciała, tam żywym ogniem pali? Jakże się wobec tego dać komuś objąć, przytulić, gdy pieszczota ból zadaje? A nawet jeśli bym dała radę ją znieść, to i po co? Tego, co od ciebie dostaję, to aż z naddatkiem.

– Mamo? – Dziecięcy głosik doleciał z oddali, jakby zza mgły, i nie wiedziała, czy to ona jest wołana, czy sama woła.

Serce, jak przerażony koń, wydało pisk przeciągły i zerwało się do szaleńczego biegu. Dziecko moje, dziecko? Gdzież ty? Rzuciła się na pamięć w ciemności izby, między sprzętami. Dziecko trzeba ukryć, schować, obronić, by żadna krzywda mu się nie stała. By na jasną główkę ani jeden raz nie spadł.

Krok, pląśnięcie bosej stopy po klepisku i naraz świst, a później rumor. Małeńkie ciało opadło bezwładnie. Cisza. Złapała za nóż. Zabiję cię za to, coś zrobił, pomyślała.

Rozdział pierwszy



Wół – do lat trzydziestych dwudziestego wieku woły były stałym elementem wiejskiego krajobrazu. Wół to kastrowany samiec bydła domowego, a pierwsze dowody na rolnicze użytkowanie tych zwierząt pochodzą sprzed pięciu tysięcy lat. Wykorzystywano je do prac w transporcie, pracy w polu i zagrodzie (chodzenie w kieracie). Głównym elementem uprzęży tych zwierząt było jarzmo, mocowane do rogów lub karku nad kłębem. Swoją popularność woły zawdzięczały ogromnej sile połączonej z niezwykle łagodnością.

Październik 1922

Ksawery Hub podniósł się z krzesła. Prosty ten ruch uświadomił mu bolesnym strzyknięciem w krzyżu, że młodszy się nie robi. Kiedyś siadał, wstawał, zrywał się i nawet o tym nie myślał. Teraz taka prosta czynność, a krzyż daje znak, że jest. Za lat kilka podniesienie się będzie wyzwaniem.

Ot, dyrdymały. Jeszcze mu daleko do starości. Wciąż miał siłę w rękach, bułane ogiery prowadził, gdzie chciał, babie potrafił dogodzić, a pole lepiej i szybciej obrobił niż Antek. A że w krzyżu strzyknęło? Drwa rąbał, to i nadwerężył. Odpocznie dzień, dwa i wszystko wróci do normy.

– A ty gdzie? – zapytała Tereska.

– Zapalić bym se wyszedł.

– Mówisz, że zapalić, a prawda taka, że do tej suki drogi szukasz.

Hub westchnął. Terenia, tyle lat nie było z nią kłopotu. Zgodliwa była, cicha. Siedziała w chałupie, gotowała, dziećmi się zajmowała, babską robotę

w oborze ogarniała, a jak ją słabość zmogła, to Hub robił, albo Weronika, albo kogo najął. Przez palce patrzyła na mężowskie grzeszki. Trochę łeb zmyła, gdy popił, ale to nie tylko jej prawo było, a też i obowiązek. Bez tych gorzkich słów, które od żony słyszał, łatwo mógł przekroczyć miarę. Z wódką nie ma żartów. W jednej chwili wydaje ci się, że nad wszystkim panujesz, w drugiej pole sprzedajesz, by mieć za co pić. Stary Adamczuk, ojciec Michała, najlepszym przykładem, a on przecież niejedyny na świecie. Dobrze, że ten Wawrzek mu się udał, boby szczęśli wszyscy. Splunął. Za każdym razem, gdy zdarzyło mu się pomyśleć albo wypowiedzieć imię Wawrzka Adamczuka, pluł.

– Czyś ty, chłopie, oszalał? Toż dopiero klepisko mazałam. A ten mi tu pluć będzie!

– Kiedy mnie się palić chce.

– Idź, idźże już.

Hub się przeciągnął, podszedł do drzwi, z haczyka zdjął kapotę i na grzbiet ją naciągnął.

– Tylko zapalić. Jak ty by mnie w izbie nie zabraniała...

Żona wzrokiem dała mu znak, żeby już szedł.

Wieczór był przyjemny. Trudno uwierzyć, że to już październik, bo ciepłej niż czasem we wrześniu bywa. Cały dzień słońce grzało. Baby ze lnem się obrabiały, aż miło. Anielka zajęta pracą, aż szum idzie. Brzuch pod nosem, a ta nie patrzy, tylko robi. Inna sprawa, że ten len jej się darzy jak żadnej innej babie we wsi. Ma do niego rękę. Ale to już tak bywa. Wydaje się, że ta sama robota i tak samo wszyscy robią, a jednak nie.

Wystarczy spojrzeć na ogrody. U jednej gospodyni grządeczki równiutkie, niepozarastane chwastami, główki kapusty na zagonie jedna w drugą jak szaflik, a gładziutkie, błyszczące, ani popękane, ani robaczywe. U innej główeczki lichutkie, pozszychane i bielinków nad nimi tyle, co płatków śniegu w zimową zawieję, a w ogrodzie chwasty takie wysokie, że dziecko może się w nich zgubić jak w lesie. Zastanawia się kobiecina, co źle robi, bo przecież wszystko tak jak sąsiadki – sieje w tym samym czasie, plewi, dogląda, popiołem podsypuje, wywarem z bkonu czy pokrzywy polewa. Na szczęście na ogół tak to bywa, że ta, co jej się nie wiecie na ogrodzie, w izbie ma porządek albo gotuje tak, że sam zapach ludziom na drugim końcu wsi żołądki skręca. Może też tak być, że do zwierząt ma rękę, krowy lśniące na pastwisko wygania, mleka doi nieprzebrane ilości.

Terenia, ze względu na to, że słabowała, przy zwierzętach mało robiła. Ot, wydoiła, ale jak zasłabła, musiał ją mąż wyręczać. Tylko się do tego nie przyznawał, wstyd by był na całą wieś, jakby się chłopcy dowiedzieli, że taki gospodarz, a babską robotą się nie brzydzi. Rzadko to teraz bywało, bo Weronika matkę wyręczała, a jak trzeba było, to i Natalia dała radę.

Za to takiego porządku w chałupie jak u Hubów to nigdzie nie uświadczysz. A nie była ona mała, oj nie. Zbudowano ją zgodnie z tą modą, która nakazywała stawiać domy przechodnie, z jednymi drzwiami od drogi, drugimi od podwórza, z dużą izbą, gdzie stał piec, stół, ławy, a czworo drzwi prowadziło z niej do izb sypialnych i komory. Kiedyś, gdy dzieci były małe, a matka Huba wciąż żyła, wydawało się, że miejsca braknie. Teraz, gdy sami z Tereską zostali, było go aż nadto. Dobrze, że Weronika ze swoją dwójką przychodziła. Bywały dni, że jeszcze porządnie się nie rozwidniło, a już się po izbie kręcili.

– Co ja będę u siebie rozpalać i osobno gotować? U was strawy nagotuję, a potem do siebie podskoczę. Jak raz krowy już zjedzą siano, to je razem z waszymi na wygon Wojtek pogoni. Mamcia na dzieci mi spojrzy, to nie będę się martwiła, czy czego nie psocą.

Hub uśmiechnął się do siebie, wyciągając z kieszeni woreczek z tytoniem i bibułkami. Nie przesadzaj, chłopie, tak słodko to nie było. Weronika po matce miała paskudny charakter. Kłótniwa była. Kiedy się ożenił, to myślał, że Terenia przez te słabości taka. Później zrozumiał, że ta jej chorowitość jemu, Hubowi, wychodzi na zdrowie. Bo gdyby ta kobita miała w sobie siłę, to uchowaj Panie. Może już by jego, Ksawerego, na świecie nie było. A tak, gdy Terenię choroba osłabiała, to nie miała siły się kłócić. A wszystko, dosłownie wszystko mogło być powodem. Źle stanął, źle usiadł, sapnął, powiedział coś, nie powiedział. Największe awantury wybuchały o porządek. Hub znosił je cierpliwie, ale gdy już tak zupełnie nie mógł wytrzymać, to szedł do karczmy. Zastawał wtedy zamknięte drzwi, musiał więc spać w oborze albo w sadzie.

Skończyły się te przypadkowe noclegi, kiedy Antek z Anielką na swoje poszli. Dobre to było dla nich, bo dziewczucha z Tereską życia by nie miała, dobre i dla Huba. Kiedy trochę więcej wypił, to albo sam szedł do chałupy syna, albo go kto odprowadzał, albo też dawali znać do Antka i ten po ojca przychodził.

Trzeźwy Hub też do synowskiej chałupy często zaglądał. Przyjemnie tam

było. Aniela mało mówiła, dużo robiła. Gdy zapowiedzi wyszły, ten i ów odradzał Hubowi tę pannę, mówiąc, że młodsza Połajówna krowie ogona nie zawiąże. Okazało się, że ludzkie gadanie to jedno, a rzeczywistość drugie. W chałupie u synowej czysto było, codziennie nagotowane dwie, czasem trzy potrawy. Jak nie bałabuszki ze słodkim nadzieniem, to jakieś ciasteczka dwa, trzy razy w tygodniu pieczone stały na stole w ładnej, glinianej misce, białą ściereczką wyłożonej, a kto przyszedł, mógł się częstować do woli. Nowa to moda, Hub nie pamiętał, żeby w innych chałupach tak było. Ta gościnność też dobrze świadczyła o Anieli. A gdy kto zajrzał do obory, to mógł tylko gwizdnąć z uznania. Krowy miały sierść lśniącą, a wymiona tak wielkie, że po pół cebra mleka dawały z jednego strzyka. Trzymała też Anielcia cztery owce, dla wełny, dwie świnie, kur kilkanaście, kaczki, gęsi i kilka królików. Wszystko zadbane i najedzone, aż przyjemnie patrzeć.

Jak Hub do nich przychodził, zaraz mu jeść dawała, a gdy akurat Antka w domu nie było, to z uśmiechem na ustach lała do kieliszeczka odrobinę nalewki.

– Ziołowa. Na zimę zrobiłam, według przepisu Ciotki Leonki. Naparsteczek wam naleję, żebyście powiedzieli, jak wyszła.

Hub pił, mlaskał, a później prosił o jeszcze kapkę, bo smaku nie złapał.

– Wy jego nie złapaliście, ale on was tak – śmiała się, lejąc. Zerkała przy tym przez okno, czy gdzie Antka nie widać. – Pijcie na zdrowie, ale więcej wam nie dam. Przyjdzie w zimie choroba, a we flaszcze dno widać. Czym ja mojego nacierać będę? Co mu dam do picia, co?

Hub nic nie mówił, śmiał się do niej. Lubił swoją synową, po prostu ją lubił. To, co łączyło go z matką Anielki, nie miało tu najmniejszego znaczenia.

Spojrzał tęsknie w stronę, gdzie stała chatynka Połajów. Los to zawsze tak te nitki życia plecie, by człowiekowi trudniej było.

Jakby świadoma myśli męża, Terenia zapukała w okienko. Ksawery podniósł rękę z wypalonym do połowy papierosem. Ależ go teraz pilnowała! Jakby nie żoną była, a strażnikiem więziennym. Przez tyle lat przymykała oko na to, że mąż do sąsiadki chodzi, i nagle jej się odwiedziało. Już nie kłótnie, a głośne awantury z tego powodu wybuchały.

Zacząło się zeszłej jesieni, gdy Marianna urodziła drugie dziecko. Chłopczyk był jak malowanie, szczęśliwie wcale do matki niepodobny.

Babka Połajowa ofiarowała się w podzięce za jego narodzenie do Ostrej Bramy pielgrzymować. Odradzali jej wszyscy, bo raz, że stara już była, dwa, że droga daleka, trzy, że zima za pasem. Starowinka głową pokiwała, niby przyznała rację najbliższym, ale gdy nazajutrz się pobudzili, babki w chałupie już nie było. Przepadła i słuch o niej zaginął. Pomodlili się wszyscy za spokój jej duszy, Marianna nawet na mszę dała. Uznali staruszkę za zmarłą, bo nie było sposobu, żeby tak daleko zimą zaszła, nie zamarznawszy po drodze.

W kwietniu ducha wyzionął Józek Połaj. Nie był stary, żyłby jeszcze, ale go owo marzycielskie usposobienie zgubiło. Poszedł bronować. Mówili mu zięcie, tak jeden, jak drugi, że zabronują mu ten skrawek pola, tylko pierw u siebie się obrobią. Wszak co roku tak było, odkąd Józkowi nogę odjęli. I zawsze czekał cierpliwie. Tej wiosny coś mu do łba przyszło, zniecierpliwiał się, konia do bron zaprzął i w pole pojechał. Za koniem po polu chodzić to ciężka robota dla kogoś z dwiema nogami, a co dopiero gdy tylko jedna zdrowa, a druga drewniana. Zapadał się ten wystrugany kulas w miękką rolę. Przeszedł Józek pole w jedną stronę, przeszedł w drugą i tak był zmachany, jakby pięć morgów zabronował. Usiadł tedy na miedzy odsapnąć. Zadumał się, jak to on. Gdyby nie to, że znudzony czekaniem koń do domu wrócił, pewnie by dopiero wieczorem Hanka męża znalazła. Tak to od razu pobiegła, Józka z pola do chałupy zabrała. Po Ciotkę Leonkę posłała, ale wszystko darmo. Nawet ten doktor, co go Wawrzek z miasteczka przywiózł, też na darmo. Wszyscy wiedzą, że nie ma gorszej biedy niż ta, co wynika z przewiania przez wiosenny wietrzyk, zwłaszcza gdy kto spocony. Jeśli pozwolisz, by na tobie koszula wyschła, to tak jakbyś kostuchę na wieczerzę zapraszał. U Połaja wdało się zapalenie płuc, dwa tygodnie i już po Józefie było.

Hub westchnął. Wiele wiosen przeżył, oj wiele, ale żadna nie była tak piękna jak ta, która przyszła po śmierci Połaja. I to nie tylko dlatego, że pogoda była cudna. Hanka, wcześniej wciąż zmartwiona, z nerwami napiętymi jak postronki, odmieniła się zupełnie.

– Czymże ja się będę, Sawerku, frasować? Córki dobrze za mąż wydałam, bogate są, gospodynie na całe gęby. Te skrawki pola, co my z Józkiem obrabiali, to niech między sobą podzielą, jak chcą, ja na polu już robić nie będę. Mam krowę, mam ogród, to mnie wystarczy, a mało będzie, to mi ani jedna, ani druga łyżki strawy nie pożałuje. A ludzkie gadanie mnie nie obchodzi, bo nastają na mnie ludzie od lat, przywykłam. Jedno, co mi

doskwiera, to siedzenie wieczorem w pustej chałupie.

Hub to ostatnie zdanie wziął sobie do serca i nie pozwalał, by Hanka samotnie spędzała wieczory. Dobrze im było. Tuliła się do niego, łąsiła, jakby mieli po szesnaście lat.

I czyż to komu przeszkadzało, że na stare lata mieli z życia trochę radości? Widocznie komuś przeszkadzało, bo tydzień po Przemienieniu Pańskim zjawiała się babka Połajowa. Cała, zdrowa i żywa. I to jeszcze jak żywa! Dowiedziawszy się o śmierci syna, całą winą obarczyła Hankę. Wyzywała ją od wszetecznic i kurwiąg tak głośno, że ludzie nie tylko w całym Tynczynie, ale i w Mikulinie musieli słyszeć. Jakby mało jej tego było, przyszła do chałupy Hubów i Teresie wyrzuty robiła, co z niej za żona i matka, jak może na taki grzech patrzeć. A na koniec dodała, że śmierć Franka to kara za grzechy Huba. Te słowa podziały jak wylanie oliwy na rozżarzone węgle. Terenia zaczęła się tak z mężem awanturować, tak mu wymyślać. I jeszcze Weronice słowa babki Połajowej powtórzyła. A przecież i bez tego córka miała do niego pretensje, że dla zaspokojenia własnych ambicji wysłał jej męża do Ameryki na zginięcie.

Hub poczuł gorycz w ustach. Strzyknął śliną. Niech mówią, co chcą, on wiedział swoje. Jakim sposobem człowiek, co do Ameryki popłynął, zginął we Francji? Oszustwo to było jawne. Wawrzek się mądrzył: „Mnie nie wierzycie, do Czerwonego Krzyża piszcie”. „A co mnie po pismach?”, pytał Hub. Tam, gdzie prawda zamataczona, tam zwykły chłop jej nie dojdzie. Na szczęście poza ludzką jest jeszcze boska sprawiedliwość, a krew niewinnie przelana zawsze, zawsze wypływała, gubiąc tego, kto ją przelał. Dlatego też Hub miał nadzieję, że Wawrzek zapłaci za to, co Frankowi zrobił. I modlił się o to, szczerze się modlił.

Zaciągnął się po raz ostatni. Rzucił jeszcze jedno tęskne spojrzenie w stronę chałupy Połajów. Póki ciepło było, to znajdowali z Hanką sposób, żeby się wymknąć i spotkać, a to za oborą, a to na łące. Teraz, gdy wieczory zimne, nie było jak. Może sercom się wydawało, że mają po szesnaście lat, ale ciała dobrze wiedziały, że już nie, i w ogóle im się nie uśmiechało gołych dup na październikowy wiatr wystawiać.

Oj, długa to będzie zima, długa, westchnął Hub i już miał do izby wejść, gdy zobaczył, że w chacie Weroniki drzwi się otwierają. Zatrzymał się, oczy przymrużył, by lepiej widzieć. Z chałupy chłop wychodził, wysoki, barczysty. Donośnym głosem za gościnę dziękował.

Pewnie zalotnik, diabli nadali. Hub zaklął pod nosem. Kiedy Wawrzek wrócił i wiadomość o śmierci Franka przywiózł, polały się łzy. Wydawało się, że Weronika już męża odżałowała, wszak przez pięć długich lat nie miała od niego żadnych wieści. Tymczasem mocno go kochać musiała, bo dniami i nocami płakała. Na szczęście każdy żal, nawet największy, kiedyś się kończy. Tak i Weronika w końcu wypłakała ostatnią łzę. Minęła żałoba i do bogatej wdowy zaczęli się zjeżdżać zalotnicy. Odprawiała ich, początkowo niechętna powtórnemu zamążpójściu. Hub słyszał rozmowę córki z żoną. Weronika mówiła, że nie trzeba jej tego miodu, że się w ojca nie wdała w tych sprawach, że na obce dzieci robiła nie będzie.

Ostatnio jednak coś się zmieniło.

– Jeszcze ja nie taka stara, pierwszego męża wyście mi wybrali, to może drugiego sama sobie znajdę, Natalia i Wojtek z domu pójdą, a ja będę sama siedzieć, bez towarzystwa – tak mówiła.

Zaniepokoiło to Huba. Powторne małżeństwo córki wiele spraw rodzinnych mogło skomplikować, a Weronika jakby nie zdawała sobie z tego sprawy. Trzeba będzie z nią porozmawiać, zanim coś głupiego zrobi.

– Och baby, baby. Jeśliby mnie kto pytał, to powiem, że chłopcy do żadnego czyścica nie idą, tylko od razu do nieba. Bo przez was my tu, na ziemi, taki mamy czyściec, że hej.



Sernik wspaniały

1 kg sera, 12 dkg masła, 8 jajek, 30 dkg cukru, 20 dkg ugotowanych ziemniaków, wanilia, migdały, rodzynki, skórka otarta z pomarańczy lub cytryny.

Ser i ugotowane ziemniaki przepuścić przez maszynkę. Żółtka utrzeć z cukrem i masłem. Dodawać po jednej łyżce sera i ucierać. Na koniec dodać rodzynki, migdały, skórkę oraz pianę z białek. Piec w nie bardzo gorącym piecu czterdzieści minut. Wystudzić, nie zdejmując z blachy.

Krystyna 1892

Przez kilkanaście lat to wspomnienie nie miało dla niej znaczenia. Czasem tak bywa, i to zarówno z prawdziwymi wspomnieniami, jak i ze snami, że późniejsze wydarzenia nadają im sens, są jak wykładnia przepowiedni.

W pamięci Krystyny to właśnie wspomnienie z dzieciństwa zachowało się tylko z powodu strachu, który odczuła tego wieczoru i który towarzyszył jej jeszcze przez wiele kolejnych dni, dopóki nie zmałał na tyle, że dało się go zepchnąć w głąb pamięci. Od czasu do czasu wystawiał głowę, a wtedy ciałem Krystyny wstrząsał dreszcz. Gdy zdarzyło się to w nocy, strach budził ją i nie pozwalał już zasnąć. Żałowała swojej głupoty i chętnie zawróciłaby czas do tego miejsca, zanim to się stało.

Ileż wtedy mogła mieć lat? Cztery, a może pięć? Po takim czasie trudno określić, na pewno więcej niż trzy, na pewno mniej niż sześć. To był jesienny wieczór. Szara mgła otulała świat wilgocią, tak jak matka otula dziecko pledem. Ludzie marzli, zacierali ręce, porzucali robotę i uciekali do chałup, gdzie wcale nie było cieplej, a wilgoci jeszcze więcej niż na polach.

Pospiesznie wygarniano z pieców popiół, łamano patyczki i odłupywano szczyпки na rozpałkę, krzesano ogień, dmuchano, chuchano, podkładano gałęzie, szyszki, na koniec, gdy kto miał, wkładano polano. Wyciągano dłonie o palcach sztywnych z zimna nad blachę. Gospodynie podgrzewały resztki ugotowanej rankiem strawy, nakładały do misek, karmiły zmarzniętych mężów, synów. Gotowały wrzątek, by zaparzyć napoju z malinowych gałązek.

Powoli, bardzo powoli, chłód opuszczał ciała. W izbach robiło się ciepło, zagaty nie pozwalały podmuchom wiatru wtargnąć do chat. Na dworze było już ciemno, choć wcale nie było jeszcze późno. Najedzeni, ogrzani ludzie nabierali ochoty na spotkania. Młodzi chcieli iść pograć w karty, potańczyć, chłopcy myśleli, gdzie by tu i z kim kieliszek gorzałki smolnąć, babom chciało się plotek, a dzieciom zabawy.

Miało to też pewną racjonalną podstawę, bo gdy pół wsi schodziło się do jednej chałupy, to tylko w tej jednej wypalała się świeczka czy nafta. A przecież to siedzenie też darmo nie było. Gdy ludzi się naszło, gospodyni zaraz przynosiła wiązkę grochu do łuskania albo worek pierza do darcia. Nikt przeciwko temu nic nie miał, bo wszak o to chodziło, by być blisko siebie, rozmawiać, żartować, jednych pochwalić, innych wyśmiać, ale nie ze złośliwością, tylko ot tak, dla uciechy. Jak brat czasem wyśmiewa siostrę czy siostra brata. Gdy żyje się od pokoleń obok siebie, tworzy się relacje tak silne, jakich czasem i w rodzinie nie znajdziesz. Przyjaźnił się dziad Płokity z Rokickim, przyjaźnili się ojcowie, to synowie i wnuki też trwać będą w przyjaźni. Przeorana miedza czy krowa w szkodzie nie będzie przeszkadzać. Bywało też odwrotnie, uraza pradziadów trwała w rodzinach, mimo że wnuki nie potrafiły powiedzieć, o co poszło. A choć negatywne to były emocje, miały w sobie taką siłę, że trzymały te rodziny z dala od siebie przez dziesięciolecia.

Tego wieczoru matka okutała dziewczynkę chustą jesionką, wzięła za rączkę i poszły do Koziółków, na drugi koniec wsi. Och, jakże Krysia lubiła tam chodzić! Koziółkowa miała pięcioro dzieci, najstarsze córki były już pannami na wydaniu, a najmłodsza, Gienia, była rówieśnicą Krystynki. Zabawa tam zawsze była przednia, bo matka tak licznego potomstwa małą uwagę przykładła do tego, co się w izbie działo, jeśli tylko nie zawracano jej głowy. Przy tym, jako osoba bardzo towarzyska, lubiła siedzieć między kumoszkami i snuć opowieści, a znała ich więcej niż jakakolwiek gospodyni.

Droga prowadząca przez wieś była błotnista. Matka wciąż upominała Krysię, by uważała, bo jeśli się pośliznie, jak nic bęcnie w błoto. Wstyd wtedy będzie, bo co też ludzie powiedzą, gdy zobaczą umorusane dziecko. Strach przed tym, że musiałyby w cudzej izbie stanąć w zabłoconej koszuli, narażając się na śmiech, mieszał się w sercu dziewczynki z radością, wywołaną nadzieją na spotkanie z przyjaciółką. Dlatego też, gdy weszła do chałupy Koziółków, stanęła, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. I dopiero wymierzony przez matkę szturchaniec sprawił, że drgnęła i przywitała się jak należy. Zaraz jednak zamilkła.

– A ty, Krysiu, co tak stoisz? – zapytała Koziółkowa. – A śmigaj na piec, do dzieci. Maciej konika zrobił z patyczków i konopnego powrozu. No, mówię wam, jak żywy. Gienia, a pokaż tego konika, co ci to Maciej zmajstrował.

Z mrocznego kąta za piecem wychyliła się jasna dziecięca główka. Dziewczynka podeszła do siedzących na ławach kobiet i pokazała konika, który od razu został skomplementowany.

– Gienia, weź Krysię. Pobawcie się ładnie. A daj jej jabłuszko.

Krystyna poczuła w swojej dłoni lepką rączkę przyjaciółki. Gienia pociągnęła ją w kierunku pieca. Tu na zydlu stał wiklinowy koszyk, wypełniony czerwonymi jabłuskami. Błyski płomieni, pełgających wesoło pod blachą po wrzuconych tam szyszkach i patyczkach, odbijały się w gładkiej skórcie owoców, tak że wyglądała jak odlana ze szkła. Gdy podeszło się bliżej kosza, czuć było zapach owoców, słodki, ale nie cukrowy, tylko lekko winny, zapowiadający ukrytą pod słodyczą miąższu kwaśność.

Gienia bacznie przyglądała się owocom, wreszcie wybrała jeden. Podniosła go na wysokość oczu. Widocznie jej się nie spodobał, bo wrócił do kosza, a jego miejsce zastąpił kolejny.

– To weź. Nierobaczywe.

Wcisnęła Krystynie do ręki jabłko. Ta przez chwilę trzymała je mocno, ciesząc się momentem, gdy wciąż miała całą przyjemność jedzenia przed sobą. Świeży owoc był rarytasem. Gospodynie zbierały wszystko i suszyły, by w zimie dodawać do kasz na słodko czy nadziewać pierogi. Wiadomo przecież, że obfitość letnio-jesiennego przełomu była złudna. Kończyła się z chłodem, który potrafił przyjść nawet w październiku. To, co zgromadzono w komorze, musiało wystarczyć do następnego zbioru, a zimne miesiące potrafiły ciągnąć się w nieskończoność.

Szturchnięta przez Gienię, Krystyna wreszcie zatopiła zęby w owocu. Sok spłynął na język, zmieszał się z gwałtownie wezbraną śliną. Odłupała kawałek jabłka i trzymała go w ustach, gładka skórka dotykała podniebienia. Jakież ono było słodkie, a jakie soczyste. Żuła wolno, bardzo wolno, by wygnieść z mięszu caluteńki sok.

– Jak tam, Krysia, dobre jabłuszko? – zagadnęła Koziółkowa.

Odpowiedzią było skinienie głową.

– Coś ta nasza Krysia mało dziś rozmowna. A chodź tu bliżej, to ci coś pokażę. – I nie czekając na reakcję dziewczynki, odwróciła się do kufra. Podniosła wieko i coś z niego wyjęła. – Był tu u nas handlarz. Z tych, co to wszystko kupią i wszystko sprzedadzą. Upatrył sobie mojego koguta. Nie chciałam sprzedawać, bo to dobry kogut, ale też trochę z nim miałam kłopotu, z gęsiorem sąsiadów się bił i wciąż się bałam, żeby z tego jakiej zbrodni nie było. Ale żeby handlarzowi go sprzedać, to nie byłam chętna, już zjeść bym wolała. A on się uparł. Czym on więcej nastawał, więcej przekonywał, więcej: „Sprzedajcie, gosposiu”, powtarzał, tym we mnie większy upór był, jakby na przekór. Coś we mnie mówiło: „Sprzedaj, głupia babo, bo jak on Józwow gęsiora utłucze, to nic z tego nie będzie, tylko pieniądze stracisz, a koguta będziesz musiała oddać, żeby sobie nie krzywdowali”. A tu jakiś upór i tylko „nie” i „nie”. On do mnie wreszcie gada: „Uczciwie płacę. U was, widzę, panny w domu, to za darmo jeszcze to dorzucę”. I pokazał mi lustreczko. Pewnie kradzione, że tak się go wyzbył. Może mu na kogucie zależało, bo komu znacznemu obiecał? Albo kupca miał, co dwa razy tyle gotów zapłacić. To już nie moja sprawa. Zapakowałam mu tego koguta do wora. Teraz nie mam kłopotu, pieniądze dobre wzięłam, a dziewczęta taką zabaweczkę dostały. No chodź, Krysia, popatrzysz na swoją buźkę, to może się rozweselisz.

Wyciągnęła do dziewczynki rękę z lusterkiem, pierwszym, jakie Krystyna widziała w swoim życiu. Owalne, z drewnianą rączką, miało prostą, niezdobioną oprawę i małe pęknięcie po lewej stronie. Swoją twarz znała z odbicia w wodzie – w kałuży czy w wiadrze. Zdawała też sobie sprawę z niedokładności takich zwierciadeł. Prawdziwe lustro, nawet małe, było zbytkiem, mało kto mógł sobie na nie pozwolić. Zresztą po co? Przejrzeć można się przecież w cebrze, a pieniędzy nie starczało, by kupić znacznie potrzebniejsze rzeczy. Krystyna była już wystarczająco duża, by zrozumieć, dlaczego kobiety raz po raz przerabiają swoje spódnice, naszywają łąty na

mężowskie portki, dlaczego dzieci chodzą odziane w kawałek samodziałowego płótna, w którym wycięto otwór na głowę, przepasanego szarpią oddartą z rodzicielskiej odzieży, której już na nic przerobić się nie dało. Każdy sprzęt domowy, każde naczynie czy ubranie służyło ludziom tak długo, jak było to możliwe. Gdy z jakiegoś powodu nie dało się używać go zgodnie z przeznaczeniem, przerabiano, raz, drugi, dziesiąty. Aż było już pewne, że nic zupełnie nie da się z nim zrobić. A i wtedy nie wyrzucano. Szmaty sprzedawano handlarzowi, by ten zabrał je do papierni. Metal kupował kowal. Drewno szło do pieca, by w ten ostatni sposób przysłużyć się właścicielom.

Gdy Krystyna zacisnęła dłoń na uchwycie lusterka, poczuła się w pewien sposób bardzo poważna i dorosła. Przysunęła je do twarzy i z ciekawością przyglądała się odbiciu, jakby nie należało do niej, Krystyny, tylko do kogoś zupełnie innego, obcego. Wydała się sobie bardzo ładna, i to taką urodą, o której śpiewają rzewne piosenki. Aż westchnęła z ukontentowania i poprawiła włosy, by wyglądać jeszcze ładniej.

Ten gest wzbudził w zgromadzonych w izbie kobietach wesołość. Tylko jedna, Gancarzycha, wiecznie niezadowolona, o ustach cienkich jak nitka i z kącikami opuszczonymi w dół, prychnęła:

– Co wy stali robicie? Zabierzcie dziewczynce lusterko.

– Czemuż to? – zapytała Koziółkowa. – Patrzcie, jak się przegina. Ot, zalotniczka.

– Toż dziś piątek. Jeśli w piątkowy wieczór dziewczyna patrzy w lustro, to może tam zobaczyć diabła. A jeśli przy tym je jabłko, to dostanie go za męża.

W izbie zapadła cisza.

– Przecie to nie dziewczyna. – W głosie Koziółkowej już nie było śmiechu. – Toż to dziecko.

Niemniej wyciągnęła rękę, by odebrać małej lusterko. W chwili, gdy przechodziło z ręki do ręki, Krystyna rzuciła na nie jeszcze jedno spojrzenie. Nie zobaczyła tam siebie, tylko jakby mignięcie, jakby rozbłysk światła i coś podobnego do krowiego ogona. Krzyknęła przestraszona. Niedojedzone jabłko upadło na podłogę.

– Po co dziecko straszycie? – usłyszała głos Koziółkowej, zanim wszystko zakryła ciemność.

Rozdział drugi



Chomąto to najważniejszy element uprzęży, zwanej chomątową. Jest to rodzaj skórzanego, skórzano-drewnianego lub skórzano-metalowego kołnierza, który zakłada się zwierzęciu tak, by przylegał do szyi, opierając się na karku i łopatkach. Ze względu na to, że nie ma możliwość regulacji, chomąto jest dopasowywane indywidualnie do gabarytów zwierzęcia. Pozostałe elementy uprzęży – uzda, lejce, pasy pociągowe, podbrzuszniki, nagrzbietnik – są połączone z chomątem. Ten rodzaj uprzęży pochodzi z Chin. Jego popularyzacja pozwoliła w pełni wykorzystać siłę pociągową zwierząt.

Listopad 1922

Tego wieczoru matka posłała Natalę do dziadków Hubów, by pomogła doić krowy. Nie pierwszy to ani zapewne nie ostatni raz, jednak dziewczynka czuła, że dzisiaj coś się za tym kryje. Matka jakby specjalnie chciała się pozbyć obojga z domu. Wojtka posłała do stryja ze sprawą, którą można było załatwić nazajutrz albo też jakiegoś innego dnia. Natali zaś kazała iść krowy doić.

– Tylko mleko oporzędź, przecedź, żeby jakich paprochów nie było, a cedziłko wypłucz dokładnie.

Tym to akurat babcia Terenia mogła się zająć. Przelać mleko z jednego wiaderka do drugiego to nie taka ciężka robota, nie mówiąc już o wypłukaniu płóciennej szmatki. Widać matka chciała, by pobyt córki u dziadków trwał jak najdłużej.

Jednak każda praca, nawet ta wykonywana jak najwolniej i jak najdokładniej, wreszcie się kończy. Dlatego Natalia musiała wrócić na swoje

podwórko. Daleko nie miała, przez sad, przez ogród, boczną furtką i już była u siebie. Podobno ojciec nie chciał tak blisko Hubów się budować, ale go bliscy przekonali, że pola czy łąki, a nawet i pastwiska pod zabudowę szkoda. Hub miał rozległe podwórze, dało się je przedzielić na dwa. Na szczęście dla wszystkich Franek się uparł, by chałupy jak najdalej od siebie postawić. Podobno powiedział, że woli mieszkać drzewi w drzewi z Gancarzem niż z Hubem. I tak wszystko obmyślił, by własną chałupę schować za oborą, a ogrodem i sadem oddzielić się od rodziców żony. Jeśli jednak podeszło się do ogrodzenia, to można było zobaczyć, co się na sąsiednim podwórku czy też w izbie dzieje.

Ukryta w mroku Natalia patrzyła na własną chałupę. Ciemność w oknach pozwalała przypuszczać, że nikogo nie ma. Ona jednak dobrze wiedziała, że matka tam siedzi. Nigdzie nie poszła. Cicho, cichutko, jak kot, gdy się do myszy podkrada, dziewczyna zbliżyła się do drzwi. Były zamknięte od środka. Nasłuchiwała przez chwilę, ale łomot własnego serca zagłuszał odgłosy z izby. Podeszła do okna i stała przez chwilę, wreszcie odważyła się zajrzeć. Trochę trwało, nim zdała sobie sprawę, że to jasne, co się w pościeli porusza, to czyjaś dupa.

Najpierw poczuła gniew. Potem był smutek. Na koniec ogarnął ją strach. Chciała się gdzieś ukryć, nie wiedziała gdzie. W oborze matka ją znajdzie. Na łąki po nocy strach biec. W końcu schowała się pod dziadkową stertą siana. Przykucnęła. Czowała się taka bezsilna, smutna i zdradzona. Przede wszystkim zdradzona.

Jakże matka tak mogła? Z obcym chłopem? Tak za tatkiem płakała, tak rozpaczała. Natali i Wojtkowi kazała modlić się każdego dnia o spokój ojcowskiej duszy. Opowiadała historie o narzeczeństwie, ślubie, o wspólnym życiu, które brzmiały jak bajki, tyle w nich było miłości i szczęścia.

I nagle o tym wszystkim zapomniała? O ojcu zapomniała? Zamierza zastąpić go pierwszym lepszym chłopem? Ma Natalia kogoś obcego nazywać tatą? Intruza, uzurpatora ma w rękę całować przed pójściem spać i dobrej nocy mu życzyć?

Nie może tak być. Może ona teraz sierota, ale nikogo innego na miejsce własnego ojca nie potrzebuje. Bo on był, był... Na pewno był wspaniałym człowiekiem. Na darmo próbowała przypomnieć sobie coś innego niż to jedno wspomnienie, które jej po ojcu zostało.

Szli ku rzece. Było to późnym latem. Trawy jakby zapomniały

o sianokosach, odrastały bujne, wysokie. Ledwie od ziemi odrośniętemu maluchowi wydawało się, że wszedł w bór nieprzebyty. Pamiętała strach, jaki ją ogarnął, że nie zdąży iść za ojcem, zbłądzi w tych trawach, wpadnie do jednego z dołów, gdzie torf kopali, albo dojdzie do samego brzegu rzeki i wpadnie w toń. Zginie, nikt jej nie odnajdzie. Przerazona zapłakała nad swoim losem. Ojciec pochylił się nad nią, jego twarz znalazła się naprzeciwko jej twarzy. Wielkie, łagodne oczy patrzyły z miłością.

– A czemuż ty, Natała, płaczesz? Pić ci się chce?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Głodnaś?

Nie. To nie to.

– Zmęczonaś?

Twarz odsunęła się nagle. Pojawiły się dłonie, kolorem i fakturą podobne dębowej korze. Chwyciły Natalę i uniosły ponad bezkres traw. Siedziała teraz na ramieniu ojca. Tata zdjął z głowy słomiany kapelusz i włożył go dziewczynce.

– Pilnuj, żebyś nie zgubiła – nakazał. – I za włosy mnie trzymaj, co byś nie gibnęła się do tyłu.

Wplotła paluszki w jego bujną czuprynę. Dotychczas nigdy nie dotykała ojcowskich włosów. Zdziwiło ją, jak inne są od matczyńskich – szorstkie, zmierzwiłone, przypominały sierść zwierzęcą i podobnie do niej pachniały.

Zbyt duży kapelusz zsunął się Natali na oczy. Nie widziała nic poza czubkiem ojcowskiej głowy, białą skórą prześwitującą pomiędzy pasmami ciemnych włosów, tak jak ziemia prześwituje między źdźbłami zboża. Natała obserwowała to z niesłychaną fascynacją. Po raz pierwszy w swoim życiu i, jak się miało wkrótce okazać, po raz ostatni była fizycznie tak blisko z ojcem.

Wyszli na drogę, która prowadziła na mostek. Szeroki pas zjeżdżonej czarnej ziemi, ozdobiony misternym wzorem linii, zostawionych przez koła wozów, przetykanych odbiciami końskich kopyt i ludzkich stóp. Natała z zaciekawieniem śledziła te wzory, próbując odgadnąć, kto tu jechał, kiedy i za czym.

Pachniało wilgotnym torfem. Znała ten zapach, czasem wiosną wiatr niósł go od łąk, jesienią zaś otulał chaty intensywnie, unosząc się od zwałów schnących kostek, które zimą służyły za opał. Płonący torf śmierdział, wypełniał wnętrze chałupy nieprzyjemną, gnilną wonią. Ładniej pachniały szyszki, świeżo, żywicznie. A najpiękniej suche drewno, ale jego było

najmniej i najrzadziej go używano.

Weszli na mostek. Z wysokości ojcowych ramion wydawało się, że do powierzchni wody jest tak daleko. Natała pisnęła przestraszona. Ojciec mocniej ścisnął jej nóżki i powiedział, żeby się nie bała, bo on mocno trzyma. Przez chwilę trwała z całych sił przytulona do ojcowskiej głowy, ciekawość jednak zwyciężyła. Łypnęła na rzekę raz, łypnęła drugi, już odważniej. W szmaragdowej toni kołysały się podobne do wstążek długie liście roślin wodnych. Między nimi można było zobaczyć inne, krzaczaste. Była tam też taka, która wbita korzeniami w dno kładła swoje liście na wodzie. Jej łodygi tańczyły z prądem, ale podobne talerzom liście leżały spokojnie, dając złudne wrażenie, że można na nich stanąć. W tym podwodnym lesie pojawiło się coś, co nie było rośliną. Szary grzbiet z kolczastą płetwą wychynął spośród łodyg, zamarł na chwilę i umknął, spłoszony ruchem na moście.

– Widziałam rybę – szepnęła ojcu do ucha. A on roześmiał się, jakby go ta wiadomość niezwykle ucieszyła.

Przeszli na drugą stronę. Tu droga wspinała się na pagórek, meandrując tak, by koniom ciągnącym ciężki wóz jak najłatwiej było iść.

Gdy znaleźli się na szczycie, ojciec przystanął. Z tego miejsca znany świat wydawał się mniejszy, a zarazem piękniejszy. Pola, łąki, podwórka, ogrody nie przypominały siebie, tylko kawałki różnorodnych tkanin, zszyte w przedziwną kapę, którą przykryto ziemię. Łąki wyglądały jak zajęcze futerko, zarośla jak barani kozuszek. Chciało się wyciągnąć rękę i zanurzyć w ich miękkości. Owa kapa nie była gładka, fałdowały ją pagórki. Na jednym z nich, na prawo, leżał Czartowiec. Dachy chałup z poczerniałej od deszczów słomy przypominały żuki, które zamarły przestraszone. Miało się wrażenie, że gdy się odwróci wzrok, pierzchną w popłochu. W drugą fałdę wtulał się Tynczyn. Z tego miejsca rzeczywiście widać było, że biegnące przez wieś drogi tworzą rysunek podobny do ptasiego dzioba. Z tej odległości nawet ukryta między drzewami cerkiew wydawała się malutka. Po tej zielonej tkaninie wolno pełzła Huczwa, szmaragdowa liszka, która nie miała ani początku, ani końca. Wysuwała się spod Smarkatej Góry, znikła pod Tyszowcami.

– Patrzajcie, tato! – Podniosła głos, bo wobec tego wielkiego świata wydawała się sobie taka malutka. – Wszystko widać. I cerkiew, i karczmę. I nawet naszą chałupę widać.

– Ano widać. – Ojciec czule pogładził ją po nóżce. – Tak to już na tym świecie jest, że im wyżej wejdiesz, tym więcej widzisz.

– A jest taka góra, co z niej całutki świat widać?

– Nie, takiej góry nie ma.

– A czemu?

– Widocznie Pan Bóg nie chciał, by ludzie cały świat oglądali. Ma im wystarczyć to, co mają najbliżej siebie, i tyle.

– Ale z nieba to wszystko widać?

– Z nieba to tak. Tyle że to zupełnie inna sprawa.

– Czemu?

– Bo to miejsce nie ludzkie, a boskie.

Westchnął, odwrócił się i ruszył ku Mikulinowi.

Wieś ta, podobnie jak Tynczyn, była zwarta, chałupa stała obok chałupy. Ludzie krzątali się po obejściach, kilku chłopców bawiło się na drodze. Gdy spostrzegli obcego mężczyznę, pierzchli jak stado spłoszonych wróbli. Nie uciekli jednak daleko. Skryci za płotem przypatrywali się ciekawie przybyszowi. Któż on jest? Dokąd pójdzie? Trzeba się dowiedzieć i zaraz pobiec do matek, babek, ciotek, niosąc im wiadomość o tym wydarzeniu, które zakłóciło rutynę codzienności.

Ojciec wszedł na jedno z wąskich podwórek. Natalę zdziwiło, jak on w tej obcej wsi, której chałupy wyglądają bliźniaczo, potrafił odnaleźć właściwą.

– Stryjna, stryjna, a gdzie wy? – krzyknął wesoło.

Z obory wyszła jakaś kobieta, Natali wydawała się stara. Może jednak nie była? Dla dziecka dorodzi dzielą się na tych bardzo młodych, tych bardzo starych i wszystkich między nimi, o których wieku trudno cokolwiek powiedzieć.

– A co to za gościa nam Pan Bóg przysyła? Franio? A ta śliczna dziewczuszka to kto?

– To moja Natalcia.

– Daj mnie ją. Ależ ładniutka. Do matki twojej podobna. Szczęściem nie wdała się w Hubów. Ty o dobrego psa się staraj, bo się od kawalerów nie opędzisz.

– Na to jeszcze czas.

– Nie wiesz nawet, jak on gna. Toś ty dopiero był taki mały. A dajże mi ją, niech się ucieszę.

Wyciągnęła ręce, ojciec zdjął Natalę z ramion i podał tej obcej kobiecie, tak

jak dzieci podają jedno drugiemu kocię, nie bacząc, czy ono ma na to ochotę.

Obce ramiona przytuliły dziewczynkę do piersi, pachnącej skwaśniałym mlekiem i gnojem. Wszystkie kobiety pachniały podobnie. Ten znajomy zapach uspokajał. Łzy, które cisnęły się do oczu Natali, znikły.

– Stryj w domu?

– Na wieś poszedł, do Stefka go poniosło. – Odwróciła się ku płotowi. Stali za nim, wyciągając chude szyje, ci chłopcy, którzy wcześniej bawili się na drodze. – Waciu, a ty leć no do Stefka, powiedz memu staremu, że gościa ma.

– A kto to? – zapytał najwyższy chłopiec z burą czupryną.

– Tobie trza wiedzieć, kto to? – roześmiała się gromko. – Leć, leć. Jak wrócisz, to ci powiem. Ty Jaśka Paluszka pamiętasz? Te dwa większe to jego. A psotne, a gnuśne, że aż strach. Nie wiadomo, w kogo się to wdało, u nas naród pracowity.

– Wyrosną. Przecież to dzieci jeszcze.

– Ja tam wiem, czy wyrosną? Jak człowiek grzeczny, to już za dziecka grzeczny, a jak dziki, to od małego dziki. A ta twoja dziewczuszka to cichutka, milutka. Głodna może?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Chodźcie do izby. Mleka małej dam. A chlebek z miodem lubisz?

Natala rozejrzała się po izbie, ciekawa nowego miejsca. Na ścianie wisiały kolorowe wizerunki świętych, między nimi palma wielkanocna, brzozowa gałązka urwana z drzewka stawianego obok ołtarza i zupełnie suche wianuszki święcone w oktawie Bożego Ciała. Pod okienkiem był stół, na nim płócienny bieżnik ze wzorem w haftowane krzyżykami kwiatki. Na łóżku, przykrytym barwną kapą, leżały dwa jaśki w powłoczkach z takim samym wzorem. Poza stołem i łóżkiem stały tu jeszcze dwie ławy, krzesło i zydelek.

Gospodyni wskazała ojcu Natali krzesło. Podsunęła nogą zydelek do ławy stojącej bliżej pieca. Posadziła na nim dziewczynkę i zaczęła się krzątać.

– Masz tu, zazuleczko. – Podsunęła dziewczynce kubek z mlekiem i podała pajdę chleba, obficie posmarowaną miodem. Ojcu podała drugi kubek i miskę zupy. Wymawiał się, że niegłodny, ale siłą mu naczynie do rąk wcisnęła. – Jedz, jedz. Nie spodziewałam się gości, bobym co lepszego zgotowała, a tak na nas dwoje starych to tej zupy aż nadto.

– Nie tacy wy jeszcze starzy.

– No i już niemłodzi. Bliżej nam niż dalej. Ale płakać nie ma co, bo dał Pan

Bóg dobre życie. Dzieciom szczęśliwie odchowala, córki za mąż powydawała, dają sobie radę. A i my jeszcze o własnych siłach, na niczym łaskawym chlebie nie żyjemy.

– A pewnie, pewnie. – Łyżka chrobotala o dno miski.

Natala powoli zula chleb. Był już lekko czerstwy, czulo się smak zakwasu, ale łagodzila go słodycz miodu. Złocista kropla splynela na palce dziewczynki.

Do izby wszedł mężczyzna, wysoki, mocno przygarbiony. Szeroka i prosta linia brwi, kształt i kolor oczu, zarys szczeki miał takie same jak tata Natali i jej starszy brat, Wojtek, o którym mówiono, że ze wszystkim wdał się w Dołęgów.

Stuknela miska, gwałtownie odstawiona na stół. Skrzypnelo krzesło. Ojciec wstał, podszedł do stryja, objeli się mocno i czule.

Ojciec ustąpił stryjowi miejsca na krzesle, sam przysiadł na ławie. Przez chwilę rozmawiali spokojnie o tym wszystkim, o czym mężczyźni lubią rozmawiać. Mówili o polityce, o wielkiej wojnie, o zeszytych i przyszłych zbiorach, o siewie i sianokosach, a także o pogodzie, jaką zapowiadają wczesne przyloty ptaków, wieczorny rechot żab czy księżycowa poświata. Potem o cenie jajek, drobiu, świń i bydła, o zdzierstwie, pośrednikach, serwitutach i strajkach. I jeszcze o rewolucji, potrzebie buntu i zmian, bo bez nich wszyscy zginą. W końcu zamilkli.

– A ciebie co sprowadza? – zapytał stryj. Głos miał teraz inny. Wcześniej, gdy mówił, w jego głosie słychać było emocje, ale jawne. Złość była złością, niepokój niepokojem, radość radością. Teraz pytał obojętnym tonem, pod którym ukrył czulość.

– Do Ameryki jadę.

– To wiemy. Mówili nam ludzie na jarmarku. Paru chłopów od was tam się wybiera. Ale na co tobie ta podróż? Pole masz, pieniędzy ci nie brakuje.

– Jakie to moje pole, kiedy stary z zapisem nie wiadomo na co czeka. Rób, bo twoje, nie rusz, bo moje. Anim gospodarz, anim parobek. A dzieci dwoje. Za parę lat trza będzie je obdzielić i czym? Tym, co po moich ojcach?

– Ano tak, ano tak. – Stryj pokiwał głową. – A to nie lepiej by ci było starego do zapisu przymusić?

– A myślicie, zem ja go nie przymuszał? Uparty, pijak jeden. – Syk stryjenki przerwał ojcu. Odchrząknął. Natala czula, że na nią patrzą.

– Jeszcze mleczka ci nalać, Natalcia? A może ty samego miodu chcesz do

miseczki, co? Dam ci miodu, dobry miód, stryj sam podbierał.

– Zanim do zapisu przyjdzie, pieniądze rozniesie i tyle mego będzie.

– A twoja co na to?

– Ona za swoimi bardzo jest. Co stary powie, to święte. Może on i nie ukrzywdzi własnych dzieci. No ale ja obcy.

Wszyscy troje pokiwali głowami.

– A mój brat co na to? – zapytał stryj.

– Pytacie, jakbyście go nie znali. On radzi się z Hubem procesować.

Ojcowy stryj sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej fajkę. Z zawieszzonego na szyi woreczka wyjął odrobinę tytoniu. Ruchy palców miał powolne, staranne, nosiły znamiona powtarzanych od lat. Podszedł do pieca, cienkim patyczkiem grzebnął w popiele, iskierka żaru zamieniła się w płomynek. Przytknął go do fajki. Przyssał się do cybucha z rozgłośnym mlaskaniem, ciągnął jak mały cielak dójkę. Kłęby dymu buchnęły mu z ust, nosa, a zdawało się, że i z uszu, oczu. Przyjemny zapach palonego tytoniu wypełnił izbę. Stryj upewnił się, że patyczek zgasł, i rzucił go na klepisko pod piecem. Sam na powrót rozsiadł się na krześle.

– U niego głowa zapalona. Dobry to człek, ale drzemie w nim awanturnik. Dobrze, żeś ty się w matkę udał, dobra z niej była kobieta. Rozważna. Jak jej nie stało, to ty porady nie masz od nikogo.

– Toteż do was przychodzę.

– Mnie się zdaje, że w samej wyprawie nie ma nic złego. Ludzie po różnych miejscach podróżują. Są tacy, co na Syberię się wyprawiają, są tacy, co do Ameryki. Pojechać to łatwo. Ale czy ty masz pewność, że będzie do czego wracać?

– Moja nie z tych.

– Ano, skoroś jej pewien.

Zapadła cisza, przerywana stryjowym pykaniem fajki.

– Jeszcze jedną sprawę do was mam – zaczął nieśmiało ojciec. Stryj zachęcająco kiwnął głową. – Jakby mnie co... Takich rzeczy mówić nie trzeba, ale rozmaicie ludziom pisane, jakby mnie co... Wy o moich będziecie mieć baczenie?

Stryjenka wybuchnęła płaczem. Stryj podszedł do ojca i czule go przytulił. Natalka nie wiedziała, czy ma płakać, czy się śmiać. Żałowała, że miód się skończył, bo wstydziła się poprosić o więcej.

Później, ilekroć wspominała ojca, czuła na języku kwasotę podtęchłego

chleba i słodycz miodu.

W tej chwili, gdy myślała o tym obcym mężczyźnie i matce, miała wrażenie, jakby jej do tego miodu ktoś dodał łyżkę dziegciu. Tak być nie może. Otarła twarz rękawem i strzepnęła siano, które przyczepiło się do kaftana i spódnicy. Chwilę później wchodziła do izby dziadków.

Dziadek siedział przy piecu. Plecy ogrzewał.

– A co to, Natała, zapomniałaś czego? – zapytał spokojnie. Gdy zdał sobie sprawę, że wnuczka płacze, podniósł się i podszedł. – Stało się co? – W jego głosie słychać było zaniepokojenie.

Natała myślała, że słowa łatwo przejdą jej przez gardło. Była zła, wzburzona i chciała zemsty. Ale gdy otworzyła usta, wydobył się z nich szloch.

– No co, dziecko? Skrzywdził cię kto? – Dziadek położył swoją wielką, pulchną dłoń na jej ramieniu.

– Mama... – wydusiła wreszcie.

– Zrobiła ci coś? Powiedziała?

Natała zaprzeczyła ruchem głowy.

– Stało jej się co? No, mówże dziecko, mów!

Taki był skutek dziadkowego zniecierpliwienia, że krtań jeszcze mocniej jej się ścisnęła i Natała dała radę tylko machnąć ręką w kierunku swojego obejścia, a potem wybuchnęła szlochem. Dziadek, widząc, że niczego się nie dowie, rzucił się ku drzwiom.

– A co wy tak hałasujecie? – Babka, już w nocnej koszuli, stanęła na progu alkierza.

Natała i jej nie zdołała nic powiedzieć. Odwróciła się i pobiegła za dziadkiem. Ten już się dobijał do drzwi córki, już na nie napierał, pokrzykiwał. Z izby dochodził uspokajający głos matki, która w końcu otworzyła.

– A na cóż ty się zamknęłaś? – zapytał dziadek, przekraczając próg chałupy, bo chciał wejść do środka.

Zaraz jednak się cofnął. Pod oborą stały widły na trzy rogi. Złapał je, w rękę wyważył, czy dobrze leżą, i do chałupy z nimi wskoczył. Zaraz też z izby wybiegła matka z półnagim mężczyzną. Matka krzyczała przerażona, głośno, piskliwie. Mężczyzna próbował łagodzić, uspokajał dziadka, mówił, że nic takiego się nie stało. W odpowiedzi dostał po plecach tak, że aż się wygiął.

– Ty zdiro! – krzyczał dziadek. – W kogoś ty się udała? Wstydu nie masz? Na oczach dzieci takie rzeczy? Bezwstydnico ty!

Matka uciekła do obory. Chłop pognął na wieś. Ze szczekania psów można się było domyślić, które obejścia mijał.

Dziadek odstawił widły. Sapał jak miech kowalski.

– My to się jutro rozmówim – rzucił w stronę obory. – A tego dziada więcej na oczy widzieć nie chcę, bo zabiję. Słyszysz? Zabiję dziada, a ciebie razem z nim.

Zatrzymał się przy wnuczce. Przez chwilę patrzył na nią, choć przecież w ciemności nie mógł nic wyczytać z jej twarzy.

– Chodź, dziecko. U nas dziś spać będziesz.



Ciasteczka szwajcarskie

6 dkg smalcu, 4 dkg masła, 8 dkg cukru i jedną łaskę wanilii utrzeć w makutrze na pianę. Wtedy dodać jedno jajko i dobrze utrzeć. Dodać 14 dkg mąki przesianej i zmieszanej z płaską łyżeczką proszku do pieczenia. Wyrobić ciasto. Moczyć ręce w wodzie i formować równe kulki, powinno wyjść około trzydziestu. W środek każdej wcisnąć suszony owoc lub owoc z konfitury. Na koniec otoczyć kulkę w drobniutko posiekanych orzechach, płatkach owsianych lub wiórkach kokosowych. Wyłożyć na posmarowaną blachę i piec w średnio gorącym piecu na złoty kolor.

Krystyna 1904

Sierpniowe słońce nie żałowało ciepła i światła, a mimo to w izbie było ciemno. Krystyna przysunęła sobie zydel jak najbliżej małego okienka. Matka kazała jej przebrać ziarna zeszłorocznej fasoli. Nowa już na zagonie podsychała. Lada dzień będzie się zbierać krzaki i płachtami pod dach nosić. Jednak tego, co zostało, zmarnować nie wolno. Ziarna były duże, płaskie, białe i gładkie. Przyjemnie brało się je w palce. Jeśli na którym widniała rysa, czarna kropka czy pęknięcie, należało odłożyć je na bok, będzie z nich karma dla zwierząt. Te dobre zjedzą ludzie. Krystyna z dumą patrzyła na ziarna, takie duże. Ludzie we wsi zazdrościli ich matce i prosili, by choć garść dała, bo z takich dużych, ładnych ziaren plon obfity. Dobry plon daje tylko dobre ziarno. Z ludźmi tak samo, pomyślała Krystyna i aż się zdziwiła, że przyszło jej do głowy coś tak poważnego. Skąd taka myśl?, zapytała samą siebie. Nie zdążyła jednak odpowiedzieć, bo do izby weszła matka.

– A ty ile myślisz nad tym siedzieć? Toż już dawno powinno być zrobione,

a ty przy czym innym powinna mieć zajęcie.

– Kiedy dokładnie patrzę, żeby jakiego zbolełego nie było.

– A co przeszkadza robić dokładnie i szybko?

Krystyna opuściła głowę, by pokazać, że jej przykro. Matka mruknęła coś pod nosem, nie wiadomo, czy przyganę, czy słowo przebaczenia, i wyszła z izby. Taka była, nie usiedziała na miejscu dłużej niż trzy pacierze. Wciąż w biegu, wciąż zajęta. We wsi powiadali, że robota jej się w rękach pali. Niejeden chłop, którego los z powolniejszą czy gnuśniejszą kobietą związał, patrzył na ojca z zazdrością.

– Z taką babą to się dorobić można. – Krystyna nie raz słyszała takie słowa. Duma ją wtedy rozpierała i patrzyła na matkę jak na święty obrazek w kościele.

Sama też taka chciała być. Pracowita, chętna. Garnęła się do pomocy, ale mało kiedy coś dobrego z tego wynikało. Zawsze było zbyt wolno.

– Co z ciebie będzie za gospodyni, jak niczego nie umiesz? No jakże ty te grabie trzymasz? Do zgrabienia dwa pokosy tylko, a ciebie wieczór przy tym zastanie. Dajże!

Niczego innego nie słyszała, tylko owo „dajże”, „dajże”, „dajże”.

– Jakże ja mam się czegoś nauczyć, kiedy mnie, mamciu, we wszystkim wyręczacie?

– Jak nie wyręczać, kiedy źle robisz?

Jakże mam dobrze robić, kiedy nie umiem?, pytała, ale w myślach. Nie chciała matki rozsierdzić. Bała się. Inne matki w nerwach chwyciły za pogrzechacz, za chochlę. Wymierzały kilka razy w pupę, a potem, jakby nigdy nic, wracały do swoich zajęć. Matka Krystyny nie była jak tamte. Konia z rzędem temu, kto trafnie by przewidział, co robi rozzłoszczona. Czasem biła, czasem tylko krzyczała, czasem płakała, czasem szła ze skargą do ojca, wyolbrzymiając przewinę bezgranicznie, czasem zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, ale przypominała sobie po tygodniu i wtedy, dla odpokutowania, kazała klęczeć na grochu. Ta nieobliczalność matki przerażała Krystynę bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Dlatego też wykonywała wszystkie polecenia bez szemrania, ale i tak niekiedy okazywało się to zbyt mało. Czasem matka po prostu chciała, by ją rozzłoszczono. Wtedy wszystko stawało się pretekstem, bez względu na to, jak bardzo Krystyna się starała. Czasem nawet, wyczuwając zmianę w zachowaniu matki, specjalnie robiła coś na opak, by ściągnąć na siebie

gniew, by burza przyszła, wyszumiała się i minęła, a potem znów w domu świeciło słońce.

Może dziś jest taki dzień? Może matka za chwilę wróci do izby i zacznie krzyczeć? Nie, dziś jeszcze nie. Jutro, pojutrze tak. Dziś jeszcze będzie dobrze, uspokoiła sama siebie i nizej pochyliła się nad stołem, by żadnego uszkodzonego ziarna nie przegapić.

– Krysia! Chodź no tu!

Zerwała się jak poparzona i rzuciła ku drzwiom. Wybiegła na podwórze. Zatrzymała się nagle, oślepiona letnim słońcem.

– Patrz, kto do nas przyszedł.

Oczy z wolna odzyskiwały zdolność widzenia. Twarz rozjaśnił uśmiech, gdy w stojących obok matki dziewczynach rozpoznała swoją cioteczną siostrę Stefcię i serdeczną przyjaciółkę Gienię.

– Przyszliśmy zapytać, czy pójdziesz z nami jutro na odpust?

Jutro? Czemuż nie innego dnia, dlaczego właśnie jutro?

– Nie mogę.

– Co też ty gadasz, dziewczyno? Toż odpust parafialny i święto przeogromne. – Głos matki pełen był wesołych nut, jakby to nie ona mówiła, a skowronek.

– Ja tylko myślałam, że jak zawsze, z wami. – Spojrzała na matkę.

– Tobie już czas z młodymi chodzić i na tańcach zostawać, dobrze mówię?

– Tamta odwróciła się do przybyłych, a dziewczęta skinęły głowami i zapiszczały radośnie.

Jak te wróble na płocie, tak one jedna przez drugą świergotały, jak to iść będą, jaka to piękna będzie uroczystość, a potem stragany, może wstążkę się ładną dostanie albo paciorki. Krystyna kiwała tylko głową. Czuła na sobie spojrzenie matki i ciarki przebiegały jej po plecach.

– Ależ z ciebie mameluk – usłyszała, gdy dziewczęta już poszły. – Słowem się nie odezwać? Widziałaś tamte? Zadowolone, wesolutkie. A ty? Jakby ci kto co złego zrobił. Wyprostujże się. I robotę sobie jakąś znajdź, bo pożytku z ciebie żadnego, a zaraz za mąż będziesz chciała iść. A idź, idź, niech się kto inny z tobą męczy.

Krystyna wróciła do izby. Gdyby tak zachorować? Jest taka choroba, co nagle na człowieka spada? A może pogody nie będzie? W deszczu przecież nie będą tańcować. Och, żeby padało!

O świcie na wschodzie zebrały się chmury, dając nadzieję na deszcz.

Wkrótce okazało się jednak, jak złudna była. Ciepły wiatr rozgonił chmury i pogoda zrobiła się piękna. Jakby na złość, jak na przekór.

Matka również wyglądała na wyjątkowo pogodną, ale Krystyna czuła, że to tylko pozór, maska, zza której lada chwila wyłoni się prawdziwe oblicze. Teraz jednak była wesołość, nawet ekscytacja, czesanie włosów, zaplatanie warkoczy, zapewnienia, jaka córka jest ładna.

– Mam tylko ciebie jedną jedyną zazuleczkę – mówiła. – A urody masz tyle, że dla trzech by starczyło. Może to taka nagroda? Inne matki dostały po kilkoro, ja zaś jedno, ale za to jakie. Bo i rezolutna z ciebie dziewczynka, i posłuszna. Taka córeczka to skarb prawdziwy. Oj nie dam cię ja byle komu, nie dam. Poczekam na jakiegoś królewicza, boś ty warta.

Krystyna kiwnęła głową i tylko się uśmiechnęła. Zachwyt, jaki wzbudzała w ludziach, towarzyszył jej od dziecka, tysiące razy słyszała pochwały, ale ani spojrzenia, ani słowa nie cieszyły. To nie był dar, tylko przekleństwo, które w każdej chwili mogło przynieść gniew matki. Lepiej byłoby mieć zwykłą twarz, ani ładną, ani brzydką, taką, która nie przyciąga uwagi, z którą można sobie siedzieć na zydlu przy piecu i groch łuskać.

– Ludzie będą się tobą zachwycać. Każdy, kto cię zobaczy, zaraz zapyta, a czyjaż to córka. A ty grzecznie odpowiadaj, żebym ja wstydu przez ciebie nie miała.

Zaczyna się, pomyślała Krystyna.

– I żeby ci do głowy nie przyszło za kawalerami oczyma strzelać. Niech no ja się dowiem, żeś z jakimś gadała, to... na całe życie popamiętasz. Wstydu w chałupie nie chcemy, rozumiesz? – Ręka, która jeszcze przed chwilą łagodnie czesała włosy, teraz chwyciła je mocno, zbyt mocno, i choć Krystyna z całej siły zaciskała zęby, wyrwało jej się piśnięcie. – No i czego piskasz? Czego piskasz? – Ręka z grzebieniem uniosła się do góry.

Wypełniające oczy łzy zamazały obraz.

– A czego ty chcesz płakać? Tak zabołało? Wybacz, zazuleczko, już nie będę. Włoski się splątały, to i szarpnęło. No już dobrze, dobrze. Toż nie pójdziesz między ludzi zapłakana.

Krystyna trwała w bezruchu. Nie chciała pozwolić, by łzy popłynęły. Wystarczy, że jedna przetrze szlak, a nie będzie ratunku, nie da się powstrzymać następnych. Wtedy będzie nieszczęście. Obraz z wolna wyostrzał się, poczuła w ustach słony smak. Pociągnęła nosem, przełknęła ślinę. Już dobrze. Teraz nic złego się nie wydarzy. Dopiero wieczorem, gdy

zmęczona wróci do domu, dowie się, jaka jest durna, jak to ktoś jej w pustym łbie zawróci, jak w krzakach wytarmosi. Nawet jeśli nie będzie bicia, słowa, ostre jak nóż masarza, wystarczą.

– A co ty taka sfrasowana, Krysiu? – zapytała Gienia.

– Zdaje ci się.

– Rozchmurz się. Toż na odpust idziemy. Będą stragany, będą kawalerzy.

Krystyna zmusiła się do uśmiechu, choć słowo „kawalerzy” wzbudziło w niej strach. A czegoż ty się, głupia, boisz? Dostaniesz lanie, choćby tam i żywej duszy nie było.

Ludzi zjawilo się mrowie. Tłoczyli się pod kościołem, stali w grupach na stokach wzniesienia, na którym dzierążyński kościół został postawiony, szukali chłodu pod drzewami rosnącymi nad brzegiem Wozuczynki, szli na cmentarz albo z niego wracali.

Dwa lata wcześniej pożar częściowo zniszczył kościół, wciąż wydawało się, że otacza go swąd spalenizny, ale teraz, dzięki staraniom proboszcza, szlachty okolicznej i chłopów, remontowano gmach, tak że miał być jeszcze piękniejszy. Przed wejściem stały rusztowania, budowano bowiem przedsionek, a wewnątrz wznoszono nowe ołtarze. Nie pierwszy to raz, że ogień zniszczył kościół w Dzierążni. Czwarty był to już raz, a ponieważ obecnie nie Kozacy stali za podpaleniem, ludność okoliczna dopatrywała się w tym znaku. Dlatego też, gdy pod koniec zimy wybuchła wojna między Rosją a Japonią, połączono to z pożarem. Mówiono, że koniec cara bliski.

Nabożeństwo, tak jak to dawniej, po innych pożarach było, odprawiono w dzwonnicy. Kiedy się skończyło, na placu kościelnym i wokół niego zrobiło się spore zamieszanie.

Krystyna rozglądała się nerwowo, gdzieś w tej ludzkiej masie była matka, która też przyszła na mszę. Stojąca obok Gienia szepnęła, że czas iść stragany oglądać. Jednak taka ciżba tam się tłoczyła, że dziewczęta nijak nie mogły się precisnąć. Trzeba było poczekać. Odeszły na bok, czekając, aż choć trochę się rozluźni.

Stefcia i Gienia rozmawiały z przejęciem o wstążkach, jaki kolor ładniejszy, Krystyna niby słuchała, myślała jednak o matce, jej nastroju i o tym, gdzie mama jest teraz. Pewnie już wraca do domu. Zawsze od razu po mszy ruszała w drogę. Zawsze w ruchu, zawsze czymś zajęta, w dzień świąteczny lubiła mieć jak najwięcej czasu na wypoczynek.

Nagle, jakby się zmówiły, przyjaciółki wybuchnęły śmiechem. Zaskoczyło

to Krystynę.

– A cóż to wam nagle tak wesoło?

Gienia przycisnęła dłoń do ust, jakby to miało pomóc w powstrzymaniu śmiechu. Widząc ten jej gest, Stefcia rozchichotała się ze zdwojoną siłą. Mijająca dziewczęta kobieta rzuciła im pełne oburzenia spojrzenie. Krystyna poczuła, jak gorący rumieniec wypływa jej na policzki. A jeśli tamta je zna? Jeśli powie matce?

– Uspokójcie się. Ludzie na was patrzą.

– A niechże patrzą. Toż od tego jesteśmy, żeby na nas patrzono. – Gienia zalotnym ruchem odrzuciła warkocz na plecy, a wzrok jej powędrował w bok, ku rozłożystej lipie, w której cieniu stało czterech młodych mężczyzn.

– Dajże spokój. Jeszcze zauważą, że na nich patrzysz.

– Ależ z ciebie głuptas, Krysiu. Oni dawno już zauważyli. A my ze Stefcią dlatego tak się śmiejemy, że ten najurodziwszy oczu od ciebie oderwać nie może, a ty nic nie widzisz.

Tylko nie patrz w tamtą stronę, upomniała się Krystyna.

– Ja bym wolała, żeby on nie patrzył. Nic mu to patrzenie nie da.

– Jakże nic? Napatrzy się, to może mu się w nocy przyśnisz.

– Nie mam życzenia być w czyichkolwiek snach. – Krystyna gwałtownie ruszyła w stronę kościoła. – Chodźmy już te wstążki oglądać.

I nie obejrzawszy się, czy przyjaciółki podążają za nią, ruszyła przez cizbę ku straganom.

One tego nie rozumieją, pomyślała, patrząc obojętnie na towary wyłożone na stołach. Powrócił strach. A do tej pory tak było dobrze, tak miło. Szły sobie we trzy, tamte jedna przez drugą trajkotały, jak te wróble, co obsiadłszy tarninę, w napięciu czekają, kiedy to gospodyni rzuci kurom ziarno. Nie mówiły o niczym ważnym, ale ich wesołe głosy, śmiech i radość udzieliły się Krystynie. Dzień był piękny, słońeczko śmiało się złocistymi promieniami, one były ładne, młode, wystrojone. Gdy dotarły na miejsce, okazało się, że do sumy odpustowej mają jeszcze trochę czasu, dlatego zatrzymały się niedaleko kościoła. Rozglądały się wokół, żądne widzieć wszystko – twarze, fryzury, ubrania, bogactwo i biedę, dzieciństwo i starość, radość i smutek. Potem uczestniczyły we mszy, modliły się, wysłuchały kazania.

Miały obejrzeć stragany, kupić sobie jakieś ozdoby, a potem wrócić do domu. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie dostrzegły tych przyglądających im się młodych mężczyzn.

Przyjaciółki były złe na Krystynę. Nic nie mówiły, ale ona bezbłędnie potrafiła wyczuć emocje, które odczuwali inni. Tylu tu ludzi, powiedziała do siebie, jest nadzieja, że im się w tłumie zgubimy.

Modliła się nawet o to żarliwie. Okazało się jednak, że tego dnia Pan Bóg miał tylu interesantów, tyle spraw ważniejszych, że mu prośba Krystyny umknęła. Jak inaczej wytłumaczyć to, że gdy po skończonych zakupach zeszły z górki, od razu się na nich natknęły. Było tu, nad brzegiem rzeczki, poniżej cmentarza, gospodarstwo niewielkie, płotem od drogi odgródzone. Stali oparci o ten płot. Pewnie czekali na nie, pomyślała Krystyna. Patrzyła, jak Gienia poprawiała warkocz i zalotnie zatrzepotała rzęsami. Dałaby mi matka za takie zachowanie.

A tamci już szli ku nim, tym sprężystym krokiem pewnych siebie młodych mężczyzn. Wyprostowane sylwetki, uniesione głowy i usztywnione nogi sprawiały, że każdy z nich podobny był do koguta, co maszeruje przez podwórko ku gromadzie kur. I choć wywoływało to w Krystynie śmiech, ich pewność siebie sprawiała, że poczuła się ważna.

– Dzień dobry paniąkom – powiedział jeden z nich, najniższy i najbrzydszy zarazem. Było jednak w jego twarzy coś, co sprawiało, że przyjemnie się na nią patrzyło. Może to oczy? Tak, na pewno oczy. Duże, jasne i szczerze. Jakby na niebo patrzeć, pomyślała Krystyna i mimowolnie się uśmiechnęła.

– No wreszcie! – Stefcie ucieszył jej uśmiech. – Boś wyglądała jak gradowa chmura. – A ponieważ była z nich trzech najśmielsza, to ona odpowiedziała. – Czy dobry, to się jeszcze okaże.

Wszyscy się roześmiali, ale nie był to swobodny, szczerzy śmiech, tylko ten podszyty zawstydzeniem i gdy wybrzmiał, zapadło krępujące milczenie. Mężczyźni przyglądali się dziewczętom, one zerkały na nich, Stefcia i Gienia dużo śmielej niż Krystyna. Jednak i te krótkie spojrzenia wystarczyły, by zobaczyć to, co warte zobaczenia.

Dwóch z nich było do siebie bardzo podobnych, musieli być braćmi. Mieli tak samo ciemne włosy skręcone jak strużyny drewna, a brązowe oczy otaczała siatka zmarszczek, które na twarzach młodych ludzi rzeźbią najprzeróżniejsze grymasy. Tych dwóch musiało podczas śmiechu mrużyć oczy, a sądząc z głębokości zmarszczek, śmiali się często.

Ostatni z nich, najwyższy i najprzystojniejszy, miał włosy koloru skórki na dobrze wypieczonym chlebie, a oczy szarozielone. Bił od niego spokój

i powaga. Rozsądek może? Krystynie się wydało, że ma w nim sprzymierzeńca, który, podobnie jak ona, nie znajduje przyjemności w zaistniałej sytuacji.

Milczenie zaczynało nabrzmiewać jak wrzód. Jeszcze chwila, jeszcze moment i stanie się nieznośne, zmuszając ich, by się rozeszli. Już, już miało to nastąpić, już Gienia wzięła za rękę Stefcie i miała ją pociągnąć za sobą, gdy odezwał się ten brzydki i zapytał, skąd one są, odbierając Krystynie nadzieję na rychły powrót do domu.

– My ze Zwiartówka – odpowiedziała Stefcia.

– To panienki parafianki tutejsze. Aż dziw, żeśmy się dotąd nie spotkali.

– A można zapytać skąd?

– Z różnych stron. Marian – tu wskazał tego najprzystojniejszego – aż z Pawłówki się wywodzi. Ale teraz my wszyscy tutejsi.

– Z majątku?

W odpowiedzi pokiwali głowami. Nie musieli tego robić, Krystyna już od początku wiedziała, że to fornale. A i przyjaciółki musiały się domyślić.

– Jakby się panienczki zgodziły, to my możemy odprowadzić kawałek.

– Przecież wam nie po drodze. – Po raz pierwszy odważyła się zabrać głos.

– A cóż to komu szkodzi, że nie po drodze. – Brzydki popatrzył Krystynie prosto w oczy i uśmiechnął się łagodnie, jak do dziecka.

– Panom, bo nóg szkoda. A i nam nie wypada z nieznanymi po gościach wędrować.

– A to my się zaraz przedstawimy. Mnie Gustek, a to moi druhowie, Marcin i Filip, a ten kawaler w naszej gromadzie najładniejszy to Marian. Teraz wystarczy, że panienki zdradzą nam swoje imiona, i już my będziemy znajomymi.

Stefci prosić nie trzeba było. I tym sposobem całą gromadą ruszyli drogą.

Gwar przykościelnego placu został za nimi. Szli między polami, wyłocnymi świeżą ściernią. Tutejsze tereny upstrzone były licznymi pagórkami. Kto choć raz w życiu na takim polu robił, wie, jaki to trud. Pod górę ciężko, ale przy schodzeniu z góry też niełatwo. Nogi bolą dwa razy bardziej niż po pracy na płaskim. Dziś jednak ludzi wokół nie było, wszak odpust parafialny. Wylegną na pola nazajutrz, wypełnią świat gwarem rozmów. Będą przysiadac na miedzach, rozmawiać, chłopcy w milczeniu zapalą papierosy, baby zaczną plotkować jak najęte. Gdy słońce wdrapie się najwyżej na niebo, sięgną po dwojaki, będą jeść żur i kartofle, a gdy słońce

dotknie czubków tych drzew, które rosły w oddali, zatrzymają się, rozprostują obolałe plecy i ruszą ku obejściom, skąd już słyhać będzie porykiwanie krów i płacz dzieci. Tak było wczoraj i tak będzie jutro, dziś jednak świat się zatrzymał. W polach nie słyzało się ludzi, tylko ptaki, ale dla nich nie ma dni świątecznych.

Jak ciepły wiatr łamie lód na rzece, tak młodość przełamała początkowe skrępowanie i Stefcia z Gienią rozmawiały z dopiero poznanymi kawalerami, jakby ich znały od lat. Śmiały się beztriosko i zaczynały dokazywać. Krystyna zwolniła kroku, pozwoliła, by przyjaciółki i adorujący je mężczyźni ją wyprzedzili. Szła kilka kroków za nimi, pogrążona w myślach. Szukała słów, jakimi opowie matce o całym zajściu. Fornale! Jakież to wstyd z fernalami po polach wędrować. Zwłaszcza dla gospodarskich córek, nawet tych uboższych, takich jak Krystyna.

– Paniencie nasze towarzystwo nie w smak?

Pytanie tak ją zaskoczyło, że omal szczerze na nie odpowiedziała. W porę się zreflektowała.

– Nie o towarzystwo tu chodzi. Tak po prostu nie wypada.

– Przecież nic zdrożnego się nie dzieje. Idziemy, rozmawiamy sobie.

Spojrzała na niego. Śmiały mu się oczy, śmiały się usta, nawet kartoflasty, niezbyt kształtny nos się śmiał. Takiego człowieka, co od stóp do głów cały byłby radością, Krystyna jeszcze w życiu nie spotkała.

– Jak ludzie zobaczą, zaraz gadać będą.

– A niechże gadają. Toż paniencie nie ubędzie od ludzkiego gadania.

Co ty tam wiesz, pomyślała Krystyna i spuściła głowę.

– Zasmuciłem? A to zupełnie niechcący. Jak panienka chce, to my zaraz zawrócimy.

Nie starczyło jej odwagi, by powiedzieć na głos, że tego właśnie chce, tylko kiwnęła głową. A on, nie czekając chwili, ruszył do towarzyszy. Szepnął coś do tego przystojnego, Mariana. Krystyna poczuła na sobie badawcze spojrzenie. Zapiekły ją policzki, bo czuła, że tamten dobrze o niej nie pomyślał. Chciała podejść, przeprosić, wytłumaczyć, ale raz, że nie miała śmiałości, dwa wstydziła się przyznać, co tak naprawdę nią kierowało.

I już było po sprawie. Mimo protestów Gieni i Stefci nastąpiło szybkie pożegnanie. Tamci zawrócili. Widać było złość na ich twarzach. Tyle czasu stracili, teraz będą musieli innych panien sobie szukać.

– Coś ty mu powiedziała? – zapytała Gienia.

Krystyna tylko wzruszyła ramionami.

– Żebyś sobie zapamiętała, że my ciebie już nigdy nigdzie ze sobą nie zabierzemy – stanowczo oświadczyła Stefcia.

I bardzo, bardzo dobrze.

Razy, których się spodziewała, gdy będzie przekraczać próg chałupy, nie spadły. Matka, korzystając ze świątecznego popołudnia, drzemała na ławie.

– Głodnaś? – zapytała zaspanym głosem.

– Nie – skłamała Krystyna.

Najciszej, jak umiała, zdjęła świąteczne ubrania i przebrała się w strój codzienny. Wyszła przed chałupę i usiadła na pieńku, który stał pod ścianą. W czasie jednej z mroźniejszych zim przyturlano go pod chałupę, by nie trzeba było daleko chodzić, gdy dREW przyjdzie narąbać. Wiosną nie wrócił już na swoje miejsce, bo okazał się bardzo przydatny. Stawiano na nim cebrzyk z wodą, szaflik z pomyjami. Służył do siedzenia, gdy trzeba było obrać ziemniaki czy bobu nałuskać. Krystyna lubiła na nim siadać, wystawiając twarz na ciepłe słoneczne promienie. Lubiła dotykać dłońmi porowatej kory. Wiedziała, że przyjdzie taki dzień zimowy, gdy brak opału stanie się wyrokiem dla pieńka. Ale może wtedy jej już tu nie będzie. Skończyła szesnaście lat. Zdawała sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w jej ciele, choć ani z matką, ani z nikim innym nie miała odwagi o tym rozmawiać. Te zmiany w niej powodowały zmianę w zachowaniu ludzi. Życzliwe kiedyś sąsiadki patrzyły teraz na nią z niechęcią, zazdrością. Mężczyźni, którym kiedyś była obojętna, spoglądali na nią pożądliwie. Ten i ów, gdy przechodziła zbyt blisko, potrafił szczypnąć lub klepnąć. Chłopcy rzucali jej złośliwe uwagi, ale to, co mieli w oczach, ów żal, smutek, pragnienie, przeczyło ich słowom. Krystyna wiedziała, że wystarczy jej uśmiech, spojrzenie, jedna obietnica, by biegali za nią jak psy za suką w cieczie. Nie wiedzieć czemu, nie chciała tego. Wiedziała, że inne dziewczęta pragnęły być adorowane, ale nie ona. Może to strach przed matką ją powstrzymywał, a może głos w głębi serca, który nakazywał zachowywać czystość myśli i uczuć. I ciała. Czystość ciała przede wszystkim.

Jednak bez względu na wszystko czas płynął, a ona dorastała. Czy jej się to podoba, czy nie, za rok, dwa zaczną słać swaty. Znajdzie się ktoś, komu matka powie „tak” i Krystyna zostanie wydana za mąż. Choć nie potrafiła do końca nazwać uczuć, jakie budziła w niej myśl o małżeństwie, wiedziała, że są raczej pozytywne. Przede wszystkim opuści rodzinny dom. Myśl ta była

wielce kusząca. Krystyna widziała inne rodziny i wiedziała, że to, co się działo u nich, nie było zwyczajem. Ojciec – ponury, milczący, jakby w ogóle go nie było, i matka, tak zmienna jak marcowa pogoda.

Pozostawienie ich samych nie napawało Krystyny smutkiem. Myślała o swojej przyszłej rodzinie jako o miejscu bezpiecznym, wypełnionym gwarem i śmiechem. Będzie tak jak u Gieni, gdzie matka, zawsze wesoła, tuliła dzieci, nazywając je swoimi skarbeczkami. Piekła im pierożki z jagłą, zabawiała przyśpiewkami, choć były już duże. Wieczorami siadali przy piecu, ojciec Gieni wyciągał ze skrzyni harmoszkę, przygrywał wesoło, a wszyscy śpiewali. Kto tylko tam przyszedł, czuł się jak swój, dlatego wciąż pojawiali się goście, a w chacie było tak tłoczno, że ściany z ledwością wytrzymały. Rodziców Krystyny nikt nie odwiedzał, bo i za czym? Nie było tu śmiechu, nie było śpiewu, nawet poczęstunku nie było.

Nigdzie nie może być mi gorzej, myślała. A jednak bała się tego nowego, co nieuchronnie nadciągało. W jej głowie kłębiły się pytania: Czy ten, co mnie za niego wydadzą, to ładny będzie? A czy będzie wesoły? Za smutnego iść nie chcę. Czy to ktoś z naszej wioski? Czy też ktoś ze stron obcych? A na koniec to najważniejsze: Czy on mnie będzie kochać? Na żadne z nich nie sposób było odpowiedzieć. Dopiero czas miał przynieść rozwiązania. Czuła więc pewną niecierpliwość, napięcie wywołane oczekiwaniem. I teraz, siedząc w to świąteczne popołudnie na pieńku, znów o tym wszystkim myślała.

Nie wiedzieć jakim sposobem, myśli jej powróciły do tego wszystkiego, co się od rana wydarzyło. Pomyślała o tych młodych fornalach, których dziś spotkała. Przywołała w myślach oczy Gustka. Ładne oczy, choć twarz brzydka, pomyślała. Jeszcze przez chwilę rozważała ten dziw natury, który każdemu człowiekowi każe wyglądać inaczej, co wydaje się dobre, bo wiadomo, kto jest kim, ale też niesprawiedliwe, bo jedni ładni, a inni brzydki. Czemuż tak jest, że jedni są majątni, inni biedni, jedni piękni, inni szpetni, jedni zdrowi, inni chorowici i, na koniec, czemuż jedni rodzą się panami, a inni chłopami? Skoro Bóg wszystkich jednakowo kocha, czemu nie rozdaje wszystkiego po równo? Matka łakociem wszystkie dzieci sprawiedliwie obdziela. A od Boga jedni dostają dużo, inni nic. Wcale to na sprawiedliwe nie wygląda. Może kiedyś, po śmierci, gdy już się dostanie do nieba, znajdzie w sobie tyle odwagi, by zapytać Niebieski Majestat, czemu tak świat urządził. Bo teraz nie było kogo zapytać.

O Gustku i jego oczach zapomniała zupełnie.

Przypomniała sobie o nich kilka dni później, a raczej jej przypomniano. I to w chwili, gdy najmniej się tego spodziewała.

Pomagała matce krowę poić. Ciągnęła wodę ze studni. Lubiała to zajęcie. Mokra cembrowina o każdej porze roku inaczej pachniała. Zimą wionęło od niej ziemistym zapachem błota, wiosną wilgotnym drewnem, a latem rześkim zapachem wody wybijającej z serca ziemi. Kilka tygodni temu wymieniono ramię żurawia, bo stare spróchniało i istniała obawa, że się złamie. A choć dziesiątki rąk dotykały go codziennie, to nowe wciąż nie było tak gładkie jak stare. Kolor też miało inny, jasną, słoneczną barwę świeżego drewna. Minie trochę czasu, nim zszarzeje, a ludzie zapomną o jego nowości. Na razie tylko ci o najbardziej spracowanych dłoniach nie bali się drzazg. Krystyna ostrożnie chwyciła ramię, by zdradliwe drewno nie wbiło jej się w skórę. Bolało to bardzo, niewyjęta na czas drzazga jątrzyła, ropa się wokół niej zbierała. Stara Tekla opowiadała o swoim bracie, co umarł na gangrenę od drzazgi, która mu się w nogę wbiła. Wszystkie dzieci we wsi znały tę historię, i wszystkie się bały, by nie podzielić losu tamtego chłopca, co podobno piękny był jak aniołek i gdyby nie złośliwa zadra, mógł długo żyć.

Po raz kolejny wiadro znalazło się na wysokości cembrowiny. Krystyna sięgnęła po nie, przyciągnęła i strumień świeżej wody popłynął do cebrzyka. Promienie słońca odbiły się w drobnych kroplach, zatańczyły, zaśmiały się rozbłyskami.

Krowa, która dotąd bez namysłu pochylała łeb i przymknąwszy oczy, długimi łykami piła świeżą wodę, teraz zaczęła obwąchiwać brzeg cebra. Przesuwała wielki, wilgotny nos z miejsca na miejsce, a delikatna, zamszowa skóra tuż nad nim marszczyła się w malutkie fałdki. Krowa oblizwała nos długim, różowym językiem, zbierając z porastających wargi szczecin krople wody. Ciągący się za jęzorem sznur śliny zawisł na policzku.

– Nalewać jeszcze? – zapytała Krystyna.

– Cholera wie. Teraz pić nie chce, a w południe będzie ryczała. No, Mućka, pij! – I matka szarpnęła powrozem.

Krowa, jakby ją kto wyrwał z zamyślenia, przypomniała sobie, po co ją tu przyprowadzono. Włożyła pysk do cebrzyka i na powrót zaczęła pić.

– Wyciągnij jeszcze wiadro – rzuciła obojętnie matka. A po chwili, tym samym tonem, dodała: – Mówiła mi Stefcia, żeście z kawalerami z odpustu wracały.

– Przyczepili się, ale im powiedziała, że ich towarzystwa nie chcemy. To sobie poszli.

– Stefcia powiedziała, że cały dzień bardzo byłaś naburmuszona.

Głupia, głupia Stefcia, coś ty mojej matce nagadała?

– Zamyślona byłam po kazaniu.

Matka milczała. Krystyna czuła, że spręża się w sobie, mięśnie napięły się jak struny. Było tak, jakby ją burza złapała w polu, nie wiadomo, co lepsze, czekać czy uciekać.

– Zamyślona byłaś? Po kazaniu? A cóż takiego ksiądz mówił?

– O grzechu. – W chwili, gdy wypowiadała to słowo, czuła, że popełniła błąd.

– A o grzechu to ty wiesz sporo!

Słowa zwały się ze świstem postronka. Sznur raz po raz spadał na plecy Krystyny. Matka nawet w największej złości bardzo uważała, by nie zranić twarzy córki. Czasem wymierzyła policzek, ale gdy biła powrozem, batem czy miotłą, to zwykle po plecach, czasem po nogach.

– Nie tak cię wychowałam, nie tak. Stefcia taka miła dziewczuszka, jak siostrę cię traktuje, do kompanii zaprasza, a ty chodzisz naduta! To już nie można się do ludzi uśmiechać? Prawdę mów, o czym żeś myślała?

Nie odpowiadaj, choćby nie wiadomo co, nie odpowiadaj. Wytrzymasz jeszcze parę razów, a potem się skończy. Zawsze się kończy. Jedno słowo może to tylko przedłużyć. Nie ma znaczenia, czy będziesz błagać o zmiłowanie, czy zarzucisz jej niesprawiedliwość. Milcz, po prostu milcz.

Razy jakby straciły na sile i gdy Krystyna myślała, że to już koniec, na jej grzbiet spadł jeszcze jeden, najboleśniejszy. Zagryzła zęby, żeby nie krzyknąć z bólu.

– Już się napiła. Widzisz, już tylko wacha i łbem zarzuca – powiedziała matka najnormalniejszym na świecie głosem. – Napaś ją dobrze, żeby na wieczór dużo mleka dała. – I wręczyła Krystynie postronek.

Ta wzięła go drżącą dłonią, jakby się bała, że sznurek ożyje i znów zacznie bić.

– A jak kto cię zagada, to bądź miła.

– Dobrze, mamó.

Pociągnęła za postronek, dając krowie znak, że czas ruszać. Mućka dobrze wiedziała, co teraz będzie. Ruszyła żwawo drogą ku pastwisku. Jej racice kłapały zabawnie. Raz po raz zarzucała czarnym łbem. Krystyna pamiętała

jej przyjście na świat. Jakież to był rozbrykany cielaczek. Ojciec mówił, że krowy z niej nie będzie, bo ma narowy, wyrosła jednak na zwierzę tak spokojne, tak stateczne, że w całej wsi nie było drugiego takiego. A ileż mleka dawała! Starczało do domu i na targ. Krystyna przyśpieszyła kroku, a gdy zrównała się z Mućką, z czułością poklepała jej szeroki kark. Jakież to szczęście, że tego dnia miała krowę paść. Będzie ją prowadziła polnymi drogami. Poszuka miejsc z bujną trawą, miedz obrosniętych wonnymi ziołami, takich, gdzie nikt jeszcze swego bydła nie pasł, takich, gdzie nikt nie będzie mógł zobaczyć łez płynących po jej twarzy.

Rozdział trzeci



Pług to jedno z najstarszych narzędzi rolniczych. Pierwotnie wytwarzano go z drewna, później z drewna i metalu, w końcu tylko z metalu. Służył do wykonania orki, czyli odcięcia i przewrócenia pasa ziemi. Najistotniejszym elementem pługa jest lemiesz, ponieważ to on odcina skibę od calizny. Orka, mimo że używano do niej zwierząt zaprzęgowych, była jedną z najcięższych prac polowych.

Marzec 1924

Kilka dni wcześniej pogoda była tak paskudna, że nie chciało się nawet w okienko zerknąć. Ludzie przysuwali zydle i ławy tak blisko pieca, jak tylko było to możliwe. Gospodynie sarkwały, bo im przeszkadzano w codziennych zajęciach, ale nikogo nie odganiały. No bo jakże to ciepła domownikom żałować? Nie dość, że nie ma czym nakarmić, to jeszcze tej odrobiny radości w tak paskudny dzień żałować?

Przez całe swe panowanie zima ludziom nie dokuczała. Dopiero kiedy jej przyszło koronę oddawać, zaczęła się złościć. Padał śnieg z deszczem, a potem mróz brał. Gościńce i drogi stały skute lodem, strach było konie wyprowadzić, by nóg nie połamały. Jeśli kto wyszedł z chałupy w niedosuszonej kapocie, to czuł, jak odzież na nim zamarza. Ale i ten, co wyszedł w suchej, miał możliwość doświadczyć zamarzania. Z burych chmur, które całkiem zasnuwały niebo, co i raz spadał dziwny deszcz nie deszcz, jakby krople wody zamarzały w drodze ku ziemi. Najgorsze było to, że ustawicznie wiejący wiatr taką miał siłę, że bez trudu niósł te krupy, gdzie chciał, a ponieważ wiatr jest złośliwy, to rzucał nimi w ludzkie twarze.

Szczęściem na świętego Józefa się odmieniło. Słońce wylazło z pieleszy, a zobaczywszy, co też zima wyczynia, kazało jej dać światu spokój, choć na kilka dni. Dobrze wiedziało, że z tą panią sprawa niełatwa i jeszcze w kwietniu może o sobie przypomnieć.

Ludzie wylegli z chałup. Tłoczno się zrobiło na drogach. Chłopi szli na pola ciekawi, co tam się dzieje, bo śnieg topniał i odsłaniał rolę. Ci, którzy jesienią siali ozime, chcieli zobaczyć, jak tam ono wygląda. Jesienne słoty, zimne wiatry, mrozy, wszystko to czyhało tylko, by zniszczyć delikatne kielki, które wyrastały z ziaren rzuconych na rolę w te ostatnie, ciepłe dni września. Jakaż była radość, gdy okazywało się, że zboże zielenieje zwartym łanem. Jakiż smutek, gdy kto znalazł miejsca wymoknięte, przesuszone albo też zniszczone przez zające. Czuł wtedy, bardziej niż kiedykolwiek, swoją małość wobec tego dzikiego świata przyrody. Widział siebie żołnierzem, każdego dnia wstającym do ciężkiej walki, której wynik dawno temu został przesądzony. Cóż ci z tego, biedaku, żeś orał, a pot strumieniem płynął po plecach, coś z tego, żeś bronował, smagany nieprzyjemnym wiatrem, przyjdzie ulewa, przyjdzie mróz, zabiorą ci ćwierć z tego, coś zasiał.

W takiej chwili smutku patrzyli ludzie zwykle w stronę rzeki, tam, gdzie w dawnych czasach się osiedlono, gdzie pierwotnie była wieś. Śladu po niej nie zostało, tylko łożyny. Tak i po nas nic nie zostanie. Zamkniemy oczy na sen wieczny, a czarny bez zarośnie podwórza, spróchnieją brusy, zawałą się budynki i trawa je pozarasta. Nawet wspomnienia po nas ulecą w niebyt.

Byli też tacy, co zamierzali siać zboża jare. Czas jeszcze na to mieli, przecież nie dawniej niż trzy dni temu mróz trzymał, a ziemia nie rozmarza tak szybko. Należało wszakże sprawdzić, w jakim stanie jest rola. Jedni uznawali, że jeszcze zbyt mokra, więc modlili się o słońce i wiatr, inni widzieli ją zbyt suchą i prosili o deszcz. Tak to bowiem na świecie jest, że każdy człowiek czego innego chce, czego innego potrzebuje i nawet sam Pan Bóg nie zdoła wszystkim dogodzić.

Staszka Pomiechowska, ogarnawszy najpilniejszą babską robotę w obejściu, wyszła na drogę.

Pomiechowscy lubili mówić, że ich chałupa stoi w samym sercu wsi. Było to spore nadużycie, bo jeśli wziąć pod uwagę długość, na jaką Tynczyn się rozciągał, to chata znajdowała się w jednej trzeciej. Jeśli zaś patrzeć na rozległość, to akurat w samym środku wypadały łąki, ze wszystkich stron otoczone rozrastającą się wsią. Gdyby zapytać ludzi, powiedzieliby pewnie,

że w sercu wsi stoi cerkiew albo kościół, albo karczma. Może który wskazałby tę szkołę, co to ją niedawno zbudowano. Lipczewscy dali swój kawałek pola, do karczmy przylegający. Szymon Tabach chciał go kupić, ale Teofila się nie zgodziła. Powiedziała, że dzieci najważniejsze, teraz jest Polska i trzeba na nią pracować i się kształcić. I całkiem darmo ten plac dała. Byli tacy, co mówili, że to przez złośliwość wobec Szymona, bo on karczmę za długi wziął, a później odsprzedać nie chciał. Byli też tacy, co twierdzili, że Teofila w karty ją przegrała. Ludzie niestworzone rzeczy wygadują. Staszka uśmiechnęła się z politowaniem nad ludzką głupotą. Chałupa Pomiechowskich dlatego stała w sercu wsi, że to przed nią była gromadzka studnia. A tak jak woda daje życie, tak i serce je daje. Taka to mądrość, którą powtarzał dziadek Pomiechowski.

Dzień w dzień już od rana przy studni był ruch. Dziewczęta przychodziły z wiadrami na koromysłach. Chłopcy zatrzymywali się, by napoić prowadzone na pastwisko krowy. Gospodarze przyprowadzali do wodopoju konie. Te gospodynie, którym daleko było do rzeki, przychodziły prac pod studnię.

Studnia była tak stara, że nie pamiętano, kiedy ją wykopano. Cembrowinę miała kwadratową, starannie z porządnych bali zbitą. Skrzydło żurawia prosiło się o wymianę na nowe, trzeba będzie tego dopilnować, by nieszczęścia jakiego nie było. Przed studnią leżał wydrążony lipowy pień, który służył za koryto, a obok niej stała ławka do stawiania wiader. Owa ławka była ulubionym miejscem Pomiechowskiej. Gdy tylko się obrobiła, brała wiadro i szła do studni. Nabierała wody, wiadomo przecież, że nie ma nic gorszego niż rankiem spotkać babę z pustym wiadrem, stawiała je na owej ławce, a sama siadała obok i czekała, by kto zagadał.

Nigdy nie musiała długo czekać. Ludzie lubili z nią rozmawiać, tak jak ona z nimi. Kiedy była młodsza, dużo po wsi chodziła, teraz jednak zaczynała odczuwać swoje lata. Smutne to, jak nagle na nią spadło zniedołężnienie. Po prostu jednego roku, zamiast zgrabić łąkę do południa, będzie to robić do wieczora. Rok później przez dwa dni. Nie zwiąże stu snopków przez dzień, tylko siedemdziesiąt, pięćdziesiąt, trzydzieści. Myślała, że starość będzie przychodzić powoli, dzień za dniem, dając znaki i pozwalając się do siebie przyzwyczaić. Tymczasem zjawiała się pewnego wieczoru, zapukała do drzwi jak gubiony wędrowiec, siadła na zydlu obok Staszki i choć ją odganiano, została. A złośliwa, a podstępna! Kryła się za plecami, jakby wcale jej nie

było. Ale niechby tylko Staszka schyliła się zbyt gwałtownie albo sięgnęła po coś ciężkiego, zaraz wyskakiwała i łup w krzyż, aż trzasnęło.

– Przekłęta starość – mówiła wtedy Pomiechowska. – Czyż to nie lepiej było człowiekowi żyć w pełni sił i zdrowia do lat, powiedzmy, sześćdziesięciu, a potem jednego wieczoru położyć się i rankiem już nie wstać?

Może lepiej, ale któż by się na to zgodził? Ludzie kurczowo trzymali się życia. Nikt po dobroci nie chciał odchodzić z tego świata. Dlatego musieli się męczyć na starość. Żeby im życie zbrzydło, żeby się pogodzili z tym, że ich czas minął i trzeba zrobić miejsce na następne pokolenie.

A zapowiadało się ono całkiem, całkiem.

Anielka Hubowa podobno z brzuchem chodziła. Nic jeszcze nie widać, ale ludzie gadali, że Antkowa w odmiennym stanie. Jej siostra Marianna, ta, co za Wawrzka Adamczuka poszła, z końcem listopada urodziła trzecie dziecko, tym razem dziewczynkę. Teofila Lipczewska kołysała wnuki, a sporo ich miała, bo Helena, żona Fela Franca, też urodziła córkę, Władzia, ta, co wyszła za Wiktora Dymowskiego kowala, miała synka, a u Julka było dwoje. Broneczek, śliczny chłopiec o brązowych oczkach, i dziewczynka, Janeczka. U Pawła Iwaniuka wnuków było najwięcej, bo pięcioro, i to same chłopaki o słomkowych włosach i oczach jak niezabudki. Oj, będą oni kraść dziewczęce serca, będą. Za jakiś czas, bo teraz biegali po gościńcu niczym zgraja szczeniąt, hałaśliwi i wciąż skorzy do figli. A to przecież nie wszystkie dzieci. We wsi na pięćdziesiąt chałup wciąż coś się działo, ktoś się rodził, ktoś umierał, ktoś się żenił.

Ano właśnie. Gdy ostatni raz widziała Teofilę, a było to pewnie w Środę Popielcową, Lipczewska wspominała, że ma kłopoty z Jaśkiem. Kochliwy to był chłopak, oj, kochliwy, a że śliczny jak z obrazka, to panny okazywały mu swoją życzliwość. A on po wsi chodził, muskularną pierś prężył, że koszula trzeszczała, czarne włosy z czoła odgarniał. Słońce jego skórę lubiło, dlatego tak latem, jak zimą chodził ładnie opalony, i tylko białka oczu i zęby świeciły białością. Teofila się bała, że jakąś dziewczynę w kłopoty wpędzi i trzeba będzie wesele robić. Później czas pokaże, że młodych połączyła tylko jedna chwila nierozwagi, gdy ciało przejęło kontrolę nad rozumem i sercem. A małżeństwo z tego nijakie. Na świecie nie ma nic gorszego od niedobranego małżeństwa. To tak, jakby dwa różne konie do jednego wozu zaprząć – kończy się to wozem połamanym i poranionymi końmi.

Rację miała Teofila. Córkom nie broniła iść, za kogo chciały, i dlatego obu dobrze się wiodło. Gorzej było u Julka. Na szczęśliwego to on nie wyglądał. Żonę z tułaczki wojennej przywiózł. Dziwna z tej jego Antoszki była kobieta. Dobra. I na porodach się znała. Odkąd tu nastąpiła, więcej jak mendel dzieciaków szczęśliwie na ten świat sprowadziła. Jednak coś z nią było nie tak. Pomiechowska żadną miarą nie mogła dojść, co takiego. A znała się na ludziach, oj, dobrze się znała. Jedna tylko Ciotka Leonka potrafiła równie głęboko w duszę człowieczą zajrzeć, nic w tym dziwnego, wszak była znachorką, a w człeku dusza i ciało w jedno spojone i nie można leczyć jednego, zaniedbując drugie. Ale poza nią już nikt więcej w całej wsi nie mógł się ze Staszka równać. Taki dar miała. Słuchać lubiła. Nigdy też nie siała plotek. Jeśli co powiedziała, to ludzie wiedzieli, że prawda, a nie jakieś wymysły. Kiedy po wsi zaczęto gadać, że Teofila romansuje z Kornelowiczem, niech mu ziemia lekką będzie, to jedna czy druga baba przychodziła do Pomiechowskiej.

– Co wy myślicie? – pytały.

– Myślę, że to durne wymysły. Mordy sobie pozamykajcie, bo mówić fałszywe świadectwo to grzech. Kara za to na was przyjdzie, albo, co gorsza, na dzieci wasze.

Ludzie jednak bywają głupi, a niektóre baby bardzo się lubują w sianiu plotek.

– Dobrze, że ja taka nie jestem – powiedziała do siebie. I uśmiechnęła się z ukontentowaniem.

– A co wy tak się uśmiechacie, Pomiechowska? – spytał chłopiec, który nalewał wody do cebra.

– Do ciebie się uśmiecham, bo na gospodarza dobrego wyrośniesz.

Dzieciak pokraśniał z zadowolenia, za ceber złapał i ruszył z nim do domu.

Połowy nie doniesie, pomyślała Pomiechowska. Tak to z tymi dzieciakami jest. W domu byle jak zrobić to, co matka kazała, i zaraz do kolegów, do gromady. Lada moment nauczyciel na lekcje będzie dzwonić. Teraz to większość do szkoły idzie, ale gdy ciepło się zrobi, z tych, co wychodzą z domów, połowa do klasy nie dotrze. Będą się po łąkach włóczyć, w noża grać albo w karty. Taki to cielecy wiek. Tylko im zazdrościć.

Jakby zwabiony wcześniejszymi myślami Staszki, przy studni zatrzymał się nie kto inny jak Jaśko Lipczewski.

Ładny się z niego robił mężczyzna. Wysoki i szczupły, jak wszyscy oni, po

matce. Brązowe oczy z powagą patrzyły na świat.

– Pochwalony – powiedział i zdjawszy kaszkiet, międlł go w dłoniach, niepewny, czy powinien iść dalej, czy powiedzieć coś więcej.

– A gdzie to tak rano?

– Do Kornelowiczowej. W tym krześle, co to jej Julek zrobił, kółko się zacina. Brat obiecał dziś zajrzeć, ale go dziedzic wezwał świtem, to ja idę, może będę mógł pomóc.

– Pomagacie jej, tej biednej pani Marcie?

– Po prawdzie to na nią nikt z nas by nie spojrział. To wszystko dla Zośki. Przez wzgląd na... na dawne czasy.

– A co tam u niej? Zdrowa?

– Zdrowa, dzięki Bogu.

– Trzeba i mnie do niej zajrzeć. Nie chodziłam w te mrozy, bo to już nie na moje siły, ale teraz pójdę.

– Wstrzymajcie się jeszcze z dzień czy dwa, niech podeschnie. Ciężko iść.

– Wskazał na swoje buty, oblepione grubą warstwą błota.

– A co tam u ciebie, kiedy się żenić będziesz?

Uśmiechnął się, ale tak powierzchownie, bo oczy pozostały poważne.

– Pannę mam, kryć nie będę, chodzę do niej, ale czy z tego będzie ożenek, to nie wiadomo.

– A czemuż to nie wiadomo? – zapytała podstępnie, bo przecież Jasiek był młokos i na założenie rodziny miał jeszcze dużo czasu.

– Z początku straszliwie mi się ona podobała. A teraz jakoś tak spowszedniała. I tak sobie myślę, że za dwa, trzy lata, jak my będziemy w odpowiednim wieku, to ona mi się już wcale nie będzie podobała.

– Może i tak być. Różnie to z ożenkami bywa. Pamiętam, jak Pawło posłał z wódką do Bednarza. Wszystko tam było umówione, młodzi kochali się bardzo. Swaty w próg, a panna w krzyk, że za niego iść nie chce. I zaraz się po wsi rozniosło, ludzie się zbiegają, każdy pyta, co się stało. Wstyd. Dopiero potem się okazało, że to Bednarzównie ktoś głupot nagadał, że Pawło ma w innej wiosce pannę, której brzuch rośnie. Jak już wszystko się wyjaśniło, to do ołtarza polecili raz-dwa i po dziś dzień ze sobą żyją zgodnie. – Westchnęła. – Najgorzej, jak ludzie obmowę sieją. A jak u ciebie, Jaśku, sprawa wygląda?

– Tak, że nikt mojego bastruka nie hoduje.

Pomiechowska parsknęła śmiechem. Tego jeszcze brakowało biednej

Teofili, żeby Jaśko dzieciaka zrobił, zanim mu puch na twarzy w wąs się zamieni.

– Toż nie o to pytam. Nie śpiesz ty się do kołysania dzieci, z serca ci radzę. Ciekawi mnie, czy panna cię chce?

– Panna mnie chce. I ja jej chcę, tylko...

– Młode wy jeszcze. Serc swoich nie znacie. Ale jak dziś nie czujesz, że byś za nią w ogień poszedł, to jutro też tego czuć nie będziesz.

Jasiek skinął głową.

– Inną znajdziesz. Nie może to być, żeby taki kawaler jak ty miłości wielkiej nie znalazł. Toż i ziemi kawałek masz, i fach kowalski w rękach. Biedy z tobą żonka nie zazna. Z buzi ładnyś, a i charakter masz dobry. Pijakiem nie jesteś. Czego chcieć więcej? Dobrze będzie, zobaczysz. A Zosi ode mnie przekaz, że na dniach do niej zajrzę – dodała, żeby zmienić temat i dać Jaśkowi znak, że już go nie zatrzymuje.

Chłopak skinął głową, kaszkiet włożył i dziarskim krokiem ruszył błotnistą drogą ku gospodarstwu Kornelowiczów.

No, ciekawam ja wiedzieć, pomyślała, patrząc za odchodzącym, jak się to wszystko skończy. Dałby Pan Bóg pożyć i zobaczyć.

Spojrzała na świat, który przypominał budzące się dziecko. I podobnie jak ono pachniał snem, marzeniami i życiem.

– Cudnie jest – westchnęła.



Ciastka drożdżowe

50 dkg mąki, 25 dkg tłuszczu, 1 jajko, 6–8 dkg drożdży, 2 łyżki cukru.

Wszystkie składniki wygnieść razem i wyłożyć w szmatkę. Następnie włożyć do wody, aż wypłynie. Wtedy rozwałkować, pociąć radełkiem na kwadraty, trzymać w gorącym piecu do złocistego koloru. Podawać do herbaty i konfitury.

Krystyna 1904

Wspomnienia podobne są rzece, wezbranej po wiosennych roztopach, gdy masy wody wydzierają z dna to, co od niepamiętnych czasów tam leżało, i nigdy nie wiadomo, co wyrzucą na brzeg. Jak nurt takiej rzeki raz są spokojne, leniwe, innym zaś razem gwałtowne i z taką siłą targają ludzką duszę, że to aż boli. Tym jednak różnią się od rzeki, że nigdy nie ma w nich ciągłości. Choćby człowiek nie wiedzieć jak się starał, nie jest sobie w stanie przypomnieć dnia po dniu. Zapamiętuje pewne zdarzenia, a to, co między nimi, pozostanie szarą mgłą, w niej zaś tylko majaczą zarysy tych wszystkich spraw, które miały miejsce.

Krystyna nie mogła sobie przypomnieć ani jednego dnia z września czy października tysiąc dziewięćset czwartego roku. Wiedziała jednak, że w tym czasie jeden z fernali poznanych na odpuscie zaczął się pojawiać we wsi i odwiedzać Stefcie. Co sprawiło, że rodzice dziewczyny na to pozwalali, nie wiadomo. Stefcia nie była brzydka, a choć mając dwóch starszych braci, nie mogła liczyć na znaczny posag, wiadomo było, że kawałek pola dostanie.

Przypuszczała, że matka myśli podobnie, dlatego zdziwiło ją, gdy

usłyszała:

- Do Stefci kawaler przychodzi.
- A cóż to za kawaler? – obruszyła się dziewczyna.
- Oj, głupiaś ty, głupia. Toż przecie wiadomo, że za pierwszego lepszego jej nie wydadzą. Ale jak inaczej wieść o pannie ma się po świecie rozejść? Biedny powie bogatemu, głupi mądrymu. Dziś przychodzi ten, jutro przyjdzie z nim, ot z ciekawości, kto inny. I tak w końcu los przyprowadzi tego, który jej pisany. A jak do ciebie nawet pies z kulawą nogą nie zajrzy, to tylko kłopot będzie.

W tych ostatnich słowach zabrzmiał wyrzut, więc może dlatego kilka dni później, gdy Krystyna zobaczyła idącego drogą Gustka, odważyła się podnieść rękę i do niego machnąć. Ale choć bardzo się starała przypomnieć sobie, o czym wtedy rozmawiali, nie potrafiła. Jedyne, co zapamiętała, to jego uśmiech. Nie pamiętała też dni, które nastąpiły później. Dopiero pewne popołudnie z początku listopada wyryło jej się w pamięci.

Ich chałupa stała blisko gościńca, dlatego przez kuchenne okienko bez trudu można było zobaczyć, kto idzie. Nieraz się zdarzało, że matka, zajęta przy kuchni, w okno spozrzała i nagle rzucała robotę, zapaskę poprawiała i wybiegała z domu, bo na drodze zobaczyła jedną ze swoich kum, z którą musiała pilnie poplotkować. Ojcu też się zdarzało zerwać od stołu, by wyjść i pogadać z mijającym ich chałupę znajomkiem.

Krystyna nie miała tego zwyczaju. Zdarzało jej się widzieć zaprzyjaźnione dziewczęta, ale żeby się do nich wyrwać, robotę porzucać, to nie przyszło jej nigdy do głowy. Już by jej matka dała za taką niefrasobliwość.

Jednak to była niedziela. Dzień odpoczynku i próżnowania. Ojciec poszedł na wieś, z chłopami o polityce rozprawiać. Okryta kapą matka drzemała na ławie, pięknie na niedzielę zaścielonego łóżka nie można było zgromolić, bo gdyby ktoś w gości przyszedł, byłby wstyd. Krystyna, pozmywawszy naczynia po obiedzie, przysiadła przy stole. Za jakiś czas wstanie, pójdzie zrobić wieczorne obrządki, by wyręczyć matkę. Ale teraz miała godzinę dla siebie, mogła bezkarnie siedzieć i patrzeć w okienko.

I właśnie wtedy zobaczyła Gustka. Nie myśląc, co robi, zerwała się od stołu i wybiegła na drogę. Tu przystanęła, zawahała się. Minął ich dom i szedł przed siebie. Krystyna widziała jego plecy. Zadziwiło ją, jak ładny mają kształt i jakie są proste. Szerokie barki napinały kaftan. Krystyna wyobraziła sobie mięśnie na tych plecach, barkach, ramionach.

A Gustek tymczasem się oddalał. W momencie, gdy wyszła z domu, wystarczyło powiedzieć jego imię. Teraz, by usłyszał, trzeba by krzyknąć. A jeśli zbudzi matkę? Podbiec? „Mówili mi ludzie, że po wsi za chłopem, jak suka za psem, leciałaś”. I nie mogąc się zdecydować, stała, patrząc za odchodzącym, a w jej sercu rósł nieznany dotąd żal. Czemu wcześniej go nie zobaczyłam, czemu?

Wtedy stała się rzecz niezwykła, bo nagle przystanął i obejrzał się przez ramię. Dostrzegł Krystynę, uśmiechnął się, zawrócił. A jej serce zatrzepotało, jakby nie było sercem, a rojem spłoszonych motyli.

Poza przywitaniem nie padły między nimi żadne słowa. Po cóż słowa? Stali obok siebie, on patrzył na nią, ona wbiła wzrok w ziemię, ciesząc się jego spojrzeniem, bo wiedziała, że jest ładna, a on to widzi.

Czas, który włókł się leniwie, jak to zwykł czynić w późne niedzielne popołudnia, teraz stanął w miejscu. Słońce, wędrujące ku zachodowi, zatrzymało się na nieboskłonie. Patrzyło na tych dwoje, jakby to był jakiś cud, a to po prostu dwoje młodych ludzi, w których sercach budziło się coś uśpionego, tak jak budzą się do życia cebulki kwiatów, ukryte w ziemi przed mrozem. Jeden z wróbli w chmarze siedzących na drzewie chciał głośno zaćwierkać, ale inne nakazały mu, by zamilkł. Nawet ten malutki wietrzyk, huncwot, co gra na źdźbłach trawy, przysiadł na ostatnim kwiatku marcinka i patrzył z zachwytem. Wiedział, że choć taka chwila, gdy w młodych sercach zakwita miłość, nie jest niczym niezwykłym i co raz się przydarza, to rzadko trafia się okazja, by być tego świadkiem. To jeden z cudów tego świata, na który warto popatrzeć, tak jak na motyla opuszczającego kokon poczwarki czy na sierpniowe niebo posyite śladami spadających gwiazd.

– Muszę już iść – szepnęła Krystyna. – Obrządek trza robić.

– Na drugą niedzielę tańce będą. Pójdiesz ze mną na tańce?

– Pójdę.

A on się pochylił i lekko, lekuchno musnął jej policzek swoimi wargami.

„Pójdę”, jakże łatwo powiedzieć. Głos zamierał jej w gardle, ilekroć chciała otworzyć usta, by zapytać matkę, czy może iść. Niechże zbije przed, niech zbije po, ale żeby tylko się zgodziła, myślała Krystyna, po tysiąc razy układając w głowie prośbę tak, by jednym zbędnym słowem nie okazać, jak bardzo jej zależy. Bo jeśli matka zauważy, że zależy, nigdy się nie zgodzi.

Pomoc przyszła z tej strony, w którą nigdy nie patrzyła. Niespodziewana była jak majowa ulewa.

– A ty, Krysia, co tak chodzisz jak struta? – zapytał ojciec.

Przez chwilę rozważała, czy opłaci jej się szczerść. Ojciec nie był zły, jemu po prostu było wszystko jedno.

– Tańce będą.

– Tańców ci się chce?

Wzruszyła ramionami i z udaną obojętnością rzuciła:

– Chcę, nie chcę. Inne dziewczęta idą.

Ojciec rozważał jej słowa. Liczyła na to, że nie znając jej prawdziwych intencji, wyłoży je sobie własną miarą. I tak też się stało.

– Myślisz, że cię za dziwaczkę wezmą, jak z innymi nie pójdziesz?

Skinęła głową.

– To i racja. Ty już panna i trza ci robić to, co inne panny.

– A co mamcia powiedzą?

– Boisz się? Powiem ja matce, że tobie trzeba iść między ludzi. – I z niespotykaną jak na niego czułością dodał: – Nie martw się, dobrze będzie.

Miał rację. Matka złego słowa nie powiedziała. Z uśmiechem patrzyła, jak wystrojona w najlepszą sukienkę Krystyna dołącza do barwnego stadka koleżanek.

Tam, gdzie prowadząca przez wieś droga łączyła się z szerokim gościńcem, czekali kawalerowie. Krystyna z zapartym tchem wypatrywała Gustka. Gdzie on jest? A jeśli zapomniał albo jego serce się odmieniło?

– Krystynko! – odezwał się tuż obok niej. – Aleś ty piękna. A jaka ustrojona. Wstyd ci będzie ze mną tańcować.

– Głupstwa gadasz – szepnęła.

Szli obok siebie w milczeniu. Dziwne to było, bo przez cały ten czas, gdy go nie widziała, Krystyna wciąż rozmawiała z nim w myślach. Tyle Gustkowi chciała o sobie powiedzieć. Teraz, gdy się spotkali, nie wymówiła ani jednego słowa. Nie ze wstydu. Zrozumiała, że on to wszystko wie, nie trzeba mu niczego opowiadać. Ich dłonie raz po raz się stykały, wywołując przyjemne mrowienie w ciałach.

Nie wiedzieć kiedy zniknęli ludzie, a potem pola, nawet szare jesienne niebo i ziemia zniknęły, byli tylko oni dwoje, najpierw szli, później tańczyli, ale przez cały czas jakby zamknięci w zawieszanej w nicości szklanej kuli. Czy to właśnie jest miłość?, zapytała siebie Krystyna. Czy tak już zostanie, czy przeminie? Przecież nigdy mi pójść za niego za mąż nie pozwolą. Chyba

żebym uciekła. Ale nie odważę się uciec. Matce do nóg się rzucę, błagać będę... Pomyślała o życiu z Gustkiem w jednej chacie i tak jej się słodko w sercu zrobiło, jakby je kto miodem posmarował.

Czar prysł. Znów pojawili się ludzie i świat.

– Pozwolisz, Gustku, choć raz z tą piękną panienką zatańcować? – Ten jego przystojny towarzysz z odpustu zatrzymał ich w tańcu.

– A pozwolę, Marianie, pozwolę. Jeno tylko raz jeden.

Oplotło Krystynę inne ramię, inne spojrzenie poczuła na sobie. Wzdrygnęła się. Nie było jej nieprzyjemnie, tylko dziwnie obco. Gdy dotykała Gustka, czuła się tak, jakby przed snem tuliła własną poduszkę. Ten był jak drzewo – z wierzchu twardy i chropowaty, czuło się, że w środku jest siła i życie, ale czy dobre, czy złe, trudno dociec.

– Miły ci Gustek? – zapytał.

Nawykła, by nie mówić prawdy i niczego o sobie nie zdradzać, odparła obojętnie:

– A bo to ja go znam, żeby miał mi być miłym czy niemiłym?

Marian się roześmiał. Po raz pierwszy słyszała jego śmiech – taki szczery, radosny, po dziecięcemu niewinny.

– A bo to trzeba kogoś znać, by go pokochać? Czasem jedna chwila wystarczy.

I spojrzał na Krystynę tak, że dreszcz przebiegł jej po plecach. Nie taki jednak jak w chwili strachu, tylko taki, gdy człowiek spodziewa się czegoś wspaniałego.

– Bardzo mi się podobasz, wiesz? – szepnął jej do ucha.

Po raz pierwszy w życiu usłyszała te słowa i zrobiło jej się niezmiernie miło. „Za tobą, Krysiu, kawalerowie będą się uganiać”, mówiły jej inne dziewczęta. Ich głosy były pełne słodyczy, ale w oczach migotały zielone iskierki zawiści. I oto spełniała się ta przepowiednia, bo przecież wśród obecnych mężczyzn nie było piękniejszego od Mariana, a to znaczyło, że mógł mieć każdą pannę, a zapragnął właśnie jej, Krystyny.

– Zbałamucić się nie dam – powiedziała hardo.

– Ja cię bałamucić nie zamierzam – odrzekł z niezwykłą miękkością w głosie.

Ani uwierzyła, ani nie uwierzyła. Może gdyby bardzo ją kochał, mogłaby z nim żyć w jednej chacie, mogłaby mu piec chleb i dzieci rodzić. Ale dla niego matce do nóg by się nie rzucała.

Muzyka umilkła i Krystyna wyrwała się z ramion Mariana. Biegła przed siebie nie wiedząc dokąd. Byle dalej od tańczących par. Zatrzymała się w końcu i zgięta w pół czekała, by oddech się uspokoił.

Rozejrzała się. Bała się, że Gustek sobie poszedł albo, co gorsza, znalazł inną. Serce coraz niespokojniej biło. Uspokoiło się dopiero, gdy go dostrzegła. Stał samotnie, palił papierosa. Widziała, że jest smutny, może zły. Na nią? Na siebie? Podeszła i wsunęła swoją dłoń w jego.

– Nie pozwalaj mi już nigdy z nikim innym tańczyć – powiedziała.

A wtedy podniósł rękę i odgarnął ten kosmyk włosów, co się wyplótł z kosi i opadał na czoło.

Po tańcach nadeszły spokojne dni, wypełnione nudnymi zajęciami – łuskaniem fasoli, przedzeniem nici, darcie pierza, radosnymi wspomnieniami słów i uśmiechów Gustka.

Tego dnia Krystyna poszła do wsi, by odnieść Koziółkowej sól, którą matka kilka dni wcześniej pożyczała. Krótka tam była, choć Gienia prosiła, by została porozmawiać. Bała się, że matka będzie mieć za złe, że córka darmo czas marnuje. Wracała biegiem. Gdy weszła do sieni, usłyszała głosy z izby. Przystanąła.

– Zupełnie się nie spodziewałam, że gościa mieć będziemy, toteż takie zwykłe, codzienne jedzenie mamy. Ja dołożę jeszcze, pan głodny – szczebiotała matka.

– Wystarczy, dziękuję. Ja nie głodny, tylko ta zupa taka dobra była.

– To Krysia gotowała.

Weszła do izby. Nie wypadało pod drzwiami podsłuchiwać. Popatrzyli na nią oboje, więc się uśmiechnęła. Przecież na powitanie nie powie, że to o zupie to kłamstwo, bo matka by jej do garnków nie dopuściła. „Ojciec ciężko pracuje, najeść się musi, a z twojego gotowania nie wiadomo, co by wyszło”. Obcy mężczyzna nie musi widzieć, co się u nich w domu dzieje.

– To z panny Krystyny dobra gospodyni – pochwalił, wycierając miszkę chlebem.

– Dał Pan Bóg dobrze córkę wychować. I w domu, i przy domu wszystko zrobić potrafi. A czasu nigdy nie mitręży, zawsze sobie jakąś pracę znajdzie.

Zachwała mnie, jakbym była jałówką na sprzedaż, pomyślała Krystyna. Czowała złość. Głównie na matkę, ale też na tego mężczyznę, który siedział przy ich stole, zjadł zupę z glinianej miski, uśmiechał się do matki, ojca częstował tytoniem.

– A gdzie to pan Marian tak wędruje? – zapytała matka.

– Wysłał mnie rządcą do Tynczyna. Tam jest bardzo zdolny kowal. Jedna część w maszynie do młócenia pękła. Od nowości źle była przypasowana, ale jakoś szło. Szło, szło, aż się usrało. Ot i naładować trzeba, a nikt nie umie. Mówią, że ten kowal zmyślny, podobno takie rzeczy zrobić potrafi, to po niego posłali. Obiecał jutro przyjechać.

Matka słuchała uważnie, głową kiwała, jakby to były jakieś istotne sprawy, na dodatek jej samej dotyczące.

– To szmat drogi trzeba wędrować.

– Ano szmat. Od świtu na nogach. Dlatego sobie pomyślał: Zajdź do panny Krystyny, choć wody się napijesz.

– U nas nie tylko woda.

– Boście dobrzy ludzie, tak jak i panna Krystyna.

To cień padł na policzek matki czy te słowa wywołały rumieniec?

– Gadała mnie jedna kuma, że pana Mariana dziedzic bardzo szanuje.

– Ja tam nie wiem, co o mnie gadają. I czy dziedzic szanuje, to też nie wiem. Tyle wiem, że porządnie swoje robię, pijakiem nie jestem, a jak kto dla mnie dobry, to ja dla niego też. Ot wszystko.

Krystyna widziała, że matce taka odpowiedź niebywale się spodobała. W ogóle podobał jej się ten piękny, młody mężczyzna. Gdyby sytuacja była odwrotna, gdyby to matka miała szesnaście lat, usiedzieć by spokojnie na ławie nie mogła. Uśmiechałaby się do Mariana, oczami strzelała, włosy poprawiała, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. Jednak Krystyna nie była nim zainteresowana. Nie to, żeby Marian był jej niemiły. Po prostu był obojętny. Widziała, że mu się podoba. Domyślała się, że wykorzystał okazję, by wejść do jej rodzinnego domu, pokazać się ojcu i matce. Wiedziała, że nie pozwolą mu na więcej. Niemniej jego obecność w rodzinnym domu wywoływała w niej niepokój. Tak jak obecność każdego młodego mężczyzny, który tu przychodził i siadał na ławie. Przyjaciółki miały rację, mówiąc, że kawalerowie do Krystyny będą się pchać jak po żywą wodę. Przychodzili bogaci, biedni, mądrzy, głupi, urodziwi i szpetni. A ona wobec wszystkich była obojętna.

– Jałówka ryczy, trzeba jej sieczki podrzucić – powiedziała teraz, choć z obory żaden dźwięk nie dobiegł.

– A mówiłam, że robotna? Siedź, dziecko, ja pójdę.

– To i ja się będę zbierał. Słonko w miejscu nie stoi.

– Ano nie stoi. To ty idź, Krysiu, pana Mariana do gościńca odprowadź, a potem do obory zajrzyj.

Krystyna, złapana we własną pułapkę, nie miała wyjścia. Rada nierada wstała i poszła za Marianem, nad wyraz wylewnie pożegnanym przez matkę. Dobrze, że on już sobie idzie, pomyślała. Nie chciała go oglądać. Ze wszystkich kawalerów, którzy do niej przychodzili, ten był najmniej oczekiwanym.

– Niemiły ci jestem, Krysiu?

– Ani miły, ani niemiły.

– Boś tak na mnie patrzyła, jakbyś samą nienawiść czuła.

– Zwyczajnie, ja nie lubię, gdy kto do mnie przychodzi.

– Kto inny niż on, tak?

Milczała.

– Krysiu, ja ci nie wróg i lubię cię bardzo. Dlatego z serca mówię, zapomnij ty o nim, to rewolucjonista.

Wypowiedział to słowo tak, jakby było przekleństwem. A przecież to nie było nic złego. Nic! Usłyszała w myślach głos Gustka, który szeptem jej tłumaczył:

– Jeśli jest tak, jak w Piśmie Świętym stoi, żeśmy wszyscy dzieci Adama i Ewy, to dlaczego takie między nami różnice? Czy ojciec pozwala, by jedno jego dziecko było królem i miało wszystko, a inne nie miało nic i musiało zebrać pod kościołem? To nie Bóg ustanowił taki porządek ani natura, tylko ludzie sami. I to tacy ludzie, dla których dobro własne, własny majątek ważniejsze są od losu współbraci. Popatrz, czterdzieści lat minęło, jak car chłopów uwłaszczył. Pańszczyzny, mówił, nie będzie. Ale ani lasów, ani pastwisk chłopom nie dał. A i ziemi po zagonku. I wraz chłop, jeśli chce zimną chałupę opalić, jeśli chce bydłę napaść, musi iść do dziedzica na odrobek. Jak tam pracuje, nie ma czasu swego obrobić. Nawet jak obrobi, to żeby rodzinę wykarmić, musiałaby mu ta ziemia dać plon trzykrotny wobec tego, co teraz daje. Czemuż taki jest porządek społeczny, który tylko panom służy? Czemuż nie jest tak, że wszyscy we wszystkim mają udział równy? Czy właściciel fabryki przepracował w niej choć jeden dzień? Nie. Pracuje tam zarządca, jego zastępca i cała masa robotników, a żaden z nich, choćby od świtu do świtu pracował, nie zarobi tyle, by móc z czasem mieć własną fabrykę. Nie zarobi nawet na porządną strawę dla dzieci. Ty wiesz, co się w miastach dzieje? Jak tam ludzie umierają? U nas też umierają, ale

w miastach... A czyja to wina? Trzeba ten świat zmienić tak, by był dobrym miejscem do życia dla wszystkich ludzi, nie tylko dla tych bogatych. O to walczę, rozumiesz?

Rozumiała. Bycie rewolucjonistą to nie przekleństwo. To pieśń przyszłości.
– Nic ci do mojego serca i mojej pamięci. Ruszaj zdrów! – powiedziała teraz do Mariana.

I pobięła w stronę obory.

Rozdział czwarty



Burak cukrowy to roślina, która w korzeniu spichrzowym magazynuje sacharozę. Z tego powodu stał się rośliną okopową, uprawianą w celu pozyskania cukru. Jest drugim na świecie jego źródłem, po trzcinie cukrowej. Pierwsze eksperymenty z produkcją cukru przeprowadzili niemieccy chemicy w połowie osiemnastego wieku. Jednak za największego entuzjastę tego nowego źródła sacharozy należy uznać Napoleona. To on wydał dekret nakazujący rozpoczęcie we Francji uprawy buraka na masową skalę. Chciał w ten sposób uniezależnić się od dostaw cukru trzcinowego drogą morską. Powstał wtedy instytut badawczy buraka, a także liczne plantacje i cukrownie. Po upadku Napoleona przemysł buraczany we Francji podupadł, ale na krótko. Od połowy dziewiętnastego wieku produkcja cukru buraczanego sukcesywnie wzrasta, a dziś jest głównym źródłem cukru w Europie. Na popularyzację uprawy buraka w dużym stopniu miało wpływ to, że odpady produkcyjne – liście i korzeń, z którego w procesie produkcji cukru wyciśnięto sok – stanowią wartościową paszę dla zwierząt.

Sierpień 1924

Antoszka Lipczewska odwróciła się od pieca chlebowego, podeszła do lustreczka i poprawiła chustkę. Trochę miała żal do siebie, że ją dziś włożyła, ale wytrzymać do niedzieli nie mogła. Była to bowiem nowa, bardzo ładna chustka, którą Julian kupił jej na jarmarku w Łaszczowie. Zdziwiła się, bo dotąd mąż nie robił jej podarków. Właściwie można by powiedzieć, że nie bardzo za nią przepadał. Nie miała o to pretensji, rozumiała, że czuł się oszukany. Jakież jednak ona miała wyjście? Biedna sierota, kątem u ciotki siedząca i bawiąca jej dzieci? Henio, najstarszy ciotki, dostał pracę we dworze i bardzo ją sobie chwalił, chciał, by i Antoszka na

służbę tam poszła, ale ciotka się nie zgodziła. Dziwić się temu nie można. Nikt na jej miejscu by nie pozwolił, żeby biedna siostrzenica dom opuściła, skoro była tu i za niańkę, i za służącą, i za parobka.

Wzdrygnęła się aż na wspomnienie tego ciągłego „Antoszka, Marysia płacze! Antoszka, krowa ryczy! Antoszka, czemu izba niezamieciona?”.

A Lipczewscy dobrzy ludzie, rodzinni, serdeczni. Przyjęli między siebie, jakby swoja była. Nic nikt nie mówił, że ona z innych stron, bo przecież dziadkowie ze Żmudzi, co w rysach widać było i czasem w mowie sływać. Kiedy do wsi przybyła, to ludzie często się zastanawiali, skąd ona. Jedni pytali, inni szeptali za plecami. A wymyślali czasem głupoty, aż śmiech brał. Mówili, że ona Cyganka albo Żydówka. Jakby ani jednych, ani drugich na oczy nie widzieli. Toż w Łaszczowie na targu i jednych, i drugich pełno. A bywali też Rosjanie i Niemcy, i Czesi. A nawet tacy do Niemców z języka podobni... Holendrzy.

No ale Łaszczów to był Łaszczów, a Tynczyn, wiadomo, zwyczajna wieś. Na wsi wszystko inaczej, ludzie inni. Nie każdy na targ jeździ, bo to przecież koni szkoda, nóg jeszcze bardziej, a już najbardziej ze wszystkiego szkoda pieniędzy. Jedyne sposoby, by na targu grosza nie wydać, to tam nie być. Dlatego też Antoszka wolała siedzieć w domu. Julian na targ chodził, ale to dlatego, że u dziedzica połowym był. To nie byle jaka posada. Ludzie szanują, dziedzic szanuje. Na wielu sprawach trzeba się znać, na sianiu, oraniu, zatrudnianiu ludzi, wypłacaniu dniówek. Trzeba też wiedzieć, którądy miedze idą, czy kto się w pańskie nie worał, czy na pańskim krowy nie pasie. No i na targu trzeba być, o ceny pytać, po ile owies, po ile żyto, wiedzieć, kto przywozi, skąd jest, jakie tam ziemie, jak się na nich rodzi.

Julian mówił, że stronami ziemie jeszcze lepsze, ale na te tynczyńskie to grzech byłoby narzekać. Gdy się człowiek pochylił i wziął w ręce garść tej ziemi, to czuł jej przyjemną wilgoć. Nie zbijała się jak glina, nie rozpadała jak piach. Miała w sobie tę zwartość podobną do zwartości miększu chleba. Pachniała żywnością, bogactwem i miłością. Co się w nią rzuciło, wyrastało obficie, czy to ziarno pszenicy, czy nasionko marchwi. Antoszka nie mogła się nadziwić, że w takim miejscu, na takiej glebie, są ludzie, którym źle się wiedzie. Toż wystarczy siać i zbierać, żeby się bogacić. Widocznie nie wszyscy mają do tego głowę. Może to nie od głowy zależy, tylko od chęci do pracy? Leniwy nigdy się nie dorobi, to pewne.

Janeczka coś przez sen zakwiliła. Maluch to był jeszcze, snu potrzebowała.

Grzeczna z niej była dziewczuszka. Ładna, może nie bardzo mądra, ale z buzi ładniuteńka. Broneczek też niczego sobie, wyrośnie z niego kawaler, za którym wszystkie panny wzdychać będą. Choć to jeszcze czas o tym myśleć. Teraz z Mikołajem Kitą po wsi biegał, ot przyjaciele niezmierni. Myśl o dzieciach wprawiała Antoszkę w niezwykłą dumę. Ze wszystkich wnucząt, których Kazimierz i Teofila się doczekali, to Julianowe były najładniejsze i najczustrejsze. No, może Janeczka troszkę płaksiwa, ale ona jeszcze całkiem mała.

Bronek w ogóle nie płakał. Zawsze wesoły, zawsze uśmiechnięty, dobre serce miał dla wszystkich i nie było takiego, co by go nie lubił. Po ojcu i po dziadku miał dar w palcach i co chciał wystrugać, wystrugał, co chciał narysować, narysował. Narysowane wyglądało jak żywe. Konie to nawet jabłuszka na zadach miały. Julek mówił, że syn dziedzica lubił Broneczka. Kartki i ołówki mu dawał, rysować kazał, coś tam podpowiadał, jak to narysować czy tamto. Z katechizmu pytał, żeby sprawdzić, czy Broniek katolik. Dziedziczka mocno wierząca była, jej dzieci także. Nie Antoszki to sprawa, ale według niej wielu ludzi, co to zbyt modlący są, fałsz jakiś ma w sercu. Nie żeby dziedziczka, tej przecież Antoszka nie znała i ona mogła szczerze wszystko robić. Po prostu życie nasunęło Antoszce takie myśli i ludzie, których znała.

Ot ciotka na przykład. Ona też bardzo modląca była, ale dla siostrzenicy serca dobrego nie miała. Lipczewscy zupełnie inaczej. Mało o wierze mówili, ale dużo robili. Kto biedny przyszedł, karmili. Pieniądz pożyczili, a nie wyglądali go z powrotem. Tego akurat Antoszka nie pochwałała, ale tak było. Ziemi kawałek w samiutkim środku wsi dali na szkołę i przy budowie pomagali. A postów przestrzegali jak mało kto. Caluteńki Wielki Post przed Wielkanocą nikt ani łyka słodkiego mleka do ust nie wziął. Nawet Kazimierz, a on bardzo był za mlekiem, oj bardzo.

Teofila zbierała z wierzchu śmietanę. Najpierw masło z niej robiła, zawijała w ściereczki i w chłodzie składowała. Gdy już bliżej świąt było, to zostawiała śmietanę, bo wiadomo, że wszelkie ciasta ją lubią, a kremy to już w ogóle. Mleko zaś odstawiała na zsiadłe. Gdy się skisło, podgrzewała. Wtedy grudki sera się robiły, zbierała je, odciskała na szmatce i był twaróg.

Czasem też podpuszczki dawała do mleka. Serek, który się z tego robił, w szmatce osobno leżał. Pokrywał się cieniutką skórką. Pachniał intensywnie i smakował wybornie. Antoszka nie znała takiego sera, tylko twaróg, ale też

u ciotki w domu nie przestrzegano tak postu i mleko normalnie pito cały czas, a gęb do wyżywienia było tyle, że ser by długo nie poleżał, bo zaraz któryś dzieciak by znalazł i zjadł. U Lipczewskich dyscyplina była. Nie u nich jednych zresztą. We wszystkich zacniejszych chałupach postu bardzo ściśle przestrzegano.

Zresztą poza postem też nie jedzono przesadnie. Tyle tylko co na święta, wtedy naprawdę do syta jadano i różnorodnie. W zwykłym czasie jedzono skromnie, jak we wszystkich chałupach we wsi. Chłopy więcej i tłustiej, bo przecież ich praca cięższa, kobity ot tak, delikatniej. Chyba że żniwa były albo wykopki. Wtedy wszyscy jedli, ile kto mógł zmieścić, żeby w pracy nie ustać.

Teofila dobrą była gospodynią i to ona rano przy kuchni stała. Zresztą Kazimierz nie chciał jeść stawy przez kogokolwiek innego przygotowanej, choć Antoszka wszystko tak samo robiła. Za to chleb i pozostałe wypieki piecowe lepiej Antoszce wychodziły, dlatego też zaopatrzenie domowników w pieczywo należało do jej obowiązków. Upieczenie dobrego chleba to wcale nie była łatwa sprawa. Gospodynie robiły to pod koniec tygodnia, zwykle w piątek albo sobotę.

Antoszka zawsze piekła w sobotę, taka tradycja panowała w jej domu, tak też robiła ciotka. Trwało to cały dzień, trzeba było przygotować dużo dobrego drewna, jak najsuchszego, żeby ono swoją wilgocią wypieku nie popsuło ani temperatury nie obniżało. Musiała też wody nanieść, i to nie wiadro czy dwa, ale co najmniej trzy, żeby do mycia rąk i naczyń starczyło, no i na wygaszanie ognia, jeśli zbyt mocno się palił. No i pełne wiadro powinno być zawsze pod ręką, bo to nigdy nie wiadomo, czy jakaś iskra nie skoczy, gdzie nie potrzeba, czy się węgielek nie potoczy i pożaru nie wywoła.

Antoszka wciąż miała w pamięci pożar chałupy Adamczuków. Widziała w swoim życiu niejednego pożar, ale ten okropne wrażenie na niej zrobił. Może dlatego, że taki niespodziewany. A jeszcze Julek i Jaśko pobiegli gasić. Mąż Antoszki jakoś rozsądnie podszedł do sprawy, ale Jaśko, choć gówniarz z niego był wtedy, trzy razy do płonącej chałupy wbiegał, by dobytek ratować. Co tam było do ratowania cenniejszego niż cała skóra na grzbiecie?

Woda na gaszenie pieca, nieużywana na szczęście nigdy, grzała się później na dogasającym żarze i służyła do kąpieli. Dlatego też sobotnie pieczenie chleba miało największy sens – wyszorowani wieczorem, rano czyści szli na

mszę.

Antoszka piekła chleb na zakwasie, uzyskiwanym tym sposobem, że na dnie dzieżki zawsze zostawiała odrobinę ciasta z poprzedniego pieczenia. Kwasiło się ono dobrze, od czasu do czasu dokarmiane mąką. Trzeba było tylko uważać, żeby się nie przeziębiło ani nie przegrzało, bo wówczas się psuło. Wtedy należało nowy zakwas robić z mąki i wody. Jeśli jednak dopiero w sobotę spostrzegło się, że zakwas zepsuty, trzeba było do sąsiadki iść i pożyczać. Oj wstyd to był dla gospodyni największy. Antoszce raz się to przytrafiło. To nie jej wina, nie znała jeszcze wtedy chałupy teściów, nie wiedziała, gdzie ciepło, gdzie zimno, a gdzie przeciągi. Teofila wyrozumiała była, wymówek nie robiła, pogładziła ją tylko po głowie i powiedziała, że pójdzie zakwas pożyczyć, co znaczyło tyle, że i winę za zepsucie na siebie weźmie.

Antoszka miała przepis na chleb, jeszcze od swojej mamy. Ledwo ją pamiętała, wcześniej osierocona, ale miała w pamięci jej słowa. W dzieciństwie często je powtarzała, jakby to była modlitwa. Z czasem inne obrazy matki zbladły i rozmyły się zupełnie, lecz ten pozostał wyraźny.

Mała Antoszka siedziała na ławie. Tak wtedy była mała, że nóżki jej wisiały w powietrzu. Matka uwijała się po izbie.

– Pamiętaj, córuchno, że chleb to najlepsze, najwartościowsze jedzenie. Dlatego nasz Pan chleb rozmnażał na pustyni i ludzi karmił. Nie wolno go marnować ani niszczyć, to grzech. A piec trzeba tak, żeby wychodził. Widzisz, to mąka żytnia, na chleb najlepsza, bo i w smaku jest najwyraźniejsza. Dodamy do niej mąki pszennej, ale tylko dwunastą część. Przesiać wszystko dobrze trzeba. Bierzesz mąkę z młyna, wydaje się, że kryształ, a potem tu krupka, tam paproszek. Zawsze trzeba dobrze przesiać, czy to chleb, czy ciasto pieczesz. Do tego serwatka. Tak, że na dwie części mąki jedna taka serwatki przypada. To jak weźmiesz dwa kubeczki mąki, to ile kubeczków serwatki będziesz potrzebowała?

– Jeden.

– Bardzo dobrze. I jeszcze kminek. Cała garść, bo on smaczny, a na łąkach go tyle, ile dusza zapagnie. Ot jedno, na co nie biedujemy, to kminek. Bierzemy zakwas z dna dzieżki i wszystko wyrabiamy. Widzisz, jaki cud się dzieje? Była mąka, a jest ciasto. Patrz, jak się ciągnie. A to wyrabianie to tylko tak łatwo wygląda. Siłę w ramionach trzeba mieć. Ot i zaraz do dzieżki, niech rośnie, czyściutką szmatką przykryjemy i przygotujemy koszyki,

w których chleb piec będziemy.

Antoszka uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Już niedługo sama Janeczkę na ławie usadzi i będzie jej o chlebie opowiadać i uczyć, jak go piec.

Wtem ktoś do drzwi załomotał i otworzył je z takim impetem, że woda w cebrach się rozhuśtała i na powierzchni powstały kółka. Antoszka z przestachu przycisnęła ręce do piersi. W stronę drzwi spojrzeć się bała. Musiała jednak. Powoli wzrok odwróciła. A to tylko Hanka Połajowa.

– Aleście mnie ta przestraszyli.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków. Co to też ta wam do głowy przyszło, Połajowo, tak się do izby dobijać? Pali się czy co?

– Do mojej Anieli przyjdźcie. Wy akuszerka.

– Ciotka moja dzieci ta rodziła jedno za drugim, tom się od małego nauczyła, a potem to mnie jedna przez drugą baby wołały i tak praktyki nabyłam. Tyle że ja tu ta chleb mam rozczyniony, ta pod piecem napalone, ta dziecko moje śpi. A dawno się to u niej zaczęło?

Połajowa skinęła głową.

– Ta dziś, ta wczoraj?

– W nocy.

– Ta to może jeszcze czas jest.

Tamta zagryzła wargi.

– Mnie się wydaje, że czasu nie ma. Dzieje się tak, jak nie powinno. Sama dwa razy rodziłam, to wiem. A i Anieli to nie pierwszy poród, tylko trz... Trza jej pomóc. Rzućcie wszystko, przyjdźcie.

– Jakże wy to sobie wyobrażacie, że ja to ta wszystko rzucę i pobiegnę? Ogień w piecu bez dozoru zostawię? Ta dziecko śpiące? Po mamusię iść muszę, ona na ogrodzie. Powiem jej, co się dzieje. Zobaczymy, co na to powie.

Połajowa jakby skamieniała. Tylko jej twarz odmieniały coraz to inne uczucia. Był strach i złość, zniecierpliwienie, a na koniec był wstyd.

– Kazika widziałam w kuźni, jemu powiedzcie. Nam śpieszyć się trzeba.

– Różne porody widziałam, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby te trzy pacierze dłużej kogo uratowały albo do śmierci przywiodły. Co ma być, to będzie. – Wytarła ręce o zapaskę, gotowa iść, teściowej szukać.

Na szczęście Teofila stanęła w drzwiach.

– A ty co tu robisz? – zapytała. Antoszka już miała powiedzieć, że wzięła się za pieczenie chleba, gdy zdała sobie sprawę, że to nie do niej.

– Po synową waszą przyszłam, Lipczewska. Aniela moja urodzić nie może.

– To nie nasza sprawa. Szukaj pomocy gdzie indziej.

– A gdzież ja pójdę?

– Nic mnie to nie obchodzi. Idź, gdzie chcesz, ale z mojego domu precz, bo za widły złapię i przebiję. Jak Najłaskawszy na niebie, że przebiję.

Połajowa skuliła się, wciągnęła głowę w ramiona, ale nie ustąpiła.

– Zlitujcie się nade mną – prosiła, patrząc na Antoszkę.

A cóż ja mogę?, pomyślała ta. Teściowej się nie sprzeciwię, zresztą ona w prawie was wyganiać. Wszyscy we wsi znają wasz niegodziwy postępek. Nikt tego na głos nie mówi, ludzie nie lubią takich rzeczy roztrząsać. Ranę lepiej zakryć, by w oczy się nie rzucała. Tyle że zakryta gorzej się goi, jątrzyć lubi i ropieć. Gdy się o podłości otwarcie nie mówi, staje się ona jak owa rana, co niby ukryta, a śmierdzi.

– Krzywdę nam wielką wyrządziliście. Mamusia nasza w prawie ta was z chałupy wygnąć.

– Życia chcieli mnie pozbawić. Musiałam się ratować.

Połajowa popatrzyła to na jedną, to na drugą. I nagle rzuciła się do nóg Teofili. Ta jednak odepchnęła jak szkodnego psa. Złapała tamtą za kark i siłą z izby wypchnęła. Drzwi na skobel zamknęła. Na podwórku rozległo się zawodzenie Połajowej.

Teściowa osunęła się na klepisko, oparła plecy o drzwi i zaczęła bezgłośnie płakać. Antoszka rzuciła się ku niej, objęła z całej siły, jak dziecko tuliła.

– Ratować się musiała. Słyszałaś to? A cóż jej nędzne życie warte? Nawet jeśli... Gdyby kto mnie zapytał, kto ma na śmierć pójść, Anielka Połajowa czy ja, bez namysłu bym poszła. Nażyłam się, dzieci odchowałam, wnuki zobaczyłam. A przed nią wszystko było, całe, caluteńkie życie, a w takiej hańbie umarła i teraz nawet mówić o niej nie wolno.

Antoszka gładziła teściową po twarzy, rozcierając łzy. Teofila wciąż miała piękną skórę, delikatną i gładką. Czas nie zabierał jej urody. W Tynczynie gadali, że chłopcy za Lipczewską szalały. Nic dziwnego. I dziś jeszcze ten i ów łakomie patrzył, gdy szła przez wieś. Niezbyt często to się zdarzało. Trzymała się domu. Do kościoła chętnie chodziła, ale od czasu, gdy zmienił się proboszcz, mniej się udzielała. Tego nowego mało kto we wsi lubił. Pazerny był na pieniądze, a chłopów miał za nic, nawet tych bogatych, takich

jak Huby czy Lipczewscy. Ten, co przed nim był, a ze starości umarł, bardzo chłopów wspierał. Uczył czytać i pisać po polsku, do buntu przeciw carowi wzywał, po odzyskaniu niepodległości sumę odprawiał w intencji ojczyzny. Nawet jak mu kto dawał pieniądze i prosił, by za zmarłego niedzielna msza była, to odmawiał.

– A cóż ty myślisz, że twój ojciec czy matka ważniejsi od Polski? Ona ci matką, ojcem, bratem, siostrą i żoną. Niszczona od wieków, przeszło sto lat w niewoli, teraz wyzwolona. Potrzebuje naszego wsparcia, naszej pracy i modlitwy. Za twych ojców pomodlimy się w czwartek. A jak czwartek nie pasuje, to z Bogiem.

Nowy ksiądz taki nie był. Ludzie go nie lubili. Jeśli w której chałupie małżeństwo było mieszane, to do cerkwi szli. We wsi więcej Ukraińców niż Polaków, więcej prawosławnych i unitów niż katolików. A Bóg dla jednych i drugich ten sam.

Westchnęła Antoszka na myśl o Bogu. Nie jest, oj, nie jest on teraz zadowolony. Bo jakże to tak, że ludzie biorą w swoje ręce to, czego nie powinni? Sprawiedliwość samemu wymierzać to grzech.

– Ta ja wiem, że Połajowa zawiniła wobec nas. Bardzo zawiniła. Jeno ani Aniela, ani to dzieciąteczko, co na świat nie może się wydostać, niczym nie zawiniły. Ta polecę, mamusiu. Pomogę.

Teofila spojrzała jej w oczy.

– Leć.

Zerwała się, jakby od samego słowa dostała skrzydeł.

– Tylko mnie dzieciaków pilnujcie i chleba.

– Leć!

Biegła przez pastwiska ku Felówce. Chustka się zsunęła na oczy, zerwała ją z głowy, bo bała się, że spadnie. A takiej pięknej chusteczki to by było Antoszce bardzo, bardzo żal.

Wpadła na podwórko młodego Huba. Antek siedział na ławce pod chałupą. Blady był jak ściana. Wcale nie krył łez, które jedna za drugą spływały po twarzy, podobne do paciorków w różańcu. Na widok Antoszki zerwał się i podbiegłszy do niej, za ręce chwycił.

– Uratujcie ją, Lipczewska, uratujcie. Ja bez niej...

Uśmiechnęła się, ale nie dlatego, by go pocieszyć. Wciąż trochę ją bawiło, a trochę dziwiło, gdy ktoś ją nazywał nazwiskiem Juliana. Dla siebie, w myślach wciąż była Antoniną Leszczenko. Niemniej bardzo lubiła to

nowe, mężowskie miano. Napawało ją dumą. Ot, biedna Antoszka, a poszła za męża za takiego pięknego i bogatego pana Juliana. Użyła co prawda fortelu, ale małego, malutkiego. Bo przecież Antoszka, jako akuszerka, dobrze wiedziała nie tylko, jak się z brzucha dzieci wyjmuje, ale też jak się je tam wkłada.

Antkowi nic nie odrzekła. Bo cóż mogła powiedzieć, skoro jeszcze rodzącą nie widziała. Poklepała go tylko po rękach i do chałupy weszła. A tam w izbie bab, a łez przez nie wylewanych pełno.

– Poszły mnie wszystkie won! – krzyknęła. – Jak mnie kto będzie potrzebny, ta zawołam.

Ani mruknęły, jedna za drugą posłusznie opuszczały izbę. Najpierw Marianna Adamczukowa, siostra rodzącej, za nią Weronika Dołęga, siostra Antka, za nią Natalia, córka Weroniki, za nią Terenia Hubowa, teściowa, na koniec zaś Hanka Połajowa.

– Trzeba jeszcze waszą babkę przyprowadzić, to dopiero jarmark by był. Toż tu nie ma czym oddychać. A drzwi nie zamykajcie!

– Przeciąg zaszkodzi – powiedziała Hubowa, ale Antoszka udała, że nie słyszy.

Z dwojga złego nie wiadomo, co gorsze, czy przeciąg, czy zaduch, a rodząca musi mieć czym oddychać, inaczej dziecko posinieje, a może całkiem się zadusić.

Podeszła do Anieli, która leżała na łóżku. Błada była, jeszcze bledsza niż Antek. Wyglądała, jakby cała krew z niej zeszała. Dobrze to nie wróżyło.

– No pokażcie ten swój brzuch. Ta wielki jak dynia. Może tam dwoje siedzi?

Rodząca z przerażeniem spojrzała na Antoszkę.

– I takie przypadki się zdarzają. Raz tylko w życiu bliźniaki odbierałam. Zrazu maleńcy byli, ta jak kocięta, a potem, jak się do cycek dorwali, to rośli jak na drożdżach. My się musim z tym twoim rodzeniem szybko sprawić, żeby przed północą zdążyć, bo dzieci zrodzone w sobotę kochają robotę. A na co tobie len? Ta w niedziele same lenie się rodzą.

Aniela próbowała zmienić pozycję, ale jej się nie udało. Nic dziwnego. Położyły ją do łóżka, jakby była obłożnie chora. To nic mądrego. Niech się silny chłop położy na wznak i niech mu wór z dziesięcioma kilo ziarna na brzuch dadzą. Też mu ciężko się będzie ruszać.

– Wstać musisz. Nie, ta jeszcze nie. – Delikatnie przytrzymała rodzącą. –

Pierw ja twoją dziurkę obejrzeć muszę.

Na kuchni stał gar z wodą, tak wielki, jakby nie jedno, a dwanaścioro dzieci miało przyjść na świat. Jednak z dwojga złego lepiej za dużo niż za mało. Ręce trzeba myć co i raz. Brudnymi nieszczęście na kobietę można sprowadzić.

– Dużo porodów odebraliście? – zapytała Aniela. Nawet w jej głosie słychać było wielkie zmęczenie.

– Dużo. Kiedyś ja liczyła, ale całkiem się w tym pogubiłam.

– A gdzie się tego nauczyliście?

– Od teściowej mojej ciotuni. A ona od swojej matki, a tamta od swojej. Teściowa miała ta samych synów, a ciotunia wolała rodzić niż odbierać. To tamta powiedziała do mnie: „Antoszka, ty ze mną do rodzących będziesz chodzić, fachu się nauczysz. Ty biedna dziewczyna, to sobie zawsze jaki grosz zarobisz, jak ci się w życiu nie poszczęści. A jak się poszczęści, to darmo będziesz pomagać, w ten sposób Panu Bogu dziękując za dobry los”. A tymczasem ja swoje zobaczyłam. Wstań, to ci lepiej będzie. I oddychaj głęboko, inaczej dzieciaka zadusisz.

– Może on już zaduszony?

– Głupstwa pleciesz.

Aniela nagle załżała się łzami, szepcząc coś o grzechu i karze.

– Uspokójże się – powiedziała Antoszka ostro, ale głosu nie podnosząc. Nie ma co straszyć kobity. – Tu nie czas na płacz. Do roboty nam trza się wziąć. Oddychaj, a głęboko. Ile możesz, powietrza nabieraj. Czekać, tak się przygnij, lepiej ci będzie. – Pokazała Anieli, jak się o krawędź stołu oprzeć i wygiąć, by było najwygodniej. – Lepiej?

– Trochę lepiej. Za pierwszym razem tak łatwo poszło, raz i wypłynęło. I przy drugim poszło dość łatwo... – urwała nagle i zamarła. Wypełnionymi strachem oczyma patrzyła na Antoszkę.

– Każdy poród inny. Broneczek raz i był na świecie, a Janeczka coś z tydzień lała i wyleźć nie mogła. A ty tak na mnie nie patrz, ja nie Pomiechowska. Mnie ta twoje życie nic a nic nie obchodzi, mam własne.

Własne życie, własne sekrety, i też bym nie chciała, żeby kto je poznał. Tyle jest spraw, mniejszych i większych, co je człowiek rad by utrzymać w tajemnicy. W miastach to może łatwiej, ale na wsi, gdzie ci sami ludzie patrzą na siebie od rana do wieczora, to trudno. Taki Hub na przykład. Przekrada się za oborami, za płotami chowa, a i tak wszyscy we wsi wiedzą,

gdzie poszedł i za czym. Śmieją się, mówią: „Sawerek i Hanka to rodzina, nie ma się co dziwić temu, co wyprawiają”. I śmieją się. Jednak przed nim udają, że nic nie widzieli, o niczym nie wiedzą. Jeszcze by się obraził. Trzeba będzie czegoś od Huba, a ten pogoni, psami poszczuje. Po co to komu?

Aniela krzyknęła, ból targnął jej ciałem.

– Pokaż mnie, gdzie cię boli najbardziej? Tu? Jeszcze tak ze dwa razy i będziemy to dziecięczo na świat wyprowadzać. Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Tego ostatniego wszakże nie była pewna.

Na kolejne skurcze nie musiały długo czekać.

– Zaraz będzie po wszystkim. – Pomogła Anieli przejść do łóżka. – Ta ty się nie kładź na wznak. Tak przykleknij, dupę wypnij. Ta ja tam muszę dokładnie pomacać.

Dziecko było owinięte pępowiną. Stare baby powiadały, że tak się dzieje, gdy ciężarna pod sznurkami przechodzi. Czy to prawda, nie wiadomo. Wiadomo, że to oplątanie to najgorsze, co się może zdarzyć. Ciało pcha wtedy maleństwo na zewnątrz, pępowina ciągnie do środka. Na domiar złego było ułożone nie tak, jak należy, główką do przodu, tylko dziwnie wygięte w bok. Ostrożnie, jak mogła najdelikatniej je przesuwiała, próbując odplątać. Droga na ten świat wąska, a dziecko spore. Aniela darła się z bólu i pewnie jeszcze ze strachu. Ty się módl, pomyślała Antoszka, ale nic nie powiedziała. Po cóż biedaczkę jeszcze bardziej straszyc?

W końcu wspólnymi siłami wyprowadziły dziecko na świat. Aniela jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że to już. Antoszka sprawnie chwyciła noworodka za nóżki i podniosła, by wody płodowe wypłynęły z buzi. Jeśliby się ich napił, to tylko na zdrowie, ale mogły zalać płuca. Klepnęła maleństwo w plecy, a ponieważ wciąż nie krzyczało, położyła je na łóżku i z całych sił dmuchnęła w usteczka. To się dziecku nie spodobało. Krzyknęło wściekle.

– Żyje! – zawołała Aniela. Było to podobne do tego ostatniego piśnięcia, jakie wydaje z siebie zraniony ptak.

– Ta ono żyje i ty żyć musisz. Ta ja wiem, żeś zmęczona, żeś poraniona w środku i myślisz tylko o tym, by zasnąć. Tylko nie teraz. Słyszysz, Aniela? Jeszcze ci zasypiać nie wolno.

Krzyk dziecka zwabił wypędzone kobiety. Stały na progu, gotowe wpaść do izby. Tylko ich brakowało!

– Weronika, chodź mi pomóż. Reszta poszła won!

Nie bardzo chciały wyjść, ale spojrzała na nie groźnie i czmychnęły jak spłoszone wróble. Takam mała, ale się mnie boją, pomyślała z zadowoleniem Antoszka.

Podawała Weronice dziecko, kazała powycierać i w pieluszki owinąć. Dziecku nic nie będzie. Za rok, dwa nikt już nie będzie pamiętał dnia, kiedy na świat przychodziło.

– Ta, Anielciu, to dziewczynka. Dziewczynka najbardziej na świecie matki potrzebuje. Ja wiem, co mówię, bo mnie mateczka odumarła i ciotka chowała. Niby jak własną, a jednak jak cudzą. Zaraz ty się sczyścisz, ja cię umyję. Potem dziecko nakarmisz i będziesz odpoczywała. Ta jeszcze nie teraz. Teraz oczka otwieraj i patrzaj, jakie masz śliczniutkie dziecięczo. Jak malowane.

Zagadywała ją, byle gadać, by nikt nie poznał, jak bardzo jest niespokojna, bo z Anieli krwi więcej płynęło, niż powinno. Bała się, że tamta krwawić nie przestanie. W końcu jednak krwawienie ustało. Antoszka odetchnęła z ulgą. Podawała położnicy dziecko i z zadowoleniem patrzyła, jak dziewczynka je swój pierwszy w życiu posiłek.

– Ona bardzo słaba. Nic jej ani podnieść, ta ani ruszyć nie wolno. Ta cały czas ktoś musi z nią być, tak w dzień, jak w nocy. Za potrzebą własną niech nie chodzi, nocnika jej podstawiajcie. Jakby bardziej krwawić zaczęła, to się nie zastanawiajcie, tylko doktora do niej przywieźcie. Ta nie patrzcie na porę ani na pieniądze. Bo jak krwawić zacznie, to po niej. Leżeć ma. Dziecko przystawiajcie i patrzcie, żeby ta dobrze z piersi ściągało, bo od zapalenia gorączka, a ona na gorączkę za słaba. Ta jakby gorączka, to też doktora natychmiast trzeba. Zajrzę do was jutro.

Wyszła przed chałupę i skinieniem głowy dała znak kobietom, że już wejść mogą. Podeszła do ławy, na której siedział Antek. Usiadła. Nogi wciąż jej się trzęsły. I ręce. Położyła je na podółku, żeby nie widział. Głowę oparła o ścianę.

– Ta córeczkę masz jak malowanie – powiedziała. Ze zmęczenia jej głos brzmiał jak szelest trzciny nad stawem.

– A co z Anielą?

– Jak jej ta dopilnujesz, to żyć będzie.

– Bóg zapłać, Antoszko, Bóg ci zapłać.

I przytulił ją z całych sił, aż pisnęła.

– Dobrze będzie – zapewniła. – Wszystko będzie dobrze. Tylko... Ta jeśli

ty ją chcesz mieć żywą, to jej już żadnego więcej dzieciaka nie zrób.

Kosmyk włosów spadł Antoszce na twarz. Podniosła rękę, żeby go odgarnąć. Dłoń miała moką, bo przecież fartuszek cały był zalany krwią i śluzem. Chciała wytrzeć rękę, odruchowo sięgnęła do kieszonki. Chustka. Ta od Juliana. Mokra i brudna. Zapomniała o niej. A tak się cieszyła. Widzisz, Antoszko, co przychodzi z niecierpliwości?, pomyślała. Nowiutka chustka, taka śliczna, taka kolorowa, a ty jej jutro do kościoła nie włożysz. Żeby choć uprać się dała.

Fraszka chustka. Grunt, że dziecko żywe. Dziecko najważniejsze.



Placek z marmoladą

Pół kilo mąki, 25 dkg cukru, 10 dkg cukru pudru, 2 żółtka, 1 jajko, 2 łyżki śmietany, pół łyżki proszku do pieczenia, pół kilo marmolady.

Zagnieść ciasto. Podzielić na trzy części, do jednej dodać dwie łyżki kakao, rozwałkować i przekładać na małej albo okrągłej natłuszczonej blasze – jasne, marmolada, ciemne, marmolada, jasne. Piec w temperaturze dla ciasta kruchego.

Krystyna 1907

Pogoda z dnia na dzień się zmieniała. Najgorszy to był czas dla świata i ludzi, gdy zima walczyła o prymat z jesienią. Jedna sypała śniegiem, druga lała deszczem. Jedna mroziła, druga duła porywistym wiatrem. Jeśli kto w ten czas wylazł z chałupy, zmókł do nitki, przemarzył do szpiku kości. Siedzieli więc ludzie przy piecach, szukając roboty dla rąk. Kobiety łuskały groch, dały pierze, przędły, szyły i haftowały. Mężczyźni naprawiali przetaki, pletli kosze, strugali z drewna trzonki, wiązali zerwane sieci w więcierzach.

Częściej niż zwykle patrzono w stronę kuchennej blachy i garnków, które na niej stały. Z zimna jeść się chciało. I to jeść suto i tłusto. Niestety, przyszedł adwent, zaczął się przedświąteczny post. Gotowano więc chude zupy, nie kraszono ziemniaków ni kasz. Z mleka odciągano śmietanę, z której zrobione masło składowano w dzieżkach. Sery owijano w szmatki i pozwalano im dojrzewać. Będą jak znalazł na tłusty, świąteczny czas. Teraz tylko chude mleko i maślanka.

Krystyna przycupnęła tak blisko pieca, że bliżej już nie można było. Ozdabiała mankiet koszuli wzorem z czerwonych i czarnych krzyżyków. Matka siedziała tuż obok, przedła. Nitka w jej palcach migała tak szybko, że stawała się niewidzialna. Ojciec, który wcześniej zajęty był naprawianiem poluzowanej obręczy na cebrze, skończywszy robotę, położył się na ławie, przykrył derką i drzemał. Ciszę, która panowała w izbie, przerywały tylko gwizdy wiatru.

Krystyna myślała o wydarzeniach, które rozpoczęły się w tysiąc dziewięćset czwartym roku. Wojna, prowadzona przez cara gdzieś hen, hen na końcu świata, niespodziewanie uderzyła w ich wieś. Kilku młodych zabrano do wojska. Polały się łzy matek i narzeczonych, a ci, którzy nie płakali, czuli gniew. Co kogo obchodziła carska wojna? Jakby tego było mało, rok okazał się nieurodzajny, już wiadomo, że na wyżywienie dla siebie nie starczy, sprzedać nie będzie czego, a tu trzeba na tę wojnę obowiązkowo jedzenia dostarczać.

– Widzisz – szeptał Gustek – sprawdza się wszystko, o czym mówiłem. Dlaczego car szkoły we wsiach postawił i dał do nich ruskich nauczycieli? Bośmy dla niego mięso armatnie i tania siła robocza. Mamy mówić po rusku, by rozkazy oficerskie rozumieć, ot co. Nie szanuje on nas jako narodu, a nasi dziedzice tacy sami, bo carowi sprzyjają. Czemu sprzyjają? Bo chcą własne majątki zatrzymać, a wiedzą, że potrzeba taniej siły roboczej do ich obrobienia. Widzisz, Krysiu, idzie rewolucja, idzie nowy świat.

Krysia czuła, że coś się zbliża. W ludziach wzbierał gniew jak ropa w czyraku i wiadomo było, że wcześniej czy później on pęknie. Mężczyźni dyskutowali między sobą podniesionymi, pełnymi emocji głosami. Jedni chwalili drogę Dmowskiego, który dawał do zrozumienia, że w wyniku rewolucji car będzie szukał porozumienia z endecją, jedyną siłą zdolną do zapewnienia porządku. Gdyby tak się stało, można by liczyć na szeroką autonomię Królestwa. Inni zaś chwalili drogę Piłsudskiego, powtarzając, że jedynym dobrym miejscem do życia dla Polaków jest wolna i nikomu niepodległa Polska. I jeśli przyjdzie zbrojnie ją carowi wyrywać, to trzeba będzie tak zrobić.

Potem mówiono o styczniowej niedzieli w Petersburgu, gdy wojsko powitało robotników salwami, mimo że szli do pałacu z pokojową petycją. „Cóż to dla ruskiego wojska strzelać do robotnika czy chłopą? Dla nich to jak do psów strzelać” – mówili niektórzy, a od tych słów ciarki przechodziły po

plecach. Później w całej Rosji wybuchły strajki. Z polskich miast dochodziły wieści o robotnikach opuszczających fabryki.

W czasie wiosennych siewów zaczęły się strajki rolne w majątkach wiejskich. Fornale rzucali robotę i wędrowali po wsiach, głosząc protesty, których głównym postulatem było lepsze traktowanie chłopów i dworskich pracowników. Żądano godziwej płacy, skrócenia dniówki najemnej, dostępu do lasów. Mówiono też jednym głosem w sprawach narodowych. Sołtysi zrzucali oznaki swej godności, bo widniał na nich napis w znienawidzonym języku rosyjskim. Ludzie niszczyli carskie portrety w urzędach i szkołach. Wyganiano rosyjskich nauczycieli i zastępowano ich polskimi. Sprawa szkoły w Dzierażni stała się znana i była przykładem dla innych wsi.

Pewnego wiosennego wieczoru zjawił się Gustek. Dawno się nie widzieli i Krystyna poczuła, że wiosna budzi do życia nie tylko świat, ale i jej serce.

Stali oddzieleni płotem. Ona wciąż dziewczyna, on już dojrzały mężczyzna. Na ustach wciąż miał uśmiech, ale w oczach widziała powagę. Ściszone głosem tłumaczył, że endecy zamęt sięją, obszarników biorą w obronę, z księżmi i dziedzicami się dogadują przeciw chłopom. Pewna nadzieja jest od strony Polskiego Związku Ludowego, który mówi i o niepodległej Polsce, i o rewolucji. Zdaje się rozumieć, że interesy chłopów i obszarników są odrębne. Wcisnął przy tym Krystynie w dłoń ulotkę, mówiąc, by przeczytawszy, spaliła, ale słowa zapamiętała i rozgłosiła wszędzie, gdzie tylko zdoła.

– Ty wiesz, Krysiu, jak mi jesteś droga? – A gdy nie odpowiadała, podniósł rękę i odgarnął jej z czoła kosmyk włosów. – Jednak to dopiero początek. Nie wiadomo, gdzie mnie ta droga zaprowadzi, nie wiadomo, czy z tego wyjdę cało.

– Nawet tak nie mów.

– Przecież nie jest tak, że ja się najgorszego spodziewam, tylko najlepszego. A jak będzie, tego nikt nie wie.

Krystynę najpierw zapiekły oczy, a później zaszyły łzami.

– Nie płacz, bo mi serce pęknie. Nigdy nie myślał, że na świecie może być ktoś tak mi drogi. I nigdy, nigdy cię nie zapomnę. Tylko zrozum, muszę walczyć o to, by twoje dzieci nie musiały u pana we dworze za miskę stawy służyć, bez nadziei na lepsze jutro. Rozumiesz to?

Nie rozumiała. Nie chciała mieć dzieci, które nie będą ich wspólnymi. Nie chciała, by zmieniał świat dla kogokolwiek.

– Dlatego z całego serca cię proszę, nie czekaj na mnie. Jeśli ci kto zacny się trafi, a będziesz go lubiła, idź za męża. Mnie nie musisz dochowywać wierności. Idź za męża i bądź szczęśliwa. Jedno mi tylko obiecaj. Dochowasz wierności sprawie. Iść będziesz drogą, którą ci wyznaczy SDKPiL. Obiecujesz?

Skinęła głową.

– Obiecujesz?

– Tak – wyszeptała z trudem, bo płacz głós dławił. – Obiecuje.

Gustek uśmiechnął się zadowolony. Czuła w ustach smak swoich łez, gdy całował ją na pożegnanie. Potem odszedł. Nie chciała za nim patrzeć, bo każdy krok wbijał się sztyłem w jej serce, a jednak patrzyła.

Przez czas jakiś dostawała o nim wieści, czasem od Mariana, czasem od zupełnie obcych osób. Potem przepadł. Mówiono, że go aresztowali, inni znowu twierdzili, że zginął. Ktoś powiedział, że jest szpiegiem. Potem mówić przestano.

Początkowo Krystyna dobrze pamiętała jego twarz, każdy szczegół. Później wszystko zaczęło się zacierać. Tak jak mgła jesienna rozmywa kształty domów i drzew, tak mgła zapomnienia zacierała ukochane rysy. Tylko oczy Gustka wciąż bardzo dobrze pamiętała.

Teraz, siedząc przy piecu, myślała o nim, o rewolucji, która już się skończyła, o świecie, co wcale się nie zmienił. Chciałaby spotkać Gustka, by go zapytać, czy warto było. Chciałaby mu powiedzieć, jak zła jest o to, że ją porzucił, by walczyć o parcelację majątków i rozdanie całej ziemi małorolnym. Gdyby jednak stanął w drzwiach, nie czekałby dłużej niż mgnienie oka, bo już biegłaby do niego. I natychmiast wszystko zostałoby przebaczone. I miłość, cicha i zaschnięta, teraz podobna do karpiny georginii schowanej w koszu pod stołem, zakwitłaby wszystkimi kolorami.

Z zamyślenia wyrwał ją ból, a może własny krzyk? Nie, jednak ból. Był tak nagły, że potrzebowała chwili, by zdać sobie sprawę, gdzie jest jego źródło. Rzuciła haft i podniosła rękę do twarzy. Policzek piekł ogniem. Pod opuszkami palców poczuła pulsowanie. Skóra z miękkiej w jednej chwili zrobiła się twarda, naciągnięta. Krystyna, wciąż nie rozumiejąc, co się stało, rozejrzała się wokół. Ojciec, wyrwany krzykiem ze snu, przecierał oczy. Matka patrzyła na nią zimnym, obojętnym spojrzeniem. Sposób, w jaki trzymała czólenko, uświadomił Krystynie, dlaczego boli ją policzek.

– A co tam? – zapytał ojciec.

- Myszy się przestraszyła, to i krzyknęła.
- A kot na piecu śpi. Trza ją złapać, nim szkód narobi.
- Już uciekła. Przydybiem ją następnym razem.

Rozespanemu ojcu nie chciało się myszy szukać. Ciaśniej owinął się derką i już posapywał równym oddechem śpiącego człowieka.

– Jeszcze ojca zbudziłaś. Po co mordę drzesz? Tyle jego, co ta odrobina snu. Narobi się całymi dniami, oj narobi. A ty siedzisz przy piecu i nie wiadomo o czym dumasz.

Krystyna podniosła haft. Policzek bolał ją niemiłosiernie. Chętnie wyszłaby na zewnątrz, na ten zimny wiatr, który niewątpliwie przyniósłby ulgę. Nie miała nawet odwagi wyjść do sieni, by szmatkę w cebrze zmoczyć i do pulsującego miejsca przyłożyć. Pierwszy raz matka uderzyła ją w twarz. Krystyna czuła, że pewna granica została przekroczona i teraz będzie już tylko gorzej.

Minęło kilka dni, a policzek wciąż bolał. Matka kazała przykładać zsiadłe mleko na opuchliznę. Martwiła się, że zostanie szrama, i radziła pójść do znachora albo aptekarza po jakąś gojącą maść.

– Rumianku ci naporzę. Rumianek ładnie goi rany. Zobaczysz, znaku nie będzie.

Krystynie było zupełnie obojętne, czy znak pozostanie, czy nie. Wszystko jej było obojętne. Wiedziała, że póki opuchlizny na policzku, póty matczynej dobroci. Gdy strup odpadnie i siność zniknie, znów coś się stanie. I to coś gorszego, bo teraz za każdym razem będzie już gorzej i gorzej. Ta świadomość była w pewien sposób wyzwalająca. Krystyna przestała się bać. Myślała, że powinna prowokować matkę, by biła mocniej i mocniej, aż przyjdzie taki moment, że tamta... Może nie przyjdzie, może jest jakaś granica, której matka nie przekroczy?

Cieszyła się, że czas sprzyjał siedzeniu w domu. Roboty w obejściu żadnej, na wieś chodzić nie trzeba, a tym samym nie ma okazji do jakichkolwiek spotkań. Nikt więc nie mógł zobaczyć obitej twarzy. Nie wstydziła się tego, jak wygląda, ale bała się pytań o przyczynę. Ludzie są ciekawi, ciekawość każe im dociekać, a czasem tak są w tym zawzięci, że nie zauważają, jaką krzywdę czynią pytanemu.

Jednak pytanie padło. W niedzielę obiadową porą zjawił się u nich w chacie Marian Malicki. Krystyna dawno go nie widziała, myślała, że o niej zapomniał. Matka nawet awanturę jej o to zrobiła.

– Taki on piękny, taki piękny. Jakby z jakiego świętego obrazka zszedł i zaczął po świecie spacerować. A ty mu ani trochę życzliwości nie okazała, to gdzie indziej poszedł. Aż żal.

Krystyna nie czuła żalu. Niech sobie idzie, gdzie chce, niech w innej chałupie swego szczęścia szuka, w innym sercu wzajemności.

Nie ucieszyła się, gdy zobaczyła przez okno, jak z wiodącej przez wieś drogi skręcił ku ich obejściu. Wyszła mu naprzeciw tylko dlatego, że spodziewając się jego ciekawości, chciała ją od razu zaspokoić, a nie przez całe popołudnie uciekać przed wścibskim spojrzeniem.

Rozpromienił się na jej widok, ale dostrzegłszy szramę na policzku, natychmiast posmutniał.

– Krysia, a cóż to ci się stało?

Tyle miała wiarygodnych wyjaśnień. Kot, który podlaźł pod nogi, lód pod studnią, korzeń, który wylazł ze ścieżki, futryna, której po ciemku nie wymacała. Zanim jednak zdołała zdecydować, które najlepsze, on już pytał.

– Kto ci to zrobił? Kawaler jakiś?

– Nikogo u mnie nie było.

Podniósł rękę i delikatnie ująwszy Krystynę za brodę, przekręcił jej głowę tak, by lepiej widzieć.

– Po tym rozcięciu blizna zostanie.

Wzruszyła ramionami.

– Powiedz mi, kto to zrobił. Ojciec?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Przygryzła wargę, by powstrzymać łzy, które nie wiedzieć czemu napłynęły jej do oczu.

– Matka?

– Nie twoja sprawa. Idź sobie swoją drogą, a mnie zostaw w spokoju. – I odwróciła się, by odejść.

On jednak chwycił ją za chustę i z całej siły przyciągnął do siebie. Zamknął Krystynę w ramionach, choć szamotała się jak schwytyany ptak.

– Już dobrze, już dobrze. Krysia, ja ci nie wróg. Ja cię z całego serca miłuję. Pozwól ty mnie zabrać cię z tego domu. Pójdź za mnie. Dobrze nam będzie. Przy koniach robię, pan mnie szanuje. Moja ciotka w kuchni. Gadałem z nią, wstawi się u dziedziczki, dostaniesz robotę, i to nieciężką. Wodę będziesz nosić i drwa, talerze zmywać. Ciotka poduczy cię gotowania, to z czasem lepsze zajęcie będziesz miała. Może kiedy kucharką zostaniesz? A może trochę grosza zarobimy i ziemi sobie kupimy albo w świat

pojedziemy? Za posagiem twoim patrzeć nie będę, twoje ojce młode, jeszcze trochę gospodarować będą. I niech tam, niech sobie gospodarują, póki mogą. Mnie nic do tego. Ja tylko ciebie chcę, tylko ciebie jednej. Od pierwszej chwili, jak cię zobaczyłem, tylko ciebie chcę, tylko ciebie miłuję. Pójdź za mnie, Krysiu, dobrze ci będzie. Nieba ci przychylę, zobaczysz, zobaczysz.

Jakże ja mam pójść za ciebie, skoro cię nie miłuję? Gdybym nie wiedziała, czym jest miłość, to może łatwiej by mi było. Posłuchałabym tego, co mówią, że miłowanie po ślubie przychodzi. Jednak ja wiem, że ono budzi się w sercu tak jak ptak z nocnego snu wyrwany i od razu wzbija się ku niebu z radosnym śpiewem. Moje serce za innym po świecie powędrowało, teraz, gdy tamten przepadł, wróciło, ale wciąż jest smutne. Ty zaś nie jesteś tym, który może je pocieszyć, więc jakże ja mam za ciebie pójść?

A on, nie słysząc jej myśli, szeptem powtarzał:

– Pójdź za mnie. Dobrze będzie, zobaczysz.

Powinna się była wyrwać z jego ramion i kazać mu iść, gdzie raki zimują. Jednak, zamknięta w tym kręgu silnych, męskich mięśni, po raz pierwszy w życiu poczuła się bezpieczna. Ten mężczyzna był furtką do innego świata. Nie wiadomo, czy ten świat okaże się lepszy czy gorszy, wiadomo jednak, że matka nie będzie miała do niego wstępu. Jeśli wyjdzie za Mariana, zamieszka w czworakach przy dworze. Pomyślała o kawalerach, którzy do niej przychodzili. Żaden nie mieszkał tak daleko. Wyjąwszy jednego bogatego wdowca, żaden nie miał własnej chałupy. Po ślubie musiałyby mieszkać z rodzicami albo teściami do czasu, ażby się dorobili na tyle, by na swoje pójść. Byłaby blisko, zbyt blisko. Marian był bramą...

– Może i bym za ciebie poszła, ale mi nie pozwolą.

Poczuła, jak jego serce zatrzepotało z radości.

– Poszłabyś, Krysiu? Naprawdę być poszła?

– Nie pozwolą...

– Już ty się o nic, złota moja, nie martw. Tylko powiedz, pójdziesz?

– Ano pójdę.

Rozdział piąty



Rośliny ozime to takie rośliny uprawne, które są wysiewane jesienią, by jeszcze przed zimą mogły wyrosnąć, ponieważ by przejść pełny cykl rozwojowy, potrzebują przez odpowiedni czas niskiej temperatury. Dla ozimin najlepsze są okresy zimowe, kiedy pokrywa je warstwa śniegu, inaczej mogą przemarznąć, wyschnąć albo, gdy traktowane są zbyt wysoką temperaturą, wybujac, czego skutkiem jest zmniejszenie plonu. Najpopularniejszymi oziminami są pszenica, rzepak, jęczmień i żyto.

Wrzesień 1924

Wuj Antek podniósł się z ławy.

– No, Natalia, trza ci się zbierać.

– Jeszcze czas – powiedziała.

– Jakże czas, skoro zaraz zrobi się ciemno? Po nocy przez łąki iść będziesz?

– Drogą pójdę.

Westchnął. Podszedł do niej, po głowie pogładził.

– Trza ci się zbierać. – A widząc, że siostrzenica się ociąga, delikatnie ujął ją za ramię i do góry pociągnął. – Toż jutro też dzień.

– Ale budny, nie świąteczny. Mamcia robotę jaką zadadzą.

– To raz-dwa się obrobisz i do nas na wieczórki przyjdiesz. A teraz już czas na ciebie. Aniela zmęczona, spać musi.

Głową wskazał żonę. Ciotka Aniela, ubrana w strój niedzielny, leżała wsparta o poduszki na zaścielonym kapą łóżku. Między nim a zydlem, na którym przysiadła Natalia, stała kołyska. W kołysce zaś leżał cud nad cudy, maleńka Walerka.

- A jak mała się zbudzi i płakać zacznie?
- Damy sobie radę.
- A jak nie?
- To do wozu zaprzęgnę i po ciebie przyjadę – powiedział wuj, a kpina w jego głosie była tak wyraźna, że Natalia poczuła się obrażona.
- To ja już pójdę – powiedziała, fukając przy tym tak, by obecni zdali sobie sprawę, że się na nich gniewa.

Oczywiście tylko dorośli, bo przecież ani na Walerkę, ani na Dominika, który jak kot zwinięty w kłębek spał przy matczynym boku, gniewać się nie mogła. Kochała te dzieci jak swoje. Dominika troszkę mniej, Walerkę całym sercem.

Wujenka poród miała ciężki, robić nic nie mogła, to ją wyręczały wszystkie, jak mogły. Na Natalę scedowano bawienie dziecka. Jakież tam bawienie? Pobujać w kołysce, matce do karmienia podać, gdy głodne, szmatki i pieluszki pozmieniać, gdy się sfajdało. Ot całe zajęcie. Aniela, która wszystkiemu się przyglądała, chwaliła Natalę.

– Jakże ty sobie z nią dobrze radzisz. Masz rękę do dzieci. Nikt jej tak nie potrafi uspokoić jak ty.

Z każdym dniem Natalia czuła się coraz bardziej potrzebna i coraz mocniej związana z maleństwem. Jakże ono cudnie pachniało. Żadna woń, z którą zetknęła się w swoim życiu, tak nie działała. Wtulało się nos w meszek, porastający główkę malutkiej, a zapach jakby od razu szedł do serca, uruchamiając tam ogrom uczucia. A jeszcze ta piękność nowo narodzonego dziecka, te rączki malusieńkie, paluszki tyciutkie, usteczka jak malinka. Gdy Natalia wsuwała palec w maleńką dłoń, dziewczynka natychmiast ją zaciskała. Jakby próbowała pokazać, że nie chce się rozstawać z Natalą, bo jej to towarzystwo bardzo jest potrzebne.

I tylko wuj Antek tego nie rozumiał.

– A uważaj tam na siebie. – Po głosie wujenki słychać było, jak bardzo jest wciąż słaba.

Natala, która już stała w drzwiach, odwróciła się i skinęła głową. Mówią do niej jak do dziecka, a przecież ona ma już piętnaście lat.

Już, już miała próg przekroczyć, gdy poczuła, że musi zawrócić. Na palcach podeszła do kołyski i szepnęła Walerce, że jutro z samego rana przyjdzie, czy będzie miała robotę, czy nie. Maleńka, słysząc to zapewnienie, uśmiechnęła się przez sen, a z tym uśmiechem na serce Natali spłynęła

niezwykła słodycz.

Wyszła na podwórze. Drzwi za nią się zamknęły. Na zewnątrz było jaśniej niż w izbie. Jedna połowa słońca sterczała nad czartowieckim pagórkiem, druga już się za nim schowała. Z czystej, niczym niezmaconej słonecznej tarczy wróżyć można było ładną pogodę na kilka najbliższych dni. Znaczyło to, że jutro chłopcy wyruszą otawę kosić. Nie ma nadziei, by matka z domu puściła. Będzie jej kazała biegać na łąkę, a to z dwojakami, a to z kankami, i kosiarzy to karmić, to poić. Dziadek chłopów najmie, żeby się jak najszybciej obrobić i u siebie, i na matczynym. A spracowane chłopcy jedzą za dwóch. Na samą myśl o wielkich dwojakach Natalę ręce bolały. A przecież zamiast tego mogłaby wujence pomagać, dziecko kołysać, na rękach nosić. Takie dziecko to prawie nic nie waży, nie to, co dwojaki, w które pięć litrów barszczu leją, a kartofli z omastą pewnie ze cztery kilo wchodzi. A to tylko na trzech chłopów. Jak będzie sześciu albo i dziesięciu? Mycie wszystkich saganów też na ręce Natali spadnie, bo to przecież „lekka kuchenna robota”.

Robiąc to wszystko, myślami wciąż będzie przy małej. Taka cacana! Wujek mówił, że nigdy się Antoszcze Lipczewskiej nie wywdzięczy za to, że życie uratowała i dziecku, i matce. Nie wiedział tylko, jak to zrobić, bo jak z pieniędzmi pojechał, to go pogonili, grosza wziąć nie chcieli. Ale mówił, że to dobrzy ludzie. Za to babka Natali bardzo na nich nastawała. Już taką miała naturę, że nikogo nie lubiła. Najchętniej to by w izbie siedziała, czekając, aż jaki paproch na podłogę spadnie, by go w te pędy zamieść. Dlatego Natalia do dziadków nie lubiła chodzić. Siedziała u nich w izbie sztywno na zydlu i nawet głową bała się poruszyć.

A u wujostwa było inaczej. Tak wuj Antek, jak i wujenka Aniela zawsze robotą zajęci, ale dla siebie mili, serdeczni. On w polu robi, ona w obejściu. Ugotowane zawsze, w domu nie gorzej niż u babki Tereski, choć wujenka raz na dzień izbę zamiata. Przed domem ładnie, kwiatki rozmaite kwitną, na podwórzu, w oborze, wszędzie ład taki, jak ma być. A przecież wiadomo, że bałaganu nie da się uniknąć, bo to świnia z zagródki ucieknie i zanim kto zobaczy, przeryje pół podwórza, a to kaczki wodę z koryt porozchlapują albo kury nadrapią.

Kury ze wszystkiego najgorsze. Czasem się Natalia zastanawiała, czy jajka i kurze mięso faktycznie są warte tego trudu, jaki trzeba włożyć w opiekę nad kurami. Ze wszystkich bowiem zwierząt w gospodarstwie te były

najdurniejsze, najzłośliwsze i najbardziej szkodne. I to od maleńkości. Niech no tylko kurczęta wyschły po wykluciu się z jajek, już biegały wzdłuż zagrody, by tylko znaleźć miejsce, przez które można przeleźć na drugą stronę. A jeśli któremu udało się wyleźć, to zaraz lament wielki podnosiło, wołając kwokę na ratunek. Ta się zrywała i biegła na pomoc temu jednemu, pozostałe rzucając na pastwę losu. Pisk kurczaków zwabiał sroki, wrony i wygłodniałe koty. Kwoka nie była w stanie wszystkich upilnować i często się zdarzało, że śliczna żółta kuleczka kończyła jako obiad drapieżnika.

Kwoki na najrozmaitsze sposoby przyczyniały się do utraty kurcząt, bo to po deszczu wlokły je w mokrą trawę albo też prowadziły w chwasty, gdzie czyhały kuny i łaski. Nie to, żeby same kurczęta nie szukały śmierci na najprzeróżniejsze sposoby, pchając się pod nogi bydłu i koniom, wążąc do świńskich koryt, uciekając na drogę. Jeśli dzięki staraniom uważnych gospodyń udało im się osiągnąć dojrzałość, to po pierwsze nie porzucały poszukiwań, co więcej, rozszerzały teren wycieczek na pastwiska i krzaki, a tam łatwiej padały ofiarą lisów. Pod żadnym pozorem nie chciały spać w kurniku, tylko szukały miejsc na drzewach, płotach, krokwiach. Im wyżej, tym lepiej. Miałyby to sens, gdyby w takim miejscu przesiedziały do czasu, gdy wstaną ludzie, ale nie, ledwo niebo odrobinę pojaśniało na wschodzie, a kura już złaźła z drzewa i kładła łebek w pysk cierpliwego lisa czy psa.

Jeśli się zdarzyło, że kurę z jajkiem gospodyni przez nieuwagę wypuściła spod korca, ta zaraz pędziła między największe pokrzywy, by tam jajko zostawić na pastwę srok, łasek czy co tam chciało się pożywić, a żeby nie zostało to przeoczone, informowała świat donośnym gdakaniem. „Koko dak koko dak, zniosłam jajko jak przetak” – darła się na całą wieś. Gospodyni rzucała wtedy wszystko i na czworakach przeszukiwała chaszczę w nadziei znalezienia cennego jajka. A nie było to łatwe. Należało wypatrzeć zgniecione źdźbła, złamane łodyżki, a i to nie zawsze ta sztuka się udawała, bo kura to spryciara nad spryciary. A na dodatek szkodnik nad szkodniki. Najmniejsza w całym gospodarstwie, a najwięcej szkód robi. Gdy skopiesz grządki i zagrabisz, a przez nieuwagę kury wypuścisz, nie licz, że z twojej pracy cokolwiek zostanie. Przedrapią wszystko pazurami, doły wykopią na metr czasem głębokie.

Świnia, gdy wyzwoli się z chlewu i w szkodę ucieknie, nie robi takich zniszczeń jak kura. Mało grządki skopane, gorzej, gdy zasiane. Nasiona na wagę złota, ale czy dla kur? Co je obchodzi marchewka czy kapusta, które

ledwo wschodzą? Nic a nic. Jeśli gospodyni nie dopilnuje, to może zobaczyć swoje niedoszące plony fruujące na wszystkie strony świata. To, że rośliny się umocniły, wcale nie znaczy, że są bezpieczne. Głupie kury dziobią wszystko, co wzbudza ich ciekawość. Dziura w kapuście, dziura w harbuzie, podziobane owoce, a jeśli który im zasmakuje, to się nie odczepią, nic człowiekowi nie zostanie. Nie można też liczyć na piękne kwiaty przed domem, jeśli się ich nie odgrodzi solidnym płotem z ciasno plecionej wikliny albo jedna obok drugiej przybijanych żerdzi.

Mało jednak kurom szkód czynionych w obejściu. Na moment z oczu spuszczone wleżą do domu. Garnek z zacierkami zostawiony na piecu nie jest bezpieczny. Podfrunie jedna, spróbuje owej delicji i już nawołuje inne. Tłoczą się na piecu, jeśli co tam stoi, zrzucą, garnek do cna opróżnią, klepisko rozgrabią pazurami, a jeszcze nasrają, bo przecie to kury i nawet nie wiedzą, kiedy szara maziuga z nich wypływa. Kiedy tak psocą w kuchni, to wejść niebezpiecznie, bo spłoszone rzucają się na oślep do ucieczki i mogą okna powybijać. Nie wiedzieć czemu, kura odważna, gdy sama. Wejść tam, gdzie zaplanowała, to się nie boi. A próbuj ją zagnać, gdzie ty sobie życzysz. Uciekać będzie, zawracać, złapać się nie da, w samych drzwiczkach zawróci i z krzykiem przeraźliwym ucieknie, bo się boi, choć co wieczór tam właśnie jest zamykana.

Kurza płochliwość nie raz doprowadziła do nieszczęść ogromnych. Po pierwsze w oborze. Krowy to poczciwe stworzenia, rzadko się trafia taka, co buca albo kopie. Mają one jednak w pamięci dawne czasy, zanim na człowieka trafiły. Dlatego, przestraszone, zanim pomyślą, że przecie stoją bezpieczne w ciepłej oborze, zaczynają się rzucać, szarpać postronki, kopią na oślep, przekonane, że wróg zachodzi je od tyłu. Nieraz się zdarzało, że takie bydlę spłoszone poślizgnęło się, upadło, wykręciło nogę, a nawet ją złamało. Wtedy nadawało się już tylko na ubój, a wiadomo, że z tego większa strata niż zysk.

Częściej niż krowy płoszą się konie. O ile krowa próbuje się bronić racicami i rogami, o tyle koń zna jeden tylko sposób ratunku – ucieczkę. Kto choć raz widział albo i próbował powstrzymać spłoszonego konia, ten wie, że nadludzkiej trzeba do tego siły. A stracić przy tym życie tak łatwo, jak splunąć. Gdy zdarzy się, że trzepocząca piórami kura wyskoczy wprost pod końskie kopyta, najbardziej łaskawe i spokojne zwierzę nie wytrzyma i rzuci się do panicznej ucieczki na oślep, byle dalej, byle szybciej, nie zważając, co

po drodze tratuje. Tak. Wszystko, co najgorsze w obejściu, to przez kury. Z drugiej jednak strony poradzić sobie w kuchni bez jajka trudno. Czy to pierożki, czy bułeczki, czy farsze, czy ciasta, czy placuszki, do wszystkiego potrzeba jajka. Jak kto zaniemówi, nie ma lepszego na gardło lekarstwa niż tarte żółtko. Kiedy dziecko się przestraszy, nie ma lepszego sposobu, niż mu jajko wylać.

Natala wciąż pamiętała, jak po wyjeździe ojca zaczęła z tęsknoty zrywać się w nocy z płaczem. Mało tego, moczyć się zaczęła. Nie było innego sposobu, matka musiała wezwać Ciotkę Leonkę. Tamta przyjrzała się jajkom, które matka w koszyku przyniosła. Wybrała jedno, zrobiła nim znak krzyża na czole Natali, a potem trzy razy wokół głowy nim przesunęła. Na koniec energicznie stuknęła jajkiem o kant stołu i wylała je do miseczki. Żółtko nie miało naturalnego kształtu, rozlane było. Przyglądali się wszyscy. W żółtych smugach wyraźnie widać było sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden z nich trzymał coś w rękach. Ciotka Leonka mówiła, że to cep, matka, że bat, dziadek Hub, że siekiera. Cokolwiek to było, wylewanie jajka Natali pomogło, bo przestała w nocy się budzić.

Czasem dobrze mieć kury. A najlepiej ze wszystkiego mieć koguta. Wujenka Aniela miała takiego wielkiego, czarnego, ze złotozielonym ogonem. Mówiła na niego Maciek i dumna z niego była nie mniej niż dziadek ze swoich bułanych ogierów. Chodził sobie Maciek po podwórzu, pierś wypinał, o kury dbał, a z innymi zwierzętami toczył zaciekle boje. Kot mijał go szerokim łukiem, pies na jego widok ogon podkulał. Gęsiar Heleny Francowej, który kogutowi raz się postawił, chodził z łysym grzbietem. Saszka Iwaniukowa musiała swojemu kogutowi łeb obciąć, bo w potyczce oko stracił i była obawa, że zdechnie. Natala rada słuchała opowieści wujenki o bojach, które Maciek toczył. Marzył jej się taki kogut. I takie dzieciątko jak Walercia.

Pogrążona w myślach minęła własne podwórko i teraz stała naprzeciw chałupy dziadków. W izbie palił się kaganek, znak to, że ktoś tam był. Natala weszła na podwórko dziadków i stanęła przy oknie. Rozpoznała głosy. To matka i babka. Już chciała zawrócić do własnej chałupy, gdy usłyszała swoje imię.

- Dobrze mówił, toż ona ma prawie szesnaście lat – powiedziała babka.
- To, że moja córka zaraz zacznie pannaowanie, nie znaczy, że ja mam się do grobu położyć.

- Tego nikt nie mówi.
- Ojciec mówi.
- On dobra twojego chce, a ty na niego silnie cięta.
Matka prychnęła rozwścieczona.
- Dobra? Jakież to dobro on mi naszykował? Ja wam powiem jakie. Najpierw kazał mi się ożenić z Frankiem. Moje szczęście, że go lubiła. Jakbym nie lubiła albo jakby mi kto inny był miły, to i tak ojciec kazałby mi za Franka iść, bo tej miedzy pomiędzy nami a Dołęgami znieść nie mógł. Teraz wszystko orze, a kto jest z Dołęgów, słusznie po wsi chodzi i gada, że ukrzywdowani, bo Franek miał odpisane, a ojciec mnie nic nie dał.
- Po cóż zapisywać, skoro to i tak twoje.
- Jak moje? Jak moje? Ojciec na nim robi, pieniądz sobie zabiera, mnie ot tyle, żebym nie dziadowała, daje.
- Toż musi odliczyć za robotę.
- To może niech mi uczciwie jak za dzierżawę płaci? Antek sam na swoim robi.
- I też nie na odpisanym. Przyjdzie czas, to się i tobie, i Antkowi zapis zrobi. My przecież żadnego z was ukrzywdzić nie chcemy. A że Antek sam robi... No robi, bo on chłop. Ty przecie w pole ani orać, ani siał nie pójdziesz, bo to by była obraza boska i ludzkie pośmiewisko. Jakbyś miała chłopca, to co innego.
- A czemu ja chłopca nie mam, no czemu? Może dlatego, że go ojciec dla kaprysu do Ameryki posłał? Znieść nie mógł, że taki dziadowski syn, taki Wawrzek za morza się wyprawi, a od niego, gospodarza, nikt tam nie pojedzie. Antka było szkoda, bo to syn. A mojego Franka nikt nie żałował.
- Nie mów, że nikt. Razem z tobą za nim płakałam. I ojciec jego, póki żył, też płakał. I siostry płakały.
- I cóż mnie z tego? Wdową zostałam. Jak nie było od niego wieści, to mi ojciec mówił: „Nie martw się, Weronika, wróci, będziesz się cieszyła, a nie wróci, to za innego pójdziesz”. Tyle że gdy żałoba się skończyła, to już inaczej gadał. A na koniec, jak mi się trafił taki, co chciał się żenić, to go ojciec obił.
- Ten, co ci się trafił, to nie chciał ożenku, tylko nocy poślubnej.
- Tego to akurat ja chciałam. Nie każdy taki jak wy, że mu cztery razy na całe życie wystarczą.
- Coś plasnęło w izbie, a później cicho się zrobiło.

– Miarkuj ty się, co do matki mówisz.

Odgłosy, które teraz Natalia słyszała, musiały być szlochaniem matki.

– Zawsze ojca stronę trzymacie. On dla was podły, a wy i tak za nim. – Łzy tłumili jej głos.

– Czemuż ty myślisz, że on dla mnie podły? Jestem ja przy nim gospodynią na całą wieś. Chałupę mam dużą, oborę pełną, ziemi bez mała pięćdziesiąt morgów. Mam pieniądze, mam ubranie świąteczne ładne. W chałupie i sprzęty, i naczynia, a w komorze wszystkiego pod dostatkiem. Czegóż jeszcze kobiecie w życiu trzeba?

Matka nie odpowiedziała. Natalia, gdyby jej ktoś takie pytanie zadał, bez namysłu by powiedziała, że jeszcze tylko dzieciątka, takiego słodkiego jak Walerka, i takiego pięknego koguta jak Maciek. No ale przecież babka nie tylko dzieci, ale i wnuki już odchowala. A kury jakoś nigdy jej się nie darzyły. Nic więc dziwnego, że ani za dzieckiem, ani za kogutem nie tęskniła.

A matka? Czy ona mogła jeszcze chcieć mieć dzieci? Natali dreszcz przebiegł po plecach.

– Mnie się widzi, że zupełnie innych rzeczy od losu chcemy – powiedziała matka głosem pełnym żalu.

– Boś ty się w ojca wdala.

Chwila milczenia.

– Może i tak być. Może przez to za mąż bym chciała. A ojciec mi nie pozwolił.

– Jakby do ciebie przyszedł gospodarz bogaty, co ciebie na gospodynię by chciał, tobyśmy nie byli przeciwni. Gołodupca, co myśli, jak się wygodnie w życiu urządzać, to my nie chcemy i ty chcieć nie powinnaś.

– Bogaty gospodarz to pójdzie do jakiejś młódki. Na co mu się z wdową żenić?

– To jak ty sama wiesz, że ten, co ciebie godny, swatów nie przyśle, to nawet nie myśl o powtórny zamążpójściu. A do domu nikogo nie zapraszaj, bo wstydu dziewczynie narobisz.

– Ojciec nam wszystkim wstydu nie robi?

– To chłop. Ludzie na niego łaskawszym okiem patrzą. Zresztą zakazałam mu. Nie mam ochoty, żeby mi tu stara Połajowa przychodziła i o ogniu piekielnym gadała.

Zamilkły. Natalia myślała, że to już koniec rozmowy, już miała odejść, gdy

usłyszała skrzypnięcie krzesła i ciszej niż wszystko poprzednie powiedziane słowa:

– On mi był miły, mamó.

– Zapomnij, córuś, zapomnij. Na co tobie chłop? Teraz masz się jak pączek w maśle. Nikt cię po nocy nie szturcha, nikt rano do roboty nie goni, niczyich portek nie opierasz. Zresztą twój czas już minął. Zaraz kawalerowie będą się zbiegać do Natali. Jakże by to wyglądało, jednego wieczoru przychodzą do matki, drugiego do córki? Ludzie będą gadać.

– I bez tego gadają.

– To, co teraz wygadują, to nic szkodliwego nie jest. Bo wszystko wymysły, bzdury. Najgorzej, jak ludzie zaczynają o tobie prawdę mówić. Chcesz ty, żeby ciebie od latawicy wyzywali? Żeby mówili, że jaki bochen, taka skórka, jaka matka, taka córka? Wydaj Natalę, wywianuj, a potem, jak zechcesz, sama możesz za męża iść.

Jak to?, chciała krzyknąć Natalia. Już mnie będziecie za męża wydawać? Nie chcę, wcale tego nie chcę. Och, jakże pragnęła, by móc wejść do izby i powiedzieć tamtym, jaką podłą rzeczą jest planowanie komuś przyszłości za jego plecami. Wiedziała jednak, że jedynym, co takie zachowanie mogłoby przynieść, byłaby reprimenda za podsłuchiwanie.

Zechcą, to wydadzą za męża. Nikt jej o zdanie pytał nie będzie.



Tort Amelia

25 dkg cukru pudru, 25 dkg masła utrzeć na puszysto. Dodać cztery jajka, utrzeć na puszysto. Dodać 25 dkg mąki i 7 g proszku do pieczenia. Podzielić na trzy części, piec w okrągłej blaszce na papierze. Placuszki wyjdą cienkie i delikatne, przy zdejmowaniu ich z papieru trzeba bardzo uważać.

Do przełożenia masa orzechowa z 25 dkg orzechów, zmielonych w maszynce, dodanych do 15 dkg śmietanki ubitej na puszysto i 15 dkg marmolady lub galaretki owocowej. Masę można dosłodzić, tak jak kto lubi.

Na wierzch wylać lukier. 25 dkg cukru pudru, 4 łyżki śmietany i sok z połowy cytryny utrzeć do białości.

Krystyna 1908

Nie mogła opanować drżenia rąk. Schowała je w fałdach zapaski, ale wciąż drżały jak osikowe liście. W ustach zaschło, za to oczy zwilgotniały. Skorupy talerza leżały na kuchennej podłodze. Stukot, który kilka chwil wcześniej wypełnił kuchnię, sprawił, że Krystyna zamarła. Tylko dłonie jej drżały.

Janina Wiszniowska, kucharka u jaśnie wielmożnych państwa Dzierżyńskich, powoli, bardzo powoli odwróciła się od kuchennej blachy. Jakby nie chciała stracić z oczu zawartości garnka, a jednocześnie nie mogła się oprzeć pokusie zerknięcia, co właśnie się stało. A przecież dobrze wiedziała.

– Dobrze, że nie porcelanowy.

Krystyna wciąż stała, nie wiedząc, co ze sobą począć. Słyszała w głosie kucharki złość i w napięciu czekała, aż zmieni się ona w niepohamowany gniew. Jeszcze moment i pójdzie w ruch pogrzebacz, tłuczek czy wałek.

– A ty co tak stoisz jak ta pani Lotowa? Uprzątnij skorupy. I nie patrz tak na mnie, jakbym ja ci wrogiem była. Nie pierwsza ty niezdara, którą mi przysłano, i, niestety, nie ostatnia.

– Ja... Ja przepraszam.

– A co ty mnie krzywdę jaką uczyniła, że przepraszasz? To nie mój talerz. Ochmistrzyni będzie liczyła, zobaczy, czego brak, zapyta, to jej powiem, żeś stłukła. Odliczą ci to z wypłaty. Ot i wszystko. Jak uznają, że za dużo strat przynosisz, to cię z kuchni odeślą do obory albo w pole. A jak stratę odpracujesz, precz wygnają, bo na co komu taka offerma. Weź się w garść, dziewczyno, bo tylko na talerze będziesz robić. – Skończywszy przemowę, powróciła do mieszania w garnku.

Krystyna pochyliła się, by zebrać skorupy. Bała się, było jej wstyd, czuła na sobie spojrzenia podkuchennych. Łzy rozmyły świat. Nie chciała płakać, ale nie mogła powstrzymać fali żalu i bezsilności. Wszystko, wszystko było nie tak.

Wyszły zapowiedzi, odbył się ślub. Wesele rodzice wyprawili na miarę swoich możliwości. Sprosili sąsiadów i rodzinę. Było co zjeść, co wypić. Wódki więcej niż chleba, toteż przed północą wszyscy już się popili. Swazki zdjęły Krystynie wianek i włożyły czepek. Chichocząc, zaprowadziły ją do małżeńskiego łóża. Marian, mocno pijany, położył się na niej, szepnął kilka uspokajających słów i wszedł w nią mocno, brutalnie. I na tym się skończyło, bo sen go zmorzył. Zsunęła męża, zamruczał, po piernat sięgnął, nakrył głowę. Krystyna wsłuchiwała się z niepokojem w chrapanie, które wypełniło izbę. Mówiono jej, co się wydarzy, tłumaczono, jak ma się zachować, ostrzegano przed bólem i rozczarowaniem, zapewniano, że z czasem przywyknie, a nawet polubi. Jednak to, co się wydarzyło, dalekie było od wszystkiego, co usłyszała. Bała się, że ból rozdziawiczenia sprawi, że znienawidzi Mariana, tymczasem był jej obojętny. Wszystko było jej obojętne. Za oknem orkiestra wciąż grała, coraz bardziej fałszując. Młodzi tańczyli, starzy dopijali, co jeszcze pozostało do wypicia.

Jutro mnie tu nie będzie, pomyślała wtedy i ta myśl napełniła ją radością. Była to jedyna radość Krystyny tego dnia.

Nazajutrz, wczesnym popołudniem, wyruszyli do dworu. Przybyli wieczorem, mocno zmęczeni drogą. Powitał ich rządcą, życzył pomyślności i wskazał kwaterę. Marian wcześniej mieszkał z fernalami w jednej wielkiej izbie, ale teraz przydzielono im klitkę w czworakach, z piecem wspólnym dla

czterech innych rodzin.

Krystynę uderzyło ubóstwo ich wspólnego kąta. Stare łóżko i jedno krzesło, oto całe wyposażenie. Kiedy w ciemnym kącie izby składała swoje tłumoczki, przyszło jej do głowy, że dom rodzinny, choć niebogaty, to pałac w porównaniu z miejscem, w którym jej teraz żyć przyjdzie.

Dano jej trzy dni wolnego. Siedziała w malutkiej izbie, bojąc się wyjść na zewnątrz. Czekwała na Mariana, bo przy nim pewniej się czuła. Wieczorem zjawiało się mnóstwo ludzi, nie była w stanie zapamiętać ich imion. Uśmiechali się życzliwie, wieszowali młodej parze. Dopominali się choć łyeczka weselnej wódki. Gdy w butelce pokazało się dno, poszli sobie i więcej nie zaglądali. Tylko dzieci, ciekawe nowej osoby, wciąż zaglądały do izby. Marian kazał je wyganiać, ale Krystyna nie potrafiła.

Lubiła dzieci. Na wsi stanowiły one dziwny byt osobny. Dopóki było się małym, uczestniczyło się w życiu grupy, wszyscy razem paśli krowy, wiosną szukali słodkiego kleju na wiśniowych pniach, jesienią zgubionego w bruździe ziemniaka. Latem, dla ochłody, uciekali nad rzekę, grali w dupaka, puszczali łódki, strugali fujarki. Potem ten, kto dorastał, opuszczał grupę, a świat dziecięcy zamykał się przed nim na zawsze. Dzieci na wsi nie przychodziły do dorosłych, nie przyglądały im się, nie były ich ciekawe. Te z czworaków zachowywały się zupełnie inaczej.

Aż nadszedł dzień, gdy Krystyna świtem miała się stawić w kuchni. Kucharka, choć krewna Mariana, powitała ją chłodno. Powiedziała, co należy do obowiązków pomocy kuchennej. Cóż jednak z tego, że powiedziała. Połowa jej słów była dla Krystyny niezrozumiała. Ogarnął ją paralizujący strach. Ciało zachowywało się tak, jakby nie należało do niej, nogi miała sztywnie, ręce się trzęsły, stawy traciły elastyczność.

Póki nosiła wodę i zmywała podłogę, póty było dobrze. Tam jej się z cebra rozlało, tu chlapnęło, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Dziś jednak kazano jej talerze zmywać.

Chichot podkuchennych sprawił, że kucharka znów odwróciła się od pieca.

– No jeszcze i to. Zróbże coś z tym, bo całą kuchnię zapaćkasz.

Krystyna z nerwów nie czuła bólu. Popatrzyła na rozciętą dłoń jak na obcą. Podniosła zapaskę i owinęła krwawiące miejsce.

– Chodźże tu – rozkazała kucharka. – A wy precz z kuchni. No, raz-dwa. To nie miejsce na śmiechy. – Poczekała, aż tamte wyjdą. – No chodźże, nie bój się mnie. Toż cię bić nie będę. Chodź tu, dziecko.

Nie mogąc oderwać stóp od podłogi, przesuwała je do przodu, tak jakby szła po cienkim lodzie. Drżała, jakby w kuchni był mróz, a przecież od pieca buchało gorącem.

– No nie bójże się. Ja ci nie wróg. Marian mówił, że z ciebie kucharka, wszystko przy kuchni zrobić umiesz. A mnie się widzi, że jest inaczej. On kłamał czy tyś jego okłamała?

Nie. Ani on nie kłamał, ani ja go nie oszukiwałam. Matka moja mu takie rzeczy mówiła, ale nie ze złej woli, tylko zwyczajnie, jak każda, co ma córkę na wydaniu.

– Mów, kiedy pytam!

– Nie.

– Co nie?

Jak trudno być odważnym, jak trudno mówić, gdy strach zaciska szczęki.

– Nie oszukiwałam. Trochę umiem.

– A cóż to jest owo trochę?

– W obejściu wszystko. Krowy doję, nakarmię, napoję. W chałupie też. Tylko do kuchni mnie matka nie dopuszczała.

– To po coś się tu do kuchni pchała?

– Ja nie chciałam.

Kucharka westchnęła.

– Pogoniłabym cię precz, ale Mariana lubię, bo to mój siostrzeniec i dobry chłopak. Przez wzgląd na niego pozwolę ci zostać. Musisz się wszystkiego nauczyć. Czy to taka sztuka talerze umyć?

Ona nie jest twoim wrogiem, ona nie jest twoim wrogiem, ona nie jest...

– Ja... ja...

– Cóż tam dukasz?

Ona nie jest...

– Nie rozumiem, co do mnie gadacie. Tych słów...

Kucharka się uśmiechnęła. Był to taki jasny uśmiech, o którym wiadomo, że zrodził się w sercu.

– Tylko przestań patrzeć na mnie tak jak ten zbity pies. Powoli wszystkiego się nauczysz. Uważaj, co inne robią. Nie wiesz czego, mnie zapytaj. Tylko cicho, bo jak która wywęszy, że ty nieprzydatna, zaraz doniesie. Na tę robotę nie mniej jak dziesięć innych czeka. Nauczysz się wszystkiego, oczy masz bystre, to się nauczysz. A teraz ja będę udawała, że ci dała reprimendę. Ty zaś się zachowuj tak, jakbyś ją dostała. Widzi mi się, że to łatwe będzie –

dodała na widok łez, spływających Krystynie po twarzy.

Wieczorem, kiedy wszystko było już posprzątane i służba opuszczała kuchnię, kucharka dała Krystynie znak, by ta została.

– Pokażę ci dziś sprzęty kuchenne, powiem, jak się nazywają. Musisz spamiętać, bo powtarzać nie będę.

Tego pierwszego wieczoru zapamiętała połowę nazw. Powtarzała je, gdy wracała do domu, powtarzała, gdy Marian tulił się do niej, powtarzała, gdy robił swoje, powtarzała, kiedy zasnął, powtarzała rankiem, jak się obudziła. Świat, w którym się znalazła, nie był jej światem. Mężczyzna, z którym dzieliła łóżko, choć kochał ją bardzo, nie był tym, który życie tutaj uczyniłby zasadnym. Jeśli miała przetrwać, to tylko dzięki zdobytej wiedzy. Im wyżej uda jej się wspiąć w hierarchii służby, tym dla niej będzie lepiej.

Zwykle czas tuż po ślubie wydaje się młodym mężatkom najpiękniejszy. Słodkie dni, gdy ziszczają się marzenia, mają lipowy zapach miłości i smak świeżo upieczonego chleba z masłem i miodem. We wspomnieniach Krystyny tamten czas, świeżo po przybyciu do majątku, również nosił znamiona niezwykłości. Nie było to jednak w żaden sposób związane z małżeństwem. Kucharka Wiszniowska wprowadziła ją w świat o wiele lepszy i piękniejszy od tego, do którego każdej nocy próbował wprowadzić ją mąż. Zapach cynamonu, goździków, liścia bobkowego czy anyżu przewyższał zapach spoconej męskiej skóry. Smak rosółu, potrawki z sarny, beszamelu był o niebo lepszy niż smak gęstej śliny. Noszenie dzieł, wypełnionych chlebowym ciastem, było o wiele bardziej satysfakcjonujące niż unoszenie męskiego ciała, gdy spełniony kładł się na niej, by chwilę odpocząć.

Czas zatarł część wspomnień związanych z życiem małżeńskim, natomiast te związane z kuchnią były wyraźne, jakby dotyczyły zeszłego tygodnia.

A jednak wtedy, w owych czasach, które we wspomnieniach wydawały się tak piękne, stało się coś... Nie chciała o tym myśleć. Nie chciała do tego wracać. Czemuż są wspomnienia, które umykają, choć nie chcemy się ich pozbywać, i takie, które, choć chcielibyśmy je wymazać, zostają z nami na zawsze?

Wracając po nitce pamięci, łatwo dostrzec te momenty, gdy coś się w życiu zmienia. Gdy jednak to się dzieje, trudno zrozumieć, że to właśnie w tym dniu, w tej chwili sprawy przyjęły odmienny bieg. Gdyby nie to wszystko, co później nastąpiło, Krystyna pewnie nie zapamiętałaby tamtego majowego

świętecznego wieczoru.

Niedziele tym się różniły od innych dni, że pracy w kuchni było więcej. Państwo zwykli przyjmować gości, co wiązało się z większą ilością potraw, wypieków, talerzy i garnków do umycia, blach do wyszorowania, zatem z większym zmęczeniem.

A jednak długi, ciepły wieczór sprawił, że Krystyna z Marianem zapragnęli przejść się trochę. Pod wpływem jego miłości w sercu Krystyny zaczęło się budzić przywiązanie do męża. Nie była to jeszcze miłość, ale pewien rodzaj czułości. Miała nadzieję, że z czasem go pokocha. Na razie lubiła Mariana na tyle, by się o niego troszczyć, by uśmiechnąć się, gdy kto wymówił jego imię.

Ruszyli drogą, ciągnącą się od czworaków i obór ku polom. Tylko tędy pozwalano chodzić służbie. Na szczęście po części droga ta biegła przy parku, na który można było zerkać. Piękny był. Marian mówił, że dawno temu spacerował tu Józef Poniatowski. Pewnie nie on jeden ze znaczących szlachciców. Służbie wejście do parku w innym celu niż sprzątanie czy prace ogrodnicze było surowo zakazane. Jak wiele innych rzeczy. W czworakach mieszkało mnóstwo komorników, którzy za dach nad głową i zagonek kartofli pracowali na pańskim całym rodzinami, choć dostawali za to zapłatę o połowę mniejszą niż parobcy. Nie zawsze starczało dla nich roboty, to i zarobku stałego nie mieli. Głodowali oni, głodowały ich dzieci, ale tego, co z pańskiego stołu zostało, zanieść biedakom nie pozwalano. Ba, nawet kucharce czy Krystynie nie wolno było niczego uszczknąć z tych resztek. Zdarzało jej się, owszem, coś pod zapaską schować i mężowi zanieść, ale wiedziała dobrze, że gdyby ją na tym złapano, oboje straciliby robotę, a kara byłaby boleśniejsza niż razy, jakie dostawała od matki. Przyzwyczajona do szanowania każdego okruszka chleba, z oburzeniem patrzyła na wracające z jadalni talerze z niedojedzonymi płatkami szynki, kawałkami pieczeni, słodkimi bułeczkami, rosołami, leguminami czy tymi z francuska nazywanymi frykasami, których nazw nie była w stanie powtórzyć. Wrzucano te wszystkie resztki do szaflików i rozdzielano między pańskie psy i świnię. Psy jadły lepiej niż dzieci, które chodziły pod czworakami podobne do cieni, szukając liścia szczawiu w trawie, bo był to dla nich nie lada rarytas.

„Dla chłopów nie ma w panach żadnej nadziei. Ani na poprawę naszego bytu, ani na odzyskanie polskości. Przez swoje koneksje, wykształcenie,

wiarę mogliby oni uzyskać dla nas dużo, bardzo dużo. Ale to się nie stanie. Ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Stawali nasi ojcowie do powstań? Stawali. Bili się ramię przy ramieniu razem z panami? Bili się. Ginęli za Polskę? Ginęli. I co teraz się dzieje? Ano to się dzieje, że pany do dziś między sobą gadają, że powstanie tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego upadło, bo chłopci nie wsparli, więcej jeszcze, rannych dobijali, by im buty z nóg ściągać. Podli kłamcy. A tego, co oni z chłopstwem robią, czemuż ono tak biedne, czemu w kraju własnym nie ma co jeść, czemu po świecie musi się tułać, nie mówią. Będą ci wmawiać, żeś ty gorsza, boś niepiśmienna, książek nie czytasz, obrazów na ścianach nie wieszasz. A mądrość nie tylko z książek się bierze, ale z życiowych doświadczeń, tych zaś my, chłopci, więcej mamy niż oni”, przypominały się Krystynie słowa Gustka. Teraz, gdy pracowała we dworze, lepiej je rozumiała. I czuła takie samo oburzenie jak to, które kiedyś widziała w oczach ukochanego.

Zrozumiała również, że jej życie nie będzie wyglądało tak, jak je Marian przedstawiał. Był optymistą, trochę marzycielem. Los ich nie będzie lepszy, a może być nawet gorszy, niż gdyby gospodarowali na swoim. Każdego dnia zależni od woli i humorów dziedzica. Krystyna zdawała sobie sprawę, że matka musiała to wiedzieć, a jednak usunęła córkę z domu bez żalu, tak jak się wyrzuca stary i zniszczony przedmiot, gdy z niego żadnego pożytku już nie ma. Trudno się dziwić. Rodzice, zwłaszcza matka, wciąż byli młodzi, jeszcze mogli się dorabiać na tych swoich dwunastu skrawkach pola. Po cóż dzielić to, co i tak już nadmiernie podzielono?

Krystyna nie miała o to żalu. Dla niej dwór był lepszym miejscem do życia. Wdrożyła się w pracę i dobrze jej szło. Strach, który od lat stał się nieodłącznym towarzyszem, odszedł. Jeśli mnie z kuchni wyrzucą, myślała, trudno, pójdę do pola albo do obory. W polu praca cięższa, ale przychodzi zima, można odpocząć. W oborze też niełatwo, lecz jak się człowiek obrobi, to ma chwilę, by odsapnąć, bo im dalej od dworu, tym mniej oczu cię pilnuje. Gdyby tak się zdarzyło, że całkiem z dworu wygnają, to można iść do miasta albo w świat szeroki. Bo nic człowieka nie trzyma, nic nie więzi. Po raz pierwszy w życiu czuła się wolna i było jej z tym bardzo, bardzo dobrze. Do Mariana przywyknie, może z czasem go pokocha. Nawet jeśli nie, trudno. Przeżyła kiedyś swoją miłość, to wystarczy.

Mąż, jakby miał dar czytania w myślach, zapytał spokojnie:

– Tęsknisz ty czasem za nim?

Zadziwiająca właściwość ma ludzka myśl. Czasem jest tak szybka, że nie ma śmiglejszej jaskółki, jak wichur przez głowę przelatuje, nim oko mrugnąć zdoła. A czasem powolna jak ten wół, co noga za nogą kroczy po zagonie, pług ciągnąc. W tym momencie, gdy Krystyna potrzebowała odpowiedzieć błyskawicznie, jej umysł pracował zbyt wolno. Może to dlatego, że najpierw pomyślała, jakim sposobem Marian odgadł, co w jej sercu się dzieje. Zbyt późno uświadomiła sobie, że on wiedzieć nie mógł, że to pytanie zrodziły nie jej, a jego rozterki. Niezręcznie udała zdziwienie.

– Za kim? – rzuciła obojętnie, ale mąż już dobrze znał odpowiedź.

W jego oczach pojawił się najpierw smutek, a później ogromny żal, tak ogromny, że i jej się udzielił. Żalność ją ogarnęła wielka i gdyby mogła, cofnęłaby czas.

To właśnie ta chwila zdecydowała, że życie Krystyny nie było takie, jakie być mogło, lecz takie, jakie było.

Rozdział szósty



Ze wszystkich rodzajów gleb występujących w naszym kraju to czarnoziem jest najbardziej wartościowy, jest bowiem glebą najżyźniejszą. Warstwa próchniczna, mogąca sięgać nawet do głębokości metra, powstała w procesie rozkładu materii organicznej, której dostarczyła bujna roślinność trawiasta. Czarnoziemy najczęściej powstają na lessach.

Sierpień 1926

Na polach nie było żywego ducha. Część zbóż już ścięto i teraz na złotych ścierniach stały piętnastaki, część wciąż się kołysała, połyskując w słońcu dojrzałymi kłosami. Liście kartofli zaczynały tracić swoją soczystość, ani się człowiek obejrzy, jak suche łodygi zostaną i trzeba będzie kopać. Ze wszystkich robót w polu zbieranie kartofli najgorsze. Najpierw wyorać trzeba, potem zbierać do koszy, które same z siebie są ciężkie, a wypełnione bulwami robią się nie do udźwignięcia, a to przecież na wóz wysypać je trzeba, a z wozu do jamy albo do kopca. Cóż zrobić, tak trzeba, bo jak bez kartofla żyć? Podobnie niewdzięczny jest jeszcze burak cukrowy, ale nie wszyscy go sieją, choć podobno się opłaci i z cukrowni z Klemensowa i Woźuczyna jeżdżą po wsiach, namawiają.

W Tynczynie też byli, chłopcy ich słuchały, głowami kiwały, ale nikt namówić się nie dał. Tu nie słowa przybysza się liczą, tylko to, co robią inni. Jak Ksawery Hub buraki posieje drugi rok z rzędu, to wszyscy we wsi się będą. Czemuż tak? Bo wiadomo, że Hub na pieniądze tak łasy jak nikt inny na całym świecie. Jeśli skalkuluje, że mu się ten burak opłaci, to zaryzykuje. Drugi raz zasieje tylko wtedy, gdy zysk faktycznie go zadowoli, inaczej na

jednym podejściu się skończy. Zabawne to, pomyślał, że ludzie, niby tacy mądrzy, a zachowują się jak te szczury, które na widokjadła w misce najpierw posyłają jednego. Jeśli on zje, a nie zdechnie, inne jeść będą, jeśli zaś coś mu się stanie, rozpierzchną się z piskiem.

Przystanął na chwilę. Był w miejscu, gdzie stykały się pola Tynczyna, Czartowca i Pukarzowa. Wsie z daleka wyglądały jak szarozielone paski. Najdalej Małoniż, gęsty i zbity. Stąd nie widać, ale gdy się przez wieś szło, to po jednej stronie były podwórka, a po drugiej biegnące do rzeki ogrody. Mało kto tamtędy wędrował, bo w miejscu, gdzie wieś się zaczynała, tak latem, jak zimą stała wielka, błotnista kałuża. Nadolecka kolonia zupełnie inna, domy daleko jeden od drugiego. Wawrzek Adamczuk miał tam gospodarstwo, które za pieniądze zarobione w Ameryce kupił. Nie on jeden zresztą, bo szlakiem przezeń przetartym kilku innych się wyprawiło. Czartowca z tego miejsca widać nie było, za to Łaszców tak, nie samo miasteczko, tylko otulający je zielonym szalem park.

– Rusz się, chłopie, bo na sumę nie zdążysz – powiedział do siebie. I stał wciąż.

Nogą rozgarnął szary pył drogi. Szukał wzrokiem ołowianych kul z wojny. Zośka Kociara nazywała je serdecznymi, bo choć odlane z ołowiu, miały czułe serca, nie chciały ludzi zabijać, mijały ich więc i spadały na ziemię. Zośka na ogół plotła bzdury, czasem zaś mówiła rzeczy straszne, o swoim braciszku opowiadała tak, jakby ten żył. Jednak zdarzało jej się powiedzieć coś pięknego, jak to o kulach. Tu, gdzie Jaśko stał teraz, podczas wojny była potyczka, wiele kul wystrzelono. Wiele trafiło, a ludzka krew wsiąkła w tę ziemię.

– Nie myśl o takich rzeczach, idźże.

Nie wiedzieć czemu, jakoś mu się tak zachciało na odpust do Rachań. Może dlatego, że mama z Bronkiem się wybierali i mówili o tym od tygodnia? Jaśko z nimi iść nie chciał, wolał sam. Nie, nie z nimi, bo przecież z samym Bronkiem by poszedł. Nie chciał iść razem z matką, nie chciał słuchać jej wspomnień, jak to kiedyś było im lepiej, jak mieli karczmę, jak było wesoło. Przecież to z winy matki wszystko przepadło, a ona jakby wcale tego nie rozumiała.

W Rachaniach był raz dawno temu, jeszcze przed wojną poszli z ojcem i Julkiem. Brat teraz ożeniony, dzieciaty, odpusty mu nie w głowie, ale Jasiek, wciąż kawaler, nie miał nic innego do roboty w ten pogodny

święteczny dzień Przemienienia Pańskiego.

– Nudzi ci się – mówili najbliżsi. I dodawali: – Żenić ci się trzeba – jakby on sam dobrze tego nie wiedział.

Łatwo jednak powiedzieć, trudno zrobić. Oj, trudno. Na Juliana wystarczy spojrzeć. Dzieci swoje lubi, zwłaszcza Broneczka, bo zmysłny ten mały, ale już za Janeczką to niezbyt przepada, mówi, że ona po matce durnowata. Nie lubi Julian swojej żony, to widać. Ot, idą jak te dwa konie, co je los zaprzął do jednego wozu.

Jaśko to nawet miał pannę na Mikulinie. Niebrzydka była i pracowita. Już chciał z wódką słać, ale zima przyszła i jakoś mu się w mróz chodzić do sąsiedniej wsi nie chciało. No i tak to się skończyło, że panna za innego poszła. Może i dobrze, bo skoro za nią nie płakał, to pewnie nie kochał jej bardzo. Julek mówił, że wszystko dlatego, że trzeba było do niej iść przez wodę. Jak masz nogi mokre, to ci się kawalerki odechciewa. Może i była w tym prawda.

I tak pogrążony w myślach doszedł do miejsca, gdzie polna droga krzyżowała się z gościńcem. Na polach nikogo, a tu tłoczno. Panny, kawalery, stare, młode, pieszo i wozami. Ciągnął cały ten lud do rachańskiego kościoła po odpust. Duchowe sprawy nie były jednak jedynym powodem, dla którego szli. Długa litania spraw doczesnych sprawiła, że zamiast na mszę do parafialnego kościoła maszerowali nieraz wiele kilometrów, by właśnie tam święto przeżywać. Bo odpust to stragany, to możliwość spotkania rodziny i znajomych, w dalekich wioskach mieszkających, to wieści ze świata, no a dla młodych to przede wszystkim tańce.

Na samą myśl o tańcach wesoło mu się zrobiło. Od razu poczuł wyrzuty sumienia, bo w domu nie wolno było się uśmiechać. O Agacie mówić też nie można było. Matka drzwi do jej pokoju zamknęła i nikomu tam wchodzić nie pozwalała. Wciąż płakała, chyba że jej któraś z córek albo synowa dzieci dała pod opiekę. Przy dzieciach nie płakała, śmiała się, żartowała. Kochała wnuki. Kiedyś też kochała swoje dzieci, którym się wydawało, że po równo dostają macierzyńskiej miłości. Teraz Julek, Władziunia, Helena i Jaśko czuli żal, bo było tak, jakby z całej piątki matka kochała tylko Agatę.

Jaśko też nie mógł utraty siostry przeboleć. Najbardziej zaś bolało to, że to ktoś ze wsi drogę do kryjówki dziewcząt wskazał. Pragnąc ratować swoje życie, swoje córki, oddał bolszewikom cudze. Straszne to było. Mieszkasz,

człowieku, między sąsiadami, znasz ich całe życie, oni ciebie znają, pomagasz, a potem w jednej chwili okazuje się, że każdy tylko siebie chroni. Ciężko po czymś takim zaufać komukolwiek. Dlatego Jaśko na tynczyńskie panny nie patrzył, choć one oczyma za nim wodziły, a z plotek wiedział, że niejedna po nocach za nim płacze. Ale jakże to, wziąć sobie dziewczynę i myśleć, że to jej ciotka czy stryjna wydała Agatę i Zosię?

Nie ma co rozmyślać, nic dobrego z tego nie przyjdzie. Sięgnął po tytoń do kieszeni, papierosa skręcił i rozejrzał się, do kogo by tu zagadać. Zaraz też wypatrywał dwóch kawalerów w swoim wieku. Podszedł i natychmiast posypały się pytania. A wy skąd? A ty? Jak u was żniwa? Co sieją? Co zbierają? Nie wiadomo, kiedy droga minęła.

Kościół w Rachaniach stał na niewielkim pagórku, już z daleka widać było wieżyczkę. Gdy bliżej się podchodziło, między drzewami błyskały białą otynkowane ściany. Budynek przed wojną odnowili, bo już swoje lata miał. Tutejsi mówili, że kościół od dwustu lat stoi, a parafia liczy ich sobie bez mała sześćset. Jaśkowi w głowie to się nie mogło pomieścić. Sześćset lat? A ludzie pamiętają. I jeszcze takie rzeczy wiedzą, że wcześniej był tu kościół drewniany, przeniesiony później do Grodysławic i tam zamieniony na cerkiew unicką. Ciekawe, co też się z nią stało, gdy car unitom kazał przejść na prawosławie?

Dziwne to ludzkie myślenie. Najpierw car polikwidował kościoły katolickie i unickie, a w każdej wsi kazał cerkiew prawosławną stawiać, trzeba było czy nie trzeba. Potem, jak rewolucja w piątym roku wybuchła, pozwolił unitom znowu być unitami. W Rosji pozbyli się cara, a tamtejszy rząd w pierwszej kolejności zburzył cerkwie, bo bolszewicy mówią, że Boga nie ma. W Polsce też zaczęli je niszczyć, ale nie dlatego, że Boga nie ma, a dlatego że cerkwie to symbol opresyjnego caratu. Przerabiają je na kościoły, na szkoły czy urzędy. A ludzie płaczą, bo dla nich to nie są żadne symbole opresji, tylko miejsca, gdzie ślubowali sobie wierność, chrzcili dzieci, opłakiwali ojców. Czemuż tak jest, że gdy kto do ręki dostanie władzę, to zaraz mu się zdaje, że wraz z nią dostał dodatkową porcję rozumu, dzięki której ponad innymi ludźmi stoi? Wystarczy spojrzeć na sołtysa. Był z niego zwykły chłop, w karczmie z innymi pił, zdarzało mu się coś mądrze powiedzieć. Posłuchali go chłopcy, mówili, żeby sołtysem został. On się wzdragał, nie chciał, trochę się wstydził. W końcu się zgodził. I z dnia na dzień jakieś zło w niego wstąpiło. Łeb zadziera tak, że nosem o chmury zawadza. Jak wcześniej gadał

ze wszystkimi, tak teraz z nikim nie chce, no chyba że jakiś ważny gospodarz albo ksiądz, albo dziedzic. Z takimi, co od niego wyżej, to gada, mało, do nóg im się łąsi jak ten pies. A na tych, co niżej od niego, nawet nie spojrzę. A to przecież oni go wybrali, by ich sprawy reprezentował.

Z tych wszystkich ludzi, co w ciągu kilku lat wolności Polską rządzą, to jeden Witos godzien zaufania, bo on sprawy chłopskie rozumie. Szkoda, że mu porządzić nie dali, zwłaszcza w maju. Ojciec mówił, że nikt poza chłopami nie poznał się na Witosie, i to prawda. Inne te pany z Warszawy mają na sprawy spojrzenie, inne. No, ale może teraz będzie w Polsce lepiej. Czas pokaże.

Tymczasem msza się zaczęła. Kościół duży nie był, a ludzi się naszło, jak to na odpust. Ksiądz pięknie odprawiał, ludzie głośno śpiewali, a zapach kopru w nosie kręcił.

Gdy się skończyła, to dopiero było. Jedni chcieli wyjść, inni pchali się, żeby wejść ołtarz złocony zobaczyć. Chwyciła jedna z fal Jaśka i zaniósła pod mur kościelny. Tu przystanął i czekał, nie było sensu się pchać.

Wtedy zobaczył tę dziewczynę. Ubrana była nie w białą haftowaną koszulę i marszczoną spódnicę, tylko w sukienkę, z tych, co to miastowe panny noszą. Ładna była, wysoka i smukła jak ta trzcinka nad wodą. Oczy miała ciemnoszare, duże, ale nie okrągłe, tylko kształtem do łez podobne, zwięzione w zewnętrznym kącie. Proste kreseczki brwi nadawały jej twarzy wyraz chmurny, naburmuszony, jakby była obrażona na cały świat. A usta... Wcale jak nie usta, tylko jak najdojrzalszy owoc wiśni. Miało się wrażenie, że gdy wargę przygryzie, to karminowy sok po brodzie spłynie.

Jaśko chwycił za rękaw stojącego obok chłopaka.

– Kto ona? Znasz ją?

Tamten przecząco pokręcił głową. Ktoś inny jednak usłyszał pytanie.

– To córka kucharki z Michalowa.

– Mężatka?

– Wdowa. Gadają, że jej mąż na tyfus umarł. Ma tylko córkę i syna.

– Ta dziewczyna ma dzieci?

Rozległ się śmiech.

– Toż o kucharce mówię. O jej matce.

O matce. To dobrze. To bardzo dobrze.

A właściwie co za różnica, czy miałyby dzieci, czy nie, ważne, żeby męża nie miała, bo z mężatką nie sposób się ożenić, a z wdową można. Ożenić? Co

też za myśl głupia? Nie zna tej panny, nic o niej nie wie, a o żeniaczce myśli?

Ano myśli. Jakże nie myśleć, skoro jest w tej dziewczynie coś takiego... Jakby obietnica dla niego, Jaśka właśnie. Obietnica wielkiego szczęścia. I nieszczęścia jednocześnie. Patrzył na nią i czuł, że zazna i nieba, i piekła. Ale tylko z nią. Każda inna da mu los spokojny, życie przeciętne, zwykłe.

Jakże nie spróbować?



Ciasteczka z dziurką

1 kg mąki pszennej przesianej, pół kilograma masła, 25 dkg cukru pudru, 2 całe jajka, sody na koniec noża.

Mąkę z masłem rozetrzeć, dodać jajka, cukier i sodę. Zagnieść ciasto i podzielić na dwie części. Rozwałkować. Wycinać kółka szklanką, a w nich dziurkę napastrkiem. Upiec na jasnożółty kolor, po wystudzeniu łączyć kółka marmoladą.

Krystyna 1909

Tego, że z życiowego gościńca zboczyła na kamienistą ścieżkę, nie zauważyła od razu. Mijały dni, podobne do siebie jak owoce jarzębiny nanizane na sznurek. Każdego dnia, nim z niebieskich pieleszy słońce się podniosło, meldowała się w kuchni. Sprzątała, zmywała, przynosiła, ugniatała, wycierała, wycinała, przysmażała. Przede wszystkim zaś słuchała nauk Wiszniewskiej, bo dzięki temu wiedzę zyskiwała coraz obszerniejszą. Znała już nie tylko przyprawy, ale i podstawowe przepisy na ciasta, tak kruche, jak i drożdżowe. Znała tajniki pieczenia chleba i mięs. Poszerzyła wiedzę o ziołach, bo do tej pory wiedziała tylko, że malina na rozgrzanie, lipa na kaszel, rumianek na rany, a szczaw na oczyszczenie. Teraz wiedziała o melisie, wierzbie, omanie, konwalii i napastrnicy.

Między tymi dniami, tak do siebie podobnymi, trafił się ten, trochę podobny do poprzednich, a trochę inny.

– A cóż to się z tobą dzieje, dziewczyno? – Kucharka popatrzyła na Krystynę z wyrzutem. – Chodzisz rozkojarzona, a smak jakbyś straciła... Tyś

smak straciła?

Krystyna wzruszyła ramionami.

– E, chyba nie. Mdłe było...

– Jakże mdłe, skorom próbowała. – Przenikliwym spojrzeniem świdrowała Krystynę. – Ejże, pani Malicka, a pani przypadkiem nie jest w stanie odmiennym?

Wypowiedziane na głos słowa, wyrażające lęk, który towarzyszył jej od kilku tygodni, sprawiły, że Krystyna zamarła. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie wiem – szepnęła. – Chyba tak.

– Ale czemuż ty, dziewczyno, płaczesz. Z dziecka cieszyć się trzeba, a nie płakać.

Cieszyć się, łatwo powiedzieć. Prawda była taka, że myśl o przyjściu na świat dziecka wywoływała w Krystynie tyle obaw, ile nic dotąd nie wywołało. Myślała o tym, że urodzi dziedzicowi kolejną „posyłkę”, bo dziecko od małego będzie musiało na pańskim pracować, takie były zasady. Myślała o tym, że ani wykształcenia, ani niczego swojego ono się nie dorobi. Jeśli będzie dziewczynka, może da się jej znaleźć jakąś pracę we dworze, może z czasem zostanie kucharką albo pokojówką, ale zawsze na cudzej łasce, zależna od dobrego słowa państwa. Jeśli okaże się ładna, każdego dnia będzie drżała ze strachu o swoją cześć. Tutejszy dziedzic był już w latach, służące miały spokój, ale starsze z nich opowiadały, jaki był w młodości. Jeśli którąś sobie upatrzył, a chciała cześć zachować, to musiała z dworu uciekać, innego wyjścia nie było. Lepiej niech to nie będzie dziewczynka, myślała Krystyna. Chłopakowi w życiu łatwiej. Tyle że praca cięższa go czeka. No i pokusy – karty, pijaństwo.

– Twój już wie? – zapytała kucharka. Krystyna przecząco potrząsnęła głową.

– Pewności nie mam, to nic nie mówiłam – skłamała.

Ów majowy wieczór odmienił Mariana. Nie, nie odmienił, lecz sprawił, że część jego duszy, ta milcząca i smutna, dotychczas ukryta głęboko, wychynęła na światło i wzięła serce w posiadanie. Nie szukał już towarzystwa żony, wieczorami wolał z fornałami siedzieć, pić i w karty grać.

Prawda była taka, że Krystynie wcale to nie przeszkadzało. Powinno, a nie przeszkadzało. Lubiła zasypiać sama, cieszyła się, że pijany mąż nie ma ochoty się z nią kochać. Dystans między nimi wcale jej nie wadził, a miała świadomość, że kiedy powie mężowi o dziecku, wszystko może ulec

zmianie. Czy on się ucieszy, czy zmartwi, co powie?

Kucharka jakby słyszała jej myśli, bo powiedziała:

– Nie kryj tego dłużej, powiedz Marianowi. To dobry chłopak, ucieszy się. Oj, ucieszy.

– A jeśli nie?

– Głupiaś. Chłopy zawsze z dzieci się cieszą, bo to nie ich zmartwienie. Tak już jest, niesprawiedliwie dla nas. Chłop, kiedy ci dzieciaka do brzucha wkłada, to ma samą przyjemność, a z babą różnie bywa. Potem nie on nosi, co zasiał, nie on karmi, nie on pielęgnuje, nie on się martwi. Czasem na ręce weźmie, a rwie się do tego na ogół, jak dzieciaka do snu kołyszysz. Raz czy dwa w życiu na odpust zabierze i cukierka kupi. Jak jakiś zdolniejszy i chętny, to konika z drewna wystruga albo fujarkę. Ot, i tyle chłopskiego zachodu o dzieciaka. Temu oni zawsze zadowoleni. U nas sprawy inaczej się mają. Zmartwionaś?

Krystyna przytaknęła.

– Nie zamartwiaj się. Nie ty pierwsza, nie ostatnia. Taki nasz babski los, po to na świat przychodzimy. Dbać o ciebie będę, żeby ci lżej było. Tylko garnków się nie tykaj, bo smaku teraz nie masz.

Szczery śmiech kucharki wypełnił nie tylko całą kuchnię, ale i serce Krystyny. Poczła się tak, jakby po ciężkiej pracy zjadła miskę pożywnej zupy.

Może to właśnie sprawiło, że podniesiona na duchu postanowiła mężowi powiedzieć. Gdy wieczorem wróciła do ich izby, siedział na brzegu łóżka. Jakby rozważał, czy zostać, czy iść do koleżków.

– Zmęczonyś? – zapytała. I choć nie leżało to w naturze ich kontaktów, podeszła i położyła rękę na jego ramieniu. – Mam coś dla ciebie. – Wyjęła skrzątnie ukryty w zapasce kawałek kiełbasy. – No jedz, dobra. Coś słodkiego byłoby lepsze.

Wzruszył ramionami. Patrzyła, jak żuł kiełbasę. Czekala, by przełknął ostatni kęs.

– Mam ci coś do powiedzenia... Ja... Jestem przy nadziei.

Podniósł oczy i patrzył, jakby nie zrozumiał jej słów. Już miała powtórzyć, gdy zdała sobie sprawę, że jednak zrozumiał, tylko dla niego również było to zaskoczeniem i potrzebował czasu, by sobie przyswoić tę wiadomość.

A potem wyciągnął ręce, przyciągnął Krystynę do siebie i przytulił, mocno przyciskając głowę do jej brzucha.

Dobrze będzie, pomyślała. Był to ten moment, gdy nadzieja i wiara przepełniły jej serce i, jakże naiwnie, spojrzała z ufnością w przyszłość. Za kilka dni miała się przekonać, że nie będzie dobrze, za kilkanaście miała stracić nadzieję. W tamtej chwili wszak wydawało się, że wszystko będzie dobrze.

Przyznanie, że jest się w ciąży, nie powinno mieć wpływu na samopoczucie, a jednak tak się stało. Póki kryła swój sekret przed światem i przed sobą, objawy były minimalne. Trochę mdliło, smaki odczuwała inaczej, raz czy dwa zakręciło jej się w głowie i tyle. Gdy tylko wypowiedziała na głos te słowa, wszystko się nasiliło. Mdliło ją bardzo, rano ledwo zdążyła na dwór wybiec, tak mdliło. Klęczała w krzakach za czworakami, w samej tylko koszuli, a całym jej ciałem wstrząsały okropne torsje. Darło niesamowicie, aż do żółci, która zielonkawą smugą wisiała z ust.

Praca w kuchni stała się przekleństwem. Te wszystkie zapachy potęgowały mdłości. Krystynie kręciło się w głowie, bała się, że upadnie, coś zniszczy, stłucze, połamie, a wtedy odeślą ją na pole. Choć może to i lepiej by było. W polu wiatr, tam nie smażą ryby, nie robią pasztetu, nie kroją pieczeni. Mięsa były najgorsze. Nie, nie mięsa. Ryby. Piątkowy świt Krystyna witała ze łzami w oczach. Dobrze, że kucharka miała na tyle zrozumienia, że innej podkuchennej zlecała skrobanie i patroszenie. Na ile mogła, dawała Krystynie inne zajęcia, a często pod byle pretekstem wyprawiała ją z kuchni.

– Idź do ogrodnika, powiedz, że na jutro świeżej natki będę potrzebowała. Idź do obór, zapytaj, czy która krowa nie ma mocno tłustego mleka, bo mnie takie tłuste będzie potrzebne. Idź do ochmistrzyni, powiedz, że mało jajek dziś było, niech dogładnie, czy kur słabo nie karmią.

Wszyscy wiedzieli, czemu te posyłki służą, bo choć Krystyna z całych sił starała się powstrzymać odruch wymiotny, nie była w stanie i często wybiegała z kuchni. Słyszała za sobą chichoty i gniewne pomruki, ale cóż mogła zrobić? Z naturą nie da się wygrać.

– Bądź cierpliwa – pocieszała kucharka. – Najgorsza pierwsza połowa, potem już łatwiej będzie.

Łatwiej? Nigdy już nic nie będzie łatwiej, myślała Krystyna, ale przytakiwała Wiszniowskiej i z jeszcze większym niż zwykle zaangażowaniem wykonywała zleczone prace.

Ów dzień tym różnił się od innych, że od samego rana był trudniejszy.

Poranne mdłości silniejsze, w kuchni intensywniejsze zapachy. Pracy miała więcej, a ciało Krystyny, jak na ironię, zachowywało się tak, jakby je zrobiono z chlebowego ciasta.

– Ruszajże się, dziewczyno! – pokrzykiwała na nią kucharka.

Dlatego też gdy ostatni talerzyk został wytarty i odłożony, a ostatnia łyżeczka wypolerowana, Krystyna poczuła niesamowitą ulgę. Wiedziała, że kolejny dzień może wcale nie być lepszy, ale nie miało to znaczenia. Ważne, że ten się skończył, że przetrwała i udało jej się nie narobić szkód. Teraz pójdzie do domu, zaśnie, odpocznie. Jutro zaś będzie się martwić jutrem. Jeśli będzie trzeba. I pomodliła się żarliwie, prosząc, by kolejny dzień przyniósł choć trochę ulgi.

Mariana nie było w izbie. Pewnie pił z fernalami. Może innego dnia by ją to zmartwiło, bo ostatnio pił więcej, dziś jednak nie miała siły martwić się o męża. Niechże spije się jak prosiak, niech śpi w stodole albo na podwórzu. Może nawet zapić się na śmierć, w tej chwili było jej to obojętne. Najzupełniej. Dotarło do niej, że nawet śmierć męża przyjęłaby z pewną ulgą.

Durna, nie dałabyś sobie rady sama z dzieckiem, pomyślała i z tą myślą zasnęła.

Obudziło ją szarpnięcie. Nagłe, gwałtowne, drapieżne. Może dlatego pierwszą myślą, jaka przedarła się przez odmęty nieświadomości, było to, że jakieś dzikie zwierzę wdarło się do izby. Krystyna potrzebowała chwili, by zdać sobie sprawę, że to nie wilk, tylko własny mąż brutalnie szarpie ją za ramię.

Odruchowo sięgnęła po skraj koszuli, by ją zadrzeć do góry. Niechże zrobi swoje i idzie spać. Krystyna potrzebowała snu, tak bardzo, bardzo potrzebowała snu.

– Gadaj! – ponaglił Marian. Oczekiwał odpowiedzi na pytanie, którego nie usłyszała.

– Czego chcesz?

– Gadaj! To jego dziecko?

– O czym ty mówisz? Czyje dziecko?

– To ja się pytam, czyje ono jest? Gustek ci je zrobił?

– Czyś szaleju się najadł? Co ty wygadujesz?

– To Gustek? Gustek ci brzuch zrobił?

– Pijany jesteś. Gustek nie żyje albo w kuczmie siedzi. – Ścisnął ją za ramię coraz mocniej, nie wytrzymała i pisnęła z bólu. – Dziecko jest twoje! –

krzyknęła.

Ktoś stuknął w ścianę. Pewnie ta, jak jej tam było, Bajicha. Nazajutrz będzie patrzeć z wyrzutem na Krystynę i szeptać coś za jej plecami.

– Puść – poprosiła. – Idźmy spać. Sąsiady się złoścą, na co nam kłopot.

Jednak uścisk nie zelżał. Krystyna miała wrażenie, że targające mężem uczucia wpływają do jej ciała w miejscach, gdzie jego palce dotykają jej skóry. Czuła jego złość. Nie, nie złość, to była wściekłość podsycana czarnym żalem. I jeszcze rozczarowanie. Wiedziała, że to ona jest ich przyczyną.

– Idźmy już spać. – Głos jej brzmiał błagalnie.

– Powiem ci, kim jesteś. Jesteś suką.

Podciągnął ją do góry, jakby nic nie ważyła, a potem z całej siły rzucił na łóżko. Krzyknęła, jakby to miało złagodzić ból. Może pomogło, bo nie bolało tak bardzo. A może strach złagodził wszystkie inne odczucia? Bo w tej chwili Krystyna bała się jak jeszcze nigdy w życiu. Zdawała sobie sprawę, że uciekając przed czymś, co wydawało jej się straszne, popełniła błąd i trafiła dokładnie w to samo. Nie w to samo. W coś jeszcze gorszego, bo tym razem nie było już furtki, którą mogłaby się wymknąć.

Marian położył się obok niej i natychmiast zasnął. Jego alkoholowy oddech owiewał twarz Krystyny. Ona nie mogła zasnąć. Leżała, patrząc w sufit. Łzy spływały po policzkach i wsiąkały w poduszkę.

To jest zawsze tak jak z burzą. Najpierw zbierają się chmury. Początkowo wcale nie ciemne, tylko duże i skłębione. Im ich więcej, tym ciemniej się robi. W powietrzu czuć napięcie, a chmury przypominają nieczesaną wełnę. Gdy spojrzysz w górę, czujesz, jak bardzo chcą się urwać z nieba. To, że nie mogą, wywołuje ich gniew. Zaczynają huczeć, aż w końcu nie ma ratunku, nadchodzi burza przerażająca swoją gwałtownością. A po niej cisza. Niebo jaśnieje, ptaki śpiewają, świat bierze głęboki wdech czystego, wilgotnego powietrza.

Krystyna dobrze to знаła. Wiedziała, że jeśli mąż pamięta coś z nocy, raniem będzie miły i uśmiechnięty. Będzie mówił miłe rzeczy, będzie się łąsił jak kot, jak pies będzie wszędzie za nią chodził.

– Ja cię, Krysiu, pod kuchnię podprowadzę. Do ciotki zajrzę, poproszę, żeby dla ciebie dobra była. Ona wie, żeś ty w takim stanie?

– Wszyscy wiedzą.

– Poproszę ładnie, żeby miała na ciebie szczególne uważanie. A jak ty

myślisz, chłopiec to będzie czy dziewczynka?

Krystyna wzruszyła ramionami. Dziś mogła być niemiła, mogła pokazać, że jej ta mężowska troska wcale nie cieszy, że wciąż jest zła i obrażona. Dziś niebo było jasne. Jutro, pojutrze zaczną się gromadzić chmury.

– Dobry z tego Mariana chłopak – powiedziała kucharka. – Taki troskliwy.

Podkuchenne pokiwały głowami i zachichotały, bo wciąż były pannami, a tym się wydaje, że małżeństwo podobne jest beczce z miodem. Mało kto zdaje sobie sprawę, że to rodzaj polityki, w której może się zdarzyć, że małżonkowie zawierają sojusz, ale może też być to okupacja, a nawet wojna. Kobiety niechętnie mówią o swoich domowych tragediach. Po co? By usłyszeć: „Nikt cię do ołtarza nie ciągnął, samaś chciała. Może on nie bez powodu zły, może to twoja wina, że on taki”?

I Krystyna myślała w ten sposób. Popełniła błąd, pragnąc uciec przed czymś, co widać było jej pisane. Nie ucieka się przed swoim krzyżem, tylko niesie go z pokorą. Nie należy pytać, za co jest kara, bo może być ona za grzech przeszły, ale też za przyszły. Człowiek nie po to na świat przychodzi, by ciągle pytać o przyczynę. Modlić się trzeba i cierpieć to, co ma się przeznaczone. Tak sobie mówiła, a jednak gdzieś głęboko słyszała myśl natrętną, że to nieprawda. Gustek nigdy by na nią ręki nie podniósł. Tyle że Gustek kochał sprawę chłopsko-robotniczą bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek na świecie.

Gdybym za nim poszła, gdybym się nie bała matki, ludzkiego gadania i Boga to..., zaczynała się zastanawiać, a wtedy odzywał się inny głos w niej samej: „Gdybyś z nim poszła, dziś żebrałabyś pod kościołem. Albo już by cię na tym świecie nie było. Za takie bezbożne myślenie Pan cię karze”. „Nie, wcale nie – zaprzeczał jeszcze inny głos. – Tak być nie może. Byłaby to kara niewspółmierna do winy”.

Na koniec wszystko cichło i tylko łzy spływające po twarzy Krystyny przypominały, co się w jej duszy działo.

Podkuchenne przypatrywały jej się z wielką ciekawością, aż kucharka musiała je do roboty zaganiać.

– Tak to z kobietą w stanie odmiennym bywa. Śmieje się, to znów płacze. Nie ma w tym nic niezwykłego i gapić się nie ma na co. Przyjdzie to na was, wspomnicie moje słowa. Humor pięć razy na dzień się przemienia.

Lecz mimo tych słów otaczała Krystynę pulchnym ramieniem i pytała cicho, czy wszystko dobrze.

Cóż można odpowiedzieć? Dobrze. Trudno dociec, skąd te łzy. Może to dlatego, że tyle zmartwienia o to życie, co na świat ma przyjść, taki niepokój, ale poza tym dobrze.

Trzeba tylko pamiętać, żeby rękawów nie podciągnąć, bo na ramieniu siniak krwią nabiegły i pulsujący. Trzeba też pamiętać, by słowem się nie zdradzić, bo jeśli kto się za Krystyną wstawi, to tylko gorzej będzie. Poza tym dobrze.

Gdyby nie знаła tego z domu, może miałyby nadzieję, że to raz tylko się zdarzyło. Widząc skruchę i żal w oczach męża, mogłaby pomyśleć, że zdał sobie sprawę, jak bardzo przewinił, i nigdy więcej już tego grzechu nie popełni. Wiedziała jednak, że nie tak to działa. Istnieje pewna granica, której ludzie na ogół nie przekraczają. Przyzwoitość, dobro, strach, bogobojność – rozmaite rzeczy ich przed tym powstrzymują. Są jednak na świecie tacy, a matka Krystyny i Marian byli takimi właśnie ludźmi, których nic nie jest w stanie powstrzymać. I jeśli już raz ową granicę przekroczyli, ciągle będą to powtarzać. Marian będzie bić najpierw rzadko, później coraz częściej, coraz mocniej, brutalniej.

Będzie to robił, bo dobrze wie, że Krystyna słowem nie piśnie. Będzie bił z gniewu, żalu, złości. I co najgorsze, będzie bił po prostu dlatego, że może.

Rozdział siódmy



*Moja chudobeczka da dobrego nasienia,
Będzie ona ryczeć do mojego pasieja.
Moja krówka jedna na dużo bydła wzięta,
Dwadzieścioro troje ta na podwórze moje.*

Sierpień 1926

Nie tak Broneczek Lipczewski wyobrażał sobie ten dzień, oj, nie tak.

W nocy nie mógł spać. Ciągle myślał, jak to będzie iść na odpust do Rachań. Babcia uznała, że jest już na tyle duży, by podołać trudom wędrowki. Mamcia, słysząc ten pomysł, zaczęła lamentować okrutnie.

– Ta on jeszcze malusieńki, ta nóżki mu się zmęczą – jęczała.

– Może kogo spotkamy, to nas podwiezie. Mnóstwo narodu będzie wędrować.

– Ta może by was kto zawiózł? Julian?

Ojciec nic nie odpowiedział. Żniwa z dziadkiem robili i od kilku dni konie pracowały równie ciężko jak ludzie, dlatego należał im się odpoczynek w ten świąteczny dzień.

Te rozmowy dorosłych niepokoiły Bronka. Bał się, że mamcia każą w domu zostać, babcia sama pójdzie. A on tak bardzo, tak bardzo pragnął zobaczyć stragany. Może sobie coś kupić? Chciałby glinianego ptaszka albo fujarkę. Chciałby mieć prawdziwą, drewnianą, a nie taką, jakie starsi chłopcy robili z łożin czy wierzbowych gałązek. Miał swoje pieniądze. Babcia od czasu do czasu dawała wnukom po pieniążku. Janeczka, głupia, zaraz

swój wydawała albo, co gorsza, gubiła. Broniek natomiast zawijał je w chusteczkę i chował w starej puszcze, którą trzymał w skrzynce na skarby, zrobionej kiedyś przez ojca z rozmaitych drewniaków splecionych wierzbowymi gałązkami i sznurkiem.

Na szczęście babcia Teosia, najważniejsza w domu osoba, była też uparta. Postanowiła iść z Bronkiem na odpust, to postanowiła.

No i jakże tu nocą spać, gdy człowiek boi się okrutnie, że zaśpi, a dorośli go nie obudzą? W końcu przyszedł upragniony świt i można było ruszać. Wszyscy się martwili, jak to też Broniek zajdzie, a jego wprost nogi same niosły, wcale nie był zmęczony ani odpoczywać nie chciał.

– Jakbym wiedziała, że z ciebie taki piechur znakomity, tobyśmy tak rano nie wyruszyli. Czekać no, czekać. W domu mówili, że ty za babcią, a to babcia za tobą nie może nadążyć. – Teofila śmiała się z zadowolenia, wprawiając chłopca w jeszcze lepszy nastrój.

Zatrzymali się może trzy razy. Babcia dała Bronkowi wody z butelki. Odsapnęli trochę na miedzy pod gruszą. Babcia opowiadała, jak to było dawniej, kiedy miała dzieci małe, i o tym, że gdy była młoda, to ją na odpusty ciągnęło, potem nie ciągnęło, bo zbyt wiele zajęć miała, a teraz znów ciągnie i ostatecznie stanie się taka jak babka Połajowa.

– A kto to?

– Teściowa Hanki Połajowej, babci Dyzia, Stefanka i tych małych Hubów, co ich imion nie pamiętam.

– Toż Dominik i Walercia.

– No właśnie. Ta starowinka, co u ich babci w chałupie siedziała, pamiętasz?

– No tak. Ale jej już tam nie ma.

– Ano nie ma. Kochała ona odpusty. Jak tylko na wiosnę ciepło się zrobiło, to ruszała na wędry. Chodziła od odpustu do odpustu, póki znów zimno nie nastąpiło. Wracała do chałupy, zimę pod piecem przesiedziała, a na wiosnę znów szła w świat. Choć zdarzało się i tak, że na zimę nie wracała. Ze dwa razy rodzina już się pogodziła z myślą, że babka nie wróci, a tu nagle patrzą, ona do chałupy wchodzi. – Babcia zachichotała.

– Teraz jej nie ma.

– Znów w świat poszła i przepadła.

– A wróci?

– Kto to wie? Może ją w Rachaniach spotkamy.

Bronek zamyślił się nad słowami babci.

– Mnie się wydaje, że ja zawsze będę lubił odpusty.

– To by i dobrze było. Wasza mamcia, choć naiwna i roztrzepana, to porządna katoliczka. Dobrze was wychowuje. Postów pilnuje, do pacierza goni. Choć w tym jednym się udała. Nie patrz tak na mnie, źle o niej przecież nie mówię. – Babcia pogłaskała Bronka po głowie.

Kochał ją bardzo, ale za nic nie potrafił zrozumieć. Bywała radosna, śmiała się, łąpała ich za ręce i tańcowali w kółeczko, śpiewając wesołe piosneczki. Bywała też smutna, chodziła zapłakana, odganiała ludzi od siebie. Najgorzej jednak, gdy wpadała w złość, krzyczała wtedy na wszystkich w domu, przeklinała, opowiadała dziwne rzeczy. Później zaczynała płakać, a jak się wyplakała, wracał jej dobry nastrój.

Doszli w końcu do Rachań. Ludzi było mnóstwo. Bronek złapał babcię za rękę, bo bał się, że ją zgubi. Dwa razy ojciec zabrał go do Łaszczowa na targ, który robił wielkie wrażenie z powodu ciżby na placu i przez hałas. Tu było inaczej. Nikt nie nawoływał, że ma do sprzedania worek pszenicy czy dwie kokoszki. Nie słyszało się też innych języków, tylko polski. Bo też nie było tu Żydów czy Ukraińców, sami Polacy, którzy przyszli się modlić o przemienienie wszystkiego złego na dobro.

Bronek rozglądał się wokół. Może zobaczy babkę Połajową albo stryja Jaśka? Stryj mówił, że na odpust się wybierze, ale z nimi iść nie chciał. Babcia podejrzewała, że się z jakąś panną umówił po drodze i dlatego nie chciał ich towarzystwa. Może to i prawda, stryjko bez przerwy za pannami się uganiał. Przestrzegali go wszyscy, żeby uważał i brzucha której nie zrobił, bo wtedy będzie musiał się żenić, a wiadomo, że na brzuch łapią te brzydkie i biedne.

Nie było szans, żeby dopchali się do kościoła. Stanęli najbliżej, jak się dało. Ktoś zaintonował pieśń i zaraz wszyscy ludzie śpiewali, a tak głośno, że z ledwością usłyszeli dzwoneczek, który obwieszczał, że msza już się zaczyna. Babcia pchnęła Bronka do przodu, żeby mógł zobaczyć procesję. Cud to był nad cuda. Przodem kroczyli najznamienitsi parafianie, niosąc chorągwie, wielkie, piękne, złotymi nitkami haftowane. Przedstawiały świętych i Matkę Boską. Za chorągwiami niesiono figury. Bronek rozpoznał świętego Antoniego Padewskiego, bo taki sam stał na kolumnie w Łaszczowie. Każda figura przybrana była kwiatami i wstążkami. Później szły dziewczynki, paradnie wystrojone, w wianuszkach na głowach

i z koszyczkami w rękach. Sypały ścieżkę z kwiatków, po której szedł ksiądz z monstrancją. Za nim inni księża, ministranci, dostojnicy, dalej parafianie i pątnicy. Gdy procesja ich minęła, stojący wokół zaczęli do niej dołączać. Ścisk się zrobił i zamieszanie. Babcia mocno chwyciła Bronka za rączkę, widać też się bała, by się nie pogubili. Obeszli kościół, nie stali już w tym miejscu, co poprzednio, ale może i lepiej, bo z tego drugiego widać było wewnątrz kościoła. Niewiele, tylko sam sufit, resztę zasłaniali ludzie, ciasno stojący jeden obok drugiego. To musiało wystarczyć, resztę obejrzy po mszy, gdy będzie można na chwilę wejść do kościoła. Niech to już się stanie, długa ta msza jak nie wiadomo co, a tam stragany. Trzeba było babcię namówić, żeby najpierw tam poszli, czasu by starczyło. Westchnął ciężko nad własną głupotą.

– Nie wierć się, Bronku – szeptem upomniała go babcia.

Wyprostował się i próbował stać bez ruchu, bojąc się, że jeśli babcia uzna go za wiercipiętę, to już nigdy na odpust nie weźmie. A ponieważ wcześniej mówiła, że podobnie jak stara Połajowa zaczyna je lubić, Bronku miał nadzieję, że jeszcze nie raz gdzieś razem pójdą.

W końcu ksiądz pobłogosławił koper, co było znakiem, że msza się kończy. Jeszcze tylko jedna pieśń i ludzie zaczną wychodzić z kościoła.

– Patrz, jaki śliczny kościół. Zupełnie inny niż u nas czy w Łaszczowie.

– A na stragany?

– Pacierz zmów za mamcię, tatka i siostrę.

Bronku pochylił głowę i najszybciej, jak umiał, odmówił modlitwę.

Wreszcie znaleźli się przy straganach. Ścisk tam był większy niż pod kościołem w czasie mszy. Wszyscy, mali, starzy, młodzi, dziewczyny i mężczyźni, chcieli oczy nacieszyć. Teraz to odpust bardziej przypominał łaszczowieckie targowisko, bo stali tu Żydzi, handlujący wypiekami i wyrobami ze szkła. Bronku łakomie patrzył na cebularze, z zachwytem na flaszki i kieliszki, delikatnie niebieskie albo zielonkawe, które odbijały promienie słońca, rażąc w oczy. Byli też Ukraińcy, których przyciągnęła ciekawość tego, co na straganach można kupić, a także zapowiedź tańców, mających się odbyć wieczorem. Bo kto, bez względu na to, czy Polak, czy Ukrainiec, czy Niemiec, czy Żyd, nie lubi tańczyć, zwłaszcza gdy jest młody i żony szuka?

– No i co, Bronku, upatryłeś coś sobie? – zapytała babcia.

Mnóstwo rzeczy sobie upatrył. Gdyby miał pieniądze, kupiłby połowę

tego, co na straganach leżało. Fujarki były przepiękne, pomalowane na czerwono. Garncarz miał doniczki, dzbanki i mnóstwo glinianych ptaszków. Sprzedawano też słodczyce przeróżne, lizaki, szczyпки, pastylki.

Babcia nie była całkiem niedomyślna, bo zapytała, czy Broniek nie głodny. Głodny. Dostał placek z cebulą i garść różowych pastylek z cukru. Placek zjadł zaraz, popijając wodą, której jeszcze trochę zostało w butelce. Nie ma nic lepszego od placka z cebulą. Nawet słodkie bułeczki nie mogą się z nim równać. Ciasto drożdżowe wyrośnięte jest tylko na brzegach, w pierścien złocisty zewnątrz, a bielutki w środku. Sprawia wrażenie trochę twardego, jednak gdy się wgryźć, to jest miękkie, ale ciągnące i łatwiej kęs urwać niż ugryźć. Jest lekko słodkawe, a im dłużej żuć, tym słodsze się robi. Na środku ciasto jest niewyrośnięte, mięciutkie, połyskujące jak szyba w oknie, posypane cebulą, która nie jest zezłocona, jak ta, co ją mamcia do omasty smaży, tylko całkiem przezroczysta i biała. A słodziutka, a tak miękka, że się na podniebieniu rozgniata jak masło. I na to wszystko posypany mak, który chrupie między zębami. Broniek żuł w skupieniu, co raz to poklepując się po kieszeni, do której schował cukierki.

– No to napatrz się jeszcze, zaraz będziemy się zbierać.

Już? Jakże to? Na mszy tak długo, a na straganach ledwie chwilkę? A przecież trzeba zdecydować, co sobie kupić. Może nie sobie? Mamcia bardzo byłaby rada, gdyby przyniósł jej taki śliczny szklany kieliszek. Zaraz by go sobie postawiła na półeczce i chwaliła się każdemu, kto do chałupy by wszedł, jaki to prezent od swojego Broneczka dostała.

Jakże ciężko się zdecydować, gdy możliwości tak wiele, a pieniędzy tak mało. Należało się jednak cieszyć, że je ma. Broniek widział wokół dzieci, o których wiedział doskonale, że nie przyszły nic kupować. Lichutkie ubrania, choć niewątpliwie najlepsze, jakie miały, brudne stopy, byle jak przygładzone czupryny, głód w zapadniętych oczach, cienkie rączki i nóżki, a brzuchy wyduęte ziemniakami jedzonymi trzy razy dziennie przez prawie cały rok, poza przednówkiem, kiedy to dzieciaki nie jadły nic.

Jedno z takich dzieci stanęło obok Bronka.

– Będiesz co kupował?

– Może będę, może i nie.

– Placek sobie kup. Tamten Żyd ma najlepsze placki.

– Już jadłem.

– Jak ja bym miał pieniądze, tobym sobie dwa placki kupił albo i trzy.

- Mnie jeden wystarczył.
- Ja bym zjadł trzy. Może cztery.

Bronek dotknął kieszeni. Tak mu się chciało glinianego ptaszka albo fujarki. Jeśli kupi placek temu obcemu chłopcu, to na pewno nie starczy na fujarkę. Ale miał przecież cukierki! Ucieszył się, gdy sobie o nich przypomniał.

– Na – powiedział, podsuwając tamtemu tutkę. – Tylko nie wszystkie. Siostrze muszą zanieść.

Chłopiec brudną ręką wpakował cukierki do ust. Wyraz rozanielenia odmalował mu się na twarzy. Bronek pomyślał, że głupio zrobił. Teraz tamten będzie za nim chodził jak ten bezpański pies, któremu z dobroci serca rzuciło się kawałek chlebowej skórki.

– Nie liź za mną – powiedział groźnie. – Babci muszą poszukać. Do domu nam trzeba wracać.

Rozejrzył się w koło. Babci nie było. Gdzież ona?

– Czarna wygrywa, czerwona przegrywa! – krzyczał męski głos. – Kto swego szczęścia spróbuje, ten pieniądze porachuje. Jeszcze chwila, jeszcze moment.

Bronek ruszył za głosem. Wokół małego stolika zgromadziło się wiele osób, dzieci, podrostków i dorosłych. Stała też tam babcia.

– To ja spróbuje – powiedziała.

Bronek pamiętał, co w domu mówiono, by babcię od kart odciągać. Przecisnął się do niej i prosił, by już wracali.

– Raz tylko, Brońciu, ot dla zabawy.

Postawiła, wygrała. Grali na cukierki, których coraz to więcej było na stoliku.

– Bronek, ty masz pieniądze? Daj, ostatni raz zagram i będziemy szli.

Trzeba było tamtemu chłopcu kupić placek albo sobie fujarkę, pomyślał, oddając to, co miał.

– Tym razem wam się, gosposiu, nie udało?

– Oszukałeś.

– Ja nie oszukuję. To uczciwa gra. A wyście przegrali.

– Uczciwa? Uczciwa? – Babcia złapała za brzeg stolika. – Oddawaj moje pieniądze!

Karciarz uśmiechnął się złośliwie.

– Odsuńcie się, dajcie innym szczęścia popróbować.

W tym momencie stół podskoczył do góry.

– Job twoju mać! – krzyknęła babcia, przewracając go. – Chodźcie, dzieci, chodźcie. Dziś moje wesele, bierzcie cukierki od panny młodej.

I rozsypała wszystko, co leżało na stole. Dzieciarni nie trzeba było zachęcać. W mgnieniu oka ani żadnego cukierka, ani żadnego malca nie było.

– Co wy, durna babo, robicie?

– To, co mi się podoba.

– Oddawajcie pieniądze za cukierki!

– Przecież ja je wygrałam.

– Na koniec wszystko przegraliście. Teraz trzeba płacić.

Bronek, widząc, co się dzieje, pociągnął babcię za rękę.

– Chodźmy już – poprosił.

– O nie, nigdzie nie pójdziecie. Gdzie policjant?

Policjant jakby wyrósł spod ziemi, za to ludzie rozpięchli się jak stado spłoszonych wróbli, nikt nie chciał zeznawać. Już pytał, co się stało, kto zwywał, kto zawinił. Karciarz mówił swoje, babcia swoje.

– Proszę oddać pieniądze za cukierki – powiedział policjant.

– Nie mam.

– To cukierki oddać.

– Cukierki dzieci zjadły.

– W takim razie zabiorę was do aresztu.

– To zabierajcie.

No i poszli. Babcia przodem, ze skutymi rękami, za nią policjant. Na koniec Bronek. Do aresztu go nie wpuścili. Usiadł pod ścianą. Pić mu się chciało i był głodny. Przypomniawszy sobie o pastylkach. Zjadł, ale od tego zrobiło się tylko gorzej. Głód nie minął, kiszki rozboleły, a pić chciało się jeszcze bardziej. A wujek Jaśko gdzie? Miał być na odpuszczie. Czemu tu nie przyszedł, babci nie uratował? Wszystko wyszło źle. Nie wiadomo, ile będą ją trzymać w areszcie. Przecież Bronek sam do domu nie wróci. Musi tu czekać, a dobrze, jak to się za dzień skończy. A jak każą jej trzy dni siedzieć? Może w domu się domyślą, że co złego się stało? Tatko, rad nierad, zaprzęgnie i przyjedzie. Żeby przyjechał, marzył Bronek, choć dobrze wiedział, że to się nie stanie. Tatko po nocy nie będzie jechał, a rano musi do dworu do roboty iść. Teraz żniwa, najmitów trzeba pilnować. A i u nich jeszcze niezwiązane. Robota ważniejsza od wszystkiego.

Nie chciał płakać, ale nie mógł powstrzymać łez. Zasłonił twarz rękoma,

żeby nikt nie widział.

Ktoś usiadł obok, szarpnął go za rękaw.

– A ty czego ryczysz?

– Nie twoja sprawa.

– Twoja babcia w areszcie?

– No.

– Nie martw się. Pojutrze ją wypuszczą. Mego ojca często biorą do aresztu, bo on pije, a jak się napije, to w karczmie awantury urządza.

Bronek, który już trochę się uspokoił, znów zaczął płakać. Bo jakże nie płakać, kiedy się człowiek dowiaduje, że dopiero za trzy dni będzie w domu. Pusty żołądek burknął w rozpaczy nad swoim losem.

– Głodnyś?

Przecząco pokręcił głową.

– Głodnyś. Chcesz, przyniosę ci kartofla?

Nim zdążył odpowiedzieć, tamten zniknął. Długo nie wracał i Bronek pomyślał, że zapomniał. Albo skłamał, albo też nie dostał kartofla, albo matka w chałupie go zamknęła, bo zaczynało się już robić ciemno.

A jednak się zjawił. Wcisnął Bronkowi do ręki ugotowanego w łupinie kartofla, całkiem już zimnego.

– Pół zjedz, a pół zostaw sobie na rano. Tam jest studnia, widzisz? W tym korycie przed nią woda jest, bom poprosił znajomka, żeby wyciągnął i wlał. Możesz się iść napić. Ja już pójdę. A może... Może chcesz, żeby jeszcze chwilę z tobą posiedzieć?

– Posiedź.



Rogaliki wiśniowe

Pół kilo mąki, 25 dkg gotowanych ziemniaków, 10 dkg masła, jajko, pół szklanki zsiadłego mleka, 1 dkg drożdży, konfitura wiśniowa lub wiśnie świeże dobrze odparowane w rondelku.

Wszystkie składniki dokładnie wymieszać. Ciasto składać i wałkować na sposób francuski trzy razy. Rozwałkować cienko, kroić kwadraty, nadziewać konfiturą i formować rogaliki. Po posmarowaniu rozbitym jajkiem piec w gorącym piecu na złoty kolor.

Krystyna 1909/1910

Każdego ranka Krystyna dotykała brzucha. Zaczęła to robić w czasie, gdy spodziewane krwawienie się nie pojawiło. Położyła wtedy rękę na brzuchu w naiwnym przekonaniu, że wyczuje znajome napięcie. Później dotykała go, próbując wyczuć jakieś zmiany, ale nic się nie działo. Brzuch był płaski, skóra gładka i biała. Nawet gdy w środku zaczęło się już jakieś życie, anonsowane delikatnymi ruchami, podobnymi do łaskotania skrzydeł motyla, gdy się go zamknie w dłoniach, brzuch pozostawał niezmienny.

I nagle, z dnia na dzień, zaczął się uwypuklać. Było z nim jak z tym ciastem chlebowym w dzieży. Patrzysz, nic się nie dzieje. Odwrócisz się na chwilę, a ono już podrośnięte i teraz nie ma już wątpliwości – rośnie, całe naczynie wypełnia, lada moment przeleje się przez brzegi.

– Popatrz – powiedziała do Mariana, stając bokiem. Wiedziona impulsem wzięła jego rękę i położyła sobie na brzuchu.

– Rośnie.

– Ano rośnie.

Trwali tak przez chwilę. Było tak cicho i spokojnie, tak dobrze. Krystynie przyszło do głowy, że tak powinno zawsze być między nimi. I gdyby mogła, przeciągnęłaby tę chwilę w nieskończoność.

– Do roboty nam trza – powiedział Marian, odsuwając ją delikatnie.

Pozwoliła mu na to niechętnie, a gdy odszedł, długo jeszcze stała w miejscu, chcąc zatrzymać to ulotne odczucie, które towarzyszyło jej, gdy byli przytuleni.

Marian od kilku już dni chodził jak struty. Roboty miał dużo, zmęczony był, a to sprawiało, że narastała w nim złość. Krystyna chodziła wokół męża na paluszkach, próbowała go przejednać dobrym słowem. Spodziewała się wybuchu. Jednak ta poranna chwila bliskości uspiła jej czujność. Gdy wracała wieczorem z kuchni, nie spodziewała się niczego złego. Jakież to dziwne w naturze ludzkiej, że choć tylekroć doświadczamy złych rzeczy, jesteśmy bardziej skorzy patrzeć w przyszłość z ufnością niż ze strachem.

Mąż był już w domu. Siedział przy stole z głową opartą o blat. Woń, która wypełniała izbę, nie pozostawiała wątpliwości co do jego stanu. Krystyna słowem się nie odezwała. Pijany? A niechże sobie będzie pijany. Przywykła.

Jak najciszej podeszła do łóżka i zaczęła się rozbierać. Skrzypnięcie podłogi sprawiło, że odruchowo odwróciła głowę. Stał tuż za nią. Oczy błyszczały mu niezdrowo, jakby miał gorączkę.

– Co ci też, Marian? Choryś? – zatroskała się, nim zdała sobie sprawę, że jeśli coś go trawi, nie jest to choroba ciała. – Połóż się – zdążyła poprosić, nim chwycił jej warkocz w dłoń i wykręcił. Próbując uniknąć bólu, odchyliła się do tyłu. Wtedy uderzył ją i powalił na ziemię.

Krystyna zwykle zasłaniała twarz. To był odruch. Nigdy się nie zastanawiała, dlaczego tak robi. Tym razem jednak jej ręce powędrowały do brzucha. Tam było coś, co miała najcenniejszego. Do tej chwili nie zastanawiała się, czy kocha to dziecko, czy nie. W tym momencie bezmiar miłości, którą czuła do tej maleńkiej istotki, uderzył mocniej niż mężowski cios. Chronić dziecko, za wszelką cenę chronić dziecko. Zaczęła krzyczeć, pewna, że ktoś powstrzyma oprawcę, zaczęła się modlić w nadziei, że przyjdzie na niego opamiętanie. Przecież to też jego dziecko. Nie zrobi mu krzywdy, pomyślała. W tej myśli był wyrok. To ona sprawiła, że Krystynie zabrakło determinacji. Nie należało mieć nadziei. Nigdy, przenigdy nie należy mieć nadziei.

Nikt z sąsiadów się nie zjawił. Nikt nie powstrzymał Mariana. Kopniaki

jeden za drugim spadały na brzuch Krystyny. Wiedziała, że nie utrzyma tego życia, które w niej zamieszkało, bez względu na to, jak bardzo będzie tego pragnąć i jak żarliwie się modlić. Miała tylko nadzieję, że odejdzie razem z dzieckiem. Nigdy więcej nie rób sobie nadziei, głupia.

Nie wiedziała, kiedy straciła przytomność. Czy on wiedział? Czy wtedy przestał bić? Wydawało jej się, że jakaś nadludzka siła wyrywa ją z odmętów zimnej wody i przez przerębel wyciąga ku światłu. Czuła się tak, jakby leżała na lodzie, krople spływały po plecach, ramionach, brzuchu. Brzuch! Chciała go dotknąć, ale ból przeszył jej dłoń. Krzyknęła. Musiała mieć połamane palce. Te krople to był pot. Dostała gorączki, dlatego czuła się jak zanurzona w lodowatej wodzie. Ostatkiem sił zdołała usiąść. Podciągnęła skrwawioną spódnicę najdelikatniej, jak mogła. Zagryzała przy tym zęby z bólu. Po omacku, między skrzepami krwi odnalazła maluteńkie ciało. Podniosła je do oczu. Nie przypominało dziecka, było w nim coś zwierzęcego. Miało dużą głowę i malutki tułów. Jest jak maleńka żabka, z galaretki w kolorze porcelany, pomyślała. Położyła je sobie na piersiach i pozwoliła, by ogarnęła ją ciemność.



– Krystyna, Krystyna, ocknij się! – Znajomy głos przywołał ją do życia.

Niechętnie podniosła powieki. Znajdowała się w swojej izbie, leżała na łóżku. Pościel była wilgotna, koszula przyklejała się do ciała. Przy łóżku stała kucharka. Obok, na krześle, siedział obcy mężczyzna. Ubrany był po pańsku, miał przystojną twarz, okoloną gładko przyczesaną brodą. Patrzył na Krystynę z pewnym zatroskaniem. Pewnie to gość naszych państwa, pomyślała. Coś w kuchni źle zrobiłam i przyszedł poskarżyć się na mnie. Dlatego taki zatroskany, składanie skarg nie leży w jego naturze, to dobry człowiek. Nie to, co mój mąż. I wtedy do niej dotarło, co się stało.

– Gdzie moje dziecko? Gdzie moje dziecko? – wykrzyczała.

Kucharka położyła rękę na jej ramieniu i delikatnie przycisnęła Krystynę do siennika.

– Uspokój się, Krysia. Nie ma żadnego dziecka.

– Co z nim zrobiliście?

– Nie trzeba, Krysia. Nie trzeba. Leż spokojnie.

Nieznajomy wstał.

– Tak jak mówiłem. Wypoczywać musi. Pić dużo. Jakiegoś rosołu jej dajcie. Za trzy, cztery dni niech kto po mnie przyjedzie, zajrzę. Chyba żeby gorączka nie spadła, to wcześniej. Palce to sześć tygodni... Przez sześć niedziel zrastać się będą. Nie wiem, czy nerwy nie uszkodzone. Jakby drętwiały czy ruszać nie mogła, to też dać znać. – Odwrócił się i skierował ku drzwiom. Jednak nim wyszedł, spojrzał jeszcze raz na Krystynę. Smutek był w tym spojrzeniu. – Jak bydlęta – powiedział, nie wiadomo, do siebie czy do niej.

– Choraś bardzo. Po doktora my posłali – wyjaśniła kucharka. – Choraś, ale dobrze będzie. Wydobrzejesz. Spać musisz dużo, żebyś jak najszybciej do roboty wróciła, bo jakże ja sobie dam radę bez ciebie? No, na mnie już czas. Zajrzę do ciebie później.

– Nie zostawiajcie mnie...

– Nie bój. On ci teraz nic nie zrobi.

Jak długo trwa „teraz”?



Krystyna beznamiętnie obserwowwała zmiany zachodzące w jej zmasakrowanym ciele. Najpierw krwawa wybroczyna na czole zaczęła przybierać barwę brązową. Opuchlizna wokół oka stężała, z fioletowej zrobiła się zielonkawa, później żółta. Najszybciej zagoiła się pęknięta warga. Po zadrapaniach na ramieniu zostały czerwone niteczki strupków, które odpadły nie wiedzieć kiedy i nie było po nich nawet śladu. Po ranie na udzie widniała maleńka, biała blizna. Dwa palce u lewej ręki miała niesprawne. Na szczęście mały i serdeczny, najmniej w życiu potrzebne. Pozostałe przez dwa tygodnie po zdjęciu opatrunku były trochę sztywne, ale ruch sprawił, że to minęło.

Rany ciała zawsze goją się szybciej od ran duszy. Serce Krystyny wciąż krwawiło. Tłumaczyła sobie, że lepiej się stało. Duszyczka dziecka nie zdążyła nawet opuścić nieba, a teraz zostanie tam na zawsze, jako maleńki aniołeczek, zawsze szczęśliwy i radosny. Jednak bez względu na to, jak piękne było to tłumaczenie, bez względu na to, o ile lepsze życie w niebie niż na ziemskim padole, Krystyna nie potrafiła się nim pocieszyć. Krwawiące serce mówiło, że dziecku nigdzie nie będzie lepiej niż w jej ramionach. Szeptąło też, że to jej, Krystyny wina. Pozwoliła, by dziecko zostało zabite, nie potrafiła go obronić. Nienawidziła siebie, bardziej nawet niż męża.

Kiedy leżała w łóżku, Marian opiekował się nią z największą czułością. Przykładał chłodne kompresy do czoła, przemywał rany, zmieniał opatrunki. Szeptął czułe słowa, zapewniał o swoim przywiązaniu.

– Przebacz mi proszę, Krysiu, przebacz mi grzech. Przyrzekam, to się już nigdy nie zdarzy.

Powiedziała, że przebacza. Jakież był sens ciągłego słuchania zapewnień, które nie zostaną dotrzymane? Na przyszłość, jeśli chce żyć, musi być ostrożniejsza albo też doprowadzić go na skraj szaleństwa i pozwolić, by zabił. Wciąż jeszcze nie zdecydowała. Życie nie miało dla niej teraz szczególnej wartości. Może nigdy jej nie miało, a tylko ta zwierzęca siła, która jest w każdym z nas, kazała się go trzymać?

Nigdy wcześniej i nigdy później nie czuła się taka samotna. Ludzie okazywali jej współczucie. Jedni z dobrego serca, inni z powodu wyrzutów sumienia, bo nie przyszli na czas, by ją uratować. Najmilsza ze wszystkich była kucharka. I to wcale nie dlatego, że to do niej Marian pobiegł po pomoc, gdy skatowana żona leżała umierająca na podłodze, nie dlatego, że kazała wezwać doktora, nie dlatego, że lubiła Krystynę. Była miła, bo знаła pokręconą naturę swojego siostrzeńca i dobrze wiedziała, że wydarzy się to, co się wydarzyło.

A jednak ani jednym słowem nie ostrzegła Krystyny, nie wzięła jej pod swoje skrzydła, nigdy do nich nie zajrzała, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wiedziała, że prędzej czy później Marian podniesie rękę na żonę, i nie zrobiła niczego, by temu zapobiec. Krystyna mogła powiedzieć jej to w twarz, mogła uczynić ją współwinną, tylko po co? Czy zmieniłoby to przeszłość? Nawet przyszłości nie może zmienić. Gdy znikną ślady pobicia, znikną też wyrzuty sumienia i chmury znów nadciągną. Niech bije, aż zabije, myślała Krystyna.

Nie czuła już strachu. Była jak pień wierzby, który doszczętnie spróchniał. Gałęzie drzewa wciąż się zielenią, ale tylko dlatego, że soki płyną do nich tą cienką, żywą jeszcze tkanką pod korą. Gdy przyjdzie gwałtowna burza, drzewo nie da rady stawić jej czoła i pozwoli, by je powaliła. Ludzie staną nad nim zdziwieni, bo przecież uważali, że jest silne i zdrowe, przecież wciąż miało zielone liście. Dopiero gdy zobaczą pusty w środku pień, zrozumieją. Gdy staną nad trupem Krystyny, też zrozumieją. A może i nie? Tak to jest, że ludzie dobrze pojmują mechanizmy przyrody, lecz swojej własnej natury nie znają.

Samotność była dobra i zła jednocześnie. Krystyna zdawała sobie sprawę, że nikt jej nie rozumie, nikt nie jest w stanie wraz z nią odczuwać straty, a jeśli pozwoli komuś zbliżyć się do siebie, będzie to jak wypuszczenie kur na świeżo zagrabioną grządkę – rozdrapią wszystko, zniszczą i jeszcze, zadowolone z siebie, zaczną gdakać wesoło. Z drugiej strony jednak ogromny ból, który rozdzierał jej serce, prosił, by go ukoić tą odrobiną ciepła, płynącego od drugiego człowieka. Tylko że Krystyna nie ufała teraz nikomu. Patrzyła na ludzi tak, jakby oddzielała ich od niej okienna szyba. Widziała ich przez to inaczej. Jakby bardziej ujawniła się ich zwierzęcość. Co powiedział ten doktor, wychodzący z izby? „Bydło”. Takimi właśnie zobaczyła ich Krystyna, tacy byli. Jak bydło.

Przez pół roku trwał względny spokój. Marian się bał, bo wiedział, że oczy wszystkich skierowane są na niego. Nawet dziedzic, do którego nie wiadomo jakim sposobem doszła wieść o skatowanej przez męża podkuchennej, wyraził swoje niezadowolenie i przez ekonoma przekazał, że takich zachowań tolerować nie będzie, więc jeśli sytuacja się powtórzy, każe Malickich przegnać. Wiadomo jednak, jaką trwałość ma pamięć ludzka. Przeszedł jeden miesiąc, drugi, w trzecim mało kto wspominał o tym, co spotkało Krystynę, przeszedł czwarty i piąty i nikt już niczego nie pamiętał. Ludzie patrzyli na to, co się działo, a było dobrze. Marian, jeśli tylko mógł, czekał na Krystynę wracającą z kuchni. Szli razem, czasem spokojnie rozmawiając, czasem przekomarzając się wesoło. W izbie panowała cisza. Czasem nocą dało się słyszeć intensywne stukanie łóżka. Jeśli kogoś z sąsiadów zapytać by o to, co się stało, skwitowałyby tamto wydarzenie zdaniem: „Tarli się młodzi, tarli, aż się dotarli”. Nie od dziś przecież wiadomo, że początki małżeństwa bywają bardzo burzliwe i trzeba czasu, by między dwojgiem młodych ludzi zapanowała harmonia.

Harmonia. Na wspomnienie tamtego czasu Krystynie wciąż dreszcz przechodził po plecach. Dlaczego ludzie są tak nieuważni, dlaczego tak skorzy sądzić po pozorach? Trudno dociec, bo przecież, mimo że jest wśród nich wielu naprawdę złych i głupich, nie brakuje też tych o dobrych sercach i dużej wrażliwości. Jednak nawet oni wolą nie dociekać prawdy. Kucharka, która szczerze się przywiązała do Krystyny, gdy na swoje pytanie: „A jakże tam jest między wami?”, słyszała: „Dobrze”, uspokojona kiwała głową. A przecież wystarczyło, by kazała rękawy podwinąć, spódnicę unieść, by mogła dostrzec widome znaki owego „dobrze”. Marian bowiem bił tak, by nikt nie mógł zobaczyć dowodów jego brutalności.

– Jeśli piśniesz, suko, to cię zabiję – przestrzegał.

Gdyby Krystyna miała pewność, że spełni swoją groźbę, darłaby się jak opętana. Bała się jednak, że będzie tak jak poprzednio. Ona przeżyje, a on stanie się jeszcze brutalniejszy. Poza tym, i to było chyba najgorsze, czuła dziwne przywiązanie do męża. Gdy już ją uderzył, to jakby się odmieniał. Stawał się miły, opiekuńczy i kochający. Potrzebowała, by ktoś ją kochał. Głód czułości jest najgorszy ze wszystkich. Czy ten, kto chce jeść, patrzy, czyja ręka podaje mu kromkę chleba? Dlaczego więc Krystyna miała odwrócić się od jedyne go człowieka, który ofiarował jej miłość? Czy tylko dlatego, że zdarzało mu się być porywczym i okrutnym? Z czasem może to minąć, przekonywała samą siebie. I tak na nic lepszego liczyć nie mogę, my już związani na dobre i złe aż po grób.

Gdy w oznaczonym czasie nie zaczęła krwawić, ogarnął ją strach. Bała się, że znów straci dziecko, ale bała się również, że wyda je na świat, a nie będzie potrafiła uchronić przed brutalnością męża. Rozważała, czy nie byłoby dobrym rozwiązaniem spędzenie płodu. Nawet samobójstwo brała pod uwagę. Nie zrobiła tego. Później, w najgorszym czasie, wyrzucała sobie ów brak odwagi, który kazał nie podejmować żadnego działania, w nadziei, że będzie dobrze. Nadzieja jest zła, a dobrze może być tylko wtedy, gdy człowiek stanie się panem swojego życia i śmierci. Jeśli w jakiś sposób czuje się zależny od kogoś, nie powinien żywić nadziei i nie powinien używać słowa „dobrze”.

Marian, jak należało się spodziewać, wieść o mającym się narodzić dziecku przyjął z ogromną radością. Był dla Krystyny miły, miłszy niż kiedykolwiek. Jak szpak znosi kwiaty do gniazda, tak Marian nie przestawał jej obdarowywać. Jednego dnia przyniósł jej słodką bułeczkę, innego polne

kwiaty, jeszcze innego wstążkę. W czasie całej ciąży uderzył może dwa razy, boleśnie, ale uważając, by nie dotknąć brzucha.

Krystyna modliła się żarliwie, by na świat przyszła dziewczynka. Prośba została wysłuchana i tak pierwszego września tysiąc dziewięćset dziesiątego na świat przyszła Bronia, Bronisława Krystyna Malicka.

Rozdział ósmy



Nie bez powodu Mickiewicz wspomina grykę jak śnieg biały. Niegdyś była to jedna z najpopularniejszych roślin uprawnych. Działo się tak dlatego, że gryka, należąca do rodziny rdestowatych, ma niewielkie wymagania glebowe. Poza okresem kwitnienia, gdy zmienia pola w białe czy białoróżowe połacie, nie odznacza się niczym szczególnym, prosta łodyga, szybko usychające nieliczne sercowate liście i niewielki, wiechowaty kwiatostan. A jednak każdy, kto ocenia tę roślinę po pozorach, bardzo się pomyli. Ziarno gryki służy do produkcji wyśmienitych kasz, a także mąki, która z powodzeniem może zastąpić mąkę pszenną. W kuchni polskiej obecna jest od pięciuset lat, zaś ludzkości znana od około dwóch tysięcy lat. W ostatnich latach jej popularność w kuchni nieco zmalała. A szkoda, bo pod względem cennych dla zdrowia składników nie ustępuje kaszy quinoa czy amarantusowi. Substancje zawarte w gryce obniżają ryzyko stanów zapalnych, normalizują poziom cholesterolu, zawierają rutynę, która wpływa na prawidłowe funkcjonowanie serca i naczyń krwionośnych, a przeciwutleniacze i fenole z gryki wspierają pracę mózgu oraz wątroby. Ma więcej białka niż ryż, proso czy kukurydza, a zawarty w niej błonnik zbawiennie wpływa na układ pokarmowy. Zawartość magnezu, cynku, żelaza i manganu, kwasu foliowego i witamin, zwłaszcza z grupy B, sprawia, że jedna porcja kaszy gryczanej zastępuje garść tabletek. Miód gryczany – ciemny, intensywnie pachnący, o wyrazistym smaku – spożywany regularnie, podnosi poziom hemoglobiny.

Sierpień 1926

Świat się odmienił. Poprzedniego dnia zwyczajny, znany, piękny i spokojny, w czasie jednej nocy stał się miejscem mrocznym i smutnym. Była w nim jednak przedziwna niezwykłość. Jaśko szedł drogą, wokół było cicho, szaro. Wystarczyło wszakże, że pomyślał o dziewczynie z odpustu, a ptaki

zaczynały śpiewać. I to skowronki, a przecież wszyscy wiedzą, że o tej porze już ich nie słychać. Tymczasem zrywały się z bruzdy, wznosiły w niebo z trelem tak słodkim, że miodem się po sercu rozlewał. W jednej chwili wszystko wokół piękniało. Płowy pył na drodze mienił się, jakby ktoś wymieszał go z drobinkami złota. Trawa się zieleniła, podobnie jak liście, kwiaty obficie kwitły, a tak pachniały, że ich woń tłumiała wszystkie wiejskie zapachy.

Jaśkowi nic się nie chciało. Ani robić, ani jeść, ani spać. Szukał miejsca, gdzie mógłby być sam, by zamknąć oczy i przywoływać obraz tamtej dziewczyny. I wtedy przez chwilę było dobrze, ale zaraz potem robiło się tęskno, tak tęskno, że aż mdliło.

Jakimż ty jesteś idiotą, Janie Lipczewski, mówił do siebie. Była tam, stała na wyciągnięcie ramienia, a ty nic nie zrobiłeś. Jak kretyn uznałeś, że ona zostanie na tańcach. Taka panna na tańcach? Przecież z dzieckiem przyszła. Dawno już w domu była, gdyś ty się zorientował. A teraz szukaj wiatru w polu.

Musiał ją znaleźć. Po prostu musiał. Inaczej ten ból straszny, co w piersiach zamieszkał, rozerwie mu serce na strzępy.

Wymknąć się świtem z chałupy łatwo nie było. Szczęściem nie musiał czekać do świtu, bo i tak nie mógł spać. Poczekał do pierwszego piania koguta. Na zewnątrz wciąż było ciemno, ale ptak czuł, że noc już się kończy. Ludzie spali wtedy najmocniejszym snem. A nawet jakby się kto ocknął, pomyśli, że Jaśka zbudziło albo pragnienie, albo pęcherz. Z tymi potrzebami gadania nie ma, trzeba wstać, wyjść do sieni, gdzie cebrzyk z wodą stoi, albo na podwórze, między krzaki pójść. Nikomu do głowy nie przyjdzie, że Jaśka inna potrzeba, sercowa, z domu wygania. Gdy matka i Antoszka się zbudzą, by pod blachą rozpalać i do gotowania stawy się zabierać, on będzie już pod Pukarzowem.

Wędrówka piechotą zajmie mu pół dnia. Wierzchem szybciej by było, ale ani Julian, ani ojciec konia wziąć nie pozwolą. Brat dlatego, że w razie nagłego wezwania do dworu będzie wierzchowca potrzebował. Ojciec dlatego, że po wyprawie do Rosji na punkcie koni całkiem ześwirował. Jeśli we wsi śmiali się z Huba, że poczęstowany jabłkiem nigdy go nie zjadł, tylko do kieszeni schował i swoim bułanym zaniósł, to teraz i z Kazika Lipczewskiego się śmiali, że chętniej by sam się do wozu zaprzął niż swoje konie. Prawda to była, szanował je ojciec bardzo. Teraz, gdy najwięcej miały

roboty, dbał, by każdą wolną chwilę spędzały, odpoczywając, dobre siano, sieczkę i obrok jedząc. Jasiek nawet nie chciał wyobrazić sobie miny ojca, gdyby mu powiedział, że konia potrzebuje, by za pannąjechać.

I cóż, że piechotą? Nogi młode, nic, tylko wędrować.

Zdjął z kołka płócienniak, który wdziewał od święta, chwycił kaszkiet, oficerki wcisnął pod pachę, sprawdziwszy uprzednio, czy w każdej jest onuca. Jeszcze w sieni wody łyknął i wyruszył.

Z ciemnością to dziwnie bywa. Kiedy człowiek siedzi w izbie, to mu się wydaje, że noc jest czarna, ale gdy wyjdzie, na podwórzu stanie, to się przekonuje, że prędeej granatowa, może ciemnoszara, ale na pewno nie czarna. Jeśli świeci księżyc, to jaśniej niż w chałupie przy świecy, jeśli go nie ma, to i tak gwiazdy świat oświetlają. W sierpniowe noce gwiazdy najpiękniej świecą, zwłaszcza w taką jak ta, gdy na niebie chmur nie ma. Jaśko zadarł głowę. Przez firmament srebrzystą smugą przemknęła spadająca gwiazda. Podobno jeśli w takiej chwili wypowiedzieć życzenie, to się spełni. Daj mi, gwiazdeczko z nieba, spotkać tę śliczną pannę, pomyślał. Tymczasem w ślad za tamtą poleciała jej gwiazdzista siostra. Potem trzecia i kolejne. A każda słyszała Jaśkową prośbę. Gdy gwieździsty deszcz się skończył, Jasiek prosił, by dane mu było pierwszemu umrzeć, by nie musiał za ukochaną żoną płakać.

Tak dobrze mu się maszerowało, że ani się obejrzał, a już minął Wozuczyn i zbliżał się do michalowskiego folwarku.

I nagle stała się rzecz straszna. Cały zapał, który do tej pory Jaśka prowadził, ulotnił się w jednej chwili. Pomyśl, by przed dziewczyną stanąć, powiedzieć coś, wydał mu się jeszcze większą durnotą od tej, jaką popełnił na odpuscie, tracąc szansę na rozmowę. Gdyby wtedy podszedł do dziewczyny, gdyby ją zagadnął, dzisiejsza wizyta miałaby sens. A tak? Co on powie? „Widziałem cię na odpuscie, spodobałaś mi się, to przyszedłem”. Wyśmiej go, każe iść precz. Może ona serce innemu już oddała i dla Jaśka nie ma żadnej nadziei? Trzeba wrócić do domu i zapomnieć. O tylu pannach zapomniał, więc i o tej zapomni. Już, już miał się odwrócić, gdy pamięć podsunęła mu obraz dziewczyny, i to tak wyraźny, że widział pojedyncze rzęsy i ślad po ospie nad prawą brwią. Była tak piękna, tak piękna, że nie sposób o niej zapomnieć. Musi ją jeszcze raz zobaczyć. Po prostu musi.

Łatwo powiedzieć „zobaczyć”. Jakże ją znaleźć? Na odpuscie mówili, że to córka kucharki. No to pewnie pracuje w kuchni. Podejście pod dwór nie

będzie łatwą sprawą. Trzeba coś wymyślić. Usiadł na ziemi, starannie owinął stopy onucami, a później buty naciągnął. Otrzeptał portki, kaszkiet poprawił i ruszył przez główną bramę do dworu.

Nie uszedł pięćdziesięciu kroków, gdy dopadł go służący, może stróż, może ogrodnik, tego Jaśko nie wiedział, bo w służących jaśniepaństwa żadnego rozeznania nie miał. Od brata wiedział, czym zajmuje się rządca, a czym polowy, kim jest ochmistrzyni, kim pokojowa. Wiedział, kim jest lokaj i że można go poznać po liberii. Jednak ten tutaj takowej nie miał, nosił, zgodnie z miejską modą, marynarkę.

– A ty gdzie, chamie?

– Do jaśnie wielmożnego pana.

– W snach swoich. Paszoł won!

– Ja tam mogę pójść won, ale jak się dziedzic z Łaszczowa dowie, że waszemu panu nie powtórzył bardzo ważnej informacji, to nie będzie zadowolony.

– Cóż to za ważna informacja?

Jaśko podparł się pod boki i spojrzał na tamtego z góry.

– To ja bardzo przepraszam, że jaśnie wielmożnego pana nie poznałem. To za sprawą tego lichego odzienia. U nas pany paradniej się noszą. – I roześmiał się ubawiony własnym żartem.

Pewność siebie Jaśka zbiła tamtego z tropu. Świdrował go spojrzeniem, jakby miał nadzieję, że to pomoże mu podjąć właściwą decyzję. Puścić chłopaka czy precz przegonić?

– Chodź ze mną – powiedział w końcu. Podprowadził Jaśka pod oficynę. – Tu poczekaj. Ktoś ze służby do ciebie wyjdzie. – I odszedł tak szybko, jakby go stado rozwścieczonych psów goniło.

Jaśko patrzył za nim z uśmiechem. Dobra nasza, pomyślał, jużem prawie w kuchni.

Zaczął już tracić nadzieję, że ktoś do niego wyjdzie, gdy wreszcie zjawił się mężczyzna w liberii. Wiele można było o nim powiedzieć, ale na pewno nie to, by był to człek sympatyczny.

– Czego? – Gdyby trafił się taki magik, co potrafiłby głós na broń przemieniać, to ten człowiek byłby dla niego na wagę złota, bo jednym słowem całą armię by położył.

– Sprawa pilna bardzo. Ja do waszej kucharki przyszedłem.

– Mówiono mi, że do jaśnie pana. – A spojrzenie to miał jak sztylety.

Jaśko westchnął przesadnie głośno.

– Sprawa jest wymagająca dyskrecji i ja nie będę się z niej spowiadać pierwszej lepszej osobie spotkanej na drodze, gdy nie wiem, kto on zacz. – Przerwał na chwilę, zmierzył wzrokiem lokaja od stóp do głów. – Ale wam to mogę powiedzieć. Jaśnie wielmożna nasza pani dziedziczka była w gościnie w Łabuniach. I wasza hrabina tam była. A przy kawie opowiadała, że jej kucharka robi jakiś torcik fikuśny, z masą orzechową, podobno arcysmaczny. Pani o tym mówiła naszej kucharce, Bednarzowej. Tej przykro, bo ona tego przepisu nie zna. Pożaliła się memu bratu, Julianowi, który jest polowym. A on jej na to: „Cóż wy się będziecie frasować, pani Bednarzowo. Trza kogo zmyślnego posłać do Michałowa, może tamtejsza kucharka jakaś użyta kobita i przepisem się podzieli”. Ot i wszystko.

Obojętnie wzruszył ramionami, choć mu się w środku wszystko trzęsło z radości, że taką dobrą i bardzo prawdziwą historyjkę ot tak, na poczekaniu wymyślił. Patrzył przy tym lokajowi prosto w oczy, a gdy tamten się zmarszczył, wyszczerzył zęby w tym uśmiechu, który sprawiał, że panny mdlały.

– Poczekaj tu. Porozmawiam z panią Malicką. – I zniknął za drzwiami, nim Jaśko cokolwiek zdążył powiedzieć.

Malicka, powtórzył najpierw w myślach, a później na głos. Pozwolił, by mu się to słowo rozlało na języku, jak kawałek cukru. Panna Malicka. Przynajmniej wiadomo, o kogo pytać.

Że też ten lokajczyk drzwi za sobą zamknął, można by zajrzeć do środka, może coś podsłuchać, a tak stał tu, głuchy i ślepy na to, co się we dworze działo.

Cofnął się kilka kroków, do miejsca, z którego widać było okno. Może kuchenne? Jakby stuk naczyń zza niego dochodził. Gdyby tak podejść, gdyby się wspiąć... W tej chwili usłyszał za sobą czyjś śmiech. Odwrócił się. Po drugiej stronie ścieżki stał chłopiec. Jaśko poznał go nie dlatego, że dziecięca twarzyczka utkwiała mu w pamięci, ale dlatego, że podobny był do siostry. Miał ten sam kształt oczu, ciemnych, o zadziwiająco przenikliwym spojrzeniu, i ten sam kształt twarzy, zakończonej wąskim podbródkiem, i podobny mały, zadarty nos. Jaśko przyglądał się małemu uważnie. Dziecko było nie tyle drobne, ile bardzo delikatne. Nasz Broneczek chudy, pomyślał Jaśko, ale przy tym to grubas, a przecież w podobnym są wieku. I powodowany ciekawością, zapytał małego, ile ma lat.

– Pięc i pół.

– A jak cię zwa, kawalerze? Bo mnie Jaśko. Jaśko Lipczewski. A jestem synem kowala z Tynczyna.

– Ja jestem Włodek. I nie mam taty.

Nie był to najlepszy początek rozmowy, na szczęście Jaśko wiele razy zabawiał Broneczka i wiedział, jak z dziećmi rozmawiać.

– Zdarza się to. Trzeba się za niego pomodlić, by mu w niebie dobrze było. Ja miałem trzy siostry, ale jedna umarła. Też się za nią modłę.

– Ja mam jedną siostrę.

– A jak jej na imię?

– Bronia.

– Bronisława. Mojemu bratankowi Bronek. Ładne to imię i mnie się wydaje, że panna, co je nosi, też bardzo ładna. Pewnie mądra, boś ty bardzo rezolutny kawaler. A co twoja siostra robi?

– Pewnie przy pani.

– Myślisz, że mógłbyś ją zawołać?

– Mnie nie wolno wchodzić do dworu.

Jaśko z powagą skinął głową, jakby rozumiał sytuację, tak naprawdę jednak nie rozumiał. Dziecko małe, jego matka pracowała w kuchni, siostra pewnie była pokojową, skoro mały powiedział, że jest „przy pani”. Czemu nie wolno mu wejść? A któż te pańskie fanaberie zrozumie? Julian czasem opowiadał o przeróżnych dziwactwach dziedzica. Zresztą po co daleko szukać. Kornelowicze nie byli żadnymi panami, ale tak się zachowywali i Anielce nie pozwalali się z Zośką bawić, bo biedna. A jak to się teraz wszystko odwróciło, Anielka gospodyni całą gębą, a Zośka... od samego wspomnienia smutno się robi.

– Jak widzisz, kawalerze, mnie też nie pozwolili. Wyszedł taki jeden. – Jaśko usta ściągnął, a brodę opuścił. – I kazał mi czekać.

Widać mina była udana, bo chłopczyk roześmiał się szczerze.

– To Alfred. Też na niego czekam. Mam mu do powiedzenia, że ogrodnik obiad prosi. – Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. – To nie tylko dla ogrodnika, ale i dla mnie.

– Normalna sprawa – powiedział Jaśko tonem dorosłego, który świetnie wie, jak się wydaje obiad ogrodnikowi. – A kto ci dwojaki wynosi?

– Czasem mama, czasem Bronka, czasem Kazia. Różnie.

– A czy mógłbyś powiedzieć Alfredowi, żeby Bronkę posłali? Powiesz, że

masz jej coś do powiedzenia.

Maluch się stropił.

– Przecież nie mam jej nic do powiedzenia.

Jaśko podszedł do chłopca. Przykucnął.

– No przecież my obaj dobrze to wiemy. Ty nie masz, ale ja mam. To bardzo ważna sprawa, ale jeśli poproszę Alfreda, żeby ją zawołał, to tego nie zrobi. A ja bym bardzo, bardzo chciał Broni powiedzieć, że jest...

Nie dane było Jaśkowi skończyć, bo rozległo się skrzypnięcie otwieranych drzwi, a zaraz za tym „Ej, ty” wypowiedziane lodowatym tonem.

– Chodźże tu. – Gdy Jaśko się ruszył, lokaj dostrzegł chłopca. – A ty, Włodziu, tu za czym?

– Ogrodnik obiad prosił. – Malec spojrział na Jaśka i uśmiechnąwszy się z tą dziecięcą chytrą, której się wydaje, że cały świat oszuka, dodał: – Tylko niech Bronka przyniesie, mam do niej pilną sprawę.

– A cóż to za sprawa?

– Wstydzę się powiedzieć.

Jaśko aż głowę przechylił w uznaniu dla sprytu małego. Tak na poczekaniu wymyślił. Bronek, nawet jakby mu dwa dni dali, toby tak szybko takiego kłamstwa nie wymyślił. Teraz wiadomo, lokaj nie będzie dalej pytał, tylko siostrę przyśle.

I faktycznie. Żadne pytanie już nie padło. Lokaj podszedł do Jaśka i wręczył mu kartkę.

– Tylko nie zgub. I nie pobrudź.

Jaśko skinął głową i z niezwykłą pieczołowitością, jakby miał do czynienia z płatkami złota, a nie zwykłym kawałkiem papieru, schował ją do kieszeni płótniaka. Ukłonił się lokajowi i powoli ruszył w stronę bramy.

– Nie przez park, gamoniu! – krzyknął tamten. – Tamtędy, obok obór jest droga dla takich jak ty.

Zawrócił, powtórzył ukłon, do małego puścił oko. Szedł wolno, by słyszeć, kiedy się drzwi zamkną. Gdy tylko trzasnęły, przystanął i skinął na chłopca, by podszedł.

– Zuch jesteś. Za tę przysługę odpłacę się pięknie. Gdy przyjdę następnym razem, to ci coś przyniosę. Może słodką bułeczkę? Nie. Przecież twoja mama kucharka, to ci najlepsze bułeczki upiecze. To może fujarkę? Albo konika z drewna. Mój brat, Julek, zwierzątka w drewnie rzeźbi takie, że wyglądają jak żywe. – Po minie malca poznał, że konik jest przedmiotem pragnień. – Ja

tu stać nie mogę, bo jak mnie Alfred zobaczy, to pogoni. Pod oborą poczekam, a ty Bronkę podprowadzisz.

– Nie trzeba czekać pod oborą – powiedział chłopiec. – Tam zaraz jest taka ścieżka w prawo, jeśli nią iść, to trafi się na złamaną sosnę. Z dworu nikt was tam nie zobaczy.

Było, jak mówił chłopiec. Jaśko usiadł na pniu, zwalonym tak dawno, że deszcze wypłukały już wszystką żywicę, nawet zapach sosnowy się ulotnił, pozostała woń wolno butwiejącego drewna. Czekał. Ileż to może trwać? Pacierz, dwa pacierze? A może dłużej jeszcze? A jeśli malec go oszukał i Jaśko, jak wtedy, na tańcach, będzie czekał, a się nie doczeka?

Wstał i znów usiadł. Klął swoją głupotę. Zastanawiał się, co powiedzieć lokajowi, by do dworu wpuścił. No przecież nie wpuści, jeszcze się domyśli, że ten torcik był oszustwem. I gdy już miał iść, pod oknami wołać, usłyszał głosy.

– Ależ skądże mi to wiedzieć, Broniu. Pana Jaśka zapytasz, on ci powie. To rzecz bardzo ważna.

Stała na ścieżce, pięć kroków dzieliło ich od siebie. Trzymała za rękę braciszka. Włosy miała szesane do tyłu i splecione w gruby warkocz. Tych kosmyków, które chciałyby uciec ze splotu, pilnowały grzebienie, wsunięte we włosy nad uszami. Patrzyła na Jaśka z mieszaniną zawstydzienia i ciekawości.

– Dzień dobry panience – powiedział.

W odpowiedzi skinęła głową.

– Ja... ja chciałem... – Głos uwiązł mu w gardle, żadne słowa nie przychodziły do głowy.

Oto on, Jaśko Lipczewski, co samym gadaniem potrafił każdej pannie w głowie zawrócić, każdego omotać, oczarować słowami, nawet z tym strasznym lokajem sobie poradził – a przed tą dziewczyną stał jak tępy uczeń z zaskoczenia do odpowiedzi wyrwany.

– Włodziu mówił, że to coś ważnego?

Ważnego? Najważniejszego na świecie. Bo przecież on, Jaśko Lipczewski...

– Kocham panienkę.

Spojrzała na niego ze słodką czułością, tak jak matka patrzy na dziecko, które co prawda coś przeszkrobało, ale jest zbyt małe, by zdawało sobie sprawę z przewiny.

– Takich rzeczy mówić nie wolno.

– Kiedy to prawda. Widziałem panienkę na odpuszcie w Rachaniach i od tamtej pory spać nie mogę, jeść nie mogę. Tylko myślę o panience.

– Pamiętam. Pan tak na mnie patrzył... Pomyślałam wtedy, że to grzech, bo przecież na odpuszcie.

Pamiętała? Nogi mu się zatrzęsły jak studzienina i jak ona w ciepłe zaczęły mięknąć, topić się. Jaśko się zachwiał, omal nie upadł. Pamiętała go! Nie, w tym momencie nie było na ziemi człowieka, który byłby szczęśliwszy.

– Miłować to nie grzech. Bóg nam nakazał się kochać.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

– Nie w ten sposób.

– W każdy sposób. Przecież powiedział praojcom Adamowi i Ewie, by się miłowali, ożenili, mieli dzieci.

Rzuciła Jaśkowi kokieteryjne spojrzenie.

– Pan już chce się ze mną żenić?

– Tak od razu to nie, bo zapowiedzi wyjść muszą.

– Od razu zapowiedzi? Choć ja pana jeszcze nie znam?

Jaśko podszedł do dziewczyny. Położył dłoń na głowie chłopca, drugą na ramieniu Bronki.

– Panienska mnie może nie zna, ale serce panienski wie, że ja szczerze mówię. Ono panience najlepiej doradzi, jego prośbę słuchać.

Przechyliła głowę na bok, tak by dotknąć Jaśkowej ręki.

– Mnie już trzeba wracać.

– Proszę, niech panienska pozwoli się spotkać znowu. Ja żyć bez panienski nie potrafię.

Roześmiała się.

– Pozwolę. W sobotę proszę przyjść, ale tak pod wieczór. A ty, Włodziu, pamiętaj, żeby nikomu o tym nie wspominać. Ja sama mamci powiem, we właściwym czasie.

Chłopiec skinął głową. Jaśko przykląkł przy nim, tak by ich oczy były na tej samej wysokości.

– Włodziu jest mądry i dzielny chłopiec. W sobotę, jak przyjdę, będę miał dla ciebie koniczka z drewna, tak jak obiecałem.

Oczy malca rozbłysły radością. Dziewczyna skinęła Jaśkowi głową. Powiedziała: „Do soboty zatem”, i odeszła, zabierając ze sobą brata.

Jaśko stał jeszcze długo na ścieżce. Wciągał w płuca powietrze, które

pachniało skórą dziewczyny.



Ciastka jesienne

Pół kilo masła, pół kilo mąki, pół kilo sera, 20 dkg cukru pudru, wanilia i cynamon, kilogram kwaśnych jabłek.

Ser przepuścić przez maszynkę. Mąkę połączyć z masłem, siekając nożem, dodać ser, zagnieść i odnieść w chłodne miejsce na trzydzieści minut. Jabłka oczyścić, obrać ze skórki, ciąć na ćwiartki. Ciasto rozwałkować. Wycinać kwadraty. Na każdym kłaść ćwiartkę jabłka i zlepić w trójkąt. Upiec na złoty kolor. Posypać cukrem pudrem z wanilią i cynamonem.

Krystyna 1914

Wciąż mówiło się o wojnie. Krystyna pamiętała z dzieciństwa takie niedziele, gdy ojciec, wraz z innymi chłopami, zasiadał w cieniu lipy, która rosła w samym sercu wsi na placu zwanym gromadzkim, by wieść nieskończenie długie rozmowy o przyszłości świata, o przeklętej doli polskiego chłopca. Najstarsi wspominali powstanie i tak jak ozdrowieniec, który wciąż i wciąż chce opowiadać o swojej chorobie, tak oni mówili o owej walce, używając tych samych zdań, tych samych słów.

Wiele sobie obiecywano po wojnie z Japonią, a rok tysiąc dziewięćset piąty rozkwitł nadzieją na zmiany, jednak nie przyniósł tego, czego się po nim spodziewano. Dla Krystyny był to szczególnie smutny czas. Wielokrotnie wracała do niego myślami, zastanawiając się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie wybuchła rewolucja. W chwilach, gdy było jej szczególnie trudno, wyobrażała sobie inny świat, inne życie, szczęśliwe i bezpieczne przy boku Gustka.

W czasie tych kilku lat służby we dworze słuchała różnych sporów politycznych – i prowadzonych przez parobków w śmierdzących stęchlizną czworakach, i tych, które dziedzic toczył z przyjaciółmi w zaciszu salonu albo na obrośniętym bluszczem tarasie. Biedacy pragnęli tylko jednego – by ich los się poprawił, by z owych dwudziestu kopiejek, które zarabiali, zrobił się rubel, by prawo przestało być po stronie obszarników i pozwalało na podział ziemi tak, by każdy, kto chce ją uprawiać, dostał swój kawałek, wystarczający na wyżywienie rodziny i godne życie. Bo jeśli już trzeba robić od wschodu do zachodu słońca, niechże to będzie praca na swoim i dla siebie, a nie dla pana.

Pokładano w wojnie nadzieję na zmianę. Liczono, że przyniesie nowe możliwości, zmiecie z tronu cara i przewróci cały jego aparat ucisku, który zakazuje Polakom mówić w swoim języku, nie pozwala się modlić w katolickich kościołach, wspiera prawosławnych w zakupie ziemi. Uważano, że zwycięstwo któregośkolwiek z zaborców nie zmieni niczego w losie biednego chłopca, a pełne wyzwolenie przynieść może tylko rewolucja chłopsko-robotnicza, która może być efektem wielkiej wojny.

Na salonach mówiono o tym, że w przeciwieństwie do roku tysiąc osiemset dwunastego kwestia polska nijak nie będzie miała bezpośredniego wpływu na wybuch wojny. I choć to zabory doprowadziły do takiego układu sił, w którym konflikt między Rosją, Austrią i Prusami zdawał się nieuchronny, ogniskiem zapalnym będą Bałkany. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma Bismarcka, ostatniego strażnika przymierza trzech cesarzy. Mówiono też, że ziemie polskie staną się główną areną działań wojennych, a po tysiąc dziewięćset trzynastym sarkano na cara za rozkaz likwidacji fortyfikacji warszawskich. Spierano się o to, czyje zwycięstwo przyniesie więcej korzyści i kogo należy w związku z tym poprzeć.

Krystyna, inaczej niż w dzieciństwie, gdy niewiele rozumiała z wiedzionych pod lipą sporów, teraz, jako dorosła już kobieta, potrafiła sporo pojąć z tego wszystkiego, co słyszała. Zapamiętywała cudze sądy i opinie, by potem we własnych myślach z nimi dyskutować.

W cudzych rozmowach dwa nazwiska szczególnie przykuwały jej uwagę: Dmowski i Piłsudski. Znała je od Gustka. Zwłaszcza to drugie. Gustka matka pochodziła ze wsi Rebizanty, a gajowy Berdzik był jakimś ich dalszym krewnym. Od niego to młody Gustek usłyszał historię o tym, jak pewna para, podająca się za unickich narzeczonych, przekraczała granicę na Tanwi.

Towarzyszący im Jan Miklaszewski twierdził, że podróżują do Lwowa, by w tamtejszej cerkwi wziąć ślub. Tyle że owa para była już po ślubie. Sprytny Miklaszewski, kontroler lasów Ordynacji Zamojskiej, wymyślił tę bajeczkę dla urzędników, by nie zatrzymali Józefa Piłsudskiego, który uciekł z carskiego szpitala więziennego w Petersburgu. Jak już Piłsudscy przekroczyli kładkę, byli bezpieczni w Galicji. W dalszej podróży przez lasy towarzyszyli im Mikołaj Rebizant i właśnie gajowy Berdzik. Gdy w najbliższym rodzinnym gronie w wielkiej tajemnicy opowiadał o tym wydarzeniu, podkreślał wrażenie, jakie wywarł na nim Józef Piłsudski. Pewnie dlatego poglądy polityka stały się poglądami Gustka, który przesiąkł nimi i stracił zupełnie z oczu to, gdzie własne, gdzie cudze.

Dwudziestego ósmego lipca tysiąc dziewięćset czternastego roku słowo stało się ciałem, wojna wybuchła.

W pierwszych jej dniach zdarzyło się coś, co na wiele lat odmieniło Krystynę.

Pierwszy zjawił się we dworze notariusz z wiadomością. Był zaprzyjaźniony z dziedzicem, często grywali razem w wista. Gdy do urzędu przyszła depesza, nie czekał, tylko kazał zaprzęgać i przyjechał do dworu. Krystyna pamiętała to dobrze, rwetes się zrobił w kuchni, kazano wówczas przygotować gościowi poczęstunek, ale nim zdążyły zawołać lokaja, by odebrał tacę, już przyszły nowe wytyczne, uznano bowiem, że takie święto jak wybuch wojny należy uczcić czymś wystawniejszym. Kucharka przewidziała przytomnie, że na jednym notariuszu się nie skończy, i poleciła przygotowanie dodatkowych porcji.

Kolejne dni tak właśnie wyglądały – co dzień zjawiał się ktoś we dworze, by rozmawiać o tym, co się na świecie działo. Dziwne to było, bo z żadnej strony nie dolatywał chrzęst oręża. Ponieważ był to czas żniwny, na moment ustało zainteresowanie światem. Żeńcy wyszli na pola. Srebrne kosy migąły między złotymi łanami, lniane koszule ciemniały od potu. Znikały fale zbóż, pojawiały się góry snopów, całkowicie odmieniając wiejski krajobraz.

Jednego z takich dni, tuż po święcie Przemienienia Pańskiego, Krystyna wracała z pól do dworu. Posłano ją, by dopilnowała rozdziału zupy między pracujących ludzi. W dniach poprzednich najemni skarżyli się, że dla niektórych z nich zabrakło jedzenia, a oni zgadzali się na košbę za pięćdziesiąt kopiejek z wiktem. Bez wiktów to albo trzeba dopłacić, albo oni pójdą gdzie indziej. Polowy nie był skłonny komukolwiek dopłacać, a winą

chciał obarczyć kuchnię. Kucharka zrobiła mu awanturę i wysłała swą pomocnicę, jako osobę najbardziej zaufaną, by ta spraw dopilnowała.

Teraz, gdy nakarmieni żeńcy na powrót chwycili za kosy, ona wracała do kuchni. Szła nieśpiesznie, ciesząc się wszystkim tym, co kiedyś było jej codziennością, a co obecnie nieczęsto widywała. Żałowała, że nie wzięła ze sobą Broni. Miała nawet na to ochotę, ale uznała, że zmęczone upałem dziecko stanie się marudne. Teraz, patrząc na świat cudny, wyrzucała sobie tę decyzję.

Było gorąco, ale nie w ten męczący, doskwierający sposób, tylko przyjemnie, a to za sprawą lekkiego ożywczego wietrzyku, który igrał nad polami. Bezchmurne niebo miało kolor niezabudek. W dali zieleniał las, pod lasem srebrzyły się słomiane dachy wsi. Otaczające ją pola przypominały pasiak z na przemian zielonych i żółtych zagonów. I mimo że były tak daleko, Krystyna po barwie rozpoznawała, gdzie owies, gdzie jęczmień, gdzie pszenica, gdzie gryka, gdzie ziemniaki, gdzie kapusta, gdzie fasola. Tam, gdzie zaczynały się pola dworskie, paski zmieniały się w wielkie połacie, obsiane pszenicą i burakami. Te ostatnie zwiesiły liście od upału, odsłaniając czarną ziemię, wciąż jeszcze wilgotną, choć od deszczu minął tydzień. Dobrze, żeby teraz nie padało, pomyślała, patrząc na uwijających się po polach ludzi i snopy świeżo skoszonego zboża.

Niedaleko, na rozstaju dróg, rosła stara grusza. Krystynie przyszło do głowy, by usiąść pod nią na chwilę. Nie, nie była zmęczona, ale nie chciała wracać do dusznej kuchni, gdzie czekał szaflik pełen naczyń. Tu tak miło, przyjemnie, droga jeszcze nie pylista, trawa porastająca jej brzegi wciąż zielona, ukryte w niej kwiaty pachną, a takie śliczne, że chciałoby się wianek z nich upleść. Jaka szkoda, że nie zabrała Broni.

Przysiadła pod drzewem, oparła plecy o chropowaty pień. Wiatr poruszył liśćmi, a promienie słońca zamigotały, jakby z nieba spadał deszcz złotych monet. Krystyna westchnęła. Poczowała się szczęśliwa i bezpieczna. Szczęśliwa w ostatnich latach bywała za sprawą córki. Bezpieczna nie czuła się nigdy.

W oddali zamajaczyła na drodze sylwetka piechura. Czar prysł. Krystyna podniosła się niechętnie. Lepiej nie znaleźć się sam na sam z nieznanym. Może to jakiś żołdak, może dezterter, może szpieg. Rozmaite rzeczy się słyszało. Dreszcz przeszedł jej po plecach. W tej jednej chwili uświadomiła sobie, że świat ogarnęła wojna, a ta cisza i spokój wokół są złudne, bo gdzieś tam, całkiem niedaleko, toczą się bitwy, w których giną ludzie.

Ruszyła przed siebie. Myślała o tych, co zamiast zgłosić się do armii, uciekli do lasu, a gdy skończyła się wzięta z domu żywność, zaczęli napadać ludzi na drogach. Obejrzała się, by sprawdzić, jaka odległość dzieli ją od idącego. Mniejsza, niż się spodziewała. Uciekać? Czy jeśli puści się biegiem, tamten zacznie ją gonić? Jeszcze raz spojrzała przez ramię. W sylwetce mężczyzny było coś znajomego. Te ramiona wąskie, nogi szczudłowate. I sposób, w jaki się kołysał, ten ruch ręką, jakby kury rozganiał. Krystyna powinna iść szybciej, ale się zatrzymała. Zmrużyła oczy, jednak był zbyt daleko, by mogła rozpoznać twarz. Zresztą nie było to potrzebne. Serce już go rozpoznało. I choć chwilę temu chciała uciekać, teraz nade wszystko pragnęła biec do niego. Trzeba było nadludzkiej siły, by ustać w miejscu. Jeszcze krok, jeszcze dwa. On też ją rozpoznał. Przystanął zdumiony. Ruszyła ku niemu.

– Gustku! Gustku, mój drogi! Toż ja cię już opłakałam, a ty żyjesz?

Uśmiechnął się do niej pogodnie, wesoło, jak mały łobuziak, jak on.

– A któż ci głupot nagadał?

Głupot? Dziwnie to słowo zabrzmiało. Dla niej smutek i łzy, dla niego plotka.

– Ludzie mówili. Przepadłeś. Jedni powiadali, że cię do więzienia wzięli za nakłanianie do rewolucji, inni, żeś został rozstrzelany.

Podszedł bliżej, jakby chciał ją przytulić i pocieszyć. Wyprostowała ramiona, przygotowując się na jego uścisk, ten jednak nie nastąpił. Krystyna zeszywniała w wyczekiwaniu. Chłoneła całą sobą obecność dawnego ukochanego. Patrzyła na niego, na te oczy niebieskie, nos niezbyt kształtny, na skórę pokrytą ospowymi znamionami i jasny zarost, na czuprynę niesforną. Słuchała jego oddechu, lekko przyspieszonego przez wysiłek długiej pewnie marszruty. Czuła zapach potu, spływającego z włosów na kark i znaczącego pachy płóciennej koszuli ciemnymi kręgami. I tylko dotknąć go nie mogła, choć tak bardzo, bardzo chciała.

– Cóż więc się z tobą działo?

– Walczyłem dla sprawy. Prawda to, zem po folwarkach chodził, do buntów nakłaniał. Jak się gorzej zrobiło, ukryli mnie towarzysze w Lublinie. Gdy sprawa padła, wyjechałem do Lwowa, później byłem w Krakowie, na koniec w Warszawie. Od wiosny znów po majątkach chodzę, dla sprawy polskiej agituję. Teraz kieruję się na Kielce, sama wiesz czemu.

Nie wiedziała, ale wstydziła się przyznać. Kiwnęła tylko głową. Chciała go

zapytać, czemu w czasie tych rozlicznych wędrówek ani razu nie skręcił do jej chaty. Czemu pozwolił, by nocami w tajemnicy płakała z żalości, czemu w dzień nie była w stanie kęsa strawy przełknąć z żalu za nim.

– A u ciebie co?

– Za mąż poszłam, dziecko urodziłam.

– Więc to prawda, co mówili, żeś za Mariana Malickiego poszła? – Głos mu nie drgnął, żalu w nim nie było. Ot, po prostu stwierdził. – Tyś zawsze mu się podobała. Od kiedy cię pierwszy raz zobaczył, wtedy, na odpuscie.

– Pamiętasz? – Miała nadzieję usłyszeć, że owszem, pamięta, bo w nim też wzbudziła niezwykle uczucia.

– Co mam nie pamiętać?

No mów, mówże, żeś wtedy się we mnie zakochał.

– A jak ci z Marianem? Dobrze?

Gdzie żal w twoim głosie? Gdzie smutek? Zazdrość?

– Jak to w małżeństwie – rzuciła obojętnie.

Cóż miała powiedzieć? Bywają dni cudownej normalności, gdy rozstają się rankiem, bo każde idzie do swojej roboty, i spotykają wieczorem, by spokojnie opowiadać jedno drugiemu, co też ów przemijający dzień przyniósł. Bywają dni jak ze snu, gdy Marian bierze Bronię na kolana, bajki jej opowiada, laleczki z przędzy robi, pozwala, by obłapiała go dziecięcymi rączkami, i śmieje się, wyraźnie szczęśliwy. Bywają też dni strasznej ciszy, przedburzowego napięcia. I takie, ze wszystkich najgorsze, gdy Marian nie rozmawia z Krystyną, tylko z Bronią. „Patrz, córeczko, jakaż mamcia niezdarna, mleko wylała”, „Co też ta mamcia narobiła? Była niegrzeczna, prawda? A jak ty myślisz, Broniu, co trzeba zrobić, gdy kto niegrzeczny?”. A Bronia w dziecięcej naiwności mówi to, czego się ojciec po niej spodziewa. Nigdy jeszcze nie uderzył Krystyny przy dziecku, wiadomo jednak, że i ta granica z czasem zostanie przekroczona, bo po cóż innego te rozmowy?

Gustek uśmiechnął się, jak to on, całym sobą.

– To rad jestem, żeś szczęśliwa.

Tak właśnie myślisz? Żem szczęśliwa? Najgorszemu wrogowi nie życzyłabym tego miodu, który codziennie pijam. Tylko jak przyznać się do błędu popełnionego przed laty? Wstyd. Co też by Gustek o niej pomyślał? „Dupa ją swędziała, to poszła za mąż” – usłyszała w głowie głos matki. Tak, tak właśnie by pomyślał. To, że teraz żałuje swojej dawnej decyzji, to też jej,

Krystyny, wina. Trzeba było się zastanowić, a nie za pierwszego lepszego za mąż iść.

Powinna przytaknąć, lecz nie mogła. Czuła opór.

– To tylko małżeństwo – powiedziała w końcu.

Smutek w głosie, gdy mówiła te słowa, sprawił, że Gustek spojrzał Krystynie w oczy.

– Dobrze wam razem? Marian to porządny chłopak.

Nie jest porządny ani dobry. Ludzie są jak dzbany, co w nie wlejesz, wylać się musi. W Mariana może i wiano trochę miłości, ale dużo więcej złości. Teraz przy byle okazji wylewa się ona, głównie na żonę. A każdy dzień to strach, by Bronia nie zobaczyła, co się w domu dzieje, i by nie uznała tego za normalne, bo wtedy albo sama bić będzie, albo pozwoli, by ją bito.

– Raz dobrze, raz niedobrze. Jak to w małżeństwie – rzuciła, nie starając się ukryć irytacji.

– Tego ja nie wiem – powiedział łagodnie, jakby samym głosem chciał ją uspokoić. – Mnie kawalerski żywot był pisany.

– Skąd ty wiesz, co ci było pisane?

Uśmiechnął się.

– Prawda. Tego nie wiadomo. Powiem raczej, że takem sobie w młodości wybrał. Jeśli kto chce się sprawie ważnej, narodowej, poświęcić, lepiej, by nie wciągał w to rodziny. Chyba że trafi mu się towarzyszka świadoma, również sprawie oddana.

Ach, więc ja nie byłam świadoma ani oddana? Ty nawet nie wiesz, jak byłam ci oddana, a przez to gotowa zrobić wszystko dla sprawy, byleś tylko był rad.

– Nie spotkałeś takiej?

– Jeszcze nie.

Gdyby powiedział samo „nie”. On jednak musiał dodać owo „jeszcze”, jakby dla podkreślenia, że wciąż szuka. Krystyna poczuła, jak ten otwór w gardle, którym do płuc wędruje powietrze, zmniejsza się i zmniejsza. Zaciśnął się i już nie była w stanie złapać oddechu.

Gustek dostrzegł, że coś się dzieje. Zapytał. Potrząsnęła głową, że to nic, nic. To nic już nie znaczy.

– W gardle mi zaschło, od upału – wychrypiała.

Podał jej swoją manierkę. Po raz pierwszy od lat opuszki ich palców się zetknęły. W Krystynie obudziło to niezmierną tęsknotę za jego ciałem.

W nim jednak nie obudziło niczego. Wtedy zdała sobie sprawę, że przeszłość nie jest prawdą. To suma naszych odczuć i naszego postrzegania, nałożona na wydarzenia, które miały miejsce, i te, które sobie wymarzyliśmy. Im dalej od niej odchodzimy, tym wydaje się piękniejsza, ważniejsza, wartościowsza albo na odwrót – nic nieznacząca. Dla Krystyny miłość do Gustka była latarnią, światełkiem prowadzącym ją i dającym nadzieję. Teraz, gdy uświadomiła sobie, że dla niego było to głupstwo, młodzińcze zadurzenie, które z dnia na dzień minęło, jak wiosenny katar, owa latarnia zgasła. Krystyna poczuła, jak wszystko, co ją otaczało, pogrąża się w mroku.

– Pójdę już – powiedziała.

– Pójdę z tobą. Mnie droga przez wasz majątek wypada.

– Nie. Ludzie nas razem zobaczą, gadać zaczną. Mnie plotki niepotrzebne, dobre zajęcie na kuchni mam.

– Ano, jeśli tak. – Odwrócił się i spojrzał na gruszę, widocznie rozważając, czy nie zawrócić i pod nią nie zasiaść.

– Ano tak. – Krystyna ruszyła przed siebie.

Nagle jakby coś mu się przypomniało. Chwycił ją za rękę.

– Krysia, powiedz ty jeszcze, naszej sprawie wierna jesteś?

– Jakżeby inaczej?

Odwrócił się uspokojony i ruszył ku drzewu. Ona stała jeszcze chwilę. Miejsce na przegubie, którego dotknęły jego palce, pulsowało jak poparzone. Policzki pały jak u rozgorączkowanego dziecka. Tylko jej poglądy miały dla niego znaczenie? I owszem, była im wierna. Przez wszystkie te lata czytała każdą broszurę, ulotkę i odezwę, jaka wpadła jej w ręce, czytała gazety, słuchała rozmów, bo dzięki temu czuła, że jest bliżej Gustka. Myślała, że umarł, a to czytanie było zamiast modlitwy za niego. Słuchając cudzych rozmów o polityce, udawała przed sobą, że słucha jego głosu. Będąc żoną innego, nie mogła dochować ukochanemu wierności, dlatego nie porzuciła jego poglądów, bo tylko w ten sposób mogła być mu wierna.

Nie powstrzymała łez. Moment, w którym człowiek uświadamia sobie, że nikt w całym życiu go nie kochał, choć on kochał tak wielu, jest bardzo smutny i można sobie pozwolić na płacz.

Dobrze, że nie zabrała Broni.

I nagle, niemal fizycznie, poczuła rączki dziecka, oplatające jej szyję, jego ciężar na swojej piersi, ciepło wilgotnych usteczek na policzku. A jednak był ktoś, kto ją kochał bezgranicznie. Ktoś, kogo ona kochała równie mocno.

Wszystko, wszystko zrobi dla Broni.

Rozdział dziewiąty



*A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiły zboża w dali.
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe.*
Maria Konopnicka

Wrzesień 1926

Wieść o śmierci Ksawerego Huba obiegła wieś lotem błyskawicy. Nie bez udziału Pomiechowskiej, która, wsparta o ławkę przy gromadzkiej studni, każdemu, kto przechodził czy przejeżdżał, opowiadała o nieszczęściu, jakie dotknęło nie wiadomo kogo bardziej, żonę czy Hankę Połajową. Co do tej drugiej mówiono, że dane jej było ujrzeć ostatnie chwile zmarłego, dusza bowiem umyśliła sobie opuścić ciało w chwili, gdy Hub penetrował ukryte zakątki ciała kochanki.

Połajowa była tak wstrząśnięta, że każdemu, kto pytał, opowiadała ze szczegółami, co zaszło. Podobno wszystko było jak zwykle. Hub o sztuce miłowania miał rozległą wiedzę, ale przy zastosowaniu jej w praktyce napotykał spore trudności. Hanka pomagała mu, jak mogła, a że ręce miała sprawne, coś tam się udawało osiągnąć. Wiedziała jednak, że długo to nie potrwa, leżała więc spokojnie na słomie, bo w oborze ją przydybał, a że wyposzczony nadmiernie, to mu śpieszno było. Spoglądała w dach, wypatrując, czy nie ma tam jakich dziur, i zastanawiała się, czy te ziemniaki, co je rano na obiad ugotowała, to mocno już zdębiały, bo może lepiej je zjeść

z barszczem niż z omastą, gdyż w zupie tak czy siak rozmiękną, a omasty dużo by trzeba.

Z rozmyślań wyrwało ją przeciągłe westchnienie Sawerka. Przeciągłe, głębokie, inne niż zazwyczaj, bo zwykle gdy kończył, to sapał i dyszał ciężko. A to takie pomieszanie ulgi z rozkoszą było. Na koniec charknięcie, jakby mu w gardle zaschło. Może i zaschło, przecież w oborze kurz z siana, ze słomy, z sieczki. Wtedy otworzyła oczy, bo zwykle trzymała je zamknięte, co nie powinno nikogo dziwić, wszak twarz Huba nie należała do najpiękniejszych. To uratowało jej zdrowie, a może i życie, bo w porę spostrzegła, że Hubowy łeb prosto na dół leci i jakby coraz szybciej. Ledwo głowę na bok odsunęła, a on runął w słomę, dokładnie w zagłębienie, które po Hance pozostało. Walnąłby ją w twarz i nos roztrzaskany, to pewne, a może i szczęki pogruchotane, bo łeb to Hub miał twardy, że ho ho.

Jednak nawet w tym momencie nie spodziewała się Hanka, że to kres Sawerka. Jeśli myślała o końcu, to raczej tego, co robili, przyjmując ów fakt z pewną ulgą. Nie przepadała za małżeńskimi obowiązkami, na szczęście jej Józek wymagający nie był. Myślała, że sprawa z Hubem będzie miała charakter jednorazowy. Ot, użyje babskiego sposobu, żeby chłopą przekabacić. Nie żałowała tego, co wtedy zrobiła. O szczęście córki walczyła, każda matka postąpiłaby tak samo. Przez myśl jej nie przeszło, że stanie się to przykrym obowiązkiem na lata. Może gdyby Hub był sknerą, to raz-dwa by się te spotkania skończyły. Jednak on nie skąpił grosza, czasem i drobiazg jakiś potrafił przynieść. Której babie nie jest miło, gdy chłop jej podarek kupi?

Gdy babka Połajowa wróciła ze świata, co Hanka osobiście uważała za niesamowitą zniewagę, bo przecież za duszę babki na mszę było dane i te pieniądze, jak się okazało, poszły na zmarnowanie, bo oczywiście ksiądz nie odda, to zrobiła Hubowej awanturę i tamta pilnowała męża. Niestety, na Matki Boskiej Szkaplerznej starowina wyruszyła do Nabroża na odpust i znów w świecie przepadła. Hanka pomyślała wtedy, że kolejny raz nabrać się nie da, bo takie jak jej teściowa i sto lat mogą żyć, najtwardszy to bowiem ludzki materiał.

Ledwo babka zniknęła na horyzoncie, już Sawerek pukał w okieneczko. Jak miała mu odmówić biedna wdowa?

Mąż Hanki, jeszcze gdy żył, nie sprzeciwiał się temu, a po śmierci to już nic do gadania nie miał. W snach nie nawiedzał, znaczy, że nawet z tamtego

świata patrzył na tę sytuację z pobłażaniem. Józek zawsze dziwny był, myślami błądził nie wiadomo gdzie i kontakt ze światem tracił. Po tym, jak mu nogę odjęli, to stał się jeszcze dziwniejszy. Bajdy jakieś takie opowiadał, o psie, co po wsi chodził przebrany za gospodarza, o ludzkich oczach, co latały jak ptaki i zaglądały w każdziusieńkie miejsce, o mówiących rybach, które znały wszystkie języki świat. Dzieci słuchały go chętnie, podobały im się te historie jak ze snów. Dorośli się śmiali, czasem kto dał mu kapkę gorzały, po której Józek jeszcze bardziej bredził. Ani oborą, ani polem nie interesował się wcale, była więc Hanka na łasce zięciów i swatów. Ot, taki to los. Przynajmniej Józek na tyle miał przyzwoitości, że po ludzku umarł w łóżku podczas snu.

Tymczasem Hubowi do łba strzeliło, że najlepszym miejscem na pożegnanie się z tym podłym światem będzie obórczyna Połajów.

– Co ci to? Co ci to? – pytała Hanka, potrząsając nim raz i drugi.

Zbyt dobrze jednak znała śmierć, zatem wiedziała, co ona robi z ciałem. To tężenie, delikatne na początku, prawie niewyczuwalne, które sprawiało, że skóra, gdy jej się dotknęło opuszkami palców, nie przesuwiała się, nie dawała ugnieść.

– Sawerek, miej ty jaką taką przyzwoitość i mnie wstydu nie rób! – krzyknęła, choć dobrze wiedziała, że on już nie słyszy.

Hanka chciała się rozpłakać, żal wielki ją cisnął, wiedziała jednak, że nie ma chwili do stracenia. Za moment ciało stanie się tak ciężkie i sztywne, że trzeba będzie wołać ludzi na pomoc, by ją spod niego wyciągnęli. Potem owa sztywność odejdzie, ale przecież ona nie może tu tyle czasu leżeć. I to jeszcze z gołą dupą. Nie wiedzieć skąd znalazła w sobie tyle siły, by zmarłego na bok przesunąć. Wygrzebała się spod niego, halkę poprawiła i dopiero wtedy zapłakała nad swym losem.

– Mówię, jak było. Niczego nie kryję, bo i po co? Ludzie i tak wiedzą, co nas łączyło. Gadać będą, to niech chociaż prawdę gadają, po cóż im wymyślać niestworzone rzeczy?

Zdaniem Pomiechowskiej, pierwszej słuchaczki owej historii, którą później przekazywała ludziom niemającym możliwości wysłuchania relacji bezpośrednio od Hanki, nie było we wsi, ani nawet w całym powiecie, umysłu tak tęgiego, żeby zdołał taką rzecz wymyślić.

To, co dla Hanki było wyzwoleniem, dla Hubowej stało się wielką tragedią. Nie dość, że straciła męża, to okoliczności jego śmierci były nad wyraz

zawstydzające. Wiedziała, tak jak wszyscy we wsi, że mąż chodził na lewiznę, i może by mu to nawet wybaczyła, gdyby spotykał się z jakąś uczciwą kobietą, nie zaś z tą zdziwą Połajową. To za jej namową Hub zgodził się na małżeństwo syna z tą latawicą Anielą, najgorszą dziadówką we wsi, co w posagu nie wniosła nawet rąk pracowitych, bo z domu nie była nauczona niczego. Niczego! A nie, jednego była nauczona. Tego, jak chłopa urobić. I tak jak matka starego, tak córka młodego owinęła sobie wokół palca. Zresztą ta ich Marianna też nie lepsza.

– Widzicie, moja Pomiechowska, jaki ten mój los? Wstyd, wstyd od lat i na koniec jeszcze większy wstyd. A ja tak tego mojego Sawerka kochałam, z całej duszy kochałam. – I zalewała się szczerymi łzami, nie mniejszymi od fasolowych ziaren. – A ta suka to w ogóle wstydu nie miała. Nim synu memu dała znać, co się dzieje, każdemu jednemu we wsi opowiedziała, jaki był Ksawerego koniec. Nim Antek po ciało przyjechał, już wszystkie ludzie ze wsi byli na podwórku Połajów.

Pomiechowska mogła skwitować to tylko skinieniem głową, wiedziała, że w tej sytuacji branie w obronę HANKI nie jest najlepszym pomysłem, choć trzeba oddać sprawiedliwość Połajowej, że nie opowiadała tego, co się zdarzyło, wszystkim, tylko tym, którzy jak ona, Pomiechowska, akurat idąca drogą, jak to miała w zwyczaju, pytali. Gdy kto nie był ciekaw i nie pytał, HANKA nie opowiadała.

Prawdą jest, że ludzie się zbiegli. Tak to jednak we wsi jest, powstają zbiegowiska. Zobaczy ktoś, że ruch się zrobił, że ktoś drogą gna, a ktoś inny łąkami, to zaraz rzuca wszystko i też leci, bo może pożar, może jakie inne nieszczęście, pomóc trza sąsiadom. Swoją drogą dobrze, że się tylu naszło, bo jakże by sam Antek ojca na wóz władował? Toż ze starego Huba kawał chłopa był. Sześciu przy tej robocie się zasapało. Nie obyło się bez śmiechów, jak ludzie zobaczyli, co tam u Huba między nogami wisało. Tak to już w życiu bywa, że czasem w smutnej chwili zdarzy się coś zabawnego, trochę jak z tym promykiem słońca, co się przedrze przez chmury. A ponieważ portek nijak nie dało się naciągnąć na miejsce, przykryto Huba słomą, tak że tylko ten kartoflasty nos wystawał.

Mimo że wóz Antka wjechał na podwórze rodziców, Hubowa nie wyszła z chałupy. Taka była, przeciągów się bała, nad swoim zdrowiem się trzęsła. Słabowita kobiecina. No ale żeby własnemu synowi na spotkanie nie wyjść? Antek kobyłę przywiązał do płotu, do izby ruszył, co powiedział, nie

wiadomo, bo nikt za nim iść nie śmiał. I zaraz wybiegła Hubowa, łzami zalana. Lamentowała, oj, jak lamentowała.

Ciało zaniesiono do izby. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiono, było zatrzymanie zegara, bo Hubowie mieli zegar w chałupie. Dopiero wtedy dwie ławy zsunięto ze sobą, przykryto prześcieradłem i na nich położono nieboszczyka. Przybiegła Anieli, której wcześniej nie widziano. Chciała pomóc przy obchodzeniu zmarłego, ale ją teściowa wygnała.

Kilka starszych kobiet, które nie raz już miały ze zmarłymi do czynienia, zmówiło się ze sobą, że one Hubowej pomogą. Przegnały precz chłopów, nie jest to bowiem ich zajęcie zmarłego na ostatnią drogę szykować. I zaraz rozpalono w piecu, ale niedużo, tak tylko, żeby wodę trochę podgrzać, przygotowano miskę, nasypano mydła. Udarto nowe szmatki, jedną do mycia, drugą do wycierania. Potem każdy przedmiot, który bezpośrednio dotykał ciała zmarłego, należało spalić, całą izbę wymieść, wyszorować każdy sprzęt, a wszystko skropić ziołową mieszanką.

Pomiechowska, która pierwsza zaoferowała się do pomocy, przytomnie zauważyła, że lustro, wiszące przy drzwiach, nikt nie zasłonił. Bardzo złe rzeczy zdarzyć się mogły, jeśliby nieboszczyk w lustrze zdołał się przejrzeć. Może to już nawet się stało, gdy go do izby wnosili. Dlatego też kobiety przerwały pracę i pomodliły się, by o zmiłowanie prosić.

Zdjęły zmarłemu koszulę, umyły go i wytarły. Hubowa długo się zastanawiała, w co też ubrać męża na tę ostatnią drogę. Sama od lat spodziewając się śmierci, miała w kufrze przyszykowaną i spódnicę, i kaftan, i halkę, ale Sawerek mógł jeszcze żyć. Toż młody był, silny, zdrowy. Toż dopiero co pole orał, obsiewał, siano kosił, snopy rzucał, cepem robił. Jakże to tak? Wczoraj wiadra nosić, konie poić, sieczkę rznąć, a dziś nie żyć? Tak się nie godzi. Umierać trzeba ze starości, powoli, miesiącami, by się rodzina zdążyła przyzwyczaić.

Najtrudniej było ciało na łóżko przenieść. Ktoś, nie wiadomo kto, kwiaty przyniósł. Postawiono bukiet przy wezglówiu. Więcej tych kwiatów by się przydało, na dworze ciepło, zaraz zacznie się rozchodzić zapach martwego ciała. Praca kobiet już się kończyła. Teraz będą siedzieć i modlić się za zmarłego.

Antek pojechał do księdza. Kazik Lipczewski wziął na siebie zrobienie trumny, wielu się oferowało, on jednak się uparł, że mu to prawo przynależy, bo od lat przyjaźnił się z Hubem. Jaka ta przyjaźń była, taka była, ale przez

lata jeden drugiego nie skrzywdził i innym skrzywdzić nie dał.

Zaczęli się schodzić ludzie. Siadali, gdzie kto mógł. Izba Hubów była spora, ale zbyt mała, by wszystkich ze wsi pomieścić. Jedni więc wchodzili, inni wychodzili. Te kobiety, które najładniej śpiewały i najwięcej modlitw znały, zostały najdłużej. W końcu i one poszły, przy zmarłym czuwała już tylko rodzina.

Skoro świt przyjechał Lipczewski z trumną. Ułożono w niej Huba, a drzwi do chałupy otwarto, by kto chciał, jeszcze mógł zmarłego zobaczyć. Zaraz po porannych obrządkach zaczęli ściągać ludzie z całej wsi. Wchodzili, pacierz odmawiali, chłopcy w skupieniu, baby nie, bo oczami po izbie strzelały. Czy garnki, co stały na blachach pieca osmolone, porządnie piaskiem wyszorowane? Czy podłoga równo pomazana? Czy wycinanki w oknie ładne, czy byle jakie? Wszystko, wszystko je interesowało, bo miało stanowić temat rozmów jeszcze na długi czas.

Hub wyglądał, jakby spał. Gdyby się ktoś nad nim nachylił, mógłby dostrzec, pod nie do końca domkniętymi powiekami, oczy szkliste o zmętniałych źrenicach. Nikt się jednak nie nachylił.

Modlili się ludzie pośpiesznie i wychodzili, by ustąpić miejsca kolejnym. Na podwórku zbijali się w grupy, ot tak, dla dodania sobie otuchy. Smutna to chwila, gdy śmierć kogoś zabiera. W małej wiejskiej społeczności zawsze jest to mocniej odczuwalne. Oto ktoś był przez całe twoje życie. Widywałeś go każdego dnia, rano, wieczorem, na drodze, na polu. Obcy był, a jakże bliski. Wiedziałeś o jego przywarach, znałeś zalety. Obmawiałeś za plecami, chwaliłeś w oczy, a może inaczej, może szczerze mówiłeś, co o nim myślisz, może naprawdę się lubiliście i jeden drugiemu pomagał, a może wciąż pamiętaliście ten jeden dzień piętnaście lat temu, gdy na skibę worał ci się w pole. Jak by tam między wami było, znałeś go od lat i wiedziałeś, że wraz z jego odejściem odchodzi częśćka ciebie. Wiesz też, że choć przeminie żałoba, nie minie ta dziwna tęsknota, która ściśnie cię za gardło za każdym razem, gdy spojrzysz w miejsce, gdzie być powinien, a go nie ma.

Zdarzy się tak, że patrząc na pole zmarłego, na miejsce przy płocie, gdzie za życia lubił stawać, zauważysz, że inny sąsiad też tam patrzy. Może podejdzie do ciebie i wspomnicie nieboszczyka, a może w milczeniu pokiwacie głowami, to nieważne. Ważne, że choć umarł, żyje we wspomnieniach i dopiero z nimi odejdzie na zawsze. Człowiek na wsi umiera ostatecznie dopiero wtedy, gdy umiera ostatnia osoba, która go

pamiętała. Dlatego wieś nie jest bytem tu i teraz, a czymś mistycznym, co zawieszono ponad wiekami trwa, żyje, zmienia się, przemija i się odradza. Wieś to społeczność, dlatego każdy, kto był jej częścią, na zawsze nią pozostaje. A ten, co wyrusza w świat, zabiera swoją wieś ze sobą.

Nadszedł czas, by wyruszyć na cmentarz. Wieko trumny, oparte dotąd o ścianę, położono na skrzyni. Majestat śmierci i towarzyszącą mu ciszę zmącił stukot młotka. Dźwięk ten miał w sobie jakąś radosną euforię, nieprzystającą do sytuacji. Może dlatego Hubowa wybuchnęła płaczem? Weronika objęła matkę ramieniem. Nic nie mówiła.

Do izby weszło czterech mężczyzn, wzięli trumnę. Ciężko było ją z chałupy wynieść, bo ciasno, wszędzie sprzęty, o które mogła zawadzić. Wreszcie udało im się dotrzeć do drzwi. Nad progiem przystanęli i pradawnym zwyczajem trzy razy stuknęli dnem o próg. Tak się zmarły z domem swoim żegnał. Jeśli z jakiegoś powodu przyszłoby mu do głowy tu wrócić, próg go nie wpuści, święty to bowiem wojownik, który tego, co domowe, strzeże przed złym, co się w świecie czai.

Antek już czekał przy wozie. Zaprzągnął do wozu ojcowe bułane ogiery, żeby ten ostatni raz mogły usłużyć swemu gospodarzowi. Temu i owemu łza się w oku zakręciła na wspomnienie, jak bardzo Hub te swoje konie kochał, jak dbał o nie, czyścił. Śmiano się we wsi, że gdyby jadły ludzkie jado, Hub byłby o połowę chudszy, bo sobie by od ust odjął, by konikom pod pysk podsunąć. Kto się na zwierzętach znał, widział, że ogiery świadome są swojej straty. Szły wolno, z nisko spuszczonej łbami. Zdarzało się, że spoglądały nazad i rżały żałością. Antek, który prowadził je, idąc obok wozu, od czasu do czasu nieznacznie przyśpieszał, by zrównać się z końmi i delikatnym poklepywaniem dać im znak, że krzywdy nie zaznają, opiekować się będzie nimi najlepiej, jak potrafi. Wiadomo jednak, jak to jest z takimi obietnicami. Toż matce też obiecuje, że krzywdy nie będzie miała, a przecież wszyscy wiedzą, że stara z Anielką się nienawidzą i w jednej chałupie nie wytrzymają.

U córki miejsca nie ma, bo tam dwoje dorastających dzieci, więc na razie nie będzie się Hubowa ruszać ze swojej chałupy. Ale lata lecą, czas nie jest łaskawy, a wielu rzeczy sama nie robi. O konie nie zadba, drew nie narąbie, pola nie zasieje. Może w końcu zapis zrobi? Wszyscy wiedzieli, z jakiej to przyczyny Franek Dołęga do Ameryki wyruszył. I co z tego przyszło? Dwoje dzieci i żonę sierotami zostawił, majątku nie zrobił, życie wcześniej stracił.

Huby go za zięcia chcieli i cuda-dziwy Dołęgom obiecywali. A jak już ślub

się odbył, to ciężko im było te obietnice spełnić. Niby dobrze się działo. Hubowa z chałupy wszystkim zarządzała, Hub robił na polu, a syn i córka z zięciem za parobków służyli. Jednak to się odmieni. Antek swoje, co mu się po ojcu należy, weźmie, a pomagać nie zechce, bo i czemu? Tak jego matka, jak i siostra Anielą pogardzają, a on za tą swoją żoną świata nie widzi i nikomu skrzywdzić jej nie da. Takimi to rozważaniami zajęci byli ludzie idący w kondukcje. Ci, którym przypadło miejsce na przedzie, tuż za księdzem, śpiewali rzewnie, ale ci z tyłu, ponieważ i tak nie byłoby ich słychać, rozmawiali, ale przyzwoicie, bo cicho.

Teofili Lipczewskiej, idącej na samym przodzie, tuż przy księdzu, powierzono zadanie pilnowania, by proboszcz, od czasu do czasu machający kropidłem, przez przypadek nie zrobił tego na skrzyżowaniu dróg. Wiedzieli wszyscy, a potwierdzone to było wieloletnimi obserwacjami, że gdy coś takiego się zdarzy, spadnie grad i zniszczy plony. Z księżmi różnie bywało, niektórzy, tak jak poprzedni, szanowali wiejskie wierzenia i z szacunku dla chłopów nie robili tego, inni, jak ten nowy, nazywali to gusłami, zabobonami i specjalnie na każdym skrzyżowaniu machali kropidłem. Dlatego to Teofilę wybrano. Jej nie zabawi księdza za rękę złapać i syknąć, by się powstrzymał.

Kondukt dotarł do bramy cmentarnej. Poniesiono Huba w owej skrzyni na miejsce wiecznego spoczynku. Cmentarz był ładny, w samym środku wsi, z widokiem na gościniec, na karczmę i niedawno wybudowaną szkołę. Obok stała cerkiew Świętego Mikołaja, dalej również drewniany kościół katolicki, dla tej garści wiernych, która nie była ani unitami, ani prawosławnymi. Na cmentarzu grzebano mieszkańców Tynczyna od niepamiętnych czasów. Dół w ziemi wykopano wedle porządku, bo tu już i biedni, i bogaci, wszyscy byli sobie równi.

Cmentarz nie był duży, groby kopano jeden przy drugim, dlatego też na każdym pogrzebie zaraz robił się ścisk. Ludzie się przesuwali, jedni drugim ustępowali, podobni w tym do fal jeziora, podczas burzy zalewających brzeg. Jedna z owych fal niespodziewanie wyniosła Połajową na samiuśki przód, tuż obok księdza. Zauważywszy, gdzie się znalazła, Hanka chciała się cofnąć, ukryć, ale już nie było jak, ludzie za nią stali ciasniutko obok siebie. Więc tylko głowę spuściła, chustkę na oczy naciągnęła, udając niewidzialną. Jak to się stało, że dojrzała ją zalana łzami Hubowa, tego nikt nie wie. Tak się jednak stało, że Hankę dojrzała.

Szepnęła coś do córki, a ta nieznacznie dała ludziom znak, by tamtą zabrali.

No wiadomo, nijak nie wypadalo, by tak ostentacyjnie z przodu stala. Zamieszanie sie wokol zrobilo, bo ludzie mieli szczerą intencję puścić Połajową między siebie, tyle że w ciżbie nie dało się tego zrobić cicho i spokojnie. Aż ksiądz podniósł wzrok znad modlitewnika, by sprawdzić, co się dzieje.

Może gdyby nie zerknął, nic by się nie stało. A może i tak by do zamętu doszło? Wiadomo przecież, że na ślubach i pogrzebach najwięcej emocji wybucha.

Szczęściem Pomiechowska stała z przodu i wszystko bardzo, bardzo dokładnie widziała, dlatego później mogła ludziom opowiedzieć, co i jak było. Bo niektórzy dobrze nie widzieli, zwłaszcza ci, co stali z tyłu, ale wstydu nie mając żadnego, nie powstrzymali się przed gadaniem głupot. I nieprawdą jest to, co potem mówiła Gancarzycha, że Hanka się Hubowej pokrzywiła. Żadnych złośliwych uśmiezków, żadnych min tam nie było. Gdy ksiądz spojrział, Połajowa się zaczerwieniła i cofnęła o krok, ale niefortunnie przy tym stanęła i noga jej do tyłu poleciała. Gdyby nie podtrzymał Hanki Domański, pewnie by upadła. Przez grzeczność szepnęła więc do niego podziękowanie. Nie wiedzieć czemu, nie spodobało się to Hubowej, w całym tym zajściu nie było wszak nic zdrożnego.

– Toś już się po śmierci mojego pocieszyła?! – wykrzyknęła na cały cmentarz, nie bacząc na stojącą obok świętą osobę, a także na obecność dzieci i wnuków.

Hanka, czując, co się święci, próbowała się wcisnąć między ludzi. Hubowa odtrąciła rękę córki, a gdy Antek matkę chwycił, wyszarpnęła się, i to tak gwałtownie, że jej się udarł rękaw koszuli. Rzuciła się ku Połajowej, która w ścisku nie miała gdzie się schować.

– Ot, swołocz! Masz czelność na pogrzeb przychodzić? I jeszcze do przodu się pchasz? Może ty się czujesz wdową po nim, co?

Antek ruszył ku matce. Zanim zdążył jej dopaść, bo przecież musiał w miarę statecznie iść, wszak to na cmentarzu i nad niezasypaną jeszcze trumną się działo, Hubowa wbiła rozczapierzone paluchy, podobne ptasim szponom, we włosy Hanki. Ta krzyknęła rozzwierając, bardziej ze strachu niż z bólu.

– Ty suko, ty! – krzyczała Hubowa i ciągnęła tamtą za kudły, ile sił w niej było. A okazało się, że wbrew temu, co mówiła, krzepy miała sporo.

Hanka początkowo nie reagowała, uznając rację tamtej. Widocznie jednak

w końcu zaczęło ją boleć, bo podjęła rozpaczliwą próbę obrony, która nie dość, że się nie powiodła, to na domiar złego jeszcze bardziej rozjuszyła Hubową. Jakież tam słowa zaczęły lecieć! Aż ksiądz się zaczerwienił.

– Wy mnie tak nazywacie? – krzyknęła Hanka. – A co z was za baba, żeście przez tyle lat własnemu chłopu nie umieli dogodzić? On wielkich wymagań nie miał. Widzieli tu niektórzy, że natura szczerze go nie obdarzyła. Ot, ocipineczka tam u niego sterczała. Ale on ciepła szukał, czułości. Miłości!

No, tego już było Hubowej zbyt wiele.

– Ty mi będziesz, kurwiago, mówiła, że on do ciebie po miłość chodził? – I z całych sił na Hankę naparła.

– Bo ja jedna na tym świecie go kochałam. To do mnie przychodził i przy mnie umarł.

– Zabiłaś go, bladzio cholerna!

W tej chwili Antek dopadł do wrzeszczących kobiet i próbował je rozdzielić. Lecz im bardziej próbował, tym one bardziej się ze sobą zwierzały. Wyrwały mu się wreszcie, a straciwszy równowagę, zatoczyły się i razem zgodnie runęły do grobu.

Na szczęście nic złego żadnej się nie stało, tylko wstyd był ogromny. Ksiądz chrząknął znacząco, poprosił o powagę, bo wszak to pogrzeb, a nie poprawiny. Gdy wydobyto obie z grobu, szybko zakończył modlitwy i uciekł z cmentarza.

Ludzie rozchodzili się wolno. A gdy tylko znaleźli się na gościńcu, najpierw nieśmiało, później coraz śmielej zaczęli omawiać niedawne wydarzenie.

W końcu na cmentarzu nie został nikt. Prawie nikt. Na świeżym grobie siedziały dwie kobiety. Umorusane wilgotną ziemią, pokrywającą ciemnymi smugami ich twarze i dłonie. Siedziały, płakały i tuliły się do siebie, jak dwie sieroty, które opuściła matka. W całej wsi nie było nikogo, kto by tak kochał zmarłego. Tam, na dnie tego dołu, gdzie teraz leżał, nagle to do nich dotarło. Jednakowo zaboląta obie ta śmierć, jednakowo cierpiały i nikt, tylko one same mogły być w tej chwili dla siebie wsparciem.



Ciastka półfrancuskie

25 dkg masła, 25 dkg smalcu, 6 żółtek gotowanych, 6 żółtek surowych, 25 dkg cukru pudru, wanilia, 4 łyżki gęstej śmietany, pół łyżeczki proszku do pieczenia, szczypta amoniaku.

Żółtka surowe utrzeć z cukrem, gotowane przetrzeć przez sito, mąkę przesiekać z tłuszczem i śmietaną. Wszystko razem zagnieść, ale niezbyt gęsto. Przepuścić przez maszynkę z przystawką do ciastek i układać na blasze. Piec na złoty kolor.

Krystyna 1914

Cesarz przypomina nam Sybir, car Grunwald – mówił ktoś nieznajomy. Krystyna stanęła na progu salonu, niepewna, czy może przerwać. – Niemiecki sztab generalny wydaje odezwę do Polaków zapowiadającą niepodległość. Przypomina jęki Sybiru, krwawą rzeź Pragi i katowanie unitów. Jednak niczego konkretnego nie zapowiada. Tak, jakby Niemcy mówili: „Idźcie ludzie, bijcie cara, a później się zobaczy”. Car zaś nagle sobie przypomniał, żeśmy tak samo naród słowiański jak Rosjanie. Tak bardzo mu na nas zależy, że nawet podpisu pod odezwą nie złożył. Nie mówiąc już o tym, że owa wolność, o której mówi, nie on zresztą, tylko Sazonow, to w dalszym ciągu ma być wolność pod butem... tfu, pod berłem carskim. Najwięcej moglibyśmy uzyskać od Habsburga, tu jednak naszą sprawę blokują Węgrzy. Trudno im się dziwić, wszak nie tak dawno wywalczyli sobie przywileje i pewną autonomię, której teraz nie chcą utracić. W tej sytuacji...

Dziedzic, który wreszcie dostrzegł Krystynę, podniósł rękę do góry,

przerywając mówiącemu.

– A Malicka co tu tak stoi?

– Proszę o wybaczenie jaśnie wielmożnego pana. Kucharka pyta, ile osób będzie na obiedzie, bo... – Głos, który z każdym słowem cichł, zamarł zupełnie.

– Widzisz, drogi Włodzimierzu – dziedzic zwrócił się do nieznanego. – Nasza kuchnia ma lepszy wywiad niż wasze wojsko. Już wiedzą o twojej obecności.

Nieznanomy odwrócił się do Krystyny i uśmiechnął życzliwie. Był to postawny, dojrzały mężczyzna, lat pewnie około trzydziestu pięciu. Patrzył na świat uważnym, przenikliwym spojrzeniem. Z jego twarzy biła rozwaga i spokój. Ruchy miał powolne, jakby leniwe, a mundur, który nosił, pasował tak idealnie, jakby nie był ubiorem, a drugą skórą.

– Powiedzcie kucharce, że cztery dodatkowe osoby siądą dziś przy obiedzie.

– Jaśnie pan życzy sobie, by przygotowano coś specjalnego?

Dziedzic zastanawiał się przez chwilę.

– Może dzicyzna? – Pytanie skierowane było do wojskowego, który aprobująco skinął głową.

Krystyna ukłoniła się i zrobiła krok do tyłu, by się wycofać z salonu, lecz wojskowy ruchem ręki polecił, by się zatrzymała, i z uśmiechem powiedział do dziedzica:

– Tak tu politykujemy, a może zapytamy przedstawicielki ludu polskiego, co sądzi o sytuacji na świecie?

– Przednia to myśl – odpowiedział tamten.

– Jak się nazywacie, dobra kobieto?

– Malicka. Krystyna Malicka.

– A jakiej narodowości jesteście?

– Polskiej.

– A wyznania?

– Katoliczka.

– Tedy jesteście solą naszej ziemi. I co sądzicie, jaka powinna być Polska i wobec którego z zaborców lojalna?

Krystyna zdawała sobie sprawę, że to pytanie jest żartem, mającym na celu rozluźnienie atmosfery w salonie, która wydawała jej się napięta. Panowie, jeden z drugim, nazbyt się zapędzili w politycznej dyspucie, zbyt zapiekli

w swoich racjach. W chwili gdy zażegnanie sporu i wyjście z twarzą stało się niemożliwe, zjawiała się Krystyna. Pośmieją się z głupiej chłopki i atmosfera się oczyści. Niech się śmieją, pomyślała, śmiech to zdrowie.

– Żadnemu.

– O? A czemuż to?

– Wszyscy oni tacy sami. Rozdarli ziemię Rzeczpospolitej, lud gnębili i naszą wiarę.

– A nie sądzicie, że ów lud polski sam w sobie jest zbyt słaby?

– Nie jest słaby. Wytrwaliśmy w jarzmie zaborców przeszło sto lat. Zachowaliśmy język i wiarę, mimo że siłą próbowali je wyrwać. Znieśliśmy więcej niż którykolwiek inny naród.

– Och, powiało Mickiewiczem. Czyżbyście go czytali?

– Nic nie czytałam, proszę jaśnie pana. Jam ofiara carskiego systemu edukacji. W wiejskiej szkole spędziłam trzy lata, ale to tylko trochę w zimie, bo matce w gospodarstwie byłam potrzebna. Czytać się tam nie nauczyłam, bo nauczyciela nie rozumiałam. Po cóż mi zresztą czytanie po rusku, skoro języka nie znam? U nas na wsi kilkoro Ukraińców żyło, to ukraiński znam, ale ruskiego nie. Po polsku czytam, ojciec mnie nauczył.

Wojskowy uniósł brwi zaintrygowany. To, co miało być żartem, przybrało niespodziewany obrót.

– Masz ty w kuchni, mój drogi, ofiarę carskiego systemu edukacji. Miałaś tego świadomość?

Dziedzic się roześmiał.

– U mnie tylko takich znajdziesz. A Malicka, jak na ofiarę, niezwykle elokwentna.

– Tedy pytajmy dalej. Cóż zatem macie do zarzucenia Niemcom?

– Bismarcka.

Mężczyźni popatrzyli na nią zdziwieni.

– Powiem ci, mój drogi, że czegoś takiego się nie spodziewałem. Dobra kobieto, przecież Bismarck już nie rządzi.

– Mimo to polityka niemiecka dalej toczy się w jego duchu. Dlatego też Austro-Węgry nie są dobrym kierunkiem dla Polaków. Ich związek z Niemcami jest zbyt silny, a po śmierci Franciszka Józefa będzie jeszcze mocniejszy.

– Gdzie więc upatrujecie nadziei dla Polski?

– W Piłsudskim.

– Ale wiecie, że Piłsudski układa się właśnie z Austriakami?

– Z samym diabłem by się ułożył, jeśli tego by wymagała sprawa niepodległości Polski. Jednak obietnice wobec zaborców nie są wiążące. Bo to tak, jakby się chciał dogadywać ze złodziejem. Wiadomo, że skoro się odwrócisz, on znowu ukradnie. Tak samo będzie z każdym zaborcą, z którym wejdziemy w porozumienie. Więcej, przez lata zaborów przywykli oni traktować Polaków jak gorszych, przeto nigdy nie będą nas szanowali. Polska musi być wolna i niepodległa, samoistna i samostanowiąca. Innej drogi dla nas nie ma.

– Aż żal, żeście go nie powitali tą przemową, gdy granice przekraczał. Szkoda jednak waszego zapału. Choć nie powiem, zadziwiliście mnie, a to się nader rzadko zdarza.

Krystyna dygnęła. Pierwotnie nie były to jej własne poglądy, tylko echa tego, co usłyszała od Gustka. Miała jednak wiele czasu, by o tym wszystkim pomyśleć, i teraz wypowiedane przez nią słowa płynęły z głębi serca.

– Zupełnie inne spojrzenie mam teraz na to, o czym wcześniej rozmawialiśmy. – Wojskowy zwrócił się do dziedzica. – Od lat przekonany byłem, że chłop polski od czasów uwłaszczenia ma do caratu, że tak powiem, pewien sentyment. A wy? – Tym razem było to do Krystyny. – Cóż myślicie o carze?

– Że chłopów do wojska zabiera. I jest największym wyzyskiwaczem na świecie. Bogactw ma tyle, że nikt ich nie zliczy, a w rosyjskich fabrykach robotnicy padają z głodu i wycieńczenia. Nie pozwala na inne wiary, wygnał z Rosji Żydów, a Polaków, Ukraińców, Litwinów i inne sobie podległe narody gnębi. W uwłaszczeniu niby dał nam ziemię, ale nie dał pastwisk i nie dał lasów, przeto chłop dalej musi prosić pana o łaskę. Duże majątki są w rękach rosyjskich i tam dobrze sobie radzą, polskie podupadają. Chłop nie ma świadomości rolniczej, bo nie ma edukacji, przeto wydajność jest mała, a trudno o lepszą, gdy te swoje trzy morgi ma podzielone na pięćdziesiąt kawałków. Mówi, że polskiego chłopca wspiera, ale pierwszeństwo w urzędach i Banku Włościańskim mają prawosławni.

Krystyna czuła, że pałają jej policzki. Rozumiała, że przekroczyła granicę. Od początku powinna była podporządkować się regułom żartu, stać z rozdziawioną gębą i powtarzać: „Dopraszam się łaski jaśnie wielmożnego pana”.

– Zwolenniczka Piłsudskiego, przeciwniczka kapitalistycznego wyzysku.

Czyżbyście byli socjalistką? – Mimo że Krystyna przecząco pokręciła głową, wojskowy uśmiechnął się do dziedzica. – Uważaj, mój drogi, socjalistka dla ciebie gotuje.

– Dziś również dla ciebie, Włodziu.

– Nie wiem, czy nie powinienes się martwić.

– Daj spokój. To tylko baba. Jak świat światem, baby nie zrobiły żadnego przewrotu. Porozmawiam z jej mężem, raz-dwa wyprostuje te jej lewicowe poglądy. – Dziedzic, ubawiony własnym żartem, dał Krystynie znak, że czas już na nią.

Dwa razy potknęła się w drodze do kuchni. Nie mogła kucharka pokojówki posłać? Ano nie mogła. Pani wyjechała tydzień wcześniej do siostry, zabierając ze sobą najbliższe służące. Te, które zostały, nie czując nad sobą bata, chowały się po kątach, udawały zajęte, ale tak naprawdę nie robiły nic. To przez nie, wszystko przez te głupie, puste dziewczuchy. Bo nawet jeśli dziś dziedzic nie powie Marianowi, to za tydzień, za dwa przypomni mu się to przedpołudnie i zazartuje sobie: „Nie wiedziałem, mój Malicki, że wasza żona to socjalistka. Musicie wybić jej z głowy takie poglądy”. I Marian wybije, bo co jak co, ale bić to on lubi.

Rozdział dziesiąty



Ziemiaki do Polski przywiózł pewien bogaty dziedzic. Pojechał on za granicę, a tam mu bulwę ziemniaka podarowali jako niezwykłą roślinę zamorską. Pan bardzo był z tego dumny. Kazał w ogrodzie zasadzić i najlepszemu ogrodnikowi dał do pilnowania. Wyrosła roślina, ale kwiaty nędzne, małe, brzydkie, a owoce mikre. Może choć smaczne? Służące zebrały, kucharz ugotował, państwo zjedli i się pochorowali. Rozgniewał się pan bardzo, kazał ziemniaka wykopać i spalić. Akurat przechodził tamtędy biedny chłop. A głodny był, aż mu kiszki skręcało. Poczł jakiś smakowity zapach. Podeszedł, ognisko rozgrzebał, a tam jakieś takie bulwy leżały. Pomyślał sobie: „Albo z głodu umrę, albo od tego, to już wszystko jedno. Spróbuję, co mi szkodzi”. Podjadł, aż mu się na duszy lżej zrobiło. A że nie wszystkie bulwy się spaliły, to resztę zabrał do domu i posadził. Ziemiak, z wdzięczności za uratowanie, od wieków polskich chłopów od głodu ratuje.

Kwiecień 1927

Jak tam, drogie panie? – Jaśko odwrócił się na koźle. – Nie trzęsie zbytnio?

Bronia przecząco pokręciła głową.

– Tak pytam, bo gdyby zbytnio trzęsło, to trzeba panu Włodzimierzowi lejce odebrać. To jak?

– Nie trzęsie. Włodziu świetnie sobie radzi.

Brat nawet się nie odwrócił, tak był przejęty powierzonym mu zadaniem. To miło ze strony Jaśka, że pozwolił chłopcu powozić. Wrażenie na Bronce wywarł sposób, w jaki to zrobił. Nie pytał, pewnie świadom, że malec, czy to z zawstydzenia, czy z przestachu, odmówi. Po prostu wziął Włodzia pod pachy, na koźle posadził, dał mu lejce do rąk i wyjaśnił:

– Chcesz skrócić w prawo, to ciągniesz za prawą i głośno wołasz: „hejta”, jak chcesz skrócić w lewo, to ciągniesz lewą i wołasz: „wišta”. Nie ciągniesz za mocno, bo wtedy staną i trzeba je będzie znów do ciągnięcia gonić, ale też nie popuszczasz zbyttnio, bo pomyślą, że nikt ich nie prowadzi, łby popuszczają i zaczną się paść, a my na wieczór zajedziemy. Nic się nie bój, ja tu jestem, to wszystkiego będę pilnował, ale to nie może być, żeby taki kawaler prawie dorosły nie umiał powozić.

Jaśko znów się odwrócił.

– A nie zimno?

Zimno to na pewno Bronce nie było. Policzki jej pały, a co zerknęła na siedzącą obok matkę, w brzuchu robiło się tak gorąco, że aż mdliło. Cóż z tego, że Krystyna siedziała z uprzejmym wyrazem twarzy i od czasu do czasu zadawała Jaškowi jakieś grzeczne pytanie? Nic. Bo Bronka bardzo dobrze wiedziała, że to tylko poza. Przez cały czas wizyty u Lipczewskich obserwowała matkę i z drobnych gestów, pojedynczych słów, dla innych niedostrzegalnych skrzywień ust wyczytała, że mamie nie podoba się to miejsce, nie podobają się ci ludzie, a we wrogim nastawieniu do Jaška nie zaszła żadna zmiana.

Bronka wiedziała również, że gdy tylko zostaną same, usłyszy: „Jest dokładnie tak, jak mówiłam, moja Broniu. Miałam rację”. A najgorsze, że wcale jej nie miała, było zupełnie inaczej, tylko matka nie chciała oczu otworzyć, by zobaczyć, jak jest, a widziała to, co chciała i jak chciała.



Od samego początku była wrogo nastawiona do Jaška. Bronka wróciła wspomnieniami do pierwszej o nim rozmowy.

– A cóż to za kawaler, z którym wzdłuż drogi spacerowałaś, a o którym nie zamierzałaś mi powiedzieć? – zapytała Krystyna, gdy po drugim spotkaniu z ukochanym córka weszła do służbówki.

Wstyd rozpał policzki Broni piekącą czerwienią. Nie, nie wstyd, bo nie zrobiła nic złego. To była złość, że matka tak to ocenia.

– Jaśko Lipczewski z Tynczyna. Syn kowala. Poznałam go na odpuscie w Rachaniach.

– Twoim zdaniem, Broniu, odpust to właściwe miejsce, by zawierać znajomość z... – Krystyna zawiesiła głos – kawalerem? – wypowiedziała to słowo tonem, który sprawił, że ze zwykłego stało się ohydne.

Bronka zagryzła wargę.

– Nie odpowiesz mi?

– Nie. Odpust nie jest odpowiednim miejscem do zawierania znajomości. I dlatego tam z nim nie rozmawiałam. Pozwoliłam, by tu przyszedł, bym mogła ocenić, kto zacz.

– Nie polegałabym zbyt na opinii osoby, która urządza sobie schadzki pod oknami swoich chlebodawców.

– Pani mnie lubi.

Matka popatrzyła na nią z politowaniem.

– Dziecko drogie – powiedziała tym tonem, którym mówi się do trzyletniego szkraba. – Nie polegałabym zbyt na sympatii pani. Dziś cię lubi, boś jedyne towarzystwo, a jest znudzona. Jutro, gdy kto złośliwy szepnie jej, żeś po parku z kawalerem chodziła – znowu ten okropny ton – pogoni cię precz. Może i mnie z tobą. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Popatrz na Włodka.

Bronka westchnęła. Rozmowa potoczyła się w zupełnie niewłaściwym kierunku i teraz nie pozostawało nic innego, jak przyznać matce rację. I choć dotyczyło to tylko pańskiej łaski, zostanie rozciągnięte na wszystko, o czym mówiły. Teraz nie ma sensu kontynuować. Trzeba poczekać na moment, kiedy matka będzie w dobrym nastroju. Nie zdarzało się to zbyt często. Zazwyczaj, jeśli nie była zdenerwowana, to się martwiła. Nic dziwnego, gotowanie dla państwa to niełatwe zajęcie. Żaden posiłek nie może być spóźniony, żaden nie może wyjść z kuchni zbyt ciepły czy zbyt zimny, wszystko musi być udane, bo jak coś niedopieczone czy niedosmażone, to pretensje do kucharki, że produkty marnuje, a to przecież nie za darmo. Każdy talerz, łyżka czy widelec muszą błyszczeć czystością, bo choć za przygotowanie stołu odpowiada lokaj, to wina za niedociągnięcia spada na kuchnię. Do tego zamówienia trzeba złożyć, rozliczenia przedłożyć, jadłospisy wymyślić, wszystko to na jednej głowie, która od rana do wieczora wciąż sfrasowana.

A jeśli tak się dzieje, że człowiek wciąż w napięciu, to nic dziwnego, że się

denerwuje. Albo martwi o całą ich trójkę. Jeśli mama straciłaby pracę, to ona, Bronia i Włodzio tracą dach nad głową. I nie tylko to, bo przecież od razu nie będą mieli za co żyć. „Cóż my byśmy wtedy poczęli?” – pytała matka, a Bronka tylko głowę spuszczała. Kiedyś, dawniej, zdarzało jej się wspomnieć o rodzinie ojca z Pawłówki. Wszak po śmierci tatki wzięli je obie do siebie i dobrze tam było. Bronka z czułością wspominała babcię Malicką, która opowiadała bajeczki i częstowała ją suszonymi gruszkami. Jednak matka reagowała na jakąkolwiek wzmiankę o rodzinie ojca w taki sposób, że Bronka przestała o nich mówić. Przestała też pocieszać mamę zapewnieniami, że jeśli nie w tym, to w innym dworze dostanie pracę.

– Czy ty myślisz, dziecko, że w innych dworach nie mają takich jak ja albo i lepszych kucharek? Myślisz, że czekają tam na mnie z otwartymi ramionami? Wiesz, jak trudno było zdobyć tę posiadłość?

– Mówiła mama, że to dzięki umiejętnościom.

– Ty myślisz, że te umiejętności łatwo mi przyszły? Gdyby nie życzliwość pani Wiszniowskiej, świeć Panie nad jej duszą, niczego bym nie umiała. Byłam prostą dziewczyną ze wsi, głupią i zahukaną. Wszystko mi pokazała, wszystkiego nauczyła. A cała wiedza na nic by się zdała, gdybym... Po cóż o tym gadać? Dobre mamy miejsce, to je szanujemy. Widzisz przecież, co wokół się dzieje?

Prawdę mówiąc, Bronka nie bardzo widziała. Czasem gdy siedziała z panią w jej gabinecie, słyszała strzępy rozmów, które w salonie pan hrabia prowadził z odwiedzającymi go gośćmi. Padały nazwiska Piłsudskiego, Witosa, Sikorskiego, Wojciechowskiego. Mówiono o „Chjeno-Piaście” zastąpionym Grabskim. O reformowaniu pieniądza mówiono dobrze, a reformie rolnej różnie, o polityce zagranicznej jak najgorzej. Bronka, jak była młodsza, dopytywała panią o to, co wzbudziło jej zainteresowanie, ale zwykle słyszała w odpowiedzi, że politykowanie należy zostawić mężczyznom. Kiedy zaś pytała mamę, ta robiła wykład, który sięgał rozbiorów i pokazywał, że wszystko jest winą szlachty.

– To czemu dla nich pracujesz? – pytała Bronka.

– Bo tak urządzili ten świat. Nigdy im nie wierz. Oszukają cię, w żywe oczy kłamać będą, a na koniec tak sprawę odwrócą, że ty okażesz się winna. Niech ci Witos będzie przykładem. Kiedy bolszewik stał u bram, posłali po Witosa. Wiedzieli pany, że tylko on przekona chłopów, by szli do wojska. Witos obiecał reformę, chłopci się zaciągnęli, wielu nie wróciło i co? Dziś

muszą znowu strajkować, bo reformy jak nie było, tak nie ma. Wiesz, ile moja matka miała ziemi? Trzy morgi. A wiesz, w ilu kawałkach? W dwunastu. Mówi się tutejszym chłopom, że są zapóźnieni, bo maszyn nie stosują, a wszystko ręcznie robią. Toż jak z taką maszyną próbujesz na swój zagonek wjechać, to ona jeszcze na drodze, a twój wół już u sąsiada w szkodzie. Grabski też był dobry, dopóki reformy rolnej się nie podejmował. Teraz już na niego nosem kręcą. A najwięcej na chłopą. Chłopów nienawidzą, brzydzą się nimi, traktują, jakbyśmy byli bliżej zwierząt niż ludzi.

Mama potrafiła tak długo, więc Bronka wołała jej nie pytać. Cóż to zresztą miało za znaczenie? Wojny się skończyły, smutne i straszne rzeczy przeminęły. Nawet śmierć ojca, która była dla Bronki wielką tragedią, zacierała się w pamięci. Wciąż pamiętała, jak chodziła z mamą do kościoła modlić się o jego zdrowie, pamiętała te spojrzenia dorosłych, które mówiły, że nie ma nadziei, i swój płacz na cmentarzu, bo czuła się wtedy taka samotna i opuszczona.

Bronka kochała ojca. Był dobrym człowiekiem. Niezmordowany w zabawie z córką. Gdy była mała, sadzał ją sobie na barana i biegał po izbie. „A dokąd panna Bronia życzy sobie jechać? Na targ, na odpust? Koniczek wszędzie zabierze” – wołał i parskał przy tym jak najprawdziwszy koń. Umiał robić lalki z wełny. Cierpliwie składał nitkę przy nitce, równiutko, dokładnie. „Jeśli coś ma być zrobione dobrze, moja Broniu, to musi to być robione powoli. Kto prędko robi, dwa razy robi” – mówił. Teraz, tyle lat po jego śmierci, już nie tęskniła, ale wciąż myślała, jak inaczej wyglądałoby ich życie, gdyby nie umarł. Może mama byłaby weselsza? I spokojniejsza, bo los ich wszystkich nie spoczywałby tylko na jej barkach.

Tatko polubiłby Jaśka od razu. Jego rodzina też by mu się spodobała. Lipczewscy znali się na koniach i tatko się na nich znał. Jakże inaczej wyglądałoby wszystko, gdyby tatko żył. A z mamą trudno, oj trudno.

Po tamtej rozmowie prawie tydzień przyszło Bronce czekać na moment, w którym matka miała na tyle dobry humor, że można jej było powiedzieć o kolejnej wizycie Jaśka. Oczywiście od razu wpadła w złość.

– Jutro przychodzi? A ty mi dopiero teraz to mówisz?

Na nic się zdały tłumaczenia, przeprosiny, prośby. W końcu zgodziła się, żeby „ten kawaler” do służbówki przyszedł, bo nie było mowy, by Bronka po drodze z nim chodziła.

– Czy ty myślisz, że tobie to przystoi?

I nic już nie pozostało do powiedzenia, wiadomo było, że nie.

Koszmarne to było spotkanie. Mama wypytywała Jaśka o pochodzenie, rodzinę, majątek, zdrowie, poglądy polityczne, wyznanie i plany na przyszłość. Chłopak niczego nie krył, niczego się nie wstydził. Bronkę dumą napawała jego szczerość.

Jednak gdy tylko drzwi się za Jaśkiem zamknęły, matka od razu wzięła go na cel swoich złościwości.

– Czyż on nie mówił, że ich w domu pięcioro?

– Czwororo. Jedna siostra zmarła.

– Nawet jeśli czwororo. Kiedy podzielą to, co mają, to po ile wyjdzie? Gospodarzył będzie! Też wielki pan się znalazł. A w jednej chałupie siedmioro ludzi. Ty wiesz, co znaczy pięcioro dorosłych pod jednym dachem? Drugą synową być, na swoją kolej do pieca cały ranek czekać?

– Mama tak mówi, jakbym ja jutro miała za niego za mąż iść.

– Tak mówię, jak jest naprawdę. Co ty myślisz, że ja głupia jestem i nie widzę, jak ci się oczy do niego śmieją? Bądźże rozsądna, Broniu, precz go wygnaj. Młoda jesteś, masz jeszcze czas. Trafi ci się ktoś znaczniejszy, przy kim dobrze ci będzie.

Bronka nic nie odpowiedziała. No bo cóż można odpowiedzieć? Rozumiała praktyczne podejście matki, ale zupełnie się z nią nie zgadzała. Któż znaczniejszy? Służący, niechby i wysoko postawiony? Życie z nim oznaczałoby ciągłą służbę, której smak znała od lat. „Pani chce cię widzieć, pani nie chce cię widzieć, podaj to, nie, jednak nie to, tamto, sprzątnij, podaj, wynieś, zamieć”. Czego jak czego, ale takiego życia nie chciała Bronka ani dla siebie, ani dla swoich dzieci.

Pragnęła być gospodynią, mieć własną kuchnię, krowę, kury. Gotować mężowi, ogród uprawiać. Nie mówiła nic matce, wiedziała, że gdyby ta usłyszała, wszelkimi sposobami próbowałaby córce wybić to z głowy. „Ogród uprawiać? Broniu, toż ty pojęcia o tym nie masz”. Argumentów Bronki, że wszystkiego można się nauczyć, nawet by słuchać nie chciała, choć przecież sama się nauczyła gotowania. A teraz wszystkim, co umiała, dzieliła się z córką, szykując ją na swoją następczynię. Bronce świetnie wszystko szło, ale nie chciała pracować w hrabiowskiej kuchni. Pragnęła być niezależna, na swoim. I przede wszystkim być z Jaśkiem. Bo ziarenko, które rzucił w jej serce tym patrzyeniem na odpuście, wykiełkowało, zapuściło

korzenie, wyrosło. Jeśliby kto próbował je wyrwać, to musiałby się srodze namęczyć, a w sercu pozostałaby rana, która pewnie nigdy by się nie zabiłniła.

Dlatego też Bronka walczyła o to, by móc się z Jaśkiem spotykać. Wymusiła na matce zgodę, by ona i Włodziu mogli do Lipczewskich jechać na Wigilię. Oczywiście przecież było, że matka w Boże Narodzenie z kuchni nie wyjdzie, a Włodziewi należały się choć jedno radosne święta, wszak wiadomo, jakie on miał we dworze. Gdy wracali, a chłopiec z wypiekami na twarzy mówił o królu, pięknie przyozdobionym snopie zboża, ustawionym w izbie, o sianku, pasterce, potrawach tak innych od tych, które mama dla dworu przygotowywała, o śpiewaniu kolęd, zabawie z Bronkiem i Janeczką, i jeszcze innym chłopcem, o imieniu Mikołaj, to serce Bronki się radowało. Tamci przyjęli ich jak swoich, otoczyli serdecznością. Nikt o ojca Włodzia nie pytał, nikt nim nie pogardzał. Nie to, co w majątku pana hrabiego.

Rzecz jasna, mama nie zechce tego słuchać. Jest uparta. Zawsze wie najlepiej. Szczęściem kocha Bronkę całym sercem. Gdyby nie to, przegnałaby Jaśka tam, gdzie pieprz rośnie. A tak to tylko czeka, aż Bronce miłość minie. Nie wie, że nigdy się nie doczeka, że to miłość z tych, co nigdy nie przemijają.



W końcu dotarli do dworskich zabudowań. Jaśko wiedział już, którądy jechać, i minąwszy park i dwór, zatrzymał się przed oficyną. Konie stanęły. Włodziu chciał oddać lejce, ale Jaśko poprosił, by jeszcze przez czas jakiś potrzymał konie.

– Trzeba pomóc paniom wysiąść, tobołki trzeba pozdejmować. A dobrze trzymaj, bo jak szarpną, to pospadamy.

Chłopiec z przejęciem skinął głową i zacisnął pięści tak mocno, że aż pobielały.

Tymczasem Jaśko pomógł mamie, później Bronce, a potem pozdejmował koszyki i tłumoczki pełne darów ze wsi. Były tam mięsa, sery, wypieki, były

też jagły, kasza gryczana, mak, śmietana, miód. Mama mówiła, że nie trzeba, ale Antoszka zupełnie nie słuchała, dzieliła się wszystkim i widać było, że wkłada w to serce. Pewnie chciała się odwdzięczyć za to, co one przywiozły, bo choć nie było tego dużo, mama zadbała, by podarki robiły wrażenie. Była tam kawa, herbata, kakao, cynamon, wanilia, pieprz, nawet butelka nalewki, a dla dzieci po kilka kawałków prawdziwej czekolady i cukierki.

W końcu Włodziu musiał oddać lejce i zejść z kozła.

– Urodzony woźnica – pochwalił go Jaśko. – A latem to cię nauczymy wierzchem jeździć.

Bronka widziała minę mamy, gdy padło słowo „latem”, i zimno jej się zrobiło. Nerwowo przełknęła ślinę.

– Czas się pożegnać. – Głos Krystyny był lodowaty. – Jeszcze raz dziękujemy za gościnę. Jedźcie z Bogiem.

Jaśko ją pocałował w rękę, a gdy podszedł do Bronki, ta, nie patrząc na matkę, powiedziała:

– Ja cię do drogi odprowadzę.

Wiedziała, że do wieczora będzie słuchała wymówek, ale pragnęła choć chwilę spędzić sam na sam z ukochanym. Tyle chciała mu powiedzieć.

Jaśko przywiązał lejce do drążka przy koźle, wziął jednego konia za uzdę i cmoknięciami zachęcił, by ruszyły. Szli powoli, noga za nogą, był to jedyny sposób, by przejście tego krótkiego odcinka zajęło im jak najwięcej czasu.

Teraz, gdy mogła swobodnie mówić, słowa się nie pojawiały. Było tak dobrze w tej ciszy. Mogliby tak iść nawet na koniec świata i byłoby im sielsko, szczęśliwie.

Jaśko pierwszy przerwał milczenie.

– Trzeba nam się naradzić, Broniu.

– To się naradzajmy.

– Bo ja bym chciał zapytać, czy ty mnie chcesz, czy to tylko tak...

Gorąco jej się zrobiło. Piekły policzki, pałała szyja, czuła, że nawet na ramionach pojawił się rumieniec.

– Chcę – szepnęła, ale tak cicho, że sama ledwo usłyszała. – Chcę – powtórzyła głośniejszym głosem.

– I poszłabyś za mnie?

– Tak.

Jasiek aż podskoczył z radości. Przestraszone konie zarzuciły łbami, parszaniem dając znak, że są przeciwne takiemu zachowaniu. Któż by tam

się nimi przejmował? Bronka pozwoliła, by Jaśko wziął ją za rękę i pocałował. Jego usta były gorące, wilgotne, wąsy łaskotały przyjemnie.

– Taką miałem nadzieję, bo ja cię, Broniu, nad wszystko miłuję. Nad wszystko. Nawet dziś bym z wódką do ciebie swaty posłał, tylko nade mną wojsko wisi. Do poboru lat jeszcze nie mam... I tak sobie myślę... Będziemy tyle czekali?

– Ja na ciebie, Jaśku, i sto lat czekać mogę.

Popatrzył na nią z czułością.

– Ja wiem, Broniu, ja wiem. Może to rozsądnie by było poczekać. A może i nie? Bo przecież już byśmy mogli być razem, razem się dorabiać, dzieci wychowywać... No ja tak sobie pomyślałem, że na ochotnika pójdę. Polak jestem, to mnie na ochotnika wezmą. Jest u nas we wsi taki jeden, Pawło, on też chciał na ochotnika, ale go nie wzięli, bo w papierach ma narodowość ukraińską. Dwa lata musiał czekać, aż go na pobór wezwali. Ale mnie wezmą. Pójdę, dwa lata odsłużę...

– Jakże dwa lata, kiedy półtorej roku trwa służba?

– To w piechocie. Ja do ułanów chcę. Ojciec z bratem w ułanach służyli w wojnie z bolszewikami. Mój to obowiązek do ułanów iść.

– A jak cię do ułanów nie wezmą?

– Kiedy się na ochotnika idzie, to biorą tam, gdzie człowiek chce.

Bronka skinęła głową, jakby dobrze rozumiała kwestie związane ze służbą wojskową. Trochę jej nie w smak było, że Jaśko wybierał tę dłuższą. Poczuli się też w pewien sposób oszukana, bo mówił, że to przez wzgląd na nią, a przecież tak naprawdę chodziło o jego własną ambicję.

– To jak, Broniu?

A jednak to od niej zależało, co zrobi. Jeśli ona każe mu zostać, to zostanie. Tyle że to na darmo by było. Nie ma takiego sposobu, by mama teraz zgodziła się na ślub. Powie, że Bronka za młoda, co jest prawdą, powie, że głupia, nierozsądna, co prawdą już nie jest, ale, tak czy inaczej, powie swatom „nie”. Przyjdzie czekać dwa lata, a później jeszcze czekać na Jaśka, aż z wojska wróci. To wszystko długo ciągnąć się może. A jak teraz Jaśko na ochotnika pójdzie, to wróci, kiedy Bronka będzie już na tyle dorosła, że sama zdecyduje, czy chce iść za mąż, czy nie. Nie to, żeby mamy nie pytała, bo jakże, bez matczynego błogosławieństwa wstyd by był przed Bogiem i ludźmi, ale ostatecznie to Bronka podejmie decyzję.

– Tęsknić będę.

– Toż przepustki w wojsku dają. Zresztą to jeszcze nie teraz, na jesieni się zgłoszę, po robocie w polu.

– Ja wiem, ale i tak będę tęskniła.

– Ale myślisz, żeby iść?

– Ano idź, Jaśku, idź.

– Będziesz tęskniła?

– Oj, będę.

– Ja też.

Rozejrzawszy się, czy nikogo w pobliżu nie ma, pocałował Bronkę z taką miłością, takim żarem, że ogień w piecu można by od niego zapalić. Pożegnali się potem z czułością i rozstali, obiecując sobie spotkać się znów w niedzielę.

Wiedziała Bronka, co ją w służbówce czeka. Matka nie siedziała. Chodziła po pokoju nerwowo. Twarz miała poważną, zatroskaną.

– Cóż to za okropni ludzie!

– Co też mama. Mili dla nas byli, nie widziała mama, jak Włodzia lubią?!

– Bo nie wiedzą. Chyba że byłaś na tyle głupia...?

– Nic nikomu nie mówiłam.

– Choć tyle dobrze. Tego jeszcze brakowało, żeby nas w jakiejś zapyziałej wsi obgadywali. – Zamilkła. Wyraźnie nad czymś się zastanawiała. – Ja widzę, Broniu, żeś ty w Jaśku zakochana, ale zdobądź się na rozsądek. Popatrz, co to za ludzie.

– Ludzie jak ludzie. – Bronka wydeła wargi.

– Masz rację. I w sytuacji, gdyby to nie miała być twoja rodzina, ja nic bym przeciwko nim nie miała. Więcej, powiedziałabym, że są całkiem przyzwoici. Julian jest polowym, jego siostry to krawcowe. Jedna była w terminie, druga się od niej wszystkiego nauczyła, ja taką postawę szanuję i cenię. Ojciec kował, na zwierzętach się zna, ludzie we wsi go poważają. Ale ty się upierasz, by wejść do tej rodziny, więc musisz widzieć nie to, co dobre, ale to, z czym codziennie mierzyć się będziesz. Julian z Antoszką wyraźnie żyją obok siebie. Wcale się temu nie dziwię, bo ona mi wygląda na taką, której Bóg rozumu dał bardzo, bardzo oszczędnie. I jeszcze owo „ta” powtarzane co drugie słowo. Strasznie to irytujące. Matka Jaśka pije. Nie zauważyłaś tego? Ja rozumiem, że ona wiele przeszła, bo i bieżność, i śmierć córki. Ludzie z desperacji różne rzeczy robią. Ale jej poglądy są nie do przyjęcia. Pan hrabia nazywa takich ludzi radykałami. Ta kobieta jest radykalnie radykalna,

choć zupełnie nic nie rozumie. Wypacza wszelkie idee. Dla niej bolszewik czy socjalista ten sam czort, co go trzeba utopić, powiesić, rozstrzelać, wszystko jedno, byle z powierzchni ziemi zgładzić. Narodowa demokratka spod znaku Ojca Prokopa!

Matka przerwała. Chciała opanować emocje, które w niej buzowały. Dla Bronki zupełnie niezrozumiałe było, jak można tak bardzo przejmować się sprawami politycznymi. Skoro mamy rząd, w końcu nie obcy, tylko polski, to po cóż narzekać? Jaka różnica, czy to socjaliści, czy kto inny? Przecież wszyscy teraz chcą jak najlepiej dla kraju, i ci rządzący, i ci, co ich do tego rządu wybrali. To była kolejna sprawa, o której z mamą lepiej nie rozmawiać. Wytknie Bronce jej „polityczną nieświadomość” i zaraz doda, że osoba, która jeszcze nie ma własnych poglądów, nie powinna podejmować ważnych decyzji.

– I tylko mi nie mów, że poglądy tej Lipczewskiej ci się podobają.

Jaśko, Jaśko mi się podoba. Poglądy jego matki nie mają znaczenia. Nic i nikt poza nim nie ma znaczenia.

– Jesienią Jaśko chce iść do wojska.

Ta wiadomość wyraźnie ucieszyła mamę.

– Osiemnaście miesięcy go nie będzie...

– Dwa lata. Chce do ułanów.

– To jeszcze lepiej. Przez dwa lata albo tobie się odmieni, albo jemu. A najpewniej wam obojgu. Wiem, Broniu, żeś ty w nim zakochana, ale to nie jest kawaler dla ciebie.



Ciasteczka kartofelki

Pół kilo masła, pół kilo smalca, pół kilo cukru pudru, 10 żółtek, jeden kilogram i 80 dkg
przesianej mąki pszennej.

Ze wszystkich składników zagnieść ciasto. Formować małe kuleczki i piec w średnio gorącym piecu. Po upieczeniu posypać cukrem pudrem wymieszanym z kakao.

Krystyna 1915

Bitwa pod Tomaszowem uświadomiła wszystkim, że wojna to nie nagłówki z gazet, nie temat dyskusji, tylko rzeczywistość, która stała się udziałem wszystkich.

Dziedzic podjął decyzję, że dla większego bezpieczeństwa jego żona ze swoimi pokojowymi uda się do Kuleszowa, do majątku przyjaciół. „Tam wokół same lasy, zaszyjesz się w głuszy, będziesz bezpieczna” – tłumaczył. Początkowo pani hrabina nawet słuchać go nie chciała. Jednak gdy ze wszystkich stron zaczęły dochodzić wieści o grabionych majątkach, palonych wsiach, gwałconych kobietach, zmieniła zdanie. I to Krystyna dowiedziała się o tym jedna z pierwszych.

Tego wieczoru z niepokojem oczekiwała męża. Gdy nie wracał o zwykłej porze, znaczyło to, że pił z fornalami. Jeśli był mocno pijany, po prostu zwał się na łóżko. Jeśli zdarzyło się tak, że wrócił niedopity, miała ciężką noc.

Gdy usłyszała jego kroki, zamarła. Słuchała. Szedł normalnie. Niedobrze, bo im bliżej było trzeźwości, tym dla niej gorzej. Teraz nie wiedziała, co

zrobić. W przeszłości próbowała wszystkiego – uległości, buntu, ucieczki. Wszystko kończyło się tak samo, Marian uspokajał się dopiero, kiedy ją zbił.

– Jeszcze nie śpisz? – zapytał, wchodząc do izby. Głos brzmiał normalnie. Czyżby nie pił?

– Już miałam się kłaść. Bronce koszulę naprawiałam. Mankiet się oberwał... – I natychmiast ugryzła się w język.

Zaraz usłyszy, że jest złą matką, bo dziecko w porwanej koszuli chodzi, albo że córki nie umie wychować, bo ta drze ubrania. On ciężko pracuje, a ona nie ma szacunku i pozwala dzieciakowi niszczyć wszystko, jakby byli jakimi dziedzicami. A potem za owe winy Krystyna dostanie baty.

Tym razem jednak Marian nie zwrócił uwagi na jej słowa. Poczekał tylko, aż skończyła.

– Do dworu mnie wzywali. Pani będzie wyjeżdżać. Pan każe mi z nią jechać, bo jakby co się po drodze w powozie popsło, to wiadomo, nie ma lepszego ode mnie majstra.

Krystyna poczuła, jak ogarnia ją cudowna, bezmierna ulga. Nie dość, że nie stało się to, czego cały wieczór się obawiała, to jeszcze nadeszła cudowna wiadomość. On wyjeżdża. Wyjeżdża.

– Skoro pan każe – powiedziała z udawanym smutkiem w głosie.

– To sługa słuchać musi. Powiem ci jednak, żono kochana, że nie taki ze mnie ostatni łachudra, żebym się o swoją rodzinę nie zatroszczył, zwłaszcza w taki czas.

Już szukała słów, którymi go uspokoi. Powie, że dobrze im tu będzie, Bronia przy niej, a Krystyna przy kuchni. Dadzą sobie radę.

– Powiedziałem panu, że jeśli mam jechać, to tylko z wami.

Jakby kto ją zimną wodą oblał. Zmartwiała, zdrętwiała i tylko w sercu tliła się ostatnia iskierka nadziei.

– A dziedzic co na to?

– Że skoro tak, to pojedziecie.

Iskierka zgasła. Mrok, podobny do tego za oknem, wypełnił serce Krystyny.

– Skoro tak, to pojedziemy – powiedziała najobojętniej, jak umiała.

Najchętniej zgasiłaby świecę i położyła się do łóżka. Jednak Marian, którego dumę mile polectało wyróżnienie, nie mógł przestać mówić o tym, co się wydarzyło. Raz po raz powtarzał, jak już się zbierał do domu, gdy po niego przysłali ze dworu. Jak stał w sieni, tej, co z niej drzwi do gabinetu

prowadzą. Opisywał każdy obraz, który tam wisiał, każdą parę rogów z taką dokładnością, jakby Krystyna nigdy tego wszystkiego na oczy nie widziała. W końcu drzwi się otworzyły, wyszedł dziedzic. A wcale nie zaczął od tego, że Marian ma jechać, o nie. Najpierw o wojnę go zagadnął, o to, co też Marian myśli, jak się ona potoczy. Marian mu na to, że inaczej nie będzie, tylko Niemce wygrają, bo to naród bitny, a porządek lubi jak żaden inny na świecie. Carskie wojsko już nie takie jak kiedyś. A na to dziedzic: „I macie rację, Malicki. Tak czy inaczej, czas niebezpieczny. Tedy uradziliśmy z panią, że wyjedzie ona do przyjaciół, gdzie, mam nadzieję, będzie najbezpieczniejsza. Kilkoro służby pojedzie z panią. Tak sobie umyśliłem, Malicki, że was wyślę. Nie ma od was lepszego majstra, a to podróż długa, jakby co w powozie nawaliło, wy to raz-dwa naprawicie”.

Wątpiła, by dziedzic mówił do jej męża grzecznościowo przez „wy”, ale mogła się mylić. Może chciał mu pochlebić? Marian był łasy na pochlebstwa i pochwały, a każdy, kto go znał, dobrze to wiedział.

– No i pan do mnie, że pojedę. A ja na to: „Pan dziedzic ma na uwadze swoją żonkę, ja swoją. Jakże mnie zostawić moją Krystynę i Bronię? Jakże one, niebogi, sobie poradzą, gdy mnie przy nich nie stanie?”. A pan na to, że problemu nie ma. „Niechże jadą z wami”, powiedział. I na tym stanęło. Mnie się zdaje, że to dla nas wszystkich najlepiej. Z dala od wojny będziemy, wszyscy razem i bezpieczni.

Bezpieczni. Krystyna obracała to słowo w myślach. Bała się wojny, bardziej jednak bała się własnego męża. Przy nim nigdy nie czuła się bezpieczna.



Takiego obrotu rzeczy nie spodziewali się nawet najwytrawniejsi politycy. Wojny spodziewano się od lat, a Polacy, jak nikt inny, czekali na nią z nadzieją, że ostrze niezgody, wbite między zaborcze państwa, przyniesie od stu lat oczekiwane wyzwolenie. Nikt jednak się nie spodziewał, że nagle Europa zapłonie, a głównym polem walk staną się ziemie polskie. Myśląc

o wojnie, marzono o niepodległości. Nikt nie brał pod uwagę strat, które owa batalia ze sobą przyniesie. Nikt, zupełnie nikt ich się nie spodziewał.

Kiedy więc przysły wieści, że oto Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii, Niemcy Rosji i Francji, Anglia Niemcom, cieszą się, że w końcu mocarstwa ościenne stanęły przeciwko sobie. Szybko jednak okazało się, że zasilić wrogie armie mieli poborowi z ziem polskich. I tak Polacy, odziani w mundury niemieckie, austriackie i rosyjskie, stanęli przeciwko sobie w walce o obcą sprawę. Dwa miliony mężczyzn opuściło domy. Jedna czwarta nigdy nie wróciła.

Nie tylko strat w ludziach nie spodziewali się politycy. Ziemie polskie stały się miejscem grabieży, czego zaś nie udało się ukraść i wywieźć, to niszczone i palone. Z dymem szły jednakowo wiejskie chaty i szlacheckie dwory, a także dworce i fabryki. Niszczono tory i mosty. W lasach na potęgę wycinano drzewa. Jeśli okupant liczył, że po wojnie dany obszar przypadnie mu w udziale, lżej się z nim obchodził. Gdy jednak nie miał takiej nadziei, łupił mieszkańców do gołej ziemi, do ostatniego ziarna w spichlerzu, zostawiając ludzi na pastwę głodu i chorób.

Wojna sprawiła, że ludzkie serca stały się zatwardziałe i każdy martwił się tylko o siebie. Ci, którzy i przed wojną niczego nie mieli, bardziej byli skorzy do udzielania pomocy, ale ci, których życie rozpieszczało, gotowi byli na wszystko, by zachować taki stan. Nic więc dziwnego, że właściciel majątku, do którego przybyli Maliccy, widząc zbliżający się kryzys, postanowił jak najszybciej pozbyć się części służby. Na nieszczęście dla nich, nie tylko swojej. Panią Dzierżyńską przyjął, owszem, serdecznie, tak jak swój przyjmuje swego, lecz gdy tylko towarzyszący jej ludzie kufry podróżne wypakowali, a konie do stajni odprowadzili i oporządzili, usłyszeli, że przyjęci do pracy we dworze nie zostaną.

Krystyna siedziała na pieńku pod stodołą, w której pozwolono im tymczasowo nocować, zanim co innego się znajdzie. Bronia pobiegła do tutejszych dzieci, Krystyna jej tego nie broniła. Czekwała na Mariana, który poszedł do państwa dowiedzieć się, co i jak ma z nimi teraz być, co mają robić, gdzie mieszkać. Czekwała w napięciu, nerwowo skubiąc rąbek zapaski. Wydawało jej się, że czeka już dzień cały. W końcu wrócił. Rozmawiał z panią, ta odesłała go do tutejszego dziedzica.

– Cóż nam teraz począć? – zapytał go Marian.

– Wróćcie do swego majątku.

– Ale jakże to wracać? Pieszko? Taki szmat świata?

– A czegoż ty, chłopie, ode mnie oczekujesz? Wystarczy mi własnych zmartwień – fuknął tamten. I na tym koniec.

To, z jaką obojętnością Marian powtórzył tę rozmowę, poruszyło Krystynę do głębi. Sama wiadomość była straszna, ale ta apatyczność męża jeszcze gorsza.

– I ty żeś mu nic nie powiedział?

– A co miałem gadać? Pan ma rację, nic tu po nas.

– Jak nas włóczyć tyle świata, tośmy dobre byli, a teraz nic tu po nas?

– Pani nasza nie u siebie, a służby tutejszej wystarczająco. Nie ma dla nas miejsca.

Krystyna ukryła twarz w dłoniach. Chciała płakać, a nawet wyć jak skrzywdzone zwierzę. Wiedziała jednak, że to nie czas na łzy, bo ten przyjdzie później. Musiała się uspokoić. Przede wszystkim nie mogła zdenerwować męża. Jeśli on ją uderzy, a niefortunnie w twarz trafi, Krystyna nie będzie mogła iść do pani, w rozmowie z którą upatrywała teraz jedyne ratunku dla siebie, a przede wszystkim Broni. Widziała świat ogarnięty wojną, widziała splądrowane wsie, zniszczone pola, z których już plonu nie będzie, widziała trupy przy drodze, najczęściej były to dzieci.

– Krysia, ty płaczesz? – zapytał Marian z ogromną troską w głosie.

To była jedna z jego póż, taki zatroskany mąż, kochający, zmartwiony. Czasem potrafił być taki cały dzień, dwa, tydzień. A czasem... Czasem nie zdążyła się zorientować, że to już minęło, przestawał być troskliwy, stawał się wymagający, niezadowolony, wściekły.

Odjęła ręce od twarzy i zmusiła się do uśmiechu.

– Nie płaczę. Martwię się o nas. Jeszcześmy po jednej podróży nie odpoczęli, już trzeba w drugą ruszać. Dokąd tym razem, nie wiadomo.

– Nie martw się. Dotarliśmy tu, to i nazad wrócimy. Do domu wrócimy, wszystko będzie dobrze.

Z wesołym uśmiechem doskoczył do Krystyny, ręce do niej wyciągnął. Odruchowo podniosła ramiona, żeby się osłonić. Tym razem Marian nie chciał bić, tylko tańczyć. Nucił skoczną polkę i kręcił Krystyną jak prządka wrzecionem. Śmiał się przy tym jak małe dziecko. Wiadomo jednak było, że gdy jest w takim radosnym nastroju, zaraz zechce iść pić. Jeśli nie znajdzie gorzałki, będzie wściekły, jeśli znajdzie i się napije, tak samo.

W końcu ją puścił. Wróciła na swój pień, jak obtańcowana panna wraca

na ławę pod ścianą. Marian dłonie oparł na kolanach, dyszał ciężko i wciąż się uśmiechał.

– Zmęczyłaś się?

– Ot tak, zasapałam. Człowiek dawno nie tańczył.

– To i prawda. Taką mam ładną żonę, a z nią nie tańczę. Jak wrócimy do domu, to cię na zabawę zabiorę, a co!

– Pierwej wojna musi się skończyć.

– Mnie się zdaje, że to już na dniach będzie. Ludzie gadali, że się szybko skończy.

Już nie wierzę w ludzkie gadanie. Mnie mówili, że z ciebie mąż dobry będzie, i co? Nie, no nie mam powodu do narzekania, kto by tam narzekał. Kochasz mnie, ustawicznie dajesz temu dowody, a że ręka twoja ciężka, a nerwy słabe, to już zupełnie inna sprawa.

– To jak wrócimy, pójdziemy na tańce – powiedziała. – A teraz idź między chłopów, pogadaj sobie z nimi. Co będziesz ze mną siedział? Ja sobie jakiejś babskiej roboty poszukam.

Nie musiał sam wymyślać wymówek, żeby ją zostawić, to poszedł zadowolony. Poczekala, aż między oborami zniknął, i ruszyła do dworu.

Ładny był ten dwór. Umiejscowiony na niewielkim podwórku, z kamienną podmurówką, bielonymi ścianami i czerwonym blaszanym dachem. Z przodu miał ganek wsparty na dwóch kolumnach, z tyłu oficynę. Tam też znajdowało się wejście dla służby. Krystyna stanęła w niewielkim przedsionku, ozdobionym jelenimi porożami. Czekala. W końcu dostrzegł ją lokaj.

– Za czym?

– Jestem Krystyna Malicka, do pani mojej mam sprawę.

– Malicka? Toż dopiero mąż był. Wam się wydaje, że państwo nie ma nic innego do roboty, tylko Malickich sprawy załatwiać.

– To ważne.

Lokaj samym tylko spojrzeniem dał do zrozumienia, jaka jest ważność sprawy Krystyny. Oczekiwał, to było jasne, że kobieta odejdzie, nie zwracając mu głowy, bo nie miał czasu zajmować się błahostkami. Ona jednak nie ustąpiła. Więcej nawet, ośmieliła się powiedzieć, że nie ruszy się, póki pani nie zgodzi się z nią rozmawiać, bo to bardzo, bardzo ważne. Wiedziała, że lokaje mieli w zwyczaju iść w głąb domu i po jakimś czasie wracać z informacją, że pan czy pani śpi, wobec czego przyjąć nie może.

To pełne wyrzutu spojrzenie, ten dąs oznaczały, że Krystyna jest okropna. Spuściła głowę i trwała uparcie. Przecież miała Bronię. Nie mogła pozwolić, by dziecku stała się krzywda. Każdemu innemu, ale nie jej dziecku. Niczego więcej poza nią nie miała na tym świecie.

Rad nierad, lokaj poszedł. Długo go nie było. W końcu zjawił się i dał znak Krystynie, że może pójść krok dalej. Gabinet, służący do przyjmowania gorszych interesantów, urządzony był skromnie. Proste biurko, fotel, pod ścianą krzesło dla przybyłych, na którym, gdyby zaszła potrzeba, mógł usiąść ktoś zmęczony czy starszy. Nie wyglądało na używane. Ściany przyozdabiały trofea myśliwskie, kilka obrazów i portret dziedzica. Krystyna stała tuż przy drzwiach, tak że na plecach czuła dotyk mosiężnej klamki, która najpierw była zimna, a potem stawała się coraz cieplejsza.

W końcu przyszła pani dziedziczka.

- Toż dopiero rozmawiałam z jej mężem.
- Dopraszam się łaski jaśnie wielmożnej pani, ale mąż mówi, że nas jaśnie wielmożny pan odprawia.
- A cóż innego ma z wami zrobić? Tu roboty dla was nie ma.
- Może co się znajdzie, cokolwiek. I jakiś dach nad głową.
- No to wymyśliła! Darmo chce jeść?
- Nie darmo. Pracować będziemy.
- Nierozumna jakaś! Przecież mówię, że pracy nie ma.
- Poczekamy, aż coś się znajdzie. Później nam wszystkie koszta z wypłaty będą odtrącane.

– Niech zrozumie wreszcie, że pracy nie ma. Jesteście tu zbędni. Wracajcie, jeśli chcecie, a jak nie, szukajcie po wsiach roboty. Mężczyźni poszli na wojnę, praca się znajdzie.

- Na wiosnę pewnie tak, ale teraz, na zimę?
- Taka mądra, że będzie mnie uczyła, jak się gospodarstwo prowadzi?
- Przepraszam jaśnie wielmożną panią.

Rozmowa nie miała trwać tak długo, bo nagle zjawił się tutejszy dziedzic z zapytaniem, co gościa wstrzymuje.

- Ona pojąć nie może, że są tu zbędni.
- Kochana, całe nasze życie to użeranie się ze służbą i chłopstwem. Są jak małe, bezrozumne dzieci, które nie wiadomo czego chcą, nauczyć się niczego nie mogą, sposobu nie ma, żeby coś zrozumieli. Daj pieniądze, to przepiją. Powierz zajęcie, nie wykonają albo źle zrobią. Wezmą do ręki jakiś sprzęt,

popsują. A pozwól coś mówić... O! To wtedy się, moja droga, dowiesz, jacy to oni uciśnieni, jak ziemi potrzebują, łąk, lasów. Pamiętasz, co się działo w tysiąc dziewięćset piątym i później? Wielki bunt chłopsko-fornalski. Kradli, pili i palili. Z carem przeciw ziemiaństwu się układali. A teraz przychodzi taka i chce, żebyś się nią zajęła. Jeszcze ci powie, że to twój chrześcijański obowiązek. Słuchaj no – zwrócił się do Krystyny – do jutra ma was nie być w moim majątku.

– Ja mam małe dziecko. Na śmierć je wysyłacie. Zlitujcie się choć nad nim. Pani widziała, co się działo. Pani widziała przy drogach...

– Zamknij się i wyjdź! – krzyknął dziedzic. – Twój bękart, twoja sprawa. I ciesz się, że czas do jutra daję, bo powinienem jeszcze dziś wygnać i psami poszczuć. – To mówiąc, dał znak lokajowi, a ten siłą Krystynę na dwór wyciągnął.

Patrzyła, jak zatrzasują się drzwi, ale tego nie słyszała. Świat pograżył się w niespotykanej ciszy. Nie szumiały drzewa, nie śpiewały ptaki, nie słyhać było ludzkich głosów. Próbowwała iść, ale nogi odmawiały posłuszeństwa. Zataczała się jak pijana. W końcu upadła. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę z przerażającego bólu, który szarpał jej pierś. Wygнали. Na zatracenie, na śmierć wygnali. Jak wieźć, jak w drodze usługiwać, to Maliccy dobrzy. Teraz byli niepotrzebni, więc ich wygnali.

– Pani nie płacze, pani Malicka – usłyszała obok siebie znajomy głos. Była to pokojówka pani, Józia. – Mnie też pani odesłała. Tutejszej służby wystarczy. Ten dziedzic to skąpy człowiek. Mówią, że boi się przez wojnę majątek stracić. Swoich ludzi też sporo odprawił.

– Powiedz mi, Józiu, po cóż nas tu ciągnęli? Toż my między obcymi ludźmi. Nikt nam nie pomoże, łyżki strawy nie da.

– Dlatego wracać nam trzeba. Do swoich.

– Do swoich – powtórzyła jak echo Krystyna.

Pozwoliła, by ją Józia z ziemi dźwignęła, ale nie poszła za dziewczyną, tylko tak stała. W duszy dławiący ból, w głowie słowa Gustka. Obiecywała mu, że nigdy socjalistycznych nauk o walce klasowej nie zapomni. Tymczasem nie tylko poszła na służbę, ale jeszcze widziała w swoich panach sprzymierzeńców.

Skupiona na sobie nie usłyszała kroków. Dopiero delikatne chrząknięcie uświadomiło jej, że nie jest sama. Myślała, że to Józia przyszła. Odwróciła głowę. Obok stała dziewczynka, starsza od Broni, ale wciąż jeszcze dziecko.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by dostrzec, że to nie jest chłopskie dziecko. Jasna cera, włosy ładnie uczesane w równe warkocze, związane kolorowymi kokardami. Błękitna sukienka, białe pończoszki i granatowe trzewiczki. Pewnie córka tutejszego dziedzica.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, dziewczynka się uśmiechnęła.

– Niech wybaczy ciotuni i ojcu. Oni nie są źli. Ja słyszałam, co mówiła, ale wiem, że tatko nie jest zły. On się bardzo o nas wszystkich martwi, dlatego on taki. Inaczej by nie wygnał. Niech wybaczy. I niech weźmie. – Wcisnęła coś w dłoń Krystyny. – Za to można dużo jedzenia kupić. To moje pieniądze, ja od wujaszka na urodziny dostałam i mogę zrobić, co chcę, to daję. Niech nikomu nie pokazuje i nic nie mówi. Schowa, a jak będzie czegoś potrzebowała, to niech dziecku swojemu kupi. Niech idzie z Panem Bogiem i ojcu wybaczy, bo urazę trzymać to grzech.

Odwróciła się i uciekła, zanim Krystyna zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Nieznacznie rozchyliła palce. Wiedziała, co trzyma w dłoni, myślała jednak, że to zwykły rubel. Nie był zwykły. Moneta okazała się złota.

Rozdział jedenasty



Umaszczenie koni bywa przeróżne, co ciekawe, nie tylko kolor sierści, ogona i grzywy, ale też skóry, a nawet oczu ma wpływ na wyznacznik maści. Najbardziej znane to oczywiście siwa, kasztanowa i kara. Mniej znane to bułana, gniada czy srokata. Istnieje też maść jabłkowita, hreczkowata, wątrobianą, tarantowata, izabelowata, biała (gdy nie tylko włoski, ale i skóra ma mleczny kolor), szpakowata, dropiata, perłowa, myszata, dereszowata. Również wszelkiego rodzaju plamki na głowie i na nogach mają swoje nazwy. Jest więc gwiazdka, strzałka, łyska, chrapka, latarnia, koronka, piętka, pęcina. Dawniej miłośnicy koni wiązali umaszczenie z charakterem konia. Mówiono, że siwy to nerwus, a „kto nie miał rudego, ten nie zna wrednego”. Nic dziwnego, że naukowcy podjęli się zbadania tej zależności. Okazało się, że siwe konie rzeczywiście są bardziej płochliwe, bo gen odpowiedzialny za ich umaszczenie może powodować zaburzenie widzenia i słuchu. Konie o ciemnej sierści są agresywniejsze, zaś kasztanowate śmielsze.

Lipiec 1927

Ależ ten dzień zmęczył Natalę. Wracała z pola powoli, krok za krokiem, podpierając się motyką jak laską.

– Z daleka kto by mógł pomyśleć, że to Pomiechowska idzie – powiedziała do siebie.

Może zdołałaby iść szybciej, wiedziała jednak, że gdy tylko dotrze do obejścia, zaraz znajdzie się jakaś robota. Czas obrządków zbliżał się nieubłaganie. Zaraz trzeba będzie krowy doić, siana im dawać, sieczkę rznąć, kury odszukać i do sionki zaganiać. To ostatnie zajęcie było najtrudniejsze, najbardziej wyczerpujące ze wszystkich, bo durne ptaszory włożyły na

drzewa, na dachy, na płoty. A im człowiek wyżej skakał, by zgonić, tym one wyżej się wdrapywały. Jednak jajko w życiu potrzebne. Pewnie dlatego gospodynie, zaciskając zęby, w milczeniu znosiły kłopoty, których przysparzała hodowla tych głupich ptaków.

Oczywiście gdyby matka popołudnie spędziła w domu, tak jak to obiecywała, obrządek byłby zrobiony, a kury dopilnowane i zagonione. Wiadomo jednak, że jej wierzyć można tak samo jak tej kurze, gdyby kleła się, że w szkodę nie wejdzie. Miała nad rzekę iść, prac, jednak Natała pewna była, że jak rano węzełek z praniem przygotowała, tak on dalej w sieni leży. Matka na pewno tędy nie siędy się wywinęła i pognęła na wieś. Siedzi u wujenki i na Wawrzka Adamczuka narzeka. Albo przed Pomiechowską łyzy leje. Czy też przed Antoszką Lipczewską. To najpewniej. Kogo jak kogo, ale ją uważała matka za najlepszą słuchaczkę. Żona Juliana nie miała odwagi Weronice złego słowa powiedzieć, dlatego też tylko kiwała głową i powtarzała: „Ta biednaście, moja Dołęgowo, biedna”.

Jeśli w pobliżu znalazła się Teofila, to matkę goniła, mówiąc, że się nie godzi takich rzeczy wygadywać, że Wawrzek to dobry człowiek, a Dołęgowa nie jest jedyną, co kogoś na wojnie straciła. Wtedy matka Natali przepraszała kiwała głową, zegnała się pośpiesznie i szła tam, gdzie więcej zrozumienia mogła znaleźć. Co ją obchodziło, że Lipczewskiej wojna zabrała córkę, i to jeszcze w tak okrutny sposób. Wszyscy we wsi wiedzieli, że kryjówkę dziewcząt ktoś musiał wydać, bo obcy nijak by ich na łąkach nie znalazł, gdyby nie wiedział, gdzie szukać. Teofila nie chodziła po chałupach, nie szukała sprzymierzeńców, nikogo nie obmawiała, winy nikomu nie zarzucała. Rozumiała, że gdy się mieszka płot w płot we wsi na pięćdziesiąt chałup, to pewne rzeczy muszą stanowić tajemnicę. Dlatego nie mówi się o pieniądzach, chorobach, podarkach, o hańbie, honorze. Teofila i cała ich rodzina milczała, o hańbie, która dotknęła ich rodzinę, nikt słowem się nie odezwał. Nie było szukania winnych ani skarg.

Matka Natali nie potrafiła zachować się właściwie. Naraziła się przez to na obmowę i plotki. Bo przecież wystarczyło, że wyszła z chałupy, w której łyzy lała, a już gospodyni biegła do sąsiadki, by z nią wizytę Dołęgowej omówić. Nie tylko wizytę, ale całą sytuację, która od lat stanowiła pożywkę dla ludzkiego gadania. Najpierw mówiono, że Hub znieść nie mógł wyjazdu Wawrzka do Ameryki, a zamiast Antka posłał Franka, bo mu zięcia nie było szkoda. Potem szeptano, że Franek nie wraca, pewnikiem zginął, a Weronika

czarnej chustki nie nosi. Kiedy zaś nosić zaczęła, zarzucano, że żałobę chce raz-dwa odbębnić i za innego pójść, bo męża nigdy nie kochała.

Jak się okazało, że ojciec Natali na wojnie zginął, wszyscy powiedzieli, że to kara za Hubowe grzechy, których ten się z Połajową dopuszcza. Gdy dziadek chodził po wsi i Wawrzka obwinał o śmierć Franka, według ludzi był to znak, że ma wyrzuty sumienia i winą chce kogoś innego obarczyć. Potem śmiali się z tego, jak Hub niedoszłego zięcia kłonicą przeżegnał. Od zeszłej jesieni zaś nie gadali o niczym innym, tylko o śmierci Huba i jej okolicznościach.

Doprawdy, w tej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej ich rodzinie było potrzeba, to matka chodząca po wsi i opowiadająca o swoim nieszczęściu. Te gospodynie, które do garnka nie miały co włożyć, patrzyły na nią ze złością i mówiły, że „ma dobrobyt, to przemyśla”.

Póki dziadek żył, to nad wszystkim pieczę trzymał. Pilnował własnej córki, żeby po wsi z jęczorem nie latała, doglądał gospodarstwa, Wojtka do roboty gonił, a i sam pracował za dwóch, swoje pole i Weroniki obrabiając. Teraz, gdy dziadka zabrakło, wszystko poszło w rozsypkę i każdy robił, co chciał. Babka z chałupy w ogóle się nie ruszała, tylko wciąż Wojtka posyłała do Łaszczowa do apteki. I choć to kawał drogi, chłopak szedł chętnie, bo za fatygę dostawał parę złotych, które mógł wieczorem w karczmie przehulać.

Co prawda matka, za namową wuja, najęła parobka, ale ten pracował tylko wtedy, gdy się na niego patrzyło. A kto miał patrzeć?

Tym oto sposobem wszystko spadło na Natalę. Musiała zajmować się polem i obejściem. Chodzić od brata do wuja, od wuja do brata i prosić, by zaorał, zabronował, zasiał, by krowę do byka zaprowadził, przy przyjsciu na świat cielaka pomógł, by kupca znalazł takiego, co nie oszuka, tylko uczciwie za towar zapłaci. A do tego każdego ranka musiała izbę ogarnąć, kury zmacać, strawy nagotować, krowy napoić, nakarmić, owcom rzucić siana albo do zagrody je wygnać. A gdy to skończyła, trzeba było ogród oplewić albo w pole iść. Wieczorem wracała do domu, tak jak dziś, na motyce się podpierając, świadoma, że czeka ją jeszcze tyle pracy.

Jeśli matka prania nie zrobiła, to kiedyż ja znajdę na to czas? Kartofle zarośnięte, w chwaście przepadną. Czy ona martwi się tym, co będziemy jadły zimą? Czy ją w ogóle cokolwiek obchodzi? Tylko latanie po chałupach i lamentowanie na swój los, co wcale nie był taki zły. Czyż nie gorszy los biednej Dmochowskiej? Zeszłej zimy zmarł jej mąż. A ona została już

całkiem bez pieniędzy, bez niczego. Poszła do Julka Lipczewskiego, bo ze wszystkich ludzi we wsi on miał największe uważanie. Julek z Ryziukiem wystarali się o deski i trumnę zbili. Jakoś tam chłopą odzieli, do trumny włożyli i po księdza pojechali, a śnieg był taki, że w niektórych chałupach okna zasłaniał.

Ksiądz powiedział, że on bez pieniędzy nie pochowa. Prosili, tłumaczyli, przecież katolików we wsi mało, warto o nich dbać. Ale proboszcz się zaparł. To oni wrócili do wsi, trumnę załadowali i na progu plebanii zostawili, tak żeby ksiądz nawet wyjść nie mógł. Sami zaś sanie zawrócili, że aż śnieg spod płóz wytryskiwał. Nie zdążyli do domu dojechać, już chłopak od plebanii biegł, żeby przyszli grób kopać. No i pochowali biednego Dmochowskiego, ale po tym ludzie bardzo na księdza się obrazili. Zaczęli chodzić do cerkwi Świętego Mikołaja. Toż to nie prawosławna cerkiew, tylko unicka. Papieżowi podlega, tak jak i my. I teraz kościół świecił pustkami, ksiądz się skarżył, namawiał, by na msze przychodzić, ale ludzie obrażeni.

Zresztą w cerkwi zupełnie inna modlitwa. Kolorowo, wesoło, dzwoneczki śpiewają. Ludzie idą na nabożeństwo biegiem, jeden przed drugim, a nie patrzą na siebie, jakby byli nieznajomymi. Niech no wejda, od razu się witają, całują, ściskają. Chłopaki gołębiami handlują, panny strzelają oczami za kawalerami, kawalerzy za pannami.

Tylko na Natalę nikt nie patrzy. I to nie dlatego, że szpetna, bo całkiem ładna z niej panna, i nie dlatego, że biedna, bo trochę tego pola ma. Wszystko przez zszarganą opinię, przez plotki. Spojrzy któryś chłopak, jego matka to zobaczy i zaraz mu mówi: „Tobie się stara Dołęgowa za świekrę marzy?“, albo gorzej jeszcze: „A jak ta Natała w dziadka Huba się wdała?“. I na tym się owo patrzeć kończy. Natali przez to smutno i przykro, nie dlatego, żeby jej się do zamążpójścia śpieszyło, toż ma dopiero siedemnaście lat, są takie, co do dwudziestu pięciu czekają. Najszybciej za męż idą te, którym się wianuszka nie udało upilnować, i te, którym się kto znaczny trafia. Inne spokojnie czekają. To i Natała poczeka, toż po innych wioskach są kawalerowie, a ona z domu bogata.

Była jeszcze daleko od swojego obejścia, a już słyszała smutne nawoływania Krasej. Biedna krowina, nie wiadomo, czy głodna, czy spragniona. Bo pewne to, że wezbrane wymię jej nie dokuczało. Mleka dawała coraz mniej, bo i jadła marnie. Matka nie dopilnowała, parobek w dupie miał. Pastwisko duże, trawa wysoka, a krowina głoduje. Cudze

z tego korzystają, bo jak swoją wygryzą, to są delikatnie naganiane ku pustej łące. A przecież ta krowa mleko daje na ich pięcioro.

Dziadek trzymał krów trzy, mleko sprzedawał. Po jego śmierci babka z matką uradziły, że im tyle mleka nie trzeba. Jedną krowinę zostawiły, jedną sprzedały, a jedną, żeby było sprawiedliwie, oddały wujence. Oj, cieszyła się Anielka, cieszyła, bo bardzo lubiła krowy, całą oborę już ich miała. Woły kazała sprzedać, końmi teraz w polu robili. „Na cóż to trzymać i woły, i konie – mówiła wujkowi – skoro konie mogą orać, a wołami do miasteczka nie pojedziesz. Tylko miejsce w oborze zajmują, krowy objadają, a poorzą, pobronują i tyle ich roboty. Inni gospodarze dawno już z wołów poschodzili i końmi się obrabiają, to i my tak zrobimy”.

Tym sposobem mieli teraz cztery krowy i zacieloną jałówkę. Natała cieszyła się, jakby to jej własne były, ale nie przez wzgląd na siebie, tylko z powodu Walerci. Było to oczko w głowie Natali i jej miłość największa. A do tego, co napawało Natalę przeogromną dumą, chrześnica. „Gdyby mi się co, nie daj Panie Boże, stało, to się o Walercię nie martwię, bo ty ją kochasz jak swoją” – powiedziała Aniela, gdy prosiła w kumy.

Doczłapała się wreszcie Natała do domu. Na drodze przed ich obejściem stała Pomiechowska. Jak czapła wyciągała szyję, by zajrzeć, co też się na podwórzu dzieje. Z miejsca, w którym stała, niewiele można było zobaczyć. Natalę korciło, by podejść i powiedzieć: Nie krępujcie się, Pomiechowska, bliżej podejdźcie, w obejście popatrzcie. Sprawdźcie, cóż się tam dzieje, żebyście później ludziom mogli wszystko dokładnie opowiedzieć. Powstrzymała się jednak. Po cóż mają jeszcze o niej gadać, że kwaśna jak ocet? Minęła tamtą, burcząc tylko: „pochwalony”, i weszła na podwórko. Od razu wiedziała, co zwabiło wścibską sąsiadkę. Na podwórzu stał wóz. Nie był to ani wóz wuja, ani żadnego z braci, ani nikogo znajomego.

Przywiązany do płotu koń pochylił łeb i wygryzał rzadkie kępy rdestu porastające podwórko. Skubał je, marszcząc przy tym wargi, tak jak panna marszczy materiał spódnicy, gdy się boi, by jej nie zachłapać błotem, przez które iść musi. Koń podnosił wargi, bo one bardzo delikatne, a podeschnięty rdest twardy. Kiedy udało mu się uszczknąć kilka gałązek, podnosił łeb do góry, grzywą potrząsał i żuł powoli, z rozmysłem. Inaczej niż krowa, która najpierw tylko zrywa i łyka, zrywa i łyka. Dopiero gdy żwacz napełni, kładzie się, by spokojnie wszystko przeżuć. Dlatego krowie nadmiar trawy nigdy nie szkodzi. Cały rok mogłaby ją jeść.

Koń zaś musi mieć siano. Jeśli zje zbyt dużo zielonego, może skrętu kiszek dostać. Trzeba o niego zupełnie inaczej dbać, poić inaczej, karmić inaczej, a przekarmić nie wolno pod żadnym pozorem. Pewnie dlatego w tych gospodarstwach, gdzie są konie, to mężczyźni o nie dbają. Kobieta zawsze sypnie więcej obroku, siano więcej położy, ziarna rzuci, zupy naleje, bo ona z serca karmi i chce, by było do syta.

Natala pomyślała o bułanych ogierach dziadka, które wuj Antek zabrał. „Nie zostawię ja ich u was na zmarnowanie” – powiedział. Zostali z parą gniadych kobył. Szczęściem Wojtek konie lubił i do dbania o nie nie trzeba go było ani zachęcać, ani gonić. Natala lubiła na nie patrzeć, gdy tak stały w oborze i skubały siano. Było w tych zwierzętach coś magicznego. Kształt łba, szyja, grzywa i ogon miały w sobie niezwykłą szlachetność. Ta aksamitna skóra, nogi takie zgrabne. A oczy! Jakże konie miały piękne oczy. I to spojrzenie, jakby poznawszy cały brud tego świata, uznały, że należy przyjąć go z pokorą.

Na jej widok obcy koń zarzucił łbem i parsknął. Podeszła i poklepała go po karku. Czemuż ten, kto przyjechał, nie zdjął orczyka? Odpiętemu od wozu zwierzakowi powinni tylko nogi spętać, by daleko nie odszedł. Niechby sobie po podwórku chodził i spasał, co do spasienia było. Widać ten, co przyjechał, podobny jest do matki i ma uważanie najpierw o siebie, potem o bydłota.

A ona, Natala, zupełnie inaczej. Oparła motykę o ścianę obory i poszła zajrzeć, co się tam dzieje. Krasa stała przy pustym żłobie, z nudów go obgryzając. Podobnie świnia, znudzona oczekiwaniem na posiłek, ryła w swojej zagrodzie. Jak tak dalej pójdzie, podkopie się pod podwaliną i na podwórko wylezie. Zdarzało się to nie raz, tak u dobrych, jak i złych gospodarzy. Na świnie zamka nie ma. Jedynie dobre jedzenie i lenistwo są ją w stanie w zamknięciu utrzymać. Ale jeśli przyjdzie jej do łba, żeby ryć, to dziurę wyryje czasem taką, że trzylatek bez schylania głowy tamtędy by wyszedł.

Złapała Natala za cebrzyk, który stał przy drzwiach obory, i pobiegła do studni. Kilka, jeśli nie kilkanaście kursów zrobi, nim krowę napoi. Dziś gorąco, pewno jej się pić chce. Z owcami to jedno dobre, że nie piją. Gdy niosła wiadro, koń spojrzał na nią tęsknie. Westchnęła. Dałaby mu wody, ale to wiadomo, czy wolno? Przepoić gorzej niż nie napoić. Przystanęła. Iść do izby spytać? Później może, jak się ze swoim obrządkiem obrobi.

Parobka nigdzie widać nie było. Spał pewnie zagrzebany w sianie albo już

na progu karczmy siedział, przyglądając się, kogo by tu zaczepić, by kieliszek wódki postawił. Jeszcze jeden powód do wstydu to ten parobek. Czemuż matka na to pozwala, czemu nie pogoni lenia na cztery wiatry?

Gdy skończyła biegać z wiadrami, wzięła się do przyrządzania treściwej paszy dla krowy. Osypki jeszcze trochę było, podsypała do żłobu, resztę wymieszała w szafliku dla świni. Matka nawet zlewek nie raczyła przynieść, a teraz siedzi nie wiedzieć z kim. Ciekawe, czy gotowanego trochę zostawili. Natali bardzo jeść się chciało po całym dniu roboty. Jeszcze tylko siana nanieść i będzie można iść do izby. Odruchowo wygładziła brudną zapaskę. Może poczekać, aż ten, co tam siedzi, pojedzie do domu? Jakby to wiadomo było, kiedy on zamierza się zbierać. Żołądek ścisnął jej się boleśnie i zapłakał burkliwie, dając tym znak, że trzeba już iść do izby.

A tam wesoło, rozmowa, śmiechy. Matka po izbie chodzi zadowolona. Dawno jej Natalia takiej nie widziała. Może nawet tak dawno, że już nie pamiętała.

– A gdzieś ty się podziewała, co, Natałka?

– Toż w polu byłam.

– W polu była. Robotna ta moja córeczka jak mało która. A siadaj, siadaj tu z nami.

Natala usiadła na ławie. Spojrzała na gości, raz, drugi, potem głowę opuściła. Nie znała ich, nie byli z Tynczyna. Dwaj mężczyźni, na oko blisko trzydziestoletni, wąsaci, ze strzechami jasnych włosów, wciąż bez śladów siwizny. W jakiś sposób podobni do siebie. Wysocy, chudzi, żyłaści, o twarzach spalonych słońcem, tak że białka oczu błyskały w nich jak ziarna fasoli zgubione na roli.

– A ty może głodna? – zapytała matka.

Natala skinęła głową. Zaraz też dostała miskę zupy, tej, co ją rano sama gotowała, tyle że pływał w niej kawałek kiełbasy. Spojrzała na niego zdziwiona, bo nie pamiętała, by taki rarytas był w domu.

– A to z gościńca, pan Lesiuk przywiózł. Naści chleba, nie można tak samej zupy jeść, bo przez kiszki przeleci. Trzeba coś na zatrzymanie. Jedz, jedz.

Natala zanurzyła łyżkę w zupie i wyłowiła kiełbasę. Odgryzła kawałek. To ci dopiero jedzenie! Mięso, długo w ropy trzymane, stało się kruche i słone, ale nie suche. Czosnek i przyprawy podkreśliły jego smak. Żuła powoli, chcąc jak najdłużej się nim cieszyć. Urwała kawałek chleba i wrzuciła do zupy, żeby nasiąkł. Dobry to był chleb z puszystym mięszem, widać, że nie

przez matkę pieczony.

– A ty co tak nic nie mówisz, Natała? Toż do ciebie goście przyjechali.

– Nawet pies, jak je, to nie szczeka – powiedział jeden z nich.

Gdybym miała co powiedzieć, tobym ci powiedziała, żeś głupek, pomyślała. Nagle przypomniała sobie o koniu.

– Temu koniu to pić się chce. Wody mu dać?

Nim którykolwiek z mężczyzn zdążył odpowiedzieć, matka już trajkotała pochwałą, jakaż to Natałka dobra gospodyni, jak o wszystko w obejściu ma uważanie. I jaka zaradna, mądra, a grzeczna, choć bez ojca chowana. Natała zeszywniała w obawie, że zaraz się zacznie wylewanie żalów na los, dziadka i Wawrzka, ale na tym jednym wspomnieniu się skończyło.

– A panna Natała to zabawy lubi? – zapytał jeden z nich, ten, co miał twarz okrągłęjszą, a oczy mniejsze.

Pokręciła przecząco głową.

– To nie jest dziewczyna, co ma pusto w głowie – powiedziała matka. – Ona do roboty chętna, ale nie do zabawy. Prawda, Natała? A ty powiedzże co, bo goście gotowi pomyśleć, żeś ty niemowa.

– A co ja tam będę gadać po próznicy?

– Widzicie, nawet w słowach oszczędna.

Natała ze złością pomyślała, że gdyby matka z takim zapałem zachwalała ich plony, to byłyby bogaczkami na całą wieś. Nic nie powiedziała, siedziała ze spuszczoną głową, skrobiąc łyżką po dnie pustej już miski.

– To może my coś na rozwiązanie języka, co wy na to, gosposiu?

I ten ze szczuplejszą twarzą sięgnął za pazuchę. Wyciągnął butelkę, na stole postawił, a dumny był z siebie taki, jakby nie siwucha, a woda życia tam była.

– Jest i wódka, jest i zakąska. – Na stole pojawiło się pętko kiełbasy.

Matka szybko się zakrzętnęła, na stole już stał kieliszek i gliniany kubek, dawno przez nią na odpuście w Krasnobrodzie kupiony. Pocięła kiełbasę na mniejsze części, położyła chleb. I już butelka była odkorkowana, wódka się lała. Najpierw wypić matka i ten grubszy, później kubek powędrował do chudszeo, a kieliszek do Natali. Nie chciała pić, ale pomyślała, że kto nie pije, to i nie zakąsza, a ona wielki miała apetyt na tę kiełbasę. Wypić, wstrząsnęła się, jak każdy, kto do wódki nie nawykł. Oddała matce kieliszek i wzięła kiełbasę, którą tamta podała.

Zrobiło się dziwnie ciepło w żołądku. Dobra ta kiełbasa. Smakuje nie tylko

dlatego, że Natalia po całym dniu na polu zmęczona i głodna. Po prostu jest dobra. Ot, postarał się kawaler. Ciekawe, który to z nich? Rzuciła szybkie spojrzenie. Wszystko jedno który, żaden nie był ładny. Nie to, żeby Natalia chciała szczególnie ładnego, ale za paskudę iść nie musiała, bo przecież dopiero zaczynała pannaowanie. Toż to pierwszy kawaler, a nie ostatni.

Nagłym lękiem przejęła ją myśl, że może tak się zdarzyć, że ten będzie jednocześnie pierwszym i ostatnim. Co wtedy? Nawet jeśli któryś z nich miałby być jedynym mężczyzną na ziemi, toby za niego nie poszła. Lepiej w ogóle za mąż nie wychodzić. A gdzie ty miejsce znajdziesz na stare lata, jeśli przy dzieciach go sobie nie zapewnisz. Twoja matka to sobie zapewnia? Toż Wojtek na pewno jej nie weźmie, a i Natalia chętnie by jej się z chałupy pozbyła, bo do roboty się nie garnie, a tylko obmowę po wsi robi. Może jej się trafić zięć dobry, tak jak Połajowej, ani wuj Antek, ani Adamczuk złego słowa na Hankę nie powiedzą, choć to kawał szelmy. A może taki, któremu jazgocząca w chałupie świekra przeszkadza.

– Jeszcze po kapce, gosposiu – zachęcił ten grubszy. – A jak tam, panno Natalu? Dobra wódka?

Wódka zawsze dobra, pomyślała ze złością. Dla tych, co ją lubią, to ona dobra, ale dla tych, co nienawykli, niczego dobrego w niej nie ma. Tylko w głowie się mąci.

A o tym koniu znowu zapomnieli.

– Koniu wody trza dać – powiedziała. Dziwnie zabrzmiał jej głos, obco, nierówno, tylko tak faliście, jakby kto niewprawny grał na fujarce.

– A co ty, Natalia, z tym koniem? Toż parobek od tego jest, by się takimi rzeczami zajmował.

– Parobek gdzieś śpi albo pije. Sama musiałam krowie dać. W ogóle nienapasiona. Ryczała, aż żal za serce ścisnęła.

– Zastanów się, co też gadasz, dziewucho. Pleciesz, co trza i co nie trza. Nie słuchajcie, bo to siwucha.

Pucołowaty machnął ręką.

– Parobka pilnować gospodarska rzecz. A wam tylko pozazdrościć, że najmitę macie.

– Bo to było inne wyjście? Chłop mnie zostawił i do Ameryki popłynął. Stamtąd na wojnę poszedł i zginął. Brat na swoim rady nie daje, a ja bez zięcia jestem, to musiałam parobka nająć. Bo kto będzie orał, kto siał? Pójdzie baba na pole siał? Toż będzie i śmiech, i wstyd, i grzech. A na

koniec i tak nic nie wszędzie, bo z babskiego siana zboże nie wschodzi.

Mężczyźni skinęli głowami, przyznając jej rację. Tak to już było od dawien dawna, że swoją robotę miał chłop, a swoją baba. On orał, bronował i siał, z kosą chodził na łąkę, z kosą chodził na pole, cepem robił, snopy i siano na wozie układał, gnój na pole woził, o konie dbał. Nigdy pod piecem nie rozpalał, chyba że sam mieszkał, stawy nie gotował, chleba nie miesił, krów nie doił, izby nie sprzątał, koszul nie prał. KobiECE to były zajęcia, podobnie jak wiązanie snopów, żęcie zboża sierpem, nakładanie snopków na wóz, podawanie siana chłopu, co stertę z niego stawiał.

Chłop ciężiej pracował latem, za to zimą spał całymi dniami. Babie na sen czasu nie starczało, bo musiała pierze drzeć, prząść i tkać. Wszystkie jej zajęcia były lżejsze, ale miała ich znacznie więcej. Dlatego też gdy chłop całkiem sam został, to przepadał ze szczętem, chyba że miał usługne sąsiadki, co mu w domowych zajęciach pomagały. Sama kobieta znacznie lepiej sobie radziła, jeśli miała za co nająć kogo, by jej w polu pomógł. Jeśli nie, to musiała iść do kogo na odrodek. Pobiegła do sąsiada snopki wiązać, to on, gdy już się obrobił, przyszedł na jej pole z kosą. Pomogła kartofle zbierać, to było komu pszenicę zasiać.

– Zięć wam potrzebny, gosposiu – powiedział pucołowaty.

– Toż ja go wyglądam jak zbawienia. Moja Natalia ładna panna, robotna i z posagiem.

– To my na wiecu w Małoniżu słyszeli. Pytamy, gdzie tu jaka ładna panna na wydaniu, a oni nam mówią tu i tu, tak i tak się pisze. To my w te pędy do was. A tu wszystko jest tak, jak ludzie gadali – powiedział pyzaty.

A ten szczuplejszy dodał, że lepiej jeszcze, bo wesoło.

Po takich słowach nie było wyjścia, musiały kieliszki pójść w ruch. Natali, której już przestawało się w głowie kręcić, znów świat zawirował. Zamknęła oczy. Myślała, że to będzie tylko na chwilę, ot tak, żeby odpocząć. Przymknie na chwilę powieki, a ponieważ w izbie ciemno, bo lampa tyle światła daje, że tylko stół rozjaśnia, to nikt tego nie zauważy. Oparła się o ścianę, zamknęła oczy...

– Natalia! Gości trzeba żegnać. Wstyd.

Zdumiona rozejrzała się po izbie. Na stole stała pusta butelka, a mężczyźni byli już przy drzwiach.

– Toż to młódka jeszcze, dajcie jej spać, gosposiu kochana.

Wytoczyli się z izby. Głośnym pożegnaniem towarzyszył śmiech.

A o konia nikt nie zadbał, pomyślała Natała. I znów zasnęła.

Obudziły ją odgłosy krzątania. Ranek wstawał, matka kręciła się przy kuchni.

– Toś się popisała – powiedziała, widząc, że córka oczy przeciera. – Do pacierza klękaj i zaraz za robotę się bierz. Tacy kawalerowie przyjechali, a ta na ławie śpi, aż chrapie.

– To z wódki.

– Nakaz był pić? Mogłaś ładnie podziękować.

To racja, pomyślała Natała. Następnym razem, jeśli następny raz będzie, podziękuje i piła nie będzie.

– A kto to był? – zapytała.

Matka spojrzała na nią tak, jak ludzie patrzyli na Zośkę Kociarę – z politowaniem i współczuciem.

– Toż do ciebie w kawalerkę.

– To ja wiem, ale się pytam, kto to taki, skąd jest.

– Maciej Lesiuk z Przewala i brat jego, Grzegorz. Maciej już ożeniony, a Grzegorz wciąż kawaler, za panną się rozgląda. Tak i trafił do nas.

– Stary on. Ze trzy krzyżyki ma, najmarniej.

– Co ty tam, głupia, wiesz. Dwadzieścia pięć lat ma. To na chłopaka akuratny wiek do żeniaczki. Wojsko odbyte, durnoty ze łba wywietrzały. Stateczny. Będzie jakaś panna miała z niego radość, oj będzie miała.

A niech sobie ma, byłem to ja nie była tą, co za niego pójdzie, pomyślała Natała, a na głos zapytała:

– To mama chcą mnie tak wydać za pierwszego lepszego?

– Czy on do ciebie z wódką swaty przysłał? Nie wydaje mi się. Ot, przyjechał zapoznać, a ty już od razu nosem kręcisz.

– Co mam nie kręcić, jak ja jeszcze nie w latach? Mogę sobie poczekać na kogo lepszego niż ten Lesiuk.

– Z całego serca ci życzę, córuś, żebyś kogo lepszego, a nawet najlepszego na świecie dostała. Tylko zapamiętaj moje słowa. Na kawalera nosem nie kręć. Uśmiechaj się, co tam zagadnij, nie mów ani tak, ani nie, bo nie wiesz, co ci pisane. Trafi się lepszy, to za niego pójdiesz, a nie, pójdiesz za tego, co się trafia. Taki to świat.

Natała już miała do pacierza uklęknąć, ale jeszcze coś przyszło jej do głowy.

– A z wami i ojcem to jak było?

– Nijak. Dziadkowi twemu się zawsze marzyło to pole, co Dołęgi przy naszej miedzy mieli. Tamtym zaś dziadkowego pola się chciało. Tak starzy nas połączyli, nie patrząc, czy nam się to podoba, czy nie. – Zatrzymała się w pół ruchu, zadumała. – Dlatego ja ani na Wojtkę, ani na ciebie nastawała nie będę, do ołtarza pójdziecie, z kim zechcecie. Ot, po macierzyńsku, z serca doradzę, ale zrobisz, jak zechcesz.



Ciasto warszawskie

25 dkg mąki ziemniaczanej, 25 dkg mąki pszennej, 20 dkg cukru, 25 dkg masła, 3 jajka, 2–3 łyżki mleka, 15 g proszku do pieczenia, wanilia.

Masło utrzeć na pianę, dodać cukier, żółtka, wanilię i obie mąki z proszkiem. Na koniec pianę z białek. Wypełnić ciastem formy wysmarowane tłuszczem. Piec około godziny.

Krystyna 1915

Było tak, jakby Bóg spalił świat, a oni szli przez morze popiołu. W błocie dróg odcisnęły się tysiące śladów ludzkich i zwierzęcych. Ptaki milczały. Krystyna po raz pierwszy w swoim życiu nie słyszała ptasich głosów, ani wróbla, ani dzierlatki, ani sowy. Może dlatego już z daleka słysząc było skrzypienie wozów, ciągniętych przez zmęczone konie. Przystawała wtedy, słuchając, czy głos się oddala, czy zbliża. Może podwiozą choć kawałek, jeśli nie wszystkich, to może choć Bronię. Rzadko to się zdarzało. Ludzie nieskorzy byli do pomocy. Bali się. Bali się wojska, złodziei, szabrowników, dezertarów, chorób, pragnienia, głodu, pogody, dziczałych psów i wilków. Tylko Boga już się nie bali.

Krystyna, jakby na przekór światu, rozstawała się ze strachem. Podobnie jak inni najpierw bała się wszystkiego. Aż dotarła do miejsca, gdzie była tylko jedna ścieżka, prowadząca ku zatraceniu. Widziała takich ludzi, o rozbieganym spojrzeniu, których własny cień przyprawiał o gwałtowniejsze bicie serca. Nie chciała... nie mogła być jedną z nich. Miała Bronię. Musiała ją chronić. Strach, co spotkałoby córkę, gdyby jej, Krystynie, coś się stało,

był jak zimny sztylet wbijający się w serce. A mimo to wciąż trzymała tę myśl blisko. Wywoływała w wyobraźni obrazy, na których samotna córeczka brnęła przed siebie błotnistą drogą, głodna, spragniona, chora. W momencie, w którym Krystyna zamknęłaby oczy, Marian porzuciłby dziecko, tak jak zrzuca się z wozu zbędny balast, by zmęczonym koniom lżej było iść.

Nie kochał córki, tak jak nie kochał nikogo poza tym chłopczykiem, którego miał w sobie. Dla niego gotów był zrobić wszystko, jemu schlebiał, jego chronił, chciał zadowolić, spełnić marzenia. A że wszystko wokół jakby się przeciw tamtemu sprzysięgło, dlatego też ogromna złość ogarniała Mariana i wyżywał się na wszystkim i wszystkich. Gdyby Krystyna umarła, Bronia zajęłaby jej miejsce. Ojciec zrobiłby z niej swoją służącą, a kiedy wpadłby w gniew, biłby córkę. Może i gorsze rzeczy by robił. Nie na trzeźwo, ale pijany stawał się nieobliczalny. Krystyna była murem, który odgradzał córkę od ojca. Nie mogła runąć, nie wolno jej.

Pamiętasz, co się stało wtedy, gdy zawiodłaś? Gdzie tamto dziecko, które pozwoliłaś zabić? Może i lepiej dla niego, że nie patrzy na ten spopielały świat. Głupstwa, to przeminie, a zawsze lepiej żyć niż nie żyć w ogóle.

A i Broni raz nie upilnowałaś, pamiętasz?, pytał ten głos w głębi niej, nie wiadomo, swój czy obcy. Pamiętała, jakżeby miała nie pamiętać. Każda minuta tamtego zdarzenia wyryła się w pamięci Krystyny. Zmierzchało. Przez maleńkie okienko wpadały do izby ostatnie smugi szarości, wspomnienie dnia, który gasł powoli, tak jak dogasa ogień w palenisku. W izbie wciąż jeszcze nie zapalono świeczki. Po cóż to komu, gdy wieczerza skończona, miski w szafliku opłukane, a przecież szyć czy prząć nikt nie będzie.

Prząc się nie będzie dlatego, że z wrzeczona inny robi się użytek.

Razy nim zadawane spadają na ręce, którymi osłaniana jest głowa, na barki, plecy. Uderzenia są bolesne, tak bardzo bolesne, że chciałoby się wyć jak szlachtowane zwierzę. A jednak w izbie cicho, jeśli nie liczyć odgłosu razów, ale że spadają na ciało, to ich nie słyszać. Nie wolno krzyczeć, bo w izbie śpi dziecko. Po co ma wiedzieć, co robią rodzice. To nie jego sprawa. Niech zachowa obraz rodziny taki, jaki widziało przy wieczerzy. Ojciec wierzchem dłoni ściera z wąsów omastę, matka odrywa kawałek chleba, by wytrzeć nim tłuszcz z dna miski, z uśmiechem pytając, czy syci, bo czas spać.

Kolejne ciosy, męska dłoń wciąż nie traci siły. Między nimi słowa, szeptane z pasją, o tym, jak bardzo on ją kocha, a ona jest kurwą, co do

każdego się uśmiecha. On ciężko na nich pracuje, a ona tylko oczyma strzela, z kim by tu w krzaki iść. Jakiś ty głupi, myśli Krystyna. Kto by chciał dotykać tego siniego ciała, którym sama się brzydzi? A nawet gdyby chciał, czy ty wiesz, że tam, gdzie odzież ściślej przylega do ciała, tam żywym ogniem pali? Jakże się wobec tego dać komuś objąć, przytulić, kiedy pieśczoła ból zadaje? A nawet jeśli bym dała radę ją znieść, to i po co? Tego, co od ciebie dostaję, to aż z nadatkiem.

– Mamo? – Dziecięcy głosik doleciał z oddali, jakby zza mgły, i nie wiedziała, czy to ją wołają, czy sama woła.

Serce, jak przerażony koń, wydało przeciągły pisk i zerwało się do szaleńczego biegu. Dziecko moje, dziecko? Gdzieś ty? W ciemności izby miotała się na pamięć między sprzętami. Dziecko trzeba ukryć, schować, obronić, by żadna krzywda mu się nie stała. By na jego jasną główkę ani jeden raz nie spadł.

Krok, plaśnięcie bosej stopy po klepisku i naraz świst, a później rumor. Uderzył ją, zanim zdołała podbiec i zasłonić. Małeńkie ciało opadło bezwładnie. Cisza. Złapała za nóż. Zabiję cię za to, coś zrobił, pomyślała. Zabiję, jak tłustego wieprzka na Wielkanoc zaszlachtuję, nie zdązysz kwiknąć.

W tym momencie izbę wypełnił rozdzierający płacz. Krystyna odłożyła nóż i podeszła do córeczki. Zamknęła ją w ramionach. Dziewczynka nie wiedziała, co się stało. Pewna, że w ciemności zawadziła o jakiś sprzęt, skarżyła się matce na tę niesprawiedliwość losu. Krystyna pamięta, jak delikatnie obmacywała kruche ciało, sprawdzając, czy ono całe, czy kosteczka jakaś niezłamana, czy nie ma rany, krwią broczącej.

To było tak dawno, a przecież ona wciąż pamiętała. I tamto maleństwo, które Marian z niej wybił, też pamiętała. Też je kochała i nadal za nim tęskniła. Wciąż sobie wyrzucała, że była zbyt słaba, by je ochronić. Teraz tak nie będzie, znajdzie w sobie siłę, która pozwoli przetrwać im obu, bez względu na to, co działo się wokół. Ani ojciec, ani wojna, ani śmierć, która szła za nimi krok w krok, nie odbiorą jej córeczce przyszłości. Normalnej, szczęśliwej przyszłości.

Krystyna krok za krokiem cofała się, by odejść od miejsca, w którym popada się w obłęd. Każdy krok oddalał ją od strachu, aż znalazła się w kraju odwagi i siły. Nie była to dzika brawura, dobrze wiedziała, co by spotkało je obie, gdyby na drodze trafili na dezertów, złodziei czy wilki. Musiała robić

wszystko, by tak się nie stało – trzeba nasłuchiwać wszelkich odgłosów, unikać ludzi, nie wchodzić w ciemny bór. Szukać schronień, których nie wypatrzy najbystrzejsze oko. Zdobywać jedzenie i wodę tak, by nie rzucać się w oczy.

Marian zauważył zmianę, jaka zaszła w żonie. Było z nim jak z tym psem, co szczeka i kąsa, dopóki kija na niego nie podniesiesz. Wtedy, choć nawet jeszcze nieuderzony, zaczyna skomleć i do nóg się łąsić. Mąż spotulniał i słuchał jej we wszystkim. Wiedziała, że nie może mu zaufać, tak jak i temu psu by nie zaufała, świadoma, że gdy tylko na moment wzrok odwróci, on wbije zęby w jej łydkę.

Dni nie różniły się od siebie, podobne paciorkom, co je panna nawleka na nitkę. Spali w rowach, pod stertami, jeśli gdzieś jeszcze jakaś została, w krzakach, pod kościołami, czasem, ale to bardzo rzadko, w oborach czy stodołach. Bywało, że jakiś dobry człowiek podzielił się czymś do jedzenia, częściej głodowali. Krystyna w kuchni tamtego dziedzica użebrała chleba na drogę, lecz dawała go tylko Broni. Dla siebie i Mariana szukała tego, co przyroda darmo ludziom daje – orzechów, owoców, grzybów, ziół. Byle tylko trochę wody i ogień, już coś tam zamieszała w garnuszku. Dobrze, że sól miała. Dobra kucharka nigdzie się nie rusza bez soli, której ani na polu, ani na łące nie znajdziesz. Inne przyprawy wypatrzysz między trawami – tu macierzanka, tam kminek, ale sól na drzewach nie rośnie, a bez niej strawa bez smaku.

A jednak każdy z tych bezimiennych dni sprawiał, że zbliżali się do domu. Domu? Marian myślał o powrocie do dworu, do służby, ale Krystyna nie była tego taka pewna. Czy przyjmą ich z powrotem, czy może ktoś inny zajął ich miejsca? A może pan odesłał część służby, bo na cóż mu teraz tyle osób? Przestraszony wojną, która odbierała dochód, odprawił darmozjadów? O jeszcze jednym myślała Krystyna: co, jeśli pani napisała do swojego męża, żaląc się na zachowanie Malickich? Niedobrze byłoby stanąć z dziedzicem oko w oko i usłyszeć porcję gorzkich słów, na które wcale sobie nie zasłużyli. Pracowali uczciwie oboje, choć nie byli za to uczciwie wynagradzani. Gdy wędrowali przez kraj ogarnięty wojną, opiekowali się panią, a kiedy już przybyli na miejsce, ona nie czuła się w obowiązku zatroszczyć o nich, o ich dziecko. Wyruszyli z powrotem bez pieniędzy, bez konia i wozu, nawet jedzenia na drogę nie dostali, o zapłacie za służbę w podróży nie wspominając. Po cóż wracać do takich ludzi?, pytała samą

siebie Krystyna. Inna sprawa, co począć, jak na życie zarobić, czym dziecko wykarmić? Trzeba iść na służbę, przynajmniej na razie, póki trwa wojna, później się pomyśli o zmianie losu. A co, jeśli pan zabity, dwór spalony i nie ma do czego wracać?

Bez względu na to, gdzie teraz był ten ich dom, zbliżali się do stron rodzinnych. Powietrze, choć przesycone oddechem śmierci, inaczej pachniało. Tu więcej wiosek ocalało od wojennej zawieruchy. Po polach widać było zniszczenia – zboża stratowane przez konnicę albo spalone, ziemia porzucona i nieobsiana, bo widocznie nie ma już komu – ale budynki stały niezniszczone. Jeśli mieszkali w nich ludzie, to na widok wędrowców uśmiechali się życzliwie. Niektóre wsie zupełnie były wyludnione, inne nie. Liczni prawosławni opuścili swoje domy, by szukać opieki pod skrzydłami cara, posłuszni jego nawoływaniom, by opuścić tereny, na które wkraczał wróg, przestraszeni tym, co mówiono o okrucieństwie Niemców, pewni, że gdzieś tam w głębi Rosji czeka na nich spokojne i bezpieczne miejsce.

Katolicy, protestanci, unicy, którzy jakiś czas temu siłą zostali przymuszeni do prawosławia, i mojżeszowi, wszyscy oni zostali w domach i jeśli wojna nie zapukała do ich drzwi, sami jej się na oczy nie pokazywali. We wsiach, ukrytych między lasami, daleko od głównych dróg i ważnych strategicznie punktów, życie toczyło się w miarę normalnym rytmem. Głodno było i biednie, bo wszystko, co dało się zjeść, zarekwirowano dla wojska. Pola zostały nieobsiane, co napawało smutkiem, ale jak tu siać, kiedy albo zboża na siew nie ma, bo dla armii zabrali, albo nie ma ani koni, ani wołów do ciągnięcia pługa, bo te wojsko pozabierało na potrzeby własne, konie do wozu, woły do zjedzenia.

Jeśli zaś nawet było i zboże, i woły, to zabrakło w chałupie siewcy, bo powołanie dostał i na wojnę poszedł. Przecież chłopska to rzecz ziarno w rolę rzucać, źle by się stało, gdyby kobieta to zrobiła, grzech by był i obraza boska. Pola leżały więc odłogiem, a ludziom w brzuchach burczało. Jedli to, co wyhodowali w ogrodzie, co przyroda dała. Po krzakach ukrywali krowy, ostatnie żywicielki rodzin, w jamach przetrzymywali świnie, kury trzymali pod korcami w najciemniejszych zakamarkach komór. Biednie im było i bali się, bo w każdej chwili do wioski wpaść mogli żołnierze i zabrać to, co zostało. Mogli też przyjść dezertyrzy, a ci ze wszystkiego byli najgorsi, bo jak dzikie zwierzęta – głodni, przerażeni, dzicy i niebezpieczni.

Za dzień, za dwa będziemy między swymi, powtarzała sobie Krystyna i ta

myśl napawała ją radością. Bronia wyglądała jak cień samej siebie, zbladła, jej skóra zrobiła się pergaminowa, nie dało się poznać, że to dziecko kiedyś było opalone i miało dołeczki w krągłych rumianych policzkach. Rączka stały się takie chudzieńkie jak wierzbowe witki, a na nóżce najgrubszym miejscem było kolano, zniknęły bez śladu pulchne uda. Włoski jej się przeredziły, warkoczyki zrobiły się jak szczurze ogony. A mimo to widać w niej było chęć do życia. Czasem zagadnęła Krystynę, o coś pytała, chciała coś wiedzieć, ciekawa otaczającego świata.

– Matulu, matulu, a cóż to za roślina? Matulu, matulu, patrzajcie, tam cerkiew stoi. Matulu, matulu, a czemu on tak dziwnie mówił? Matulu, matulu, a pamiętacie tę piosenkę o konikach karych?

Gdy zatrzymywali się na nocleg albo na odpoczynek, potrafiła sobie znaleźć kamyczek, gałązkę, liść kolorowy i bawić się nim wesoło, jakby to była najpiękniejsza w świecie zabawka.

Przetrwaliśmy, myślała Krystyna, już my między swoimi, już my tu nie zginiemy. I z nadzieją patrzyła w przyszłość.

Kiedy straciła rozwagę?

Marian nie chciał spać po lasach. Ludzie dawali schronienie po oborach, nawet w chałupach. Po cóż szukać schronienia, gdy ono jest? Jest piec, jest ciepło. A oni byli zmęczeni, słabi, głodni. Po cóż jeszcze bardziej się wycieńczać?

Między ludźmi bezpiecznie, myślała. Och, jakże się myliła.

Rozdział dwunasty



*W moim ogródecku rośnie różycka,
Napój mi, Maniusiu, mojego kunicka.
Nie chcę, nie napoję, bo się kunia boję,
Bo się kunia boję, bom jeste młoda.*

Listopad 1927

Rzeźkości majowego poranka nie da się z niczym porównać. Po chłodnej nocy przychodzi świt, który potrafi cały świat pokryć srebrną warstwą mrozu. Boją się tego gospodynie, bo widzą na swoich ogrodowych grządkach pierwsze listki dopiero co sianych roślin. Boją się sadownicy, którzy z radością obserwują mnogość kwiatów na drzewach. I tylko rośliny jakby nic sobie nie robiły z przygruntowego przymrozku. Trochę się skulą, skryją między grudkami ziemi, dobrze wiedzą, że po zimnej nocy przychodzi ciepły dzień, a światło słoneczne da im siłę, która pomoże przetrwać chłodną noc i mroźny poranek. Przecież przymrozki nie trwają wiecznie. To raptem kilka dni. Zresztą czymże jest rok? Przyroda zupełnie inaczej postrzega czas. Drzewa mają go tak dużo, że w ogóle o niego nie dbają, zaś te rośliny, które żyją od wiosny do jesieni, czują, że są zawodnikami w sztafecie, mają rosnać szybko, kwitnąć obficie i rozsiewać tyle nasion, ile tylko zdołają. Owa radość i witalność czyni powietrze krystalicznie czystym. Dlatego, bez względu na to, ile masz lat, gdy budzisz się w majowy poranek, czujesz się tak, jakbyś znów miała ich jedenaście.

Bez względu na to, ile masz lat, gdy budzisz się w listopadzie, czujesz się

staro.

– Czemuż świat jest tak urządzony, że nie składa się tylko z majowych dni? Po cóż nam listopady, marce i sierpień? Tylko grudzień bym zostawiła, bo wtedy są święta. I wrzesień, bo dożynki też okrutnie lubię – mówiła do siebie Zośka. – Poranków w listopadzie nie znoszę.

Leżała w łóżku, zupełnie nieruchomo, i patrzyła w sufit. Często rano albo wieczorem tak robiła, bo to pozwalało jej lepiej zrozumieć, co czuje Marta. W końcu się znudziła, obróciła się na bok i spojrzała w okno. Na gałęziach starej lipy nie został już ani jeden listeczek. Znów między gałązkami można dostrzec wieś. Nikt tam już nie śpi. Gospodynie krzątają się po obejściach, krowy poją, doją, karmią. Potem gotują polewkę, warzą przuchę. Uwijają się wszyscy, jak mogą, bo za kilka dni święty Marcin, dzień, kiedy wszelkie prace w polu i przygotowania do zimy powinny być zakończone.

– A cóż z ciebie za gospodyni, Zośko? – zapytała siebie. – Słoneczko już wysoko, a ty w łóżku się wylegujesz, jakbyś chora była. Albo leniwa. Z dwojga złego lepsza choroba, bo przejść może. – Westchnęła. – Choć nie każda. Biedna, biedna Martusia.

Ubrała się szybko, przewiązała zapaskę. Kiedyś, dawno temu, gdy mamcia i tatko żyli, Zośka ubierała się jak na panienkę przystało. Powyrastała jednak z tamtych ubrań, poniszczyły się zresztą. I teraz ubierała się zwyczajnie, jak wszyscy we wsi. No, może nie tak całkiem jak wszyscy. Lubiła grzebać w szafach. Znajdowała tam stare rękawiczki, czasem fikuśny kapelusik, chustę czy szal. Wkładała to zaraz, by dodać sobie szyku. Martusię bardzo to złościło.

– Jakże ty wyglądasz! – krzyczała.

A Zośka tylko się śmiała. Zabawna była ta Martusia. Wciąż i wciąż zła. Im Zośka weselsza, tym tamta bardziej rozzłoszczona.

Czasem w zdenerwowaniu Martusia wyzywała Zośkę. Takie okropne słowa mówiła, zupełnie nie bacząc na to, że grzech i spowiadać się trzeba. Komu innemu może i przykro by było od takich słów, ale Zośka wybaczała. Wiedziała, że Martusia nie mówi tak z nienawiści, tylko ze smutku. Bo jak tu się nie smucić, gdy nie można chodzić ani biegać, ani tańczyć? Zośka bardzo lubiła tańczyć. Gdyby jej kto tego zabronił, to też mówiłaby takie słowa jak Martusia.

– Trzeba mi lecieć, tańczyć! – zawołała.

Zbiegła po schodach, wyskoczyła do parku i zaczęła kręcić się w kółko,

coraz szybciej i szybciej, aż gałęzie drzew nad nią zmieniły się w brązowo-niebieską pstrokaciznę, bo poranek, jakby chcąc wyjść naprzeciw oczekiwaniom Zośki, był słoneczny i bezchmurny. Zakręciło jej się w głowie i upadła na brązowe liście. Od ziemi ciągnęło chłodem i wilgocią. Nie zraziło to Zośki, która turlała się wesoło, aż gniecione liście chrupały. Te, które dłużej leżały na ziemi, zaczynając już gnić, zostawiły na spódnicy brązowe smugi.

– No i masz, zaraz będzie mnóstwo gadania. Martusia każdą zabawę popsuć potrafi. Nawet jeśli nie ma jej w pobliżu, wszystko psuje. Ojjoj! Martusia!

Zerwała się i ile sił w nogach pobiegła do sypialni macochy.

Tamta nie spała już. W ogóle mało sypiała. Czasem Zośka zakradała się do niej w środku nocy, by sprawdzić, czy macocha śpi. Na palcach podchodziła do łóżka i zaglądała jej w twarz. Napotykała wtedy otwarte oczy i choć przecież wiedziała, że krzywda żadna jej nie spotka, zaczynała okropnie krzyczeć. „Czemu krzyczysz?“, pytała wtedy Marta, a Zośka odpowiadała: „A dlaczego ty nie śpisz?“. Marta wiele razy nakazywała, żeby nie zaglądać do niej w nocy, i czasem udało się wytrzymać. Wystarczyło pomyśleć, że nie wolno, zamknąć oczy i spać dalej. Ale bywało i tak, że pokusy nijak nie dało się przewyciężyć. Zośka przewracała się z boku na bok, próbując zasnąć, ale dobrze wiedziała, że to się nie uda. Musiała, po prostu musiała iść do sypialni macochy.

– Ależ ty jesteś durna – mówiła tamta nazajutrz. – Zawsze to samo. Noc jest po to, żeby spać, a nie łązić i sceny urządzać.

Wtedy Zośka okazywała skruchę. Naprawdę przykro jej było, że Martę zdenerwowała. Martusia była przecież jej mamą, jedyną rodziną. Bez niej Zośka byłaby na tym świecie sama jak palec. Nie, tak zupełnie sama by nie była, bo miała koty. Koty ją uwielbiały, a ona uwielbiała je. Karmiła, przytulała, pomagała, ratowała z opresji. Niektóre chodziły za Zośką krok w krok, innym wystarczało, że były w pobliżu. Jeszcze inne odchodziły, by potem wracać z radosnym miauczeniem.

Marta nie lubiła kotów, ale cóż mogła poradzić? Na szczęście koty też za nią nie przepadały i nie wchodziły na łóżko. Chyba że akurat siedziała tam Zośka.

– Zaraz ci zrobię śniadanie, mamciu kochana. Będzie kasza z mlekiem – powiedziała, wchodząc do pokoju.

– Nie chcę, żebyś gotowała.

– Muszę gotować, a wy musicie jeść, bo inaczej umrzecie z głodu.

Marta zamruczała coś pod nosem. Zośka wiedziała, że to ze złości i że macocha jest na nią zła. Tamta myślała, że ludzie ze wsi nie chcą do nich przychodzić do roboty ze względu na zachowanie Zosi. Czasem w nerwach krzyczała: „To przez ciebie, wariatko”. To nie była prawda. Ludzie we wsi lubili Zośkę, a gdyby nie ich pomoc, to obie już dawno by z głodu pomały. Kobiety wołały Zośkę do swoich domów, pokazywały, jak gotować, piec, szyć. Uczyły ją wszystkiego, co same umiały. Częstoowały jedzeniem i dawały na drogę a to bułeczkę, a to kawałek chleba, a to pierożka. To one pokazały, jak ogień pod kuchnią rozpalać, jak ziarno na kaszę ubić, jak ją smacznie przyrządzić. Jednak do pomocy w domu Kornelowiczów czy obejściu ani do pracy w polu nie było chętnych, bo majątek do Marty należał, a na nią nikt pracować nie chciał. W końcu Marta oddała pole w dzierżawę.

– Ty mamciu się nie frasuj, wszystkim się zajmę. – Zośka pogładziła macochę po dłoni.

– Chcę, żeby Jadźka... – zaczęła tamta.

Znowu to samo. Wciąż Jadźka i Jadźka. Tamta odeszła, nie ma co wspominać, bo to tylko humor psuje. Trzeba o czym innym mówić i nie pozwolić Marcie marudzić.

– Dziś taki piękny dzień wstał. Taki piękny, że to aż niewypowiedziane. Jakby nie listopad był, a wrzesień. Słoneczko pięknie świeci. Szkoda, że ty tu tak musisz leżeć i tego cudu zobaczyć nie możesz.

Nagle Zośce przyszło coś do głowy. Myśl cudowna i nagła. Że też wcześniej na to nie wpadła. Doprawdy czasem trudno się z Martusią nie zgodzić, gdy mówi, że Zośka głupia. Nie wpaść na taki pomysł już dawno to doprawdy trzeba mieć rozum tak powolny jak ten ślimak, co po liściu łopianu sunie.

– Będę miała dla ciebie, mamciu, niespodziankę – obwieściła radośnie i rzuciła się ku drzwiom.

– A ty dokąd?

– Nie mogę ci powiedzieć, bobyś się domyśliła i całą zabawę popsuła.

– Nie możesz teraz iść.

– Muszę. To sprawa bardzo pilna.

– Ja też mam pilną sprawę. Podaj nocnik.

– Kiedy to nie może czekać. Niedługo wrócę.

Zośka wybiegła z pokoju, by Marta dłużej jej nie zatrzymywała. Gaduła przebrzydła. Wtedy kiedy nie ma czasu do stracenia, tej chce się gadać!

Droga, która od domu Kornelowiczów prowadziła do wsi, zarosła trawą. Nikt tędy teraz wozem nie jeździł, ani koniem, ani wołami, nawet krowy tu nie szły. Nie było się komu tym zajmować i Marta wszystkie zwierzęta sprzedała. Pola i łąki wydzierżawiła i to był ich jedyny dochód. Podobno mały, choć we wsi uważali, że Kornelowiczowe się drożą. Mówili Zośce, ile macocha bierze za dzierżawę, a ile brać powinna, żeby to było uczciwe. Któż by jednak to pojął, te morgi, te pieniądze, które teraz nie nazywały się już ani ruble, ani marki, tylko złote. Zośki to wszystko w ogóle nie obchodziło, to były sprawy Martusi, tak dawno temu ustaliły między sobą. Macocha ma pole i wszelkie o nie staranie, a Zośka będzie się zajmowała domem. I wywiązywała się z tego przykładnie. Czyściutko było wszędzie, no, może poza kuchnią, ale niech pokażą taką gosposię, co ma w kuchni idealny porządek. Toż to niemożliwe. Zawsze się znajdzie obierka, która na podłogę spadnie, wiadro, z którego woda się rozchlapie, kubek, który się przewróci, popiół... O popiele to nawet nie ma co mówić, on najgorszy. Wygarniesz z popielnika i zaraz ty, cała kuchnia i jeszcze pół podwórka zasypane popiołem. A jeśli wiatr wieje, to na dodatek połowa wsi. Dlatego jeśli Zośka miała być szczerą, to musiała przyznać, że w kuchni porządku nie było. Ale w pozostałych pomieszczeniach to tak.

W miejscu, gdzie droga spotykała gościniec, stała wielka kałuża. Słońce się w niej odbijało i woda wydawała się ciepła. Zośka dobrze wiedziała, że to nieprawda. Zimna noc, zimny poranek i wciąż zimna ziemia, to woda nijak nie może być ciepła. A tu wielka pokusa, nie do opanowania, każe zadrzeć spódnicę i biec, biec, biec, uderzając stopami tak mocno, by błoto bryzgało daleko i wysoko. Brr! Aż w środku, w głowie bolało od tego zimna.

– A co ty, Zośko, stała wyrabiać? – zapytała Pomiechowska, która nie wiedzieć skąd się wzięła, bo przecież chwilę temu nie było jej na gościńcu.

– Po kałuży biegam.

– Toż widzę. A po co? Choroby szukasz?

– Myślałam, że może woda już ciepła.

– Gdzież ciepła, jak zimna. Nogi porządnie osusz, bo jeszcze się przeziębisz.

Zośka posłusznie wytarła bosc stopy o kępę suchej trawy i z powrotem wciągnęła łapcie.

– Nie zagadujcie mnie, Pomiechowska, bo mam pilną sprawę i nie chcę zapomnieć.

– Toż nic nie mówię.

– Dobrze sobie, nic nie mówicie. Ja was znam. Zaraz będzie, a co to za sprawa, a gdzie tak pędzicie, Zośko, a co was tak nagli. Wy wszystko o wszystkich wiedzieć chcecie.

– Ktoś musi, ktoś musi. – Pomiechowska westchnęła tak, jakby noszenie w sobie wszystkich tajemnic i sekretów mieszkańców wsi było ciężarem ponad jej siły.

– Ja to bym zupełnie się do tego nie nadawała. Głowy nie mam, nie spamiętałabym. Ale teraz to już muszę biec. Potem się dowiecie. To będzie niespodzianka. – I już ruszyła biegiem, zatrzymała się jednak po dziesięciu krokach i nie odwracając się, zaczęła iść ku Pomiechowskiej. – Wy pewnie myślicie, że mnie łatwo to w sekrecie utrzymać? Wcale nie jest łatwo. Aż mnie w środku wierci, żeby powiedzieć, ale nie powiem. – I rzuciła się przed siebie tak szybko, jakby chciała uciec przed pokusą.

Biegła gościńcem, mijając kryte strzechą chaty. Minęła pogorzeliśko Adamczuków. Porzucili oni nędzne obejście i przenieśli się do syna, na kolonię. Minęła cerkiew, cmentarz i szkołę. Przebiegła przez łąki i wpadła na podwórko do Lipczewskich.

– Tatko Lipczewski, tatko Lipczewski. A gdzie wy? – Roześmiała się, tak głupie to było pytanie, przecież w kuźni młot walił tak, że po całej wsi echo się niosło. – No przecież, że w kuźni.

Stała w otwartych wrotach. Na palenisku płonął ogień. Wyglądał straszliwie, jak wyziewy z gardzieli olbrzymiego potwora, który cały jest ukryty pod ziemią i tylko koniec otwartego pyska wystawia. A gorący ten oddech, a groźny. Wystarczyłaby jedna chwila nieuwagi, a już by się wymknął i nie tylko kuźnię i chałupę Lipczewskich, ale cały świat spalił.

Kowal Lipczewski podkowę szykował, Zośka poznała po kształcie. W ogromnych szczypcach trzymał metalową sztabę i wyginał ją tak, jakby była wierzbową gałązką. Ot sztuka! W ogniu żelazo miękkie jak wosk, a w wodzie twardnieje na kamień.

Gdybym miała więcej siły, pomyślała Zośka, mogłabym zostać kowalem. To ci fach! Utrzymałabym i siebie, i Martusię. Szkoda, że siły nie mam i Marta musi się o nas obie martwić.

Wtem poczuła w swojej ręce ciepło innej, małej dłoni. Spojrzała w dół. To

Broneczek, syn Juliana, najstarszego z młodych Lipczewskich. Śliczny to był chłopiec, oczka miał okrągłutkie i brązowe, a rzęsy wokół nich długie i jak u panny do góry zalotnie wywinięte. Dwa kroki za Bronkiem stała Janeczka, dzika jak to kocię, co na świat przyszło w stodole. Niby ciekawa obcego człowieka, ale wystarczyło na nią spojrzeć, a uciekała spłoszona, szukając matki albo babki, by się za jej spódnicą ukryć.

Zośka przypomniała sobie, że rankiem wzięła ze stołu kawałek aksamitu. Lubiła mieć przy sobie skrawek jakiegoś materiału, najlepiej, gdy był mięciutki albo błyszczący. Ten aksamit wycięła wczoraj z sukni Marty. Tamta i tak nie wstawiała, cóż jej za różnica, czy suknia cała, czy kawałeczek w niej brakuje. Jak się ładnie fałdy ułoży, to nic widać nie będzie. Marta krzyczała na Zośkę, żeby zostawiła jej suknię, i tak śmiesznie rękami machała, próbując odgonić, ale jej się nie udało. Potem Zośka odłożyła materiał na stół i zupełnie zapomniała. A dziś rano włożyła aksamit do stanika. Pomyślała, że później będzie go gładzić i międlić. Teraz, gdy zobaczyła chłopca, cała sprawa z aksamitem nabrała sensu.

– To dla ciebie, Broneczku. Zrób czaprak dla koniczka albo płaszcz dla laleczki.

Słodką twarzyczkę chłopca rozpromienił uśmiech.

– Konika mam. Tatko mnie wystrugali.

Zośka skinęła głową i poleciała, by jej owego koniczka natychmiast pokazać. Broneczek więc pobiegł do chałupy, a za nim jego mała siostrzyczka. Po chwili chłopiec wrócił, niosąc ze sobą drewnianą zabawkę. Już po drodze przykładał materiał, próbując, jak najlepiej będzie go ułożyć.

– Jaki śliczny konik. A jakiej on maści?

– Gniady.

– O, gniadosz. Gniadosz najlepszy, choć ma narowy, ale to nie taki nerwus jak siwy i nie ma w nim tyle dzikości, co w karym. Jak gniadego dobrze ułożysz, to będziesz mieć z niego pociechę i do wozu, i do pługą, i pod siodło.

– Mój konik ładnie chodzi – powiedział chłopiec, demonstrując w powietrzu chód konia.

– Cacany konik. Zaraz mu twój dziadek podkowy wykuje. – Chłopiec już tego nie słyszał, przebiegł przez podwórze i zniknął za oborą.

– Niech będzie pochwalony, Zośko – powiedział Kazik Lipczewski.

Twarz miał czerwoną, pot spływał mu z włosów. Więcej już było siwych

niż czarnych. Kiedyż tak pobiełały? Przecież niedawno miał czarną czuprynę. Zośka przekrzywiła głowę, jakby dzięki temu mogła lepiej widzieć przemianę, jaka zaszła w Lipczewskim.

– Na wieki wieków. Amen. Nawet nie wiecie, jak do was biegłam. Nie patrzyłam, kałuża nie kałuża. Biegłam, ile tchu w piersiach. Bałam się, że zapomnę. Ja często zapominam. O różnych rzeczach zapominam. Jaki jest dzień albo jak dałam na imię kotu. A tego nie chciałam zapomnieć, bo to dla Marty ma być niespodzianka.

– A czegoż to pani Marcie trzeba?

– To nie jedynie dla niej, ale i dla mnie. Bo dziś taki dzień piękny, a ona tylko leży i leży. A wy jesteście taki majster. I Julian taki zdolny, z drewna pięknie struga. Wy byście mi zrobili wózek dla Marty.

– Przecie ma fotel.

– Cóż nam z tego fotela? Marta go nie lubi i ciągle z niego spada. A na podwórze to w ogóle nie da się go wystawić. Ja mówię o takim wózku, podobnym do bryczki, tylko malutkim. Żebym ja sama mogła go ciągnąć. Zabrałabym Martę do wsi, a może i do Łaszczowa. Nie, do Łaszczowa za daleko, chyba że na odpust, to bym się wybrała. Zrobicie mi taki wózek?

Nim jednak Kazik zdążył odpowiedzieć, z chałupy wyszła Antoszka, żona Juliana. Podobna była do siemieniatej kurki, niska, szeroka w ramionach i biodrach. Nos miała jak ptasi dziób, włosy jak piórka.

– Zośko, Zośko, ta zajdź do chałupy, ta poliwki ci naleję. Podjesz sobie – zaświergotała inaczej niż tutejsi, tak śmiesznie, z tymi ciągle wtrącanymi „ta”.

Słowo „polewka” przypomniało brzuchowi, że nic w nim nie ma, bo przecież o kaszy, która miała być i dla Zośki, i dla Marty, się zapomniało. Jednak wejść do domu? Nie. Zośka przecząco pokręciła głowę, bo mówić nie mogła. Do domu nie pójdzie. Wiedzą oni, albo i nie wiedzą, ale tam Agata wciąż mieszkała. Może wiedzieli, bo jej czyściuteńki pokój był zamknięty. Zośka raz przez okno widziała, jak Antoszka po sprzątnięciu zamyka drzwi, by nikt tam nie wchodził, zwłaszcza dzieci. Agata jednak wcale nie siedziała w swoim pokoju, tylko po chałupie chodziła, patrzyła na wszystkich, czasem się uśmiechała, a czasem miała twarz poważną, zadumaną. A gdy zobaczyła Zośkę, to robiła się smutna, a w oczach miała coś takiego, jakby trochę Zośki żałowała, a trochę była na nią zła. Od tego spojrzenia robiło się Zośce przykro, bo przecież z całych sił starała się Agatę uratować.

– Ja wiem, to mnie powinna śmierć spotkać, nie ciebie. Cóż światu po mnie? – mówiła. Przepraszała, płakała.

A tamta nic, tylko tak dziwnie patrzyła, tak patrzyła. Zwariować można było od tego spojrzenia. Dlatego Zośka nie chciała wchodzić do chałupy Lipczewskich.

Antoszka przekrzywiła małą główkę jak szpak, gdy lepiej chce widzieć, czy to, co w trawie widać, to robal czy tylko źdźbło zasuszone.

– Ta usiądź na ławie, to ci przyniesę. Ty pewnie nic nie jadła? – Weszła do chaty, a po chwili wróciła z miską parującej zupy. – Smaczna?

Co to za pytanie! Bardzo smaczna.

– Dobra z was gospodyni – pochwaliła ją Zośka.

– A Julianek wciąż narzeka. „Mamcia mnie inaczej gotowali, mamcia to, mamcia tamto”. A ja się staram, jak mogę. Ta prawda, że się staram? – Podniosła oczy na teścia, szukając u niego wsparcia.

– Starasz się, Antoszka, starasz.

– Ta wam też poliwki przynieść?

Kazik Lipczewski pogładził się po brzuchu, jakby zastanawiając się, co też lepiej do niego naładować.

– Mnie mlika.

Siedzieli teraz na ławie pod kuźnią. Zośka jadła zupę, Lipczewski pił mleko, a Antoszka nic nie jadła, tylko ręce zaplotła, złożyła na podołku i się uśmiechała.

– A za czym ty, Zośko, do nas przyszła? – zapytała w końcu.

Zośka westchnęła. Znowu musiała od początku opowiadać o poranku, pogodzie i o pomyśle, który przyszedł jej do głowy. O tym, jak dobrze byłoby móc zabierać Martę ze sobą, bo kiedy ona leży w domu, to Zośka jak uwiązana, wyrwie się na chwilę, ale wie, że zaraz wracać musi. Tak jak teraz.

– Mnie już wracać trzeba. Do Martusi, ona tam sama.

– Ta siedźcie spokojnie, Zośko. Ta Marta nigdzie nie pójdzie.

Lipczewski skarcił synową wzrokiem, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

– Ta wszystkie na wsi mówią to samo. Kara Kornelowiczową spotkała za to, jaka była. Męża własnego i dziecko zgładziła. Chałupy we wsi zaczęła podpalać. Całą wieś z dymem chciała puścić. To teraz ma pokutę. Mnie tam jej nie żal.

Zośka zacisnęła zęby. Nie lubiła, gdy ktoś źle o Marcie mówił. Widziała, że to prawda, tamta zasłużyła na boski i ludzki gniew, ale żeby tak na nią

nastawać? A jeszcze ona, Zośka, nie mogła nic powiedzieć na obronę macochy, bo... Po prostu nie mogła. Zaciskało ją i żadne słowo nie przechodziło przez gardło.

– Pójdę.

– Posiedź jeszcze choć chwileczkę. Ta Jaśko się rychtuje, zaraz będzie ruszał, to się pożegnasz.

Zośka nie rozumiała. Czemuż on się rychtował? Gdzie odchodzi?

– Na zawsze już? – wykrzyknęła przerażona, zrywając się z ławy.

Antoszka się roześmiała, jakby usłyszała coś bardzo zabawnego.

– Gdzież tam. Na trochę tylko. Do wojska idzie, na komisję stawał i zaraz wezwanie przyszło. Do Hrubieszowa, do ułanów, tak jak sobie zamarzył.

To wyjaśnienie wcale nie uspokoiło Zośki.

– Wojna będzie?

– Ta siadnij se, Zośko, i się uspokój. Wojna, jak ma być, to będzie, taki już ten świat, że co jakiś czas chce się ludziom wojować. A kiedy to najdzie, to nikt nie wie. Na razie Jaśko do wojska idzie. Pomusztrują go ta trochę, żeby walczyć umiał. I zaraz wróci.

Stało się jasne, że teraz Zośka nigdzie iść nie może. Musiała poczekać. Nie mogła pozwolić, by Jaśko gdziekolwiek w świat wyruszył bez jej błogosławieństwa. Jeśli ona się za niego pomodli i Boga poprosi, to Jaśkowi włos z głowy nie spadnie, w wojsku czy na wojnie. Modlitwa Zośki od wszystkiego go ochroni.

Pamiętała go małym chłopcem. Miał śliczne oczka i takie malutkie paluszki. I mówił do Zośki „Siosiu” takim cieniutkim głosikiem. Potem był chłopcem, a na koniec stał się mężczyzną, i to tak pięknym, jakiego we wsi nie było i pewnie nigdy nie będzie. Nie raz zdarzyło jej się widzieć go w kuźni, gdy tylko w portki odziany walił młotem w żelazo. Ciało jego było jak odlane z metalu, wypolerowanego do błysku. Jeden głos w Zośce nakazywał, by dotknąć go koniecznie, drugi przed tym przestrzegał.

Nie wiadomo, ile tam siedziała. Zdawało jej się, że wiek, ale przecież gdyby to tyle trwało, to Lipczewski wróciłby do kuźni, a Antoszka podążyłaby do izby albo w obejście, by znaleźć sobie jakąś robotę.

Jaśko, który wyszedł z chałupy, wcale nie przypominał chłopaka, którego Zośka знаła. Wyglądał jak dorosły mężczyzna, jak pan z miasta, bo po miastowemu był ubrany w koszulę i marynarkę, a na głowie miał kaszkiet.

Za nim wyszła Teofila, niosąc niedużą walizkę, która nie wydawała się

ciężka. Jasiek zatrzymał się przed domem, ukląkł, a wszyscy domownicy razem z nim. Odmówili pacierz, później zaś każdy po kolei wstawał, podchodził do Jaśka i kreślił znak krzyża na jego czole. Zrobiła to i Zośka. Jasiek uśmiechnął się do niej.

– Niech ci Bóg da zdrowia za to, żeś przyszła mnie pożegnać.

Zośce smutno się zrobiło, bo zdała sobie sprawę, że niewiele brakowało, a by nie przyszła. Nic o Jaśka powołaniu do wojska nie wiedziała. A gdyby przyszła jutro? Albo za tydzień, a jego już by nie było? I tak żal rozdziera serce, ale chociaż będzie się mogła pocieszyć myślą, że go widziała.

Wzięła z rąk Teofila walizkę, która okazała się cięższa, niż na to wyglądała.

– Odprowadzę. Do krzyżyka.

I ruszyła przodem, żeby nikt jej nie powstrzymał. Jasiek szedł za nią. Antoszka i Teofila, dotąd poważne i niesprawiające wrażenia smutnych, nagle zaczęły szlochać. Zośka czuła pokusę, by się obrócić, ale tego nie zrobiła. Obracanie się może nieszczęście przynieść. Jak już się wyruszyło, to trzeba iść i można patrzeć tylko przed siebie.

Głupia, toż nie ty wyruszasz, tylko on. Może mu powiedziec, żeby się nie oglądał? Może on tego nie wie? Wie, na pewno wie.

– A nie oglądałeś się za siebie? – zapytała.

– Po cóż miałbym się oglądać? To, co ciekawe, jest przede mną.

Zośce się przykro zrobiło po tych jego słowach. Tak jakby tu, we wsi, nie było nic, co dla niego ważne. Może i nie było.

Patrz, Jaśku, ile czasu minęło, jak to się zmieniło, teraz nikt nie nazywa mnie Zosią Kornelowiczówną. Wszyscy mówią Zośka Kociara. Nawet ci, którzy dawniej mnie znali, tak mówią. Czasem mi się wydaje, że czasy, gdyśmy cię małego zabierały z Agatką na łąki, to dzień wczorajszy, a czasem, że to było sto lat temu. Taki byłeś malutki, taki słodki i tak bardzo cię lubiłam, a gdy mój braciszek się urodził, to widziałam w nim twoje odbicie. Teraz wyrosłeś, zmężniałeś i choćbym chciała zobaczyć w tobie tamtego chłopczyka, nie potrafię. Jesteście dla mnie dwoma oddzielnymi bytami.

– Miał ze mną iść Wojtek Dołęga. Jakem mu powiedział, że planuję na ochotnika się zgłosić, to też na komisję stawał. On prawie w latach, na cóż mu czekać? Umówiliśmy się razem do Łaszczowa na kolej wędrować, ale nie przyszedł. Może mu się jaka podwoda trafiła, a może zasnął. Nie mój to interes go pilnować. Gdybyś Wojtka spotkała, Zosiu, to mu powiedz, że ja

już w drodze.

– Powiem.

– I nie smuć się tak. Niedługo wrócę. A pamiętaj, jeśli byś czegoś potrzebowała, to do Julka albo do Władziuni idź. Ty dla nas jak siostra.

Doszli właśnie do skrzyżowania dróg, na którym stał nieduży, z żelaza wykuty krzyż. Jasiek wziął od niej walizkę. A później się pochylił i pocałował Zośkę w policzek, życząc wszystkiego dobrego i prosząc, by na siebie uważała. Chciała powiedzieć coś podobnego, ale nie mogła. Odwróciła się i uciekła. Biegła przez pola i łąki do rzeki. Tam skryła się w chaszczach porastających brzeg i płakała z takiej wielkiej, wielkiej tęsknoty.



Placek owocowy codzienny

Pół kilo mąki, 15 dkg cukru, 10 dkg masła, 2 jajka, pół szklanki śmietany, 15 g proszku do pieczenia, 10 dkg cukru pudru do posypania, owoce.

Masło i cukier utrzeć do białości, dodać jajka, mąkę zmieszaną z proszkiem oraz śmietanę. Wszystko wyrobić na gęste ciasto, rozwałkować. Układać w formach wysmarowanych tłuszczem. Na ciasto wykładać owoce, jakie są, pokrojone. Piec około godziny w średnio gorącym piecu. Zaraz po upieczeniu posypać cukrem pudrem.

Krystyna 1915

Dwa, trzy dni marszu dzieliły ich od Tomaszowa, gdy napotkany po drodze Żyd powiedział im, że w miasteczku zaraza.

– Wam to już za jedno, po wioskach też ludzie chorują. Za wojną zawsze choroba idzie. Jak to tam u was, chrześcijan, mówią? Śmierć, wojna, głód i pomór razem przyjeżdżają. Żołnierze chorobę przywlekli, a ludzie, pomarnieni z głodu, łatwo chorują. Tu wszystkie chorują albo poumierali, albo żyją i chorować nie będą, albo wyzdrowieli.

– A wy, wy się nie boicie? – odezwał się Marian Malicki.

– Ja z tych, co nie chorują.

Żyd zapytał jeszcze, czyby czegoś u niego nie kupili, a dowiedziawszy się, że nie mają pieniędzy, poszedł w swoją stronę.

– Nie będziemy iść do Tomaszowa – zdecydowała Krystyna. – Pójdziemy tomaszowskim traktem, ale przed miastem odbijemy na Dzierążnię.

Marian przyznał jej rację. Był osłabiony, z nich trojga najgorzej znosił

wędrowkę. Skarżył się, że głowa go boli i całe ciało. Postarzał się, jakby wędrowali nie dni, a lata.

– Poszukamy miejsca, by się przespać. Rano uradzimy, co zrobić.

– Najpierw musimy studni poszukać, wody muszę się napić.

– Pijesz jak ta krowa, co w upale cały dzień na pastwisku stała.

– Suszy mnie, Krysia, tak do samego pępka mnie suszy.

– Możeś potajemnie pił gorzałkę? – zapytała, a myśl, że miał schowane jakieś zaskórniaki, które na wódkę wydał, wprawiła ją we wściekłość. Widząc ją taką wzburzoną, mąż zarzekał się, że nie, ani kropli przez całą drogę. Znała go na tyle, by wiedzieć, że mówił szczerze.

Obudziła się w nocy. Dziwnie ciepło jej się zrobiło, jakby spała pod pierzyną z gęsiego puchu. Cieszyła się tym ciepłem, ale gdy świadomość zwyciężyła sen, Krystyna struchlała, zdała sobie bowiem sprawę, co jest jego źródłem. Bronia! Bronia ma gorączkę! W ciemności dotknęła ciała córki. Nie, wszystko w porządku. Ciepła tak, jak jest ciepłe rozespiane dziecko. Marian? Jeszcze zanim przyłożyła rękę do twarzy męża, już czuła jej ciepło. Jakby dotykała pieca.

– Marian, Marian, co ci to?

– Nic, Krysia, nic. Tylko mi zimno okrutnie. Głowa mnie boli. Zmęczonym. Mdli. Wyśpię się, to minie, minie.

– To śpij, śpij.

Przykryła go derką. Wstała, wzięła córeczkę na ręce i przeniosła najdalej, jak mogła. Nie miała nadziei, że przespana noc pomoże mężowi. Zaraził się. Byle tylko Bronię to ominęło. Niecierpliwie czekała do świtu. Gdy tylko jasno się zrobiło, rozebrała dziecko. Obejrzała każdy centymetr skóry. Nie było śladów ugryzień. Wytrzepała ubrania. Do kieszonek, za zapaskę, gdzie się dało, włożyła macierzankę. Odstraszy pchły, jeśliby która miała ochotę na dziecięcą krew. Sama Krystyna też natarła się ziele. Robiła tak, odkąd wyruszyli. Tylko Marian nie chciał, uważał, że to zabobon, że macierzanka dobra, by ją psu do budy rzucać, gdy się nadmiernie drapie, nie zaś, by się nią ludzie nacierali.

– Nie słuchałeś – powiedziała do śpiącego. – Na moją zgryzotę nie słuchałeś.

Pierwszy raz, odkąd wyruszyli od tamtego dziedzica, pozwoliła sobie na płacz. Bronia spała, nie widziała matczynych łez, a Marian... jemu było wszystko jedno, czy Krysia płacze, czy nie. Jakież to straszne i smutne

zarazem związać swój los z losem człowieka, który jest jak kula u nogi, jak drut kolczasty owinięty wokół nadgarstków, jak powróż zarzucony na szyć. Chciałoby cieszyć się życiem, szczęścia szukać, w małżonku mieć przyjaciela, a tymczasem ma się w nim kata.

Było już południe, gdy zbudziła Mariana.

– Ruszać nam trzeba. Dasz radę?

Choć skinął głową, nie było wiadomo, czy rozumie, bo oczy miał szkliste, odmienione gorączką. Pomogła mu usiąść, a później dźwignąć się na nogi. Podniosła z ziemi tobolek, w którym spakowany miała cały ich majątek, teraz ograniczający się do kawałka chleba, butelki z wodą, kubeczka, w którym zaschły chleb namaczali, by łatwiej go było zjeść, wiązki macierzanki i jednej wełnianej chustki. Nie schyliła się po derkę, którą był przykryty Marian, bała się pcheł, bo mogły się kryć między fałdami tkaniny.

– A dokąd my, Krysia, idziemy?

– Do Tomaszowa.

– Mieliśmy nie iść...

– A gdzie my doktora dla ciebie znajdziemy?

– Przydałby mi się doktor, oj, przydał.

I tak szli, noga za nogą. Krysia prowadziła chorego męża. Prowadziła? Niosła prawie, bo słaby był. Wisiał na jej plecach bezwładny, cięższy niż wór pszenicy. Gdy był przytomny, jeszcze się starał i krok za krokiem stawiał, niepewnie, jak dziecko, które dopiero uczy się chodzić. Niestety, chwile przytomności nie trwały długo, gorączka zasnuwała mu umysł maligną. Nie spał, ale nie był również na jawie. Wszystko mu się mieszało. Ciągłe pić prosił, ale Krystyna uznała, że nie mają czasu się zatrzymywać, muszą iść, jeśli przed zmierzchem chcą zdążyć.

Teraz żałowała, że zmitrężyła ranek. Trzeba było świtem wyruszyć. Nie myślała, że z Marianem jest tak źle. Wczoraj szedł dziarsko i mówił przytomnie. Czy na pewno? Od kilku dni się skarżył na zmęczenie, na ból nóg. Ale przecież każde z nich było zmęczone, Krystynę i Bronię nogi tak samo bolały. Czego by teraz nie zrobiła, nie zawróci czasu, tak jak patykiem nie odwróci się wody w rzece. Mogli podjąć inne decyzje, ale dziś już na to za późno. Teraz dwie rzeczy są ważne i na nich trzeba się skupić. Pierwsza to trzymać Bronię z dala od zarazy, chronić ze wszystkich sił i wszystkimi możliwymi sposobami. Druga – znaleźć Marianowi doktora. Z żalem pomyślała o złotym pieniążku i o tym, że się z nim rozstać przyjdzie. A tyle

planowała za niego kupić, choćby półkożuszek i ciepłe buty na zimę dla Broni. Cóż, jakoś to będzie. Znajdzie pracę, zarobi, do zimy nie tak daleko, ale i nie blisko, na razie starczy tego, co ma.

– Krysia, ja już nie dam rady.

– Dasz, Marian, dasz. Toż już niedaleko.

– Pić mi się chce.

– To od gorączki. Dojdziemy, to usiądziesz, napijesz się, odpoczniesz.

– Krysia, ja nie dam rady.

– Dasz, dasz.

Muszą dojść do miasta, Krystyna to wiedziała. Jeśli przyjdzie im się zatrzymać na noc, to ona jutro nie znajdzie w sobie siły, by poderwać męża do marszu. On będzie leżał w gorączce, a ona... To ją przerażało – myśl, że nie widzi żadnego powodu, by przy nim siedzieć. Weźmie córkę i odejdzie, zostawiając chorego na pewną śmierć. A przecież nie była taka. Nie miała w sobie nienawiści. Nie kochała go, to pewne, ale przyrzekała trwać przy nim aż do śmierci. Tylko wyrok boski mógł ją z tej przysięgi zwolnić. Może teraz to się dzieje, a może nie. Dojdą do miasta, znajdą lekarza, czas pokaże. Może Marian wyzdrowieje, a może umrze. Pewne jest, że Krystynie nie wolno go porzucić.

Pierwszym, co dostrzegła z oddali, była kopuła cerkwi, w której dogasający dzień odbijał resztkę światła. Ludzie siedzieli już w swych domach, puste uliczki sprawiały, że miasto wydawało się wymarłe. Krystyna rozglądała się wokół, nie wiedząc, w którą iść stronę. Dotarła nie tylko do kresu drogi, ale i do kresu własnych sił.

Nagle stało jej się wszystko jedno, czy pójdą dalej, czy nie, czy znajdą doktora, czy też umrą tu wszyscy troje pod czyimś płotem. Chciała tylko zrzucić z pleców ciężar. A świat? Niech się kończy.

I gdy mgła zmęczenia zasnuwała Krystynie oczy, a umysł odpływał w nieświadomość, dotarło do niej, że ktoś pyta, skąd są.

– Z Dzierążni – odpowiedziała odruchowo.

– A po coście tu szli?

– Mąż chory.

– Co z nim?

– Tyfus.

– Tam idźcie.

Trzeba było nadludzkiego wysiłku, by ruszyć z miejsca. Nadludzkiego, by

postawić jeden krok, potem drugi. A jednak Krystyna znalazła w sobie pokłady sił, o których istnieniu nie wiedziała.

Czyjeś ręce wynurzyły się z ciemności. Ktoś podparł Mariana.

– A wy też chorzy?

– Nie.

– A dziecko?

– Dziecko zdrowe.

Coś do niej mówili, o coś jeszcze pytali, ale nie miała siły odpowiedzieć. Przywołała Bronię, chwyciła jej ciepłą dłoń i odeszła, zostawiając te ręce, głosy, Mariana i wszystko. Była pod jakimś budynkiem, w ciemności słyszała szepty. Znalazła miejsce pod murem. Oparła się o niego plecami, przytuliła córeczkę i zapadła w sen tak głęboki jak studnia u starego Pietra.

Obudził ją dźwięk dzwonów. Otworzyła oczy zdumiona. Była przekonana, że zatrzymali się na nocleg w lesie. Kościół? Ludzie? Miasto. Dotarła do miasta, to nie sen. Poczowała ulgę, a jednocześnie strach. Rozejrzała się wokół. Spała oparta o mur kościelny. Nie ona jedna zresztą. Wielu ludzi, zdrożonych wędrowców, znalazło tu miejsce odpoczynku.

Krystyna obudziła Bronię. Przełamując opór zmęczonego ciała, dźwignęła się z ziemi, jednocześnie podnosząc zaspiane dziecko. Poszły do kościoła. Bronia natychmiast zasnęła w ławce. Krystyna opuściła głowę. Nie śmiała się rozglądać, nie śmiała podnieść oczu na święty obraz. Jednak czuła na sobie matczyne spojrzenie Przenajświętszej Pani i to dodało jej odwagi. Modliła się tylko o jedno – o zdrowie dla Broni. Wszystko inne przyjmie z pokorą, niech się dzieje wola Pańska, ale niech Bronia będzie zdrowa, niech będzie zdrowa.

Nie miała sumienia budzić córeczki. Wzięła małą na ręce, zarzuciła jej ramionka sobie na szyję, czując oddech dziewczynki, spokojny, równy. Jakież lekkie było to dziecko, jak puch. A jeszcze niedawno ważyła swoje. Nic to, Krystyna wróci do roboty w kuchni i raz-dwa odkarmi córeczkę. Łydeczki zrobią się krąglutkie, w policzkach znów będą dołeczki. Marian wyzdrowieje... Będzie, co Bóg da, żaden wyrok Krystyny nie ucieszy, żaden nie zmartwi. Trzeba iść, dowiedzieć się, co z nim.

Dla chorych na tyfus utworzono specjalny oddział. Tam wieczorem zabrali Mariana. Krystyna dowiedziała się tylko tyle, że wchodzić do niego nie wolno, jeśli mąż ma silny organizm, zwycięży chorobę. Niejeden dał sobie radę, trzeba się modlić. No to się modliła. Koczowała pod kościołem albo

pod cerkwią. Obserwowała pracę sióstr zakonnych, niosących pomoc chorym, których każdego dnia przybywało. Modliła się o Bronię. Wyżebrała u Żyda trochę nafty i natarła dziecku włosy. Czekala.

Rozdział trzynasty



Miała baba koguta to dziś popularna przyspiewka ludowa. Mało kto pamięta, że był to rodzaj zabawy muzycznej, polegającej na tworzeniu kolejnych zwrotek, według schematu. Stan posiadania baby zależał od inwencji uczestników. W ten sposób urozmaicano sobie długie, zimowe wieczory. „Miała baba koguta... kaczora... indora... barana... woła... cielaka... prosiaka...” Co jeszcze mogła ta baba mieć i gdzie to schowała? Zapraszam do zabawy.

Styczeń 1928

Jaśko szybko przywykł do wojskowego życia. Potrzebował trzech dni, by przywyknąć do rozkładu dnia, po tygodniu znał już wszystkich. Po dwóch wkręcił się do orkiestry, bo potrzebowali kogoś, kto ma ładny głos i potrafi grać na instrumencie. Jaśko, który sporo przesiadywał u Domańskich, potrafił zagrać kilka piosenek na skrzypcach, nieźle też sobie radził z okarynką. Jednak w wojskowej orkiestrze żadna z tych umiejętności nijak nie mogła się przydać. Okazało się jednak, że poczucie rytmu ma, i dostał mu się bęben.

Tęsknił trochę za Bronią, trochę za domem, ale nie tak, by owa tęsknota przeszkadzała mu radować się tym nowym życiem i jego urokami.

A przygoda zaczęła się już na stacji wąskotorówki. Jaśko bardzo był podekscytowany. Nie pierwszy raz znalazł się na peronie. Przychodził tu z innymi chłopakami, ot tak, z ciekawości, pociąg zobaczyć. Raz, żeby trochę grosza zarobić, najął się do załadunku buraków. I patrzył na lokomotywy, które jak smoki, spowite kłębamii pary, wjeżdżały na stację, wydając przedziwne dźwięki, a także na ciągnięte przez nie wagony, zarówno towarowe, jak i osobowe, podobne do małych domków. Jednak pierwszy raz

w życiu miał jechać koleją, a to będzie wydarzenie, o którym kiedyś dzieciom opowie.

Wojtka na stacji nie było. Jaśko poczuł wyrzuty sumienia, można było rankiem do niego zajrzeć albo kogo posłać, by sprawdzić, co z Dołęgą. Teraz na to za późno. Jeśli kolega będzie miał pretensje, to słusznie, Jaśko nie po sąsiedzku i nie po koleżeńsku się zachował.

– Ten frasunek to dlatego, że do wojska wołają? – zapytał, podchodząc do niego, bardzo wysoki młody mężczyzna. Twarz miał pociągłą, ładny prosty nos, oczy spokojne, niebieskie.

– Do wojska wołają, a frasunek stąd, że sąsiad miał ze mną jechać, ale widocznie zaspał.

Tamten postawił na ziemi walizkę, sięgnął do kieszeni, woreczek wyjął, z niego bibułkę. Nasypał na nią tytoniu, rozsunał, by równo był, przycisnął opuszkami, a na koniec polizał brzeg, po czym wprawnym ruchem skręcił.

– Palisz?

Gdy Jaśko skinął głową, tamten podał mu woreczek.

– Skąd jesteś?

– Z Tynczyna.

– Słyszałem. Podobnoście kościół sprzedali.

– To na innych wsiach o tym gadają? Wszystko przez tego nowego proboszcza. Za starego to by się nigdy nie stało. Tamten był patriota, Polak i wielkiego serca człowiek. A ten, co po nim przyszedł, tylko pieniędzy patrzył. A u nas we wsi prawie sami Ukraińcy, Polaków mało. Ojciec mówił, że jego ojciec opowiadał, że kiedyś wszyscy byli unitami. Potem car kazał unitom być prawosławnymi, Ukraińcy się z tym pogodzili, ale Polacy chcieli swój kościół mieć, a że do Łaszczowa daleko, to wybudowali ot, taki maleńki. Dobrze wszystkim było. Aż tu nastał ten proboszcz krwio pijca. U nas na wsi, tak jak i w innych dokoła, na jednego bogatego gospodarza dziesięciu biedaków przypada. Zresztą ludzie się z groszem liczą, bo teraz dopiero pierwszy rok, co trochę się polepszyło, a tak to nędza. Ksiądz nie miał się z czego utrzymać, poprosił biskupa, żeby go zabrać. Tak my teraz czartowieccy parafianie. Ale tylko kilka osób tam chodzi, reszta do cerkwi, bo teraz nie są prawosławni, tylko znowu unicy.

– Zaraz i cerkiew wam zabiorą. Taka teraz polityka.

– A ty skąd jesteś?

– Ja z Małoniża. Franek Bulicz jestem, ale we wsi mówią na mnie

Polaczek. U nas wieś w większości polska, a prawie wszyscy mówią po chachłacku. U was jak mówią?

– Różnie. Więcej po polsku niż po ukraińsku. U nas gadają, że u was we wsi bieda.

– Ludzi dużo, ziemi mało, to jak ma być? Reformę obiecali, ale idzie ona jak krew z nosa. Jakby Witos władzę sprawował, to szybciej by szło. Przez tych sprzedawczyków, co się władzy dochrapali, musiał Marszałek przewrót zrobić. I teraz jest jak jest, a nie wiadomo, jak będzie, bo za chłopem nikt nie obstanie, tylko inny chłop. U nas dobrze nie ma, bo moje ojce rodzeństwo matczyne spłacają, siostry gdzieś hen, pod Warszawę się zagnały, tam teraz żyją, a wuj został. Nas w domu czworo. Trzech chłopaków i jedna dziewczyna.

– Nas też czworo. Dwie siostry mam, a mój brat polowym w Nadolcach.

– Julian Lipczewski to twój brat? Przez to twarz mi się wydawała skądś znajoma. Ja twego brata dobrze znam. My nieraz w majątku robim. Jakiż to świat mały.

– Jedni mówią, że mały, inni, że wielki. U nas we wsi jest jeden taki, co w Ameryce był.

– U nas we wsi jest taki, co był w Japonii. Prawdę mówię. Pisze się on Grzegorz Byś, a Greško na niego mówią. Bo u nas prawie same Bysie, to każdy ma jakieś przezwisko. Nawet jak nie Byś, to też przezwisko ma. Kiedy tak się stało, że car nie dogadał się z Japończykami i oni uderzyli na Port Artur, rozpoczęto mobilizację. I tak przyszli po naszego Greška i go wzięli w żołdacy. Tak on z pierwszym korpusem trafił do Mandżurii. W czerwcu czwartego roku walczył pod Delisi. Tam Japończycy dali ruskim niezłego łupnia. Greško, a nie on jeden, dostał się do niewoli. Wziął ich japoński oficer, zebrał i mówi, że teraz będą maszerowali do jenieckiego obozu. A że droga przed nimi daleka, to niech się przejdą po polu bitewnym, przeszukają poległych, wezmą ich żywność i co tam jeszcze może się przydać. Idzie Greško między trupami, przykry to widok, naraz patrzy, a tam leży ktoś zaciejszy, bo płaszcz na nim porządny, wełniany. Myśli sobie, niby płaszcz ciężki, ale gruby, przyjdzie spać na ziemi, będzie jak znalazł. A i to, że zima nadejdzie, bardziej niż pewne, a nie wiadomo, ile w tej niewoli żyć przyjdzie. To wziął ten płaszcz. Jak już byli w obozie, a to w samej Japonii było, to się w niego przyodział. Siedzi sobie, o swojej wsi ukochanej дума, a tu przychodzi Japończyk, ale nie byle jaki, tylko naczelnik, i mówi: „Tyś

zacniejszy, bo ty oficer, po insygniach na płaszczu widzę, to cię wezmą na ordynansa”. Greško niegłupi, lepiej Japończykowi buty czyścić, niż w carskiej armii służyć. Bo przecież wróg naszego wroga to nasz przyjaciel. Piłsudski to wiedział. I Dmowski poniekąd też, choć inaczej chciał do sprawy podejść, ale polityka to nie część tej opowieści. No i tak Greško u japońskiego naczelnika doczekał końca wojny. Tamten był z niego bardzo zadowolony i mówi: „Chcesz, to zostań u mnie na służbie, a nie chcesz, to powiedz, czego ci trzeba, wszystko dostaniesz”. Na to nasz Greško mówi, że on chce do Małoniża wrócić, bo tęskni. To wsadzili go na statek, jeszcze pieniądze na drogę dali. I tak wrócił do wsi. Chłopie, jak on cudnie opowiada o tym ich świecie, o domach, drzewach, o strojach. Powiem ci, bajka. – Przerwał, zwilżył usta końcem języka. – Teraz twoja kolej, o tym, co w Ameryce był, opowiadaj.

Zanim jednak Jaśko zdążył usta otworzyć, pokazała się lokomotywa owita w parę.

– Moja opowieść skróciła nam czekanie, twoja skróci nam podróż – powiedział Franek.

Jaśko schylił się po walizkę, podszedł do wagonu, a gdy nogę stawiał na stopniu, zobaczył wbiegającego na peron Wojtka Dołęgę.

– Tutaj! – krzyknął. – Coś ty, zasnął?

– Zasnął, zasnął. Tyle że nie w swoim łóżku. Długa historia.

– To chętnie posłuchamy – odezwał się Franek. – Powiem wam, koledzy, że ja okrutnie lubię historii słuchać i wdawać się w rozmowy polityczne.

Podróż była jeszcze bardziej ekscytująca, niż to sobie Jaśko wyobrażał. Na początku mijał znane miejsca, chociaż z wagonu, przez małe okienko wyglądały one zupełnie inaczej. Później wjechali w świat nieznany. Podobny, bo chaty strzechą kryte, pola porane, zieleniące oziminy, wszystko jak w Tynczynie, ale jakoś inaczej.

– A znacie wy, koledzy, wieś Aleksandrów? – zapytał Franek, gdy zarówno Jaśko, jak i Wojtek zakończyli swoje opowieści. – Leży ona na północny zachód od nas, spory kawał drogi za Tomaszowem. A ciekawa jest z tej to przyczyny, że car ją założył, po nim zresztą nazwę dostała, dla więźniów. Tak sobie obmyślił, że nie warto tych wszystkich rabusiów i złodziei na Sybir gnać. Ziemię im dał, żeby uprawiali i tak swoje winy odpracowali. Nikt nie mógł wyjechać, bo strażnicy pilnowali, zresztą po co? Jak złapią, to na Sybir, lepiej więc już na swojej ziemi zostać. Domy mogli budować, tylko

odwrotnie niż na innych wioskach, nie wolno było robić okien wychodzących na gościniec. Żeby ich nie kusilo patrzeć, kto zaniejszy jedzie, bo wiadomo, pokusa czyni złodzieja. Cara już nie ma, a w tej wiosce wciąż jak nowy dom budują, to bez okien od gościńca. Taka moda się tam zrobiła. Jak to mawiają, co jedna wieś, to inna pieśń. I proszę – rzucił, spoglądając w okno. – Tak nam droga minęła, żeśmy się nawet nie spostrzegli.

Jaškowi, nie wiedzieć czemu, wydawało się, że Hrubieszów podobny będzie do Łaszczowa czy Tyszowiec, może ciut większy, ot taki jak Tomaszów. Tego, co zobaczył, zupełnie się nie spodziewał. Toż to miasto było przeogromne! Już sam dworzec, choć drewniany, ale większy od największej chałupy w Tynczynie, powinien dać Jaškowi do myślenia. Co krok jak nie kościół, to cerkiew albo synagoga. Ulice szerokie, wozów na nich więcej jak w Łaszczowie w dzień targowy. Polacy, Ukraińcy, Żydzi po ulicach spacerują, rozmawiają, załatwiają interesy, kobiety sprawunki robią, dzieci się bawią, gwarnie, szumno, wesoło. I życzliwość taka ogólna, masz wrażenie, że wszyscy się tu znają, ale to być nie może, żeby tyle ludzi naraz się znało, po prostu mili są z natury. O czym zresztą Jaško i kompani mogli się przekonać, gdy trzy razy musieli o drogę do garnizonu pytać, bo wciąż błądzili. Na szczęście życzliwi ludzie cierpliwie tłumaczyli, a jeden wyrostek w zamian za papierosa pod samo biuro przepustek przyprowadził.

Tyle to było przygody z podróżą. Dzień ten wciąż wracał swoją niezwykłością, a gdy Jaško kładł się na pryczy i oczy zamykał, czuł kołysanie pociągu. Teraz każdy następny mijał spokojnie. Najlepsze ze wszystkiego było w wojsku jedzenie. Jaško w domu nie głodował. Co prawda przednówek dawał się we znaki, ale nie aż tak jak w innych chałupach, gdzie ludzie niecierpliwie czekali, by pierwsze źdźbła trawy się zazieleniły, bo można z niej było ugotować zupę.

U Lipczewskich, tak jak i u innych mieszkańców wsi, czekano pierwszych liści szczawiu, ale nie z powodu głodu, tylko dla właściwości tej rośliny. Po zimie, gdy wszyscy byli wycieńczeni, zupa szczawiowa nie tylko uzupełniała wszelkie braki, ale miała też właściwości oczyszczające organizm z całej trucizny, która przez zimę się zgromadziła. Zupy z trawy nie jedzono u Lipczewskich nigdy. Widział jednak w innych chałupach tę strawę. Widział teraz po twarzach i sylwetkach innych rekrutów, że ją znali i jedli, nie tylko na przednówku. Dla nich czas spędzony w koszarach mógł być najszybszym w życiu.

Z rozrzewnieniem będą go wspominać, gdy wrócą na swoje spłachetki ziemi, by ciężko na niej pracować od rana do wieczora, a mieć z tego niewiele albo i nic. Bo choć ostatni rok okazał się lepszy od poprzedniego, wieś wciąż jeszcze nie wygrzebała się z dołu, w którym przez lata tkwiła. Najpierw jarzmo zaborców, dla których chłopci z ziem polskich, zarówno Polacy, jak i Ukraińcy czy Białorusini, byli obywatelami piątej, a może i szóstej kategorii. Później przez bez mała siedem lat wojny. Rany przez nią zadane nie mogły się zagoić ot tak. Spalone chaty, zapasy, zniszczone pola, pozabierane konie, zniszczone maszyny, młyny, po których nawet fundamenty się nie ostały, wszystkie te straty należało odrobić, a jak, skoro na to trzeba było pieniędzy. A stabilny pieniądz dopiero od niedawna, bo przecież zaraz po wojnie z dnia na dzień tracił na wartości. Jeśli kto miał co odłożone na czarną godzinę, to patrzył, jak to, za co wczoraj mógł kupić krowę, po niedzieli ledwo na chleb starczało.

U nas też się pozmieniało, pomyślał. Nie to, żebyśmy się stali biedni, ale aż tak bogaci też już nie jesteśmy. Kiedy się z Bronką ożenię, przyjdzie nam ciężko pracować, by do znaczniejszego majątku dojść. Ziemi trzeba będzie dokupić. Może Kornelowiczowa będzie sprzedawała? To dobre pole, choć teraz zaniedbane, ale wiadomo, jak dzierżawca robi na cudzym – ot tak, żeby jak najmniej włożywszy, jak najwięcej wyciągnąć.

Myślał o przyszłości, choć nie tak znowu często. Czasu nie było. Na wsi rytm wyznaczają pory roku. Latem siedzi się do późna przed chatą, przychodzą sąsiedzi na wieczórki, gadają, śpiewają, jest wesoło. Zimą wcześniej idzie się spać, żeby darmo oliwy albo nafty czy świeczki nie wypalać. Jak przychodzi czas pracy, to się robi od rana do wieczora, a jak się praca skończy, to się śpi, tyle co człowiek wstanie na chwilę, do bydła zajrzy i zaraz znowu może spać. Jak pogoda dobra, to pracuje z ochotą, jak deszcz leje, to z niepokojem w okienko patrzy i się martwi, że plony wymokną. Chyba że wcześniej była susza, to dziękuje Niebiosom za deszcz. Gdy kogut rano pieje, znak to, że trzeba wstawać, a gdy wieczorem krowa ryczy na pastwisku, wiadomo, że czas ją gnać do domu, doić i na noc w siano zaopatrzyć. Tak człowiek żyje wraz z przyrodą, na zegar wcale nie patrzy, bo na cóż mu on? Zwierzęta, łąki, pola, wszystko to wyznacza swoje pory na karmienie, koszenie, oranie.

A w koszarach zupełnie inaczej. Tu wszystko na godziny od samiutkiego rana do wieczora, a dzień podobny jeden do drugiego, jakby były od jednej

sztancy odbite. Rano pobudka, zaprawa, śniadanie, później albo ćwiczenia, albo wykład, obiad, znów albo ćwiczenia, albo wykład, kolacja, trochę czasu wolnego i już spać trzeba. Jak kto ma dyżur, to biega z miotłą, gnoje ze stajni wyrzuca, podłogi zmywa albo kartofle obiera. Jaśko szybko przywykł i do tego, choć w domu nigdy w babskich zajęciach nie pomagał. Od nich były siostry i mama. Głównie siostry. W domu wstyd babską pracą się zajmować, ale w koszarach jest zupełnie inaczej. Robisz to, co ci każą, o nic nie pytasz, nad niczym się nie zastanawiasz, a myśl o tygodniu w areszcie największego nawet chojraka powstrzymuje przed pyskowaniem.

Zresztą po co pyskować, skoro przełożeni są w porządku. Kiedy się dowiedzieli, że starszy brak Jaśka, ojciec i szwagier walczyli z bolszewikami, to gratulowali rodzinie patriotycznej postawy. Po tych słowach Jaśko miał ochotę piechotą do domu iść, mamie powtórzyć. No ale wiadomo, nie można. Czekał dwudniowej przepustki jak zmiłowania, może na Wielkanoc dostanie. Na razie trzy razy dostał taką na dwie godziny i mógł popołudnie spędzić w mieście. Znacznie lepiej je teraz obejrzał.

Najbardziej zadziwiały go koszary. Takich budynków w życiu nie widział, nigdy w takich nie był. Wysokie, szerokie, każdy z czerwonej cegły, z oknami tak dużymi, że wszystko można było przez nie zobaczyć. Wszędzie drewniane podłogi i porządek nienaganny. Jeden z oficerów mówił, że jeszcze przed rewolucją w piątym roku car Mikołaj kazał te koszary budować dla Siódmego Pułku Ułanów Oliwopolskich. Zdaniem Jaśka musiał to być jakiś znaczny pułk, skoro nawet cerkiew im tu car kazał postawić. Jednak jacy by oni byli, z Drugim Pułkiem Strzelców Konnych równać się nie mogli.

Po rozprawie z bolszewikami, w dwudziestym pierwszym, pułk osiadł w Hrubieszowie. Jego zasługi w wojnie były nie do przecenienia, a kto miał wątpliwość, ten powinien przyjść na plac manewrowy, gdy kadra ćwiczyła. W dwadzieścia koni szli, a żaden nawet na palec, co tam palec, na włos chrap do przodu nie wysunął. Gdy człowiek stał oparty o ogrodzenie albo z okna patrzył, jakie sztuczki wyprawiają, jak wsiadają w biegu i zsiadają, jak wiszą na końskim boku i spod brzucha strzelają, jak się przesiadają w pełnym galopie z konia na konia albo też i wstają, to aż coś go w środku ścisnęło i taka duma go rozpierała i radość, aż się z tej radości popłakać zdarzało.

– Widział kto Lipczewskiego? – usłyszał na korytarzu. Zerwał się z pryczy. Zamyślił się, zadumał i pewnie przez to spóźnił się na ćwiczenia. Spojrzał na zegar, który w każdej sali wisiał. Nie, jeszcze pięć minut.

A tu już drzwi się otworzyły. Jaśko zaskoczyć się nie dał, stanął na baczność, napięty jak struna.

– Co wy sobie myślicie, żołnierzu, że ja za wami będę po całych koszarach biegał?

– Melduję, panie kapralu, że nie.

– Próbę orkiestry macie. Co, zapomnieliście?

– Melduję, że nie.

– Jak nie, jak tak. Szukają was.

– To o piętnastej miało być.

– A jak wojna wybuchnie, to też powiecie, że to o piętnastej miało być?

– Melduję, że nie.

– To biegnijcie, na co czekacie?

Jaśkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Próba wcale nie miała być o piętnastej, ale gdyby kapral się dowiedział, jaka z Jaśka zapominalska gapa, wyśmiewałby się z niego do końca służby, więcej, kolejnym rocznikom rekrutów opowiadałby, jak to „był jeden taki. Lipczewski mu było, imienia nie pamiętam, bo i on sam nie pamiętał, taki był z niego gapa. A jak który z was do niego podobny, to niech sobie węzłki na chustce wiąże, bo w wojsku nie ma miejsca dla zapominalskich”.

Próby odbywały się w świetlicy. Jaśko wpadł jak burza, zasalutował, zajął swoje miejsce, a cały czas głowę nisko trzymał, udając, że nie widzi karzącego spojrzenia kapelmistrza.

– A na wieczór ładnie się wyszykować, bo gramy w kasynie.

Znów dansing będzie. Odkąd się karnawał zaczął, orkiestra przygrywała na dansingach. To ci dopiero. Samo kasyno wyglądało tak niewypowiedzianie pięknie, że człowiekowi tchu brakło. Długi budynek, piętrowy, z poddaszem, jak wszystkie został wybudowany z czerwonej cegły. Pod oknami, których było piętnaście, rosły jakieś krzaki, teraz nie bardzo wiadomo jakie, ale latem pewnie cudnie kwitnące. Prowadził do niego szeroki podjazd. Z przodu stał taki niby ganek, na czterech słupach wsparty, na którego dach można było wychodzić, gdy się któremu oficerowi zapalić chciało albo z jaką damą dwa słowa na osobności szepnąć.

Te damy właśnie najbardziej rozpały wyobraźnię żołnierzy. Żony, córki, krewne i znajome oficerów albo też przyjaciółki i znajome owych żon, córek i krewnych przychodziły na dansingi. Miały na sobie najróżniejsze suknie, jedne dłuższe, inne według nowej mody, takie, że nie tylko łydkę, ale czasem

i kolano odsłaniały. Do tego przeróżne nakrycia głowy, toczki, kapelusiki, woalki. Twarze wymalowane dla podkreślenia urody. I jeszcze ten zapach perfum, który się wokół nich unosił. Były jak księżniczki z bajek, tyle że żywe, prawdziwe, chętne do rozmów i żartów.

Poprzednim razem zdarzyło się Jaśkowi, że gdy z przerwy wracał, zaczepiła go jedna z nich. Zamienili kilka słów, a potem kobieta dała mu do zrozumienia, że oczekuje zaproszenia do tańca. No to zatańczyli ze sobą dwa razy. Opowiedział o tym później Frankowi, co było błędem, bo kolega wciąż dumał, jak by to się do kasyna na dąsing dostać.

– Ty nawet nie wiesz, przyjacielu, jak mi się chce potańcować.

Jaśko to rozumiał. Gdyby był tak jak Franek wolny, to pewnie też by marzył o tańcach i rozmowach z pannami. Jednak teraz miał Bronkę. Gdzież ten dawny Jaśko, myślał sobie, który co tydzień w innej dziewczynie się kochał? Przyszła prawdziwa miłość i całkiem go zmieniła. Z żołądu nawet na papierosy czy wódkę nie wydawał, bo każdy grosz się przyda, gdy wspólne życie zacząć. To już niedługo. Ani się spostrzegł, gdy dwa miesiące minęły, tak i dwa lata przeminą. A wtedy już na zawsze będą razem.

– A wam co tak wesoło, Lipczewski? – zapytał kapelmistrz.

– Melduję, że piosenka mi się podoba.

– To melodia. Piosenka jest wtedy, gdy są słowa. I żebyście mi się wieczorem nie spóźnili. Bo z orkiestry wyrzucę. – I pogroził mu palcem.

Gdy Jaśko po kolacji szykował się do wyjścia, zauważył, że i Franek się szykuje.

– A ty dokąd?

– Z tobą.

– Przecież cię nie wpuszczą.

– Tak to sobie obmyśliłem, że wpuszczą.

– Jeszcze mi kłopotów narobisz. I bez tego kapelmistrz krzywo na mnie patrzy.

– Żadnych kłopotów nie będzie. Chodźmy już, żebyśmy się nie spóźnili. Mówiłem ci już, że u nas we wsi był taki jeden, co w Powstaniu Styczniowym walczył? Znałem go. Umarł, całkiem niedawno. Długosz się pisał i spod Krakowa był. Bił się dzielnie z zaborcą, ale do niewoli trafił. Skuli biedaka i z innymi na Sybir prowadzili. Droga im przez Małoniż wypadła. A ty wiesz, co o drodze naszej mówią? Jedna wielka kałuża. To szli wolno ci skazańcy. Z jednej strony domy, z drugiej ogrody, wiesz, jak to

u nas jest, że ogrody długie, do rzeki. No i myśli sobie ten Długosz: „czmychnę”. I tak zrobił. Zorientowali się strażnicy i za nim, a on między tymi chwastami, między konopiami. A tam dziewczyna coś na ogrodzie robiła. To on pod jej spódnicę, a że wzrostem był mały, bo ja na ten przykład to szansy bym nie miał, to się w tych halkach całkiem dobrze ukrył. Podchodzą strażnicy do dziewczyny, pytają o zbiega, ta nic nie powiedziała, tylko ręką machnęła w stronę rzeki. Pobiegli, szukają, no, przepadł. A dziewczyna stoi. Dopiero jak odeszli, to powolutku, krok za krokiem do domu poszła. Ukryli tego Długosza w jamie, bo wiadomo, urzędniki przyjadą pytać. Przyjeżdżali, pytali, nikt nic nie widział. A tymczasem Długosz już w obrządkach pomaga, gnój wyrzuca, siano myka. Ot i tym sposobem dostali zięcia, bo on się dziewczynie spodobał, a ona jemu.

Byli już w świetlicy i Jaśko po bęben się schylił.

– Innym razem ci opowiem, co on o powstaniu mówił. A ty tego instrumentu nie ruszaj, moja to robota.

Przyszli do kasyna. W drzwiach stał kapral Jeziorowski.

– Jan Lipczewski. Ja z orkiestry. Grać dziś będę.

– A ten drugi?

– Franciszek Bulicz. Nosiciel. Znaczy, oddelegowano mnie do noszenia instrumentu za muzykiem.

Kapral skinął głową i ich przepuścił.

Gdy odeszli na tyle, że nie mógł ich słyszeć, Jaśko spojrzał na przyjaciela.

– Nosiciel?

– A co? Widziałeś? Nawet się nie zdziwił. Teraz, mój Jaśku, do końca służby będę za ciebie ten bęben nosił. Zarówno na dansingi, jak i z dansingów. A w czasie gdy ty będziesz grał, ja sobie potańczę. Może jaką miłą pannę zapoznam i się ożenię?

– Daj ci to Panie Boże – powiedział Jaśko. I pomyślał, że on już nie potrzebuje nikogo poznawać. A za trzy lata o tej porze to będzie ożeniony. Tak się stanie i już.



Babka zdrowotna

25 dkg mąki pszennej, 10 dkg cukru, 10 dkg masła, 4 jajka, 4 łyżki mleka, łyżka proszku do pieczenia, skórka otarta z połowy cytryny.

Masło, cukier i żółtka ubić na pianę, stopniowo dodawać przesianą mąkę z proszkiem i mleko. Na koniec wymieszać całość z ubitymi na pianę białkami i skórką. Wyłożyć do formy. Piec czterdzieści pięć minut.

Krystyna 1915

Mówiono, że wojna na świecie niedługo ma się zakończyć. I zadziwiające, jak mało było tych, co nie wierzyli tym słowom. A przecież wcześniej mówiono, że wojny nie będzie, gdy zaś już wybuchła, powtarzano, że skończy się przed zimą, do wiosny, latem, na jesieni.

Krystyna przestała czekać na koniec wojny na początku tysiąc dziewięćset piętnastego roku, a w tej chwili zupełnie jej nie interesowało, czy wojna skończy się jutro, czy za miesiąc. Miała na głowie własne, dużo poważniejsze zmartwienia.

Jęk męża wyrwał ją z zamyślenia. Spojrzała na gliniany kubeczek, który trzymała w dłoniach. Szklawiony na brązowo, ozdobiony zielonym kwiatuszkiem z sześciu kropek. Czemuż ten kwiatek zielony?, zapytała sama siebie. I cóż mnie się w nim tak podobało? Wróciła myślami do życia sprzed wojny, sprzed zamążpójścia, sprzed wielu, wielu lat, które teraz wydawało się dziwnym, nierealnym snem. Kubeczek, jak wiele mu podobnych, stał na ladzie kramu. Czy to był odpust, czy zwykły jarmark, nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała tylko to ogromnie silne pragnienie, by taki kubeczek

posiadać.

– A na cóż tobie ten kubek? – zapytała matka. – Toż w domu jest z czego pić.

– Kiedy on taki śliczny.

– Ot, spodobał się. Inne panny patrzą za wstążkami, za koralami, a tej się kubka zachciało. Nie kupię ci, grosza darmo wydawać nie będę.

Do rozmowy niespodziewanie włączył się ojciec.

– Kup – powiedział tylko i zamilkł, bo z natury swej był nad wyraz małomówny.

Matka zamruczała coś pod nosem, ale sprzeciwić mu się nie chciała i chwilę później Krystyna trzymała kubeczek. Ileż było strachu, by kto jej w ciżbie nie pchnął, kubeczek nie zmiażdżył. I podczas powrotu wciąż się bała, by go nie stłuc. W chałupie odwinęła go ze szmatki, w którą matka zapakowała ser na targ wieziony, i postawiła na półce nad stołem.

– On tylko do patrzenia. Taki śliczny.

Matka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

A teraz tamtego świata już nie ma, a kubeczek, choć trochę wyszczerbiony, wciąż cały. Poszedł za Krystyną do mężowskiego domu, razem z nią tułał się po świecie, jakby jego zadaniem było przypominać o tamtym dniu z czasów, gdy czuła się może nie tyle szczęśliwa, ile zadowolona, syta i bezpieczna, a jej przyszłe życie mogło wyglądać inaczej.

Zakręciła drewnianą łyżką, woda w kubku zatańczyła, odbite od niej światło mignęło jak złoty paproch.

Rozległ się kolejny jęk.

Już miała nabrać na łyżkę wody, by zwilżyć nią usta chorego, gdy coś ją powstrzymało. Popatrzyła na męża. Nie był już nawet cieniem dawnego siebie. Nie wyglądał, jakby schudł, ale jakby zasechł, tak jak zasycha liść. Skóra na twarzy, jeszcze kilka dni temu biała, poznaczona niebieskimi nitkami żył, teraz stała się szara, czerniejąca i sprawiała wrażenie tak cienkiej, że palcami dałoby się ją rozedrzeć. Powieki, które jeszcze kilka dni temu na czas snu zakrywały gałki oczne, teraz trwały nieruchomo ni to opuszczone, ni podniesione. Ich mechanizm się popsuł, tak jak wiele innych w tym wycieńczonym chorobą ciele. Krystyna kilkakrotnie próbowała zamknąć choremu oczy, bezskutecznie. Dziwnie się czuła, gdy nie wiedziała, czy on śpi, czy też te przymknięte oczy ją obserwują. Tłumaczyła sobie, że to głupstwo, wszak oczy te od wielu dni nic już nie widziały. Tęczówki, niegdyś

intensywnie brązowe, teraz zbladły, pożółkły, zmatowiały.

Dobrze, że Bronia bezpieczna, pomyślała i na nowo przeżyła strach tego dnia, może czwartego, może piątego od ich przybycia do Tomaszowa. Podobne do siebie, wypełnione czekaniem i strachem, wszystkie złały się tak, że nie potrafiła ich od siebie odróżnić. Pamiętała jednak, że jak każdego ranka obudziła Bronię, by razem z nią iść do kościoła.

– Pójdziemy pomodlić się za tatusia.

Mała sapnęła, jakoś tak ciężko, i zakaszła. Policzki miała zaróżowione, ale w ten sposób, który martwi każdą matkę. Tylko nie to, Boże, tylko nie to. Złapała dziecko w objęcia. Pobiegła, tak szybko, jakby to sekundy decydowały o życiu. Znalazła lekarza i uprosiła go, by zbadał córeczkę.

– To nie zaraza. To od spania na gołej ziemi.

– Co ja mam zrobić?

– Znajdźcie jej jakieś ciepłe miejsce. Do domu zaprowadźcie. Kto to widział z dzieckiem po mieście się szwendać. Toż tu zaraza.

Zabrać do domu? Jakże to ludziom, których los nie doświadczył, łatwo innym doradzać. Nie darmo starzy powtarzają, że syty nie rozumie głodnego. Co robić? Co robić? Wróciła do kościoła. Czowała się jak bezrozumne zwierzę, krążące po klatce, przestraszone i zaszczute, które nie wie, co się z nim dzieje, i zdaje się na zew natury. A tu myśleć trzeba było. Może trzeba Mariana zostawić i wracać do domu? Ale gdyby Broni się pogorszyło, to tu doktor, który grosza nie wygląda.

Podniosła oczy na obraz, szukając pomocy tam, gdzie każdy wierzący jej wygląda. I wtedy stał się cud. Przy ołtarzu stanęła młoda zakonnica. Pograżona w modlitwie, uśmiechała się promiennie do obrazu.

Krystyna wyszła z ławki. Wzięła Bronię za rączkę i podeszła do mniszki.

– Siostrze, upraszam łaski. Niech się siostra zlituje nad moim dzieckiem. Ona nie może spać na ziemi. Noce zimne. Zaczyna kaszlać. Ona nie może umrzeć. Mąż mój chory. Niech się siostra zlituje.

Uśmiech znikł. Tak jak jesienią, gdy słońce zniknie za horyzontem, od razu robi się chłodno, tak gdy zakonnica przestała się uśmiechać, jej twarz nabrała surowego wyrazu.

– Przestańcie, co wy robicie. Gdzież ja mam to dziecko zabrać?

– Do klasztoru je zabierzcie. To tylko kilka dni.

– Aleście wymyślili. To klasztor, a nie miejsce dla dzieci.

– Jedno jedniuteńkie. Ona grzeczna, nie będzie z nią kłopotów. Kilka dni

tylko.

Siostra przecząco pokręciła głową, jednak Krystyna wiedziała, że musi walczyć. Nie po to Najświętsza Panienka wskazała jej tę drogę.

– Darmo nie chcę. Zapłacę. Za wszystko zapłacę.

Tamta westchnęła.

– A czym wy zapłacicie?

– Na najczarniejszą godzinę zachowałam co nieco. I teraz ona na mnie przyszła. Ja tylko to jedno dziecko mam na świecie. Dla niej zrobię wszystko.

Przez długą, bardzo długą chwilę zakonnica się zastanawiała.

– To matka przełożona musi zdecydować.

– Wstawi się siostra za mną? Na wszystkie świętości zaklinam, niech się siostra wstawi.

Zakonnica skinęła głową i kazała jej iść za sobą. Krystyna była pewna, że już żałowała tej chwili słabości, gdy postanowiła im pomóc. Jeśli matka przełożona odprawi Krystynę, to i tej dobrej duszy się oberwie.

Przełożona była kobietą mniej więcej sześćdziesięcioletnią, zasuszoną i pomarszczoną jak śliwka, która została przez zimę na gałęzi. Zapewne w swoim życiu widziała już tyle nieszczęścia, że stała się na nie odporna. Nic ani nikt nie był w stanie jej wzruszyć. A już na pewno nie matka z kaszlącym dzieckiem. Dlatego też gdy młoda zakonnica przedstawiła jej prośbę Krystyny, ta szybko rozerwała szew koszuli, w którym ukryła swój skarb, i bez słowa położyła monetę na stoliku.

– To tylko kilka dni – powiedziała. – Ona nie jest ciężko chora. Kaszle od spania na ziemi. W ciepłe zaraz jej minie.

Oczy matki przełożonej zabłyśły równie mocno jak złoty pieniążek. W czasie wojny klasztoru nikt nie wspierał, o żywność było ciężko. A tu złota moneta. Podobnie jak wcześniej Krystyna, teraz stara zakonnica rozważała, co też można by za ten skarb kupić. Dziecko jest małe, wiele nie potrzebuje. Może spać w kuchni, przy piecu ciepło.

– Niech zostanie, ale kłopotów ma nie sprawiać. To klasztor.

Krystyna poczuła, jak ciężki gład, który przygniótł jej serce, spada z głuchym łoskotem. Bronia była uratowana. Przynajmniej na kilka dni dostała ciepły ką.

Dzień jednak się nie skończył. A ogólnie wiadomo, że gdy w jednym się poprawi, w drugim pogorszy. Gdy Krystyna poszła dowiedzieć się, co z Marianem, usłyszała, że jej mąż nie rokuje wyleczenia. Przeniesiono go na

plac za kościołem, gdzie leżeli wszyscy umierający.

– Możecie się tam nim zajmować – usłyszała.

Możecie też dać sobie spokój, bo dla niego nie ma już nadziei – tego jej nie powiedziano, bo któż by powiedział żonie coś takiego o mężu?

Na placu rzędami leżały ciała. W wielu z nich wciąż jeszcze tliło się życie, niektóre już opuściła dusza. Między nimi cicho i bezszelestnie jak cienie przechodziły zakonnice. Można powiedzieć, że starały się nieść pomoc, ale przecież wiadomo, że śmiertelnie choremu nic już nie pomoże. Nic ani nikt.

Krystyna siedziała na ziemi. Patrzyła na to, co niegdyś było jej mężem, a teraz nie było już nawet człowiekiem. Gdzieś w głębi ciała tliła się jeszcze ostatnia iskierka życia. Oczekiwanie na moment, w którym zgaśnie, było nieznośnie irytujące. Przypominało włożenie samodziałowej koszuli na gołe ciało – w pewnej chwili wszystkie myśli koncentrowały się wokół pragnienia, by ją zdjąć. Krystyna nie życzyła Marianowi śmierci, ale skoro miał ten świat opuścić, byłoby lepiej, by nie zwlekał.

Nie życzysz mu śmierci?, spytała sama siebie. Naprawdę mu jej nie życzysz? Ani teraz, ani nie myślałaś o tym w przeszłości? Nie miała odwagi szczerze sobie odpowiedzieć, bo gdyby to zrobiła, powinna czuć się winna tego, co spotkało jej męża, a przecież w niczym nie zawiniła.

Leżąca obok Mariana kobieta, którą tyfus również pozbawił człowieczego wyglądu, czyniąc ją żywym trupem, jęknęła i skonała. Siedzące przy niej brudne, chude dziecko przez chwilę nie zdawało sobie sprawy, że jest już sierotą. Dopiero gdy ciało drgnęło po raz ostatni, rzuciło się ku matce, krzycząc przeraźliwie: „Matulu!, Matulu!”, jakby chciało ją z krainy zmarłych przywołać. Zdawszy sobie sprawę, że trud daremny, rzuciło się na pierś matczyną, tuliło, całowało, płakało. Szeptalo czułe słowa i zapewniało, że będzie dobrze, niech tylko matula nie umiera. Przecież wiedziało, że umarła. Czemuż samo siebie okłamywało?

Któryś z posługaczy zobaczył, co się stało, podszedł, oczy zmarłej zamknął. Rozejrzał się za księdzem, by ten czym prędzej odprawił biedaczkę na tamten, podobno lepszy świat. Na dziecko zupełnie nie zwrócił uwagi. A ono tuliło się do stygnącego ciała jak małe kocię. Krystyna chciała podejść, przytulić to dziecko, pocieszyć. Po cóż jednak je okłamywać? Zostało sierotą, nic dobrego go nie czeka. Niechże spędzi ze swoją matką tych kilka ostatnich chwil, zanim ją wrzucą do zbiorowej mogiły.

Znów pomyślała o sobie. Któż zatem odpowiada za twój nieszczęśliwy los,

kobietę? Westchnęła. Siedziała na placu przed kościołem pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, patrzyła na to rozpaczające dziecko i myślała, że winę za wszystko, co ją, Krystynę, w życiu spotkało, ponosi matka. To smutne. Tym smutniejsze, że tamta wcale nie miała złych intencji. Ot, po prostu, była porywcza, ale świadomie nic złego zrobić nie chciała. Tylko przypadkiem tak wyszło, że uwiązała Krystynie kamień u szyi i pchnęła córkę w stronę rzeki.

Musi o tym pamiętać. Czas płynie, minie rok, dwa, dziesięć, ani się człowiek obejrzy, a do Broni zaczną się schodzić kawalerowie. Trzeba uważać, by nie popełnić błędu. Ona nie może mieć tak okropnego, tak podłego życia.

Wyglądasz jak trup, boś ty już trup prawie, powiedziała w myślach do męża. Leżał na ziemi, na derce w dwoje złożonej, przykryty własną kapotą, bo z ich dobytku nic już nie zostało. Wstyd przed ludźmi, by chory leżał tylko pod kapotą. Krystyna uśmiechnęła się do samej siebie. Ludzie. Wstyd przed nimi. Pierwsze, czego nauczył ją mąż, to robić dobre wrażenie na ludziach. Doszła w tym do mistrzostwa.

– Boli cię? – szepnęła.

Nie wiedziała, czy usłyszał. Jeszcze dwa dni temu zdarzały mu się chwile przytomności. Prosił wtedy o wodę, bo paliła go gorączka. Krystyna z przykrością słuchała tego, co mówił w malignie. „Bredzi, nie ma co rozpamiętywać tych słów”, powiedział jej ktoś, ale ona dobrze wiedziała, jakie jest źródło tego krzywdzącego sądu.

We wtorek gorączka spadła. W pierwszej chwili Krystyna nawet się ucieszyła. Wyzdrowieje, pomyślała. Wydobrzeje i będzie się nimi opiekował. Wszystko się ułoży, wojna się skończy, świat na powrót stanie się taki, jaki był. Marian przez czas jakiś będzie znośny, ale później się napije, wyładuje złość na Krystynie, potem przeprosi i znów stanie się taki, z jakim można wytrzymać. Nie chciała, żeby umarł. A właściwie chciała i nie chciała jednocześnie. Śmierć męża oznaczała wyzwolenie. Nigdy więcej nie czułaby już strachu przed biciem i poniżaniem. Tylko czy ona sama, biedna wdowa, da sobie radę w życiu? Jak utrzyma dziecko, w jaki sposób zapewni im dach nad głową, co będą jadły, jak będą żyły?

Mimo że gorączka spadła, Marian nie odzyskał przytomności. Jego ciało zwiotczało, jakby nie był człowiekiem, tylko szmacianą lalką. We wciąż otwartych ustach widziała dziwnie wykręcony język.

– Umierasz, prawda? – zapytała szeptem. – Są tacy, co z tego wyszli, ale nie ty. Przez tyle dni żyłam nadzieją, byłam tu z tobą, pośród tych wszystkich chorych. Pielęgnowałam cię, nie myśląc, że sama mogę się zarazić. Chciałam, żebyś żył, bo nie wyobrażałam sobie naszego życia bez ciebie. Teraz już mi wszystko jedno.

Wzdrygnęła się, bo ktoś położył jej rękę na ramieniu. Podniosła głowę. Przyszedł ksiądz.

– Modlisz się?

Skinęła głową.

– To dobrze, bardzo dobrze.

Uśmiechnął się, podszedł do zmarłej kobiety, powiedział coś dziecku. Uklękło, przeżegnało się.

Modłę się, Panie, modłę. Oto moja modlitwa. Nie wiem, Panie Boże, jaki popełniłam grzech, żeś mi kazał za niego tak pokutować. Myślę o tym i myślę, ale nie przypominam sobie winy równoważnej karze, jakiej doświadczyłam. Może jest coś w moim przyszłym życiu, o czym Ty wiesz, za co zapłaciłam z góry. Jeśli tak, to wiedz, że nie zawaham się tego zrobić. Doświadczyłam najgorszego, czego może doświadczyć człowiek. Marian miał mnie kochać, miał wspierać, miał być przy mnie. Nie kochał i nie wspierał. To nie największa jego przewina względem mnie. Wiele osób idzie do ślubu bez miłości i do końca swoich wspólnych dni jej nie odnajdują. Ale mój mąż, któremu przed Tobą przysięgałam i który mi przysięgał, nie miał dla mnie szacunku. Czasem bezrozumne zwierzę znajduje w oczach właściciela więcej uznania, niż Marian miał dla mnie. Ciągłe bił, wyzywał. Nie miał powodu, ale zawsze go sobie znalazł. Zabił moje pierwsze dziecko i nawet nad nim nie zapłakał. Chciałam, żeby żyło, chciałam całować jego pulchne rączki, patrzeć, jak rośnie, chciałam je kochać. A on mi to wszystko odebrał i ani razu nie zapłakał. Czy chcę, żeby umarł? Tak. Od lat na to czekałam, myśl sobie o mnie, Panie, co chcesz. Gdybym miała śmiałość albo gdybym była zła, tobym się o to modliła, chciałabym, żeby umierał powoli, miał świadomość tego, co się z nim dzieje. Widziałam, jak cierpiał, ale wciąż się zastanawiam, czy aby nie cierpiał za mało. Choroba trawiła ciało, niestety, gorączka zmąciła umysł i nie wiadomo, czy był świadom tego, co się z nim dzieje. Powinien być.

Powinien widzieć te ropne wybroczyny, powinien czuć cały ten ból. To niesprawiedliwe, że jeszcze w malignie wygadywał na mnie takie okropne

rzeczy. Nigdy nie byłam z nikim innym, nigdy nie spojrzałam na innego chłopca. A on mnie wyzywał od najgorszych nawet teraz, gdy już stała nad nim kostucha. I to wcale nie były słowa zmąconego rozumu. To słowa rozumu, który utracił wszelkie hamulce, tak szczerze jak mowa dziecka. Bił mnie latami, tak mocno, że czuję ból na samo wspomnienie. A ile czasu chorował? Nawet nie dwa tygodnie. Czy to sprawiedliwe? Według mnie nie. Mówię Ci to, Panie, bo w końcu mam odwagę. Nie byłeś wobec mnie sprawiedliwy. Dlatego mam nadzieję, że gdy mój mąż stanie na Twoim sądzie, potraktujesz go tak, jak sobie na to zasłużył.

Umilkła. Nie miała już nic do powiedzenia. Czuła się jak wydmuszka, jakby ze słowami wypłynęły z niej wszystkie uczucia. Nie było już żalu, smutku, strachu, nic. Pustka. Spojrzała na Mariana. Iskierka zgasła. Leżało przed nią ciało kogoś, kto był jej mężem, jej katem. Jakiż teraz był brzydki. Nawet spokój, który rozluźnił jego rysy, nie był w stanie przywrócić twarzy wspomnienia dawnej urody.

– Taki byłeś ładny, mogłeś mieć każdą, czemuś wybrał mnie?

Były to ostatnie słowa, które wypowiedziała do męża. Umarł, jakież to szczęście. Fizycznie czuła radość z wyzwolenia. Miała ochotę poderwać się z ziemi i tańczyć, śpiewać, klaskać. Już po nim, odszedł, umarł. Wyruszył w podróż, z której się nie wraca. Co za ulga, co za ulga.

Teraz najbardziej pragnęła wstać, zabrać Bronię i odejść jak najdalej od tego miejsca. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Trzeba się zająć tym, co pozostało z jej męża na tym łez padole. Widziała, jak to przebiega. Trzeba dać znać do służb, że chory umarł. Ciało grabarze zabiorą na cmentarz. Nie miała pieniędzy ani na pogrzeb, ani na księdza. Musi dać znać rodzinie Mariana na Pawłówkę. Tam mieszkała jego siostra. Może żyje i chciałaby wiedzieć o losie brata. Jeśli tamta uzna, że należy urządzić pogrzeb, niech się wszystkim zajmie. Krystyna uda, że nie ma do tego głowy, tak bardzo jest zrozpaczona śmiercią męża. Nie postanowiła jeszcze, co robi później. Jak pokierować tym nowym życiem, które jej podarowano?

Przez Żyda, który wędrował do Grodysławic, dała znać rodzinie Mariana o jego śmierci. Zjawili się pod wieczór. Matka i jego siostra z mężem. Krystyna ich poznała, choć widziała całą trójkę raz w życiu, na swoim weselu. Marian nie utrzymywał bliskich kontaktów z krewnymi. Jakby się bał, że Krystyna zdradzi prawdę o nim. Wyobraziła sobie, jak łamają się opłatkiem, a teściowa pyta: „Czego to ci, Krysia, życzyć?”. „Ano tego, żeby

mnie Marian nie bił”.

Nie czuła związku z tymi ludźmi, nie znała ich. Czy mieli wady, przywary? Czy ta staruszka, co zalewa się teraz łzami, ponosi winę za to, jakim człowiekiem był mąż Krystyny? Czy w tej młodej kobiecie, co głaszcze Krystynę po głowie, drzemie takie samo zło jak w Marianie?

Wszyscy troje, jakby na przekór temu, co o nich myślała, byli nad wyraz mili i serdeczni. Opłakiwali Mariana szczerze, w zawodzeniu matki słycać było głęboki ból. Krystyna rozumiała matczyne cierpienie po utracie dziecka. Szkoda jej było tej kobiety, która nosiła Mariana pod sercem, karmiła go piersią, otaczała opieką, a teraz musiała patrzeć na to, co z niego zostało.

Siostra Mariana wypłakała się szybko, westchnęła kilka razy do Pana Boga, którego takie są wyroki, i zajęła się sprawami organizacyjnymi.

– Księdza trza.

– Nie mam pieniędzy – wyznała Krystyna.

– Jak to, zupełnie bez grosza jesteście?

– Zupełnie. Pan najpierw wysłał nas z panią do majątku przyjaciół. Mówił, że tam bezpiecznie będzie. Jakiś przyjechali, to tamtejszy dziedzic kazał nam iść precz, bo zajęcia nie miał, a darmo karmić nie było mu na rękę. Wracaliśmy do swego dworu. Droga długa, jeść trzeba, zanocować. Ot i tak to wszystko, cośmy uskładali, się rozeszło. Resztę tu na lekarza wydałam, bom miała nadzieję, że Marianowi zdrowie wróci. A jeszcze dla córeczki miejsce trzeba było znaleźć, toż nie mogła tu siedzieć między chorymi. A darmo nikt obcego dziecka nie będzie trzymał. Nic nie mam. A na to dowód taki, że trzeci dzień przy nim siedzę i trzeci dzień nic nie jadłam, bo nie mam sobie za co choć tego kawałka chleba kupić.

To częściowe kłamstwo, przemieszane z prawdą, łatwo przeszło Krystynie przez usta. Tamci wymienili spojrzenia. Siostra Mariana wyjęła z tłumoczka kawałek chleba i krążek sera. Krystyna chwyciła jedzenie, zanim tamta wyciągnęła rękę w jej stronę. Wbiła zęby w ser. Był słony, z lekką goryczką. Chciała go raz-dwa połknąć i ugryźć kolejny kęs, ale nie mogła przestać żuć. Żołądek domagał się jedzenia gwałtownymi skurczami, a szczęki żuły, żuły i żuły. Krystyna zdała sobie sprawę, że płacze. W domu było biednie, przy Marianie też nielekkko, ale takiego głodu to nigdy w życiu nie czuła.

– Bronię trza było do nas przyprowadzić – powiedziała Marianowa siostra.

– Jak ja go miałam samego zostawić? Przy nim jak ten pies warowałam. Marian... Toż to mój mąż przecie, nie mogłam go zostawić.

– Trzeba było dać nam znać wcześniej. Byśmy uradzili, co robić. W rodzinie zawsze raźniej.

– Ano raźniej. I może Marian by nie umarł. – Udała, że szlocha. Przy bólu i cierpieniu tych dwóch kobiet jej obojętność wobec tego, co się stało, była nie na miejscu.

– Jak taki był wyrok boski, żeby umarł, to i umarł. Nic byście ani wy, ani my nie pomogli. Szkoda Mariana, oj, szkoda. Dobry to był człowiek, dobry brat, dobry syn.

To ostatnie słowo sprawiło, że staruszka, która już się uspokajała, na powrót zaczęła lamentować.

– Wy go szkodujecie, a co ja mam powiedzieć? Co ja teraz bez chłopca pocznę? Sama, z dzieckiem małym?

– Nie zostawim was, bratowo – po raz pierwszy odezwał się mąż siostry. Kobiety zgodnie mu przytaknęły. – Pójdziecie z nami, miejsce w chałupie dla was się znajdzie, a i jedzenia nie będziemy żałować.

Krystyna wiedziała, jaka powinna być reakcja na takie słowa. Na kolana się rzucić, szwagra pod nogi objąć, w rękę pocałować, za okazaną łaskę wylewnie dziękować. Był w niej jednak głęboki opór przeciw takiemu zachowaniu. Tylekroć upadłana przez męża, teraz, gdy się z tych okowów wyswobodziła, nie chciała o nich nawet myśleć. A któż on jest, by go po rękach całować? I jakaż to łaska wobec ciebie? Czyż to nie obowiązek rodziny krewnej pomóc?

– Z serca wam dziękuję – powiedziała tylko.

– Teraz nam pogrzebem zająć się trzeba – odparła siostra. – Nie zostawim naszego Mariana tak, bez tej ostatniej posługi.

Rozdział czternasty



Pojazd, zwany linijką, wziął swoją nazwę od długiej, wąskiej deski, ułożonej podłużnie między przednią a tylną osią, bezpośrednio na nich wspartej. Ze względu na taką budowę był to pojazd niesamowicie lekki, dlatego też jednokonny. Służył do transportu osób, które siadały na desce okrakiem. Często używali go myśliwi, jadąc na polowanie. Co ciekawe, linijka była typowo polską konstrukcją, niespotykaną nigdzie indziej.

Kwiecień 1928

Świat się zanurzył w zieleni. Najpierw robił to nieśmiało, jak ta dziewczyna, co nim wejdzie do rzeki, najpierw stopą muska wodę, i mało kto zauważał, że nadchodzi przemiana. Ludzie przywykli do szarego świata, brunatnych linii gałęzi, czarnych z oddali pni, wystających z poszarzałego śniegu płowych grzyw trawy. Wystarczyłoby się pochylić, by zauważyć, że dotąd brązowy pączek liściowy nabrzmiał purpurowo i lada chwila pęknie, a będzie się z niego sączyło zielone życie. Wystarczyło nogą poruszyć kępę trawy, by zobaczyć w niej zielone nitki żywych łodyżek. Któż jednak miałby na to czas? Ludzie zajęci byli własnymi sprawami. Dlatego też dopiero teraz, gdy wszystko zrobiło się zielone, stawali zadziwieni. Kiedyż to się stało? Czemuśmy nie patrzyli na ten cud narodzin, czemuśmy odwracali oczy ku sprawom, wydawałoby się, ważnym, ale przecież zupełnie nieistotnym w obliczu cudu życia. Nic to, najważniejsze, że zima przeminęła i znów jest zielono. Można już szukać młodych listków szczawiu na zupe. Zaraz ruch się zacznie w ogrodach, zaraz drzewa owocowe zakwitną, zboża zaszumią złocistym łanem, będzie co jeść, będziemy żyć. I wszyscy wzdychali

z radością.

Zima nie była najgorsza, łagodnie się z ludźmi obeszła. Ponieważ wiosna pozbawia poprzedniczkę królowania nad światem, a wiadomo, że te dwie bardzo się nie lubią i wciąż ze sobą konkurują, dlatego też spodziewano się jak najlepszej pogody. I tak też było. Coraz dłuższe dni rozgrzewało słońeczko, którego ciepłego oblicza nie zakrywały chmury. Jeśli przychodził deszcz, to był intensywny, a krótki. Tyle tylko, by dać się napić roślinom. Wieczory zaś, najprzyjemniejsze ze wszystkiego, pachniały mokrym drewnem i świeżością, były rześkie, ale nie zimne, pozwalały więc długo siedzieć przed chatą.

Natala Hubówna westchnęła i sięgnęła po cebrzyk. Krzątająca się przy piecu matka rzuciła córce pytające spojrzenie.

– Krowę wydoję.

– Toż widzę. Ale to już?

Natala skinęła głową.

– Ty patrz, jak ten czas pędzi. Nawet mi się nie zdawało, że to już taka późna pora. Uciekają mi dni, oj uciekają.

– Mhy – chrząknęła w odpowiedzi Natala i czmychnęła z chaty. Nie chciała wysłuchiwać matczynych utyskiwań. Miała już dość. Ileż można? Wysłuchiwała ich przez całe swoje życie, odkąd pamięta. Zwykle cierpliwie, ze współczuciem, ale niedawno coś się zmieniło. Jakby Natala była dzbanem, który zbierał matczyne żale jak krople. Aż wypełnił się cały, zabrakło już miejsca, nadmiar się ulął. Nie miała już w sobie ani cierpliwości, ani współczucia, tylko złość.

Natala podniosła zaszczepkę i otworzyła drzwi do obory. Dni już były ciepłe, ale wieczory chłodne, a noce zimne. Gdy przekraczała próg, otuliło ją przyjemne ciepło. Jakby kto plecy nakrył tkaniną, tylko że ta utkana była z krowich oddechów.

Słyszac skrzypnięcie drzwi, krowa zatupała nerwowo. Podniosła łeb znad żłobu. Światło błysnęło na wielkiej, szklistej gałce ocznej. Ciche mruknięcia były znakiem, że krowa niecierpliwie czekała już przyjscia gospodyni. Natala sięgnęła po zydel, stojący na środku obory, przy słupie wspierającym dach. Za każdym razem, gdy to robiła, z odmętów wspomnień wyłaniało się takie, w którym widziała mężczyzną strugającego nogi do tegoż zydla. Czas zatarł rysy jego twarzy i teraz nie wiadomo było, czy to dziadek, czy ojciec, czy może Kazik Lipczewski, który znany był z tego, że wszystko umiał zrobić

czy naprawić. Natalia chciała, żeby to był ojciec, bo owo wspomnienie to nie był sam obrazek, ale też emocje. Pamiętała, z jak wielką fascynacją obserwowała zręczne ruchy palców tego kogoś i spokój, które towarzyszyły jego pracy. Poza tym nie miała nic po ojcu. Nic, absolutnie nic. Wojtek odziedziczył jego rysy, wesołą naturę i nazwisko, które nosić będzie do śmierci. Natalia podobna była do matki, charakter miała po dziadku Hubie, a nazwisko zmieni, gdy wydadzą ją za mąż.

Za mąż. Nawet pomyslane brzmiało trochę smutno, trochę strasznie. Jak wyrok, który ciąży na człowieku i pewnego dnia się wypełni. Każdy dzień zbliżał do niego, a przecież nie ma sposobu, by czas zatrzymać.

Ta zima była dla Natali inna od wszystkich. Wieść o tym, że w Tynczynie jest bogata panna na wydaniu, obiegła ościenne wioski. A ponieważ zima to czas wyjątkowo nudny, dlatego też, może nie od razu szukając żony, a raczej rozrywki, zaglądali kawalerowie do chałupy Dołęgów. Matka miała rację. Z głupim przyszedł mądry, z mądrym ładny, z ładnym brzydki, ale bogaty; przyszedł młody, przyszedł stary, był nawet jeden wdowiec, co szukał matki dla swoich dzieci, bo sam sobie nie radził. Natalia jednakowo do wszystkich się uśmiechała i jednakowo była miła, żaden jednak nie sprawił, by jej serce gwałtowniej zabiło.

Lesiuki przychodzili stale. Często razem, czasem tylko sam Grzegorz. Był częstym gościem, toteż coraz swobodniej czuł się u nich w izbie i obejściu. Matka raz czy dwa poprosiła go o jakieś drobne przysługi, potem już prosić nie musiała, bo sam sobie znajdował zajęcie. A to poluzowany kabłak od koszyka naprawił, a to postronek nowy wyplótł, widząc, że stary już się strzępi, a to koryto, przez świnie rozwalone, zbił na nowo. Na parobka pokrzykiwał i do roboty go gonił. A przed Bożym Narodzeniem wieprzka zaszlachtował i pomógł matce w przygotowaniu wędlin. Za pomoc nic nie chciał, mówił, że jak będzie przychodził, to go poczęstują. Siłą mu matka za pazuchę wcisnęła pęto kiełbasy.

Ponieważ po pierwszej wizycie Lesiuków matka powiedziała, że pośpiechu nie ma, Natalia przyjmowała ich wizyty uprzejmie, acz obojętnie. A gdy kawalerowie zaczęli się tłumnie zjeżdżać, to już w ogóle na Grzegorza nie zwracała uwagi. Nie to, żeby za mąż iść nie chciała, każda dziewczyna, która jakiś rozum ma, wie, że lepsze zamążpójście niż staropanieństwo. Lepiej na swoim polu robić niż na cudzym, lepiej zarobione pieniądze wydawać niż oddawać, nawet gdy się oddaje matce czy siostrze, dlatego też Natalia nie

myślała, by starą panną zostać. Teraz jednak wiedziała, że ma w czym wybierać. Trzeba też przyznać, że marzyło jej się długie pannaństwo, takie, o którym ludzie we wsi przez lata by mówili: „Do Krysi, do Marysi kawalerów dużo przychodziło, ale tyłu, co do Natali Dołęgowy, to do nikogo innego. Z piętnaście wiosen jej było, jak się pierwszy pojawił, a za mąż szła, jak jej dwadzieścia jeden minęło. I każdej, każdziutkiej niedzieli nie jeden, nie dwa, ale trzy i cztery wozy u niej w obejściu stały. A tych, co piechotą przychodzili, nikt zliczyć nie potrafił”.

Byłoby to jakieś wyrównanie tej niesprawiedliwości, której Natalia doświadczyła. Bo miałyby być tylko tak, że mówią o niej źle ze względu na matkę, wylewającą swoje żale przed każdym, ze względu na dziadka, co we wszystkich szukał winnego śmierci zięcia, ze względu na ojca, który zginął na wojnie? Nich wieś pamięta Natalę jako śliczną i bogatą panienkę, która miała niesamowite powodzenie. Niech jej inne dziewczęta zazdroszczą. Mieć z czego wybierać kandydata na męża to nie lada przywilej.

Skończyła dojenie. Teraz mleko trzeba precedzić, żeby w nim paprochów nie było. Krowa niby spokojnie stała, od lat nawykła do oddawania mleka, ale to nogą ruszyła, to ogonem machnęła, to łbem zarzuciła, a przy tym zawsze coś mogło spaść do wiadra. Po precedzeniu odleje trochę do kanki, którą zaniesie babci. Nie lubiła tego. Jeszcze jedna osoba, która wylewała przed Natalą swoje żale.

Co za rodzina. Wszyscy jakby się zmówili. Matka narzekała na mego ojca, a jeśli go wspominała, to źle. Bo życie jej zmarnował. Nie on jeden zresztą. Dziadek Hub drugi. Wawrzek Adamczuk trzeci. Ten to najbardziej ze wszystkich. Największym był matki wrogiem. Nie tylko winiła go za to, że był pomysłodawcą wyprawy do Ameryki, nie tylko za to, że Franek umarł, a ona została wdową. Przypisywała Wawrzekowi winę za całe zło, które spadało na świat. Gdyby jej kto powiedział, że Wawrzek zastrzelił arcyksięcia Ferdynanda, rozpoczynając tym samym wojnę na świecie, nie zdziwiłaby się, tylko powiedziałyby, że ona od dawna miała takie podejrzania.

Dziadek też narzekał. Oczywiście na Wawrzka, ale też na matkę, że głupia, że inna w jej sytuacji cieszyłaby się z odzyskanej wolności i majątek mnożyła, zamiast pleść durnoty. Na Wojtka, który nie wiadomo w kogo się udał, taki pusty i leniwy. Na Dołęgów, co się krzywo patrzy, jakby im dziadek syna zabił.

Wojtek, zanim poszedł do wojska, narzekał na dziadka, że go do roboty goni, na matkę, że go do roboty goni, na wuja, że do roboty goni, a na koniec na babkę, że marudna.

Prawda to była. Z nich wszystkich babka najgorsza. To nie tak, że po prostu wylewała swój żal, o nie. Robiła to w taki sposób, by słuchacz poczuł się winny. Po rozmowie z babką Natała miała wrażenie, że tamta, zdjąwszy ciężar ze swoich ramion, włożyła go na barki wnuczki. Do tego dochodziły te wszystkie przytyki, to: „Z matką trzymasz, boś taka sama jak ona”. „Ty myślisz tak samo jak twój dziadek”. „Takaś sama jak twój brat, do niczego się nie nadajesz”. „Ojciec twój moją Weronkę skrzywdził i ty ją skrzywdzisz, bo masz jego krew”.

A jednak mleko trzeba jej było zanieść.

Gdy wyszła na podwórze, zauważyła, że Lesiuk idzie do izby. Z dwojga złego babka lepsza. A przecież była taka chwila, że życzliwszym okiem na niego patrzyła. Jednak jesienią wydarzyło się coś, co Natalę od Lesiuków odepchnęło.

Przyszli pewnego wieczoru i ten żonaty zaczął opowiadać, jak to mu się poszczęściło wielce. Sprowadził się do nich pod Tyszowce jeden chłop z Bondyrza, Michał Rudy, co na wojnie walczył i trochę grosza odłożył. Kupił od dziedzica pole, część za gotówkę, część miał spłacić do jesieni. A ponieważ miał czworo małych dzieci, to mu się nie udało odłożyć tyle, ile powinien. Dowiedziawszy się tego, Lesiuk poszedł do dziedzica, który owemu chłopu zabrał dwa morgi i dał Lesiukowi.

– Niech wie, durny piłsudczyk, że z panem Lesiukiem się nie zadziera – zakończył, śmiejąc się i polewając wódkę.

Natali zrobiło się szkoda nie tylko tamtego chłopca i jego dzieci, nie tylko przez biedę, której musieli doświadczać, ale też przez brak poszanowania dla kogoś, kto walczył za ojczyznę. Wkrótce Natała miała się dowiedzieć, skąd owa niechęć do legionisty.

Z Lesiukami do ich izby przywędrowały rozmowy o polityce. Wcześniej ich nie było, bo i jak? Dziadek i wuj wielkim szacunkiem otaczali Marszałka, a inni mężczyźni do Dołęgów nie zagląдали. Bracia Lesiukowie mieli inne spojrzenie na świat. Natali czasem w głowie się kręciło od samych nazwisk. Grzegorz jednym tchem wymieniał Tadeusza Rozwadowskiego, Włodzimierza Ostoję-Zagórskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Kazimierza Sosnkowskiego, Wincentego Witosa jako ofiary działań Marszałka. Mówił

też o partiach, o „Chjenie”, PSL-ach, PPS-ie, o narodowcach, o bałaganie, najwięcej zaś o Związku Radzieckim. Podobno, w przeciwieństwie do Polski, panował tam porządek i ład. Wszyscy pracowali wspólnie na lepsze jutro całego narodu. Rozumiano, że siłą każdego zdrowego społeczeństwa jest klasa robotniczo-chłopska, zdolna samodzielnie myśleć i działać, niezaczadzona opium religii i nieprowadzona na sznurku przez popów, księży, rabinów czy pastorów.

Trochę trwało, nim Natała zdała sobie sprawę, że jeśli Lesiukowie wierzą w jakąś trójcę, to są w niej Marks, Engels i Lenin. Odważyła się nawet zapytać, gdzie Grzegorz planuje ślub brać, skoro mu z Kościołem nie po drodze. W odpowiedzi usłyszała, że miłość to najsilniejszy ślub i właśnie ona ludzi razem trzyma.

– A co, jeśli się skończy?

– Panna Natała takimi rzeczami martwić się nie musi. Jednak ja tak czysto na wyrost zapytam, jakież sens siedzieć w jednej chałupie z osobą, której już się nie kocha? Czy nie lepiej dla wspólnego szczęścia rozejść się i żyć z kimś nowym, kogo się miłuje?

To Natali wystarczyło. Poczwała się, jakby jeszcze przed ślubem otwierano przed nią drzwi do cudzołóstwa. Ludzie nie po to ślub biorą, by gdy się znudzą, iść w świat i nowego szczęścia szukać, tylko po to, by znosić się cierpliwie, brać odpowiedzialność za siebie wzajemnie, za dzieci, za przyszłość.

Dlatego gdy przed marcowymi wyborami w ich izbie wrzało, w ogóle się tym nie przejmowała. Żałowała tylko, że sama jest jeszcze za młoda, by iść głosować. Pokazałaby tym amatorom bolszewizmu, kogo wspiera prawdziwa Polka. Żałowała też, że Wojtek w wojsku. Kazałaby mu Lesiuka przegonić.

A może... Nie, to niedorzeczne... Z drugiej jednak strony... Przecież ten Grzegorz do niej przychodzi. Kto, jeśli nie ona, powinien mu powiedzieć, że jest niemiłym gościem w jej domu. Niech przestanie przychodzić. Natała za niego nie pójdzie ani teraz, ani nigdy, a jedyne, co może wyniknąć z tych częstych wizyt, to ludzkie gadanie. Wystarczy, by jedna osoba uznała Lesiuka miłym Natali i skończą się wizyty kawalerów. Powiedzą ludzie, że oni już po słowie, znajdzie się ktoś, kto swatów widział. A jak ludzie orzekną, że coś jest prawdą, nawet jeśli nie jest, to nie ma takiej siły, by ich przekonać, że się mylą. Na samych Lesiuków wystarczy spojrzeć. Przyjęli słowa Lenina jak pismo i nie widzą tego, co się teraz w Rosji dzieje. Prawdę

mówi porzekadło: „Po złym panie gorszy nastanie”.

Gdy już postanowiła, poczuła się weselsza i silniejsza wewnątrz. O tyle silniejsza, że gdy poszła do babki z mlekiem, a ta zaczęła narzekać, Natalia z miejsca ucięła:

– Już by wy zaprzestali z tym labidzeniem. Siedzicie w chałupie jak królowa, wszystko macie, gotujecie sobie, co chcecie, o nic zmartwienia nie macie, a mama, wuj z wujenką i ja biegamy wkoło was, żebyście byli zadowoleni. A wy nic, tylko narzekacie.

Te słowa rozzłościły babkę, ale nic nie powiedziała. To i Natalia nic więcej nie mówiła. Wróciła do swojej obory, sprawdziła, czy wszystkie stworzenia najedzone, i porządnie na noc zamknęła.

Wciągnęła powietrze głęboko w płuca i przestąpiła próg chaty.

– A tobie co, Natalia? Wyglądasz jak chmura gradowa.

– Bo mam panu Lesiukowi do powiedzenia, żeby on nas więcej nie odwiedzał. Jeśli robił sobie jakie nadzieje, to niech je porzuci. Ja za niego nie pójdę, bo mi nie jest miły. Może się tego nie domyślił dotąd, dlatego w oczy mówię. Niech gdzie indziej szuka szczęścia, a do nas nie zagląda, bo z tego tylko obmowa będzie. A mnie ludzkie gadanie niepotrzebne.

W izbie zapadła cisza. Lesiuk spojrzał na matkę, matka na niego, a potem oboje odwrócili się ku Natali i patrzyli na nią, jakby nie rozumieli tego, co przed chwilą powiedziała. I nagle ta jej wielka odwaga stała się mała, malutka, już prawie jej nie było.

– Niech pan idzie i nigdy nie wraca – zdołała jeszcze wyszeptać dziewczyna.

Matka odwróciła się od pieca. Podeszła do Natali.

– A tobie co? Szaleju się najadłaś? Po jakiemu to tak gościa z chałupy wyganiać?

Hej, moja odwago, gdzie mi się podziałaś?

– Ja nie wyganim, niech siedzi, jak już przyszedł. Tylko niech więcej nie przychodzi.

Lesiuk, jakby chciał przyjść Natali z pomocą, poderwał się z ławy, podszedł do matki i położył jej rękę na ramieniu.

– Nic się nie stało, gosposiu droga. Niemiły jestem pannie Natali, przykre to, ale przeboleję. Nie ma co o tym gadać. Zaraz się zbieram i idę.

– Widzisz, co narobiłaś? – zapytała z wyrzutem Weronika.

Natala poczuła łzy napływające do oczu. Zaraz, dosłownie za moment się

rozplacze. A później pozwoli, żeby ją przekonali, że Lesiuk miły, że przychodzić może, i skończy się to wszystko tym, że za niego wyjdzie.

– Powiedziałam swoje. Dobranoc.

I pobiegła do przylegającej do kuchni izdebki, gdzie sypiała. A żeby nikt nie mógł tam wejść, przełożyła bolec przez uszko zaszczepki.

Przez chwilę nasłuchiwała szeptów tamtych dwojga. Zmawiali się przeciwko niej. Niech gadają. Dobrze, że wystarczyło jej odwagi, by powiedzieć, co miała do powiedzenia. Teraz znowu się bała, ale może do rana odwaga wróci?

Noc szybko minęła, bo tak mijają noce młodym i spracowanym. Wydawało się Natali, że ledwo oczy zamknęła, ledwo piernat na głowę naciągnęła, by stłumić odgłosy dobiegające z kuchni, a już kogut piał, dając znać, że czas wstawać i do obrządków się brać.

Ubrała się, uklękła do pacierza, usta wyrzucały słowa, myśli krążyły wokół czekających ją zajęć. Nagle z otchłani pamięci, jak z nurtu wezbranej rzeki, wychynął strzęp wspomnienia. Już się podnosiła, ale zastygła. Zebrała myśli. Zobaczyła siebie małą, Wojtka, matkę i ojca, jak wszyscy razem klęczą w tej izbie, wspólnie odmawiając modlitwę. Nie rozumiała wtedy jej znaczenia, zapamiętała jednak głosy. Matki dźwięczny i ojca donośny, spokojny.

Byliśmy szczęśliwi, pomyślała, na powrót klękając. Ojciec moje byli ze sobą szczęśliwi. Kochali się, a mimo to pozwolili, by ktoś wszedł między nich, miłość i szczęście im popsuł. Ludzie nie powinni pozwalać sobie na takie rzeczy, bo czyż miłość i szczęście zdarzają się każdego dnia? Jeśli już ma się te dary, należy o nie dbać. Nie można pozwolić, by ktoś inny odebrał je i zniszczył.

Znowu poczuła się odważna. Zmówiła pacierz za ojca, dziękując mu, że tam w Królestwie Niebieskim czuwa nad nią i przesyła znaki. Bo to niewątpliwie był znak. Gdy matka coś mówić zacznie, a niewątpliwie zacznie, Natalia będzie jej mogła przypomnieć tę dawną miłość i szczęście.

Wyszła z izby. W kuchni chłodno było. Ranki długo jeszcze będą witać chłodem. Matka pewnie wciąż spała. Natalia rzuciła okiem w stronę jej łóżka. Pościel leżała w nieładzie, chustka matki upadła na podłogę. Nie, nie podniosę, obudzi się, to zobaczy, jaki z niej flejtuch, pomyślała. Pod piecem nierozpalone, strawa niewstawiona. Bodajby kartofli obrała. Każdego dnia więcej na mojej głowie. I ona chce mnie za mąż wydawać? Toż razem z babką przypadną, bo żadna nic nie robi.

Wyszła do obory. Krasa powitała swoją gosposię przyjaznym pomrukiem. Parobek miał siana do obory nanieść, by do sterty co rusz nie latać, ale gdzież tam. Natała sięgnęła po wiszącą na kołku płachtę. Dzień, który właśnie wstawał, miał podszewkę z przymrozku. Powietrze dzwoniło rześkością. Ciepło będzie. Długi, ciepły dzień, to i dużo da się zrobić. To teraz ważne, bo to teraz tyle pracy, a prawie cały miesiąc święta. Ledwo była przewodnia niedziela w kościele, zaraz zacznie się Wielki Tydzień w cerkwi. Trzeba iść, z sąsiadami się modlić, ciężkich prac nie będzie się robiło, za to upiec coś wypada, przygotować. Pewnie w gości prosić będą, zawsze proszą, a tak z gołymi rękami iść niepięknie.

Gdzież ta matka? Natała już siana przyniosła. I gdzie parobek? Drzewa trzeba narąbać. Jak do śniadania, to pierwszy, a do roboty ostatni.

Stała na progu, bo jej się nie chciało łapci zzuwać.

– Mamo! Mamciu!

Od strony łóżka nawet szmer nie doszedł. Natalę jakby lodowaty wiatr owiał, zmartwiała. Stało się coś? Spadający na ziemię łapiec wydał dźwięk taki, jakby był z ołowiu. Serce Natali stanęło na moment, później gwałtowniej bić zaczęło. Podeszła do łóżka, najdelikatniej odsunęła pierzynę. Ulga. Matki w łóżku nie było.

– Głupiaś – skarciła sama siebie. – Takie rzeczy myśleć. Pewnie wstała i do babki poszła. Trzeba i mnie iść.

Wiedziała, że ten dziwny niepokój, który czuła, zniknie, dopiero jak ona matkę zobaczy. „A cóż ty tak na mnie patrzysz?” – zapyta tamta, a Natała nic nie powie, tylko jutro, pojutrze zapomni o całym zdarzeniu.

Jednak Weroniki nie było u babki. Ani u wujostwa, ani w domu, ani w cerkwi. Nie widziała jej Pomiechowska ani nikt z sąsiadów. Nie widział jej też parobek, którego głód wygnał z nocnej kryjówki i który z rozdziawioną gębą i słomą we włosach stał przed Natalą, nie rozumiejąc jej zdenerwowania.

Może zachorowała i świtem poszła do miasteczka do doktora? Nie. To niemożliwe. Gdyby źle się czuła, zbudziłaby Natalę, wuja Antka prosiłaby o podwózkę. Może tak poszła? Do miasta rzadko się chodziło, zwykle przed świętami robiono duże zakupy, więc teraz w domu niczego nie brakowało. Kto jednak wie, co matce przyszło do głowy? Jednak gdyby miała zamiar iść, uprzedziłaby Natalę. Tak się nie robi, nie znika się rankiem bez słowa. Chyba że miała zamiar córce coś kupić, jakąś niespodziankę zrobić, raz jeden

w życiu. Nie. Żadna niespodzianka, nie po prezent poszła. Jest obrażona na Natalę po wczorajszej rozmowie. Taka nauczka dla pyskatej córki. Przez chwilę gniew był silniejszy od strachu. Wtedy, bezmyślnie zupełnie, kierowana impulsem, Natalia podeszła do matczynego kufra. Uniosła wieko.

Kufer był pusty. Ubrania matki, jej korale i sakiewka z pieniędzmi zniknęły. Dopiero teraz dziewczyna zdała sobie sprawę, że i w izbie brakuje paru drobiazgów. Nie myślała o tym wcześniej, ale na łóżku nie było kapy, zniknęły miski, łyżki, kubki. Wpadła do spiżarni. Worków z mąką, kaszą, grochem też nie było. Ani kiełbas, ani boczku.

Rabusie! Przyszli nocą, chałupę okradli, matkę... Może uciekła, schowała się gdzieś. Przecież krwi nie widać. Gdyby coś się działo, hałas zbudziłby Natalę. Całą noc cichutko było.

Poczuła, że w głowie jej się kręci, a przed oczyma ciemno. Wypadła na podwórze. Stał tam wuj Antek.

– Cóż to, Natalia, znalazłaś matkę?

Przecząco pokręciła głową, bo słowa nie mogły przejść przez usta. Dziwne słowa. Najdziwniejsze. Matka zniknęła. I nagle świat, jak stado szpaków ze ścierni, zerwał się i wzbił do góry.

Gdyby nie wuj, który ją złapał, upadłaby na ziemię.

– Co ci to, Natalia? Co?

Ręką wskazała na izbę. Wszedł do środka.

– Rzeczy pozabierane. Okradł was kto? – zapytał po chwili, wychodząc z chałupy.

Natala wzruszyła ramionami.

Na drodze stała Pomiechowska. Wyciągała szyję jak zaciekawiony bociek. Wuj Antek machnął ręką, zachęcając sąsiadkę, by podeszła.

– A co to u was się stało? – zapytała.

– Myślałem, że wy mi powiecie. Weronika przepadła. Wieczorem była, rano nie ma.

– Może gdzie poszła?

– Toż my szukali po całej wsi. Tak bez słowa by poszła?

– Może co nagłego?

– A cóż nagłego spowodowało, że poszła z chałupy z workiem grochu?

Natala dostrzegła błysk zaciekawienia w oku Pomiechowskiej. Teraz już jej nie przegonią z podwórka.

– Co teraz rób? Kogo pytaj? – zastanawiała się sąsiadka, jakby ta sprawa jej

dotyczyła w największym stopniu.

Antek chciał iść do sąsiadów, każdego po kolei pytać, czy czegoś nie widział albo nie słyszał. Natalia nie miała odwagi powiedzieć, że to zły pomysł. Zrobią się z tego plotki, a gdy matka się odnajdzie... jeśli się odnajdzie...

– Natalia, dziecko drogie, nie płacz. – Pomiechowska podeszła i ją przytuliła.

Chusta jesionka, którą miała na sobie, choć było na nią za ciepło, pachniała dymem, jełczejącym masłem i butwiejącymi liśćmi. Natali przypomniał się ojcowski półkożuszek, w który wtulała twarz zimą dawno, dawno temu. Wracali nocą przez wieś, ciemno było, ojciec niósł ją na rękach. To wspomnienie i myśl, że matki też nie ma, sprawiły, że poczuła się tak samotna, tak bardzo samotna... Łzy wsiąkały w jesionkę Pomiechowskiej, sękata ręka tamtej niezdarnie gładziła dziewczynę po głowie.

Nagle zarżały konie, zaskrzypiały ośki. Na podwórzu ktoś wjechał wozem.

– Goście wam najechali. W taki czas! – szepnęła oburzona Pomiechowska.
– Oczka wytrzymaj. Nie ma co obcym żalu pokazywać.

Natala posłuchała rady, choć zdawała sobie sprawę, że nie ma sposobu, by ukryć, że przed chwilą płakała. Wytarła jednak twarz zapaską, mocno trąc policzki, by się zaczerwieniły. Może wtedy pomyśla, że oczy czerwone, bo pracowała w kurzu, przesypując plewy. Nie, nie pomyśla. Spojrzą i będą wiedzieli, że płakała.

Na wozie, który wjechał na podwórko, siedział Maciej Lesiuk, a obok niego babina, okutana czarną chustą.

– Niech będzie pochwalony – powitała ich Pomiechowska. – A za czym to do nas?

Tamci nie odpowiedzieli na powitanie.

– Za bratem moim, Grzegorzem – rzucił oschle Lesiuk.

– Za synem mym – zaskrzeczała kobieta jak ta czarna wrona.

Natala spojrzała na wuja, licząc, że ten coś powie. On jednak milczał. No tak, bo niby skąd miał wiedzieć, kim jest Grzegorz Lesiuk.

– Tu go nie ma. Wczorajem był, ale poszedł. Teraz go nie ma. – Gdy mówiła, głos jej cichł i cichł, aż w końcu stał się szeptem.

Tamci dwoje na wozie wymienili spojrzenia. Maciej rzucił lejce, zrobił kilka susów i już był na progu, już w chałupie, nie pytając nikogo, wszedł do środka, potem wybiegł, coś wołał. Tymczasem kobieta zaczęła rozgłośnie

łkać. Między jednym spazmem a drugim wyrzucała z siebie jakieś słowa. Natalia próbowała ją zrozumieć, bezskutecznie. Dopiero gdy Pomiechowska zapytała szeptem, na kogo babina tak pomstuje, jej słowa nabrały sensu.

– Eż suka... dolona... sucz przebrzydła... cię... pokar... padalcu... syna... zabrała...

Zanim wuj, zanim Pomiechowska zrozumieli, co się stało, minęło jeszcze kilka chwil, lecz Natalia wiedziała już, co się stało.

To nie do niej przychodził Grzegorz Lesiuk, choć i jej, i całej wiosce mogło tak się wydawać. Gdy ona uciekała przed gościem, szukając sobie zajęć w oborze i polu, on spędzał czas z inną, która nie była mu przeciwna. Może gdy wieczorem wychodził, wcale nie szedł do domu, tylko czekał za węglem, by wszyscy zasnęli.

Jakaż ja naiwna byłam, pomyślała. Czemu uciekli? Czy to miało związek z tym, co Natalia powiedziała wieczorem? Czy to jej słowa skłoniły matkę do opuszczenia domu? Poczowała się winna i wobec wuja, i tych ludzi, i matki. Po cóż było mówić cokolwiek?

Maciej Lesiuk podszedł do płaczącej kobiety.

– Tak i my nie zdążyli – powiedział, a tamta zaczęła jeszcze głośniejszawodzić i płakać.

Wuj Antek nigdy nie był człowiekiem śmiałym. Natalia zdała sobie sprawę, że to ich łączy. Nie byli podobni do siebie z wyglądu, ale po jakimś wspólnym przodku otrzymali w spadku ciągle zawstydzenie, nieśmiałość, brak odwagi. Widziała, jak zмага się ze sobą, aż wreszcie zdecydował się podejść do tego obcego mężczyzny i zapytać, o co w tym wszystkim chodzi.

– O co chodzi? O co chodzi? – Tamten zrobił krok w stronę wuja, jakby za samo to pytanie chciał go uderzyć. – A o to, że Weronika namówiła mego brata, żeby z nią uciekł.

– Nie może to być!

– Jak nie może, to gdzie ona teraz?

Wuj wzruszył ramionami.

– Podła suka – warknął Lesiuk.

Natala widziała, jak wuj zaciska szczęki. Pobielał na twarzy, usta zrobiły mu się sine.

– Miarkujcie się, o mojej siostrze mówicie.

– Tera ona moja bratowa i mówić mogę, co chcę. Ja, durny, myślał, że Grzesiek za tą – tu wskazał na Natalę – lata. Myślał ja sobie, dobrze, bogata

panna i niebrzydka, niech chodzi. A to stara go uwiodła i w świat zabrała.

– Głupstwa gadacie – wtrąciła się Pomiechowska. – Jakby go chciała, toby z nim tu była. Ona wdowa, mogła się wydać, za kogo chciała.

– Sęk w tym, że ona wydawać się nie chciała. – Maciej splunął. – Dlatego razem do Rosji uciekli.

– Jak to, nie chciała? Co wy też mówicie?

– Ano tak. Mówię, jak jest. My gadali o socjalizmie, a jej się to bardzo podobało. „Jak się znajdzie ktoś, kto mnie szczerze kochał będzie, to samo miłowanie starczy za ślub”, mówiła. A ja se myślał, że tylko ot tak gada, a ona Grześka urabiała. Oj, przepadł wam, matulu, syn, przepadł.

Tamta przestała lamentować, a zaczęła pomstować. Nie wstydziła się używać słów tak ordynarnych, że Pomiechowska dłońmi zasłoniła uszy Natali.

– Nic tu po nas – rzucił Lesiuk i wdrapał się na wóz. – Wracajmy do domu. Jedyna nadzieja, że się Grześkowi baba odwiedzi i wróci do nas.

Te słowa najpierw ucieszyły Natalę, pomyślała bowiem, że wtedy i matka wróci, a potem zasmuciły, bo może wcale tak się nie stanie. Może po raz drugi zostawiona przez mężczyznę, popadnie w taki smutek i żal, z którego nie będzie w stanie wyjść. Nie wróci, by się nie wystawiać na ludzkie pośmiewisko. Co innego, gdy zostawił ją ojciec Natali. Matka w żaden sposób nie była winna tego, co się stało. Na dodatek dzięki jego śmierci zyskała szlachetny status wdowy. Tym razem było inaczej. Ludzkie języki są jak noże, ostrzone na najlepszych kamieniach szlifiarskich, zadają rany głębokie i bolesne, które goją się trudno albo i wcale. Dlatego, dla dobra matki, Natalia wołała, żeby Grześkowi się nie odwiedziało, żeby już byli razem, gdziekolwiek się udali.

Lesiuk zdzielił konia batem. Nie patrzył ani na wuja, ani na Natalę, ani na Pomiechowską. Natomiast jego matka patrzyła, a gdy ich mijała, splunęła i powiedziała: „swołocz”. Łatwo było zrozumieć rozżalenie kobiety, ale przecież nikt z nich nie był winien. Nawet matka nie zawiniła. W końcu to nie ona opowiadała o Związku Radzieckim, jakby to był raj na ziemi. Gdyby Natalia miała więcej odwagi, powiedziałyby tym ludziom, że jeśli szukają winnego, to jest nim Grzesiek. On matkę przekabacił. Zanim go poznała, nawet by jej do głowy nie przyszło żyć z kimś bez ślubu, porzucić dom, dzieci, matkę i wyjechać do całkiem obcego kraju, o którym w Tynczynie mówiono jak najgorzej.

– Nie martw się, dziecko. Może matce się odmieni i do domu wróci? – Próżno Pomiechowska próbowała mówić pocieszającym tonem. Nikogo nie pocieszy.

– Ona nie wróci – powiedziała Natalia, bo dla niej samej stało się jasne, że nie należy się oszukiwać i robić sobie nadziei.

– I co ty teraz poczniesz, dziewczyno? – zapytał wuj.

– W polu to mnie pomożecie, a przy domu i tak ja wszystko robiłam.

– Aniela ci pomoże.

– Wy dajcie spokój Anieli – wtrąciła się Pomiechowska. – Ona już od roboty wysechła jak deszczka. Dwoje dzieci, dom, pole, obrządek. Jeszcze to chcecie na nią zrzucić? Sumienia nie macie?

– To co rób?

– To, co dziewczyna mówi. Póki Wojtek z wojska nie wróci, będziecie ich pole obrabiać. A przy domu musi sobie Natalia poradzić, tak jak każda jedna gospodyni sobie radzi. Parobka ma do najcięższej roboty, a reszta na jej ręce.

Wuj Antek skinął głową Pomiechowskiej, ale patrzył na Natalę. W jego oczach była troska. Poradzisz sobie?, zdawały się pytać.

– Poradzę. Tylko... tylko to wy idźcie babci powiedzieć, co nas spotkało.

– A niech wam, Antoni, nie przyjdzie do głowy starej do siebie zabierać. W niej siły jak u konia, a kwasu tyle, co w beczce octu. Pójdzie do was, to do roku wdowcem będziecie. Tyle sama sobie radziła, to i teraz sobie poradzi. Bo z Weroniki nikt nie miał pożytku, ani rodzice, ani dzieci, ani sąsiedzi... Może ten, co ona z nim uciekła, będzie go miał.

Gdy wuj zniknął w chacie babki, Pomiechowska zwróciła się do Natali:

– Biednaś ty, dziecko, oj biedna. Ale dasz sobie radę, tyś robotna, w Sawerka z tym się wdałaś. Najgorzej, że wy zapisów nie macie porobionych. Naciskaj na babkę, żeby to zrobiła, póki żyje, bo potem będziesz miała kłopoty, wspomnisz moje słowa. No, już zbierać się będę, nic tu teraz po mnie. Ty idź do izby, wypłacz się. Czasem dobrze babie popłakać, bo łzy na oczy jak ten deszcz na szyby, przepłucze, obmyje, zaraz świat lepiej widać.

Natala posłuchała. Poszła do izby i rzuciła się na łóżko. Pościel była zimna, ale gdy mocno wtuliło się w nią twarz, czuć było zapach matki. Po raz pierwszy w życiu Natalia zdała sobie sprawę, że Weronika pachniała mlekiem i rumiankami. Od teraz, za każdym razem, gdy poczuje ten zapach, będzie czuła smutek i żal. Tak jak miód i chleb przypominały ojca, tak mleko

i rumianek będą przypominały matkę.

Kilka razy próbowała się podnieść, ale pamięć wciąż rzucała jakieś strzępki wspomnień, które sprawiały, że łzy znów zaczynały płynąć. Wreszcie wieczorem nie miała już wyjścia. Musiała wstać i iść do obory na obrządek.

Zwierzęta, jakby czuły, że stało się jakieś nieszczęście, stały z poopuszczanymi łbami, raz po raz zerkając na Natalę. Nie domagały się jedzenia, tylko nerwowo przestępowały z nogi na nogę.

– Teraz wy moje, a ja wasza – powiedziała, głaszcząc krowi kark.

Wychodziła z obory, gdy w drzwiach stanął parobek.

– Ty się do roboty weź, ja cię darmo nie będę trzymała – fuknęła Natalia.

Nie odpowiedział, nie ruszył się nawet, stał w drzwiach. Patrzył na nią zupełnie inaczej niż dotychczas. Zrobiło jej się zimno i gorąco jednocześnie. I znowu ta niepewność, ten brak odwagi.

– Odsuńże się, mleko muszę przecedzić – powiedziała.

I już wiedziała, że to błąd. Tamten widział, że ona się go boi. Tak samo było z kotem i myszą. Natalia poczuła, jak zamiera, zastyga w bezruchu, nie było już w niej woli, by walczyć, nie było woli, by uciec.

– Teraz ty, Natalia, będziesz tu gospodynią, a ja gospodarzem – rzucił ze śmiechem, postępując krok w jej stronę. – Nie bój się, krzywdy ci nie zrobię. Spodoba ci się. Nie raz patrzyłem na twoje łydki i myślałem sobie, ot, pofiglowałbym z nią, pofiglował. – Kolejny krok. – A teraz my tylko we dwoje zostali. Ty się nie bój, Natalia, ja się tobą zajmę. – I jeszcze jeden. – Dobrze się zajmę, oj dobrze. Rano będziesz mi dziękowała.

Czuła jego oddech. Położył rękę na jej piersi, ścisnął. Natalę ogarnęło obrzydzenie, takie samo jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyła kiszki wylewające się z rozciętego kurzego brzucha. Wujek Antek nieśmiały, ale był na wojnie i nie uciekł, pomyślała, a ja nie jestem myszą.

I niewiele myśląc, chlusnęła parobkowi w twarz mlekiem. A potem z wrzaskiem uciekła do chałupy. Złapała skobel i zapała drzwi od wewnątrz. Przez cały czas krzyczała przeraźliwie. Parobek nie podejdzie, bo będzie się bał, by któryś z sąsiadów, zwabiony krzykiem, nie przybiegł sprawdzić, co się dzieje. Mogliby go wtedy na policję podać. Ona sama by podała. Za napaść. Jeśli on się nie odczepi, jutro tak robi. Pójdzie na posterunek i powie, co się stało. Niech go zabiorą do aresztu, niech jej nie nęka. Byle do rana. Przestała krzyczeć. Nasłuchiwała. Na dworze ani ludzi nie słychać, ani zwierząt, ani stukania. Cisza była.

Bała się zasnąć. Całą noc się modliła. Żeby on sobie poszedł, żeby chałupy nie podpałił, żeby babki nie zamordował ani krowie krzywdy nie zrobił. Żałowała teraz swojej odwagi. Może dla świętego spokoju trzeba mu było dać, czego chciał? I co? Tak dawać do końca życia, utrzymywać darmożjada, robić na niego i jego bękarty hodować? Bo przecież po czymś takim żaden porządny chłopak by jej nie wziął.

Zasnęła tuż przed świtem płytkim snem, takim, jakim śpi zając w kotlince. Obudziło ją pianie koguta. Słyszała głosy sąsiadek, stukot cebraów, skrzypienie żurawi przy studni. Wieś już była na nogach. Zaraz zaczną dzwonić cerkiewne dzwony. Ten dźwięk oczyszcza powietrze i duszę człowieka. Może i parobek się opamięta?

Natala czekała. Dopiero gdy dzwonienie ustało, odważyła się wyjść z chałupy.

Parobek leżał oparty o ścianę domu. Poznała go po ubraniu. Opuchlizna zmieniła mu twarz nie do poznania. Gdy się na nią spojrzało, w pierwszej chwili można było pomyśleć, że chłopak obłożył sobie policzki i czoło śliwkami. Dopiero po jakimś czasie do człowieka docierało, że to skóra nabiegła krwią, która krzepnąc, nabrała fioletowej barwy.

Myślała, że on nie żyje. Tak wyglądał. Obity leżał nieruchomy. A jednak żył, bo nagle wydał z siebie przeciągły, zwierzęcy jęk. Natala odruchowo skoczyła ku niemu, chcąc nieść pomoc. Dopiero gdy była blisko, zdała sobie sprawę, że nawet w takim stanie może być dla niej groźny.

Spomiędzy opuchlizny łypało oko. Wyglądało tak, jakby nie było na swoim miejscu, jakby ktoś tak dla żartu zamienił wszystko miejscami i teraz nos jest tam, gdzie usta, usta tam, gdzie prawe oko, prawe oko tam, gdzie broda, broda tam, gdzie nos, a lewego oka nie ma, bo gdzieś się zapodziało.

– Wróć. Kiedyś wróć i za moją krzywdę ci się odpłacę. Zobaczysz.

– To nie ja...

– Trzeba się było drzeć? Przecież nicem ci nie zrobił. Pożartować każdemu wolno. A ta, zamiast się zaśmiać, musiała się drzeć. No i znalazł się obrońca.

Nadludzkim wysiłkiem dźwignął się na kolana i podtrzymując ściany, wstał. Zachwiał się lekko, utrzymał jednak równowagę. Ruszył przed siebie, krok za krokiem. Dwa obrazy – parobka idącego ku niej przez oborę i idącego teraz przez podwórze – zlały się Natali w jeden i już nie wiedziała, co kiedy się stało. Czy powinna się go bać? Wtedy, teraz, w przyszłości?

Patrzyła za nim, jak wychodził na gościniec, a potem włókł się przez wieś,

aż zniknął za zakrętem. Wtedy zrozumiała, jak bardzo jest samotna. Nie sama. Samotna.



Sernik pulchny

75 dkg sera, 40 dkg cukru, 7 jajek, 10 dkg masła, półtora dkg drożdży, 10 dkg migdałów, 10 dkg rodzynek.

Ser zmielony przez maszynkę utrzeć z cukrem w makutrze, mieszając, wbijać po jednym żółtku i na koniec jedno całe jajko. Wymieszać z masą rozdrobnione drożdże. Dodać bakalie, na koniec wymieszać lekko z pianą z białek. Wyłożyć do natłuszczonej i posypanej bułką tartą blachy tak, by ciasto sięgało ciut poniżej połowy jej wysokości. Piec w średnio gorącym piecu przez pięćdziesiąt minut.

Krystyna 1915

Z kopczyka, który usypano na grobie Mariana Malickiego, sturlało się kilka grudek ziemi. Widzący to grabarz przyklepał je łopata i uśmiechnął się, jakby to zaprowadzenie porządku sprawiło mu przyjemność.

Krystyna wzięła córeczkę za rękę i poszła za szwagrostwem.

Koń posapywał, jakby wóz, na którym siedziała tylko Bronia z babką, był niezwykle ciężki, szedł powoli, ostrożnie stawiając kopyta na grząskiej, błotnistej drodze. Krystynie przypomniało się porzekadło, które mówiło, że wiosną z wiadra wody kropla błota, a jesienią z kropli wody wiadro błota. Przecież nie padało od... Bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, ile dni minęło od ostatniego deszczu. Nie wiedziała nawet, jaki dziś dzień tygodnia. Nie była to niedziela, ale czy środa, czy piątek, tego nie potrafiła powiedzieć. A miesiąc? Czy jeszcze jest wrzesień, czy też już październik? Liście brzoź opadały złotymi łzami, ale dębowe tylko nieznacznie straciły

swą zieleń. Przydrożne chwasty usychały, płowiały trawy, jednak między nimi wciąż można było dostrzec nowe łodygi, pełne życia i witalności. W końcu się dowiem, jaki jest dzień i miesiąc, pomyślała Krystyna. Przecież to bez znaczenia. Teraz nic nie ma znaczenia.

Szare chmury wolno pełzły po niebie, wróżąc rychły deszcz. Krystyna pomyślała o Broni zziębniętej w lichym ubranku.

– Nie zimno ci? – zapytała.

Dziewczynka przecząco pokręciła głową. Krystyna nigdy nie widziała jej takiej milczącej. Choroba i śmierć ojca to dla małej przygnębiające przeżycie. Dla niej nie był zły.

– Nie smuć się, Broniu – powiedziała, głaszcząc córkę po głowie. – Ciocia weźmie nas do siebie. Będziemy miały opiekę. A tatko będzie się za nami w niebie modlił.

– Tatko w niebie?

– Tak – potwierdziła, choć miała nadzieję, że Marian trafił w inne, gorsze miejsce.

Babka odwinęła chustę jesionkę i objęła dziewczynkę, w ten sposób dzieląc się z nią ciepłem i okryciem. Krystyna, widząc, jak Bronia zeszywniała w obcych ramionach, uśmiechnęła się do córeczki, dając znak, że wszystko w porządku.

Idąca za wozem siostra Mariana przyśpieszyła kroku i zrównała się z nią. Zaczęła wypytywać, początkowo nieśmiało, później już bez żadnych zahamowań, o życie Malickich.

– Marian miał rękę do koni. I naprawić potrafił, jak coś się popsuło. – Krystyna szukała dobrych rzeczy, które mogła powiedzieć o mężu. – Dziedzic go cenil, ludzie lubili. Bronię podnosił do góry tak wysoko, wysoko. Pamiętasz, córuś, jak cię tatko podnosili, a tyś się śmiała?

– Teraz jej nie do śmiechu, tylko do płaczu.

Krystynę zapiekły policzki.

– Prawda. Ona teraz sierota. I ja sierota. Niech jednak z dobrego pamięta ojca. – A zdawszy sobie sprawę, że zabrzmiało to nieco dwuznacznie, pośpiesznie dodała: – Niech go pamięta wesołym i zdrowym, a nie chorym.

– To i racja. Mnie wciąż stoi przed oczami to, co zaraza z nim zrobiła. Nawet nie wyglądał na człowieka.

Krystyna powątpiewała, czy Marian był człowiekiem, raczej złem wcielonym, wiedziała jednak, że dzielenie się wątpliwościami ze szwagierką

byłoby nie na miejscu.

– Ciężko chorował. Wracaliśmy do domu, nie wiedzieliśmy, że tu zaraza.

– U nas we wsi gadali, że do Tomaszowa nie ma co się wybierać, bo tam ludzi choroba dopada. I tak nikt się tam nie wyprawia, bo i za czym? Teraz wojna, ani targu, ani handlu. Źle na świecie.

– Po wsiach też ludzie chorują. Nas w drodze zaraza dopadła, nawet nie wiemy gdzie. Pytali my ludzi, którądy iść, bo podobno były wioski całkiem wymarłe. Takieśmy mijali, a i tak nas nieszczęście nie minęło.

Szwagierka nic już nie powiedziała. Gdyby jej pozwolić decydować, to nie Mariana wskazałaby jako tego, którego powinno dopaść nieszczęście. Ale może to nie nieszczęście, może szczęście, które było Krystynie pisane?

Podniosła głowę i rozglądała się zaciekawiona. Wobec tego, co widziała, świat, przez który teraz wędrowali, wyglądał niewiarygodnie. Z szerokiego gościńca, łączącego Tomaszów z Grodysławicami i dalej, z Łaszczowem, skręcili na leśną drogę. Było tu spokojnie, stare drzewa szumiały szarpane jesiennym wiatrem. W konarach rozbrzmiewał śmiech dzieciaków, czasem zaświergotała sikora, a sójka, strażnik lasu, głośnym krzykiem alarmowała jego mieszkańców, że zbliża się niebezpieczeństwo, bo oto idą ludzie. Z rudej ściółki wystawały borówczane łodyżki i kępy wrzosów o blednących już kuleczkach kwiatów. W zacienionych miejscach wśród zeschniętych brązowych liści, podobnych do skrzydeł drozda, nanizane na seledynowe łodyżki, czerwieniły się jagódki konwalii. Powietrze pachniało drewnem, grzybnią i wilgotną ziemią, życiem i śmiercią. Ta woń przypominała Krystynie zapach, który czuła, ilekroć wchodziła do kościoła Najświętszej Marii Panny w Tomaszowie. Wspomnienie wywołało smutek nie do opanowania. Załkała głośno, nie zwracając uwagi na tamtych.

– Wyście bardzo za Marianem byli, co? – zapytała szwagierka.

– Trza żal wyłkać – powiedziała teściowa. – Ja swoje wypłakałam, to mnie lżej. Wyście dotąd łezki nie uronili, dobrze, że w końcu i na was przyszło.

Otoczona lasami Pawłówka znajdowała się z dala od traktu, toteż wojna nie odcisnęła na niej swojego krwawego piętna. Nie było tu spalonych chałup ani stratowanych pól. Krystyna otarła zapłakane oczy. Wciąż czuła ten bezgraniczny smutek, nie mogła jednak płakać dłużej, nie miała już łez.

Rozglądała się wokół raczej obojętnie. Ta wieś niczym się nie różniła od tych, które znała. Chałupy stały blisko jedna drugiej, spadziste strzechy niemal dotykały ziemi. Drewniane płoty okalały przydomowe ogródki,

w których, jakby na złość nadchodzącej zimie, zakwitały marcinki. Po malwach, ostrózkach i błękitnych kwiatkach, zwanych pantofelkami Najświętszej Pani, pozostały już tylko suche badyle.

Krystyna, która kiedyś już tu była, próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądał dom teściowej. Nie potrafiłaby go wskazać, a gdyby sama tutaj przyszła, musiałaby ludzi życzliwych prosić, by pokazali, gdzie Malickie mieszkają. Ale tylko teściowa to Malicka. Bo siostra Mariana po mężu Wróblowa. A czy mieszkali razem, czy osobno, miało się dopiero okazać.

Wóz stanął przed niczym niewyróżniającą się chałupą. Słomiana strzecha mocno poczerniała od deszczu, ściany dawno malowane wapnem z domieszką lakmusu, który nadawał im niebieski odcień. Początkowo intensywny, z czasem bladł. W niektórych wsiach gospodynie malowały na ścianach wzory, w innych zaś nie miały tego zwyczaju. Za to okna były ładnie ozdobione wycinankami, misternie powycinany papier z daleka wyglądał jak koronka.

Chałupa, przed którą się zatrzymali, była mała. Przez okno patrzyła na przybyszów okrągła kula czerwonej pelargonii. Z drzwi, zamkniętych na skobel, płatami odchodziła niebieska farba.

– A Hela to gdzie? Znowu po wsi się włóczy. Hela to nasza najmłodsza, siedemnasty rok jej idzie. Dobra dziewczyna. Kawalera miała, ale go do wojska wzięli i słuch po nim zaginął. Teraz nie wiadomo, czy po nim płakać, czy go czekać. To już lepiej u mojej starszej. Poszedł na wojnę i zginął. Teraz ona wdowa, tak jak i wy. Długo tego wdowieństwa nie będzie, bo ona ładna kobita, a za mąż dobrze poszła, to i kawał pola pod dupą ma.

Krystyna dawała znać, że słucha, ale nic nie mówiła. Na razie nie miała pod dupą ani skrawka pola. Kiedyś po rodzicach schedę dostanie, ale to pieśń przyszłości. Zresztą nie było tego tyle, by zachęcić jakiegokolwiek kawalera do żeniaczki. Gdyby rodzice byli bogatsi, Krystyna nie musiałaby za mąż za fornala iść.

Wróblowa wyjęła skobelek i otworzyła chałupę.

– Wchodźcie, wchodźcie, wy tu teraz u siebie. Marcin, weź matce pomóż z woza zleźć! Czekaście mam, Marcin wam pomoże, bo się jeszcze połamiecie.

Szwagier przytrzymał staruszkę, a później złapał Bronię. Podniósł dziewczynkę wysoko, ponad swoją głowę.

– Zdawało się, że to dziewczynka, a to zazuleczka. Fruuu!

Bronia się uśmiechnęła. Ostatni raz Krystyna widziała uśmiech małej w tamtym majątku, gdy córeczka biegała z nowo poznanymi dziećmi. I radość z tego uśmiechu wypełniła serce matki przyjemnym ciepłem.

Sień była ciemna i miała zapach stęchlizny. Nie ten towarzyszący wilgotnym miejscom, który czuć w piwnicy czy jamie, ale ten najgorszy, gnilny i kwaśny, zapach zepsutego jedzenia i mokrych ubrań.

Izba była mała, ciemna i zimna.

– Pod piecem nie rozpałała. Utrapienie z tą dziewczuchą. Nie wiadomo teraz, czy krowę wydoiła, czy jeść jej dała. I skąd ja mam wiedzieć, w co ręce najpierw pchać?

– Pozwólcie, ja rozpałę – zaoferowała się Krystyna.

Gdy tylko przekroczyła próg izby, wiedziała, że trafiła w niewłaściwe miejsce. Ławy, skrzynia, stół wręcz zjeżyły się na jej widok jak dzikie zwierzęta, gdy poczują obcy zapach.

– Rozpalcie i wodę wstawcie. Trza coś do jedzenia zgotować. Kartofle w koszyku stoją.

Nie minęło pięć minut, a już tobą komenderują, Krystyno. Będiesz tu za popychadło, zobaczysz, odezwał się głos rozsądku. A za kogo mam być?, zapytała. Na łaskawy chleb do obcych ludzi przyszłam.

Sięgnęła po patyczki, drobnutko je połamała, ułożyła na nich kawałek drewna, upewniwszy się wcześniej, że jest suchy. Po chwili czerwone jęczyczki płomyków zaczęły lizać szczapę. Krystyna wiedziała, że ogień już nie zgaśnie, choć piec, jak wszystko tu, zimny był i wilgotny. Rozejrzała się za cebrem z wodą, ale nie stał, jak to zwykle bywało, na ławie w sieni. Pewnie jest przed domem, pomyślała. Wyszła i stanęła na progu. Chmury nie spełniły swej deszczowej groźby, rozeszły się grzecznie, zostawiając niebo czyste i tak błękitne, że jego piękno bolało. Krystynie przypomniały się czyjeś dawno widziane niebieskie oczy. Teraz były przeszłością, tak jak i mąż był przeszłością. Zaczynała nowy etap życia w tym domu, długi czy krótki, nie wiadomo. Miała jednak nadzieję, że choć to, co najlepsze, jest już za nią, to minęło również to, co najgorsze.

Dni upływały jeden po drugim. W izbie było ciasno. Bronia dostała miejsce na piecu, choć jedno dobre. Krystyna, podobnie jak córka Wróblów, Hela, spała na ławie. Nie narzekała, bo po miejscach, w których przyszło jej sypiać, ława owa jawiła się luksusem. Problemem było to, że gdy rozsunięto małżeńskie łóżko i wyciągnięto z kąta babczyne, nie pozostało już ani

jednego wolnego skrawka podłogi. Jeśli Krystyna czuła potrzebę, by wyjść z izby, musiała z tym czekać do rana, bo przepychanie się między sprzętami zawsze powodowało hałas, a bardzo się wstydziła, gdy budziła tych ludzi. Byli dla niej obcy, jakaś niewidzialna bariera odgradzała ją od nich. Próbowwała sobie wmawiać, że są dobrzy, że pomogli, gdy została sama, przyjęli je obie i karmią, niczego od niej nie chcą, a za pomoc w gospodarstwie serdecznie dziękują. Mimo to było coś... Nie wiedziała, w niej czy w nich. Może ten ruch ręką Wróblowej? Taki sam jak Mariana. Teściowa zaś śmiała się zupełnie jak on. Dziwne, że u tych dwóch to dostrzegą, zaś w swojej córce nie. Jakby Bronia została ulepiona tylko z ciała jej, Krystyny, a Marian ręki do tego nie przyłożył.

W ciągu dnia Krystyna uciekała z izby, szukając sobie zajęcia na zewnątrz. Wstawała pierwsza, by zdążyć się ubrać, nim inni otworzą oczy. Przynosiła wodę i rozpalala w piecu. Teściowa chciała, by Krystyna gotowała. „Ot, z niczego coś zrobi, a i dosmaczyć umie jak nikt”, mówiła, wzbudzając tym złość córki, której spojrzenie wskazywało, że czuje się we własnej chałupie odsunięta od swojej kuchni. A przecież to miejsce przy piecu, gdzie stała gospodyni, było najważniejsze. Jakby wszystkie ścieżki wszechświata zbiegały się właśnie tutaj.

Gdy ktoś dom rodzinny opuszczał, a po latach wracał do niego myślami, widział piec i stojącą przy nim kobietę, mieszającą w rondlu drewnianą kopyścią. Ten sam obraz ukazywał się dziecku, gdy usłyszało słowo „mama”, mężowi, gdy mówiono o żonie. Zapaska z szarego płótna, zarumienione policzki, spocone czoło. I uśmiech, nawet jeśli w rzeczywistości nigdy go na ustach nie było. Stojąca przy piecu kobieta zwykle miała na twarzy wyraz zatroskania. Jedzenia było zawsze mało. Nawet w czasie, gdy szczodra jesień zdawała się przynosić obfite plony. Bo cóż z tego, że do komory wędrowały jagły, groch, cebula i gryka, że kopcowano marchew i ziemniaki, skoro wtedy pracowano najciężej, a chłodne poranki i wieczory wzmagały apetyt i chciało się jeść suto i tłusto. Chwila nieuwagi, a przednówek mógł przynieść nie tylko głód, ściskający kiszki, ale i śmierć. Dlatego każda porcja, która trafiała z garnka na stół, została po trzykroć odmierzona, żeby przypadkiem nie była choć o jedną krupę za duża.

W czasach, gdy na świecie panował pokój, zapasy jedzenia stanowiły przedmiot najwyższej troski, a co dopiero dziś, gdy świat ogarnęła wojenna zawierucha. Teraz każdy kęs pożywienia miał wartość złota. A Krystyna

i Bronia to dwie dodatkowe gęby do wyżywienia. W takim zamęcie nie można było zaognić sytuacji.

Dlatego Krystyna unikała kuchennych obowiązków, szukając sobie zajęć w oborze, a gdy tam skończyła, szła do lasu. Zbierała chrust i szyszki na opał oraz żołądź, które po ususzeniu i zmieleniu nadawały się do zagęszczania potraw, szukała grzybów, łamała malinowe patyczki na herbatę. Przy ścieżkach i miedzach szukała ziół, których właściwości poznała dzięki pani Wiszniowskiej. Zbyt późno na nie było, ale bystre oko Krystyny potrafiło dojrzeć baldach kminku, z którego nie opadły wszystkie nasiona, czy kępę wyschniętej macierzanki.

Bronia zwykle zostawała w chałupie, na swoim miejscu za piecem. Gdy dzień już od rana był ciepły i pogodny, Krystyna zabierała córeczkę ze sobą, jednak zazwyczaj wędrowała sama. W lesie i na polach spotykała inne kobiety. Przyglądały jej się zaciekawione. Gdy miała ochotę, podchodziła, by powiedzieć, kim jest. Nie zdarzało się to często. Ludzka ciekawość była męcząca. Nie, nie ciekawość. Męczyło udawanie, trzymanie się roli biednej wdowy, którą los ukrzywdził, odbierając męża.

Krystyna uważała na każde słowo, bo jeden fałszywy ruch, a kobieta, z którą rozmawiała, pobiegnie do Wróblowej i szepnie, że bratowa nie oplakuje Mariana tak mocno, jak powinna. To zrodzi pytanie, czemu Krystyna tak właśnie się zachowuje. A za nim przyjdą następne, zakończone tym, czy bratowa i bratanica powinny w chałupie Wróblów na łaskawym chlebie siedzieć. Takie pytanie wiosną było przerażające, a cóż dopiero jesienią. Dlatego Krystyna wybierała drogi, na których nie spodziewała się kogoś spotkać.

Ten ranek przywitał ludzi nieprzyjemnym chłodem. Z ciemności nocy zrodził się świt biały jak mleko. Wilgoć rozwiesiła mgły tak, jak dobra gospodyni wiesza na sznurze bielone płótno. Krystyna raz po raz zerkała z niepokojem w okno, by sprawdzić, czy się przeciera.

- A gdzie tobie tak pilno? – spytała teściowa.
- Do lasu bym poszła, może grzybów poszukam.
- Grzyby dobra rzecz. Ciebie nogi nie bolą tak co dnia chodzić?
- Przywykłam. – I zaraz dodała: – W chałupie nie ma dla mnie roboty żadnej, to choć tak się przydam.
- Robota zawsze jakaś się znajdzie.
- A to prawda. Co mi szwagierka każe, to ja zrobię. Gdy nie mówi nic,

sama sobie zajęcia szukam.

Teściowa pokiwała głową.

– Dobra kobita z tej mej córki. Ona nic przeciwko wam nie ma.

– Widzę. I odwdzięczyć się chcę, jak mogę.

– To może by my fasoli nałuskały?

Krystyna już miała się zgodzić, gdy dostrzegła promyk słońca przedzierający się przez mgielną firankę.

– Przyjdzie zima, mróz zamknie nas w chałupie, to będziemy łuskały. Wtedy grzybów w lesie nie będzie. Teraz są, trzeba korzystać.

Uściskała Bronię, która, choć już przebudzona, jak mały kotek wtulała się w sen, którego trochę zostało pod derką.

– Poleż sobie jeszcze, poleż – szepnęła jej Krystyna. – Niech ona szybko nie wstaje – poprosiła teściową. – Po podróży wciąż słaba. Jakby zachorowała... – Nie skończyła, żeby złego nie kusić, splunęła trzykrotnie i na czole dziecka nakreśliła znak krzyża. Chwyciła koszyk, włożyła do niego worek, zarzuciła na plecy chustę jesionkę i wyszła z chałupy.

Jesienna uroda lasu przeminęła tak, jak przemija uroda kobiety – niepostrzeżenie. Liście, które spadały z drzew wymalowane we wszystkie odcienie czerwieni i żółci, a potem zalegały na zielonym mchu szeleszczącym kobiercem, zniknęły, zebrane przez ludzi na zagaty i opał. To, co zostało, deszcze pozlepiały w wilgotną, brunatną masę. Dumne pióropusze paproci połamały jesienne wiatry pospołu z ludźmi, którzy wciąż i wciąż wędrowali między nimi. Opadły czerwone korale z kalin i dzikich bzów. Owoce jarzębiny oberwali ludzie, obdziobały ptaki. I tylko różowopomarańczowe dzwonki, którymi obwieszane były trzmieliny, zachowały swój kolor, ale ich widok już nie cieszył, a zasmucał.

Krystyna szła zamyślona, patrząc uważnie pod nogi, czy nie zobaczy czegoś, co warto włożyć do koszyka czy worka.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła przed sobą kobietę. Tamta była zbyt blisko, by zboczenie ze ścieżki nie wyglądało na ucieczkę. Po kilkunastu krokach stanęły naprzeciwko siebie.

– Niech będzie pochwalony!

– Na wieki wieków!

– Znaleźliście co?

– Ot, trochę podgrzybków.

– To już ostatnie. A wy skąd?

– Z Pawłówki.

W oczach nieznajomej błysnęło zaniepokojenie. Instynktownie zrobiła krok do tyłu.

– Wróble to moje szwagry. Za Marianem Malickim byłam.

Tamta wyraźnie się rozluźniła.

– Znałam Mariana. Prawda to, co mówią, że zaraza go zabrała?

– Prawda. Drugi miesiąc idzie.

– To wy w żałobie.

– Ano w żałobie.

– W lesie szukacie ukojenia?

Nikt dotąd nie zadał Krystynie takiego pytania. Większość ludzi ciekawa była, jak wyglądały ostatnie chwile zmarłego, czy się męczył, co zaraza z nim zrobiła. Można było odnieść wrażenie, że im bardziej makabryczny opis, tym większą by sprawił przyjemność.

– Trochę tak.

– Tęskno wam za nim?

Na to pytanie istniała tylko jedna odpowiedź. A jednak coś w tamtej kobiecie sprawiło, że Krystyna poczuła, że nie musi nic mówić.

– Mój mąż był fornalem w Dzierążni w majątku, a ja na kuchni pomagałam. Wybuchła wojna i nasz los się poplątał, a na koniec Marian zachorował i umarł, ja zaś teraz u szwagrostwa na łaskawym chlebie. Tęskno mi do czasów, gdy sama sobie byłam panią. Ot co.

To prawda. Życie z Marianem było piekłem, ale przynajmniej nikt nie patrzył na Krystynę krzywym okiem, nikt nie liczył łyżek zupy, które do ust wkładała.

– Mnie się tak wydaje, że musi wam być ciężko. Stara Malicka nie jest zła, córka też nie najgorsza, ale jak kto całe życie biduje, to gorzknieje jak jełczające jagły. Tyle że jagłom płukanie w mleku pomoże, a człowiekowi to już nic. A jeszcze tak dużo nieszczęść na nie spadło. Córka owdowiała, druga przez wojnę za mąż nie poszła. Pola Malickie prawie nie mieli, ot taki paseczek. – Rozkładając ramiona, pokazała jaki. – Ale Tonia była robotną panną, to ją Wróbel wziął. I pewno nie żałuje, bo co nieco tam się razem dorobili. Teraz wojna przyszła, więc nie wiadomo, co z nimi będzie, i strach czują, jak my wszyscy. A wy do roboty nie chcielibyście iść?

Chciałaby, to była jej pierwsza myśl. We wszystkich okolicznych majątkach pytała o jakąkolwiek posadę. Wszędzie to samo – nikogo teraz nie

potrzebowali, może wiosną, a już na żniwa to na pewno.

– Chcieć to bym chciała, tylko kto mnie najmie?

– W michalowskim dworze szukają kogoś do kuchni.

– Prawda to?

– Prawda, prawda. Tylko nie wiem, czy już kogo nie znaleźli.

– Bóg wam zapłać za to, żeście mi powiedzieli. Pójdę jutro z samego rana i się rozpytam.

– To szczęścia wam życzę. A jak z kucharką będziecie rozmawiać, to powiedzcie, że wy od Mani Gancarzowej.

Krystyna jeszcze raz wylewnie jej podziękowała. Przyjęli kogoś, nie przyjęli, nie miało to znaczenia. Umie tyle, że żadna podkuchenna nie może się z nią równać. Szkoda, że referencji nie ma. Może by tak pójść do Dzierżni i poprosić? Trzeba będzie, to pójdzie. Woli nie, ale jeśli trzeba...

Głupiaś. Ty myślisz, że masz dla pana jakieś znaczenie? On nawet twarzy twojej nie pamięta. Dla panów jesteśmy jak te psy. Pogłaszcz, jeśli się łasisz, a gdy zdechniesz, biorą sobie nowego. Jeśli zaś ugryziesz, kopną tak, że trzy dni nie wstaniesz, a jeśli od tego zdechniesz, to powiedzą, że twoja wina. Tobie się zdaje, że w tamtym majątku awantura się zrobiła z twojej przyczyny, a prawda jest taka, że kiedy pani wykrzyczała swoje wzburzenie, natychmiast zapomniała o tobie. A i pan zapomniał, że całą swoją rodzinę w świat posłał, tyle czasu minęło, kto to by pamiętał. Nawet Wiszniowska, co ci była życzliwa, odwraca oczy i mówi: „Tu roboty nie ma, idźcie z Bogiem”.

Co by nie było, trzeba o miejsce walczyć. Dostanie parę groszy, a i z kuchni coś przyniesie. Wróblowa przestanie na nią patrzeć jak na darmozjada. A później... Nie planuj zbyt wiele, przestrzegła samą siebie. Męczyła Krystynę ta tymczasowość, życie z dnia na dzień, bez planu. Wiedziała wszakże, że w tym niespokojnym czasie nie ma gorszego grzechu niż patrzeć w przyszłość. No ale jeden krok ku niej można było zrobić.

Rozdział piętnasty



Zielononóżka kuropatwiata to polska rasa kur ogólnoużytkowych. Za względu na wyjątkowo duże podobieństwo do kura bankiwa, przodka kur domowych, uważa się ją za bardzo starą rasę. Jednak pierwszy jej opis pochodzi z końca dziewiętnastego wieku, a wzorzec rasy ustalono w latach dwudziestych zeszłego wieku. Kury te nie nadają się do życia w dużych stadach, dlatego dziś spotyka się je w hodowlach amatorskich i zachowawczych. Ubarwienie są skromnie, mają złotistą głowę i pierś, reszta piór jest szara i szarobrązowa. Koguty zachwycają wyglądem. Duży, czerwony grzebień z charakterystycznymi wcięciami, pomarańczowe oczy, złotistomiodowa szyja, ogon metalicznie czarny z zielonym połyskiem, brzuch czarny, grzywa pomarańczowa. Jaja, których kura znosi około stu pięćdziesięciu rocznie, mają o trzydzieści procent mniejszą zawartość cholesterolu, zawierają mniej alergenów i mają lepszy stosunek kwasów omega-3 do kwasów omega-6 w porównaniu z jajami jakiegokolwiek innej rasy hodowlanej.

Lipiec 1928

Bronka stała w pokoju kredensowym i patrzyła przez okno na park. Zawsze był ładny, ale teraz, w samym środku lata, gdy wszystko kwitło, jego piękno zapierało dech w piersiach. Pomyślała, jak bardzo chciałaby teraz tam być. Spacerować alejkami i cieszyć się pięknem kwiatów. Zawołałaby Włodzia i razem zaszyliby się w najdalszej części parku, tam, gdzie nikt nie mógłby ich zobaczyć. Rozmawialiby o drobiazgach, o książce, którą czytała, o mrówkach, które Włodziu obserwował godzinami. Nie mówiliby o niczym poważnym, bo takie rozmowy zasmucały ich oboje.

Jakiż on dzielny, myślała Bronia, gdy zdarzało jej się słyszeć, że chłopcy

z czworaków przezywali brata. I jakież stateczny, nigdy nie wdaje się w bójkę. Wie, że to zmartwiłoby mamę i rozzłościło pana hrabiego. A ponieważ byt ich trójki uzależniony jest od jego woli, lepiej, by nie stało się nic, co spowoduje, że usłyszą: „fora ze dwora”.

Lepiej też, byś nie patrzyła w okno, kiedy masz pracować, skarciła sama siebie.

Pokój kredensowy był niewielkim pomieszczeniem, oddzielającym kuchnię od jadalni. To tu trzymano całą dworską zastawę. Dębowe komody i szafki skrywały talerze, talerzyki, półmiski, wazy i sztuce, w przeszklonych witrynach znajdowały się serwisy i kieliszki. Na środku pokoju stał stół, rzadko nakrywany obrusem. Zdarzało się, że jadał tu hrabia, gdy obowiązki zmuszały go do wczesnego opuszczenia domu albo też jeśli chciał przy posiłku omówić jakieś kwestie z rządcą, ekonomem czy inną mniej znaczącą osobą. Kiedyś, gdy Bronka była mała, to przy tym stole zasiadały z panią do nauki rachunków.

Z kredensowego przechodziło się do jadalni, pięknego pokoju z wielkim, rzeźbionym stołem, zawsze przykrytym bielusieńkim obrusem i ozdobionym wazonem z kwiatami. Wokół stołu stały wyściełane krzesła, pod ścianami witryny z porcelaną. Filiżanek, dzbanków i cukiernic, które tam zgromadzono, nie używano, były zbyt cenne i służyły tylko do ozdoby. Za jadalnią znajdował się salon, gabinet i sypialnia z buduarem. Kiedyś Bronia bywała częstym gościem u pani. Przyjście na świat Włodzia wiele zmieniło. Choć i teraz zdarzało się, że pani wołała Bronię, by ta jej poczytała, brakło już dawnej więzi między nimi. Kiedy była dzieckiem, nie rozumiała tego, co się stało. Nie było jej wtedy przykro, właściwie z ulgą przyjęła fakt, że pani nie woła jej do siebie tak często. Nauka czytania, pisanie i rachunków sprawiała, że Bronkę z nerwów bolał brzuch, a od prostego siedzenia bolały plecy i ramiona.

Mama miała na ten temat inne zdanie. Mówiła, że gdyby córka została pupilką pani, tamta znalazłaby jej kogoś zanego na męża. Mama miała dziwny pogląd na małżeństwo. Widziała je jako układ, który tym jest lepszy, im więcej korzyści przynosi kobiecie. Idealny mąż powinien być bardzo posuniętym w latach rządcą, ekonomem, urzędnikiem państwowym czy aptekarzem. Najlepiej, by był bezdzietnym wdowcem, a ostatecznie miał dzieci starsze od Bronki, które już zostały wywianowane, na tyle dobrze, by po śmierci rodzica nie rościły pretensji do pozostawionego przez niego żonie

majątku.

Takich rzeczy nie dało się słuchać spokojnie, toteż Bronka unikała tematów związanych z małżeństwem i przyszłością. Miała swój plan i jedyne, co stało na przeszkodzie jego natychmiastowej realizacji, to nieobecność Jaśka, bo ten wciąż był w wojsku.

Wyjęła półmisek, który matka kazała przynieść, i wróciła do kuchni.

Tutaj zarówno latem, jak i zimą było gorąco, a to za sprawą trzech pieców. Zawsze przynajmniej w jednym z nich się paliło. Były to piece z blachami, w których otwory przykrywały metalowe kółka, kładzione jedno w drugie, pozwalające regulować siłę żaru. Zwał się ten wynalazek fajerkami. Matka wspominała, że pierwszy raz zobaczyła taką blachę we dworze, bo we wsiach ludzi nie było na nie stać. Jeśli kto miał na piecu blachę, to albo bez otworu, albo z otworem odkrytym.

Pierwszy, najmniejszy, miał tylko dwie fajerki. Rozpalano w nim, jak któreś z państwa w nocy zażądało ziółek, gdy pan chciał zjeść bardzo wczesne śniadanie albo jeśli wieczorem zjawił się jakiś niezapowiedziany gość, którego wypadało ciepłym czymś ugościć.

Dalej była kuchnia właściwa z dwiema blachami, na cztery fajerki każda. Nie było dnia, by nie buzował w niej ogień, tu przygotowywano posiłki dla państwa i dla służby. Na koniec był piec chlebowy z piekarnikiem. Chleb pieczono raz w tygodniu, a w piekarniku rozpalano tylko wtedy, kiedy trzeba było dopiec ciasteczek, co zdarzało się, gdy pani przyjmowała więcej niż raz w tygodniu, zwykle bowiem to, co upieczono w sobotę i zamknięto w metalowych puszkach, wystarczało na cały tydzień.

Poza piecami w kuchni były trzy stoły, każdy służył do obróbki innych produktów. Na pierwszym przyrządzano mięsa i ryby, na drugim nabiał i warzywa, na trzecim ciasta. W kącie stał pień do rąbania mięsa, a pod ścianami proste kredensy, gdzie trzymano wszystko, co w kuchni było potrzebne. Osobne miejsce zajmowały miski i szafliki przeznaczone do mycia i szorowania garnków i talerzy. Kiedy Bronka była mała, między tymi szaflikami królowała Kazia, która wyrosła na pomocnicę mamy. Teraz talerze zmywała Małgosia, sympatyczna, choć mocno przestraszona dziewczyna, również polecona do tego zajęcia przez Alfreda.

– Tyś po ten półmisek do Zamościa chodziła? – zapytała matka. – Już miałam za tobą kogoś posłać.

– Znaleźć nie mogłam.

- Toż mówiłam, gdzie leży.
- Tam nie było. – Bronka znów skłamała.
- Jakże nie było? Sama odstawiałam. – Krystyna westchnęła. – O nie wiadomo czym dumasz, serca do roboty nie masz.

Bronka nie lubiła tego słuchać. Do czego tu mieć serce? Nie była ani podkuchenną, ani pokojówką. Nie mając wyznaczonej funkcji, była nikim i wszystkim. Pani chciała, by jej poczytać, wzywano Bronkę. Gości się spodziewano i należało pokoje wysprzątać, kazano Bronce pomagać. Trzeba było coś z miasteczka przynieść, na pocztę pójść, do apteki, po zapomnianą przyprawę do sklepiku, wszędzie tam posyłano Bronkę. W kuchni brakło rąk do pracy, nic to, przecież jest Bronka. Nikt jej ani jednego złotego nie zapłacił, robiła to wszystko za wikt i dach nad głową.

- Pokojowej płacą – skarżyła się matce.
- Ty nie jesteś pokojową.
- Małgosi też płacą.
- To nie jest zajęcie dla ciebie.
- A jakie jest zajęcie dla mnie?
- Kuchni się przy mnie wyuczysz, pójdziesz gdzieś za kucharkę.
- Nie chcę być kucharką.

Matka wzdychała i uciniała wszelkie protesty stwierdzeniem, że Bronia jest jak dziecko i nie myśli rozsądnie, więc już nie będą o tym mówiły.

I nie mówiły. A od tego w Broni zbierało się coraz więcej różnorodnych złości. Na matkę, że jest taka, nic nie rozumie, a państwa traktuje jak bogów, na ojca, że umarł, na Jaśka, że wciąż w wojsku, na panią, że marudzi, na pana, że jest zły i okrutnie się z Włodziem obchodzi, na siebie, że nie ma odwagi matce w oczy prawdy powiedzieć.

Tylko na brata nie złościła się nigdy. Zbyt dobrym i kochanym był dzieckiem. Swoją sytuację znośił z pokorą, bez gniewu. Patrzył na świat tymi pięknymi, wielkimi oczyma, w których był zachwyt nad cudami przyrody i pewne zadziwienie małością ludzi. Bronia czuła się bardziej jego matką niż siostrą, bo przecież gdy był malutki, to ona się nim opiekowała.

I dlatego też postanowiła, że jak wyjdzie za mąż, Włodka zabierze ze sobą. Dobrze się czuł w Tynczynie. Tam nikt nie znał jego historii, a nawet jeśli pójdzie w ślad za nim, bo przecie ludzkie języki dłuższe są od najdłuższych rzek, to będzie można zaprzeczyć albo... Może nikt się nie dowie? A może, kiedy się dowiedzą, Włodek będzie już na tyle duży, że przestanie mieć to dla

niego znaczenie. To mądry chłopiec, nauczy się zawodu i pójdzie do jakiegoś miasta, gdzie nikt nie będzie o rodzinę pytał, a on życie szczęśliwie sobie ułoży.

– A ta znowu o czymś дума. – Słowa matki wyrwały Bronkę z zamyślenia.
– Bób trzeba łuskać.

Bronka siadła na zydlu w kącie, przysunęła sobie wiadro ze strąkami, na kolanach postawiła miskę na ziarna.

– Ty o tym swoim kawalerze nieustannie rozmyślasz, ja to dobrze wiem – powiedziała matka. – Z serca ci radzę, zapomnij o nim.

– A dlaczego miałabym zapomnieć? – Skoro matka nie wstydzi się rodzinnych spraw przy Kazi i Małgosi poruszać, to Bronka też nie będzie się przejmowała.

– Bo on już cię nie pamięta.

– Pamięta. List przysłał.

– To mnie dziwi, bo myślałam, że on niepiśmienny.

– Wcale tak mama nie myślała. Mama wie, że on pisać i czytać umie, tak jak wszyscy u nich w domu. I że katolik porządny, jak i my. I jeszcze to, że bogaty.

– Ale chłop.

– I cóż z tego? Gorszy przez to? Jeśli on gorszy, to i my, bo my przecież też chłopki.

– Już nie, córuś. Już nie.

Te słowa wywołały w Bronce wściekłość. Przez całe swoje życie nie poznała równie dobrego, miłego i serdecznego człowieka jak Jaśko. Nikt z dworu ani też z odwiedzających nie miał w sobie tyle ciepła i życzliwości.

– Jak mama może tak mówić? Nie jestem lepsza od Jaśka. Ani mama nie jest.

Krystyna przerwała pracę i podeszła do córki.

– Dziecko, pleciesz głupoty, boś zakochana. Na szczęście i ta choroba mija.

– Mnie nie minie.

– Minie, minie. On tam w wojsku raz-dwa kogoś sobie znajdzie, zapomni o tobie i ty o nim zapomnisz.

Gdyby zatopiła w sercu Bronki ten nóż, który trzymała w dłoni, nie zabolaby to tak bardzo jak słowa, które wypowiedziała.

– To było, proszę mamy, podłe. – Szpyrnęła miską, aż zadźwięczało, i wybiegła z kuchni.

Mama wyszła za nią.

– Broniu, wróć. Broniu, wróć, porozmawiajmy.

– Nie mamy o czym rozmawiać, proszę mamy.

Mogła uciec do parku, ukryć się przed mamą, nie słuchać, nie mówić. Czuła jednak, że ten ropień złości jest już tak bardzo nabrzmiały, że musi pęknąć. Jeśli nie stanie się to teraz, gorycz, zamiast się wylać, zatruje jej serce.

– Czemu mama Jaškowi przeciwna?

– Nie raz ci mówiłam. On nie dla ciebie i życie z nim nie dla ciebie. Praca na roli ciężka, ty nie przywykłaś.

– A w kuchni lekko?

– Nie musisz iść do kuchni. Znajdzie się może ktoś...

– A jeśli się nie znajdzie? Albo będzie to ktoś taki, kto dla Włodka... Nie chcę być z kimś takim, kto mojemu bratu zabroni wstępu do domu. Jaško go lubi. Dzieci lubi. Jeśli się pobierzemy, zabiorę Włodzia ze sobą. U Lipczewskich dobrze mu będzie. Nikt nie będzie za nim wykrzykiwał, że on... No wie mama.

Matka położyła rękę na ramieniu Bronki.

– Żyjesz marzeniami, córeczko. Jaško wróci, Jaško się ożeni, z Jaškiem dobrze będzie. Czy ty choć raz byłaś w polu? Ziemiaki kopałaś? Snopy wiązałaś?

– Nauczę się.

– Zanim się nauczysz, powiedzą, żeś leniwa. Ty wiesz, co znaczy z teściami pod jednym dachem żyć?

– Babcia Malicka nie była dla nas zła. Mieszkałyśmy u niej przez czas jakiś. Pamiętam to.

– Nie u niej, tylko u jej córki. I może Malicka zła nie była, ale reszta rodziny to już tak.

– Inaczej pamiętam.

– Boś mała była. To i nic nie pamiętasz.

Bronka strząsnęła z ramienia dłoń matki.

– To nieprawda. Pamiętam, jak byłam u zakonnic, gdy tatko umierali. Pamiętam dawny dwór i nasz tam dom. Pamiętam, jak mnie tatko podnosił w górę. Pamiętam, żeśmy byli szczęśliwi, zanim wojna przyszła.

Matka zrobiła krok do tyłu. Jej twarz się odmieniła. Nie było już na niej złości, tylko smutek.

– Nic nie pamiętasz.

– Może to i niewiele, bo mama nic opowiedzieć nie chce. Ja rozumiem, to przez żal do tatka, bo umarł i nas zostawił.

– Cóż ty wiesz...

– Dużo. Babcia Malicka mi opowiadała, jak się tatko w mamci zakochał. Raz zobaczył i zapomnieć nie mógł. Na odpuście się spotkaliście. Tak jak ja Jaśka. Widać nam podobne drogi pisane.

– Wypluj te słowa. Natychmiast!

W głosie mamy było coś takiego, że Bronka posłusznie splunęła, a potem pobożnie się przeżegnała.

– Przepraszam. Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o miłość...

– Najgorszemu wrogowi nie życzę takiej miłości.

– Co też mamcia? Wiem od babci, jak bardzo tatko was kochał. A mama... Mama go nie kochała?

Mama westchnęła. Patrzyła na Bronkę z wyrzutem i rozczarowaniem.

– Przestań żyć marzeniami. I nie mów o miłości, bo ona nic dobrego nie przynosi. Tylko z niej ból i cierpienie. Życie sobie ułóż tak, by ci dobrze było, dostatnio i spokojnie. O sobie przede wszystkim myśl.

– Jesteście niesprawiedliwi i zgorzkniali. To, że was w życiu złe spotkało, to nie znaczy, że i mnie to pisane. Gdyby nie wojna, gdyby tatko nie umarł, wszystko byłoby inaczej.

– O tak, byłoby inaczej. Nie mówiłabyś głupot. Widziałabyś, co to znaczy małżeństwo. – W głosie mamy było tyle goryczy, że Bronce przykro się zrobiło.

Przez chwilę stały naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Wyglądało na to, że Krystyna coś powie, ale tylko machnęła ręką. Odwróciła się i poszła do kuchni.

Bronka rozważała, czy pójść za nią. Powinna wrócić, powinna pomagać. Nie mogła. Czuła, że matka coś przed nią ukrywa, coś smutnego i bolesnego. Czy to właściwe mieć przed własną córką tajemnicę?

– To moje życie – powiedziała, bo gdy tamta nie mogła słyszeć, łatwiej było mówić na głos. – Jaśko mnie kocha, a ja kocham jego. Dobrze nam będzie razem. Nie zapomni o mnie, a ja nie zapomnę o nim. Będziemy szczęśliwi. Zobaczysz. Będę gospodynią, będę na siebie robiła, nie na panią hrabinę. Teraz są inne czasy. A jeszcze lepsze nadejdą.



Serniczki szlachetne

Pół kilo mąki, 40 dkg sera, 25 dkg cukru, 5 dkg masła, 3 jajka, szczypta soli, cukier puder do posypania.

Zagnieść ciasto z mąki, jednego żółtka, masła i szczypty soli, dolewając wody tak, aby było dość wolne. Ser przepuścić przez maszynkę, dodać cukier, dwa jajka i wyrobić, po czym wynieść do chłodnego miejsca, żeby stężał. Ciasto rozwałkować na grubość dwóch centymetrów, uformować kwadrat. Wyłożyć na to ser, w kształt mniejszego kwadratu, a brzegi ciasta założyć. Wałkować cztery razy z przerwami, tak jak ciasto francuskie. Następnie kroić na ciasteczka cztery na dziesięć centymetrów, smarować rozkłóconym jajem. Piec około dwudziestu–trzydziestu minut. Posypać cukrem pudrem.

Krystyna 1915

Dni były coraz krótsze. Życie przypominało wchodzenie w tunel, gdzie z każdym krokiem robi się coraz bardziej ciemno. Jeszcze moment, a ranek prawie zleje się z wieczorem w szarą, zimną breję, podobną do zalewajki, która cały dzień przestała na nierozpalanym piecu.

W powietrzu wisały drobiny mrozu, niczym oddech Pani Zimy, którym zwiastuje ona swe rychłe nadejście. Jesień wyszalała się obfitymi deszczami i wietrzyskiem takim, że unosił dachy na chałupach i odrywał słabo zamocowane zagaty. Skończyło się jesienne królowanie, a jak mawiają mądrzy ludzie, po złym panie gorszy nastanie, dlatego też nikt nie spodziewał się po zimie łagodności.

Zjawiała się w nocy, przyszła cichutko jak kot, zasypała świat puchem bielusińkim jak gęsie pierze. A tak hojnie go nasypała, że niektóre chałupy stały w nim po kalenice.

Tuż po obudzeniu Krystyna pomyślała, że już południe, tak świat pojaśniał od śniegu. Dopiero cisza otaczającego świata uzmysłowiła jej, że wciąż jest noc. Usiadła na ławie, podłej zdrajczynie, która skrzywnęła przeciągle, by dać znać, że jest w izbie ktoś, kto nie śpi. Krystyna poczuła, jak cała sztywnieje ze strachu. Trochę już minęło od czasu, gdy takie sztywnienie było dla niej codziennością. Co za życie przekłete, pomyślała. Odmówiła modlitwę siłą przyzwyczajenia. Od kilku tygodni miała wrażenie, że nie ma nikogo, kto chciałby jej wysłuchać i pomóc.

Dostała pracę we dworze. Cały ten strach o to, że będą ją pytać o powody rozstania z poprzednim chlebodawcą, okazał się niepotrzebny. Kucharka zainteresowana była tym, co Krystyna wie o gotowaniu. Pokaz umiejętności i wiedza wypadły nadspodziewanie dobrze. Pani hrabina zainteresowana była wiekiem i wyglądem przyszłej pomocy kuchennej. To, że Krystyna nie jest już młodziutka, owdowiała i ma dziecko, a ostatnie miesiące odcisnęły się na jej twarzy cieniem, zostało uznane za zalety. Pan hrabia zaś... Pan hrabia spojrzał na nią i już niczym nie był zainteresowany. Toteż pani w porozumieniu z kucharką doszły do wniosku, że „ta się nada”.

Krystynę ogarnęła euforia. Szwagierce i teściowej udzieliła się jej radość. Dobre grzyby, dobry chrust, ale pieniądz za wszystkiego najlepszy, a Krystyna miała obiecaną kopiejkę dziennie, wikt dla siebie i co tam kucharka pozwoli wziąć dla dziecka. Wiadomo, że dużo tego nie będzie, ale po tym, jak wspomniała Manię Gancarzową, przyszła przełożona patrzyła na nią przychylnym okiem. Od razu zaczęto snuć plany, że jeśli jej praca się spodoba, to może zapłacą więcej albo w inny sposób wynagrodzą. Pierwsza też się dowie, jeśli we dworze będą szukać kogoś na służbę. Helcia robotna dziewczucha, gdy Krystyna dobre słowo za nią szepnie, to pani na pewno się zgodzi. To by było dobrze dla wszystkich, oj, dobrze.

Z tej radości policzki Krystyny zrobiły się gorące, jak od stania przy dobrze rozpalonym chlebowym piecu. Musiała z izby wybiec, by się ochłodzić.

Na ławce przed chałupą siedział szwagier i fajkę palił. Lubił tak, po wieczornym obrządku, lato czy zima, siedzieć i pykać. Krystyna przycupnęła obok niego.

– A to pracęście dostali, ha?

– Tak. Lepiej nam teraz wszystkim będzie.
– Całe dnie was nie będzie.
– Przed świtem trzeba mi będzie wyruszać, ale swoją robotę w chałupie zrobię.

– A czy mnie to obchodzi robota? Tęskno mi za wami będzie, ot co.

I położył rękę na udzie Krystyny. Wysoko, tuż przy pachwinie.

Zerwała się tak gwałtownie, jakby ktoś pod nią pochodnię zapalił. Wpadła do sieni, chwyciła za drzwi do izby. Zatrzymała się jednak. Przecież tamte po jej twarzy poznają, że coś się stało. Cicho cofnęła się do komory. Oddychała głęboko, by uspokoić serce, które miotało się jak zajac uchodzący przed lisem. Usłyszała szuranie słomianych łapci pod drzwiami izby, skrzypnięcie drzwi. Rozległy się rozświergotane głosy kobiet i pytanie o Krystynę. Skrzypnęły drzwi i wszystko na powrót ucichło.

Znów wyszła na dwór. Chłodny powiew owiał ją całą. To przypadek, nie ma się czym przejmować. Ciemno było, nie widział, gdzie kładzie. Ale po cóż w ogóle kładł? Może już sam żałuje. Więcej tego nie robi.

Jeszcze tej nocy Krystyna przekonała się, że wcale nie żałował. Szwagier wstał po cichu, stanął przy niej, wodził ręką po ciele. Naciągnęła na siebie derkę najmocniej, jak mogła. Modliła się, żeby przestał, żeby nikt się nie zbudził. Łudziła się, że to tylko raz, ale nie była głupia, już nie. Wiedziała, że on nie przestanie i doprowadzi to do nieszczęścia. A wtedy Wróblowa wyrzuci ją z chałupy. Gdzie wtedy się podzieje? Z małym dzieckiem? A tu zima za pasem.

I oto zima przyszła, a Wróbel nie ustawał w nękanii Krystyny. Nawet coraz śmielej sobie poczynał. Dotykał piersi, podbrzusza, pewnie przekonany, że to ją podnieci. Chciałaby móc usiąść na tej ławie i na całą izbę oznajmić, że jej ciało jest jak koryto rzeki, która dawno wyschła. Nie ma tam wody, nie ma życia, nic nie ma. Marian do tego doprowadził. Brał, kiedy chciał, jak chciał, jakby Krystyna nie była żywą istotą, a drewnianą kłodą, która żadnego bólu nie czuje. A ona czuła mnóstwo rzeczy, wszystko poza tym, co czuć powinna – poza ochotą, radością, spełnieniem, pożądaniem.

Po tych kilku tygodniach spokoju, kiedy ciesząc się ze śmierci męża, wędrowała po cichym jesiennym lesie, powrócił czas strachu. Bała się, że straci nową pracę, bała się szwagra, bała się szwagierki, bała się kucharki. Lękała się, że nie zdąży rankiem do pracy, że ktoś zobaczy jej podkrążone oczy i nie wiadomo co pomyśli, ale na pewno nic dobrego o Krystynie. Gdy

się wrzuci lnianą koszulę do wywaru z bławatka, to można zobaczyć, jak przesiąka on przez tkaninę, na zawsze zmieniając jej kolor. Tak było z duszą Krystyny. Marian sprawił, że strach na zawsze ją odmienił.

Przyniosła wody i przygotowała rozpałkę. Owinęła się szczelnie chustą jesionką, bo na dworze zimno było, i ruszyła przez biały śnieg do dworu. Miała do przejścia siedem wiorst. Latem szłaby pewnie niecałe dwie godziny. Jesienią brnięcie po błotnistych drogach zajmowało prawie trzy. Mróz nie był sprzymierzeńcem wędrowców. Zamieniał każdy ślad, każdą koleinę w przeszkodę. Teraz, gdy wszystko przykrył śnieg, nie było wiadomo, na co trafi stopa. Krystyna nie liczyła nawet, ile razy upadła. Do dworu dotarła mokra i zmęczona.

– Jakże ty, dziewczyno, wyglądasz? Ogarnijże się! – krzyknęła kucharka.

Krystyna skinęła głową. Nie mówiła zbyt wiele, a niepytana nie odzywała się wcale.

– W przyszłą sobotę dużo roboty będziemy miały. Pani zaprosiła gości. Ani mi się waży przychodzić taka obmemłana. W kuchni czystym trzeba być.

Łatwo to mówić komuś, kto przy dworze mieszka. Gdyby w służbówce znalazł się jakiś kącik dla Krystyny i Broni. To byłby szczyt marzeń. Trzeba mi się przeprowadzić do matki, pomyślała. To bliżej. Tobie bliżej, a co z dzieckiem? Wyobraziła sobie, co też może się stać, gdy zostawi córeczkę na cały dzień z własną matką, i dreszcz przebiegł jej po plecach. Cokolwiek by mówić o teściowej, dobra była dla Broni. Opowiadała jej bajki o niebożątkach, uczyła haftować. Czy sympatia dla wnuczki będzie tak silna, że przetrwa, gdy stara się zorientuje, co Wróbel po nocach robi z Krystyną?

Pójdę do matki, pomyślała. Ot tak, porozmawiam. Może się zmieniła.

Wieczorem powiedziała Wróblom, że być może na noc nie wróci, bo chce odwiedzić matkę. Jeśli długo zabawi, nie będzie na noc szła, tylko tam przenocuje. Bronię ta wiadomość bardzo zmartwiła. Babka opowiedziała jej historię o złym lichu, co na krzyżowych drogach czeka, i teraz dziewczynka bardzo się bała.

– Wrócę do ciebie, boś ty moje słoneczko. Jedną cenną rzecz na świecie mam, swoją córeczkę.

Późno było, gdy wychodziła z dworskiej kuchni. Późno i ciemno. Księżyc nie świecił, gwiazdy zniknęły w gęstwinie chmur. Krystyna wciąż się zastanawiała, czy dobrze robi, czy właściwą drogę wybrała.

Długo szła, nim wreszcie zaczęła poznawać okolicę. Teraz mogła zboczyć

z gościńca, bo polami na przełaj było znacznie bliżej. Gdy znalazła się we wsi, poczuła niewypowiedzianą radość. Po zapachu poznawała obejścia, w myśli przywoływała sąsiadów z imienia i nazwiska. Wspominała, kto z kim ożeniony, gdzie ma pole, ile ogonów w oborze. Stawiała kroki coraz dłuższe, szła coraz szybciej. Wreszcie stanęła u drzwi rodzinnego domu. Zastukało serce, zastukała pięść, trudno orzec, który odgłos był głośniejszy.

– Mamo, to ja, Krystyna.

– Wszelki duch, Krysia? A ty co tu robisz?

Zachrobotał skobel, drzwi się otworzyły. Krystyna po raz ostatni widziała matkę tuż po wybuchu wojny. Teraz wydawało jej się, że to tak długo, ale przecież latem minęły dwa lata. Przez ten czas matka wcale się nie zmieniła, jakby czas się dla niej zatrzymał. Mimo to w pierwszej chwili Krystyna się zdziwiła. We wspomnieniach nosiła obraz matki ze swojego dzieciństwa, gdy tamta była młoda i gładka.

– A skąd ty tu, ze dworu?

Chciała przytaknąć, gdy zdała sobie sprawę, że inny dwór matka ma na myśli.

– Teraz u teściowej na Pawłówce mieszkam. Marian we wrześniu umarł na tyfus – powiedziała, wchodząc do chałupy.

– Umarł, powiadasz? Siadaj tu, przy stole. Głodnaś? Stary, stary, zbudź się, nasza Krysia tu jest.

Ojciec podniósł głowę znad poduszki.

– Na starość ogłuchł zupełnie.

– Przecież tatko nie są jeszcze starzy.

– No jeszcze nie taki stary, ale głuchy.

Krystyna się roześmiała. I zaraz się zdziwiła. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jej się to zdarzyło.

Usiadła przy stole, na tym samym krześle, na którym siadała tysiące razy. Dotknęła blatu, którego dotykała od dziecka. Znała każdy zawijas słojów. Była w domu. W domu.

Matka postawiła przed nią miskę z zupą. Ojciec usiadł na łóżku zaspany. Jak większość mężczyzn wykorzystywał długie wieczory, by odsypiać trudy ciężkiej pracy na roli – orka, siew, sianokosy, żniwa, zwożenie kartofli, wyrzucanie gnoju, orka i tak w koło Macieju, rok za rokiem.

– To mówże, co u ciebie. Co z Bronią, aż się boję zapytać.

– Bronia zdrowa, wszystko z nią dobrze. Tylko wychudła bardzo, bośmy na

uciekinierce byli. – I opowiedziała wszystko. No, prawie wszystko. Czy spotka w swoim życiu kogoś, komu się zwierzy ze wszystkiego?

Gdy skończyła, ojciec znów spał. Wyobraziła sobie Bronię, kładącą się przy dziadku. Mogłaby się przy nim bawić, nie zakłócając mu snu. I miałyby więcej miejsca. Rodzinna izba, choć mniejsza od tej Wróblów, musiałaby pomieścić tylko cztery, a nie sześć osób.

– Moja biedna zazuleczko, tyleś przeszła złego. Z tego wszystkiego śmierć męża najgorsza. Teraz samaś na świecie, nie ma komu o ciebie zadbać.

– Marian nie dbał o mnie zbyt.

– Co też ty mówisz? Robotę miałaś dobrą, we dworze, w kuchni. Nie musiałaś od rana do wieczora w polu robić.

– Robota może i nie była najgorsza, ale mąż tak. Bił mnie – wyznała.

Po raz pierwszy powiedziała to na głos. Dziwnie zabrzmiały te słowa w izbie, gdzie jedynym źródłem światła był ogień dogasający w palenisku.

– Kochał. Chłop, jak bardzo jest za swoją, to jej czasem przyłoży, wielkie mi co.

– Was tatko biją?

– Głupstwa gadasz, toż my już stare. W młodych krew buzuje i z tego się takie rzeczy dzieją.

– A jak byliście młodzi, to bił?

W powietrzu świsnęło. Krystyna bardzo dobrze знаła ten odgłos. Nie spodziewała się, że go usłyszy, dlatego na czas nie odchyliła głowy. Szorstka dłoń matki spadła na jej policzek.

– Co z tobą, dziewczuszko podłe? Przychodzisz tu i na ojca takie rzeczy mówisz? Nie wstyd ci?

Krystyna przyłożyła rękę do pałającej twarzy. Piekący ból, który tak dobrze znała, nie dotykał tylko miejsca uderzenia, on rozchodził się po całym ciele, a na koniec spływał do duszy, gdzie zamieniał się w coś ciężkiego, kolczastego, co szeptało: „Zasłużyłaś, jesteś nikim”.

Powinna wyjaśnić, że nie powiedziała na ojca złego słowa, tylko chciała dociec, czy powtarza wzór, którego razem z matką były elementami, czy też zło spotkało tylko ją. Wiedziała jednak, że ten czas nie jest przeznaczony na jej mówienie, tylko na słuchanie.

– Tak się starałam, żeby cię wychować, żebyś na porządnego człowieka wyrosła, i co? Cały mój trud na marne. Pod moim własnym dachem gadasz bezceństwa na ojca. Toż to złoty człowiek. Całe życie na ciebie robił, a ty

co? Odwdzięczyłaś się nam jakoś? Od dziecka pusta byłaś. Ładna, to i pusta. Za chłopami oczami strzelałaś, aż iskry szły. Ja wiedziałam, że tak będzie, bo ci włosy na udach porosły. Jak babie uda porastają, to znaczy, że krew w niej gorąca. I choćbyś nie wiadomo jak pilnował, nie upilnujesz. Pamiętasz? Za mąż chciałaś, aż piszczałaś. W chałupie cię nie można było utrzymać. Ten dyszel, co to go chłop w gaciach nosi, to ci się po nocach śnił. A teraz płaczesz, że zły był. Jak mu się kurwiłaś, to jaki miał być?

Zapadła cisza. Ostatni jęzorek ognia wspiął się na sosnową gałązkę, trzasnęła żywica, posypały się iskierki palonych igieł.

– A Bronka to taka sama jak ty?

Krystyna zerwała się z miejsca, odepchnięte krzesło stuknęło o ławę, przewrócił się koszyk z opałem stojący przy piecu, drzwi najpierw skrzypnęły, a później huknęły o futrynę.

– Krystyna, co ty wyprawiasz? Krystyna, ojca obudzisz! Uspokójże się, dziewczyno, no co ja takiego powiedziałam?

Nic.

Biegła na oślep przez wieś. Obudzone hałasem psy zaczęły szczekać. W oknach pojawiły się twarze ludzi. Zanim się na zewnątrz wyjdzie i chłodu do izby wpuści, trzeba sprawdzić, czy sytuacja tego wymaga. Pies po to jest, by szczekał. Tyle że czasem potrzebnie, czasem bez potrzeby. Podniesie raban, gdy lis podejdzie do obejścia, ale i wtedy, gdy do obory wśliźnie się kot sąsiada. Kobieta biegnąca przez wieś? Nic w tym ciekawego. Późno już, w chałupie przy piecu powinna siedzieć, a nie po wsi chodzić. Czemu jej tak śpieszno? A kto to wie? Może się co stało? Jeśli się co stało, jutro za dnia wszystko się okaże. Chyba że to nic ważnego.

Wieś rozpląnęła się w aksamitnej ciemności nocy i tylko szczekanie psów, wciąż niosące się po polach, było znakiem, że ona wciąż tam jest.

– Nigdy, przynigdy tam nie wrócę – obiecała sobie Krystyna. – Nigdy.

Biegła przed siebie na oślep, niesiona żalem, rozgoryczeniem i złością. To, że matka o niej mówiła takie okropieństwa, to było do zniesienia, ale żeby o Broni? Toż to dziecko jest, śliczne i słodkie. Nie ma dla nas miejsca, córeczko, na tym świecie. Gdzie nie pójdziemy, zło nas dopada. U Wróblów tobie lepiej, mnie gorzej, ale u mojej matki żadnej z nas dobrze by nie było. Podły los? I kiedyż on się ode mnie odwróci?

Pobłądziła. Nie rozpoznawała tego, co ją otaczało. Letnią nocą siadłaby, odetchnęła, poczekała na wschód słońca, by wskazał jej kierunek. Zimą nie

można było sobie pozwolić na odpoczynek. Jedna chwila, sen nadejdzie i zamkną się oczy, a gdy rano słońeczko zaświeci, daremnie będzie próbowało człowieka obudzić. Tylko szron na rzęsach stopi, by spłynął ostatnią łzą, uronioną nad zmarnowanym życiem. Krystyna szła w stronę, gdzie spodziewała się drogi, tęsknie wyglądając śladów na śniegu.

Świat patrzył na samotną wędrownicę i widocznie musiało mu się szkoda jej zrobić, bo wiatr przegnał chmury. Gwiazdy, jak tysiące kaganków, rozświetliły niebo i nawet pokazał się srebrny sierp księżycy. Krystyna już wiedziała, gdzie jest. Instynkt dobrze ją prowadził, choć na oślep. Nie była tak daleko od celu, jak myślała. Jeszcze trochę, a dotrze do Pawłówki.

I co potem? Po nocy wchodzić do izby, tłumaczyć się z nocnego powrotu. A nim się rozgrzeje, trzeba będzie wstawać i znowu podejmować wędrówkę. Jeśli jednak pójdzie do dworu, będzie tam za wcześnie. Stać pod zakluczoną bramą do świtu? Sama myśl była nieprzyjemna.

W końcu zdecydowała, że wróci do Wróblów, ale nie będzie wchodziła do chałupy. Położy się w oborze, na sianie. Sucho tam i zamarznięcie nie grozi. Nie zaśpi, bo ją porykiwanie krowy zbudzi, a odpocznie lepiej niż w izbie. Jeśli wcześniej wyjdzie, to nie zauważą jej obecności, a jeśli nawet, do wieczora wymyśli, co powiedzieć, by jej uwierzyli.

W obejściu było cicho jak makiem zasiał. Otworzyła drzwi do obory i przyjemne ciepło owionęło jej twarz. Podrzuciła sobie oberemek siana, ułożyła się na nim i natychmiast zasnęła.

Obudził ją czyjś dotyk. Ktoś macał w ciemności, jakby nie wiedząc, z czym ma do czynienia.

– Kto tu? – szepnęła. – To ja, Krysia.

– Krysia? A co ty tu robisz? – zapytał Wróbel.

– Z jednym takim z naszej wsi się zabrałam, ale wyście już spali, to nie chciałam budzić.

– Dobrześ zrobiła, żeś do izby nie szła. Tu my sami.

Dotyk, który na chwilę ustał, zmienił się teraz. Ten Krystyna знаła dobrze, miała z nim do czynienia codziennie.

– Dajcie spokój, szwagrze, toż nie wypada. – Wreszcie mogła to powiedzieć głośno.

– Chcesz mnie, ja to wiem.

– Odczepcie się ode mnie. – I z całej siły go odepchnęła.

Sapnął rozjuszony.

– Temu na saniach dawałaś? Czuję, jakaś rozpalona.

– To od marszu. Odczepcie się.

Ani myślał się odczepić. Zsuwał z niej ubranie, szukał nagiego ciała. Im mocniej się broniła, tym gwałtowniej napierał.

– Chcesz, wiem, że mnie chcesz. Widzę, jak oczami za mną wodzisz. Pięknaś, taka piękna. A piersi masz, och... – Westchnął.

– Przestańcie. Toż to grzech, przestańcie.

– Ja już w myśli tyle z tobą nagrzeszyłem, tyle nagrzeszyłem... – Jego głos robił się chrapliwy, oddech urywany. – Ty nie myśl, że w mojej chałupie darmo będziesz siedzieć, darmo jeść i dzieciaka karmić. Mnie się coś za opiekę nad wami należy.

– Toż pomagam.

– Nie pomocy ja chcę, tylko tego. – I napał na nią z dziką, zwierzęcą siłą. Broniła się, jak mogła, wiedziała jednak, że jej opór jest daremny. Nie raz próbowała się wyrwać z objęć Mariana. Im bardziej się szamotała, tym on mocniej trzymał, jakby był wnykiem, a ona zwierzęciem, które weń wpadło. I taką samą szansę miała na ratunek. Jedyne, co mogła zrobić, to się poddać, poczekać cierpliwie, bo wszystko ma swój koniec, nawet ból i cierpienie.

Zamknęła oczy, choć wokół i tak było ciemno. Chciałaby móc zasłonić sobie uszy, by nie słyszeć ohydneho sapania Wróbla. Uciekała myślami, bo tylko one były wolne. Jeszcze trochę, a przyjdzie wiosna. Wiosną w tutejszych lasach musi być bardzo ładnie. Ciekawe, czy zakwitną przyłaszczki? Jakież to wdzięczne kwiatuszki...

Wróbel skończył. Z ciężkim westchnieniem opadł na siano obok niej. Kwaśny odór jego oddechu był tak silny, że przewyższał zwierzęcy odór obory.

– Od chwili, kiedym cię zobaczył, wiedziałem, że musisz być moja. – Rozleniwienie ogarniało jego ciało, morzyła go senność. Podniósł się z trudem. Chciał wrócić do izby, by pod wygrzanym przez żonę piernatem jeszcze trochę pospać. – Jutro przyjdź tu znowu. Ani mi się waź myśleć, że nie przyjdiesz, bo z chałupy wygonię.

Krystyna wiechciem siana otarła uda. Próbowwała nie myśleć o tym wszystkim, co ją dziś spotkało. Losie, czemu ty się nie odwrócisz?, zapytała. A potem jakiś głos, gdzieś z samego dna duszy, szepnął: A czemu ty, Krystyno, sama tego nie zrobisz?

Rozdział szesnasty



Pierwszy Związek Hodowców Bydła Czerwonego powstał przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Siedem lat później opisano parametry rasy polskiej czerwonej. Krowy tej mięsno-mlecznej rasy charakteryzują się jednolitym jasnobrązowym umaszczeniem, niewielkimi rozmiarami i małymi rogami, odziedziczonymi po przodkach – dzikim bydle występującym we wschodniej części Europy Środkowej. Protoplaści tej rasy przywędrowali na ziemię polskie podczas ruchów migracyjnych w szesnastym wieku. Dziś już nie hoduje się takich krów na skalę przemysłową. Nieliczne hodowle mają na celu zachowanie tej rasy, bo jest to jedna z niewielu autochtonicznych ras bydła czerwonego. Jej cechy, takie jak wysoka odporność, długowieczność, wysoka płodność, duża żywotność cieląt, mogą być wykorzystywane do wsparcia innych ras bydła.

Czerwiec 1929

Zanim Natała uporała się z obrządkami, słońce zdążyło już dość wysoko wspiąć się na niebo. A tam na łące siano do zgrabienia. Westchnęła. Już powinna łapać za grabie, bo rosa opadła, a tu jeszcze do babki trzeba zajrzeć i kurczęta w klatce zamknąć, bo gdy na podwórzu nikogo nie będzie, może nadlecieć sroka. Dzielna kwoka dzieci swoich pilnuje, ale sroka to podłe stworzenie, będzie próbowała odwrócić uwagę, będzie się zakradała, oszukiwała, aż biedna kwoka zgłupieje i straci czujność.

Myliłby się jednak ten, kto by uznał, że kurczęta przez srokę dostrzeżone są skazane, by stać się jej obiadem. Nieraz widziano na podwórkach biało-czarne truchła na śmierć zadziobanych srok. Natała wciąż pamiętała

wydarzenie z zeszłego lata, gdy po raz pierwszy wypuściła na podwórze dwutygodniowe kurczątko. Wypatrzyło je czujne oko sroki. Zaskrzeczała, jak błyskawica spadła na ziemię i nim kwoka zrozumiała, co się właśnie stało, tamta już wzbijała się w górę z kurczęciem.

Natala krzyknęła, zamachała rękami, ale cóż mogła zrobić? Żal ją ogarnął. Tyle chodzenia, sprawdzania, pilnowania kwoki, zagładania, czy jajka zalęgnięte, czy aby nie zmarzły. I ot już z dziewięciu zostało osiem, a nie wiadomo, ile się wychowa.

A jeszcze unoszone przez srokę pisklę zapiszczało rozpaczliwie. To wołanie o ratunek dało kwoce przedziwną siłę. Nagle wzbijała się w niebo, jakby zawsze latała. Uniosła się na wysokość dachu, dogoniła srokę i wbiła pazury w grzbiet złodziejki. Póty tłukła ją dziobem, póki tamta nie puściła kurczęcia. Natala rzuciła się w krzaki za chałupą, gdzie spadło, pewna, że znajdzie je martwe. Tymczasem oszołomiony kurczak tylko łebkiem potrząsał, nie do końca wiedząc, co go spotkało. Zaraz też zjawiała się dzielna kwoka, w tak bojowym nastroju, że gdyby Natala nie uskoczyła, jej też by się dostało.

Z ocalonego kurczątko wyrósł złocisty kogut, a jego uroda napawała dumą dziewczynę. W tym roku kwoka wodziła inne kurczątko. Tamta sroka zaś już nie zaglądała na ich podwórko. Wiadomo jednak, że tych podłych rabusiów w okolicy nie brakuje, dlatego gdy gdzieś się idzie, trzeba kurczęta schować.

Starła łzę z policzka. Ilekroć wspominała bohaterstwo kwoki, tylekroć się wzruszała. Ile matka potrafi zrobić dla swojego dziecka, gdy je kocha. A gdy nie kocha, zostawia, nie dbając o to, co się z nim stanie. Matka Natali nie dała znaku życia. Gdyby nie Lesiuk, który ze dwa razy się pojawił, nie wiadomo by było, czy Weronika żyje, czy nie. Lesiuk miał wiadomość od brata. Byli w Związku Radzieckim i bardzo dobrze im się tam wiodło.

Dawniej Natala, jeszcze jako dziecko, stała za matką murem. Czas to zmienił. Bo człowiek jest trochę jak to kocię, umnożone w żłobie. Najpierw wydaje mu się, że świat to zapach siana i ciemność, później widzi, że świat to obora, a na koniec zdaje sobie sprawę, że obora jest tylko początkiem, a końca nigdy nie zobaczy. Tak właśnie było z Natalą. Teraz widziała, jaka matka jest naprawdę. Gdyby była inna, gdyby potrafiła się sprzeciwić swojemu ojcu, nie doszłoby do wyprawy ojca do Ameryki, co stało się początkiem końca ich rodziny.

Ty nie rozmyślaj, skarciła samą siebie, tylko do roboty się bierz. Krowa

musi mieć siano.

Wzięła grabie i ruszyła ku łąkom. Z daleka srebrzyły się pasy schnącej trawy. Kobiety już uwijały się z grabiami, zgarniano pokosy do wałów, później złoży się kopice. Natała znów będzie musiała iść z prośbą do wuja Antka. A może znów zdarzy się cud?

Bo odkąd została sama, cały czas wokół niej zdarzały się cuda.

Zaczął się pobiciem parobka. Nie wiadomo, czy dobrze, czy źle się stało. Początkowo Natała często myślała o jego słowach, teraz zaś coraz rzadziej. Zbyt wiele miała na głowie, by jeszcze się przejmować pogroźkami.

Po zniknięciu matki musiała się przeprowadzić do chałupy babki. Po co dawać ludziom powód do obmowy? A babka była marudna i wredna. W niczym nie pomogła, a wymagała, żeby skakać koło niej jak przy królowej. Gdy Natała odmawiała pomocy, to zaraz słyszała:

– Podła jesteś. A pyskata. Moja Weronika to nigdy by mi tak nie powiedziała.

– To idźcie do Weroniki, nikt was zatrzymywał nie będzie. Ja ledwo z pola wróciłam, a jeszcze obrządek muszę zrobić. Nic nie robicie, to i jęzorem nie mielcie.

W odpowiedzi babka straszyla, że zapisu nie było i ona może jeszcze wszystko na Antka zapisać.

– A zróbcie tak. Wuj mnie nie ukrzywdzi.

– Wuj może i nie, ale z wujenką różnie być może.

– Sto razy ona lepsza od was.

I Natała wychodziła z izby, bo to był najlepszy sposób, by rozmowę skończyć. Inaczej ciągnęłaby się nie wiedzieć ile czasu, tylko nerwy psując. Może gdyby nie owe małe cuda, dziewczyna gorzej znosiłaby gadanie babki. Jednak każdego dnia doznawała drobnej radości.

Dwa dni po odejściu parobka ktoś przyniósł jej chleb. Piękny, świeżo upieczony, z brązową skórką i lekko wilgotnym mięszem.

Później, gdy wuj skosił jej zboże, tajemnicze ręce powięzały snopy. Ktoś zwiózł do chałupy kartofle, ktoś gnój rozrzucił na pole. Przez długi czas Natała myślała, że to wuj Antek wszystko robi. Gdy pewnego dnia odwiedziła Walercię, wuj spytał, kogo do kartofli najmowała i ile dała.

– Jakże to? Toż wyście zwieźli.

– Co też ty mówisz? Miałem ci pomóc, alem nie zdążył. Tak ładnie wszystko wybrane i pozwożone po gospodarsku, pochwalić, ale nie moja to

robota.

– To czyja?

– Ty nie wiesz, a ja mam wiedzieć?

Każdego dnia Natalia miała nadzieję, że odkryje tajemniczego pomocnika. Niestety. Było tak, jakby ktoś jej pilnował, jakby wiedział, gdzie dokładnie jest i co robi. Gdy była zajęta w polu, cuda wydarzały się na łące albo w domu, gdy zajmowała się czymś w obejściu, tajemniczy pomocnik działał w polu. Gdy ona cały dzień pracowała na polu, jej robotę ktoś kończył w nocy. Pytała Pomiechowską, pytała sąsiadów, ale nikt nic nie wiedział. A może wiedział, tylko mówić nie chciał?

Ów tajemniczy pomocnik sprawił, że Natalia musiała zacząć inaczej myśleć o otaczających ją ludziach. Bo to przecież ktoś z nich zakradał się do obory, gnój wyrzucał, świnie karmił, siano krowie nosił, to ktoś zza płotu ogród plewił, kapustę podlewał, cebulę wyrывał, w wianki zaplatał, to ktoś, kto żył po sąsiedzku, fasolę wycinał, snopy wiązał, kopice składał. Kto? Nie wiadomo, wiadomo jednak, że dobre miał serce, widział jej krzywdę i nad sierotą się użalał.

Natali chodziło po głowie, że może to ów stryj ojcowy z Mikulina, którego odwiedzili dawno temu, gdy była jeszcze dzieckiem, bo go ojciec o opiekę nad swoją rodziną prosił. Jednak z prostej rachuby wynikało, że nawet jeśli tamten nadal żyje, musi być na tyle stary, że sam pomocy potrzebuje. Jeśli żyje, bo przecież rodzice ojca pomarli, dziadek Hub umarł, a babka Teresa wciąż powtarzała, że już nad grobem stoi i mało czasu jej zostało.

Były też chwile, gdy przychodziło jej do głowy, że to Wawrzek Adamczuk. Może czuł się w jakiś sposób winny tego, co spotkało jej rodzinę? Czyżby podejrzenia dziadka i matki były słuszne i tamtego gryzło sumienie?

Natala pamiętała czasy, gdy matka brała ją za rękę, prowadziła do Adamczuków i mówiła do Wawrzka:

– Dziecku popatrz w oczy i powiedz, coś zrobił jego ojcu.

– Dajże mnie spokój. Po cóż dzieciaka ciągasz? Nicem Frankowi nie zrobił, to mój przyjaciel był. On mi życie uratował, jakeśmy do Ameryki płynęli. Jestem ostatnim człowiekiem na ziemi, co by chciał go ukrzywdzić.

I patrzył Natali w oczy, a ona mu wierzyła. Tylko ona, bo ani matka, ani dziadek nie chcieli uwierzyć. Czemu? Zastanawiała się wtedy, choć była jeszcze mała. Wydawało jej się, że gdyby się pogodzili ze śmiercią tatki, życie byłoby lepsze, łatwiejsze, radośniejsze. I dziś ona, Natalia, nie

musiałaby w pocie czoła pracować sama w gospodarstwie, z którego mogłyby wyżyć trzy rodziny.

Pogrążona w rozmyślaniach dotarła na łąkę. Za miedzą grabiła swoje siano Hanka Połajowa. Na widok Natali odwróciła się, udając, że jej nie zauważa.

– Boże dopomóż! – krzyknęła Natalia.

Tamta się odwróciła. Widać głupio jej się zrobiło.

– A daj Boże! Siano przysłaś grabić?

Natala skinęła głową.

– A to niech i tobie Pan Bóg dopomaga. – Odwróciła się, a tak kierowała kroki, by jak najszybciej znaleźć się na przeciwległym krańcu łąki.

To wasza sprawa, Połajowo, to wszystko, co między wami a moim dziadkiem było. Może gdybym nie miała większych zmartwień, tobym takim drobiazgiem żyła. Jednak ten, kto się potyka o kamienie, nie będzie się skarżył na ziarnko piasku między palcami. I Natalia zabrała się do grabienia. Siano szeleściło przyjemnie, jego woń była silniejsza niż zapach ziemi i odrastającej już trawy. Natalia pomyślała, że czas zrobić sobie nowy siennik. W starym siano było już zupełnie pokruszone i źle się na nim spało. Trudno jednak zmienić coś, w czym jest zakłęte wspomnienie. Za każdym razem, gdy Natalia kładła się do łóżka, wspominała dzień, kiedy razem z matką napełniały lnianą wyspę świeżym sianem.

– Wpychaj, wpychaj! – ponaglała matka. – A przyciskaj mocno. Nie bój się, płótno wytrzyma, sama tkalam, to wiem, jakie mocne. No, jeszcze trochę. Na deskach chcesz spać? Wpychaj!

Natalę to popędzanie zezłościło. Cisnęła w matkę trzymanym w dłoni wiechciem. Ale Weronika się nie rozgniewała. Wręcz przeciwnie – złapała oberem siana i rzuciła w córkę. Wśród śmiechów i pisków ciskały w siebie sianem, a szary kurz wirował wokół nich. W końcu, zmęczone, położyły się na sienniku, matka przyciągnęła do siebie Natalę i pocałowała ją w czubek głowy. Była to pierwsza od wielu lat pieśczoła, jedyna chwila, kiedy śmiały się razem. I najpiękniejsze wspomnienie, jakie miała Natalia. Czyż wobec tego można się dziwić, że nie chciała wymienić siennika?

Przecież nie zapomnę, tłumaczyła sobie. Mimo to wolała spać na deskach. Aż do dziś. W tej chwili czuła się na tyle silna, by móc wypełnić siennik świeżym sianem. Znów będzie pachniał tak jak wtedy, gdy go matka wypychała. Będę mogła ją wspominać i myśleć, że robimy to razem. Przez ten czas będę miała ją dla siebie, taką radosną i czułą. Taką, jaka była tylko

raz, tylko przez moment. Gdyby zawsze tak się zachowywała, byłabym najszcześniejszą córką na świecie. I nie kochała mnie, wbrew temu, co chciałabym o tym myśleć. Ktoś, kto kocha prawdziwie, nie porzuca.

Ktoś, kto kocha prawdziwie, nie porzuca. Nagle dotarł do niej sens tej myśli. Zamarła. Bo czy ojciec... Zawsze myślała o nim jak o kimś, kto ją, Natalę, kochał. Czy w tym też się myliła?

Trzeba się zająć siennikiem. Rzuciła grabie i pognęła do domu.

Wbiegła na podwórko i już, już miała wejść do chałupy, gdy dostrzegła coś niepokojącego w oborze. Ruch jakiś? Mógł to być tylko kot, ale mógł być też pies, lis, szczur albo sroka. Trzeba sprawdzić koniecznie, bo przecież tam kurczęta zamknięte.

Na dworze było słonecznie i bardzo jasno. Do obory światło wpadało przez maluteńki otwór wycięty w brusie i przez drzwi. Gdy Natalia w nich stanęła, w środku zrobiło się prawie ciemno i nic nie mogła zobaczyć. Oczy powoli przyzwyczajają się do mroku. W jednym rogu zagroda dla świni, w drugim dla kur. Tu płachta, tu siano, tam widły. Nie było tu żadnego zwierzęcia, nic się nie działo, cisza, spokój.

Już miała wyjść, gdy usłyszała sapnięcie. Nie, to nie świnia ani żadne inne zwierzę. To było zwykłe, ludzkie sapnięcie. Podeszła do złożonego w rogu siana. Ktoś tam był.

– Wyłaż, bo widłami przekłuję – zagroziła. – Kurczęta kraść przyszedłeś?

– No co ty, Natalia, ja nie złodziej.

Wyszedł. Strzepnął siano z koszuli. Przegarnął włosy, ale niewiele to dało, bo długie źdźbła wplątały mu się w brązowe loki.

– Dyzio? A co ty robisz w mojej oborze?

– Nic. Przechodziłem po prostu.

Natala była przekonana, że chciał ukraść kurczęta. Nie wiadomo, dlaczego tak pomyślała, w końcu Dyzio był synem najbogatszego teraz gospodarza. Wawrzekowi Adamczukowi się poszczęściło. Zarobił w Ameryce, kawał pola kupił, pracował ciężko i majątek pomnażał. U Adamczuków na podwórzu biało było od drobiu, nikt z nich kraść nie musiał. Ale może to nie z przymusu, może ot tak, z dziecięcej głupoty. Ileż ten Dyzio ma lat? Trzydzieści, może czterdzieści. Najgorszy to wiek, cielący.

– Do matki twojej pójde. Powiem, żeś u mnie szabrował.

– Idź. Matka nic mi nie zrobi, bo powiem prawdę, co tu robiłem.

– A mnie nie powiesz?

– Tobie nie mogę.
– A czemuż to?
– Bo... bo... A idźże ty! – I rzucił się ku drzwiom, odepchnął Natalę i wyskoczył na dwór.

Tak czy owak, pójdę do twojej matki, pomyślała Natalia. Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na wnętrze obory, by się upewnić, że wszystko jest tak, jak zostawiła. Nie było. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że nie było. Rano, zanim wygnała krowę na pastwisko, odgarnęła cały gnój. Teraz nie było po nim śladu. Świnia zaś leżała na świeżo podścielonej słomie.

– Dyziu! Dyziu, zaczekaj! – rzuciła się za nim. Przyśpieszył kroku, ale dobiegła i chwyciła go za ramię. – Przepraszam. Ja nie wiedziałam, że to ty mi pomagasz.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Jak ja mam ci dziękować?
– Miałaś się nie dowiedzieć, ale skoro się wydało... – Zrobił kółko z palców, włożył je do ust i gwizdnął przeciągle.

Na ten sygnał z krzaków, z za chałupy i obory zaczęły się wychylać dziecięce głowy. Natalia zobaczyła Bronka Lipczewskiego i jego nieodłącznego towarzysza Mikołaja Kitę, Stiepana Pawluka, Abramka Tabacha, Stasia Franca, Tolka Maca i wielu innych. Byli tam wszyscy chłopcy ze wsi.

– To wy mi pomagacie? Dzieci?
– Ej, tylko nie dzieci – oburzył się Dyzio. – Ja jestem prawie dorosły.
– Jakże ja mam wam dziękować? Za ten chleb w soboty, za ciastka, za tę całą pracę? – Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale wzruszenie odebrało jej głos.

Otworzyła tylko szeroko ramiona, dając znak, że pragnie ich wszystkich przytulić. Zbiegli się jak kurczęta do kwoki, tulili do niej jak małe kocięta tulą się do kotki. Całowała ich umorusane policzki, gładziła skołtunione czupryny.

Myślała, że pomagają jej dorośli, a to były dzieci. Robiły tak dlatego, że jej współczuły, widziały w Natali dziecko, które porzuciła matka.

– Jakże ja mam wam się odwdzięczyć? – zapytała, gdy już się wypłakała i znów mogła mówić.

– Chcemy, żebyś za męża nie wyszła – powiedział Abramek, który wydawał się ze wszystkich dzieci najodważniejszy.

– Mam za mąż nie wychodzić? Starą panną zostać?

– Nie. Wyjść, ale... – Spojrzał na Dyzia, którego twarz była czerwona jak burak. – Trochę później. Za cztery lata, tak gdzieś.

Natala, do której dotarła cała złożoność tej sytuacji, chciała wyjaśnić Dyziowi, że jest od niego starsza, co zresztą nie ma znaczenia, bo to, co on teraz czuje, minie. Tak jest z pierwszymi miłościami, przemijają. Za rok, a może i to nie, będzie kochał inną dziewczynę. A nim dorośnie do żeniaczki, to lista jego ukochanych zrobi się całkiem spora.

I już, już otwierała usta, by to wszystko powiedzieć, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo skrzywdzi tym chłopca. Zakochani nie chcą słuchać głosu rozsądku, zwłaszcza od osób, które obdarzyli uczuciem. Po cóż ma deptać ten delikatny kwiat, skoro on sam przekwitnie?

Wzięła chłopca za rękę, spojrzała mu w oczy i szepnęła:

– Jeśli będziesz mnie chciał, Dyziu, to na ciebie poczekam.



Piernik trzydniowy

Kilogram mąki, 2 jajka, 2 żółtka, pół szklanki miodu, ćwierć kilo masła, 3 łyżeczki sody,
4 łyżki śmietany, szklanka cukru.

Masło, miód i cukier roztopić, wlać do mąki, dodać jajka, żółtka, śmietanę i sodę. Rozcierać do jednolitej masy. Odstawić w chłodne miejsce na trzy dni. Piec w średnio gorącym piecu około godziny. Próbować patyczkiem, czy piernik upieczony.

Krystyna 1915

W piątkowy wieczór kucharka trzykrotnie przypomniała Krystynie, że ta nazajutrz ma się wcześniej zjawić i pod żadnym pozorem nie może być „obmemłana”. Proszony obiad to poważna sprawa. Od wybuchu wojny wszyscy żyją jak dzicy, hrabiostwo nie bywają, gości nie proszą, nie urządza się polowań, balów ani rautów. Szczęściem pani wreszcie ten obiad wydaje, bo do sąsiadów przyjechała z wizytą kuzynka, która razem z panią była na pensji.

– Ten obiad ma pokazać, jak dobrą gospodynią jest nasza pani hrabina. Wstydu jej przynieść nie możemy.

Nie przyniesiemy wstydu, myślała Krystyna. Więcej nawet, pani i goście będą zachwyceni. Moja w tym głowa.

Zjawiła się pod kuchennymi drzwiami, zanim świt zdążył otworzyć swoje szare oczy. Wyglądała jak zawsze, ale za pazuchą miała ładną, świąteczną spódnicę. Trochę przykrótką, bo na Wróblową szytą, ale czystą. Obiecała Wróblowi przeróżne rzeczy, jeśli dla niej tę spódnicę ukradnie. Wiedziała, że

gdy szwagierka odkryje stratę, i tak winą obarczy Krystynę, mimo to nie chciała sama grzebać w posażnej skrzyni Wróblowej.

I cóż, że za krótka? Zapaska i fartuch zakryją. Grunt, żeby nie wyglądać na kuchenne popychadło. Bo popychadłu nikt nie zaufa, a schludnej służącej już tak.

Kucharka przedstawiła Krystynie swój plan. Wyznaczyła jej zadania, z których pierwszym było rozpalenie i pod blachą, i w piecu chlebowym. Sama zaś, czekając, aż żar rozgrzeje kuchnię, zaczęła sobie szykować ziółka. Miała kłopoty z trawieniem i często podpieraało ją pod piersiami.

– Wrzątku dużo nastaw. W pierwszej kolejności ziółka mi zalej.

– Tak, tak. Zaraz się woda zagotuje. A jajek to ile miało być? Bo tu tuzin jest.

Kucharka za zdziwieniem spojrzała na blat. Jakże to, tuzin?

– To mało będzie. Dwa tuziny nam zejda jak nic.

– To ja pójdę przyniosę.

– Coś ty za bardzo chętna, żeby do spizarni chodzić. Mnie się widzi, że ty tam podjadasz, tylko nie wiem co. Sama pójdę.

Spizarnię od kuchni oddzielał mały korytarz, to właśnie tutaj dostawcy pozostawiali rozmaite wiktuały zamówione przez kucharkę albo dziedziczkę. Niektóre z nich trafiały bezpośrednio do kuchni, inne wnoszono do spizarni. Zamykano ją na klucz i nikt poza kucharką i panią nie mógł tam wejść bez ich pozwolenia. Nic dziwnego. W spizarni znajdowały się zapasy równie cenne jak pieniądze. Były tam wędliny, sery, wędzone ryby, cebula i czosnek w warkoczach, worki z mąką i kaszami, miody przeróżne, koszyki z jabłkami, dobrze znoszącymi przechowywanie, suszone owoce, najrozmaitsze przetwory, począwszy od gotowanych mięs zatapianych w tłuszczu, przez powidła i konfitury, po soki. Były też nasiona fasoli i grochu, suszone grzyby na długich nitkach, pęczki i wianki ziół, puszki z kawą, herbatą i kakao, przyprawy, głowy cukru, sól, a w piwniczce pod spizarnią leżakowały wina, nalewki i pitne miody. Od samego zapachu kręciło się w głowie.

Krystyna, ilekroć kucharka posłała ją do spizarni, czuła smutek i żal okropny, że z tego całego dobra nie może uszczknąć ani kawałeczka. Nie dla siebie, ona była dorosła, mogła się obejść, ale dla Broni. Czemuż małe dziecko nie może zjeść kawałka suszonej gruszki, słodkiego karmelka, kandyzowanej wiśni, czemu nie może się napić aromatycznego kakao, które

tak dobrze rozgrzewa, zwłaszcza teraz, gdy na dworze ziąb?

Nie martw się, Broniu, jeszcze będziesz opływała w dostatki. Koniec naszej poniewierki już bliski, pomyślała teraz, rzucając szybkie spojrzenie na drzwi, za którymi zniknęła kucharka.

Przez godzinę Krystyna uwijała się jak w ukropie, wykonując kolejne polecenia. Potem stało się coś dziwnego. Kucharka zatoczyła się nagle, a nie upadła tylko dlatego, że w ostatniej chwili złapała za krawędź stołu. Krystyna, która kątem oka dostrzegła, co się dzieje, złapała za krzesło i podsunęła tamtej.

– Co wam? Słabo? Wody podać?

– Świat mi zawirował. Zaraz przejdzie. Może to z nerwów.

– Posiedźcie sobie, odsapnijcie. Wody wam podam.

– Tak, wody.

Krystyna złapała za kubek i zaczerpnąwszy wody z wiadra, podała kucharce. Ta nie zdążyła nawet wypić dwóch łyków, gdy znów się zachwiała.

– Wy chorzy?

– Jak chorzy. Toż jeszcze chwilę temu wszystko było dobrze.

– Twarz macie czerwoną, jak w gorączce. Nagle was coś wzięło. Do pieca się przysuńcie, ciepło leczy. – I pomogła jej przesunąć się pod piec.

– Coraz bardziej z sił opadam, śpić mnie morzy. Trzeba pani dać znać, żeby gości odwołała, bo ja nie dam rady nic zrobić. Pani bardzo się zdenerwuje, z pracy pogoni, oj...

Ale już nawet nie dała rady jęknąć. Oczy jej się zamknęły. Krystyna przesunęła krzesło w kąt. Niełatwa to była sprawa, kucharka ważyła swoje, a że była bezwładna, kiwała się na krześle we wszystkie strony. Teraz usadowiona wygodnie, z głową opartą o ścianę, nie powinna upaść.

Krystyna sprzątnęła ze stołu kubek po ziółkach. Resztkę naparu wylała do pieca. Buchnęła para, gdy woda dotknęła żaru. Do porządnie wypłukanego kubka wrzuciła kilka suchych listków mięty i zalała je wrzątkiem. Odstawiła kubek dokładnie w to samo miejsce, na którym stał.

– Na ziołach trzeba się znać – szepnęła.

Spojrzała na przygotowane przez tamtą produkty. Jakby gotowała zwykły niedzielny obiad.

– Brak ci nie tylko smaku, ale i wyobraźni – powiedziała do śpiącej i z wdzięcznością pomyślała o swojej mentorce z Dzierżni. „Zawsze, bez

względu na to, dla kogo gotujesz, podchodź do tego tak, jakbyś gotowała dla osoby, którą kochasz najbardziej na świecie. Cokolwiek robisz, rób to z sercem, tak jakbyś robiła to dla osoby, którą kochasz najbardziej na świecie” – mówiła Wiszniowska.

Krystyna półgłosem powtórzyła jej słowa. W tej chwili miały one głębsze znaczenie. Nie tylko gotowała z myślą o Broni, która miałaby jeść te potrawy, robiła to też z nadzieją, że dzisiejszy obiad zmieni ich los. Nie wiadomo, czy na lepszy, zawsze może się zdarzyć tak, że ostatecznie Krystyna straci pracę, lecz jeśli się uda... Nie będzie głodu, ponieważ, nie będzie nocy z Wróblem.

Cóż ona tu wymyśliła? Rosół. Dobry rosół to arcytrudna sztuka. Potrzebuje czasu, czułości, a prawda jest taka, że mało kto naprawdę potrafi go docenić. Zrobimy z niego bazę do kremu z białych warzyw. A jak rosół, to i kogut. Jaka szkoda, że nie ma cielęciny. Za późno już, by zamówić coś z mięs. Trzeba posłać kogoś... Przecież nie może posłać, sama musi polecieć do kurnika po kaczkę. Czy ona sama zdąży ze wszystkim? Musi. Tu przecież nie o Krystynę chodzi, tylko o Bronię.

Zamknęła drzwi kuchni, żeby się kto niepożądany nie napatoczył, i co się w nogach pognała do kurnika. Dziewczynie, którą tam napotkała, kazała złapać i zarząbać kaczkę, ale to już, migiem, bo kucharka się gniewa, woda już się gotuje. Rozgniewana kucharka wzbudziła strach i w dziewczynie, i w rządcy, który przyszedł zapytać, co się dzieje.

– Co się dzieje, co się dzieje? Goście na obiad będą lada chwila, a kogut chudy taki, że wstyd hrabiowskiemu psu podać, a co dopiero gościom.

– Sama wybrała.

– Idźcie, powiedzcie jej to. Moje plecy pokazałyby wam, że to kiepski pomysł, bom nabrała razów warząchwią, że próżno liczyć.

Stanąc twarzą w twarz z rozzłoszczoną kobietą nikt nie miał ochoty. Nawet rządcą, o którym wiadomo było, że ani kucharka, ani nikt inny we dworze bić go nie będzie, bo on był ponad służbą. Żeby podkreślić swoją ważność, łaskawie skinął głową, zezwalając na dokonanie egzekucji kaczki, i jeszcze przykazał, by na przyszłość kucharka informowała go o takich rzeczach, nawet jeśli czas nagli, a potem poszedł do swoich spraw.

Krystyna złapała kaczkę, z której szyi wciąż kapła krew, i pobiegła do kuchni. Kucharka spała tak, jak ją zostawiła. Długo jeszcze pośpi, napar był mocny. Niech śpi, na zdrowie. Krystyna wszystkim się zajmie. Gdzie szaflik?

Kaczka do szaflika, teraz wrzątek. Krople wody spływały po natłuszczonych piórach. Już, już pióra namakają. Wyciągnąć? Spróbowała. Jeszcze chwila. Teraz dobrze odchodzą. Trzeba uchwycić właściwy moment. Za krótko, pióra będą się źle odrywać, raniąc skórę, zbyt długo, skóra się ugotuje i odejdzie od mięsa. Dla Krystyny skubanie drobiu to nie pierwszozna, nie minęło pięć minut i już kaczuszka była ślicznie obrobiona. Teraz wiecheć słomy, by opalić te cieniutkie jak rzęsy piórka, których żadnym sposobem wyrwać się nie da, i już można patroszyć. Serce, żołądek i wątróbka będą do nadzienia. Zostały podroby z koguta, których szczęśliwie kucharka nie wrzuciła do rosołu. Teraz zmielone, podsmażone z cebulką, wymieszane z chałką i żółtkiem, dadzą cudowny farsz. Krystyna postanowiła zluzować kaczkę i upiec ją w cieście w piecu chlebowym. Będzie przecież piekła paszteciki z mięsa z rosołu w cieście, które pani Wiszniowska nazywała francuskim. Sycąca przystawka, lekka zupa, solidne danie główne i deser, który powinien być zwieńczeniem. Coś jabłkowego, kaczka lubi jabłko. Tarta, szarlotka? A może wiejskie bałabuszki? Któż nie lubi bałabuszków? Delikatne jak mgiełka ciasto drożdżowe, a w środku nadzienie z mięciutkich jabłuszek. Tylko trzeba do jabłek dodać przypraw, anyżu, cynamonu oraz rodzynek.

A jeśli pani wcześniej zajrzy do kuchni? Nigdy nie zagląda, ale dziś może. Krystyna spodziewała się, że raz czy dwa przyśle pokojową. Na to była przygotowana. Drzwi do kuchni były podparte stołkiem, powie przez szparę, że miejsca mało, musiały stolnicę z ciastem do wyrośnięcia na zydlu oprzeć, ruszyć nie mogą, bo ciasto opadnie. Pokojowa nie będzie nastawać, żeby do środka zaglądać, ale pani to już co innego. Ze zdenerwowania Krystynie zdrząły ręce, ostrze noża, którym kroїła cebulę, przesunęło się ciut dalej, niż powinno, i zamiast na warzywo opadło na palec. Zobaczyła krew, zanim poczuła ból. Uspokój się, nakazała sobie stanowczo. Pani nie przyjdzie, a pewnie i pokojowej nie przyśle. Do kucharki ma zaufanie, więc po co by tu zaglądała. Pewnie jadłospis wcześniej już ustaliły. Pani ma na głowie ważniejsze sprawy. Musi wybrać suknię, włosy ułożyć. Sprawdzić, czy służąca dobrze dywany wytrzepała, czy nie zostały koty po kątach albo plamy na obrusach. Rób swoje. Na wsi mówią „przez żołądek do serca” i ty dziś trafisz do serca hrabiostwa, a jeśli nie, to może która z tych pań, co będą jadły, doceni twój talent. Pamiętaj, co ci mówiła Wiszniowska, smak czujesz jak mało kto. Los sprzyja odważnym, moja Malicka. Dlatego tyle lat stał odwrócony do ciebie tyłem. Nie miałaś odwagi iść za Gustkiem, nie miałaś

odwagi pogonić precz Malickiego, nawet Wróblowi bałaś się dać w łeb. A dziś poważyłaś się na coś zbrodniczego, ale i odważnego. I jeśli dziś się nie odmieni, to tylko wziąć Bronię za rączkę, iść nad rzekę i w wodę skoczyć, bo nie ma już dla ciebie nadziei, a dziecka na poniewierkę samego nie zostawisz. Ścisnęło ją w gardle. Głupie, głupie myśli. Po co takie komu? Odmieni się. A nawet jeśli nie, świat szeroki. U Wróblów już nie będzie. Pójdzie za pracą. Nie będzie córka na hańbę matki patrzyła, co to, to nie.

Nawet nie myślała, że jej to tak szybko i składnie pójdzie. To, co od kilku dni układała sobie w głowie na tysiąc sposobów, spełniało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Już paszteciki były gotowe, już sosy do nich można było nalewać do sosjerek. Zupa potrzebowała jeszcze chwili, Krystyna po raz trzeci sprawdziła, czy jakaś grubsza grudka warzywa, ominąwszy sito, nie dostała się do garnka, by psuć smak. Nie, przecier był idealnie aksamitny, gładziutki, jasny. Aromat świeżego chleba wypełniał kuchnię i zdominował inne wonie, ale jeśli zatrzymać się na chwilę i wciągnąć w nozdrza cały bukiet, to można było rozpoznać nuty rozmaitych zapachów.

Krystyna stała pośród tego wszystkiego, a czuła się jak kapelmistrz, dyrygujący orkiestrą. Oto ciężkie, basowe nuty kaczego mięsa podbijały w górę fletowe piski kwaśnego jabłka, drożdże w słodkich i słonych bułeczkach przypominały dźwięk cymbałków, zaczynowy zapach chleba ciągnął się jak pojękiwania skrzypek, cynamon był jak dzwonek, pieprz jak bębenek. Więcej, więcej jabłek, bo je mięso zagłusza, trzeba wydobyć delikatne fletowe popiskiwanie białych warzyw, bo znikną w hałasie. Trzeba im pieprzu, papryki. Mdło się robi! Gdzież mięta i macierzanka? I sól, niech wybrzmiewa sól, bo ona wszystko spaja w idealne brzmienie. I nagle, gdy ostatnia blacha opuściła piec i można było zamknąć jego drzwi, w kuchni zapachniało absolutnie idealnie, a Krystyna usiadła na zydlu, zmęczona po tym koncercie. Otarła pot z czoła. Wóz albo przewóz.

Miała tylko chwilę, by doprowadzić się do porządku. Poprawiła czepek, umyła i wytarła twarz, wciągnęła świąteczną spódnicę Wróblowej, przewiązała się czystą zapaską i fartuszkim. Wciąż wyglądała jak pomoc kuchenna, ale schludna i, na pierwszy rzut oka, czysta.

Był to w zasadzie ostatni moment, bo już lokaj stał w drzwiach, gotów podawać do stołu. Krystyna wskazywała mu półmiski, wazy i sosjerki, po dwa razy powtarzając, co do czego, żeby przypadkiem nie pomylił sosu do

kaczki z tym do przystawki.

Siłą rzeczy lokaj musiał zauważyć śpiącą w kącie kucharkę. Nie skomentował tego ani jednym słowem. Był to bardzo powściągliwy człowiek, około sześćdziesięcioletni, o całkiem siwych skroniach. Zawsze prosty jak struna, nie wykonywał zbędnych ruchów, nie wypowiadał niepotrzebnych słów. Odzież leżała na nim nienagannie, a znalezienie choćby jednego zagniecenia graniczyło z cudem.

Kiedy z kuchni zniknął ostatni półmisek, Krystynie pozostało tylko czekanie. Zagotowała sagan wody i wzięła się do zmywania. Gdy to robiła, lokaj przyniósł puste talerze. Puste, puściusienkie. Choć Krystyna przyglądała się jego twarzy z największą uwagą, nie dostrzegła tam żadnego drgnienia mięśnia, z którego mogłaby wyczytać wiadomość dla siebie. Oblicze mężczyzny było tak nieruchome, jakby wykuto je w marmurze. Gdy wszystkie naczynia, poza kubkiem kucharki, lśniły czystością, zaczęła sprzątać kuchnię. Czas mijał, nikt się nie pojawiał. Goście odjechali, słyszała tupanie zniecierpliwionych koni, gdy stanęły przed gankiem. Bała się choć na chwilę przysiąść na zydlu czy ławie. I słusznie. Lokaj zjawił się nagle. Obrzucił Krystynę lustrującym spojrzeniem.

– Pani hrabina życzy sobie widzieć – powiedział. I ruszył przodem, nie czekając na jej reakcję.

Pani czekała w jadalni. Na stole stał bukiet z suszonych kwiatów, gałązek i jesiennych liści, ułożony z wielką starannością. Kilka tłustych kropek na obrusie było jedynym dowodem, że niedawno spożywano tu posiłek.

- Pomaga w kuchni, tak?
- Tak, proszę jaśnie wielmożnej pani hrabiny.
- A dzisiejszy obiad kto przygotował?
- Kucharka, proszę...
- Niechże nie kłamie. Za głupią mnie ma?
- Proszę o wybaczenie, jaśnie wielmożna pani hrabino.
- To niech mówi prawdę.
- Ja gotowałam.
- Dlaczego?
- Kucharka źle się poczuła.
- Jak to „źle”, co znaczy „źle”? Wczoraj z nią rozmawiałam i wszystko było w porządku.
- Tak i rano dobrze się czuła. Zarządziła, co będziemy robić, napiła się ziół,

poszła do spiżarni. Potem zaczęło jej się kręcić w głowie. Powiedziała, że jak chwilę posiedzi, to jej przejdzie. Usiadła i zasnęła. A goście tuż-tuż. To co miałam zrobić? Gotowałam, jak umiałam najlepiej.

– Jak się nazywa?

– Krystyna Malicka.

– Posłuchajcie, moja Malicka. To, coście przygotowali, było bardzo smaczne. Goście byli zachwyceni. Mąż mój również.

Krystyna dygnęła głęboko.

– Powiedzcie jeszcze raz, jak to było z kucharką.

Powtórzyła dokładnie to samo, co mówiła wcześniej.

– Alfredzie? – Pani zwróciła się do lokaja.

– Ona wydawała dania, kucharka spała.

– Przejdźmy się zatem do kuchni.

Gdy ktoś widział to pomieszczenie wczoraj i mógł je zobaczyć dziś, od razu dostrzegał różnicę. To były drobiazgi, a jednak właśnie one zawsze decydują o tym, jakie odniesiemy wrażenie. Czysty garnek nie jest tym samym, co garnek wyszorowany tak, że aż błyszczy. Chochle powieszzone od największej do najmniejszej, talerze równiusieńko ułożone jeden na drugim. Błaty wyszorowane tak, że można z nich jeść. Wyniesione pomyje, a podłoga czysta tak, że gdyby upadło na nią ziarenko maku, można by je dostrzec.

Sposób, w jaki pani przechyliła głowę, mówił wszystko. Serce Krystyny zatrzepotało, jak skowronek wypłoszony z bruzdy.

– Niech Alfred sprawdzi, co z nią.

Lokaj pochylił się nad kucharką. Nawet powieka mu nie drgnęła.

– Śpi, proszę jaśnie wielmożnej pani. – Potrząsnął ramieniem tamtej, ale tylko coś zamruczała. – Śpi, jakby... – Nachylił się. Słysząc było, jak wciąga powietrze. – Piła.

Krystyna zamarła. Kucharka na pewno nie wypłała niczego poza silnym naparem z chmielu, melisy i waleriany.

Lokaj bez słowa podszedł do kubka. Powąchał jego zawartość.

– Dopraszam się łaski jaśnie wielmożnej pani hrabiny, ale mnie się już wcześniej wydawało, że pojawił się kłopot. Nie chciałem mówić, póki nie będę miał dowodów, nie po bożemu to ludzi bezpodstawnie oskarżać, ale kilka razy odniosłem wrażenie, jakby ubywało nalewek.

– Jak Alfred mógł o niczym nie powiedzieć? – zapytała hrabina tonem

pełnym wyrzutu, a lokaj, jakby w ogóle tego nie słyszał, odpowiedział tak spokojnie i obojętnie, jakby mówił o pogodzie w marcu przed trzema laty.

– Za rękę nie złapałem. A alkohol ma tę właściwość, że paruje. Nie sztuka komuś zszargać opinię, lepiej poczekać i pozwolić, by sam to zrobił. Także się stało.

O ile oblicze lokaja było nieruchome, na twarzy hrabiny odbijała się burza, która nią targała. Zmarszczone brwi, przygryzane wargi, spojrzenia rzucone to na Malicką, to na kucharkę. Chwile, w których sami musimy podjąć decyzję, nie są łatwe. Pewnie wolałaby naradzić się z mężem, wiedziała jednak, że jeśli chce zachować autorytet, musi zdecydować sama, tu i teraz.

– Kucharke wyrzucić. Nie będę tolerowała pijaństwa pod moim dachem. Jakże się nazywa, wciąż zapominam?

– Malicka. Krystyna Malicka.

– Malicka od jutra będzie kucharką. Znajdzie kogoś do pomocy, a póki co, niech sobie sama radzi.

Krystyna zaczęła mówić, ale wargi miała suche, a słowa przypominały szeleszczenie pergaminu. Pani się zniecierpliwiła, podniesionym głosem rozkazała mówić głośnie.

– Dopraszam się łaski jaśnie wielmożnej pani hrabiny, ja na Pawłówce mieszkam, piechotą do domu chodzę, nie wiem, czy podołam, bo jakby zawiąło...

– Plecie jak dziecko. Pokój kucharki w służbówce się zwolnił. Na niedzielę taką kaczkę robi. A dziczyznę umie? To dobrze, pan bardzo lubi dziczyznę, a ta... łatwiej byłoby zjeść pantofel niż comber sarny przyrządzony przez tamtą. – Głową wskazała kucharkę. – Alfredzie, dasz znać rządcy, jakie w kuchni zaszły zmiany. Malicka jutro zainstaluje się w służbówce. To tyle. – I wyszła.

Pod Krystyną nogi trzęsły się tak, że z ledwością stała.

– Niech usiądzie, teraz może – powiedział Alfred. – Sprytnie to sobie wymyśliła.

– Nie zdradził mnie pan Alfred przed panią hrabiną, a to o nalewkach zmyślił.

Roześmiał się. Po raz pierwszy, odkąd go znała, zobaczyła na jego obliczu odmalowane emocje. Był to widok tyleż zadziwiający, co straszny.

– Postanowiłem Malickiej pomóc, teraz jest mi coś dłużna.

Krystynie przeszedł dreszcz po plecach. Nie. Dość tego, nie będzie nią

poniewierał kolejny mężczyzna.

Wstała. Wyprostowała się i spojrzała lokajowi prosto w oczy.

– Jeśli pan Alfred myśli, że będzie mnie wykorzystywał, to się myli. Zaraz pójde do pani i do wszystkiego się przyznam.

Podszedł i położył rękę na jej ramieniu.

– Niech usiądzie. Za stary już jestem na takie rzeczy, zresztą nigdy za tym nie przepadałem. Jeśli kogoś powinna się bać w tym domu, to naszego pana. Przyszła tu wychudzona i zabiedzona, ale teraz, jak została kucharką, zaokrągli się, i to szybko. Znikną te wory pod oczami, policzki się wypełnią. Przystanie wyglądać jak sowa, odzyska urodę. A wtedy hrabia położy na niej łapy. Na razie to pieśń przyszłości. Teraz, moja droga Malicka, powiem, dlaczego pomogłem i co chcę w zamian. Masz wziąć podkuchenną? Tak oto się składa, że moja wnuczka potrzebuje tego zajęcia. Ta jędza nie chciała jej przyjąć. Niech ona to zrobi i dziewczynę fachu nauczy, bo widzę, że na gotowaniu się zna. I nikomu nie powie, że to moja wnuczka.

– A wy mnie nie wydacie?

– Można rzec, żeśmy razem dokonali tej zbrodni, tedy żadnego interesu nie mam w ujawnieniu prawdy. – Uśmiechnął się i wyszedł z kuchni.

Krystyna długo jeszcze siedziała, nie mogąc się ruszyć. Była zmęczona jak nigdy w życiu, a przed nią jeszcze długa droga. Wiedziała, że noc, która ją czeka, nie będzie łatwa, bo nim dojdzie do Pawłówki, trzeba jej będzie z powrotem ruszać. Bronia nie da rady iść szybko, zwłaszcza przez zasypane śniegiem drogi i pola. Może nieść ją trzeba będzie. Ledwo dojdą do dworu, a Krystyna już będzie musiała brać się do gotowania. Robić będzie trzeba za dwie, bo też nie wiadomo, kiedy pomocnica się zjawi.

– Udało mi się. Udało. Los mój odmieniony, a Broni przy mnie także. Już dobrze nam będzie. Już dobrze.



Rzeczywiście, los się uśmiechnął. Krystyna z Bronią już od dwóch tygodni mieszkały we dworze. Pierwsze trzy dni były bardzo trudne. Krystyna

przypuszczała, że kucharka będzie walczyć o swoje, ale takiej zajadłości się nie spodziewała. Tamta prosiła o widzenie z panią, rozmawiała z rządcą, by się za nią wstawił, wreszcie przyszła do Krystyny z awanturą.

– Zaufałam wam, Malicka, boście od Gancarzowej mieli polecenie, a wyście tak ze mną postąpili? Pracy mnie pozbawiliście, pijaczkę ze mnie zrobiliście. Dobry człowiek tak robi? Usuńcie się i mnie wrócić do mojej roboty pozwólcie.

– Co to, moja kuchnia? Czy wasza? Pani zdecydowała, jej prawo.

– O moim losie nie pomyśleliście?

– A wy o moim? Ja mam dziecko, muszę się o nie troszczyć. Wy nie jesteście ani moja kuma, ani swatka.

– Niech już tak będzie, że wy kucharzycie, ale choć w kuchni mnie zostawcie.

– Pani powie, żeby was zostawić, to zostawię.

– Dobrze wiecie, że ja nie piję. Wstawcie się za mną.

– Ja tam nie wiem, czy wy pijecie, czy nie pijecie. Idźcie do pani, niech ona decyduje.

Kucharka nic nie wskórała. Zaczęła więc dostawców przeciwko Krystynie buntować, by jej towary najgorszej jakości dawali. Na to jednak Krystyna znalazła sposób. Do jednego się przymiliła, innego odprawiła i wzięła na jego miejsce kogoś, do kogo miała zaufanie, trzeciemu odmówiła zapłaty i tym sposobem poradziła sobie ze wszystkim.

Teraz zaś ich życie w kuchni nabrało przyjemnego rytmu.

Protegowana Alfreda, Kazia, była miłą i pracowitą dziewczyną. Nie odzywała się zbyt często, co Krystynę niezwykle radowało. Lubiła gotować w ciszy i skupieniu. Od czasu do czasu zerkała na siedzącą w kącie na zydelku Bronię. Dziewczynka wciąż była chuda, ale z jej policzków zniknęła już niepokojąca bladość. Widać było, że tęskni za babką Malicką. Kilka razy zapytała, czy wróćą na wieś, a skoro nie, to kiedy pójdą w odwiedzin. Krystyna wymawiała się pracą, a widząc smutek na twarzy dziecka, obiecywała wiosenną wyprawę do Pawłówki, może koło Wielkanocy, może na odpust tamtejszy, na pewno nie na jeden dzień, może nawet Bronia tam tydzień zostanie.

– A nie może być tak jak dotąd, że mamcia do pracy chodzi, a na noc do domu wraca? – zapytała raz.

– Teraz, Broniu, jestem tu kucharką. Mam więcej pracy. Kto państwu jeść

ugotuje, gdyby mnie jakaś przygoda spotkała?

Usteczka Broni wyginały się w podkówczkę, ale Krystyna natychmiast małą zagadywała. Wszak niedługo Boże Narodzenie, już czas piec pierniczki. Advent teraz, ale też rychło się skończy, bo to tylko cztery tygodnie. Po nim przyjdzie czas radości, śpiewania kolęd, ucztowania i zabawy. Czy Bronia pamięta coś z lat ubiegłych? We dworze zawsze wesoło w święta, goście do państwa się zjeżdżają. A po świętach to zima rychło odejdzie, wiosna przyjdzie, może wojna się skończy. W końcu udawało się zmienić nastrój Broni, na jej ślicznej buzi pojawiał się uśmiech, zapominała o smutku albo cieszyła się wizją rychłego spotkania z babcią.

Niewiarygodne, myślała Krystyna, pochylona nad stolnicą, jak też to dziecko szybko się przywiązało do tych ludzi. Może i nic dziwnego, źli dla niej nie byli, w końcu to rodzina. Wtedy przypomniał jej się dotyk Wróbla i zeszywniała, jakby ją mroźny wicher owionął. Nasermater z taką rodziną. Moja córka już ich oglądać nie będzie ani oni jej.

Czuła się teraz trochę pewniej, jednak wciąż się zdarzało, że w nocy budził ją strach. Zlana potem siadała na łóżku, nie wiedząc, gdzie jest. Zanim sobie przypomniała, słyszała oddech Mariana albo sprośny szept Wróbla. Długo nie mogła zasnąć. Leżała, patrząc w ciemność nad sobą, słuchała nierównego bicia serca i starała się zapanować nad pamięcią, która podsuwała jej najokropniejsze wizje. To tylko wspomnienia, tylko wspomnienia. Nie było już Mariana, nie było Wróbla. Miały z Bronią dach nad głową i dobre jedzenie, a Krystyna dwoiła się i troiła, by w oczach hrabiostwa wypaść jak najlepiej. Z domu wyniosła szacunek do jedzenia, którego zawsze brakowało. A pod okiem Wiszniowskiej zdobyła wiedzę, jak najprostsze składniki zamieniać w wymyślne potrawy. W przeciwieństwie do poprzedniej kucharki, nie ograniczała obiadu do rosółu oraz mięsa i dodatków. Robiła paszteciki, wymyślne pierożki, suflety. Zupy gotowała najróżniejsze, bogate w warzywa, syte i rozgrzewające. Nie było dnia, by Alfred nie wracał do kuchni z pochwałą. Nikt nie wyrzuca kucharki, której jedzenie pokochał całym sercem.

Nie jesteś bezcenna, mówiła sobie, zechcą, to wyrzucą. Bądź czujna, słyszałaś, co o panu hrabim mówią. A mówiono jak najgorzej. Podobno jeśli która służąca w oko mu wpadła, zawsze znalazł sposób, by się do niej dostać. Pani bardzo zazdrosna była, dlatego też ładnych na służbę nie przyjmowała. Udało mi się z posadą, bom wyglądała jak potorocze. Nie

martw się, zanim do siebie dojdiesz, minie sporo czasu. Zresztą tyś dla niego za stara. On panienci lubi, a tyś już tak porozciągana, że przeciagi hulają. Po co mu taka? A jednak nie potrafiła się uspokoić.

Pewnego dnia, pod koniec adwentu, do kuchni przysłała pani hrabina. Pierwszy raz, odkąd Krystyna przejęła obowiązki kucharki. Zwykle było tak, że wzywano ją do gabinetu, który służył państwu do przyjmowania interesantów, podwładnych albo też mniej zacnych gości, których gdzieś przyjąć trzeba było. Zbliżały się święta i pani chciała sprawdzić spiżarnię i omówić z Krystyną jadłospis.

– A cóż to za dziecko?

– Córka moja, Bronia.

– Malicka nic nie mówiła, że ma córkę.

Mówiła. Gdy przyjmowała się do pracy, opowiadała o mężu, który zmarł, i córce, którą musiała wyżywić, ale któż by pamiętał takie rzeczy, wszak od tamtej pory minęły prawie trzy miesiące.

– Dopraszam się łaski wielmożnej pani hrabiny. Ona niczego nie rusza, siedzi tak cały dzień na zydlu. Boję się ją samą w służbówce zostawiać.

– Cały dzień na zydlu?

– Przepraszam, jaśnie wielmożna pani. Ona naprawdę niczego nie ruszy.

– Toż widzę, że grzeczne dziecko. – Podeszła do dziewczynki i zapytała: – A jak tobie na imię?

Mała wstała z zydlu i dygnęła, tak jak ją Krystyna nauczyła.

– Proszę jaśnie wielmożnej pani hrabiny, nazywam się Bronisława Malicka. Mój tatko to był Marian Malicki, ale on nie żyje. A mamcia to Krystyna Malicka. Urodziłam się w tysiąc dziewięćset ósmym i mam teraz dziewięć lat.

– A co ty, Bronko, najbardziej jeść lubisz?

– Makagigi, ale teraz mamcia nie pozwalają, bo post.

Twarz pani hrabiny rozjaśnił łagodny uśmiech.

– Uroczą dziewczynka. Nie mam nic przeciwko temu, żeby była blisko mamy. Dziecko powinno być przy matce.

Ponieważ Krystyna stała za plecami dziewczynki, mogła spojrzeć na Kazię. Dziewczyna zrozumiała zawarte w spojrzeniu pytanie o potomstwo hrabiostwa i przecząco pokręciła głową.

– Pokojową moją później przyślę. Mam starą suknię, której już nosić nie będę. Malicka szyć umie? To przerobi ładnie, żeby Bronka miała

przyzwoitsze ubranie. Myślałam, że to dziecko z czworaków przyszło. Nie mam nic przeciwko temu, by przebywała w kuchni, ale niechże wygląda jak należy.

Krystyna podziękowała wylewnie. Później wysłuchała wszystkiego, co pani miała do powiedzenia na temat przygotowań świątecznych. Inspekcja spiżarni wypadła dobrze. Hrabina była zadowolona, że zapasy są duże.

– Malicka gotuje smacznie, a oszczędnie.

– Bo ja się, wielmożna pani, boję, że jutro może nic nie być.

– Taki mamy czas, moja Malicka, że jutro może nic nie być. Nas może nie być. O tym jednak dziś myśleć nie będziemy. Ani mówić. Modlić nam się trzeba. I niech Malicka gotuje, jak gotowała.

Po południu służąca przyniosła suknię pani hrabiny. Była to prosta, granatowa szata z koronkowym kołnierzykiem. Krystyna dawno się z niczego tak nie cieszyła. Tyle materiału? Będzie miała Bronia dwie sukieneczki. Jedną prostą, na co dzień, i drugą, troszkę paradniejszą, na niedzielę. Tak się to uszyje, że gdy mała podrośnie, to się falbanką u dołu przedłuży. Resztę materiału trzeba schować. Za parę lat uszyje się Broni nową sukienkę. Krystyna nie mogła się doczekać końca pracy. Byle nafty starczyło, a do rana będzie sukienka.

Gdy wieczorem zjawił się Alfred, zapytała, czy nie mógłby jej nożyc pożyczyć. Lokaj westchnął tak, jakby Krystyna prosiła go o przyniesienie żywej wody ze szklanej góry.

– Może jeszcze Malicka życzy sobie igły i nici jedwabnych?

– Mam swoje. Nici, co prawda, nie jedwabne, tylko zwykłe, ale nam wystarczą.

– Zwykłe nici. – Westchnienie. – Poczekaj, ja przyniosę nożyczki i nici granatowe, jedwabne.

Nie było go kwadrans. Wrócił z przyborami.

– Kazia już poszła, ale może pan Alfred usiądzie? Herbaty malinowej naparzyłam. Dobra na ten zimny czas, gorąca. Jesienią sama patyczki zbierałam. Jak od teściowej z domu szłam, to zabrałam. Broni do picia daję.

Alfred rozważał przez chwilę tę propozycję. W końcu usiadł przy stole, ale tak na samiuteńkim brzeżku krzesła, jakby się bał, że w kuchni brudno i przez to liberia dozna szwanku.

– Chyba Malicka jest w dobrym nastroju, bo odkąd tu pracuje, nie wypowiedziała naraz tylu słów.

– Bardzo mnie ten prezent od jaśnie pani ucieszył. Odkładałam na ubranie dla Broni. – Co też on o mnie myśli teraz? Pewnie żem jakaś ostatnia dziadówka, która rodzzonego dziecka nie ma w co przyodziać. – Okrutnie nas los doświadczył. Poszliśmy na poniewierkę. Dorobek nasz został... – Może lepiej nie mówić? Pewnie i tak wie. – Tam, gdzie my z mężem poprzednio robili. Wiadomo, że nie ma czego szukać, bo wszystko rozkradzione. To, cośmy ze sobą mieli, a dużo tego nie było, to się poniszczyło. Ostatni grosz zaoszczędzony mężowska choroba zjadła. U teściowej lekko nie miałam. To i nie mam w co dzieciaka przyodziać.

– Mnie tam sprawy Malickiej nie interesują. A jej córka już najmniej. Tyle tylko powiem, że to pewnie nieostatni prezent.

– Jakże to?

Alfred się zasępił. Widać zastanawiał się, czy jej powiedzieć, czy nie.

– Ach, cóż tam, wszyscy wiedzą i jeśli nie ode mnie, to od kogo innego się Malicka dowie. A jak nikt nie powie, to się sama domyśli, bo z niej, mnie się tak widzi, mądra kobieta. Pani hrabina dzieci mieć nie może.

– To smutne bardzo.

– Gdzież ona nie była. I w miejscach świętych, i u doktorów przeróżnych.

Krystyna westchnęła. Jakże jej się teraz pani hrabina wydała bliska. Poszłaby i uściskała ją ze współczuciem.

– Mnie się zdaje jednak, że to nie z panią problem – szepnął Alfred. – Na tyle dziewcząt, co je pan... któraś musiałaby mu bękarta urodzić. Nie nasza to jednak rzecz i więcej o niej mówić nie trzeba.

– Ano nie trzeba – zgodziła się z nim Krystyna.

Podziękowała lokajowi za wszystko, a gdy wyszedł, sprzątnęła ze stołu i wzięła się do prucia sukni. Nim nadejdzie ranek, Bronia będzie miała nowe ubranie.

Rozdział siedemnasty



Skiba to wąski pas roli, którą lemiesz pługa odcina w czasie orki. Jest ona odwracana i odkładana na bok. W zależności od tego, ile skib pług odwraca, mamy do czynienia z jedno-, dwu-, trzy-, a nawet czteroskibowym. Skiba to też duża kromka chleba. Mała kromka to skibka.

Styczeń 1930

Mróz był taki, że powietrze dzwoniło jak srebrny dzwoneczek przypięty do końskiej uprzęży. Ludzie niechętnie wychodzili z domów. Bo też i po co? Minęły święta u katolików, minęły u prawosławnych. Ludzie z nadzieją weszli w nowy rok. Może będzie lepszy od poprzedniego? Czy jest coś złego, co jeszcze może nas dotknąć? Przeżyliśmy wojnę światową i tę następną, z bolszewikami, patrzyliśmy, jak pieniądze z dnia na dzień tracą na wartości, widzieliśmy zarazy, spalone pola, domy, stogi siana, zabrano nam zwierzęta, zabito bliskich. Dotknęło nas wszystko, co dotknąć mogło. Czyż teraz z roku na rok nie powinno być lepiej?

Jeszcze dwa tygodnie temu Natalia też tak myślała. Z niecierpliwością czekała na powrót brata. Kiedy Wojtek wróci, dzieciaki nie będą musiały jej pomagać. Całą odpowiedzialność za gospodarstwo, za babkę, za siebie będzie można przerzucić na jego barki. To już nie Natalia będzie podejmowała decyzje, co siał, gdzie i kiedy. Już nie będzie musiała biegać za wujem z prośbą, by pomógł w polu. Wyobrażała sobie Wojtka i siebie, jak siadają przy stole i rozmawiają o tym, co też trzeba im zrobić. „Jak się krowa zacieli, to cielaka nie sprzedamy, to dobra krowa, dużo mleka daje”, „A może

kupmy jałówkę?”, „Buraki cukrowe trza nam siać, dużo przy nich pracy, ale i pieniądz znaczny”, „U wuja o konia się upomnę. Wziął bułane, jego prawo, ale czym ja mam pole obrabiać? Albo koń, albo pieniądze” – takie zdania miały padać przy stole. No, może jeszcze kilka pochwał pod adresem Natali, że tak dobrze sobie poradziła, niczego nie zmarnowała, a nawet odłożyła trochę grosza.

Wieść o powrocie Jaśka Lipczewskiego przyniosła Pomiechowska. To ona pierwsza na drodze go zobaczyła, wypytała, jak mu tam było. Wojsko bardzo sobie chwalił, zawarł przyjaźnie, w orkiestrze grał. Tęsknił za rodziną, ale najbardziej za swoją ukochaną, toteż wracał do domu przez michałowski dwór. Uczucia dziewczyny się nie zmieniły, dlatego na Wielkanoc będą zrękowiny, a po żniwach wesele.

Ponieważ Jaśko powiedział to Pomiechowskiej, zanim przekroczył próg rodzinnego domu, nie było we wsi ani jednej osoby, która nie zadawałaby sobie pytania, czy będzie na wesele proszona, czy też nie. Przy tej okazji po raz nie wiadomo który omówiono wcześniejsze wesela w rodzinie – Heleny, które odbyło się w karczmie, Władziusi, urządzone w chałupie na Podpolu, Julka, które nie wiedzieć kiedy i gdzie było. Ten i ów pomyślał o pannie, której ze względu na urodę i majątność wrócono znakomite małżeństwo, a z którą los tak okrutnie postąpił.

Natala cierpliwie wysłuchiwała plotek, choć młody Lipczewski w ogóle jej nie interesował. Kiedyś, dawno temu, gdy dziadek jeszcze żył, raz czy dwa wspomniał, że dobrze by było wnuczkę z nim zeswatać, bo to gospodarz i majątek by się powiększył. Dziadek tak właśnie myślał, jego zdaniem to nie ludzie korzystali z ziemi, ale była ona im dana jakby pod opiekę. Nie można kochać i żenić się zgodnie z wolą serca. Bogaty musiał się wiązać z bogatym, biedny z biednym. Jeśli ktoś miał duże gospodarstwo, musiał sobie znaleźć godnych następców, by trud, który włożył w opiekę nad polem, nie poszedł na marne.

Natala myślała inaczej. Oglądała wokół siebie ludzi skutkiem takiego myślenia wprzężonych do zaprzęgu małżeństwa i widziała, że nic dobrego z tego nie wychodzi. Dziadek albo pił, albo chodził do Połajowej. Babka najpierw z chałupy wychodziła mało, a teraz już w ogóle. Matka uciekła z młodszym od siebie mężczyzną. A ojciec... ojciec to dwa razy uciekł. Najpierw do Ameryki, później do nieba. Małżeństwo powinno się opierać na wzajemnej sympatii. Wuj Antek na przekór wszystkim ożenił się z Anielą

Połąjową i teraz przyjemnie było na nich patrzeć. Ona robiła za troje, on jeszcze więcej. Troszczyli się o siebie nawzajem i o swoje dzieci. Żadne z nich na to drugie złego słowa nie powiedziało. A Natalia, która za względu na Walercię dużo czasu tam spędzała, nigdy nie słyszała, by się kłócili. To było dobre małżeństwo.

Małżeństwo Natali z Jaśkiem nie byłoby dobre. Nie mogłaby go pokochać. I wcale nie dlatego, że brak mu było urody czy uroku. Wręcz przeciwnie, był to najładniejszy chłopak w całej wsi, miły i serdeczny, który potrafił dziewczynę oczarować jednym słowem. Ale był w nim smutek ukrywany pod uśmiechem. Natalia to widziała, bo przecież sama udawała, że wszystko jest dobrze. Myślała sobie, że wielkim nieszczęściem byłoby związać się z kimś, kto w głębi duszy jest smutny, kiedy samemu jest się takim.

Jaśko wrócił, a Wojtek, który razem z nim opuścił koszary, nie. To zaniepokoiło Natalę. Może mu się coś po drodze przydarzyło? Pokonując wstyd, poszła do Lipczewskich.

– Ty się, Natalia, o niego nie martw – powiedział Jaśko, zanim jeszcze zdążyła wyjaśnić, po co przychodzi. – Wróci on, wróci. Ty się módl, żeby to jak najpóźniej było.

Na pytanie Antoszki, czemuż tak, odrzekł:

– Rozhulał się w wojsku.

– Ta on i przed wojskiem święty nie był. Do karczmy ta lubił zajrzeć. Ludzie gadali, że po dziadku to ma.

– A miłość do kart po naszej mamci. – Jaśko nie krył złości.

Antoszka się zaczerwieniła.

– Takie rzeczy przy obcych gadać.

– Wszyscy w Tynczynie wiedzą.

– Ta wiedzą czy nie wiedzą, rozmaite rzeczy ludzie gadają, taka ich natura. A ty się, dziecko, nie martw, wróci twój braciszek, ta wróci. – Rzuciła Jaśkowi gniewne spojrzenie. – Ty by się za jaką robotę wziął. Tatuś nie domaga, ta trza mu w kuźni pomóc. A ty, dziecko, może ta mleczka się napijesz?

Natala podziękowała. Nie chciała siedzieć w obcej chałupie. Policzki ją piekły, gardło miała ściśnięte. Jakże to? Przecież Wojtek to porządny chłopak. Dobry, troskliwy, wesoły. Biegła przez łąki do domu, jakby ją kto gonił. Miała wrażenie, że w okienku każdej mijanej chałupy widzi czyjaś twarz, przyglądającą jej się z zaciekawieniem. „A czemóż to Dołęgówna tak

biegnie? Czyżby się dowiedziała, że brat hulaka?”. Chciała krzyknąć, że to nieprawda. A jednak cichutki głosik w głębi duszy mówił, że Natalia nie ma racji.

Kolejne dwa dni wypełniła dziewczynie wewnętrzna walka między sercem, które kazało Wojtkowi kochać i usprawiedliwiać, a rozumem przypominającym, że kryształowy to on nie był. Trzeciego dnia brat zjawił się w domu i rozum uznał, że serce miało rację. Wojtek, wesoły, uśmiechnięty, tłumaczył swoje spóźnienie tym, że po drodze odwiedził kolegę, z którym w wojsku połączyła go wyjątkowa zażyłość. Ugościli go pięknie i prosili, by został, nie wypadało tak od razu wyjeżdżać. Miał dla Natali prezent, prześliczne korale, kupione na targu w Hrubieszowie. Nie rozmawiali długo, bo był zmęczony. Przespał się, a wieczorem poszedł do karczmy.

Rano powiedział, że to było trochę z radości, bo wrócił do domu, a trochę ze smutku, bo nie ma matki i nic już nie jest takie samo. Wiedział, że wyjechała, ale nie potrafił sobie tego wyobrazić. W głowie wciąż miał obraz izby, w której matka stoi przy piecu. Gdy się przekonał, że to już przeszłość, taka go żalność chwyciła, że po prostu musiał iść do karczmy. Kiedy tłumaczył się rano Natali, rozumiała. Jednak gdy w południe zjawił się Abramek po pieniądze za to, co wypite, a niezapłacone, przestała rozumieć.

– Jakże to tak, pić i nie płacić? – zapytała brata.

– Za wszystko płaciłem. Potem, jak mi się z wódki we łbie zakręciło, to pewnie Żyd oszust do rachunku dopisał, co chciał. Teraz będzie się domagał, żeby mu płacić. Nie dam! Nie dam! – I zaczął szpetnie przeklinać.

Natali wstyd się zrobiło przed Abramkiem. Sięgnęła do kufra, gdzie miała schowane oszczędności, i zapłaciła.

– Za resztę niech tobie tate kupi jakiej słodkiej bułeczki – powiedziała.

Gdy chłopiec wyszedł, Wojtek zapytał:

– Czemuś mu zapłaciła? Będziesz Żyda oszusta wzbogacać.

– To nie żaden oszust. To nasz sąsiad. Jak pijesz, to płacić. A jak nie masz za co, to nie pij.

– Oszust, oszust. Liczy sobie za kieliszek, jakby złoto sprzedawał, a to gorzałka pół na pół z wodą. Następnym razem nie płacić.

Nic nie powiedziała. Było jej przykro, smutno. I czuła takie ogromne zawstydzenie. Był też żal, że to, co się działo, jest tak dalekie od tego, o czym marzyła.

Nie spodziewała się tego, ale każdy następny dzień był gorszy

od poprzedniego. Jaśko Lipczewski mówił prawdę. Wojtek pił i hulał w karczmie. W karty grał. Przegrał, więc wyciągnął oszczędności Natali, słowa jej o tym nie mówiąc. Odkryła to, gdy zjawił się Stiepan Pawluk, grzecznie prosząc o spłatę długu. Wojtek spał, Natalia uznała, że załatwi sprawę, bo nie chciała, by wieść się rozniosła. Nie potrzebowała kolejnego powodu, by rumienić się na widok sąsiadów. Jednak w skrzyni nic nie znalazła. Obudziła brata, a ten powiedział, że, owszem, wziął.

– Jak mogłeś? Jakim prawem?

– Takim prawem, że tu wszystko tak twoje, jak moje. Więcej nawet mego, bo ziemia z ojca na syna przechodzi. Póki mnie nie było, gospodarowałaś, Bóg ci zapłać, siostró, za twój trud. Teraz wróciłem i ja tu jestem gospodarzem. A ty się nie wtrącaj.

Natala wybiegła z chałupy. Ukryła się w oborze i siedziała tam, póki nie wypłakała wszystkich gorzkich łez. Gdy była już pewna, że ani jedna więcej nie spłynie, wytarła twarz fartuchem i poszła tam, gdzie spodziewała się znaleźć poradę.

Wuj stał oparty o płot. Rozmawiał z Wawrzkiem Adamczukiem. Przyjaźnili się od czasów wojny z bolszewikami i jeden drugiego często odwiedzał, ciekawa jednak rzecz, że Adamczuk nigdy nie wchodził do chałupy wuja. Natalia była przekonana, że ma to związek z jej ojcem i tym, co dziadek z matką mówili o Wawrzku. On się pewnie bał, że jeśli któreś z nich w izbie go spotka, to awanturę na całą wieś zrobi. Czemu, gdy tamtych dwojga nie było, dalej do chałupy nie wchodził? Może przez Wojtka, może przez Natalę, a może z wieloletniego przyzwyczajenia?

– A tobie, dziecko, co?

– Wojtek... – Wydawało jej się, że wszystkie łzy już wypłakała, a jednak znalazły się nowe, które strumieniem popłynęły po twarzy Natali.

– Stało mu się coś?

Wawrzek Adamczuk z pewnym niedowierzaniem spojrzął na wuja.

– Jeszcze mu będziesz życzył, żeby się coś stało – powiedział, sięgając za pazuchę po kapciuch z tytoniem i bibułki. Sprawnie skręcił jednego papierosa, który podał wujowi Antkowi, a potem drugiego, dla siebie. Zapalił. – Mój dziadek przepił majątek. U nas w rodzinie bez przerwy rozprawiano o tym, jak by to było dobrze, gdyby się zapił, zanim wszystko roztrwonił.

– Prawda to, Natalia, Wojtek pije?

Skinęła głową.

– To trzeba mi będzie z nim porozmawiać.

Wawrzek uśmiechnął się, takim pełnym ironii i smutku uśmiechem.

– Tobie nie trzeba z nim rozmawiać. Ty zapisy zrób, póki możesz. Za długo z tym zwlekałeś, a teraz przeciwko tobie wszystko się obróci. Zapukają komornicy do twoich drzwi. Zapisy zrób. Ją – wskazał na Natalę – za mąż wydaj, niech ma kogoś, kto się nią zajmie. Nie może tak być, że dzieciaki pomagają jej się obrabiać. – A zobaczywszy minę wuja, zapytał z niedowierzaniem: – Nie mów, żeś nie wiedział? Co z tobą, chłopie? Weź się w garść, boś ty głowa rodziny. – Klepnął Antka w ramię, przed Natalą uchylił czapki i ruszył w stronę kolonii, gdzie mieszkał.

Wuj Antek westchnął ze smutkiem.

– Chodź, dziecko, do chałupy. Wszystko opowiesz. Nie martw się, nie pozwolę cię skrzywdzić.

Natala poszła za nim posłusznie. Nie wierzyła jednak w jego zapewnienia. Wręcz przeciwnie, nie miała już zaufania do mężczyzn. Każdy kolejny ją zawodził. Ojciec, dziadek, brat. Teraz kolej na wuja?



Babeczki z kremem kawowym

Ciasto: 15 dkg mąki, 10 dkg cukru, 1 łyżka masła, 10 dkg śmietany, pół łyżeczki proszku do pieczenia. Zagnieść ciasto kruche, rozwałkować, wypełnić nim foremki. Krem: 2 żółtka, 1 łyżka mąki ziemniaczanej, ćwierć szklanki mocnego naparu z kawy, 1 łyżka masła, 2 łyżki cukru pudru.

Żółtka rozbić dokładnie w rondelku z mąką ziemniaczaną, potem postawić rondelk na małym ogniu, ciągle mieszając, wlać napar z kawy i mieszać tak długo, aż masa zgęstnieje. Wówczas ostudzić. Oddzielnie utrzeć w misce czubatą łyżkę masła z cukrem pudrem i dodawać po łyżeczce masę kawową, ucierając tak długo, aż masa będzie jednolita. Następnie wstawić miskę do zimnej wody, aby krem stężał. Nakładać do upieczonych babeczek. Dekorować owocami lub konfiturą.

Krystyna 1917

W drzwiach kuchennych stanął Alfred. Krystyna słyszała jego znaczące pochrząkiwania, nie mogła się jednak odwrócić. Karmel ma to do siebie, że na moment z oczu spuszczoney, zaraz się pali. Przy cenach, jakie osiągał cukier, zmarnowanie choćby łyżki byłoby zbrodnią.

– Jeśli co pilnego, to niech pan Alfred mówi. A jeśli nie bardzo pilne, to niech poczeka, bo ja teraz nie mogę.

– Gość przyjechał. Pani hrabina prosiła powiedzieć, że będzie dodatkowa osoba. Nie wiadomo, na ile dni. I lepiej nikomu nie mówić, że on tu jest.

– W dzisiejszych czasach, mój panie Alfredzie, lepiej nikomu nic nie mówić.

– Nie myliłem się w ocenie Malickiej, mówiąc, że jest mądrą kobietą.

Jednak strzeżonego... Lepiej sto razy powtórzyć niż jeden raz zapomnieć.

– Ta osoba to mężczyzna?

– W rzeczy samej. Jakże się Malicka domyśliła?

– Szlachcic. Pewnie wojskowy.

– Nie nasza to sprawa, jaka jego profesja, ale słusznie Malicka zgaduje. – Odchrząknął znowu. – A druga sprawa jest taka, że pani Bronkę do siebie na popołudnie prosi, bo pan będzie z gościem rozmawiał, więc ona chętnie małą liter pouczy.

– Podziękuj pani bardzo za jej serdeczność i dobre serce. Bronia z radością przyjdzie.

Nie pierwszy to raz pani prosiła Bronię do siebie. Celem tych wizyt miała być niby nauka czytania i rachunków. Stanowiło to wszakże pretekst, pod którym kryła się potrzeba kobiety, by choć przez chwilę móc zająć się dzieckiem. Grzecznitka dziewczuszka była jak spełnienie marzenia – nie psociła, nie przeszkadzała, nie odzywała się bez pytania, nie marudziła. Przychodziła, kiedy ją wzywano, odchodziła, gdy pani znudziła się lub zmęczyła.

Krystyna czuła się wewnętrznie rozdarta i nie potrafiła jednoznacznie ustosunkować się do tej sytuacji. Z jednej strony była zadowolona. Bronia dostała od pani kilka bardzo pożytecznych prezentów – ciepły serdaczek, skarpetki i ładne pantofelki, a także kilka całkiem niepożytecznych, takich jak wstążki czy chusteczki. Nauka nie ograniczała się tylko do liter czy cyfr. Pani zwracała dziewczynce uwagę na właściwe zachowanie, co sprawiało, że Bronia z dnia na dzień stawała się bardziej dystygowana. Kiedy była w kuchni, nie siedziała już na zydelku zgarbiona. Trzymała prosto plecy, a brodę nosiła wysoko. Z rozważą dobierała słowa, a do Krystyny zwracała się: „proszę mamy”. Może jej się to wszystko przydać, gdy dorośnie. Znajdzie dobrą posadę, może spotka kogoś znacznego, kto będzie chciał się z nią ożenić.

Z drugiej jednak strony Krystyna czuła się tak, jakby ktoś kradł jej dziecko, krok po kroku. Oczywiście było, że Bronia nikogo nie będzie kochała tak mocno jak rodzonej matki, ale przywiązywała się do swej opiekunki. Tamta zaś miała władzę i pieniądze, które mogła wykorzystać, by odebrać Krystynie to, co dla niej najważniejsze. I to wcale nie w krwawej walce, o nie. Wystarczyło, by powiedziała „Zapewnię twojej córce edukację i pozycję, o której ty nie masz co marzyć”, a Krystyna by się zgodziła. Bronia

zasługiwała na wszystko, co najlepsze. Cóż by ze mnie była za matka, gdybym przedkładała edukację kuchenną nad to, co Broni mógł dać świat, w którym żyła pani hrabina?

Na dodatek Krystyna wciąż bała się, co będzie, gdy pani znudzi się Bronia. Przecież dziewczynka tak bardzo przywiązała się do swojej mentorki. Świadomość, że nic nie może zrobić, w żaden sposób przeciwstawić się tej sytuacji, wyrazić swojego zdania, przytłaczała Krystynę.

Czemuż tak się dzieje?, pytała samą siebie. Mogłoby się wydawać, że już los mój odmieniony i wszystko zmierza ku dobremu. Tymczasem znów wpadam w matnię, znów jestem osaczona i ktoś obcy ma nade mną władzę. Jeśli sytuacja z panią pójdzie w złą stronę, trzeba będzie odejść, szukać nowej pracy, patrzeć na tęsknotę Broni, po raz kolejny rozłączonej z kimś, kogo polubiła. Czemu tak jest? I podnosiła oczy ku górze, oczekując odpowiedzi od tego, kto jej taki los zesłał i kto jako jedyny znał przyczynę, dla której Krystynę spotykało to wszystko.

– Zamyśliliście się, pani Malicka – szepnęła Kazia.

Krystyna potrząsnęła głową. Wszak Alfred przyniósł wiadomość, obiad czas szykować, a jeszcze gość będzie i Bronię trzeba do pani posłać. Ktoś niezapowiedziany z wizytą to spory kłopot. Nie chodziło tylko o dodatkową porcję. Jadłospis przygotowywany był i uzgadniany z panią w piątek na cały nadchodzący tydzień. Niedzielny rosół stanowił podstawę poniedziałkowej zupy, resztki pieczeni z wtorku wykorzystywano do farszu do pasztecików na środę. Nie można było pozwolić, by cokolwiek się zmarnowało, a nikt nie utrafił z gotowaniem tak, by zrobić akurat dwie porcje. Zdarzało się, że Krystyna wprowadzała pewne modyfikacje do jadłospisu, kiedy wywaru starczyło nie na dwa, ale na trzy dni albo gdy trafił się wyjątkowo duży kawałek mięsa, a tak ładny, że szkoda było go kroić. Wtedy państwo jedli tę samą zupę dwa dni z rzędu albo dostawali mięso na zimno z ćwikłą lub sosem chrzanowym.

Na jeden z takich dni trafił gość. Przecież nie można go przyjąć wczorajszymi potrawami. Dostałoby się wtedy Krystynie. Pewnie by nie wyrzucili, ale musiałyby słuchać wymówek. Odkąd tu pracowała, a to trochę ponad rok, trzy razy zdarzyło jej się takie przewinienie, że była wzywana na rozmowę. Raz, gdy indora nie przypilnowała i skóra z wierzchu spaliła się na węgiel, mięso zaś było tak suche, że najlepszy sos nie dał rady go uratować. Drugi raz, gdy zbyt szybko wykorzystywała zapas cukru. We dworze, w kuchni,

z dala od świata łatwo było zapomnieć, że wojna wciąż trwa, a żywność jest droga jak nigdy przedtem. Trzeci raz pani bardzo miała pretensje, że świąteczny sernik opadł. Krystyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to nie o ciasto chodzi, że jest w tym coś osobistego. Ale i tak trzy razy to nie tak wiele. Pamiętała z poprzedniej posady, że Wiszniowska co raz do dziedziczki albo ochmistrzyni biegała, by tłumaczyć się z przewin i nadużyć.

Wróciła myślami do gościa.

Jeśli on z drogi, to pewnie zziębnięty. Ugotuję pachłopkę i kartofle. A co z mięsem? Paszтет najlepszy, ale czasu nie starczy. Trzeba przygotować sznycle. I jeszcze deser. Czy pachłopka to dobry pomysł? Taka chłopska zupa? Kogut w winie byłby dobry, tylko na to czasu trzeba. Pachłopka albo zupa piwna. Niechże będzie pachłopka.

Gdy po obiedzie Alfred powiedział, że pan hrabia wzywa do jadalni, Krystyna była przekonana, że jej się oberwie. Wszystko wyszło nad wyraz smaczne, a racuszki, które przygotowała na deser, wprost rozplływały się w ustach. Niemniej rodowód zupy pozostawiał sporo do życzenia. To nie z pańskiego stołu takie danie.

– Oto, mój drogi Włodku, jest nasza Malicka. Gościowi memu tak wszystko smakowało, że chciał na własne oczy zobaczyć osobę, spod której ręki wyszły te pyszności. Proszę bardzo, mój drogi, oto nasza mistrzyni sztuki kulinarnej. Powiem ci, że odkąd u nas jest, muszę uważać, bo mnie każdego dnia przybywa. – I z ukontentowaniem pogładził się po brzuchu.

Mężczyzna, który siedział za stołem na miejscu dla honorowego gościa, miał około lat czterdziestu. Był postawny, szeroki w ramionach. Ciemne włosy tu i ówdzie przetykało pasmo siwizny. A oczy, których tęczówki miały kolor ciemnego piwa, patrzyły na świat uważnie, przenikliwie. Ruchy miał powolne, jakby leniwe, nie nosił munduru, lecz po ruchach zamaszystych, zdecydowanych można poznać było, że to wojskowy. Jednak Krystyna nie musiała tego zgadywać, widziała go bowiem w mundurze. I choć zdawało jej się, że bardzo dawno to było, minęło niewiele ponad dwa lata.

On również ją rozpoznał.

– Miałem już przyjemność poznać twoją kucharkę – powiedział do pana hrabiego. – Głosiła bardzo ciekawe poglądy. Czy coś się w nich zmieniło?

Krystyna przecząco pokręciła głową.

– A macie swoje zdanie na ofensywę Brusilowa i jej znaczenie dla przebiegu wojny?

– Ja jestem prosta chłopka i tylko jeden mam pogląd. Chciałabym, żeby moje dziecko mogło modlić się w polskim kościele i po polsku. Pan mnie nazywał socjalistką, ale ja nie jestem żadna socjalistka. Ja jestem biedna wdowa, której mąż zmarł na zarazę. Bo jak przychodzi wojna, to głód, zaraza i śmierć idą wraz z nią.

Twarz mężczyzny stała się poważna.

– Kpiłem wtedy, to prawda. Proszę mi tamto zapomnieć i przyjąć podziękowania za tak wyśmienity posiłek. Cieszę się, że przyjdzie mi zostać tu parę dni, to będę mógł pani specjałami się delektować. Może i mnie przybędzie – zwrócił się do gospodarza. Roześmiali się obaj. Krystyna odczytała to jako znak, że rozmowa skończona. Dygnęła i wyszła.

Dwa dni później, wieczorem, była sama w kuchni. Bronia i Kazia poszły już spać, ona zaś przygotowywała się na dzień następny.

Rozległo się pukanie do drzwi, które, nim zdołała cokolwiek powiedzieć, otworzyły się na oścież. W progu stał gość hrabiostwa.

– Miałem nadzieję was tu znaleźć, Krystyno Malicka.

– Dopraszam się łaski jaśnie wielmożnego pana, ale kuchnia nie wydaje mi się odpowiednim miejscem dla kogoś takiego.

– Gdyby to był mój dom, zaprosiłbym was do salonu. Zresztą czymże kuchnia jest gorsza od salonu? A my socjaliści powinniśmy trzymać się razem.

– Już mówiłam, nie jestem socjalistką.

– Jak sobie życzyacie. Możecie nie być socjalistką. Nie zmienia to jednak faktu, że jesteście wyjątkowo mądrą i piękną kobietą, o wyrobionych poglądach politycznych, rzecz wśród płci pięknej dość rzadka.

– Ja tam nie wiem, jak to jest u owej płci w pańskiej klasie społecznej. Ja jestem prosta kobieta ze wsi. Jak to pan powiedział? Sól tej ziemi. I wiem, że u nas na wsiach w każdej jednej chałupie znajdzie pan kobiety, które wiedzą, czego chcą. Chcą mieć ziemi tyle, by móc z niej dzieci wyżywić. Chcą mieć dostęp do lasu i drewna, żeby było z czego chałupę pobudować i czym w piecu napalić. Widział pan chałupy na wsi? Jedna izba tak mała, że nie ma miejsca, by się wyspać porządnie. Matka z ojcem śpią na łóżku, a dzieci na ławach, na piecu albo i na wiązce słomy rzuconej na podłogę. Dzieci, a śpią jak psy. Rano muszą wstać i pomagać. Trzyletnie, ledwo na nogach stanie, już bierze kijek i gęsi pasie. Później kozy albo krowy. Nauka? Ot, czasem w zimie, jak już roboty nie ma, pośle matka jedna z drugą dzieciaka do

szkoły, jeśli niedaleko. Bo cóż z tej nauki, skoro maluchy nauczyciela nie rozumieją, cóż im z tych liter, skoro one obce i nawet jeśli który nazwy zapamięta, to i tak się nie nauczy czytać w cudzym języku. Pokolenie za pokoleniem trwamy w ciemności i biedzie, a nikt, nikt na świecie nie pracuje tak ciężko jak chłop. Wstajemy, kiedy ciemno, idziemy spać, jak ciemno. A gdy najdłuższe dni, to i roboty najwięcej. Orał pan kiedy pole? Gdy się na to patrzy, można odnieść wrażenie, że to igraszka. Konie czy woły pług ciągną, a ten odcina skiby ziemi, jakby nóż masło kroił. Spróbować tej pracy i sprostać jej to dopiero sztuka. Nogi grzęzną w ziemi, człowiek się ślizga. Konie raz idą, raz się zatrzymują, bo w ich naturze nie leży iść równo krok za krokiem. Drogi szukają dla siebie najwygodniejszej, więc wciąż trzeba ich pilnować, żeby orały równo, bo inaczej może się to oranie skończyć tak, że skiby w poprzek będą. Pot po całym ciele spływa, a ono przyodziane w samodziałową koszulę i byle jaki kaftan, bo dobra odzież to zbytek, na który mało kogo stać, a jak już ktoś ją ma, to tylko na niedzielę. Jeść się chce, a w domu gęb do wyżywienia mnóstwo. Patrzy gospodyni, kogo i w jakiej kolejności nakarmić. Da mężowi, odejmie od ust dzieciom, da dzieciom, to odejmie od ust starej matce, nakarmi matkę, to sama nie doje. Takie ma ona troski każdego dnia i dlatego ma też poglądy. Chciałaby dla swoich dzieci lepszego losu. Dlaczegośmy w piątym roku poszli walczyć? Nic to nie dało, ale świat się zmieni.

– W Rosji rewolucja – powiedział, jakby chciał zmienić temat i nie musieć się odnosić do tego, co powiedziała Krystyna.

– Tu nie Rosja. Tu Polska. A jeśli pański nauczyciel przeoczył, to ja wielmożnemu panu przypomnę Bartosza Głowackiego, Drzymałę, Wrześnię. I Targowicę przypomnę. Szlachta przehandlowała Polskę za własne korzyści, do dziś nie potrafi jej odzyskać. Po stu latach nadarza się okazja, bo zaborcy sobie do gardeł skaczą, a wy wciąż nie możecie się zdecydować, z kim najpolityczniej byłoby się układać.

– Jakoś was ten Piłsudski do boju nie poderwał.

– A kto miał się do niego zaciągać? Baby? Nasze chłopcy w armiach carskich i cesarskich służą. Nie strzelał pan oficer do rodaków we wrogie mundury odzianych? Jakby tak Polacy z pól wojennych zeszli, toby na nich mało żołnierzy zostało.

Te słowa uderzyły głęboko i boleśnie. Mężczyzna westchnął. Usiadł przy stole.

– Macie, moja Malicka, kieliszek wódki?
Miała powiedzieć, że trunkami pan zarządza i jej nie wolno bez zgody nic wydać, ale w język się ugryzła.
Przyniosła karafkę i kieliszek.
– Proszę przynieść jeszcze jeden. Napije się pani ze mną.
Powinna poprosić, by zabrał karafkę i wyszedł z kuchni. Zamiast tego przyniosła drugi kieliszek.



Nie mógł długo zostać, by gospodarzy swoich nie narażać. Wyjeżdżał nie wiedzieć gdzie, pewnie do innych zaprzyjaźnionych dworów, gdzie mu gościnę na parę dni ofiarowano. Po pewnym czasie wracał niezapowiedziany. Kilka dni pobył i znów wyjeżdżał, wracał, wyjeżdżał, tak w kółko. Nie tęskniła, nie czekała. Nic do niego nie czuła. Długo też nie zdawała sobie sprawy, że on czuje coś do niej.

Po wybuchu rewolucji lutowej w Rosji zmienił się układ polityczny, bo wielkie mocarstwo przestało być częścią wojennej maszyny. Nowi rządzący ogłosili, że w ich odczuciu Polska powinna być na mapach.

Dyskutowali o tym w kuchni czasem do białego rana. Krystyna złościła się później na niego, na siebie, bo oczy jej się kleiły i na nogach trudno było ustać, ale nie żałowała. Czuła się tak, jakby wróciła do tamtych najlepszych lat, kiedy wszystko było przed nią. Bagaż doświadczeń, które los kazał jej dźwigać na barkach, nie ciążył tak jak dotychczas. Z roziskrzonymi oczyma mówiła o zmianach, jakie teraz zachodzić będą na świecie w tempie, którego nikt się nie spodziewał. W marcu, tuż po wybuchu rewolucji, wróżyła rychłe przystąpienie Stanów Zjednoczonych Ameryki do wojny. W kwietniu, gdy to się stało, jak dziecko cieszyła się z trafności swoich sądów.

– Niedługo wojna się skończy. Świat będzie nowy. Inny.
– Świat nie zmieni się tak szybko, jak ci się wydaje. Mentalność ludzi jest jak mur, przez który nowe przebija się bardzo, bardzo powoli.
– Ale się przebija.

- Czegoż ty oczekujesz od tego nowego świata?
- Ziemi dla chłopów. Sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę. I żeby bogaci nie traktowali biednych jak gorszych od siebie.
- To ostatnie nawet za sto lat się nie stanie. – Jego życzliwy uśmiech mówił Krystynie, że dla niego jest ona równa, bo nic już ich nie dzieli.
- Wtedy gdy tonęła „Lusitania”, gdy Meksyk podstępnie knuł z Niemcami, a może i nie knuł, może to Anglicy, nie dając sobie rady, postanowili wyrzucić presję na prezydenta Wilsona i delikatnie pchnąć go we właściwym kierunku, Włodek wykonał pierwszy ruch, który uświadomił Krystynie, że nie jest dla niego tylko towarzyszką nocnych dyskusji politycznych. Dotknął wtedy jej ramienia w sposób, który mógł być przyjacielski, a później wiódł dłonią w dół, po rękę, aż ich palce się spotkały. Krystyna chciała uciec, lecz nie potrafiła. Znieruchomiała, skamieniała, zlodowaciała. Nie miała siły mówić ani wykonać żadnego ruchu. Przeszłość, dotąd zakopana pod stosem codziennych drobnostek, podniosła swój potworny łeb. Wszystkie wspomnienia, zlane w jedno czarne i przerażające, w którym nie sposób było poznać, gdzie Marian, gdzie Wróbel. I głos w głowie: „Więc o to mu chodziło, niechże weźmie, co ma wziąć, i idzie w diabły”.
- Wyczytał tę myśl z jej twarzy, bo spojrzał na Krystynę przerażony.
- No co ty, Krystyno, to nie tak. Przepraszam. – I wybiegł.
- Myślała, że już się nie pojawi. Miała nadzieję, że już go nie zobaczy, jednak przyszedł wieczorem, kilka dni później.
- Nie chciałem, żebyś tak to odczytała – powiedział. Stał daleko od niej, pewnie myślał, że dzięki temu czuje się bezpieczna.
- A jak miałam odczytać?
- Westchnął.
- Przez myśl mi nie przeszło, żeby robić cokolwiek wbrew twojej woli.
- Nie znam pańskich myśli.
- Tyle razy prosiłem, żebyś mówiła do mnie po imieniu.
- A jeśli mi się pomyli? Jeśli przy stole powiem do pana „Włodku”?
- W kuchni możemy być socjalistami, ale w salonie to już nie.
- Mnie by to nie przeszkadzało.
- Za to memu chlebodawcy bardzo. Pracę przez jasnie wielmożnego pana stracę.
- Nikt cię nie wyrzuci. To jest również mój dom, Krystyno. Bolesław to mój starszy brat. Ze względu na moją służbę w carskiej armii i nie do końca

właściwe z niej odejście woleliśmy się z tym nie afiszować.

– I cóż to dla mnie znaczy?

– Że nie pozwolę, by spotkało cię w tym domu coś złego. A już na pewno nie ode mnie. Będę cię chronił, bo pod tym dachem nie ma nikogo, kto byłby dla mnie równie ważny.

Głupstwa pleciesz, pomyślała. Widocznie i tobie nasze rozmowy przypomniały czas młodości, ale to już dawno za nami. Porzuć to uniesienie, zapomnij o nim. Ty nie dla mnie, ja nie dla ciebie.

– Nie wierzysz mi? Chciałbym znaleźć sposób, by cię przekonać. Rozumiem, że spotkało cię coś złego, ale nie ode mnie przecież.

– Coś złego? Cóż pan może wiedzieć o tym, co mnie spotkało.

– Mąż cię krzywdził, czy tak?

– Wszyscy, wszyscy po kolei mnie krzywdzili.

– Przecież nie ja.

– Pan najbardziej. Bo pan dał mi odczuć, że moje zdanie ma znaczenie, że się liczę, a tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego.

Podszedł do niej, zapominając o zachowaniu dystansu. Twarz miał odmienioną przez emocje. Policzki mu pały, drgały szczęki, oczy iskrzyły. Mógł zapewniać, że nic jej nie robi, ale każdy jego gest temu przeczył.

Wcisnęła głowę w ramiona. Chciała być mała, niewidoczna. Pragnęła zniknąć. A on tego nie widział, podszedł do niej, położył dłoń na ramieniu.

– Jak mam cię przekonać, Krystyno, że moje intencje są czyste?

– Niech pan wyjdzie, proszę.

Wyszedł. Nazajutrz wyjechał.

Po tygodniu wrócił. Jak gdyby nie było poprzedniej rozmowy, wszedł do kuchni, usiadł na ławie. Miał ze sobą gazetę, którą czytał na głos, pytając Krystynę, jakie jest jej zdanie. Odpowiadała półsłówkami.

– Od Alfreda wiem, że twój mąż zmarł na tyfus. Podobno później mieszkałaś u teściowej. Tyle się dowiedziałem od innych. Dowiem się czegoś od ciebie?

– Nie chcę o tym mówić.

– Rozumiem, że spotkała cię krzywda. Wiedz jednak, Krystyno, że w całym twoim życiu dla nikogo nie byłaś i nie będziesz tak ważna jak dla mnie.

Roześmiała się. Mówił jak sztubak, który żyje mrzonkami. Romantyk, marzyciel, socjalista. Syty i zadowolony z siebie. Trzeba mu było powiedzieć

prawdę. Niech zobaczy, kim jest Krystyna.

I powiedziała. O matce choleryczce, co raz była dobra, raz zła, raz tuliła, raz biła, a na koniec wydała za mąż za Mariana. O Gustku, co obiecywał świat zmienić, a potem poszedł i zapomniał. O strachu, niepozwalającym Krystynie iść za marzeniem. O dziecku, które mąż zabił, nim się urodziło, o wojennej tułaczce i o tym, jak bardzo pragnęła śmierci męża. Opowiedziała o Wróblu, a nawet o tym, jak pozbawiła poprzednią kucharkę stanowiska. Mówiła szczerze, tak szczerze, jakby nie człowiekowi się spowiadała, a samemu Panu w niebiosach. A gdy skończyła, odetchnęła z ulgą. Myślała, że teraz odejdzie i ją zostawi.

On jednak nie wyszedł. Siedział ze spuszczoną głową.

– Jesteś niezwykłą kobietą. Nie wiesz o tym, ale taka właśnie jesteś. – Podniósł na nią oczy pełne łez. – Tyleś wycierpiała, tyleś wycierpiała. Jakże ja bym chciał móc zdjąć z ciebie ten ciężar. Jeszcze dotkliwiej czuję wstyd za nasze pierwsze spotkanie. Gdybym wtedy coś zrobił, może to, co się później zdarzyło, nie miałoby miejsca?

– Głupstwa gadasz. Cóż mogłeś zrobić? Była wojna. Trwa wojna. Ja byłam mężatką, pomocą kuchenną, ty... Ty jesteś szlachcic, oficer, wielki pan.

Podszedł do niej. Przytulił. Szepnął, że to wszystko nie ma znaczenia.

Otoczył Krystynę miłością, tak jak matka otacza becikiem swoje nowo narodzone dziecko. Kryli się z tym przed światem, choć tylko ktoś głupi mógł myśleć, że świat tego nie widzi. Przymykał jednak oczy. Hrabia Kaliński nic bratu nie mówił, sądząc, że podobnie jak on sam, Włodek korzysta z władzy, jaką daje mu pozycja społeczna. Pani przymykała oczy, gdyż wolała, żeby kucharka spała w łóżku szwagra niż męża. Alfred przymykał oczy, nie było to jego sprawą, kto z kim sypia.

Krystyna nie kochała Włodka. Jej zbolełe serce nie było zdolne pokochać mężczyzny. Pragnęła jednak miłości, ciepła i troski. Czowała się tak, jakby miała w sobie istotę, która potrzebuje tych wszystkich uczuć jak pokarmu.

Zaczęło się od pocałunku. Pewnego wieczoru Włodek podniósł dłoń Krystyny do ust i musnął wargami końcówki palców. Miał przy tym w oczach taki żar, od którego robiło się ciepło w środku. Następnego dnia pocałował wewnątrz jej dłoni. Później nadgarstek. Podsunął do góry rękaw i ucałował przedramię. Tym sposobem dotarł do szyi, w to miejsce za uchem, gdzie skóra jest tak delikatna, potem na policzki, w końcu do ust. Jego pocałunki początkowo były tak delikatne, że Krystyna prawie ich nie czuła.

Z czasem stały się intensywniejsze.

– Wprowadzę cię do ogrodu rozkoszy cielesnych, zobaczysz – szeptał Włodek.

Nie wierzyła. Pozwalała mu na to, co robił, tak jak pozwalała wszystkim innym w swoim życiu, by ją wykorzystywali. Myślała o posadzie, o Broni siedzącej z panią w małym saloniku i uczącej się czytać, o dachu nad głową, o tym, że nie chodziły spać głodne. Gdy rzuca się na szalę takie argumenty, przeważają one te chwile, które Krystyna spędzała z bratem swego chlebodawcy. Chciał ją całować, jego wola. Zamykała oczy, uciekała myślami. Przygotowywała jadłospis, listę sprawunków albo przypominała sobie jakiś dawny spacer po lesie.

Aż pewnego dnia coś w niej drgnęło. Jakby ukryta gdzieś w środku nieznana struna, teraz przypadkowo trącona smyczkiem, wydała dźwięk. Włodek to zauważył. Wrócił w to miejsce. Z wprawą wytrawnego muzyka dotykał struny mocniej i mocniej. Aż nagle przerwał.

– Jutro – szepnął.

Krystyna z zaskoczeniem odkryła, że czeka na to jutro z niecierpliwością.

– Nie jesteś moją własnością. Nie jesteś niczyją własnością. Możesz czerpać z tego przyjemność, tak samo jak ja – powiedział, delikatnie kładąc ją na łóżku. Dotykał jej ciała, pieścił każdy jego skrawek, wciąż, wciąż sprawdzając jej reakcje. Krystyna zamknęła oczy. Wiedziała, że w jej ciele drzemią ukryte żądze, pragnienie i namiętność. Były jednak jak zaszczute zwierzęta, stłoczone w ciemnym kącie klatki przez strach i gwałt, którego doznała. Aż stała się rzecz niezwykła. Gdzieś w głębi niej rozbłysło światło. Ogarnęło ją pożądanie i zapragnęła tego, czego przez lata się bała. Rozchyliła uda i pozwoliła, by Włodek położył tam dłoń. Myślała, że wejdzie w nią gwałtowniej, jak robił to Marian, a później Wróbel. Tymczasem on tylko delikatnie pieścił to miejsce palcami. A Krystyna drżała, początkowo delikatnie, jak osikowy listek, później gwałtownie, jak wierzba szarpana północnym wiatrem. Serce się zatrzymało, cała krew spłynęła w łono. W końcu spazm ogarnął jej ciało. Powrócił oddech i puls. Włodek pochylił się i delikatnie pocałował miejsce, którego wcześniej dotykał.

Rozdział osiemnasty



Intensywne rolnictwo i duże uprawy monokulturowe powodują znikanie z wiejskiego krajobrazu jednego z najbardziej charakterystycznych jego elementów – miedz. Ten wąski pas nieprzeoranej ziemi, będący granicą między polami, to zbiorowisko roślinne, które, choć powstałe na skutek działalności człowieka, jest ważnym elementem ekologicznym. Stanowi bank genów, barierę biogeochemiczną, bazę pokarmową dla zwierząt, daje schronienie i jest miejscem zamieszkania licznych gatunków zwierzęcych. Trzeba też pamiętać, że miedze śródpolne to źródło pozyskiwania wielu roślin leczniczych. Kiedyś sadzono na nich grusze czy jabłonie, by w cieniu tych drzew można było usiąść i odpocząć podczas ciężkich prac polowych.

Luty 1930

Dionizy Adamczuk, choć wszyscy wciąż nazywali go Dyziem, czuł się już dorosłym mężczyzną. Co prawda do ukończenia lat szesnastu brakowało mu jeszcze dwóch miesięcy, a do dojrzałości, wyrażonej prawem do głosowania w wyborach, brakowało mu pięciu lat i dwóch miesięcy, nie miało to jednak wpływu na to, jak sam się czuł. Ojciec powtarzał wielokrotnie, że człowiek dorosły to taki, co bierze za siebie odpowiedzialność, więcej, czuje się w obowiązku pomagać wszystkim, których kocha. A Dionizy właśnie tak robił. Pomagał rodzicom, opiekował się rodzeństwem, a przede wszystkim dbał o kobietę, którą kochał.

Ludzie zakochują się w różnych momentach swojego życia. Zwykle gdy są młodzi, czasem zdarza im się to w wieku dojrzałym, a nawet na starość. Miłość bowiem, ponieważ sama jest wiecznie młoda, nikogo o metrykę nie

pyta. Dionizy zakochał się, gdy miał lat pięć. Był to burzliwy czas w jego życiu, związany z powrotem ojca, budowaniem domu i wyprowadzką od dziadków. Wydawać by się mogło, że nie jest to dobry moment, by zajmować się sprawami sercowymi. Jednak miłość ma to do siebie, że nigdy nie czeka na właściwe momenty. Po prostu spada na człowieka i tyle.

Dionizy pamiętał ów dzień, jakby to było wczoraj, bo jakże można zapomnieć chwilę, w której poznało się słodki smak miłości? Nim jednak ona nastąpiła, dzień wydawał się zwyczajny i niczym szczególnym nie różnił się od innych. Obudziła go kuchenna krzątanka, nie przyznawał się jednak, że już nie śpi. Leżał z zamkniętymi oczyma, po odgłosach próbując odgadnąć, co kto robi. Dziadek Józek posapywał, ale nie ciężko, a towarzyszące temu chrobotanie było znakiem, że koszyk plół. Przy kuchni ktoś łyżką dzwonił w rynkę. Pewnie babcia Hanka. Zły to znak, mama smaczniej gotowała. A gdzież ona? Pewnie poszła krowę doić albo patyczków do pieca nałamać. Malec w sposób bolesny odczuł nieobecność matki w izbie. Podniósł się, wychylił z zapiecka i zapytał, gdzież to jego mama.

– Widzieliście go? Jeszcze oczu nie otworzył, a już o mamę pyta – zaśmiała się babcia. – Nie martw się, nie przepadła. Po wodę poszła. Ty portki wdziejaj i pacierz odmów, zaraz będziem jedli.

Posłusznie wciągnął portki, ukląkł i się przeżegnał. Kiedy była z nim mama, odmawianie modlitwy szło składniej, bo jak zapomniał, to ona podpowiadała. Sam mylił się często. Zupełnie nie pamiętał, co było po „owocu żywota twego”. Żeby Boga nie obrazić, odmówił po dwa razy to, co pamiętał, uznając, że dwie połówki to tyle samo, co cały pacierz.

– Już – poinformował babcie.

– No to złaźże. Siadaj na ławie, zaraz ci miskę dam.

Niechętnie opuszczał swoje królestwo. Zapiecek był jego łóżkiem i izbą jednocześnie. Tu się bawił, tu przechowywał wszystkie swoje skarby, tu zaszywał się, kiedy nie chciał być przez nikogo widziany. Ponieważ w piecu wciąż się paliło, poza okresem letnich upałów, był to najcieplejszy, a przez to najprzyjemniejszy kąt w izbie. Stokroć przyjemniej było tam siedzieć niż chodzić po zimnym klepisku. Jedno tylko miejsce mogło się z nim równać – łóżko, w którym spali dziadek z babcią. Było tam ciepło, a od siennika przyjemnie pachniało suszonymi ziołami. Zwłaszcza macierzanki babcia dużo wkładała, bała się bowiem wszy i innego robactwa. Dziadek stracił kiedyś nogę i tym samym zyskał przywilej korzystania z łóżka o każdej porze

dnia. Chłopiec, gdy tylko zobaczył, że dziadek kieruje tam swoje kroki, zaraz był przy nim.

– A co tam, Dyziu, chcesz się ze mną położyć?

– Opowiecie, jak wam nogę odejmowali?

– Też już ci opowiadałem nie raz.

– Opowiedzcie jeszcze. A potem o psie, co się w kapotę i kapelusz przebrał i po całej wsi go zapraszali na posiłek, myśląc, że to jakiś znamienity wędrowiec.

– Toż znasz tę historię lepiej jak ja.

– Opowiedzcie.

– No dobrze.

I dziadek kładł się na brzegu łóżka, tak że drewniana noga wystawała poza, Dionizy wciskał się za dziadka, przytulał do niego i słuchał opowieści zabawnych, strasznych, smutnych i pięknych. Czasem dziadek przy tym zasypiał, czasem zasypiali obaj. Bywało też tak, że wcale nie spali, tylko patrzyli w górę, powtarzając w głowach słowa, które właśnie padły, i na nowo wyobrażając sobie to, co opisywały.

Dyzio tęsknił za tamtymi czasami i za dziadkiem Józkiem; był jedyną osobą w rodzinie, którą śmierć tamtego szczerze obeszła.

Owego dnia nie było opowieści. Mama, wróciwszy, opowiadała, że przy studni spotkała Pomiechowską. Wtedy Dionizy traktował to jak wielkie wydarzenie, dopiero gdy podrosł i sam biegał do studni, przekonał się, że nie jest czymś niezwykłym iść po wodę i spotkać Pomiechowską, tylko iść po wodę i tamtej nie spotkać. Wtedy jednak z ogromnym zainteresowaniem słuchał wiadomości, które przyniosła mama, a które głównie dotyczyły tego, co mówili ludzie o powrocie ojca. Wielu wciąż nie dowierzało. Podobno byli tacy, co szli do chałupy Adamczuków, by go zobaczyć. To wszystko napawało Dyzią ogromną dumą.

Wszystko, co związane było z ojcem, napawało go dumą, i to tak samo wtedy, gdy był malcem, jak i teraz. Przez pierwsze lata życia mówiono mu, że ojciec nie żyje. Wyjechał do Ameryki i tam przepadł. Dlatego też nie zdążył ożenić się z mamą, a za chodzącym po wsi malcem wołano złośliwie: „najduch, bastruk, bękart”. Pewnego dnia, zupełnie niespodziewanie, we wsi zjawił się obcy mężczyzna i okazało się, że to ojciec. Nie umarł, nie przepadł. Wzbogacił się, kupił ziemię, dom wybudował, z mamą się ożenił. Co ciekawe, za Dionizym dalej wołano: „najduch, bastruk, bękart”, ale już nie

z czystej złości, tylko z zawiści, bo teraz jego ojciec był jednym z najbogatszych gospodarzy we wsi.

Mama jeszcze nie skończyła opowiadać, gdy w drzwiach stanął ojciec. Chciał z nią porozmawiać, dlatego też babcia, dziadek i Dionizy musieli opuścić izbę. Dyzio pamiętał, że zrobił to niechętnie. Chciał, by ojciec wziął go na kolana, dał cukierka, którego na pewno miał w kieszeni, by powiedział coś tak miłego jak to, że Dionizy bardzo jest dzielny, bo mamą pięknie się opiekował przez tyle lat.

W momencie, w którym przekraczał próg chaty, wpadł wprost na Huba i dziewczynkę, którą tamten ciągnął za rękę. Chłopiec zamarł. Nie mógł się ruszyć, bo był przekonany, że owa dziewczynka to anioł, schwytyany przez podstępного sąsiada i z nieznanego powodu przemocą ciągnięty do ich izby.

Hub, który nie mógł przejść, położył wolną rękę na głowie Dionizego i po prostu przesunął go na bok, tyle że nie na zewnątrz, a do środka. To umożliwiło dalsze patrzenie na anioła. Był on drobny, niewiele wyższy od Dionizego, choć znacznie szczuplejszy. Twarz miał pociągłą, złocistą, otoczoną miedzianym wieńcem. Ubrany był zwyczajnie, jak chłopskie dziecko, w lnianą koszulę. Musiał być płci żeńskiej, bo miał zapaskę i fartuszek.

Postawiony przed ojcem ukląkł i prosił o łaskę. Dionizego strach ogarnął. Ojciec nie wyglądał na człowieka strasznego, dotąd nie okazał wrogich zamiarów wobec kogokolwiek. Niemniej w tamtym momencie sytuacja była bardzo napięta. Mama miała łzy w oczach, a Hub krzyczał, żeby ojciec przysiągł na życie dziecka i w oczy mu patrząc, wyznał, co zrobił z Frankiem.

– Tatulu, tatulu, nie zabijajcie anioła! – krzyknął Dionizy, rzucił się przed siebie i własną pierś zasłonił precudną istotę.

Ojciec szeroko otworzył ramiona, dając znak, że chce go przytulić.

– Nic jej nie zrobię – powiedział.

Pewnie zobaczył niedowierzanie w oczach Dyzia, który nie podszedł się przytulić, bo wstał i otoczył obydwój ramionami.

– I co wy najlepszego robicie, Hubie? Dzieci straszycie? Nie bój się – powiedział do anioła. – Taka śliczna panienka. Jak ci na imię?

– Natalia – szepnął anioł.

– Natalia. Jak ładnie. Powiem ci, Natalia, że twój ojciec to był mój najlepszy przyjaciel. Życie mi uratował. Opiekował się mną, a ja nim. Nie wierz, gdy

ktoś ci mówi, że coś mu zrobiłem. Kochałem go jak brata. – Sięgnął do kieszeni i podał aniołowi cukierka, a tamten wziął i podziękował dygnięciem. – Nic tu po was, Hubie. Idźcie do domu. Ja wiem, co wy o mnie wygadujecie, ale to nie jest prawda. Życie sobie zatrujecie. I nie tylko sobie, Weronice i dzieciom też. Po co to? Jest jak jest, trzeba się z tym pogodzić.

Tamten jednak nie miał zamiaru się pogodzić. Przeklinając ojca, wyszedł z chałupy. Anioła zabrał ze sobą.

– To był anioł – powiedział Dionizy, patrząc za nimi przez okienko.

Mama się roześmiała.

– To tylko dziewczynka. Śliczna dziewczynka, wnuczka Huba. Oni mieszkają za cerkwią. Pokażę ci, jak będziemy iść po krowę.

Nic nigdy nie ucieszyło Dionizego tak jak wiadomość, że to zwykła dziewczynka. Bo anioł, wiadomo, musiałyby wcześniej czy później wrócić do Królestwa Niebieskiego. Dziewczynka zaś zostanie na ziemi. Będzie można patrzeć na nią każdego dnia, a gdy przyjdzie czas, będzie się można z nią ożenić.

Przez kilka kolejnych nocy chłopiec nie mógł spać, trawiony dziwną gorączką nie gorączką. Mama się martwiła, bo oczy miał szkliste, czoło ciepłe, ale nie kaszłał. Musiał wypić gorzki napar z wierzby, a gdy to nie pomogło, babcia wylała mu jajko. Wyszło, że przestraszył się Huba. Trzy dni z rzędu przed snem pojono go mlekiem wymieszanym z naparem rumianku i miodem. Ale Dyzio nie był chory ani się nie wystraszył, tylko się zakochał. Siła tego uczucia okazała się tak wielka, że trwało już tyle czasu niezmiennie mocne i stałe.

Natala zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że od lat, gdziekolwiek była, cokolwiek robiła, zawsze podążał za nią spojrzeniem. Martwił się, gdy była smutna, radował, gdy się uśmiechała. To on zwołał chłopaków, by zbili parobka, który na dziewczynę nastawał, to on namówił ich, by jej pomogli, bo sama nie dawała sobie rady.

Najbardziej jednak martwiło go to, że ukochana wyjdzie za mąż, nie czekając, aż on dorośnie. Jeszcze dwa lata. Tyle się może zdarzyć. Dionizy podsłuchiwał rozmowę rodziców. Ojciec mówił, że dla własnego dobra Natala powinna czym prędzej wyjść za mąż.

Pewnie dlatego wybierał się do niej. Chciał przekonać córkę Franka, żeby znalazła sobie narzeczonego. Dlatego Dionizy poszedł za ojcem. Skrywał się za opłotkami, żeby tamten go nie zobaczył. Miał wprawę w ukrywaniu się na

podwórku Dołęgów, znał je równie dobrze jak własne. Dwa susy i już stał za węglem obory, dwa kolejne i już przyczajał się w kępie krzaków bzu, jeszcze jeden i już był pod oknem. Do chaty zajrzeć nie mógł, ale słyszał wszystko doskonale.

– Musisz zrozumieć, dziewczyno – mówił ojciec – że on nie przestanie. Tobie się wydaje, że mu przetłumaczysz, bo odwołasz się do jego rozumu czy serca. Ale on nie ma ani rozumu, ani serca. Alkohol objął nad nim władzę. To jest tak, jakby Wojtek miał pasożyta, który wysysa z niego pieniądze, zdrowie, życie, wszystko. Na koniec go zabije, a ponieważ chłopak jest młody, to sporo czasu minie. Zrozum, nic z tym nie zrobisz. Ojciec mój nie jeden raz opowiadał nam o dziadku. Tobie się może zdaje, że twój brat będzie robił tak jak stary Hub. Raz na miesiąc czy dwa pójdzie do karczmy, upije się, a później będzie machał w polu tak, że łeb będzie mu podskakiwał. Tak nie będzie. Twój dziadek był dobry gospodarz, zgryzot miał wiele, to od czasu do czasu musiał się z nimi rozprawić. Robił to w karczmie. Gdy mnie nadmiar zgryzot przyciska, idę w pola hen, aż pod Dobużek, albo i dalej. Inny z żoną będzie się wtedy kłócił, a jeszcze inny pójdzie tańcować, każdy ma swój sposób. Tyle że twój brat nie ze zgryzoty pije, ale dla zabawy. On pusty jest, głupi. A jego pijaństwo to już choroba. Dopóki będzie żył, ty będziesz musiała stawiać jej czoła. Jego pijaństwo zniszczy, a ty musisz tak sprawy ustawić, by nie zniszczyło ciebie. Rozmawiałem z twoim wujem i tobie powiem to samo, co mówiłem jemu. Na Hubową naciskajcie, by do sądu iść, zapis zrobić. A pilnuj babki, żeby jej Wojtek nie przekabacił i nie namówił, by całą swoją część jemu przepisała. On jest sprytny. Jak każdy karciarz będzie ci w żywe oczy łągał, a tak cudnie, że uwierzysz. Będziesz wiedziała, że to kłamstwo, a uwierzysz. Przy zapisie zaproponuj Wojtkowi spłatę. Powiedz, niech swoje pole na ciebie zapisze, a ty mu dasz pieniądze. On na to pójdzie, bo nie chce w polu robić, tylko w karty po karczmach grać.

– Toż ja pieniędzy nie mam na spłatę.

– Pieniędźmi się nie martw. Obiecuj mi, że tak zrobisz. Wojtek i tak wszystko sprzeda, przepije, przełajdaczy. Twój dziadek całe życie pomnażał majątek, a ten w rok przepuści albo i szybciej. Zobaczysz. Serce cię będzie bolało. I mnie będzie bolało, bom dziadka twego bardzo szanował.

– A to nieprawda – fuknęła Natała.

– Oj dziecko, dziecko. Ty myślisz, że jak on na mnie gadał, co mu ślina na

język przyniosła, to ja mu miał za złe? Żal go trawił za Franka, musiał na kogoś wylać. Lepiej, że na mnie krzyczał, niż miałby na ciebie czy twoją matkę. Gdybym ja był co winien w tym wszystkim, to może by mnie gadanie starego Huba obeszło. Ale ja nic nie winien, za Frankiem stałem murem i tak stać będę, póki żyję. Myślisz, że dlaczego tu jestem i z tobą jak z rodzoną córką rozmawiam? Przez wzgląd na twego ojca, a mojego przyjaciela. A o dziadku to ci jeszcze tylko tyle powiem, że zanim wyruszyliśmy do Ameryki, gadał ze mną jak z dorosłym. Ja pamiętam, że on mnie w tamtej chwili szanował za moją odwagę, i nigdy tego nie zapomnę.

Zapadła cisza. Pewnie ojciec, któremu już od dłuższego czasu głos drżał, potrzebował chwili, żeby się uspokoić.

– Posłuchaj mnie, Natała. W sądzie powiedz, że brata spłacisz. Ja ci dam pieniądze, ale ani wcześniej, ani później nikomu nie powiesz, skąd je masz. Jakby się Wojtek dowiedział, to znajdzie sposób, żeby wszystkie od ciebie wyciągnąć. On może przysięgać, ale ty pamiętaj, że to tak, jakby lis się zarzekał, że tłustej kury już nigdy nie tknie, będzie tego do czasu, aż zgłodnieje.

– A jeśli ja od was pieniędzy nie chcę?

– Ty myślisz, że ja tobie swoje daję? Ojciec twój coś tam w tej Ameryce zarobił. Kiedy szedł na wojnę, tak mi powiedział: „Weź, to na posag dla Natali. Jakby mi się coś stało, to jej dasz. Nie staremu, nie mojej żonie, nawet nie synowi. Dasz Natali, jak będzie do ślubu szła”.

– Przecie ja do ślubu nie idę.

– Mnie się zdaje, że to ważniejsze niż ślub. Zresztą czy gotówka, czy ziemia, jednakowy to posag. A za mąż się wydaj, im szybciej, tym lepiej. Znajdź sobie jakiegoś porządnego chłopca, co cię będzie przed bratem chronił. Inaczej ten łobuz życie ci zmarnuje. – Ojciec westchnął ciężko, ława skrzypnęła. – Pójdę już. A ty pamiętaj, com ci rzekł. Spłać brata, a babki pilnuj. I nikomu ani słowa o pieniądzach.

Trzasnęły drzwi. Dionizy rozpląszczył się na ziemi. Liczył kroki. Jeszcze trzy, dwa... Ojciec już na gościńcu. Kolejna chwila, bo może mu przyjść do głowy, żeby się obrócić. Już? Może dla pewności poczekać jeszcze trochę. Już. Dionizy najpierw przykląkł i rozejrzał się wokół. Nikogo. Wstał, serce waliło mu jak młot, miał wrażenie, że lada moment rozsadzi pierś. Wszedł do chałupy. W sieni nabrał w płuca tyle powietrza, ile zdołał, mając nadzieję, że pomoże to sercu się uspokoić. Kiedy podnosił zaszczepkę i ciągnął drzwi,

ręce mu drżały. Drżały i nogi, gdy przekraczał próg i wchodził do izby.

Natala klęczała na podłodze i płakała. Nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak delikatna i krucha. Świadomość, że musi być przy niej i ją wspierać, dodała mu odwagi. Podszedł, objął ją, przytulił do piersi, w której oszalałe serce łomotało jeszcze bardziej.

– Co tu robisz, Dyziu? Idź sobie!

– Jakże mam iść, kiedy ty płaczesz?

– A bo to pierwszy raz?

Wiedział, że nie pierwszy i na pewno nie ostatni, ale tym razem był przy niej. Miał odwagę objąć Natalę i pogłaskać po włosach.

– Przyszedłem, bo mam prośbę. Chciałbym... Nie słuchaj mego ojca. Nie posłuchasz go, dobrze?

Poczuł, jak jej ciało sztywnieje.

– O pieniądze ci chodzi? – Próbowała się odsunąć.

– Głupia! Jakie pieniądze? O szukaniu narzeczonego mówię. Ze spłata Wojtka rób tak, jak ci mój ojciec mówi. Tylko narzeczonego sobie nie szukaj.

Rozluźniła się, otarła twarz fartuchem i popatrzyła Dionizemu w oczy tym wzrokiem, który potrafi zajrzeć do serca.

– Czemuż mam nie szukać?

– Bo ty już masz narzeczonego.

– Oj, Dyziu. Przecież ty jesteś młodszy ode mnie.

– Tylko trzy lata.

– Cztery.

– Źle coś liczysz. Mnie się wydaje, że trzy,

– Trzy, cztery, jakie to ma znaczenie, gdyś ty młodszy?

Dionizy westchnął. Kobiety są dziwne. Piękne, mądre, ale i dziwne. Uczepią się czegoś jednego, drobiazgu, który jest jak iskierka na hubce, i rozdmuchują to w płomień, zdolny cały las spalić. Trzy lata, cztery, a nawet i dziesięć to nic wobec uczucia, jakim ją darzył. Dzięki tej miłości są w stanie pokonać wszelkie przeciwności, ale ona musi zrozumieć.

– Kocham cię, odkąd pamiętam – wyznał. – I już zawsze będę cię kochał. Nie ma na całym świecie mężczyzny, który tak bardzo będzie cię kochał. Możesz sobie znaleźć jakiegoś starszego, możesz się z nim spotykać. Przekonasz się wtedy, że mówię prawdę.

Położył rękę na jej policzku, delikatnie kciukiem pogładził jedwabistą skórę, a później, wciąż patrząc Natali w oczy, położył swoje usta na jej

wargach. Czuł, że wstrzymała oddech. Delikatnie wdmuchnął powietrze do jej ust. Odetchnęła. Roześmiała się. Myślał, że się odsunie, ale nie, jeszcze mocniej przywarła do niego. Z ustami przy jego ustach szepnęła:

- Myślałam, że ci przeszło.
- Nigdy mi nie przejdzie.
- Z nikim jeszcze się nie całowałeś, prawda?
- Tak samo jak ty.
- A skąd to wiesz?
- Bo cię znam, Natała. Znam cię sto razy lepiej niż ktokolwiek na świecie.
- I co teraz będziemy robić?
- Teraz będziemy się całować.
- A później?
- Później to się zobaczy.



Keks biszkoptowy

25 dkg mąki pszennej, 5 jajek, 25 dkg cukru pudru, wanilia, łyżka octu 6%, bakalie.

Żółtka utrzeć z cukrem na puszystą masę, wlewając stopniowo ocet. Ubić pianę, wyłożyć na żółtka, wsypać przesianą mąkę, dodać bakalie. Lekko wymieszać składniki i wyłożyć do formy. Piec około pięćdziesięciu minut.

Krystyna 1920

Kazia siedziała w kącie kuchni i płakała.

- Bolszewiki wszystkich nas w pień wytną.
- Nikogo nie będą wycinać. Nasze wojsko ich nie puści.
- A jeśli puści?
- Głupstwa gadasz. Weź się do roboty, bo sama ze wszystkim rady nie dam. A jeśli obiadu nie będzie, to prędzej nas dziedzic wytnie niż bolszewicy.

Krystyna udawała tylko, że jest spokojna. Serce jej biło z niezwykłą gwałtownością. W nocy źle spała, w dzień miała kłopoty z koncentracją.

Ta nasza Polska to ma los podobny do mojego, myślała. Ledwo jej się rozwidniło, już znowu się ściemnia. Ile było radości ze zrzucenia zaborczego jarzma? Kilka miesięcy, chwila ledwo, i już trzeba było znowu iść walczyć. Pomimo całego zła, które na kraj spadło, stało się i coś dobrego. Rząd dostrzegł w końcu polskiego chłopą. Obiecał pomoc i reformę. Tylko czy trzeba było do tego, by bolszewicy zapukali do bram?

Krystyna bała się wojny. Widziała jej okropności. I słyszała o bolszewickim okrucieństwie. Lenin wymordował lutowych

rewolucjonistów. Rosja, kraj tak wielki i bogaty, upadała. Ludzie głodowali. Los tamtejszych chłopów i robotników nie tylko się nie poprawił, ale jeszcze pogorszył. Przerazało ją to, bo gdy w tysiąc dziewięćset siedemnastym wybuchła w Rosji rewolucja, Krystyna cieszyła się całym sercem. W myślach widziała przyszły kraj dobrobytu, gdzie wszyscy zgodnie pracują, wszyscy dla wszystkich, a o losie człowieka decydują jego chęci, nie zaś to, pod jakim dachem na świat przyszedł.

Okazało się jednak, że to, co mówili rewolucyjni przywódcy, było jedynie mydleniem oczu. Czy to tak zawsze na tym świecie, że ci sprytni będą obiecywać złote góry ufnym, by ich wykorzystać do swoich celów? Lenin miał teraz władzę w całej Rosji, ale było mu jej mało. Chciał władzy w Polsce, w Niemczech, we Francji. Mówił o wyzwoleniu ludu robotniczego, ale do umierających z głodu się nie przyznawał. Myśl o tych wszystkich ofiarach rewolucji kładła się ciężarem na sercu Krystyny.

Włodek nie nazywał jej już socjalistką. I o sobie tak nie mówił. Rzadko się teraz widywali. On wrócił do wojska, ona miała swoje miejsce w kuchni. Kiedy przyjeżdżał na przepustkę czy urlop, spędzali ze sobą noc albo dwie. Niewiele mówili. Nie potrzebowali słów. Krystyna dziwiła się, że w byciu z mężczyzną można znaleźć taką przyjemność. Nigdy nie myślała, że to aż tak, że tak dobrze i słodko, aż się mdło robi, i że można być tego wszystkiego głodnym. Nie tęskniła za tym, tak jak nie tęskniła za Włodkiem. Dopiero gdy się zjawiał, gdy zaczynał jej dotykać, przypominała sobie fale rozkoszy ogarniające jej ciało i pozwalająca, by znów wprowadzał ją do tego cudownego gaju ziemskich uciech.

Na początku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego Włodek wspomniał coś o ślubie i wyjeździe, ale kazała mu nie mówić głupstw. Miała nadzieję, że posłuchał. W końcu nie był jej wierny. Poznawała to po zapachu włosów i skóry. Delikatne jak pajęczne nitki smużki obcej woni, dla kogo innego może niewyczuwalne, ale wszak Krystyna była kucharką, jej codziennym zajęciem było wachać i smakować. Nie mówiła mu, że wie o tamtej. Po co, skoro nie była zazdrosna? Jeśli chce się żenić, to niech się żeni z tamtą. Głupia, tłumaczyła sobie, przecież on się nie ożeni ani z tobą, ani z żadną inną, która z nim idzie do łóżka. To szlachcic. On się ożeni z jakąś panienką z dobrego domu, słodką i niewinną. Niechby się ożenił, Krystyna odetchnęłaby z ulgą. To, co robili, było przyjemne, ale nie czułaby braku i wcale by za tym nie tęskniła.

Ostatni raz widzieli się w połowie maja. Włodek dostał dwa dni urlopu. Od razu poznała, że coś się zmieniło. Była w nim wewnętrzna radość, taka, którą daje wyznanie grzechu. Krystyna pomyślała wtedy, że się zakochał. Nie czekała na niego wieczorem, pewna, że nocnej wizyty nie będzie. Zdziwiła się bardzo, gdy usłyszała pukanie.

– Myślałem, że znajdę cię w kuchni.

– Nie czekałam.

– Czemuż to? Tyle mam ci do powiedzenia.

Zanim zaczął cokolwiek mówić, już ją całował.

– Bronia śpi – upomniała go Krystyna.

– To chodźmy tam, gdzie nie będziemy przeszkadzać ani Broni, ani nikomu. Chodźmy do altany.

Tegoż mi jeszcze trzeba, pomyślała, by gołą dupę w altanie chłodzić. Poszła jednak posłusznie.

– Muszę ci coś powiedzieć, Krystyno – mówił, jednocześnie głaszcząc jej piersi. – Podjąłem decyzję. Długo się z tym nosiłem, ale w końcu postanowiłem. Żyć tak nie sposób. Chcę się ożenić.

Przezucie jej nie zwiodło.

– Moje powinszowania dla ciebie i twojej wybranki.

– Ale co ty mówisz? Przecież ja chcę się ożenić z tobą.

– Teraz ty mówisz głupstwa. Ze mną? Myślałam, że z... – Zbyt późno ugryzła się w język.

Włodek znieruchomiał.

– Wiesz? Skąd? Ktoś ci powiedział? – zapytał.

– Twoje włosy inaczej pachną.

– Wybacz. To nic nie znaczyło.

– Dla ciebie. A dla niej?

– Jeszcze mniej. To artystka kabaretowa. Znalazła sobie innego oficera, tak to z nimi jest. Przepraszam cię za to, źle znosiłem tęsknotę. Wszystko źle znosiłem, moje nowe życie też. Teraz jednak wszystko sobie poukładałem. Gdy wojna się skończy, przyjadę po ciebie. Pobierzemy się i wyjedziemy do dużego miasta, gdzie nikt nas nie będzie znał. Warszawa, Łódź, Lwów, Kraków. Albo dalej, do Europy. Możemy jechać do Paryża, ja świetnie mówię po francusku. – Powiedział kilka słów podobnych do ptasiego trelu na dowód, że nie kłamie. – Albo do Ameryki. Świat stoi dla nas otworem.

– Będzie, jak zechcesz.

Położyła rękę na jego torsie, by odwzajemnić pieszczotę. Czemuż mężczyznom się wydaje, że kobiety marzą o byciu żonami? Pewnie dlatego, że większość rzeczywiście pragnie ślubu. Jednak Krystyna miała to już za sobą. Marian nie był dobrym mężem. Wróbel nie był dobrym szwagrem, Gustek nie był dobrym ukochanym. Każdy z nich ją zawiódł. A Włodek stał w jednym szeregu z tamtymi. Bo przecież gdyby naprawdę ją kochał, to nie narażałby jej na złośliwe komentarze pana i uśmiechy pokojowych. Ożeniłby się już dawno albo całkiem dałby spokój. A on brał jak swoje, jakby mu się należało. Zupełnie jak jego brat, pan hrabia, co zaciągał do łóżka służące, nie bacząc na ich łzy ani na smutek na twarzy żony.

Włodka uradowała jej odpowiedź. Wypełnił go entuzjazm i wziął Krystynę gwałtowniej niż zwykle. Aż musiała zaciskać zęby. Nie miała z tego przyjemności, tylko tę udrękę, którą pamiętała ze zbliżeń z Marianem. Uśmiechała się jednak, a gdy zapytał, czy było jej dobrze, odpowiedziała, że tak.

– Kocham cię, Krystyno, tak bardzo cię kocham. Będziemy razem. Ty, ja i Bronia, jako moja córka. Zapomnimy o przeszłości. To nowa Polska, kraj nowych możliwości – szeptał, tuląc ją do siebie.

Nie wierzyła mu wtedy. I dziś nie wierzyła. Może gdyby miała tyle lat, co Kazia, w dziewczęcej naiwności wyobrażałaby sobie, jak w kapeluszu i z Bronią za rączkę idzie ulicą wielkiego miasta, przy boku męża, byłego oficera, teraz urzędnika. Jednak nie była naiwna.

– Mądra też nie.

– Co mówicie? – zapytała Kazia, nie wychylając się z kąta.

– Mówię, żeś ty głupia, a ja nie mądrzejsza. Wyleź z tego kąta. Jak się za robotę nie weźmiesz, to pogonię, nie bacząc na Alfreda. Nie potrzebuję tu leniwej dziewczuchy.

– Ja nie leniwa, tylko się bojam.

– Na strach modlitwa najlepsza. A modlitwa najlepiej wychodzi przy pracy. I przesunęła ku Kazi koszyk z młodymi ziemniakami.

– Szoruj do czysta, a później skrabaj, żeby ani kawałeczka skórki nie było. Wtem rozległ się tętent koni. Kazia skuliła się w swoim kąciku.

– Bolszewicy?

Krystyna wyjrzała przez okno.

– Pan Włodek.

Chybabym wolała, żeby to byli bolszewicy, pomyślała.

Włodek nie poszedł na pokoje, tylko przybiegł prosto do kuchni. Pot lał mu się z czoła.

– Mam godzinę, może półtorej. Przegrupowują nas. Muszę wracać, ale nie mogłem być tak blisko i ciebie nie zobaczyć.

Krystyna dała Kazi znak, żeby wyszła z kuchni.

– Włodziu, bądź poważny. Nie możesz tak do mnie mówić przy Kazi. I tak już wszyscy o mnie plotkują.

– Niechże plotkują. – Jego rozpalone usta błędziły po jej szyi. Śmierdział potem swoim i końskim, błotem i sikami. – Bolszewicy pod Warszawą rozgromieni, a jutro, pojutrze dojdziemy ich w polu i wyrzniemy resztę.

– Dałby Bóg, żeby dało się wyróżnić bolszewików co do jednego, ale to płonna nadzieja. Zostanie ich wystarczająco, żeby nam przez lata zachodzić za skórę.

– I to mówi moja socjalistka.

– Czego innego się spodziewałam.

– Idealistka i romantyczka. Wiesz, jak bardzo cię kocham? – Podciągnął jej halkę, by dostać się do miejsc intymnych. Napotka tam suchość, jakiej nie znalazł u Krystyny od dawna. Dlatego ścisnęła uda.

– Powinieneś iść do brata, jego żony. Z nimi czas spędzić. Przywitać się chociaż.

– Tyś dziś dla mnie cała rodzina. – Zamarł. – Krystyno?

Po raz trzeci małe serduszko zaczynało bić w jej brzuchu i już od pierwszych chwil wiedziała, co się z nią dzieje. Pokochała to dziecko od razu. Czuła, że jest nagrodą za tamto, które kiedyś straciła. Tamta duszyczka zatoczyła krąg i wróciła do swojej mamy, tak o tym myślała. Wciąż kładła rękę na brzuchu, jakby się bała, że jej drogocenny skarb wypadnie i zginie. Nie chciała mówić o tym Włodkowi, ale teraz już musiała.

– To się stało wtedy, w maju. Przepraszam cię, nie wiedziałam, że to już ten dzień, gdy nie powinnam.

– Przepraszasz? Co też ty mówisz? – Puścił jej halkę, nawet ją obciągnął. Tulił teraz Krystynę tak, jak dziecko tuli pisklę, czule i delikatnie. – Kiedyż możemy spodziewać się go na świecie?

– Po świętach.

– Oto nadchodzi obywatel nowego, wolnego świata. Mam nadzieję, że to będzie chłopiec.

Zatopił twarz w jej włosach.

– Zrobię dla was wszystko. Jakże ja teraz mam odjechać? Trudna sprawa. Wrócę, wrócę do ciebie. Niczym się nie martw. Będzie tak, jak obiecałem.

Tulił ją jeszcze czas jakiś. W końcu musiał jechać.

– Czekaj, Włodziu, jedzenie ci zapakuję. Chleb, mięso jakies. Jak ty tak na tę bitwę pojedziesz bez jedzenia?

Roześmiał się i pocałował Krystynę w rękę. Gdy się oddalał, uświadomiła sobie, że ten chleb zawinięty w czystą ściereczkę był pierwszą miłą rzeczą, jaką dla niego zrobiła.



Najpierw przyszła wiadomość. W tym, który ją przywiózł, Krystyna bez trudu rozpoznała chłopca, mundur nie mógł jej zmylić.

– A wy skąd? – zapytała, podając mu kubek wody; widziała, że zdrożony był i zmęczony bardzo.

– Z Tynczyna.

– A cóż to za wieś? Gdzie wasza parafia?

– We wsi. I kościół, i cerkiew mamy.

– Wy prawosławni?

– Katolik. Moja matka unitka.

– A wy jak się zwiecie?

– Antoni Hub.

– Dziękuję wam serdecznie, Antoni, żeście wiadomość przywieźli.

– Widać, że wojska nie znacie. Rozkaz był, a jak rozkaz jest, to mus jechać. Szkoda waszego pana. Wszystkich naszych, co poginęli, szkoda. Mnie się przed bitwą zdawało, że i ja polegę. Widać mnie same serdeczne kule były pisane.

– A cóż znaczy, że kula jest serdeczna?

– To, że ona nijak nie chce w człowieka trafić. Świśnie tak, o, tyle koło głowy. – Pokazał palcami, jak niewielka to odległość. – Minie, na ziemię spadnie i tam na wieki zostanie. Tak u nas starzy ludzie powiadają dzieciom.

Krystyna się uśmiechnęła. Musiała się uśmiechnąć, choć taki ból ścisnął jej

serce, jakby została w nie zraniona.

– Przyniosę wam z kuchni czegoś do zjedzenia. Poczekajcie chwilę.

– Podziękował. Ruszać mnie trzeba. Wasz pan niejedyny, do którego z wiadomością i listem mnie posłano.

Nie zwróciła uwagi na słowo „list”. Za bardzo pochłoneły ją próby opanowania emocji, które nią targwały. Przede wszystkim była zła na Włodka. Zła, tak bardzo zła. Jakże to, obiecywać komuś, że się jego los odmieni, a później wyrzec się tej odpowiedzialności i tak po prostu zginać? Zła była też na siebie, bo mu uwierzyła. Tyle lat miała, tyle doświadczyła, a jak głupia podfruwajka dała sobie wmówić, że on jest w stanie spełnić swoje obietnice. Nigdy, nigdy nie ufaj mężczyźnie. Nie wierz w to, co mówi. Nigdy nie wierz w to, co ci obiecuje. Wszyscy oni tacy sami. A Włodek najgorszy, bo przymilny. Takiemu prędzej uwierzysz, taki głębiej cię zrani.

Była rozczarowana, rozgoryczona, a w najmniejszym stopniu smutna. Żałowała nawet, że go nie kochała, bo gdyby tak było, toby opłakiwała. Przeszłaby przez żalobę, a później doznała pocieszenia, tak bowiem wygląda życie. Ona jednak nic do Włodka nie czuła, może odrobinę serdeczności, lecz bardziej żal, że ją wykorzystywał. Czegoś takiego nie sposób opłakiwać.

Długo nie mogła zasnąć. Kiedy już zmorzył ją sen, był męczący, utkany z dziwnych obrazów. Widziała śmiejącego się Mariana, jak szedł polną drogą i przerzuciwszy kaftan przez ramię, podwijał rękawy. Nagle ze zboża wychylił się Gustek. Widać spał na miedzy. We włosach miał sieczkę, żuł źdźbło trawy i gwizdał *Kare konie*. Szli razem, aż doszli do mgły. Rozpłynęli się w niej, a wtedy Krystyna zdała sobie sprawę, że stoi tam i ich woła. Nagle ktoś chwycił ją za rękę. Krzyknęła, przestraszona.

– Ciii. To ja, Alfred.

Z trudem wyzwaliała się z okowów snu. To jej łóżko, jej pokój w służbówce. Obok śpi Bronia.

– Co się stało? – zapytała.

– List przyniosłem. Przeczyta szybko. Muszę odnieść do biurka, zanim pan wstanie.

– Jaki list?

Alfred nie odpowiedział. Macał po stole w poszukiwaniu lampy. Błysnęła iskierka, a po chwili światło rozlało się po stole i małym pokoiku. Krystyna sięgnęła po leżącą przy łóżku spódnice i serdak. Wciągnęła je na siebie, by nie pokazywać się Alfredowi w samej tylko koszuli.

– Malicka umie czytać?

– Dzięki Bogu, umiem. I pisane, i na książce. Najpierw ojciec mnie uczył, później w kuchni, w Dzierżni, kucharka pokazywała. Czytanie do przepisów potrzebne – mówiła, nie wiedzieć po co. Chciała ukryć za tłumaczeniami swój strach i zażenowanie sytuacją.

Alfred bez słowa wręczył jej kopertę.

– Cóż to jest? – zapytała. Wiedziała, ale chciała odwlec chwilę, w której będzie musiała zajrzeć do środka.

– List od pana Włodzimierza do Malickiej. Posłaniec przyniósł. Oba listy dał panu hrabiemu, a on oba przeczytał i odłożył do biurka. Mnie się zdaje, że tak się nie godzi. Jednak nie mogę powiedzieć tego jaśnie panu. Dlatego wyjąłem ten do Malickiej z szuflady. Niech przeczyta, a ja odniosę. Zachować nie może, boby się wydało, że ukradł. – Ponaglił Krystynę spojrzeniem.

Ręce jej drżały. Wyjęła z koperty złożoną we dwoje kartkę. Miał ładne pismo. Zgrabne litery stały w równych rzędach, te większe trzymały za ręce te małe, tworząc łańcuszek zawijasów. Przebiegła po nim wzrokiem, początkowo nic nie rozumiejąc. Dopiero za drugim razem, gdy czytała wolno, zawijasy zmieniły się w litery, te w słowa, słowa zaś w wyrazy.

Oddała Alfredowi kartkę i kopertę. Patrzyła, jak starannie wsunął list i zamknął go w białej, papierowej trumnie.

– Dziękuję – powiedziała. – Nic ważnego tam nie było, ale miło wiedzieć, że o mnie myślał.

Alfred schował list za połą kamizelki.

– Pójdę już. Gdyby czegoś potrzebowała... – Odwrócił się. Zawahał. – Krystyno – wypowiedział jej imię po raz pierwszy i oboje byli zdziwieni, jak bardzo dziwnie, jak obco dla nich zabrzmiało. – Wybacz, że pytam, ale czy to prawda? Tyś w takim stanie? Za jego sprawą? Przypadkiem słyszałem rozmowę państwa.

Słowo „przypadkiem” ją rozbawiło. Służba nigdy niczego nie słyszy ani nie widzi przypadkiem. Zawsze kryje się w tym celowość, podglądanie, podsłuchiwanie. Krok zrobiony zbyt późno, drzwi otwarte zbyt wcześnie. Szpiegowanie. Gromadzenie wiedzy przeciw wrogowi. Państwu się zdaje, że są ponad, że są lepsi, co służba odczytuje jako rażącą niesprawiedliwość. Dlatego zbiera, kolekcjonuje niemal wszystkie grzechy jaśnie państwa, by w pewnej chwili użyć ich jak kamieni, ciskanych w twarz.

– Czy jest we dworze ktoś, kto nie widział, jak nocą do niego chodziłam? Wzywał, to chodziłam, taki los służącej. A o tym, jak się takie sprawy między kobietą a mężczyzną kończą, wiadomo, bo jak świat światem tak było i będzie.

– Przykro mi.

– Nie płaczę po nim.

– Przykro mi, żeś w takim stanie sama została.

– Myślisz, że by mi pomógł?

– Nie był to zły człowiek.

Czy dobry człowiek uwodzi służącą? Czy romansuje z nią miesiącami? Czy wpędza ją w kłopoty, na koniec zostawiając z niczym?

– Tak całkiem dobry to on nie był, mój Alfredzie. Zresztą i ja nie jestem bez winy, jego zaś już Pan Bóg rozgrzeszył.

Poczekala, a gdy wyszedł, zgasila lampę. Pokoik zalała ciemność. Słowa, raz przeczytane, tłukły się po głowie, jak wyuczony w dzieciństwie wierszyk.

Najdroższa Krystyno!

Wiem, że dzień jeszcze nie minął od naszego rozstania i wkrótce się zobaczymy, ale nie mogę przestać myśleć o Tobie i o tym, coś mi powiedziała. Wyrzucam sobie, że niedostatecznie okazałem mą radość i możesz myśleć, że ja się nie cieszę. Bardzo, bardzo raduje mnie wieść, że na świat przyjdzie moje dziecko. Ja wiem, że mezalians, że różnica stanów, majątku, wszystkiego, ale jakież to ma znaczenie? Dla mnie nie ma żadnego. Kocham Cię całym sercem i gdy tylko wrócę z wojny, która, mam nadzieję, rychło się skończy, ożenię się z Tobą. Jeśli będzie syn, damy mu na imię Tadeusz, po moim ojcu. Nie wiem nawet, czy sprawa z tym listem tak się nie skończy, że prędzej zobaczysz mnie niż tę wiadomość, czułem jednak, że koniecznie muszę do Ciebie napisać.

Bądź zdrowa. Módl się za mnie.

Twój Włodek



Kiedy w całym dworze nie było już ani jednej osoby, która nie wiedziałaby, że brat jaśnie wielmożnego pana hrabiego poległ w bitwie pod Komarowem, pojawił się wóz, na którym przywieziono ciało.

Bładym świtem minął bramę. Alfred czekał. Było z nim kilku mężczyzn, wezwanych do pomocy. Wnieśli zwłoki Włodzimierza do dworu. Ze względu na upał ostatnich dni sierpnia nie czekano z pochówkiem. Gdy w południe zjawił się ksiądz, wszystko już było gotowe. Trumna spoczęła na lokalnym cmentarzu, w rodzinnym grobowcu. Pan hrabia rozpaczał bardzo, darzył bowiem zmarłego silnym, braterskim uczuciem. Pani płakała, jako że kobiety mają to do siebie, że w takich chwilach płaczą, bez względu na swoje uczucia. Kilkoro z sąsiadów, którzy powiadomieni zdołali dotrzeć na pogrzeb, by oddać hołd zmarłemu, żałowało go bardzo.

Krystyna, zajęta w kuchni przygotowaniami do stypy, nie miała ani czasu, ani chęci myśleć o tym, co się stało.

Rozdział dziewiętnasty



Mątwkę można uznać za praprzodkinię dzisiejszych mikserów. Był to prosty przyrząd kuchenny, pierwotnie po prostu gałązka z bardzo rosochatym zakończeniem, później trzonek z gwiazdką na końcu. Służyła do mieszania składników na ciasto. Należało umieścić trzonek między dłońmi i energicznie je pocierać, wprawiając w ten sposób przyrząd w ruch. Jak wiele przedmiotów użytkowych ma ona także swoje nazwy regionalne. Znana jest jako rogolka, firlejka, kołotuszka, koziołek.

Marzec 1930

Po obu stronach drogi wciąż leżał śnieg. Czy raczej to, co z niego zostaje po zimie. Nie było tam już bieli, tylko szarość podobna do tej na mokrym, kocim futrze. Niechże już przyjdzie wiosna, pomyślała Krystyna, mijając zaspę poznaczoną żółtymi plamami zamarznętej uryny. Gdyby nie to, że żal jej było butów, kopnęłyby ten śnieg, rozniosłyby go. Niech znika, niech przepada. Jakże była zła! Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo w ostatnim czasie tłumiła wszystkie uczucia. Głupia, powiedziała do siebie, po cóż ty tam idziesz? Nie znalazła odpowiedzi. Kilka dni wcześniej poczuła ogromną potrzebę. Może to dlatego, że tyle spraw wydarzyło się w tak krótkim czasie?

– On ci nie pomoże – mówiła sobie po cichu. Nic to nowego. Nigdy nie pomagał. – Jesteś dla niego niesprawiedliwa. Opiekował się tobą – upomniała samą siebie, by zaraz zapytać: – A cóż to była za opieka?

Minęły ją dwie kobiety, szczelnie okutane jesionkami. Spod tych zsuniętych na oczy wełnianych chust rzuciły Krystynie zaciekawione

spojrzenia. Podniosła oczy ku niebu i przeżegnała się, by tamte uznały, że to wypowiedane na głos słowa modlitwy, objaw pobożności, nie wariactwa. Czy to ważne, co pomyślą o niej zupełnie nieznanym osobom? Nie. Zupełnie nieistotne. A jednak było w niej coś, co wciąż i wciąż kazało kontrolować nie tylko siebie, ale też to, co mogą pomyśleć inni.

– To przez niego taka jestem.

Była już na miejscu, minęła bramę i ruszyła główną aleją. Cóż za niezwykle spokojny tutaj panował. Może dlatego ją tu ciągnęło? Chciała choć przez chwilę być gdzieś zupełnie sama, gdzieś, gdzie nikt nie przerwie jej rozmyślań, nie zawoła, nie będzie czegoś chciał. Ile to już lat, odkąd ani na chwilę nie jest sama? Dwanaście, może więcej. Dotąd jej to nie przeszkadzało, ale teraz potrzebowała czasu, by zebrać myśli i poważnie się zastanowić, a obecność innych bardzo w tym przeszkadzała. Tu wreszcie będzie sama. No bo on się przecież nie liczy.

Poniewczasie zdała sobie sprawę, że zbyt szybko skręciła w boczną alejkę. Cóż, nie przychodziła tu zbyt często, raz czy dwa, gdy córka była mała i należało zachowywać pewne pozory. Zawróciła. Rozejrzała się wokół, by odnaleźć właściwą alejkę. Po chwili dotarła na miejsce.

– Musimy porozmawiać – powiedziała. – To znaczy ja muszę, ty... Chodzi o naszą córkę. A także o mojego syna. Wiedziałam, że wcześniej czy później nadejdzie ta chwila, gdy przyjdzie mi podjąć decyzje dotyczące ich przyszłości. Chciałabym, żeby to były dobre decyzje. Oboje wiemy, że moja matka nie postąpiła zbyt mądrze. Oczywiście ty możesz mieć na ten temat inne zdanie... Widzę, że ktoś cię odwiedza. Pewnie siostra. Od lat jej nie widziałam. Nikogo z twojej rodziny nie widziałam. Wiem, że twoja matka umarła, ale nie byłam na pogrzebie. Po tym, co mi zrobili... czułam się zwolniona z obowiązku. Tylko dałam pieniądze na pochówek. Oczekiwali tego ode mnie, bo mnie się teraz dobrze żyje. Dobrze! Też mi dobro. Dla dzieci to robię. Dla naszej córki. Wszystko, co robię, robię dla niej. Nawet teraz przychodzę tu, by w ciszy i spokoju wszystko przemyśleć. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli odbyć podobną rozmowę, gdy żyłś.

Nie. Nie było możliwości, by odbyli nie tylko taką, ale jakkolwiek rozmowę. Rozejrzała się wokół. Rzędy krzyży stały karnie jeden obok drugiego. Różne były, drewniane, metalowe, kamienne. Po nich można było poznać, czy w ziemi pochowano biedaka, czy kogoś bogatszego. Cmentarz

był ostatnim miejscem ludzkiej wędrówki, gdzie pieniądze coś jeszcze znaczyły. Po drugiej stronie, tam, gdzie wszyscy trafiali, liczyło się tylko czyste serce. Przynajmniej taką Krystyna miała nadzieję. Głęboko wierzyła, że istnieje niebo, do którego ona trafi, a do którego pochowany tu mąż nigdy, przenigdy nie będzie miał wstępu.

– Dlatego rozumiesz moje wątpliwości – powiedziała.

A potem zrobiła coś, czego nie robiła od wielu, wielu lat. Pozwoliła, by zalała ją fala wspomnień.



Placek drożdżowy pospolity

1 kg i 20 dkg mąki pszennej, 25 dkg cukru, 25 dkg masła, 5 jajek, pół litra mleka, 10 dkg drożdży, pół łyżeczki soli, wanilia, rodzyнки, skórka pomarańczowa.

Do ciepłego mleka dodać łyżeczkę cukru i pokruszone drożdże, przykryć, postawić w ciepłym miejscu. Połowę mąki podgrzanej wsypać do ogrzanej miski, wlać wyrośnięte drożdże, przykryć i postawić w ciepłe. Żółtka ubić do białości z cukrem. Gdy rozczyń podrośnie, dodać do niego resztę mąki, utarte żółtka, stopione masło, sól, wanilię, rodzyнки i drobniutko posiekaną skórę pomarańczową. Ciasto wyrabiać tak długo, aż będzie odstawało od ręki. Ubić pianę z białek i wymieszać z ciastem. Wyłożyć na posmarowaną blachę, nie wypełniać bardziej niż do połowy. Zrobić kruszonkę z 10 dkg mąki, 5 dkg cukru pudru, 5 dkg roztopionego masła. Kruszonkę oprószyć mąką, żeby się nie topiła, i posypać nią ciasto posmarowane jajkiem. Postawić w ciepłym miejscu, żeby podrosło. Piec w gorącym piecu przez godzinę. Gdy ciasto się zrumieni, przykryć pergaminem, żeby nie spaliła się kruszonka.

Krystyna 1920/1921

Kilka dni po pogrzebie pan hrabia wezwał Krystynę. Przyjął ją nie w małym gabinecie, ale u siebie, w pokoju z ogromnym biurkiem, pięknym fotelem i rozlicznymi trofeami myśliwskimi rozwieszonymi na ścianach.

– Droga moja Malicka, doszły mnie słuchy, jakoby była w odmiennym stanie. Prawda to?

Brzucha jeszcze nie było widać, ale Krystyna czuła już to delikatne łaskotanie pierwszych ruchów dziecka, teraz nie większego jeszcze od polnej

myszki.

– Tak, proszę jaśnie wielmożnego pana hrabiego.

– A czy prawdą jest, że rozpowiada, jakoby to mój brat był ojcem?

Milczała. Są pytania, na które nie ma odpowiedzi. Pan jednak tego nie zrozumiał.

– Prawda to?

– Pracuję tu od dawna, jaśnie wielmożny panie. Czy przez ten czas słyszał pan hrabia, żeby jakie plotki ode mnie wychodziły? Ja tam z nikim o niczym nie rozmawiam.

Pan hrabia się uśmiechnął.

– Więc nic takiego nie twierdzi?

– Nic nie rozpowiadam. A jeśli są plotki, to nie moja wina.

Uśmiech zniknął.

– Niech posłucha. Niech wybije sobie z głowy, że mój brat miał z tym, w jakim ona jest stanie, cokolwiek wspólnego. Ze względu na jej służbę przymkniemy z panią hrabiną oko na złe prowadzenie się Malickiej. Osobiście sugerowałbym pozbycie się kłopotu.

– Za późno na to.

– Nigdy nie jest za późno. Jeśli jednak zamierza to zatrzymać, niech nie liczy na naszą pomoc, niech nie myśli, że jakiegokolwiek pieniądze wyłudzi. Może brata mojego zdołała omotać, ale ja jej na to nie pozwolę. Niech wraca do kuchni, gdzie jej miejsce.

Krystyna dygnęła. Nie była zła na hrabiego. Za cóż miała być zła? Chciał ochronić dobre imię brata, bohatera, który zginął w walce za ojczyznę. Ktoś taki nie mógł zrobić brzucha kucharce. To się nie godziło. Po prostu, po hrabiowsku, po wielkopańsku się nie godziło.

Pierwsze tygodnie po pogrzebie były najgorsze. W salonie żałoba po bracie, w kuchni kucharka z jego bękartem. Gdyby Krystyna miała dokąd odejść, toby odeszła. Postanowiła sobie wtedy, że jak tylko uskłada tyle pieniędzy, by mieć z czego żyć, odejdzie z dnia na dzień i nie obejrzy się za siebie.

Dziecko urodziło się pod koniec zimy. Na świeżo przez Kazię umytą podłogę popłynęły wody płodowe.

– Przykro mi – powiedziała Krystyna. – Będziesz musiała umyć ją jeszcze raz.

– Pomóc wam jakoś? – zapytała dziewczyna. Była blada, przejęta, jakby działo się coś okropnego i niezwykłego zarazem.

- Wstaw gar z wodą, niech się ugotuje. I umyj podłogę.
- Może trza kogoś wezwać?
- Na to przyjdzie czas. Urodzić dziecko to nie tak hop-siup, jak je tam włożyć. To trwa.

Koguty zaczynały pisać, gdy poczuła, że to już końcówka. Posłała Kazię do czworaków po Stopciową. Pocziwa kobiecina od lat pomagała przychodzić na świat fornalskim potomkom. Bładym zimowym świtem na jej nie do końca domyte ręce wypłynął syn brata pana hrabiego i kucharki.

– No jaki chłopaczek cacany! – zachwyciła się Stopciowa. – Mnie się widzi, że on całkiem do ojca podobny.

– Nawet tak nie mówcie – szepnęła Krystyna, zmęczona nadludzkim wysiłkiem. – Moje to dziecko i tyle.

– Toż wszyscy wiedzą, kto jego ojciec.

– Nie wszystkim się to podoba. Na cóż mnie kłopot? Wygonią mnie i co ja pocznę z dwójką dzieci?

Stopciowa skinęła głową.

– Patrzajcie, jak to jest. Jak chłop klacz do ogiera przyprowadzi, a jej się ten kawaler nie widzi, to go kopnie i tyle z tego jest, trzeba szukać innego. Jak się suka goni, a lata za nią pies, co ona mu niechętna, to go zębami kłapnie, a ten uszy po sobie położy i pójdzie. Jak się chłop babie nie spodoba, to może go pogonić. Chyba że to szlachcic. Wtedy słowa powiedzieć nie może. Musi dać, co się panu zachciało. I nic z tego nie ma, najwyżej kijów na grzbiet przyjmie.

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, moja Stopciowa. A im kto wyżej siedzi, tym mniej w nim życzliwości dla tych, co niżej.

– Życzliwości mniej, a okrucieństwa więcej.

I podała owinięte w pieluszki dziecko Krystynie.

– Niech ci dobry Pan Bóg da wszystko, co najlepsze, syneczku – powiedziała ta, przytulając maleństwo. Drobnutki był. Mniejszy niż Bronia w chwili urodzenia. Wciąż czerwony, z oczyma zaciśniętymi w szparki. Połaskotany sutkiem łapczywie chwycił pierś. – Jedz, kochany, jedz. Żebyś mi wyrósł na pięknego chłopca.

Stopciowa jeszcze przez chwilę krzątała się po izbie. Chętnie zostałaby przy Krystynie cały dzień, musiała jednak iść do swoich zajęć. Rządca rękę miał ciężką, a serce twarde.

– Zajrę do was wieczorem – obiecała.

Krystyna została sama z dzieckiem. Na szczęście miała przy sobie Bronię, którą mogła prosić o pomoc.

– A jakże on, mamciu, będzie miał na imię? – zapytała dziewczynka, siadając na brzegu łóżka.

– Włodziu. Włodzimierz Tadeusz Malicki.



Makowiec

25 dkg maku, 25 dkg masła, 5 jajek, 7 łyżek kaszy manny, szklanka cukru, 75 dkg jabłek utartych na tarce do jarzyn, 2 łyżeczki proszku do pieczenia, bakalie.

Masło utrzeć z cukrem, dodawać po jednym żółtku i dalej ucierać, później wsypać po trochu kaszę i dalej ucierać. Następnie dołożyć ugotowany i przepuszczony przez maszynkę mak, później tarte jabłka, a na koniec pianę ubitą z białek. Mieszać delikatnie, dodać bakalie. Wstawić do pieca, upiec na złoty kolor.

Krystyna. Kwiecień 1930

Krystyna z radością witała każdy nowy dzień, nie dlatego, że miał przynieść coś dobrego, o nie. Życie nauczyło ją, że im szybciej człowiek wyzbędzie się złudzeń, tym dla niego lepiej. Niczego nie oczekiwała, na nic nie miała nadziei. Witała dni z radością, bo każdy następny dłuższy był od poprzedniego, a ona lubiła światło. Łatwiej się pracowało. Przygotowywanie śniadania przy świetle lampy naftowej wcale nie było łatwe. Przecież musiała sprawdzić każdy talerz, każdy półmisek, na który wykladała potrawy. Gdy wybijała jajka, zawsze się martwiła, czy nie ukruszyła skorupki. Wytężała wzrok, a oczy były coraz bardziej zmęczone, coraz mniej posłuszne.

Ten rok we dworze zaczął się fatalnie. Jeszcze w karnawale pani hrabina przyjmowała gości, a w Środę Popielcową już jej nie było na świecie. Tragedia, której można było uniknąć. Gdyby pani nie wyszła witać gości bez szala, gdyby później wypila coś rozgrzewającego, gdyby posłuchała Alfreda,

który radził ziołowy napar Krystyny, gdyby wezwany lekarz nie okazał się konowałem, gdyby organizm pani był silniejszy, gdyby nie doszło do zapalenia płuc. Gdyby... A jednak stało się to wszystko i pani hrabina umarła. Jeszcze smutniejsze od jej śmierci było to, że Bronia rozpaczała po niej bardziej niż mąż.

Tydzień po śmierci dziedziczki, w drugim tygodniu marca, hrabia wezwał Krystynę do gabinetu.

– Trzeba nam się, moja Malicka, zastanowić, co zrobimy z Włodziem.

Zastanowić? Nam? Co zrobimy?

– Niezmiernie wdzięczna jestem jaśnie panu hrabiemu za łaskę i za to, że pozwolił nam wszystkim we dworze zostać. Dla syna nigdy nic nie chciałam i nie chcę.

– Wiem, moja Malicka, wiem. To jednak skomplikowana kwestia. Ze względu na... Nie wiadomo, jak by się potoczyły losy chłopca, gdyby żył jego ojciec. Mój brat miał z lekka nowatorskie poglądy i prawdopodobnie czułby się w obowiązku zapewnić Włodziowi lepszy start w życie przez edukację. Ponieważ zginął, ja czuję się w obowiązku podjąć decyzje dotyczące przyszłości chłopca.

Po raz pierwszy w swoim życiu Krystyna miała ochotę zapytać: „O czym ty, człowieku, do kurwy nędzy, mówisz?”. Nie mogła tego zrobić, bo byłby to jej koniec w tym dworze, w jakimkolwiek dworze. A utratę pracy poprzedziłaby chłosta, może wezwanie policji, a nawet więzienie. Ze względu na dzieci musiała opuścić głowę, by tego gniewu, który czuła, pan hrabia nie dostrzegł.

A nazbierało się tego przez lata. Od żalu do Włodzimierza Kalińskiego, za jego egoizm, za szczeniackie uczucie, którym ją obdarzył, za to, że nie zważając na nic, chciał ją mieć w swoim łóżku, że zrobił brzuch, a potem zginął, przez żal do hrabiostwa za te wszystkie lata pomiatania i pogardy. Czy ten stary wieprz, siedzący za biurkiem i uśmiechający się protekcyjnie, myśli, że ona, Krystyna, zapomniała? Nigdy, nigdy nie zapomni.

Po porodzie Krystynie nie dano nawet dnia wolnego, by mogła dojść do siebie. Nie pozwolono gotować, gdyż podobno fornale burzyć by się zaczęli, bo zabobony związane z położeniem wciąż są silne wśród ciemnoty, miała więc stać w przejściu między kuchnią a spiżarnią, doglądając wszystkiego, ale niczego dotknąć nie mogła. Siłą rzeczy nie mogła też usiąść ani pójść do

dziecka. Bronia przynosiła malca, ale i to się skończyło, bo pani wciąż miała dla dziewczynki jakieś zajęcia. Nie wolno było Krystynie szukać pomocy do opieki przy dziecku. Gdy Włodziu podrosł i zaczął chodzić, oświadczono, że nie ma dla niego miejsca we dworze i pod żadnym pozorem dziecko nie może się zbliżyć do pałacu. Raz, gdy nieświadomy podszedł do drzwi kuchennych, bo chciał do mamy, hrabia poszczuł na niego psa. Włodziowi nie wolno było dawać jeść. Krystynę poinformowano, że jeśli zostanie przyłapaną na wynoszeniu małego jedzenia, oskarżą ją o kradzież i będzie wezwana policja. A jednocześnie dano do zrozumienia, żeby nawet nie myślała o szukaniu pracy w innym dworze, bo z opinią, jaka za nią pójdzie, nigdzie zajęcia nie znajdzie. Nie wiadomo, co by wtedy zrobiła, pewnie wzięłaby dzieci i poszła gdzieś światami, na nędzę i poniewierkę, na szczęście miała przyjaciela w Alfredzie.

– Nie płacz, Krystyno, łzy jeszcze nikomu w niczym nie pomogły – mówił, delikatnie poklepując ją po ramieniu, co u niego było szczytem wylewności.
– Porozmawiam z ogrodnikiem. Weźmie chłopca do siebie. Zaopiekuje się nim, to dobry człowiek.

– Dziecko powinno być przy matce.

– Krystyno, bądź rozsądna.

– Powinnam odejść.

– Z czego ty będziesz żyć? Z czego wy będziecie żyć? Chyba że... znam jednego wdowca, niebiedny to człowiek, żona go odumarła, osierocając trójkę dzieci. Może...?

– Nie. Nie wyjdę za mąż. Niczego dobrego w życiu nie doświadczyłam od mężczyzn. Od kobiet zresztą też. Tyś jedyną życzliwą mi duszą.

– Skoro tak, to mnie posłuchaj. Umieścimy go u ogrodnika. Przy okazji chłopiec czegoś się nauczy. Z fachem w rękę w świecie łatwiej, a im szybciej on stąd pójdzie, tym lepiej.

Krystyna to pamiętała. Pamiętała też, jak musiała się wymykać, by choć chwilę spędzić z synkiem. Pamiętała, jak oplatał ją rączkami, prosząc, by jeszcze trochę z nim została. Pamiętała wieczory, gdy nie mogła zasnąć, myśląc o synku, samotnym i przestraszonym w domku ogrodnika na drugim krańcu parku. Pamiętała, jak malec za nią tęsknił, a ona za nim. Pamiętała jego uśmiech, gdy jadł wyniesione ukradkiem z kuchni ciasteczko. Pamiętała, że mimo upływu lat nie było lepiej, tylko gorzej, bo Włodziu zaczynał rozumieć swoją sytuację i znosił ją z pokorą, starając się zachowywać tak, by

ani matce, ani siostrze nie przysparzać trosk. Krystyna pamiętała te tysiące krzywd, które wyrządzono jej synkowi, tylko dlatego, że się urodził.

Jakże chciała wygarnąć hrabiemu to wszystko, a mogła jedynie stać ze spuszczoną głową i milczeć.

– Czy chłopiec umie czytać?

Krystynę zdziwiło to pytanie, świadczące o zupełnej nieświadomości hrabiego tak co do wieku Włodzia, jak i jego sytuacji.

– Tak. Do szkoły chodzi, jak wszystkie dzieci w majątku.

– Do szkoły? Gdzie?

– We wsi jest szkoła.

– Faktycznie. Nawet był u mnie nauczyciel. Patrzcie, moja Malicka, jak to świat idzie ku lepszemu. We wsi szkoła, kto chce, może się uczyć.

„Kto chce”, jak to ładnie powiedziane. Nikt nie myśli o tych dzieciach, małych jeszcze, które muszą wędrować czasem i trzy kilometry, i to tak latem, jak zimą. Nikt nie myśli o tych biedakach zamiast do szkoły idących w pole, by każdego dnia rodzicom pomagać. Ani o tych, co ich matki do szkoły nie posyłają, bo zwyczajnie nie mają ubrania dla dziecka i wstydzą się swojego ubóstwa bardziej niż analfabetyzmu. Tymczasem pan hrabia każdego ranka pije kawę, której puszka kosztuje więcej niż kupon lnu, z którego kilka dziecięcych koszul można by uszyć, i cieszy się, że „kto chce”, może się uczyć.

– A jak on sobie radzi? Nasz Włodzio?

Teraz to „nasz”?

– Dobrze. Jest pilny.

Krystyna miała dodać, że Bronia bardzo bratu pomaga. Nauczyła go literek, nim poszedł do szkoły, i teraz ulubionym zajęciem Włodzia jest czytanie. Nie powiedziała jednak tego. Była dumna z synka i chętnie by z kimś innym o nim rozmawiała, ale nie z kimś, kto tak krzywdził ich oboje. Opowiadanie o Włodziu hrabiemu byłoby jak zdrada.

– To świetnie. Pomyślałem sobie, że kariera urzędnicza mogłaby być właściwą drogą dla tego chłopca. Przyślijcie go do mnie, sprawdzę, co umie.

To tyle, jeśli chodzi o „porozmawianie” i „zastanawianie się” nad przyszłością Włodzia, pomyślała Krystyna, opuszczając gabinet.

Jeszcze tego samego dnia przyprowadziła syna do dworu. Nie chciała jednak, by pozostał z hrabią sam. To w końcu ona była jego matką i tylko ona miała prawo decydować o jego przyszłości.

Pan przeegzaminował chłopca. Kazał mu czytać, liczyć, dodawać i odejmować. Pytał też, co Włodzio lubi, z kim się przyjaźni, co chciałby w życiu robić.

– Chcę zostać ogrodnikiem.

– Ogrodnikiem? A czemuż to?

– To dobre zajęcie. W moim odczuciu rośliny są lepsze od ludzi.

– Lepsze?

– Nie ma w nich złośliwości. Nie dokuczają mi.

– A ludzie ci dokuczają?

– Tak, proszę pana.

Hrabia spojrział na Krystynę tak, jakby nie miał pojęcia, dlaczego ktokolwiek może chcieć dokuczać temu ślicznemu, spokojnemu i mądrymu chłopczykowi.

– Pan hrabia pozwoli, że zabiorę już Włodzia.

– Dobrze, Malicka. A po szkole niech on do mnie przychodzi. Będę go uczył francuskiego. Doprawdy szkoda, że moja żona umarła. Z niej była dużo lepsza nauczycielka. Trudno, jakoś sobie poradzimy.

Położyła rękę na ramieniu Włodzia i wyprowadziła go z gabinetu.

– Spakuj swoje rzeczy, synku. Bronia ci pomoże. Wydaje mi się, że nie ma powodu, byś dłużej mieszkał u ogrodnika.

– Tylko... Ja nie chcę u niego nie mieszkać.

Krystyna pochyliła się i z całej siły go przytuliła.

– Zrobisz, jak zechcesz. Wiedz jednak, że bardzo chciałabym mieć cię blisko siebie.

Po kilku dniach pan znowu wezwał Krystynę.

– Posłuchajcie, Malicka. Poznałem Włodzia bliżej i widzę, że to bardzo mądry i wrażliwy chłopiec. Jego podobieństwo do mojego brata, świeć Panie nad jego duszą, jest uderzające. Pomyślałem, że zajmę się edukacją chłopca, by doprowadzić ją do właściwego poziomu, a gdy to się stanie, wyślę go do porządnej szkoły. Tylko... Jest pewien problem.

Problem?

– Niechże Malicka nie udaje, że nie rozumie. Chłopiec, którego będę uczył, nie może biec do kuchni i mówić do służącej „mamo”. Jakże to będzie wyglądało? Znajdę Malickiej inne miejsce, równie dobre, co u nas. Bądźcie rozsądni, moja Malicka.

– Ja... muszę się zastanowić.

– Niech się Malicka zastanowi.

Tak naprawdę wcale nie chciała się zastanawiać. Chciała grać na zwłokę. Wymyślić coś, co ją uratuje. W desperacji pojechała nawet na grób Mariana, jakby zmarły znenawidzony mąż mógł jej w czymkolwiek pomóc. Prawda jednak była taka, że z nim jedynym mogła szczerze porozmawiać. Wiedziała, co powie Alfred, on był głosem rozsądku. „Nie wolno ci myśleć o sobie, Krystyno. Dla chłopca to wielka szansa. Będę nad nim czuwał, nauczę fachu. Dziś wydaje ci się, że to jeszcze dziecko, ale za chwilę chłopiec stanie się mężczyzną, którego zadaniem będzie utrzymać siebie i rodzinę. Może i ciebie na twoje stare lata. Im dalej zajdzie, tym lepiej dla niego. Nie stój mu na drodze”. Wiedziała też, co powie Bronia, która była głosem serca. „Nie możemy się rozdzielać, mamciu. Zawsze byliśmy razem. Przecież to postanowione, po ślubie zabiorę Włodzia ze sobą. W Tynczynie jest szkoła. Teść mój nauczy go kowalstwa. Lepiej być kowalem niż urzędnikiem. Nie zgadzajcie się, a jeśli dziedzic was wyrzuci, pójdziecie ze mną”. W tej sytuacji trudno się dziwić, że milczenie Mariana było tym, co Krystyna chciała usłyszeć.

Zdumiało ją, jak dużo dała jej ta wizyta na cmentarzu. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat wspominała całe swoje życie. Bez łez, wzruszenia, bez żalu, tak jakby to była historia kogoś zupełnie innego, obcego, kogoś, kto jest Krystynie obojętny, do kogo ot tak się przysiadła, a on jej wszystko o sobie opowiedział, bardziej dla zabicia czasu niż po to, by okazała współczucie.

Decyzję podjęła z bólem serca. Może gdyby Bronia nie wychodziła za mąż... Krystyna była przeciwna temu małżeństwu. Jaśko nie wydawał się złym człowiekiem, widziała, że bardzo jest zakochany, ale to prosty chłop, podczas gdy Bronka była całkiem wyedukowaną panią. Mogła pójść za jakiegoś sklepikarza czy urzędnika. Nie tylko mogła, wręcz powinna, bo przy takim mężu dużo lepiej by jej się żyło. Prowadzenie domu w mieście jest czymś zupełnie innym od harówki na wsi. Biedna dziewczyna nawet nie miała pojęcia, na co się porywa. A jednak nie było argumentów wystarczająco silnych, by ją powstrzymać.

Właściwie to były, ale Krystyna nie chciała ich użyć. Nie chciała mówić córce o swojej nieszczęśliwej miłości, o małżeństwie, w którym doświadczyła przemocy, ani o romansie, który skończył się tak fatalnie. Nie chciała zatruwać serca Broni własnymi wątpliwościami. Przecież gdyby dawno temu wyszła za Gustka, jej życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

Dwóm koniom w zaprzęgu i lżej, i różniej. Może życie Broni będzie lepsze i łatwiejsze, bo miłość do męża uczyni je takim? Taką należało mieć nadzieję i o to trzeba się modlić, bo Broni żadna siła nie zdołałaby odwieść od tego małżeństwa. Wkrótce miały się odbyć zaręczyny, a jesienią ślub. To miało wpływ na decyzje, które Krystyna podjęła.

Miała trochę pieniędzy, odłożonych przez lata. Miała też skrawek pola, odziedziczony po rodzicach. To powinno wystarczyć, by wybudować córce porządną chałupę. Bronia nie będzie mieszkała kątem u teściów. Chałupa musi być tak duża, żeby znalazła się tam izba dla Krystyny. Nie pójdzie na służbę do innego dworu, ale do własnej córki. Za dach nad głową i miskę zupy we wszystkim jej pomoże. A Włodzio zostanie we dworze.

Rozdział dwudziesty



Cep to proste narzędzie drewniane służące do ręcznego młócenia zboża. Jego historia jest tak długa jak historia rolnictwa. Składa się z dwóch kawałków drewna. Dłuższe to cepisko, zwane też dzierzakiem, krótsze to bijak. Do zakończeń obu mocowano rzemienne bądź skórzane pętle, które stanowiły miejsce zaczepienia cepigi, zwanej też gązwą, czyli przegubu metalowego lub rzemiennego. Dzięki takiemu połączeniu bijak mógł się z łatwością obracać podczas uderzania w zboże rozścielone na boisku, czyli na twardym, płaskim podłożu. Zaletą młocki ręcznej było zachowanie prostej słomy, która stanowiła materiał budulcowy, z niej robiono strzechy, czyli poszycia dachów, nią uszczelniano ściany, mieszano ją z tynkiem, wkładano w zagaty, a także służyła do wyplatania wszelkiego rodzaju koszy i koszyków, dzieżek i specyficznych słomianych butów. Prosty w użyciu, a jednocześnie skuteczny, łatwy w wykonaniu cep okazał się nie tylko dobrym narzędziem rolniczym, ale też orężem bojowym, po które chłopci i mieszcianie chętnie sięgali podczas małych i dużych konfliktów. Dziś słowo „cep” bywa używane jako synonim głupka.

Wrzesień 1930

W powietrzu czuć już było oddech jesieni, chłodny i lekko kwaśny od gnijących spadów, które żadnym sposobem nie nadawały się do zjedzenia ani na surowo, ani przerobione. Nawet zwierzęta ich jeść nie chciały, dlatego mogły zgnić. Wszystko to, co dało się zjeść, było zebrane, przerobione, zabezpieczone. Zima jest długa i okrutna, a po niej przychodzi pracowita wiosna, która do cna czyści komory i spichlerze. Przednówek wciąż zaprzętał ludzkie myśli i musiało się zdarzyć coś naprawdę ważnego, by na moment skierować je w inną stronę.

Coś takiego właśnie się działo. Od kilku tygodni temat ten pojawiał się w rozmowach, napomykany ot tak, niby przypadkiem. Dwa tygodnie temu stał się głównym tematem rozmów. Przez kilka ostatnich dni nie mówiono o niczym innym. Nawet wieść, która przyszła ze świata, o tym, że aresztowano przywódców Centrolewu, w tym Witosę, musiała poczekać. W przyszłym tygodniu stanie się ona głównym tematem rozmów, a karczmą trząść będą spory polityczne, z których niejeden skończy się rozbitymi łbami. Teraz musi czekać na swoją kolej, bo jest temat ważniejszy. Oto żeni się Jaśko Lipczewski. Niewiarygodne to, bo odkąd ludzie pamiętają, chłopak wciąż był zakochany, wciąż do jakiejś panny wzdychał, ale były to miłości jętki, żyły krótko i zaraz były zapominane. Wróżono Jaškowi starokawalerstwo, tymczasem on się żenił.

Wszystkich we wsi proszono na wesele. I każdy się wybierał, bo jakże nie pójść, kiedy proszą? Wreszcie będzie można zaspokoić ciekawość, która od tyłu dni ludzi zżerała. Podobno narzeczona śliczna jak obrazek, podobno matka kucharka, sama wszystkie weselne potrawy szykuje. Pomiechowska mówiła, że da młodym pieniądze, by chałupę sobie postawili, bo nie chce, by dziewczyna szła za synową do Teofili. Czemuż nie chce? Nie wiadomo. Antoszka przecież już dwanaście lat z Teofilą siedzi i ani słowem się nie skarży. No, ale jaka jest Antoszka, to wiadomo. Nie wiadomo natomiast, jaka jest ta Jaškowa narzeczona, i dlatego trzeba iść na wesele.

Swatem młodego był Heniu Franc. Dziwił wszystkich ten wybór. Spodziewano się, że Jaśko poprosi Wojtkę Dołęgę, przecież kolegowali się od lat, w wojsku razem byli. Ten i ów słusznie napomknął, że taki swat, o którym wiadomo, że pierwszy będzie leżał pod stołem pijany do nieprzytomności, jest gównem wart. Prawda w tych słowach była, bo na weselu ważni młodzi, ważni grajkowie, ważne jedzenie, ale swat najważniejszy. On to gości za stołami sadza, on półmiski podstawia, wódkę nalewa, przyśpiewki intonuje, z każdym zagada, każdemu podziękuje za przybycie, on zadba, by pijak nie upił się zbyt szybko, a awanturnik burdy nie wszczywał, nieśmiałego kawalera posadzi przy rezolutnej pannie, a zwaśnionych sąsiadów na dwóch przeciwległych końcach stołu, brzydkie dziewczęta obtańcuje, bo to być nie może, by na weselu ktoś się smucił. Swat na stół ciągle będzie patrzył, by półmiski równo podzielono, nie może to być, by jedni napchali brzuchy, a inni siedzieli głodni, on też wódkę sprawiedliwie leje i najlepsze toasty wznosi. To, czy wesele będzie udane, od nikogo tak nie

zależy jak od starosty. Dlatego też czasem lepiej pominąć przyjaciela i wybrać kogoś, o kim wiadomo, że się w tej roli sprawdzi. Widać ta myśl przyświecała Jaśkowi, gdy owo arcytrudne zadanie powierzał Heniowi Francowi.

Dzień był cudowny. Słońce świeciło, powiewał delikatny wiaterek. Tu i ówdzie można było dostrzec żółknący liść czy kępę suchej trawy, ginęły one jednak w powodzi wciąż świeżej zieleni i gdyby nie puste pola, można by pomyśleć, że to maj, nie wrzesień.

W obejściu Lipczewskich wrzało jak w ulu. Pachniało ciastem i wędzonką. Nikt nie siedział, każdy, nawet Janeczka, gdzieś biegł, coś robił. Wszyscy zdawali sobie sprawę z doniosłości tej chwili. Oto kończył się pewien rozdział. Ostatnie z dzieci Teofili i Kazimierza szło do ołtarza. Wypełnili swoją misję, powołali na świat, opiekowali się, wychowali, wyposażyli, pożenili. Teraz mieli usunąć się w cień, ustępując miejsca młodszemu pokoleniu.



Zośka nie mogła spać w nocy. Coś ją nosiło. Było to podobne tęsknocie za miejscem, którego się nigdy nie widziało. Dlatego też niecierpliwie czekała na świt. Ranek zawsze przynosi rozwiązanie, mawiał tatko. I Zośka w to wierzyła.

Gdy tylko słońce rozjaśniło horyzont, wstała i zabrała się do tych domowych czynności, które należały do jej obowiązków. Rozpaliła pod piecem, by ugotować śniadanie, i zajrzała do Martusi.

- Śpisz?
- Teraz już nie.
- Przecież szeptem pytałam.
- A w ogóle musisz pytać?
- Gotuję kaszę. Zaraz będzie śniadanie.

Usłyszała, gdzie może sobie wsadzić kaszę, ale udała, że nie słyszy. Marta, gdy miała gorszy dzień, używała naprawdę okropnych słów. Ostatnio takie

dni zdarzały się bardzo często. Biedna Martusia. Chyba gorzej z nią było. Potrzebowała czegoś, co by ją uradowało. Kłopot w tym, że nic jej nie cieszyło. Zupełnie inaczej było z Zośką. Och! Ileż to rzeczy ją cieszyło. Po pierwsze, słońce. Gdy rano świeciło, czuła się tak, jakby jej kto skrzydła podarował. Po drugie, koty. Od samego patrzenia na nie radowała się dusza. A gdy można było wziąć na ręce, pogłaskać, posłuchać mruczenia, wtedy człowiek roztapiał się z lubości. Po trzecie, wędrówki. Chodzenie po wsi, rozmowy z ludźmi, słuchanie o tym, co się wydarzyło, wszystko to było takie ekscytujące.

Najprzyjemniej było zabierać ze sobą Martę. Tak naprawdę okazało się, że to wcale nie łatwe zajęcie. Macocha denerwowała się i nie pozwalała wsadzić na wózek. Gdy Zośka ją ciągnęła, machała rękami, krzyczała, wyzywała. Posadzona w wózku naburmuszała się jak dziecko. Siedziała ze ściągniętymi brwiami i ani słowem się nie odezwała. Zośce to nie przeszkadzało, miło było mieć towarzystwo, móc z kimś porozmawiać, dzielić z nim swój zachwyt nad światem. A świat wokół był cudny.

– Chyba dorastam – mówiła Zośka. – Bo nie tylko dostrzegam, jakie to wszystko wokół piękne, ale też zaczynam to rozumieć.

– A cóż ty, durna, możesz rozumieć?

– Wszystko, mamciu, cały świat.

– Skoro rozumiesz, to może nareszcie trafi do ciebie, żeś wariatka i powinni cię zamknąć z takimi samymi jak ty.

– Ale przecież ja jestem z takimi samymi jak ja. Tu, we wsi, wszyscy mnie znają, wszyscy lubią.

– Śmieją się z ciebie.

– Śmiech jeszcze nikomu nie zaszkodził. Śmiech jest dobry na zdrowie. Kiszki masuje. Powinnaś kiedyś spróbować.

Nie wiadomo, czemu Marta tak bardzo chciała Zośce świat i ludzi zohydzić. Może dlatego, że nie czuła się szczęśliwa? Tylko dlaczego, przecież nie miała powodów. Miała dom, Zośkę, która o nią dbała i kochała, miała też wózek, więc mogła jeździć po świecie, gdzie tylko zechciała, nawet do Łaszczowa.

– Nie bądź dziś smutna, Marto – poprosiła. – To radosny dzień. Jest wesele.

– Czyje?

– Jaśko Lipczewski się żeni.

– To ty dziś powinnaś płakać.

– Czemuż to?

– Twój ukochany idzie z inną do ołtarza. Ja bym płakała.

Zośka poczuła się tak, jakby ktoś ją przyłapał na robieniu czegoś złego. Gorąco uderzyło w jej policzki. Odwróciła się, by Marta nie mogła dostrzec rumieńców.

– Skończy się twoje chodzenie do Lipczewskich. Żona Jaśka psami cię poszczuje. Wspomnisz moje słowa.

– Nie zrobi tego. Ona jest miła.

– To ja nie wątpię, że miła. Ale jak jej się dziecko urodzi, zaczniesz się zastanawiać, czy w tym, co ludzie gadają o tobie, jest prawda.

– Nikt nic o mnie nie gada.

– Toż w oczy nie powiedzą. A poza oczami zastanawiają się, czy to prawda, żeś brata zabiła, domy popaliła, Agatę wydała.

– To nieprawda! Nieprawda!

– Idź do wsi, ludzi zapytaj. Może jak będziesz na weselu? Chyba że cię nie prosili?

– Prosili, tylko ja iść nie chcę.

– Nie prosili. Kto by tam wariatkę prosił.

– Kiedy prosili.

– Jakoś nie pamiętam, by ktoś przyjeżdżał.

Po co miał przyjeżdżać? Antoszka, dając Zośce miskę z zupą, powiedziała po prostu: „Ta na wesele przyjdźcie, Zośko, podjecie sobie. Ta ciasteczka będą takie, że świat nie widział”. A Jaśko, który to słyszał, głową skinął i powiedział: „Przyjdź, Zośko, przyjdź”.

– Myślisz, że jak tu leżysz, to wiesz wszystko? Jaśko mnie prosił.

– Akurat. On się boi, żebyś mu wstydu przed ludźmi nie narobiła.

Tego było zbyt wiele. Zośka usłyszała swój krzyk. Czasem tak się zdarzało, że zaczynała krzyczeć, ale docierało to do niej z opóźnieniem. Myślała o tym, jak bardzo jest zła, i o tym, że ktoś przeraźliwie krzyczy. Potrzebowała chwili, by się zorientować, że to jej głos.

Uciekła z pokoju Marty, wybiegła z domu. Zasyła się w oborze, ale tam też nie znalazła ukojenia. Ta tęsknota, która trawiła ją całą noc... Teraz już Zośka wiedziała, za czym ona była.

Jaśko był kimś szczególnym. Wszystkie miłości, które miała w sercu, ta do tatka, do braciszka, do mamy, do Agaty, nie zniknęły, kiedy oni odeszli. A ponieważ nie można żyć z taką ilością miłości w sercu, Zośka całą ją

przełała na Jaśka. Kłótnia z Martą uświadomiła jej, że choć ukochany żyje, to tak, jakby umarł, bo nadziei, że odwzajemni uczucie, którym go Zośka darzyła, nie ma, bo przecież się żeni.

A może on się żeni, bo nie wie, że Zośka go kocha? Zawsze był dla niej miły, ale o uczuciu nic nie mówił. Bo i ona nic nie mówiła. Skąd wiadomo, co by się stało, gdyby powiedziała: „Jaśku, jesteś mi droższy nad wszystko na świecie”? Być może usłyszałyby: „Ty mi, Zośko, też”. A teraz już jest za późno.

Może wcale nie? Nagle Zośce się przypomniało, co jej kiedyś opowiadała Pomiechowska. Na jakiejś wsi dalekiej był kawaler, co do dwóch panien chodził. Jednej brzuch zrobił, z drugą miał się żenić. Gdy do ślubu przyszło, ta z brzuchem mietlicową miotłę pod nogi konia rzuciła i wesela nie było.

Gdyby tak zrobić? Zyskać czas, Jaśkowi prawdę wyznać. Co robić? Co robić? Kogo o radę zapytać? Martę. Ona ze wszystkich osób, które Zośka знаła, była najrozwężniejsza. Martusia dobrze we wszystkim doradzi.

I już biegła do jej pokoju. Dobrze, że wróciła, kasza się spaliła, straszliwie śmierdziało. Trzeba będzie nowej ugotować, ale to później, później.

– Tyle było spokoju – rzuciła oschle Marta.

– Porozmawiać z tobą muszę. Tylko bardzo proszę, bądź ze mną szczerą.

Marta się roześmiała.

– Nie miałaś racji z tym, że mnie nie prosili. Jaśko mnie zaprosił. Jednak dobrze odgadłaś, że on mi nie jest obojętny. I tak sobie pomyślałam... Może ja źle zrobiłam, nie mówiąc mu o swoim uczuciu.

– Bardzo źle, Zośko. Bardzo.

– Sądzisz, że jest jeszcze czas... Powinam powiedzieć? Bo wiesz... jest sposób, by wesele zatrzymać. Trzeba mietlicową miotłę...

– Zrób to! Zrób! Niech ślubu nie będzie. Przecież to jasne, że Jaśko cię kocha. Z inną chciał się żenić, boś nic nie powiedziała. Powiedz mu, że go kochasz, zanim będzie za późno. I miotłę rzuć koniecznie.

Zośka z radości wyciąłowała Martę.

Już była w drzwiach, gdy zdała sobie sprawę, jak wygląda. Potrzebuje czystej sukienki. W swojej szafie nie miała niczego, co by się nadawało na taką okazję. U Marty? Nie. Marta brudziła bardzo dużo ubrań i w jej szafie nie pozostało już nic czystego ani ładnego. A może jakaś sukienka mamy? Pewnie są w kufrze na strychu. Zośka nigdy tam nie zaglądała, bała się wspomnień i smutku. Jednak dziś te uczucia nie miały do niej dostępu.

Znalazła kufer. Były tam listy, kilka książek, prześliczne pantofelki i biała sukienka obszywana koronkami. W sam raz na Zośkę. No może trochę za długa. Ależ ta mateczka była wysoka. Gdyby dane im było stanąć obok siebie, Zośka wyglądałaby jak kurka.

Wzięła suknię i zeszła do swojej sypialni. Umyła twarz, uczesała włosy. Ładnie jej było w białym. Przyjrzała się własnemu odbiciu.

– Jakaś ty piękna, Zosieńko. Jakże cię nie kochać – powiedział głos mamy. I to była prawda. Zośka nie zdawała sobie sprawy, jaka jest śliczna.

– Jakże mnie nie kochać? – powiedziała do siebie. Jeszcze kapelusz. Mama się gniewa, gdy Zośka wychodzi bez kapelusza.

A tam we wsi grała muzyka, już schodzili się goście. Zaraz ruszą do kościoła. Zdążyła w ostatniej chwili. Jeszcze miotła. Gdzie miotła, pewnie pod chałupą, bo przecież nie ma we wsi domu, o którego ścianę nie stałaby oparta taka miotła. Zośka wyciągnęła po nią rękę. W tym momencie stanęła przy niej Agata. Przecząco pokręciła głową, a oczy miała takie smutne. Może i o Agacie Zośka powinna powiedzieć? Tamci nawet nie wiedzą, że ona w chałupie siedzi.

– Co ty chcesz mi, Agatko, powiedzieć?

Nim tamta zdążyła usta otworzyć, na podwórze wjechał wóz. Wybiegli ludzie z izby, tłok się zrobił. Na Zośkę nikt nie zwracał uwagi. Przepychała się w ciżbie. Wreszcie była przed wozem. Cisnęła miotłą.

I nagle jakby wszystko się zatrzymało. Muzyka umilkła, ucichły rozmowy. Ludzie stanęli jak skamieniali.

– To wariatka! – krzyknął ktoś. – Nie ma co się przejmować. Młodzi jeszcze do wozu nie wsiedli. Nic złego się nie stało.

Zośka uświadomiła sobie, że to głos Pomiechowskiej.

– To wariatka! Niechże ktoś tę miotłę zabierze i spali, zanim młodzi zobaczą. Zabierzcie ją. Inne konie dajcie.

Ktoś Zośkę odepchnął. Ktoś miotłę zabrał. Ktoś rzucił się konie wyprzęgać. Ktoś syknął: „Idźże stąd. Coś najlepszego zrobiła? Tacy dobrzy dla ciebie byli, a ty nieszczęście młodym pod nogi rzucasz?”.

Popychana, odganiana, Zośka nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Spojrzała na Agatę. Tamta zalewała się łzami. Stało się coś złego, ale Zośka nie mogła pojąć co. Wariatka! Pomiechowska nazwała ją wariatką, a przecież się lubiły.

Rzuciła się przez łąki, ku rzece. Tu cicho, tu pomyśli o wszystkim, co się

stało. Lubiła ten zakątek. Kiedy były małe, Agata ją tutaj przyprowadzała. Czasem przychodziła z nimi Aniela. Siadały na brzegu w miejscu, gdzie łożyna go nie zarastała. Tamte moczyły nogi w rzece. Zośkę zawsze dziwiło, jak brudne miały stopy.

Teraz sama miała brudne stopy. Zapomniała o butach. Usiadła na brzegu i włożyła nogi do wody. Spłynął proch z gościńca, skóra stała się jaśniejsza.

Ta tęsknota... Dopiero teraz zrozumiała, że są takie tęsknoty, na który jeden jest tylko sposób. Powoli, powolutku ześlizgnęła się z brzegu. Suknia, zanim nasiąknęła wodą i oblepiła nogi, wyduła się jak balon. Jeszcze chwila i Zośka będzie wśród wszystkich tych, których tak bardzo kochała. Zaczeka tam na Jaśka i wtedy mu powie. Bo teraz... to po prostu nie był właściwy moment.



Pomiechowska powiedziała ludziom, jak urok odwrócić. Miotłę trzeba wynieść i spalić jak najszybciej. Konie żadnym sposobem nie mogą przejść przez miejsce, gdzie na ziemi leżała, a najlepiej dać nowe konie i nowy wóz. Zaraz też wyprzęgnięto kare Lipczewskiego, a Antek Hub pobiegł po swoje bułane. Stare one już były, ale młodym się powie, że może to ostatnia taka uroczystość, przy której się ludziom przysłużą. Szczęściem większość gości czekała po drodze, przeto tych, co zdarzenie widzieli, wielu nie było.

– Młodym nic gadać nie trzeba – upominała Pomiechowska. – Nikomu nic gadać nie trzeba. Przejmą się niepotrzebnie, a po co, skoro wiadomo, że to wariatka? Rozum ma pomieszany, wszyscy to wiedzą. Niechże to zostanie tajemnicą.

I dała znak muzykom, żeby grali.

Zaraz też wszyscy zapomnieli o tym, co się stało. Czekali wesela, zabawy, wódki. I doczekali się, a nikt nie mógł narzekać, bo było to wesele nad weselami.

Pomiechowska dopiero kilka dni później uświadomiła sobie, że nie widziała Zośki. Zaniepokojona zaczęła ludzi rozpytywać, nikt jej jednak nie

widział. Wtedy to przypomniała sobie, że tamtego dnia koty tak przeraźliwie miauczały. Myślała wtedy, że to ze względu na sukę biłgorajską, na której grał jeden z muzyków, bo jej dźwięk wyjątkowo drażnił uszy. Może jednak była inna przyczyna?

Zwołała kilka osób i poszli do dworu Kornelowiczów.

Śmierdziało tam gorzej niż w najbardziej zapuszczonej oborze. Marta dogorywała. Nie dało się jej uratować.

Co stało się z Zośką, nie wiadomo.

Rozdział dwudziesty pierwszy



Szczaw to dość niepozorna roślina. Rośnie na łąkach, polach, w ogrodach i ruinach, preferując miejsca, gdzie gleba jest żyzna i bogata w azot. Mimo swej niepozorności jest to jedna z najcenniejszych roślin, jakie zna ludowe ziołolecznictwo. Szczaw zawiera żelazo, witaminę C, A, B2 i B6, kwas foliowy, beta-karoten. Już w starożytnym Egipcie stosowano go w leczeniu niestrawności. Herbatę ze szczawiu pito przy problemach z nerkami oraz wszelkich chorobach skórnych. Na trudno gojące się rany przykładano papkę ze zmielonych liści. Wszystkie potrawy ze szczawiu, głównie zupy, podnosiły odporność i wzmacniały organizm. Wiosną niedobory witamin dawały się ludziom we znaki, toteż z utęsknieniem wypatrywali pierwszych listków szczawiu. Zielarki zalecały dzieciom, by jadły go na surowo w dużej ilości, dla oczyszczenia organizmu z nagromadzonych przez zimę toksyn.

Maj 1931

Po raz pierwszy w całym swoim życiu Natalia była szczęśliwa. Ponieważ nigdy wcześniej nie była, nie zdawała sobie sprawy, jak jest jej źle. Teraz całą żalność wcześniejszych lat widziała wyraźnie i tym bardziej cieszyła się swoim szczęściem.

Wawrzek Adamczuk miał rację. Wojtek zaczął babkę urabiać w sprawie zapisu. I sprytnie to robił. Najpierw otoczył ją opieką. Miał dla niej czas, miał cierpliwość. Słuchał żalów, które wylewała, współczuł, przyznawał rację. Wkradł się w jej łaski, a Natalia i wuj Antek stali się wrogami. Ich słowa nie miały znaczenia, nie chciała słuchać. Mówiła, że wszystko, co jej się po mężu należy, od razu przepisze na Wojtka.

– A moja część gdzie? A Weroniki? A Natali? – pytał wuj.

– Weronika nie wiecieć gdzie. Natalia zawsze podła dla mnie była, a ty swoje po ojcu dostaniesz, mego nie musisz.

Początkowo Natalia próbowała z babką rozmawiać. Jakże podła? Tyle lat się wszystkim zajmowała. Matka po wsi latała, a Natalia miała czas dla babki, izbę jej sprzątała, mleko przynosiła, garnki myła.

– Ty myślisz, że coś ci się po mnie należy, boś raz czy dwa kankę z mlekiem przyniosła, tak?

Nie raz, nie dwa, tylko codziennie, tłumaczyła dziewczyna. A tamta swoje, że to nieprawda, Natalia nigdy czasu nie miała, a żeby coś zrobiła, to trzeba było sto razy prosić. I wynikała z tego awantura, która tylko utwierdzała babkę w przekonaniu, że nikogo poza Wojtkiem nie obchodzi.

A jednak to, że Wojtek postanowił być miły dla babki, jednocześnie nastawiając ją przeciw rodzinie, przyniosło dobry skutek. Gdyby tak się nie stało, Natalia nie uwierzyłaby w słowa Wawrzka. Przecież jak to na wsi mawiają, „bliższa ciału koszula”. Kochała brata i mu ufała. Wierzyła, że może się zmienić. Gdyby nie zaczął babki urabiać, pewnie powiedziałyby mu o radzie Adamczuka. Dobrze, że nie zrobiła tego od razu, że jakiś głos w sercu kazał jej poczekać kilka dni i zobaczyć, co się będzie działo. A działo się dokładnie tak, jak mówił Wawrzek.

Dlatego też Natalia poszła do wuja i błagała, by choćby siłą zawieźć babkę do zapisu.

– Tobie ochłapki się dostaną. Muszę matkę przekonać.

– Nic jej nie przekona. A jak Wojtek długów narobi, to i moje ochłapki przepadną.

Wuj nie był człowiekiem, który by szybko działał. Na szczęście wujenka Aniela była na pieniądze łakoma jak mało kto. Myśl o długach Wojtka, które musieliby spłacać ze wspólnego majątku, nie była jej miła. Jakoś wuja przekonała i w końcu ustalili termin z notariuszem.

Rankiem, tuż przed wyjazdem do zapisu, zjawił się u Natali Wawrzek i żywą gotówkę dał jej do ręki. Straszne to było. Co rusz sprawdzała, czy ma zawiniątko z pieniędzmi. Serce biło jej mocno, tak bardzo się bała, że zgubi albo kto jej ukradnie.

Urzędnik jednej tylko babki nie onieśmiał. Mówił dużo, wszystko niezrozumiałe. Widział to, ale się nie przejmował jeszcze jedną chłopską sprawą. Byle pieczęć przystawić i swoją dolę wziąć.

Natala bardzo się bała, że odwagi jej zabraknie. Taka była – odważna tylko

wtedy, gdy siedziała sama w domu. Między ludźmi była jak ten przestraszony królik, co w kąt klatki ucieka i tam się kuli.

– Wszystko dobrze, Natała? – zapytał wuj.

– Tak, tylko...

– Jakies zastrzeżenia ma? – W głosie urzędnika słycać było: „Lepiej, żeby nie miała”.

Natała ślinę przełknęła.

– Tylko brata chciałam zapytać, czyby się na spłatę nie zgodził. – I spojrzała na Wojtka.

– Pan się godzi na spłatę?

– Ja się zgodzę, a ona nie spłaci.

– Będzie zapis, będzie musiała spłacić. A nie, to sąd.

– Ale ja teraz... Od razu bym chciała...

W tej chwili wszyscy patrzyli na Natałę. A jej ręce drżały, nogi także, wszystko, wszystko drżało, jakby nie była człowiekiem, a osiką.

– A skąd ty masz pieniądze? – zapytał Wojtek.

– To posag mój.

– Jaki posag?

– Normalny posag, co go bogate ludzie dziewczynie dają, jak za mąż idzie.

– A tobie kto dał?

– Ojciec. Jak do Ameryki jechał, zabrał mnie do swojego stryja, dał mu te pieniądze i powiedział: „Jakbym nie wrócił, to dla Natali na posag, a schowajcie dobrze, kiedyś jej dacie”. I przed śmiercią mi oddali – wymyśliła szybko.

– Jak po ojcu, to i mnie się należy – powiedział od razu Wojtek.

– Nie, jeśli darczyńca określił obdarowanego i cel. To pieniądze tej pani. I może nimi dysponować wedle własnego uznania. Pani chce brata spłacić?

– On i tak głowy nie ma do gospodarowania. Może sobie jaki warsztat kupić albo co innego. Na co mu pole?

Urzędnik spojrzał na Wojtka. Było to spojrzenie przynaglające: No decydujże się szybko, ja nie mam całego dnia.

– A ty tyle masz? Pokaż?

– Co ty też, Wojtek? – wtrąciła się babka. – Tobie swoje zapisuję, nie jej.

– Mama niech się nie wtrącają, niech oni między sobą ustalą.

Głos w sercu podpowiedział Natali, by pokazać Wojtkowi pieniądze. Sięgnęła do stanika, gdzie schowała zawiniątko. Gdy tylko brat je zobaczył,

oczy mu się zaświeciły jak te gwiazdeczki na sierpniowym niebie. Zaraz zaczął babkę urabiać, że on tak woli, że krzywdy mieć nie będzie, że w mieście czegoś poszuka, że w wojsku różnych rzeczy się nauczył, co mu teraz znalezienie roboty ułatwią, a do roli serca nie ma. No i nie będzie Natali odbierał ojcowizny, bo to nie byłoby uczciwe, skoro tyle lat ciężko na niej robiła.

Urzędnik, który ich poganiał, dobrą robotę wykonał, bo nikt nie miał czasu się zastanawiać. Babka się zgodziła, Wojtek też. Stało na tym, że wuj dostał to, na czym do tej pory gospodarował, i jeszcze część pola od matki. Natalia otrzymała ziemię po Dołęgach, którą ojcu odpisali po ślubie, i cały ten kawałek Hubów, co do tamtego przylegał. Dostała też chałupę rodziców, obejście, łąkę i pastwisko. Chałupa dziadków Hubów do śmierci miała należeć do babki, zaś po jej śmierci do Wojtka. Ten, poza ową chałupą i podwórkiem, nie wziął ani skrawka pola, za to otrzymał plik gotówki od siostry.

Zadowolony urzędnik przybił pieczęć. Prócz niego zadowolona była jeszcze Natalia, a także Wojtek, bo każde z nich dostało to, co chciało. Babka była bardzo niezadowolona. W drodze powrotnej ze sto razy powtórzyła, że ją Natalia skołowała, oszukała i wykorzystała. Po wuju trudno było poznać, co myśli.

Zadowolenie Natali trwało tyle tylko, co droga. Gdy znaleźli się w domu, Wojtek zaczął izbę przetrząsać, sprawdzając, czy gdzieś jeszcze nie ma schowanych pieniędzy.

– Oj głupi ja, głupi. Żeby tak uwierzyć, że to w skrzyni to wszystko, co ty masz. Czemu ja wcześniej nie szukał? Ot, bom głupi.

– Nie rób mi bałaganu w chałupie. Teraz ona moja. Do babki idź, tam się rządź.

– Patrzcie ją, jaka wyszczekana.

W końcu, gdy wszystko przetrząsnął, poszedł sobie. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, zjawił się wuj.

– Czemuś ty mi, Natalia, nie powiedziała, że masz te pieniądze?

Miał do niej żal, poznała po głosie. Ciężko jej się od tego zrobiło na sercu, bo ze wszystkich ludzi wuj był tym, którego uważała za najbliższego. W nieśmiałości i braku odwagi byli do siebie podobni. Bała się jednak, że gdy powie prawdę, wpłynie to na przyjaźń, która łączyła wuja z Wawrzkiem. Może wuj, podobnie jak dziadek, podejrzewa tamtego, że zabił ojca, a te

pieniądze uzna za dowód? Natalia była pewna, że Wawrzek nie mógłby zrobić krzywdy jej ojcu. Wtedy, gdy przyniósł jej pieniądze, zobaczyła to w jego oczach. Jeśli kto szczerą, przyjacielską miłością kochał Franka Dołęgę, to był to właśnie Wawrzek Adamczuk.

– Chciałam, ale... nie śmiałam.

– Bałaś się, że zabiorę?

– Wy nie tacy. Tylko... u was w chałupie zawsze ktoś jest, a ja przy innych... Myślałam, że was w polu spotkam...

Spojrzał na nią, tym spojrzeniem człowieka, który wie, że jest okłamywany. Westchnął ciężko. Potem przytulił Natalę.

– Teraz to se musisz chłopca znaleźć, bo sama nie dasz rady.

Wtedy to Natalia westchnęła, bo oto kolejna tajemnica. Chłopa już miała. Chłopca właściwie, bo teraz musiała poczekać, aż on dorośnie na tyle, by mógł się z nią ożenić. Póki co mówić o tym nikomu nie wolno. Zresztą po co mówić?

Wojtek zniknął trzeciego dnia po zapisie. Powiedział, że do Łaszczowa idzie. Poszedł, nie wrócił. Babka straszliwie za nim płakała, ale tylko ona. Natalia poczuła ulgę. Miała swoją chałupę, swoją oborę, swoje podwórko, swoją łąkę i pastwisko, i krowę, i pole. Miała też swojego koguta, który z dumnie wypiętą pierśią paradował po podwórzu i od czasu do czasu wypuszczał się na drogę. Gdy się na niego patrzyło, trudno było uwierzyć, że to owo kurczątko, które się otarło o śmierć. Teraz żadna podstępna sroka nie była mu groźna. Ani jemu, ani jego licznemu potomstwu. Kogut wskakiwał na płot i donośnym pianiem ogłaszał, że on tu jest panem.

Z tego swoistego tronu przyglądał się swojemu królestwu. A gdy tylko zobaczył, że komuś zagraża niebezpieczeństwo albo że mu się krzywda dzieje, zaraz pędził na pomoc. Zapiszczało kurczę, odgonione od koryta przez kaczkę, już był tam kogut, już uczył kaczora moresu, już kurczę do dziobania ziarna zachęcał. Położył się kot sąsiadów pod płotem, już był przy nim kogut, już się przyglądał, już dopytywał, czy kocur aby najedzony, czy na pisklaki nie dybie. Jak tylko dostrzegł na niebie sylwetkę drapieżnika, natychmiast alarm wszczynął, wszystkim kazał się chować. Wystarczyło, że Natalia pojawiła się na podwórku, zaraz nawoływał drób do jedzenia, a sam biegł do swojej gospodyni, krok w krok za nią szedł, jak pies.

– A jak ty myślisz, mój kogutku, starczy tyle ziarna dla kur? – pytała, pokazując mu przetak, którym ziarno z zasieku wybierała.

– Ko, ko, ko...

– Jak to, mało? Samym ziarnem żyć myślicie? A robaczki, a trawka?

– Ko, ko, ko...

W ciepłe dni, gdy słońce zachodziło, siadała Natalia na progu chałupy. Kury z ociąganiem wracały do obory, gdzie w kącie miały grzędy. Kogut czekał, aż ostatnia z nich zajmie swoje miejsce, a potem przychodził do Natali. Siadał obok niej, łeb przekrzywiał, jakby chciał zapytać, czy nie ma dla niego jakiegoś dobrego kąska. Sięgała wtedy do kieszeni i wyciągała a to skórkę chleba, a to jakąś chrząstkę z mięsa, a to kilka ziaren pszenicy.

– Chodźmy, kogutku, sprawdzimy, czy która z twoich żon nie poszła spać w krzaki. – I szła na obchód podwórza, zaglądała między bzy, do ogrodu, wszędzie tam, gdzie kury lubiły się na noc zaszywać, choć taka kryjówka mogła sprawić, że byłaby to ich noc ostatnia.

Najważniejsze zaś, co teraz miała, to szczęście.

Nigdy by nie pomyślała, że bliskość drugiej osoby może tak wszystko odmienić. To, że Dyzio ją kochał, to jedno, ale to, jak o nią dbał, to drugie.

Wstawała rano, a na stole leżał bukiet polnych kwiatów. Wieczorem znajdowała na stole jabłko albo słodką bułeczkę. Gdy wracała spracowana z pola, za oborą leżało porąbane drewno albo też ogród był wyplewiony, albo woda ze studni przyniesiona.

Czasem, gdy wszyscy spali, Dyzio zakradał się do chaty. Siadali wtedy na łóżku przytuleni do siebie. Natalia wspierała głowę o jego ramię, a on bawił się jej palcami.

– Chciałbym cię pocałować – mówił.

– To dopiero jak dorośniesz.

– Już jestem dorosły.

– Jakbyś był dorosły, tobyś wiedział, że nie mówi się dziewczynie: „Chcę cię pocałować”.

– A co się mówi?

– Nic. Tylko całuje.

I uchylała się, gdy próbował to zrobić, a później śmiali się oboje.

Ten śmiech zostawał w Natali, jakby był przedziwnym posiłkiem, który sycił duszę, bo tak samo jak po zjedzeniu smacznego obiadu czuła się pełna, zadowolona i spokojna.

– Zaokrągliłaś się na twarzy – zauważyła Anielka, a Natalia pomyślała sobie, że to ze szczęścia.

Oczywiście, że zdarzały się zmartwienia. Szczęście nie polega na tym, że ich się nie ma. Szczęście polega na zrozumieniu tego, co jest najważniejsze, a co mniej ważne, i ustawieniu tych rzeczy we właściwej kolejności. Wtedy okazuje się, że spędzające sen z oczu sprawy to drobiazgi. Trzeba się nimi zająć, ale nie warto oczu wyplakiwać.

– Wypiękniałaś, Natała – mówiła Pomiechowska, gdy spotkały się przy gromadzkiej studni. – I głowę teraz wysoko nosisz. Za czyją to sprawą?

– A to zawsze musi być za czyjąś sprawą?

– Tyle lat żyję i jeszcze nie widziałam, by było inaczej. Nie żonaty on aby?

– Co wam też przyszło do głowy? – oburzyła się Natała.

– Ukrywacie się przed ludźmi, bez przyczyny się to nie dzieje. Jeśli nieżonaty, to co? Biedny? Innej wiary?

– Głupstwa pleciecie. – Natała położyła koromysło na barki. – A do głowy wam nie przyjdzie, że ja bym po prostu chciała raz w życiu przez chwilę nie myśleć o tym, co ludzie o nas gadają.

– Nic nie poradzisz, zawsze będą gadać, taka już ich natura.

– To niech o kim innym gadają.

– Toż to robią. Gadają o Jaśku Lipczewskim, o jego żonie i teściowej, o Zośce Kociarze, o śmierci starej Miry, co pierwsza we wsi umarła, a jak baba umrze, to wiadomo, że chłopów ze sobą kilku zabierze, to pewne, więc teraz każdy się zastanawia, na kogo popadnie. Nawet o Piłsudskim, co to siedzi sobie w stolicy i pojęcia nie ma, że taka wieś jak Tynczyn istnieje, też gadają. O wszystkich gadają.

– To skoro im tematów nie brak, niech mi dadzą spokój, choć na jakiś czas.

Zaczepiła wiadra o haki i poszła, nie oglądając się na Pomiechowską. Nawet rozmawiać z nią nie powinnaś, upomniała sama siebie, teraz dopiero będzie węszyć. Stanie na drodze i będzie warować, oka z chaty nie spuści, aż w końcu dostrzeże Dyzia, skradającego się między opłotkami. A gdy to się stanie, nie będzie we wsi chałupy, do której ta wieść nie dotrze. Zrobi się taka afera, że hej! I zupełnie nie da się przewidzieć, jak to się wszystko skończy. Bo o ile Natała była panią samej siebie, o tyle Dyzio musiał się liczyć ze zdaniem rodziców. A w ich przychylność bardzo wątpiła, mimo tego, co Wawrzek Adamczuk dla niej zrobił.

W przeszłości, zanim poznała słodki smak szczęścia, myśl o tym, co się stanie, byłaby źródłem codziennej zgryzoty. Teraz oddalała ją, tłumacząc sobie, że będzie się martwić, jak przyjdzie czas, bo przecież nie wiadomo, co

przyszłość przyniesie, czy będzie to dobre, czy złe. A nawet jeśli złe, to ostatecznie może coś dobrego z tego wyniknąć.

Cieszyła się majem, słońcem, życiem i miłością.

Stała przy kuchni, pilnując barszczu, który niby się gotował, a nie gotował, jakoś tak na przekór Natali, której śpieszno było. Miała zanieść babce obiad, właśnie ten barszcz, którego wczoraj sobie zażyczyła, i kartofle z omastą, a później miała biec na pastwisko, by krowę do domu przyprowadzić. W oborze czekał na krowią mamę cud nad cuda, czarniutki byczek, którego od plamy na czole Natalia nazwała Łyskiem. Dumna z niego była, bo wszak to pierwsze cielę, którego się doczekała jako samodzielna gospodyni. Przyprowadzała do niego krowę w ciągu dnia, by mały mógł się dobrze nassać, by rósł duży i tłusty.

Niechże się ten barszcz szybciej gotuje. Kartofle już miękkie, tylko odlać i ugnieść. Z szaflika buchnęła para. Natalia pomyślała, że trzeba osypkę zaparzyć wodą z kartofli. Kury i kaczki bardzo takie danie lubiły. Wybiegła na podwórko. Korytko, osypka, szaflik, woda, patyk do zamieszania. Teraz trzeba gdzieś jedzenie odstawić, by ostygło, bo łakomczuchy gotowe nazreć się gorącego.

A kogut już dostrzegł, co się dzieje, już łebkiem kręci zaciekawiony. Zaraz też zacznie kury zwoływać na ten smakowity obiad, nie odgoni ich Natalia.

Gdy tak stała z korytkiem, nie wiedząc, gdzie je zanieść, usłyszała swoje imię. To Anieli szła drogą. Towarzyszyła jej Walercia. Jakże ona urosła. Natalia uwierzyć nie mogła, że tak niedawno całowała maluteńkie paluszki, a już niedługo dziewczynka skończy siedem lat. Teraz chowała się za plecami matki, pewna, że jej nie widać.

– A gdzież to, wujenko, idziecie? – zapytała.

– Antkowi obiad na pole niesiemy. Hej, Walercia, przywitaj się z chrzestną.

Dziewuszka wyskoczyła z ukrycia i jak mała kózka podskoczyła radośnie. Biegła do Natali, która szeroko otworzyła ramiona. Żadna z kobiet nie dostrzegła tego, kto się całej scenie z uwagą przyglądał.

Stało się to szybciej, niż da się opowiedzieć. Zanim niesione przez Anielę dwojaki upadły na ziemię, pękając z głuchym trzaskiem, zanim Natalia upuściła korytko, zanim któraś z nich zdążyła krzyknąć, już kogut dopadł dziewczynki. I choć odgoniony przez Natalę odbiegł od razu, pozostawił po sobie pamiątkę. Policzek Walerci przecięła długa, czerwona kreska. Najpierw cieniutka, potem zaczęła się poszerzać. Po chwili cały policzek zalany był

krwią.

Rozdział dwudziesty drugi



Król to snop niemłóconego zboża, pierwszego zżętego podczas żniw, stawiany w izbie podczas Wigilii. Królem nazywany na Lubelszczyźnie, w tradycji wschodniosłowiańskiej zwany jest diduchem i ma głębokie przedchrześcijańskie korzenie. Jest znakiem przyszłego urodzaju.

Grudzień 1932

Wawrzek Adamczuk pogładził się po brzuchu. Choćby i chciał, nie dałby rady wcisnąć tam już jednego pieroga ani jednej łyżki kapusty.

Z wdzięcznością spojrział na żonę. Miała Marianna wiele talentów, dobra z niej była gospodyni, wspaniała matka, a o tym, jak smacznie gotowała, to w gazetach powinni pisać. Wawrzek, gdy siadał za stołem, to wiedział, że nie odejdzie, póki coś jeszcze będzie na dnie w garnku.

Marianna, która zobaczyła ten ruch męża, roześmiała się, uradowana.

– Może makielków ci nałożyć? – zapytała przekornie.

– Ty, kobieto, to chcesz, żeby mi wańciel trzasnął.

– E tam, nie trzaśnie.

– Nie trzaśnie, bo już nic do niego pchać nie będę. Dopiero po pasterce.

I sięgnął przez stół po rękę żony, by pocałunkiem wyrazić, jak jest wdzięczny za tę kolację i za wszystkie inne posiłki, które przygotowywała w czasie ich małżeństwa.

Powiniennem z nią porozmawiać, pomyślał. Tyle że nie miał pojęcia jak. Nie chciał, żeby to, co miał do powiedzenia, źle zabrzmiało. Marianna bywała drażliwa. Wystarczyło jedno słowo, a wybuchała płaczem. Byle drobiazg brała sobie do serca. Taka mądra, taka rozsądna, a zachowywała się, jakby

wciąż była młodą dziewczyną, a złośliwe dzieciaki wyśmiewały się z jej szpetoty. A przecież tamten obraz zatarł się już w ludzkiej pamięci. Wawrzek sam z trudem sobie przypominał żonę sprzed dziesięciu lat. Czas niewątpliwie działał na jej korzyść, ostre rysy zmiękły, gdy przytyła, a twarz jej się zaokrągliła. Daleko było Mariannie do takich piękności jak Aniela Hubowa czy Helena Dymowska, nie wyglądała jednak gorzej od Staszki Francowej czy Józki Iwaniukowej, które przecież w młodości uchodziły za bardzo urodziwe panny. Poza tym Marianna miała to, czego wielu ludziom brakuje – złote serce. Nawet jeśli bywała szorstka, najbliżsi wiedzieli, że kocha ich nad życie i wszystko dla nich zrobić gotowa. Dlatego też rozmowa, którą Wawrzek zamierzał z żoną przeprowadzić, musiała być najpierw gruntownie przemyślana.

- Pójdę do obory. Krowom trzeba siana podrzucić.
- Toż dopiero chodziłeś.
- Niech wiedzą, że dziś święto.

Wstając od stołu, zauważył zawiedzione spojrzenie, które mu posłał Dyzio. Wawrzek udał ślepego, a w odruchu ojcowskiej miłości położył rękę na ramieniu syna. Tamten zeszywniał. Ech, młodość, młodość. Krew się w człowieku gotuje. Wydaje mu się, że tylko ta jedna na świecie całym. A później to mija, spotka się inną i nagle uczucie do poprzedniej znika, jak ta mgła nad łąkami w sierpniowy ranek, topnieje jak lód na kałużach w ciepły marcowy dzień.

Gdyby sprawa nie dotyczyła Dyzia, może byłoby łatwiej. Kłopot w tym, że choć Marianna kochała wszystkie swoje dzieci, do najstarszego miała szczególny sentyment, tych dwoje łączyła wyjątkowa więź. Być może było to wynikiem tych lat, które spędzili, mając tylko siebie. Wiadomo jednak, że gdy tylko padnie imię syna, Marianna zareaguje emocjonalnie, a tu spokoju trzeba i rozwagi.

- Młode to, durne – powiedział, wchodząc do obory.

Tak naprawdę nie miał zamiaru krów karmić. Chciał w samotności pomyśleć o tych, których już z nim nie było. O rodzicach, bracie, który zginął na wojnie, o panu Greenwoodzie. Chciał też pomyśleć o tych, co nadal żyli i gdzieś w świecie radowali się świętami – o Franku, Willu i Joan. Nie mógł o nich rozmawiać z najbliższymi. Z nikim nie mógł o nich rozmawiać. A przecież każdego dnia modlił się za nich i każdego dnia za nimi tęsknił.

Oparł się o słup, na którym wisały postronki. Sięgnął do kieszeni po

kapciuch z tytoniem.

– Podobno zwierzęta w Wigilię mówią ludzkim głosem – powiedział. – Ciekawe, Krasula, co ty byś mi doradziła.

Krowa odwróciła ku niemu łeb. Wątle światło naftówki odbijało się w jej oczach.

– Pozwóóóóól... – ryknęła.

Kapciuch wypadł Wawrzкови z dłoni.

Spis postaci



Ksawery Hub – najbogatszy gospodarz we wsi, właściciel słynnych bułanych ogierów. Mąż Teresy, kochanek Hanki Połajowej.

Teresa Hubowa – żona Ksawerego, chorowita i pedantyczna.

Weronika Dołęgowa – córka Teresy i Ksawerego, żona Franka Dołęgi, matka Wojtka i Natali.

Antek Hub – syn Ksawerego i Teresy. Ożenił się z Anielą Połajówną, jedną z najbiedniejszych panien w Tynczynie, bo był w niej bardzo zakochany. Ma z nią dwoje dzieci, Dominika i Walercię.

Aniela Hubowa – żona Antka, córka Hanki Połajowej. Jej pierwszą miłością był Wawrzek Adamczuk, z którym zaszła w ciążę. Dziecko wzięła na wychowanie jej siostra. Nikt poza Anielą, Marianną, ich matką i Wawrzkiem Adamczukiem o tym nie wie.

Natala Dołęgówna – córka Franka, który wyjechał do Ameryki, i Weroniki. Panna na wydaniu.

Wojtek Dołęga – brat Natali. Lubi wódkę i karty.

Hanka Połajowa – matka Anieli i Marianny. Zadbła o to, by dobrze wydać córki za mąż. Ma romans z Ksawerym Hubem.

Józek Połaj – mąż Hanki, marzyciel.

Babka Połajowa – matka Józka, teściowa Hanki, wielbicielka miejsc

świętych.

Marianna Adamczukowa – córka Połajów, kiedyś najbrzydsza panna w okolicy. Wyszła za mąż za Wawrzka Adamczuka, gdy ten wrócił z Ameryki. Wychowuje z nim troje dzieci – Dyzia, Poldka i Bogusię.

Wawrzek Adamczuk – teraz bogaty gospodarz, dorobił się w Ameryce. Wyjechał tam tuż przed wojną, wrócił po wojnie. Jego pierwszą miłością była Anieli Połajówna. W Ameryce zakochał się w Joan. Gdy wrócił, ożenił się z Marianną Połajówną. Ojciec Dionizego, Poldka i Bogusi.

Dionizy (Dyzio) Adamczuk – syn Wawrzka Adamczuka i Anieli, wychowywany przez Mariannę.

Teofila Lipczewska – praprababka autorki. Matka Juliana, Heleny, Władziuni, Agaty i Jaśka. Miała karczmę, ale ją straciła.

Kazimierz Lipczewski – kowal, mąż Teofili.

Jaśko Lipczewski – najmłodszy z dzieci Teofili i Kazimierza. Zakochany w Bronce Malickiej.

Julian Lipczewski – najstarszy syn Teofili i Kazimierza. Jest polowym u dziedzica w Nadolcach. W czasie wyprawy wojennej w głąb Rosji został ożeniony z Antoszką Leszczenko, która twierdziła, że jest z nim w ciąży. Było to kłamstwo. Ich syn Broniek przyszedł na świat dopiero dwa lata później.

Antoszka Lipczewska z domu Leszczenko – żona Juliana, akuszerka. Matka Bronka i Janeczki. Praprababka autorki.

Zosia Kornelowiczówna, zwana we wsi Zośka Kociarą – szalona córka Jana i Barbary Kornelowiczów, straciła rodziców i przyrodniego brata Henrysia. Opiekuje się sparaliżowaną macochą Martą.

Staszka Pomiechowska – przedstawicielka jednej z najstarszych rodzin we wsi. Jej ambicją jest wiedzieć wszystko o wszystkich.

Krystyna Malicka – dziewczyna, którą los ciężko doświadczył. Kochała Gustka, fornała o mocno lewicowych poglądach, lecz wyszła za mąż za Mariana Malickiego, który ją bił. Miała z nim córkę Bronkę. Pracowała najpierw jako pomoc kuchenna, później jako kucharka we dworze w Michalowie.

Marian Malicki – fornał w Dzierążni, mąż Krystyny, zmarł na tyfus.
Bronka Malicka – córka Krystyny i Mariana.

Włodzimierz Kaliński – brat hrabiego Kalickiego, u którego pracowała Krystyna Malicka. Oficer w armii carskiej, wykorzystał wojenną zawieruchę, by porzucić służbę u Rosjan. Później walczył w Legionach Piłsudskiego.

Włodziu Malicki – nieślubny syn Krystyny i Włodzimierza, brat Bronki.

Od autorki



Pytanie, które słyszę najczęściej, dotyczy źródła inspiracji. To zadziwiające, jak niezwykłymi drogami docierają do mnie historie, które stają się kanwą moich opowieści. Zwykle odpowiadam, że pomysły leżą na ulicy. Wydaje mi się jednak, że jest to jeszcze prostsze – one są w nas.

Z ogromną przyjemnością wróciłam do mojego Tynczyna. Chciałam kontynuować tę opowieść, pokazać świat, który odchodzi, a który miałam szczęście poznać dzięki ludziom, którzy byli w moim życiu. Odcisnęli na mnie piętno w różny sposób.

Nie jestem wielbicielką kuchni i nie przepadam za gotowaniem, a jednak nie wyobrażam sobie rodzinnej uroczystości bez tortu Amelia, robionego w moim domu, odkąd pamiętam. Podobnie jak biszkopt z kremem maślanym. Zawsze też przy tej okazji wspomniano kunszt ciotki-babki Malickiej, która przez lata była kucharką we dworze.

Naprawdę miała na imię Zofia. Jej grób można odnaleźć w najstarszej części cmentarza w Czartowcu. Przez lata mieszkała w Muratynie, pomagała córce, opiekowała się wnukami, świetnie gotowała i piekła najlepsze ciasta. To ona przygotowywała torty na ślub moich rodziców.

Moja mama wspomina ją jako osobę pogodną, pracowitą, może trochę oschłą. Historię swojego życia podzieliła się tylko raz, wiele, wiele lat temu. Opowiedziała ją mojej nastoletniej mamie, prosząc o dyskrecję. I moja mama przez wiele lat ją zachowała. W pewne szczególnie dla nas smutne święta, gdy przygotowywałyśmy tort Amelię, na długo zanim zaczęłam pisać, opowiedziała mi smutną historię ciotki-babki Malickiej.

Gdy zaczęłam pracę nad drugim tomem mojej sagi, postanowiłam znaleźć w nim miejsce dla tej historii, dla kobiety, z którą los obszedł się w tak okrutny sposób, a która mimo wszystko się nie poddała.

W domu mamy szufladę z przepisami. Mama pomogła mi wyszukać te najdawniejsze, otrzymane przez moją babcię właśnie od Zofii Malickiej. Nie wszystkie pochodzą z dworskiej kuchni, bo Zofia gotowaniem i pieczeniem pasjonowała się całe życie, wszystkie jednak należały do niej. Postanowiłam umieścić je w tej książce, gdyż są częścią opowieści o silnej kobiecie, która wiele w życiu przeszła.

Chciałabym serdecznie podziękować pani Danucie Mac za serdeczność, najlepsze na świecie amoniaczki i kilka opowieści o przeszłości Muratyna.

Spis treści

[Wstęp](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Spis postaci](#)

[Od autorki](#)